



PIAȚA OFIARA

J. D. Barker

PIĄTA OFIARA

J. D. Barker

Przełożyła Agata Ostrowska

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2019

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44

45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70

71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83
84
85
86
87
88
89
90
91
92
93
94
95
96

97
98
99
100
101
102
103
104
105
106
107
108
109
110
111
112
113
114
115
116
117
118
119
120
121
122

123

124

125

126

127

128

129

130

131

132

Przypisy końcowe

Tytuł oryginału: *The Fifth to Die*

Redakcja: Anna Brzezińska

Projekt okładki: Kav Studio Pola Rusiłowicz

Ilustracja na okładce: Lukas Gojda / Shutterstock

Korekta: Beata Wójcik, Słowne babki

Copyright © 2018 by J.D. Barker. All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Copyright © for the Polish translation by Agata Ostrowska, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 9788381430517

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Wspólna 35 lok. 5, 00-519 Warszawa www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla ojca

1

PORTER

Dzień pierwszy, 20.23

Ciemność.

Ogarnęła go, głęboka i gęsta, pochłonęła światło i zostawiła za sobą tylko atramentowoczną pustkę. Mgła dławiała jego myśli – słowa próbowały się łączyć, utworzyć sensowne, spójne zdanie, ale w chwili, gdy zdawały się już bliskie osiągnięcia celu, przepadały w mroku, zastępowało je nasilające się poczucie strachu, wrażenie ciężkości – a ciało zapadało się w mętną toń.

Mokry zapach.

Pleśń.

Wilgoć.

Porter chciał otworzyć oczy.

Musiał otworzyć oczy.

One jednak się broniły, trzymały się mocno.

Głowa pękała mu z bólu.

Dokuczliwe pulsowanie za prawym uchem, a także w skroni.

– Staraj się nie ruszać, Sam. Nie chcę, żeby zrobiło ci się niedobrze.

Głos dobiegał z oddali, stłumiony, ale dobrze znany.

Porter leżał.

Zimna stal pod opuszkami palców.

Wtedy przypomniał sobie zastrzyk. Igła w szyi, szybkie ukłucie, zimny płyn przedzierający się przez skórę do mięśni, a potem...

Porter zmusił się do otwarcia oczu, choć ciężkie powieki nie chciały ustąpić. Suchość, pieczenie.

Próbował potrzeć oczy, wyciągnął prawą dłoń, ale coś szarpnęło ją z powrotem do tyłu: to naprężył się łańcuch na jego nadgarstku.

Zachłysnął się powietrzem, ale wyteżył siły i usiadł. Przy zmianie pozycji zakręciło mu się w głowie. Mało brakowało, a natychmiast upadłby z powrotem na plecy.

– Hej, Sam, nie szalej. Działanie etorfiny powinno wkrótce ustąpić, skoro już odzyskałeś przytomność. Poczekaj minutkę czy dwie.

Zapaliło się światło, jasny halogen skierowany wprost na jego twarz. Porter się skrzywił, ale nie zamierzał odwracać oczu, uparcie wbijał wzrok w mężczyznę stojącego obok źródła światła – ciemny, niewyraźny kształt.

– Bishop? – Porter ledwie rozpoznał własny głos, chrapliwy jak szuranie po żwirze.

– Co słyhać, Sam? – Cień zrobił krok w prawo, odwrócił pusty dwudziestolitrowy kubeł po farbie do góry dnem i usiadł.

– Przestań mi świecić po oczach, do jasnej cholery.

Porter szarpnął za łańcuch przymocowany do nadgarstka. Drugi koniec kajdanek zagrzechotał na jakiejś grubej rurze – wodociągowej, a może od gazu.

– Co to ma, kurwa, być?

Anson Bishop sięgnął do lampy i przekręcił ją nieco w lewo. Jarzeniówka umocowana na jakimś stojaku. Światło padło na mur z pustaków z bojlerem w przeciwległym kącie oraz starymi pralką i suszarką ustawionymi pod ścianą.

– Lepiej?

Porter znowu szarpnął łańcuchem.

Bishop uśmiechnął się pod nosem i wzruszył ramionami.

Kiedy Porter widział go ostatni raz, Bishop miał ciemnobrązowe, bardzo krótko obcięte włosy. Teraz były jaśniejsze i dłuższe, rozczochrane. Twarz

pokrywał mu trzy-, czterodniowy zarost. Swobodny, acz elegancki strój został zastąpiony przez dzinsy i ciemnoszarą bluzę z kapturem.

– Wyglądasz dość podle – stwierdził Porter.

– Ciężkie czasy.

Nie mógł jednak zmienić swoich oczu, czającego się za nimi chłodu.

Jego oczy pozostały takie same.

Bishop wyciągnął z tylnej kieszeni łyżeczkę do jedzenia grejpfrutów i zaczął z roztargnieniem obracać ją w dłoni. Ząbkowana krawędź błyskała w świetle.

Porter postanowił zignorować łyżeczkę. Spojrzał w dół i postukał palcem wskazującym w metalową powierzchnię, na której siedział.

– To taki sam wózek, do jakiego przykułeś Emory?

– Mniej więcej.

– Nie miałeś jakiegoś łóżka polowego?

– Mniej wytrzymałe.

Spod wózka wyciekała kałuża ciemnoczerwonego płynu, rozległa plama na brudnej, betonowej posadzce. Porter wolał o nią nie pytać. Kiedy dotknął spodu metalowych noszy, poczuł na palcach coś lepkiego. O to też nie zapytał. Na ścianie po jego lewej stronie wisiało kilka półek pełnych rozmaitych przyborów malarskich: puszek, pędzli, folii ochronnej. Sufit zbudowano z drewnianych desek o szerokości mniej więcej piętnastu centymetrów, rozmieszczonych co niecałe pół metra. Przestrzeń między deskami wypełniały odsłonięte kable, rury kanalizacyjne i przewody wentylacyjne.

– To piwnica w domu mieszkalnym. Niedużym i raczej starym. Ta rura nad twoją głową jest pokryta azbestem, więc nie radziłbym jej obgryzać. Domyślam się, że budynek jest opuszczony, bo podłączyłeś sobie tę lampkę do przedłużacza, a kabel idzie na górę do... Hm, jakiegoś akumulatora? Na pewno nie masz tam generatora, byłoby słychać. Nie skorzystałeś z gniazdek w ścianie, więc pewnie nie ma tu prądu. Poza tym jest zimno jak w psiarni. Para leci mi z ust, czyli nie ma też ogrzewania. To znowu świadczy o tym, że dom jest opuszczony. Nikt by nie ryzykował, że zamarzną mu rury.

Bishopowi wyraźnie sprawiło to przyjemność, na jego ustach igrał wątki uśmieszek.

Porter kontynuował.

– Budynek jest raczej wąski, więc to pewnie jeden z tych tradycyjnych domów typu *shotgun*. Biorąc pod uwagę, że raczej nie wybrałaś modnej dzielnicy ze Starbucksami, gdzie mieszkańcy mają dostęp do internetu i zwykle od razu zgłaszają policji, że zauważyli ściganego przestępcę, zakładam, że wolałaś się trzymać zachodniej części miasta. Może to na przykład Wood Street. Dużo tam pustych domów.

Wolną ręką Porter sięgnął pod płaszcz na piersi po broń, ale znalazł tylko pustą kaburę. Komórki też nie było.

– Gliniarz w każdym calu.

Wood Street znajdowała się o dobry kwadrans jazdy samochodem od jego mieszkania przy Wabash Avenue, nawet przy małym natężeniu ruchu, a Porter poczuł ukłucie w szyję jakąś przecnicę od domu. Oczywiście snuł tylko dzikie domysły, ale zależało mu, żeby Bishop nie przestawał mówić. Im porywacz więcej mówił, tym Porter mniej myślał o tamtej łyżeczce.

Pulsujący ból skupił się w punkcie za prawym okiem Portera.

– Nie próbujesz mnie przekonać, żebym oddał się w ręce sprawiedliwości? Że jeśli będę współpracował, to pomożesz mi uniknąć kary śmierci?

– Nie.

Tym razem Bishop się uśmiechnął.

– Hej, chcesz zobaczyć coś fajnego?

Porter odpowiedziałby przecząco, ale wiedział, że jego słowa tak naprawdę są bez znaczenia. Ten człowiek miał obmyślony plan, działał w konkretnym celu. Urowadzenie detektywa chicagowskiej policji to ryzyko, którego nikt by nie podjął bez ważnego powodu.

W prawej przedniej kieszeni czuł breloczek z kluczami. Bishop mu je zostawił, kiedy zabierał telefon i broń. Miał tam kluczyk do kajdanek, a do większości pasował ten sam. Kiedy zaczynał pracę w policji, wyjaśniono mu, że

zazwyczaj to nie ta sama osoba zakuwa zatrzymanego w kajdanki i potem go z nich rozkuwa. Podejrzany jest często kilkakrotnie przenoszony między komisariatami. Dlatego nauczono ich, żeby podczas przeszukania zabierać klucze, wszystkie bez wyjątku. Każdy kryminalista z prawdziwego zdarzenia nosił przy sobie kluczyk do kajdanek, na wypadek gdyby jakiś żółtodziób zapomniał sprawdzić. Porter musiałby jednak wyjąć pęk kluczy z prawej kieszeni, przełożyć go jakoś do lewej ręki, otworzyć kajdanki i unieszkodliwić Bishopa, zanim ten zdążyłby pokonać dzielącą ich odległość półtora metra.

Napastnik chyba nie miał żadnej broni, tylko łyżeczkę.

– Oczy z przodu, Sam – rozkazał Bishop.

Porter zwrócił się ponownie ku niemu.

Bishop wstał i przeszedł na drugą stronę piwnicy do stolika koło pralki. Wrócił na miejsce z małym drewnianym pudełkiem, na którym leżał glock Portera. Odłożył broń na podłogę koło siebie i zwolnił kciukiem zatrzask, otwierając pokrywkę.

Sześć gałek ocznych gapiło się na Portera z czerwonej aksamitnej wyściółki.

Dawne ofiary Bishopa.

Porter spuścił wzrok na pistolet.

– Oczy z przodu – powtórzył Bishop i zachichotał.

Coś się nie zgadzało. Bishop zawsze postępował zgodnie z tym samym schematem. Najpierw usuwał ofierze ucho, potem oczy, a na końcu język i wysyłał je kolejno do bliskich ofiary wraz z liścikiem, wszystko w białym pudełku przewiązanym czarnym sznurkiem. Zawsze. Nigdy nie odstępował od tej zasady. Nie zostawiał sobie trofeów. Wierzył, że karze rodziny za jakieś złe uczynki. Samozwańczy obrońca wymierzający sprawiedliwość chorymi metodami. Nie zostawiał sobie oczu. Nigdy nie zostawiał...

– Lepiej już zacznijmy. – Bishop pogłaskał dłonią pokrywkę pudełka, gestem pełnym czułości, po czym odstawił je na podłogę obok pistoletu i podniósł łyżeczkę do światła.

Porter sturlał się z metalowych noszy na kółkach, wrzeszcząc z bólu, kiedy metalowa obręcz wpiła się w skórę nadgarstka – rura trzymała się mocno. Próbując zignorować ból, niezgrabnie wcisnął lewą dłoń do prawej kieszeni spodni, żeby wyciągnąć klucze, a jednocześnie kopnął wózek w kierunku Bishopa. Już muskał breloczek czubkami palców, kiedy Bishop uchylił się przed noszami, wierzgnął nogą do przodu i kopnął Portera w lewą pizszel. Porter nie zdołał ustać i zwałił się na ziemię, ale kajdanki na jego prawej ręce przyłączone do rury szarpnęły tak mocno, że prawie wyrwały mu ramię ze stawu.

Zanim zdążył zareagować, poczuł kolejne ukłucie igły, tym razem w udo. Próbował spojrzeć w dół, ale Bishop szarpnął go za włosy, odciągając głowę do tyłu.

Świadomość zaczęła powoli odpływać. Porter z tym walczył, walczył z całych sił. Walczył na tyle długo, żeby zobaczyć, jak do jego lewego oka zbliża się łyżeczka do grejpfruta, żeby poczuć, jak ząbkowane ostrze przecina tarczkę powieki, kiedy Bishop wcisnął łyżeczkę do jego oczodołu, na tyle długo, żeby...

– Niezła była?

Porter rzucił się na siedzeniu przytrzymywany przez pas bezpieczeństwa. Łapał gwałtownie powietrze, szarpiąc głową na boki, aż w końcu jego wzrok wylądował na Nashu siedzącym w fotelu kierowcy.

– Co? Kto?

Nash uśmiechnął się złośliwie.

– Panienska z twojego snu. Jęczałeś.

„Sześć gałek ocznych”.

Porter, wciąż zdezorientowany, uświadomił sobie, że siedzi na miejscu pasażera w chevrolecie Nasha, starej nowie rocznik 1972, którą ten kupił dwa miesiące temu, kiedy jego ukochany ford fiesta wyzionął ducha na drodze numer 290 o trzeciej nad ranem. Musiał wtedy wezwać transport z centrali, bo nie mógł się dodzwonić do Portera.

Porter wyjrzał przez okno. Szybę pokrywała cienka warstewka brudnego lodu.

– Gdzie my jesteśmy?

– Na Hayes, zbliżamy się do parku – odpowiedział partner, włączając kierunkowskaz. – Może powinieneś sobie odpuścić tę akcję.

Porter pokręcił głową.

– Nic mi nie jest.

Nash skręcił w lewo do Jackson Park i pojechał odśnieżoną niedawno drogą. Czerwono-niebieskie światła odbijały się od ciemnych drzew wokół.

– To już cztery miesiące, Sam. Jeśli nadal masz problemy ze snem, powinieneś z kimś porozmawiać. Niekoniecznie ze mną czy z Clair, ale... z kimś.

– Nic mi nie jest – powtórzył Porter.

Minęli boisko do bejsbolu po prawej stronie, porzucone na okres zimy, i zagłębili się między nagie drzewa. Przed nimi migąło jeszcze więcej świateł: pół tuzina samochodów, może więcej. Cztery wozy patrolowe, karetka, wóz strażacki. Wzdłuż brzegu zalewu stały wielkie reflektory iluminacyjne, a na całym terenie odgrodzonym żółtą taśmą policyjną rozsiane były ogrzewacze gazowe.

Nash zahamował za wozem straży pożarnej, przestawił dźwignię skrzyni biegów na tryb parkowania i zgasił silnik, który zakrztusił się dwukrotnie, jakby szykował się do spektakularnego strzału z rury wydechowej, ale w końcu ucichł. Porter zauważył kilku funkcjonariuszy gapiących się w ich stronę, kiedy gramolili się z samochodu na mroźne zimowe powietrze.

– Mogliśmy przyjechać moim – powiedział Porter do Nasha. Podeszwy jego butów zachrzęściły na świeżym śniegu.

Porter miał dodge'a chargera rocznik 2011.

Większość współpracowników nazywała samochód Portera „autem na kryzys wieku średniego” – dwa lata temu, w dniu jego pięćdziesiątych urodzin, dodge

zastąpił toyotę camry. To była niespodzianka: Heather, świętej pamięci żona Portera, kupiła mu sportowy samochód po tym, jak ich poprzednie auto padło ofiarą wandalii i wyzionęło ducha w jednej z niezbyt przyjaznych policji dzielnic na południu miasta. Porter nie ukrywał, że siedząc za kierownicą tego pojazdu, czuł się o ładnych kilka lat młodszy, ale przede wszystkim widok samochodu wywoływał uśmiech na jego twarzy.

Heather ukryła kluczyki we własnoręcznie upieczonym torcie urodzinowym i mało brakowało, a Porter złamałby sobie na nich ząb.

Potem zawiązała mu oczy i sprowadziła po schodach przed budynek, śpiewając *Sto lat*, chociaż z takim głosem raczej nie miałyby szans dostać się do *Idola*.

Porter myślał o żonie za każdym razem, kiedy wsiadał do samochodu, ale zdawało się, że z dnia na dzień coraz mniej rzeczy mu o niej przypomina, a rysy jej twarzy stopniowo zacierają się w jego pamięci.

– Twój samochód jeszcze pogarsza sprawę. Ciągłe nim jeździmy, a moja Connie gnije na podjeździe przed domem. Jeśli będę nią jeździł, to nie zapomnę, że chcę ją odremontować. Jeśli będę pamiętał, że chcę ją odremontować, to może w końcu wezmę ją na warsztat i zabiorę się do roboty.

– Connie?

– Samochody powinny mieć imiona.

– Wcale nie. Samochodom nie powinno się nadawać imion, a ty nie masz zielonego pojęcia, jak ją... go wyremontować. Założę się, że jak już dotelepałeś się tym gruchotem do domu i zajrzałeś pod maskę, to się zorientowałeś, że zajmie ci to trochę więcej niż czterdzieści trzy minuty, nie tak jak w odcinku *poTURBOwanych*.

– Ten program to ściema. Powinni mówić, ile faktycznie trwa taka naprawa.

– Mogło być gorzej. Przynajmniej nie uzależniłeś się od HGTV i nie próbujesz w wolnym czasie dorabiać sobie renowacją i sprzedażą domów.

– Racja. Chociaż oni się z tym uwijają w dwadzieścia dwie minuty, a zwrot z inwestycji mają dużo większy – odparł Nash. – Jakbym tak opchnął z jeden

dom czy dwa, to mógłbym komuś zapłacić za naprawę auta. Oho, tam jest Clair...

Przeszli pod żółtą taśmą policyjną i skierowali się na brzeg zalewu. Clair stała obok jednego z ogrzewaczy, do ucha przyciskała telefon. Kiedy ich zauważyła, skinęła głową w stronę wody, zakryła mikrofon i powiedziała:

– Wydaje nam się, że to Ella Reynolds. – Po czym wróciła do rozmowy.

Portera zakłuło w sercu.

Ella Reynolds była piętnastolatką, która trzy tygodnie wcześniej zaginęła po lekcjach w pobliżu Logan Square. Ostatni raz widziano ją, kiedy wysiadała z autobusu dwie przecznice od domu. Rodzice natychmiast zgłosili zaginięcie, w ciągu godziny uruchomiono system alarmowy. Niewiele to jednak dało. Nikt nie przekazał żadnych użytecznych informacji.

Nash ruszył nad brzeg zbiornika, Porter poszedł w jego ślady.

Zalew był zamrożony.

Cztery pomarańczowe pachołki stały na lodzie kawałek od brzegu, a między nimi przeciągnięto żółtą taśmę, tworząc prostokąt. Śnieg został odgarnięty.

Porter ostrożnie postawił stopę na lodzie, nasłuchując charakterystycznego trzasku. Choć taflę pokrywały liczne ślady butów, zawsze się stresował, kiedy to on miał wkroczyć na zamrożoną powierzchnię.

Postąpił kilka kroków do przodu i zauważył dziewczynę. Lód był przezroczysty jak szkło.

Patrzyła z dołu oczami pozbawionymi wyrazu.

Miała przeraźliwie bladą skórę, zabarwioną na niebiesko z wyjątkiem okolic oczu. Tutaj jej skóra była ciemnofioletowa. Wargi miała rozchylone, jakby chciała coś powiedzieć, jakieś słowa, które nigdy już nie wybrzmiały.

Porter przyklęknął, żeby dokładniej się jej przyjrzeć.

Miała na sobie czerwoną kurtkę, czarne dżinsy, białą wełnianą czapkę i rękawiczki do kompletu, a także różowe buty sportowe. Ramiona zwisały jej luźno po bokach, nogi skulone pod ciałem zniknęły w ciemnej toni. W wodzie zwłoki zwykle puchną, ale niska temperatura konserwuje. Porter wolał

spuchnięte. Zauważył, że kiedy wyglądały na mniej ludzkie, łatwiej mu było przyswoić sobie ten widok – podchodził do sprawy mniej emocjonalnie.

Dziewczyna wyglądała jak niemowlę, opuszczone i bezbronne, śpiące pod szklanym kocem.

Nash stał za nim i lustrował wzrokiem drzewa na drugim brzegu.

– W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim urządzili tu wystawę światową. Po tamtej stronie zalewu był ogród japoński, zajmował cały ten obszar, gdzie teraz jest lasek. Ojciec przyprowadzał mnie tutaj jako dzieciaka. Mówił, że spieprzyło się dopiero w czasie drugiej wojny światowej. Czytałem gdzieś chyba, że udało się zebrać fundusze, żeby na wiosnę go przywrócić. Widzisz te oznakowane drzewa? Do wycięcia.

Porter podążył za wzrokiem partnera. Zalew rozgałęział się na dwie części, wschodnią i zachodnią, opływające niewielką wysepkę. Wiele z porastających ją drzew obwiązano różowymi wstążkami. Na drugim brzegu stało kilka ławek pokrytych cienką warstewką szronu.

– Jak myślisz, kiedy ten zbiornik zamarza?

Nash zastanowił się chwilę.

– Pod koniec grudnia, może na początku stycznia. A czemu?

– Jeśli to Ella Reynolds, to jak dostała się pod lód? Zniknęła trzy tygodnie temu. Zalew powinien być już wtedy całkowicie zamarznięty.

Nash znalazł w telefonie zdjęcie Elli Reynolds i pokazał Porterowi.

– Wygląda jak ona, ale może to tylko zbieg okoliczności, jakaś inna dziewczyna, która się utopiła, kiedy powierzchnia nie była jeszcze skuta lodem.

– Może, ale jest do niej bardzo podobna.

Pojawiła się przy nich Clair. Pochuchała w dłonie i roztarła je mocno.

– Rozmawiałam z Sophie Rodriguez z wydziału zaginionych dzieci. Wysłałam jej zdjęcie i upiera się, że to Ella Reynolds, ale ubranie się nie zgadza. Kiedy Ella zniknęła, miała na sobie czarną kurtkę. Troje świadków zeznało, że widziało ją w autobusie w czarnej kurtce. Zadzwoiła nawet do matki

dziewczyny, ale kobieta twierdzi, że jej córka nie ma czerwonej kurtki ani białej czapki i rękawiczek.

– Czyli albo to zupełnie inna dziewczyna, albo ktoś ją przebrał – stwierdził Porter. – Jesteśmy ponad dwadzieścia kilometrów od miejsca, w którym Ella zniknęła.

Clair przygryzła wargę.

– Będzie potrzebna identyfikacja zwłok.

– Kto ją znalazł?

Clair wskazała na radiowóz stojący na obrzeżach odgradzonego terenu.

– Jakiś chłopak z ojcem, dzieciak ma dwanaście lat. – Zerknęła na notatki w telefonie. – Scott Watts. Przyszli sprawdzić, czy lód na zalewie jest wystarczająco mocny, żeby potrenować jazdę na łyżwach. Ojciec ma na imię Brian. Podobno chłopak odgarnął śnieg i zauważył kawałek ręki. Facet kazał synowi się cofnąć, odśnieżył trochę większy kawałek, przekonał się, że to osoba, i zadzwonił pod numer alarmowy. To było jakąś godzinę temu, zgłoszenie przyjęto o dziewiętnastej dwadzieścia dziewięć. Upchnęłam ich w radiowozie, w razie gdybyście chcieli z nimi porozmawiać.

Porter poskrobał lód paznokciem palca wskazującego i rozejrzał się dookoła. Po lewej stało dwoje techników kryminalistycznych i podejrzliwie przyglądało się ich trójce.

– Kto odgarnął ten śnieg? – zapytał.

Młodsza z tej dwójki, na oko trzydziestoletnia blondynka z krótkimi włosami, w okularach i grubej różowej kurtce, podniosła rękę.

– Ja, proszę pana.

Jej kolega przestąpił niepewnie z nogi na nogę. Wyglądał na starszego od niej o jakieś pięć lat.

– Ja nadzorowałem. A o co chodzi?

– Nash? Możesz mi to podać? – Porter wskazał na pędzel z długim, białym włosiem, który wystawał z jednego z przyborników kryminalistycznych.

Gestem dłoni poprosił techników, żeby podeszli bliżej.

– Spokojnie, zwykle nie gryzę.

W listopadzie Porter wrócił przed czasem ze zwolnienia, na które wysłano go po tym, jak jego żona zginęła podczas napadu na miejscowy sklep spożywczy. Chciał pracować, głównie po to, żeby mieć jakieś zajęcie, nie myśleć o tym, co się stało.

Zdecydowanie najgorsze były dni bezpośrednio po jej śmierci, kiedy zamknął się sam w mieszkaniu. Wszystko przypominało mu o żonie.

Jej twarz patrzyła na niego z fotografii ustawionych na niemal każdej półce. W powietrzu unosił się jej zapach – przez pierwszy tydzień nie mógł zasnąć, jeśli nie rozłożył na łóżku jej ubrań. Siedział w domu i obsesyjnie myślał o tym, co zrobiłby facetowi, który ją zabił. Nie chciał, żeby takie myśli wypełniały mu głowę.

W końcu z mieszkania wyciągnął go Zabójca Czwartej Małpy, zwany 4MK.

To również 4MK dokonał zemsty na człowieku, który zamordował żonę Portera. I to z jego powodu ludzie zachowywali się dziwnie w jego towarzystwie, tak jak ta dwójka techników. Nie tyle z lękiem, ile z nabożnym podziwem.

To przez niego 4MK pod maską technika kryminalistycznego zdołał przeniknąć w szeregi zespołu prowadzącego śledztwo. To jego Zabójca Czwartej Małpy dźgnął nożem w jego własnym mieszkaniu. To on był tym gliniarzem, który złapał seryjnego mordercę i pozwolił mu się wymknąć.

Cztery miesiące później wszyscy nadal o tym rozmawiali, tyle że nie przy nim.

Technicy podeszli bliżej.

Kobieta kucnęła obok niego.

Za pomocą pędzla Porter odgarnął śnieg z obszaru przylegającego do linii brzegowej oraz wokół oczyszczonego wcześniej terenu. Kiedy powiększył już krąg o kolejne pół metra, odłożył pędzel i zaczął przeciągać dłonią po lodzie, zaczynając od środka i powoli przesuwając się ku brzegom. Zatrzymał się około dziesięciu centymetrów od granicy śniegu.

– Tutaj. Proszę dotknąć.

Młodsza techniczka zdjęła rękawiczkę i z wahaniem wykonała polecenie, opuszkami palców muskając lodową tafłę.

Zatrzymała się parę centymetrów od jego dłoni.

– Czuje pani?

Skinęła głową.

– Delikatne wgłębienie. Płytkie, ale wyczuwalne.

– Proszę obwieść szczelinę dookoła i zaznaczyć. – Podał jej gruby flamaster.

Minutę zajęło jej narysowanie równego kwadratu dokładnie nad ciałem. Po bokach przylegały do niego dwa mniejsze kwadraty, każdy o krawędzi około dziesięciu centymetrów.

– No to chyba mamy odpowiedź – stwierdził Porter.

Nash zmarszczył czoło.

– O co chodzi?

Porter wstał i pomógł się podnieść techniczce.

– Jak się pani nazywa?

– Lindsay Rolfes.

– Rolfes, proszę wytłumaczyć, o co chodzi.

Zastanowiła się chwilę, zerkając to na Portera, to na lód. Nagle do niej dotarło.

– Zalew był zamrznięty, więc ktoś wyciął dziurę w lodzie, prawdopodobnie przy użyciu bezprzewodowej piły łańcuchowej, a potem wrzucił ofiarę do wody. Gdyby wpadła, zobaczylibyśmy poszarpane krawędzie, a nie idealny kwadrat. Ale to nie ma sensu...

– Co?

Zmarszczyła brwi, sięgnęła do przybornika, wyjęła wiertarkę bezprzewodową, przymocowała calową końcówkę i wywierciła dwa otwory, jeden poza obszarem wytyczonym przez jej linię, drugi blisko ciała. Linijką zmierzyła odległość do wody w obu miejscach.

– Nie rozumiem... Ofiara jest pod linią zamarzania.

– Nie nadążam – powiedziała Clair.

– Uzupełnił wodę – stwierdził Porter.

Rolfes pokiwała głową.

– No tak, ale po co? Mógł po prostu wyciąć przerębel, wepchnąć ciało pod lód i zostawić dziurę, żeby naturalnie zamarzła. Byłoby znacznie szybciej i łatwiej. Dziewczyna by zniknęła, może nawet na zawsze.

Clair westchnęła.

– Moglibyście wytłumaczyć bardziej po ludzku? Nie wszyscy tu jesteśmy ekspertami od przerębli.

Porter gestem poprosił o linijkę. Rolfes podała mu ją.

– Lód ma grubość co najmniej dziesięciu centymetrów. Widać tu linię wody. – Wskazał na podziałkę linijki. – Gdybyś wycięła stąd kwadratowy blok lodu, zostałyby występ o wysokości dziesięciu centymetrów, od powierzchni lodu do wody. Powiedzmy, że potem wrzucasz ciało do przerębła, dziewczyna tonie, a ty chcesz ukryć dziurę. Musiałabyś poczekać, aż zrobi się nad nią przynajmniej cienka warstwa lodu, a potem zalać dziurę wodą, wypełnić aż do górnej krawędzi lodu, żeby wyrównać.

– Woda zamarzałaby tutaj przynajmniej dwie godziny – oznajmiła Rolfes. – Może trochę krócej, ostatnio były bardzo niskie temperatury.

Porter przytaknął.

– Dolewał wody tak długo, aż świeży lód osiągnął grubość starego. Nasz sprawca jest cierpliwy. To musiało być bardzo czasochłonne. – Zwrócił się do starszego technika: – Ten lód będzie nam potrzebny. Wszystko, co nad nią, i dodatkowo po kilka centymetrów poza tym obszarem. Jest spora szansa, że jakieś ślady dostały się do wody, zanim zamarzła. Podejrzany długo się tu kręcił.

Technik przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby zamierzał protestować, ale potem niechętnie pokiwał głową. Wiedział, że Porter ma rację.

Wzrok Portera powędrował ku kępie drzew na drugim brzegu.

– Ale nie rozumiem, dlaczego ten ktoś nie zostawił jej po prostu tam. Wyciąganie ciała na otwartą przestrzeń, wycinanie przerębła, napełnianie wodą,

czekanie, aż zamrznie... To spore ryzyko. Sprawca mógł ją przecież przenieść przez mostek i rzucić gdziekolwiek w tych chaszczach, nikt by jej nie znalazł przynajmniej do wiosny, kiedy mają się zacząć roboty. A on poświęcił długie godziny na to, żeby upozować ją w zbiorniku wodnym w pobliżu obszaru, gdzie panuje duży ruch. Zaryzykował, że ktoś go złapie. Po co? Chciał stworzyć iluzję, że ofiara była tu znacznie dłużej niż w rzeczywistości? Musiał się spodziewać, że się domyślimy.

– Zwłoki nie pływają – zauważył Nash. – Przynajmniej przez pierwsze kilka dni. Popatrzcie na nią. Ciało jest w idealnym stanie. Ciągle nie rozumiem, jakim cudem unosi się na wodzie.

Porter przeciągnął palcem po krawędzi kwadratu i zatrzymał się przy jednym z dwóch mniejszych kwadratów po bokach. Zbliżył twarz do tafli lodu i przyjrzał się ofierze z boku.

– A niech mnie.

– Co? – Rolfes też się pochyliła.

Porter przesunął dłoń po lodzie nad ramionami dziewczyny. Kiedy znalazł to, czego szukał, ułożył w tym miejscu dłoń Rolfes. Patrzyła na niego, coraz bardziej wytrzeszczając oczy, w miarę jak jej palce badały powierzchnię lodu. Sięgnęła do kwadratu po drugiej stronie.

– Nie pozwolił jej utonąć. Położył coś na dziurze, prawdopodobnie deskę o szerokości mniej więcej dziesięciu centymetrów, sądząc po tych śladach, po czym obwiązał ciało na wysokości ramion sznurkiem albo cienką linką i przymocował do deski na czas zamarzania dolanej wody. Po wszystkim odciął linkę. Ciągle da się wyczuć lekkie zgrubienia w lodzie. Został tylko taki kawałek linki, żeby utrzymywać ją blisko powierzchni. Jeśli spojrzeć pod odpowiednim kątem, to widać pod lodem sznurek.

– Chciał, żeby ją znaleziono? – spytała Clair.

– Chciał zrobić wrażenie, na wypadek gdyby ją znaleziono – odparł Porter. – Zadał sobie wiele trudu, żeby zaaranżować wszystko tak, jakby ofiara zamarzała

w zalewie całe miesiące temu, mimo że jest tu zapewne od kilku dni, może nawet krócej. Musimy ustalić, dlaczego tak mu na tym zależało.

– Facet się z nami bawi – stwierdziła Rolfes. – Nakombinował się ze sceną zbrodni, żeby pasowała do jakiejś narracji.

Instynkt samozachowawczy i strach to dwa z najsilniejszych ludzkich instynktów. Porter nie był pewny, czy chce poznać człowieka pozbawionego obu z nich.

– Wyjmijcie ją – zarządził w końcu.

2

PORTER

Dzień pierwszy, 23.24

– Mam wejść na górę?

Zaparkowali przed domem Portera przy Wabash. Nash trącał delikatnie pedał gazu, żeby silnik Connie nie zgasł. Noc zrobiła się przejmująco mroźna.

Porter pokręcił głową.

– Jedź do domu i się wyśpij. Od rana bierzemy się ostro do roboty.

Technicy kryminalistyczni piłami łańcuchowymi wycięli lód znad dziewczyny w formie jednego kwadratowego bloku, po czym ostrożnie podzielili go na mniejsze kawałki, załadowali do wiader i przewieźli do laboratorium do analizy. Ciało dziewczyny trafiło do kostnicy, gdzie miało czekać na identyfikację. Porter zadzwonił do Toma Eisleya, który zgodził się przyjść wcześniej do pracy i poinformować go, gdy tylko uda się zidentyfikować zwłoki. Kiedy Porter i Nash opuszczali park, patrol mundurowych nadal przeszukiwał okolicę, ale nic nie udało im się znaleźć. Clair zgodziła się zostać dłużej i przejrzeć materiał wideo z jedynej kamery umieszczonej przy wejściu do parku. Nie była pewna, czego właściwie szuka, a Porter nie potrafił powiedzieć jej nic konkretnego – tylko żeby wypatrywała czegokolwiek odbiegającego od normy w okresie ostatnich trzech tygodni, zwłaszcza po godzinach otwarcia. Park zamykano o zmroku, potem – nie licząc kilku latarni w najbardziej uczęszczanych miejscach – teren pogrążał się w ciemności. Nad zalewem nie

było żadnego oświetlenia. Każdy, kto pojawiłby się tam po zmierzchu, na pewno by się wyróżniał.

– A co do tej sprawy wcześniej, kiedy jechaliśmy do parku... – zaczął Porter.
Nash wszedł mu w słowo.

– Nie ma sprawy, nie musisz się tłumaczyć.

Porter machnął ręką.

– Nie śpiam za dobrze. Mam tak od śmierci Heather. Kiedy wchodzę do mieszkania, wydaje mi się takie puste. Wydaje mi się, że ona lada chwila wyjdzie z sąsiedniego pokoju albo stanie w drzwiach wejściowych z siatkami pełnymi zakupów, ale tak się nie dzieje. Nie chcę zerkać na jej połowę łóżka i widzieć, że jest pusta. Nie chcę patrzeć na jej szczoteczkę do zębów w łazience, ale nie jestem w stanie jej wyrzucić. To samo z ubraniami. Jakiś tydzień temu prawie zapakowałem wszystko, żeby oddać biednym. Włożyłem już nawet pierwszą bluzkę do pudła, ale nie dałem rady. Kiedy zacząłem grzebać w tych ubraniach, powietrze wypełniło się jej zapachem i poczułem się tak, jakby wróciła, choćby na krótką chwilę. Wiem, że powinienem zamknąć ten rozdział, ale nie jestem pewny, czy potrafię. Przynajmniej na razie.

Nash nachylił się ku przyjacielowi i ścisnął go krzepiąco za ramię.

– Dasz radę. To kwestia czasu. Nikt cię nie pogania. Pamiętaj tylko, że możesz na nas liczyć. Jesteśmy przy tobie, gdybyś czegokolwiek potrzebował. –

Nash gmerał nerwowo przy kierownicy, skubał kawałek sztucznej skóry. –
Może dobrze by ci zrobiła przewodniczka. Znalazłbyś sobie nowe miejsce, mógłbyś zacząć od początku.

Porter pokręcił głową.

– Nie mogę. Razem znaleźliśmy to mieszkanie. To mój dom.

– To może jakieś wakacje? – zasugerował Nash. – Masz masę zaległego urlopu.

– No, może. – Porter zapatrzył się na fasadę budynku.

Nie przeprowadzi się. Nie w najbliższej przyszłości.

Drzwi chevroleta zaskrzypiały, kiedy pociągnął za klamkę i wysiadł.

– Jasny gwint, ale zimno.

– Pora wyjąć kalesony z szafy i whisky z barku.

Porter postukał w dach samochodu.

– Gdybyś poświęcił na to trochę czasu, mógłbyś z niej zrobić niezłą brykę.

Nash się uśmiechnął.

– Widzimy się w pokoju narad o siódmej?

– Tak, o siódmej będzie w sam raz.

I odjechał.

Porter poczekał, aż samochód zniknie w głębi ulicy, po czym wszedł do niewielkiego holu budynku, ostrożnie omijając zamarznięte psie odchody na schodach. Minął skrzynki na listy i zaczął się wspinać na swoje piętro. Nie jeździł już windami, przynajmniej jeśli miał wybór.

Kiedy przekroczył próg mieszkania, zaatakowała go mieszanka woni kilkunastu posiłków na wynos. Główna winowajczyni, sterta kartonów po pizzy na stole kuchennym, wypełniała powietrze odorem starego sera i nieświeżego pepperoni.

Porter powiesił płaszcz na oparciu krzesła, wszedł do sypialni i zapalił światło.

Łóżko zostało odsunięte w daleki kąt pokoju, podobnie jak dwa stoliki nocne.

Ścianę, pod którą wcześniej stało, pokrywały setki zdjęć, notatek, kolorowych karteczek i wycinków prasowych. Niektóre były połączone sznurkiem. Kiedy skończył mu się sznurek, zaczął malować linie czarnym markerem.

To wszystkie informacje, jakie zgromadził na temat 4MK vel Ansona Bishopa vel Paula Watsona – jednej osoby w trzech wcieleniach. Znał szczegóły jego dawnych zbrodni, ale najbardziej zależało mu na ustaleniu, dokąd Bishop mógł uciec.

Na podłodze w kącie pokoju leżał laptop, ekran świecił się jasno. Porter podniósł go i przestudiował wyświetlone informacje. Ustawił sobie alerty Google (okazało się to zadziwiająco proste nawet dla osoby pozbawionej choćby podstawowych umiejętności komputerowych), żeby śledziły każdą wzmiankę

i każdy artykuł w internecie dotyczący Bishopa, Watsona lub 4MK i przesyłały mu wyniki na prywatną skrzynkę mejlową. Czasem trwało to godzinami, ale zawsze przeglądał każdą wiadomość i zaznaczał wspomniane lokalizacje na dużej mapie świata wiszącej na ścianie w samym środku całego zbioru danych. Były wśród nich także inne mapy. Dziesiątki szczegółowych planów wszystkich największych miast.

Dane z czterech miesięcy.

Mapy były ponakłuwane pinezkami – czerwonymi oznaczał miejsca, w których go zauważono, niebieskimi adresy autorów doniesień prasowych, a żółtymi domy osób zaginionych lub zamordowanych metodą podobną do tej opracowanej przez 4MK. Naśladowców nie brakowało. Większość pinezek skupiała się w Chicago, ale pojedyncze pojawiały się nawet w Moskwie i Brazylii.

Porter wziął do ręki żółtą pinezkę i poszukał zalewu w Jackson Park na planie Chicago.

– Ella Reynolds, zaginiona dwudziestego drugiego stycznia dwa tysiące piętnastego roku, prawdopodobnie odnaleziona dwunastego lutego dwa tysiące piętnastego – mruknął pod nosem. Nie miał powodów sądzić, że 4MK miał z tym coś wspólnego, ale zostawi pinezkę w tym miejscu, dopóki nie zdobędzie pewności.

Powieki miał ciężkie z niewyspania.

Męczył go okrutny ból głowy.

Usiadł na podłodze i zaczął przeglądać alerty Google z całego dnia, w sumie pięćdziesiąt dziewięć.

Kiedy dwie godziny później zadzwonił telefon, w pierwszej chwili zamierzał go zignorować, ale zmienił zdanie. Nikt nie dzwonił o wpół do drugiej nad ranem bez ważnego powodu.

– Porter – odebrał.

Dlaczego w środku nocy jego głos zawsze zdawał się głośniejszy?

Z początku odpowiedziała mu cisza. Ale potem:

– Panie detektywie, tu Sophie Rodriguez ze stowarzyszenia Zaginione Dzieci.
Dostałam pana numer od Clair Norton.

– Czym mogę służyć?

Kolejna chwila ciszy.

– Mamy następną zaginioną dziewczynę. Muszą panowie tutaj przyjechać.

3

PORTER

Dzień drugi, 2.21

„Tutaj”, czyli do budynku z szarego kamienia przy King Drive w dzielnicy Bronzeville.

Rodriguez nie podała żadnych szczegółów przez telefon, powiedziała tylko, że sprawa ma jakiś związek z ciałem dziewczyny znalezionej wcześniej w parku i że powinien tam się zjawić.

Porter zaparkował chargeera na ulicy, za chevroletem Nasha, przedarł się przez zasy na skraju jezdni i dotarł do budynku na rogu. Nie musiał pukać. Umundurowany policjant stojący przy drzwiach rozpoznał go i wpuścił do środka. W salonie po lewej stronie od wejścia siedział Nash z jakąś kobietą. „Pewnie to ta Rodriguez”, pomyślał Porter. Mężczyzna pod pięćdziesiątkę o szpakowatych włosach, wysportowany, w tweedowej marynarce i džinsach, stał obok Nasha. Inna kobieta, niewątpliwie jego żona, też siedziała na kanapie, ściskając w dłoni chusteczkę higieniczną.

Siedząca obok niej kobieta wstała, kiedy Porter wszedł do pokoju.

– Detektyw Porter? Sophie Rodriguez z Zaginionych Dzieci. Dziękuję za przyście. Wiem, że jest już późno.

Porter uściśnął jej dłoń i rozejrzał się po pomieszczeniu.

Większość tego typu budynków zbudowano na przełomie XIX i XX wieku. W tym wypadku ktoś dołożył starań, żeby przywrócić oryginalne instalacje

i wykończenia. Dywany też wyglądały na autentyczne, ale musiały być podróbkami, starannymi kopiami oryginalnych. Salon umeblowano antykami.

Mężczyzna, który wcześniej rozmawiał z Nashem, wyciągnął rękę do Portera.

– Doktor Randal Davies, to moja żona Grace. Bardzo dziękuję, że pofatygował się pan o tej porze.

Mężczyzna wskazał fotel obok kanapy. Porter odmówił.

– To był długi dzień. Lepiej postoję.

– W takim razie może kawy?

– Chętnie. Czarną poproszę.

Doktor Davies przeprosił na chwilę i zniknął w korytarzu.

Porter zerknął na Rodriguez, która wróciła na swoje miejsce na kanapie.

– Pani Davies zadzwoniła do nas po północy, bo jej córka nie wróciła do domu – powiedziała.

Grace Davies uniosła czerwone, zapuchnięte oczy.

– Lili pracuje w centrum, w galerii sztuki. W czwartki idzie tam prosto po szkole, a po zamknięciu, o jedenastej, zamawia Ubera do domu. Zawsze wraca najpóźniej o wpół do dwunastej. Jeśli z jakiegoś powodu ma się spóźnić, wysyła mi esemesa. Wie, że się o nią martwimy, więc zawsze pisze. Jest odpowiedzialną dziewczyną, to jej pierwsza praca, wie, że się martwimy... – Osuszyła oczy chusteczką. – Do jedenastej czterdzieści pięć się nie odezwała, więc zadzwoniłam, ale od razu włączyła się poczta. Potem zadzwoniłam do galerii, rozmawiałam z jej przełożoną, panią Edwins. Powiedziała, że Lili nie pojawiła się w pracy. Próbowaliśmy się z nią skontaktować, ale za każdym razem to samo: poczta głosowa. Ani jednego sygnału, od razu poczta. To znaczy, że telefon jest wyłączony, a to bardzo nie w jej stylu. Nigdy nie wyłącza komórki. Wie, że się o nią martwię. Potem zadzwoniłam do Gabby, jej najlepszej przyjaciółki...

– Jak Gabby ma na nazwisko? – wtrącił się Porter.

– Deegan. Gabrielle Deegan. Podałam już namiary pańskiej partnerce. – Mówiąc to, zerknęła na Rodriguez. Porter jej nie poprawił.

Pani Davies kontynuowała relację:

– Gabby powiedziała, że w ogóle jej dziś nie widziała. Nie przyszła do szkoły, nie odpisywała na wiadomości. To zupełnie nie w stylu Lili, proszę zrozumieć. To wzorowa uczennica, ma świetne stopnie. Nie opuściła ani jednego dnia szkoły od czwartej klasy, kiedy chorowała na ospę. – Pani Davies przez chwilę w milczeniu przyglądała się twarzy Portera. – To pan jest tym detektywem, który... Boże, sądzi pan, że to Zabójca Czwartej Małpy porwał naszą córkę? Dlatego pan tu przyjechał? – Szeroko otworzyła oczy i zalała się łzami.

– To nie on – zapewnił Porter, choć sam wcale nie był tego taki pewny. – Na tym etapie nie mamy powodów sądzić, że ktokolwiek porwał pani córkę.

– Nie zniknęłyby tak po prostu.

Porter spróbował zmienić temat.

– Do której szkoły chodzi?

– Wilcox Academy.

Doktor Davies wrócił z kubkiem parującej kawy, który wręczył Porterowi, po czym znowu stanął obok żony.

– Wiem, co pan sobie myśli, ale jak już powiedzieliśmy pańskim partnerom, Lili nie ma chłopaka. Nie zerwałaby się ze szkoły, a już na pewno nie opuściłaby zmiany w galerii, kocha tę pracę. Coś jest nie tak. Ma włączoną opcję znajdowania telefonu, ale z naszego konta nic nie widzimy. Dzwoniłem do Apple, powiedzieli, że telefon nie jest podłączony do sieci. Córka nie wyłączyłaby telefonu.

Nash odkaslnął.

– Czy mogłaby pani powtórzyć detektywowi Porterowi, w co Lili była dziś ubrana, kiedy widziano ją ostatni raz?

Pani Davies skinęła głową.

– Miała na sobie swoją ulubioną czerwoną parkę, białą czapkę, rękawiczki do kompletu i ciemne dzinsy. Zimą Lili wolała przebierać się w mundurek dopiero w szkole. Dziś rano przed wyjściem zajrzała do kuchni i się ze mną pożegnała. To jej ukochana kurtka. Kupiła ją w Barneys za pierwszą wypłatę. Była z niej bardzo dumna.

Rodriguez zacisnęła usta.

Porter nic nie powiedział.

4

PORTER

Dzień drugi, 3.02

– Jak to w ogóle możliwe?

– Możemy im pokazać zdjęcie kurtki, żeby się upewnić – zaproponował Nash.

Porter pokręcił głową.

– Nie możemy im pokazać zdjęcia martwej dziewczyny.

Stali w trójkę przed domem Daviesów, a między nimi w mroźnym powietrzu unosiły się kłęby pary wydobywającej się z ich ust.

– Nie ma mowy, żeby ktoś zdążył uprowadzić Lili Davies, ubrać w jej ciuchy Ellę Reynolds i pogrzebać ją pod lodem na zalewie. Niemożliwe. Zbyt mało czasu. – Porter przestąpił z nogi na nogę. Temperatura musiała spaść grubo poniżej zera. – Musiałby to zrobić w ciągu dnia, w godzinach otwarcia parku. Ktoś na pewno by go zauważył.

Nash zastanowił się chwilę.

– Przy tej pogodzie w parku są pustki. Jedyne ryzyko to gdyby ktoś zobaczył sprawcę, jak przenosił ciało z samochodu nad wodę. O ile nikt nie podszedł zbyt blisko, o tyle właściwie nic nie powinno zwrócić niczyjej uwagi. Wyglądał pewnie jak zwykły facet, może wędkarz czy coś. Jeśli rozstawił wędkę, to założę się, że mógłby tam przesiedzieć cały dzień i nikt nawet nie zwróciłby na niego uwagi.

– Abstrahując od kwestii logistycznych – powiedziała Rodriguez – to po co to wszystko?

Porter i Nash wymienili spojrzenia. Obaj dobrze wiedzieli, że seryjni zabójcy rzadko działali w określonym celu, a przynajmniej takim, który miałby sens dla kogokolwiek poza nimi. Choć na razie mieli tylko jedną ofiarę, to jeśli okaże się powiązana z drugą zaginioną, mogą mieć do czynienia z seryjnym.

– Czy Ella Reynolds i Lili Davies się znały? – Porter zapytał Rodriguez.

Ta pokręciła głową.

– Rodzice Lili tylko kojarzyli jej nazwisko z telewizji.

– Powinniśmy pogadać z Gabby, przyjaciółką Lili – zauważył Porter. – O której dziewczyna wyszła do szkoły?

Rodriguez zerknęła do notatek.

– Kwadrans po siódmej.

Nash zamknął oczy i dokonał obliczeń.

– To nam daje tylko dwanaście godzin od chwili zniknięcia Lili do momentu, kiedy Ellę znaleziono w zamarzniętym zalewie.

– Ale z ciebie matematyk – rzucił Porter z przekąsem.

– Jeśli to tylko jeden facet, to jest szybki. Sprawny – stwierdził Nash.

Porter zwrócił się ponownie do Rodriguez.

– Sophie, tak?

Skinęła głową.

– Wróć do środka i przeszukaj pokój dziewczyny. Zwracaj uwagę na wszystko, co wygląda nietypowo. Zdobądź komputer, sprawdź mejle, zapisane pliki. Poszukaj pamiętnika, zdjęć... Jeśli cokolwiek znajdziesz, dzwoń do mnie. Dopytaj o jej drogę do szkoły. Chodzi pieszo czy jeździ? Sama czy ze znajomymi? Jasne?

Rodriguez przygryzła wargę.

– Co z Lili?

Porter nie był jeszcze gotowy na to pytanie. Odwrócił się do Nasha.

– Chodź, obudzimy Eisleya.

5

PORTER

Dzień drugi, 4.18

Kostnica i biuro koronera hrabstwa Cook znajdowały się w centrum Chicago, przy West Harrison. O tej porze prawie nie było ruchu, a kiedy Porter i Nash dotarli na miejsce, okazało się, że parking przed budynkiem jest niemal pusty. Strażnik z recepcji spojrział na nich sennym wzrokiem i skinął głową na powitanie.

– Proszę się wpisać.

Porter nabazgrał „Burt Reynolds” i podał podkładkę Nashowi, który napisał „Dolly Parton”, oddał listę i poszedł za nim do wind na końcu holu. Porter co prawda nie przepadał za windami, ale wolał już to od wspinaczki po schodach na wysokie piętra.

Kiedy przyjechała winda (druga od lewej), szybko wszedł za Nashem do środka, żeby nie zmienić zdania.

Porter nacisnął guzik z trójką.

– Dolly była swego czasu niezła.

– Nadal jest – odparł Nash. – GILF ¹ pełną gębą.

– GILF?

– Wytlumaczę ci, jak dorośniesz.

Drzwi windy otworzyły się na pusty korytarz.

Nash rzucił okiem na automat ze słodyczami, ale darował sobie i ruszył ku podwójnym drzwiom na końcu korytarza.

Tom Easley siedział przy biurku. Kiedy weszli do gabinetu, podniósł na chwilę wzrok, ale zaraz wrócił do lektury.

Porter spodziewał się jakiejś uwagi na temat wczesnej pory, jednak lekarz zapytał:

– Widzieliście kiedyś ocean?

Porter i Nash wymienili spojrzenia.

Easley zamknął książkę i wstał zza biurka.

– Nieważne. Chyba nie jestem jeszcze gotów o tym rozmawiać.

– Rozumiem, że pracujesz nad naszą dziewczyną? – zapytał Porter.

Easley westchnął ciężko.

– Próbuję. Od kiedy ją tu przywieźli, staramy się podgrzać ciało. Widzicie, nie była całkowicie zamarznęta, ale sporo poniżej normalnej temperatury. W związku z tym trudno będzie określić czas zgonu.

– Znacie już przyczynę śmierci?

Easley otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

– Na razie nie. Będę potrzebował jeszcze kilku godzin. Oczywiście możecie tu zostać, jeśli chcecie.

Nie czekając na odpowiedź, zniknął za drzwiami sali sekcyjnej.

Nash skinął na Portera.

– Wygląda na to, że trochę to potrwa.

Porter opadł na żółte winylowe krzesło obok drzwi, przez które wyszedł Easley, a powieki miał coraz cięższe z niewyspania.

6

PORTER

Dzień drugi, 7.26

– Panowie?

Porter otworzył oczy, mrugając intensywnie, i dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że znajduje się w gabinecie Eisleya w kostnicy. Przez sen zsunął się na winylowym krześle, strzykało mu w karku od spania w dziwnej pozycji. Nash póležał za biurkiem Eisleya z głową opartą na stercie papierów.

Eisley wziął do ręki jakiś podręcznik medyczny, podniósł go na metr nad biurko i upuścił. Książka upadła z głośnym hukiem i Nash wyprostował się gwałtownie na krześle, ślina ciekła mu po podbródku.

– Co do...

– Kwiat naszej policji w akcji – rzucił Eisley z przekąsem. – Chodźcie.

Porter zerknął na zegar ścienny – prawie wpół do ósmej. Przyjechali tu nieco ponad trzy godziny temu.

– Szlag, nie sądziłem, że usnę – wymamrotał. Wyjął z kieszeni komórkę: trzy nieodebrane połączenia od Clair, żadnych wiadomości na poczcie głosowej.

Eisley zaprowadził ich przez podwójne drzwi na tyłach gabinetu do dużej sali sekcyjnej. Porter i Nash wzięli rękawiczki z pudełka umieszczonego na ścianie przy drzwiach.

Wszystkie odgłosy niosły się tutaj echem.

Ta myśl zawsze przychodziła Porterowi do głowy tuż po przekroczeniu progu tej sali. Wszystko brzmiało inaczej z powodu beżowych kafelków na podłodze i ścianach. Druga cecha pomieszczenia sekcyjnego, która zawsze zwracała jego uwagę, to temperatura – nie wiedział, ile dokładnie jest tu stopni, ale odnosiło się wrażenie, że o kilkanaście mniej niż w gabinecie. Na karku czuł gęsią skórę, przeszedł go dreszcz. Trzecią rzeczą, do której nie potrafił się przyzwyczaić, był zapach. Nie pachniało tu źle, przynajmniej dzisiaj, ale bardzo mocno. Ciężka woń przemysłowych środków czyszczących miała zamaskować smród czegoś innego, o czym Porter wolał nie myśleć.

Jarzeniówki świeciły jasno pod sufitem, odbijały się w szafkach ze stali nierdzewnej. Duża, okrągła lampa chirurgiczna górowała nad stojącym na środku stołem sekcyjnym, na którym spoczywało ciało wyłowione z zalewu.

Eisley musiał zamknąć dziewczynie oczy.

„Śpiąca królewna”.

Z boku leżał koc elektryczny i stały cztery duże lampy.

Eisley zauważył, że Porter na nie patrzy.

– Poszczeniło nam się. Nie spędziła w zalewie dużo czasu, a ciało znajdowało się pod linią zamarzania. Gdyby całkowicie zamarzała, trzeba by parę dni poczekać z sekcją. W tym wypadku wystarczyło kilka godzin, żeby odpowiednio podnieść temperaturę ciała.

– Jeszcze jej nawet nie rozcięliście – zauważył Nash. – Wygląda na to, że wcale nie zaczęliście działać.

– Zdziwiłbyś się, jak wiele mogą powiedzieć zwłoki, jeśli wiadomo, gdzie szukać – odparł Eisley. – Będę mógł ją otworzyć dopiero jutro, ciągle jest zimna. Jeśli zbyt szybko ją ogrzejemy, ryzykujemy krystalizację i uszkodzenie komórek. Ale to wcale nie znaczy, że w międzyczasie dziewczyna nic nam nie może powiedzieć. W przeciwieństwie do was ciężko pracowałem. – Przeciągnął dłoń przez włosy dziewczyny. – Mówiła do mnie, a ja jej słuchałem.

– Przestań, zaczynam się ciebie bać – powiedział Porter.

Eisley uśmiechnął się i cofnął o krok od stołu.

– Chcecie się dowiedzieć, co ustaliłem?

– Byłoby bardzo miło z twojej strony.

Podszedł do jednego z boków stołu i podniósł rękę ofiary.

– Zimna woda świetnie ją zakonserwowała. Z większością wyłowionych ciał mamy problem, trudno zdjąć odciski. Skóra puchnie, musimy przywrócić ją do normalnego stanu przed zdjęciem odcisków. Tak jak kiedy marszczą wam się palce w kąpieli, tyle że w wersji ekstremalnej.

– Ja tam raczej wolę prysznic – stwierdził Porter.

Eisley zignorował jego uwagę.

– W lodowatej wodzie odciski palców zachowały się nietknięte, utrzymałyby się tak pewnie aż do wiosennych roztopów. – Opuścił dłoń dziewczyny z powrotem na stół, ułożył ją delikatnie u jej boku. – Dostałem wyniki jakieś dwie godziny temu. Potwierdzają, że to Ella Reynolds, dziewczyna, która zaginęła przed trzema tygodniami.

Porter westchnął. Spodziewał się tego, ale wypowiedziane na głos słowa brzmiały jakoś przygnębiająco.

– A co z czasem i przyczyną śmierci?

– Jak już mówiłem, z powodu lodowatej wody określenie czasu zgonu może być problematyczne. Na razie mogę stwierdzić, że najwyżej czterdzieści osiem godzin temu, ale nie mniej niż dwadzieścia cztery. Mam nadzieję zawęzić to okienko, kiedy już rzucę okiem na jej wątrobę i inne narządy – wyjaśnił. – Pomożecie mi ją przekręcić?

Porter i Nash wymienili spojrzenia. Nash cofnął się lekko. Jak na detektywa z wydziału zabójstw miał dziwną awersję do zwłok.

Porter złapał dziewczynę za nogi, Eisley wziął ją pod pachy i razem przewrócili ją na brzuch.

Eisley przeciągnął palcem po długiej, ciemnej linii biegnącej w poprzek jej pleców.

– To od liny, za pomocą której utrzymywał ją pod powierzchnią wody. Odbarwienie skóry wskazuje na to, że zawiesił ją po śmierci. Oczywiście

wkrótce po śmierci, w przeciwnym razie ślad nie byłby tak widoczny, zwłaszcza biorąc pod uwagę tę grubą kurtkę, którą miała na sobie. – Skinął głową w stronę kupki schludnie poskładanych ubrań na stalowym blacie.

Nash podszedł, podniósł czerwoną parkę i zaczął przeszukiwać kieszenie.

– Zauważyłeś jakiegokolwiek informacje identyfikacyjne na ubraniach?

– To nie są jej ubrania, prawda? – Easley raczej stwierdził fakt, niż zadał pytanie.

Porter zwrócił się do niego.

– To twój wniosek z badania?

– Mam takie podejrzenia, ale nie jestem pewny, czy nazwałbym je aż wnioskiem. Wszystko zdawało się na nią trochę za małe. W normalnych okolicznościach uznałbym to za rezultat spuchnięcia ciała w wodzie, ale ponieważ w tym wypadku prawie go nie było, wydało mi się to dziwne. Zwłaszcza bielizna i dżinsy były przyciasne, co najmniej o rozmiar czy dwa. Wbiła się w nie, ale są obcisłe, wręcz niewygodne. Spójrzcie na czapkę – powiedział – wskazując na blat. – Na metce są jakieś litery, najprawdopodobniej inicjały.

Nash odłożył kurtkę, podniósł białą czapkę i wyrzucił ją na lewą stronę.

– L.D. Trochę wyblakłe, ale nie ma wątpliwości, co jest tu napisane.

– Lili Davies – stwierdził Porter.

– Prawdopodobnie tak.

– A kto to? – zapytał Easley.

– Inna nastolatka, dzisiaj zaginęła – wyjaśnił Porter.

– Czyli zabójca tej dziewczyny przebrał ją w ciuchy tamtej drugiej?

– Na to wygląda.

– Hmm.

– A przyczyna zgonu? Nie widzę nic na ciele. Żadnych ran ani śladów duszenia.

Easley się ożywił.

– Aaa, tak. Zdziwicie się.

– Jak umarła?

– Utopiła się.

Nash zmarszczył czoło.

– A co w tym dziwnego? Znaleźliśmy ją w zalewie.

Porter uniósł dłoń.

– Mówiłeś, że ślady na plecach powstały po śmierci. Twierdzisz, że jeszcze żyła, kiedy włożył ją pod lód?

– Nie, nie, wtedy już była martwa. Mam na myśli, że utonęła, a potem wrzucił ją do zalewu. – Podszedł do mikroskopu ustawionego na podwyższeniu po jego lewej stronie. – Popatrzcie – powiedział, wskazując na urządzenie.

Porter podszedł i zajrzał w okular.

– Co mam tu zobaczyć?

– Kiedy ją przywieźli, udało mi się wprowadzić rurkę do płuc i wyciągnąć wodę, tę, którą tu widzisz.

Porter zmarszczył brwi.

– Co to za małe ziarenka w niej pływają?

Kącik ust Eisleya wygiął się w górę.

– To, przyjacielu, jest sól.

– Utonęła w słonej wodzie?

– Właśnie.

Na twarzy Nasha konsternacja walczyła z brakiem zrozumienia.

– Jesteśmy w Chicago... Do najbliższego oceanu mamy ile, z półtora tysiąca kilometrów?

– Najbliżej byłoby nad Atlantyk – odparł Eisley. – Baltimore w Marylandzie. Jakież tysiąc sto kilometrów.

Zadzwoiła komórka Portera. Zanim odebrał, zerknął na wyświetlacz.

– Cześć, Clair.

– Wróciłeś z wywczasów? Dzwoniłam do ciebie z dziesięć razy.

– Trzy razy.

– Aha, czyli twój telefon jednak działa – powiedziała. – Nigdy nie ignoruj kobiety, Sam. To się nie może dobrze skończyć.

Porter przewrócił oczami i powoli przeszedł na drugą stronę sali.

– Jesteśmy u Eisleya w kostnicy. Potwierdził tożsamość dziewczyny z zalewu, to Ella Reynolds. Wygląda też na to, że miała na sobie ubrania Lili Davies.

– Jakiej znowu Lili Davies?

Wydawało mu się, że już jej powiedział o drugiej zaginionej dziewczynie, ale teraz uświadomił sobie, że wcale tego nie zrobił. Nie rozmawiali od czasu wizyty w parku. Potrzebował snu. Umysł zasnuwała mu jakby gęsta mgła.

– Spotkajmy się w pokoju narad, będziemy tam z Nashem za pół godziny. Musimy wymienić informacje.

– Jasne – zgodziła się Clair. – A nie spytasz mnie, dlaczego do ciebie wydzwaniałam?

Porter zamknął oczy i przeczesał włosy palcami.

– Dlaczego do mnie wydzwaniałaś, Clair?

– Znalazłam coś na nagraniach z parku.

– Za pół godziny w pokoju narad. Wszystko omówimy. Weź Kloza.

7

LILI

Dzień drugi, 7.26

– Masz może ochotę na mleko?

Lili Davies najpierw usłyszała jego głos, a dopiero potem go zobaczyła, tak naprawdę zobaczyła.

Mówił powoli, cicho, niewiele głośniejszy od oddechu, każde słowo artykułował niezwykle wyraźnie, jakby głęboko zastanawiał się nad tym, co chce powiedzieć, zanim przemówił. Lekko seplenił, potknął się na „sz” w „masz”.

Zszedł po schodach prawie pięć minut temu, deski skrzypiały pod jego ciężarem. Jednak kiedy dotarł na dół, stanął u podnóża schodów i znieruchomiał. Spowijał go cień, więc Lili nie mogła dojrzeć żadnych szczegółów, tylko sylwetkę mężczyzny.

Bo to był mężczyzna, a nie chłopak.

Coś w jego postawie, szerokie ramiona, głęboki oddech – wszystkie te elementy podpowiadały jej, że to dorosły mężczyzna, a nie jeden z kolegów ze szkoły. Nie jakiś znajomy, który postanowił zrobić jej idiotyczny kawał, ale mężczyzna, mężczyzna, który ją porwał.

Lili rzeczywiście miała ochotę na mleko.

Gardło wyschło jej na wiór.

Była też głodna.

Brzuch cichym, ale uporczywym burczeniem przypominał jej, jak bardzo jest głodna.

Nic jednak nie powiedziała, nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Wcisnęła się tylko głębiej w kąt, napierając plecami na wilgotną ścianę. Ciaśniej owinęła się śmierdzącą zieloną narzutą. Nie wiedzieć czemu materiał dawał jej poczucie bezpieczeństwa, jakby otulały ją matczyne ramiona.

Nie było go przynajmniej godzinę, może dłużej. Przez ten czas Lili próbowała się zorientować, gdzie jest. Nie pozwoliła sobie na strach, nie mogła sobie pozwolić na strach. To po prostu zadanie do rozwiązania, a ona była w tym dobra.

Znajdowała się w piwnicy starego domu.

Domyśliła się tego, ponieważ sama mieszkała w starym domu i pamiętała jeszcze, jak wyglądała piwnica, zanim rodzice zatrudnili architektów i ekipy remontowe. Sufit był niski, a podłoga nierówna. W powietrzu unosiła się woń pleśni, wszędzie panoszyły się pająki – w każdym zakamarku można było znaleźć starą albo nową sieć, a ich autorzy wypełzali z każdego kąta. Kiedy budowlańcy weszli do ich domu, całkowicie wypatroszyli piwnicę, wypoziomowali podłogę, uszczelnili ściany, wszystko na nowo otynkowali i pomalowali. To przegoniło pająki, przynajmniej na jakiś czas.

Jej przyjaciółka Gabby mieszkała w nowiutkim domu, zbudowanym zaledwie dwa lata temu, i jej piwnica wyglądała zupełnie inaczej. Wysoki sufit, równe podłogi, jasna i przewiewna. Położyli wykładziny, wstawili meble i urządzili przyjemny pokój rodzinny. Piwnicy w starym domu nie da się przerobić na przyjemny pokój rodziny, niezależnie od tego, ile pracy by się w to włożyło. Można zamalować plamy wilgoci, wypoziomować podłogi, położyć świeżą warstwę tynku i farby, ale pająki zawsze wrócą. Pająki tak łatwo nie oddadzą swojego terytorium.

W tej piwnicy też były pająki.

Chociaż nie widziała ich ze swojego miejsca, to wiedziała, że są tuż nad nią, wypełzają z odsłoniętych legarów podłogowych. Obserwowały ją tysiącami

oczu, snując nowe pajęczyny.

Dał jej ubrania, ale to nie były jej ubrania.

Kiedy obudziła się na podłodze, owinięta zieloną narzutą, szybko się zorientowała, że rozebrano ją do naga i zamknięto w tej klatce, a koło głowy ktoś zostawił kupkę porządnie złożonych ubrań. Nie pasowały na nią. Były przynajmniej parę rozmiarów za duże, ale włożyła je, ponieważ nic innego nie miała, a lepsze to niż zielona narzuta. Potem jednak i tak otuliła się tą narzutą.

Znajdowała się w słabo oświetlonej, zawilgłej piwnicy. A dokładniej – w kojcu z siatki drucianej w słabo oświetlonej, zawilgłej piwnicy.

Ogrodzenie sięgało od podłogi do sufitu, a jego części były zespawane. Domyśliła się, że zbudowano je z myślą o psie, bo rodzina Gabby miała sukę rasy husky, Dakotę, którą trzymali w bardzo podobnej, a może nawet identycznej klatce w ogródku na tyłach domu. Kupili ją latem w Home Depot, widziaki z Gabby, jak jej tata ją składał. Nie zajęło mu to długo, może z godzinę, ale on nie spawał.

Kiedy Lili wstała, otulona zieloną narzutą, i przebiegła palcami po rurach i grubych metalowych drutach, z których zbudowano jej klatkę, próbowała wymacać złączenia, wspominając, jak tata Gabby składał kojec, ale kiedy wyczuła miejsca spawów, straciła nadzieję. Drzwi do klatki były zamknięte na kłódkę, a nawet dwie – jedną na górze, drugą na dole. Szarpnęła, ale drzwi ani drgnęły. Całą konstrukcję przymocowano do betonowej posadzki. Lili tkwiła wewnątrz pewnej, solidnej klatki.

– Powinnaś się czegoś napić, będziesz potrzebowała siły na później – powiedział mężczyzna, znowu potykając się lekko na „sz” w słowie „będziesz”.

Lili nie odpowiedziała. Nie zamierzała się odzywać. Rozmowa z nim dałaby mu władzę, a ona nie była na to gotowa. Na nic od niej nie zasługiwał.

Jedynym źródłem światła były uchylone drzwi u szczytu schodów. Mężczyzna stał u ich podnóża w całkowitym bezruchu.

Lili próbowała przebić spojrzeniem mrok, jej oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności.

On jednak pozostawał poza zasięgiem jej wzroku, nieco ciemniejszy cień wśród innych cieni, sylwetka na tle ściany.

– Odwróć się. Stań twarzą do tylnej ściany i nie odwracaj się z powrotem, dopóki ci nie pozwolę – poinstruował.

Lili nie tylko się nie ruszyła, ale wręcz zeszywniała w dotychczasowej pozycji.

– Odwróć się, proszę. – Łagodniej, błagalnie.

Ścisnęła materiał i jeszcze mocniej owinęła narzutą swoją drobną sylwetkę.

– Masz się, kurwa, odwrócić! – wrzasnął, a jego głos rozbrzmiał głośno w całej piwnicy, odbijał się od ścian.

Lili wystraszyła się i cofnęła o krok, niemal się potykając.

Potem znów zapadła cisza.

– Proszę, nie zmuszaj mnie do krzyku. Wolałbym nie krzyczeć.

Lili poczuła, jak serce wali jej w piersi, ciężkie „łup, łup, łup”.

Zrobiła krok do tyłu, potem kolejny i jeszcze jeden. Kiedy dotarła do ściany na końcu klatki, zmusiła stopy, żeby się odwróciły, i stanęła twarzą do kąta.

Lili usłyszała, jak się zbliża, żywy cień. Coś było nie tak z jego chodem. Zamiast miarowych kroków słyszała, jak jedna stopa opada na ziemię, a druga przesuwa się przez sekundę po betonie i dopiero potem dołącza do pierwszej, i tak z każdym krokiem. Szuranie albo kulenie, może lekkie powłóczenie nogą, nie była pewna.

Lili zmusiła się do zamknięcia oczu. Nie chciała ich zamykać, ale i tak to zrobiła. Zmusiła się, żeby móc się skupić na dźwiękach, wyobrazić sobie otoczenie na ich podstawie.

Usłyszała brzęk kluczy i charakterystyczne kliknięcie kłódki – sądząc po brzmieniu, górnej – a po chwili drugiej. Usłyszała, jak wysuwa obie kłódki z klatki, podnosi klamkę i otwiera drzwi.

Lili skuliła się z przerażenia na myśl, co się teraz stanie.

Spodziewała się poczuć jego ręce, myślała, że dotknie jej albo złapie od tyłu. Nic takiego się jednak nie zdarzyło. Po chwili usłyszała, jak zamyka drzwi

i z powrotem zakłada kłódki, które zatrzasnęły się z kliknięciem.

Nieregularne kroki oddalające się od klatki.

– Możesz się już odwrócić.

Lili spełniła polecenie.

Stał ponownie pod schodami, znów pogrążony w mroku.

Na podłodze klatki stała szklanka mleka z kropelką wody spływającą po ścianie.

– Niczego nie dosypałem – powiedział. – Potrzebna mi jesteś przytomna.

8

PORTER

Dzień drugi, 7.56

– Zobaczymy się na miejscu, muszę skoczyć do kibla – powiedział Nash, kiedy wysiedli z windy w piwnicy komendy głównej policji Chicago przy Michigan Avenue. Nash skręcił korytarzem w prawo i zniknął za drzwiami łazienki. Porter poszedł w lewo.

Po ucieczce Bishopa agenci federalni wkroczyli do akcji i przejęli sprawę Zabójcy Czwartej Mały. Porter był wtedy na zwolnieniu lekarskim, ale Nash wspominał, że z początku próbowali przejąć ich pokój narad. Nash wykorzystał cały swój urok osobisty, a także uciekł się do gróźb, żeby wygonić intruzów do sali po drugiej stronie korytarza, znanej głównie z dziwnego zapachu, jaki się w niej nieustannie unosił, a zdawał się wydobywać z lewego kąta przy tylnej ścianie. Od tamtej pory obie grupy współżyły ze sobą mniej więcej tak pokojowo jak Korea Południowa z Północną.

W pokoju FBI nie paliło się światło.

Porter zaczekał na dźwięk zamykania drzwi toalety, a potem ostrożnie nacisnął klamkę do sali federalnych.

Otwarte.

Porter rozejrzał się szybko po korytarzu i wśliznął do środka. Nie zapalał światła.

„Sześć gałek ocznych”.

Siedem ofiar. Osiem, jeśli liczyć Emory.

Podświadomość próbowała mu coś powiedzieć.

Przemierzył pokój, skierował się ku dwóm białym tablicom ustawionym z przodu i przyjrzał się fotografiom ofiar. Patrzyły na niego znajome twarze, niczego nieświadome uśmiechy zastygłe na zawsze w chwili szczęścia. W ostatnich chwilach na jedenastym piętrze budynku przy West Belmont 314 Bishop przedstawił swój tok myślenia, wyłożył karty na stół, dumny z pokrętej logiki swojego planu. „Ci ludzie zasługiwali na karę”, powiedział Porterowi. I to była prawda. Każda z ofiar zrobiła coś okropnego, musiała ponieść konsekwencje. On jednak nie atakował ich bezpośrednio. Zamiast tego porywał ich córki. Zadawał im okrutną śmierć, żeby rodzice cierpieli już do końca życia. Każda z tych dziewczyn zginęła nie z powodu własnych uczynków, a przez coś, co zrobił jeden z członków jej rodziny. Tyle pięknych, młodych twarzy zmasakrowanych, żeby zapłacić za cudze zbrodnie.

Porter podszedł do pierwszej tablicy i pogładził palcem zdjęcie Calli Tremell, pierwszej ofiary Bishopa. Dwadzieścia lat, uprowadzona 15 marca 2009 roku. Pierwsza ofiara Bishopa jako 4MK – Klozowski nigdy nie omieszkał tego podkreślić. Był dokładny, metodyczny i pewny siebie, co sugerowało, że najprawdopodobniej zabijał już wcześniej, dopracowywał technikę działania przez lata praktyki. Był zbyt wyrafinowany na debiutanta, a myśl o tym, że ktoś taki jak on chodził po świecie i zbierał śmiertelne żniwo, ćwicząc do popisowego numeru... Jeśli to były jego początki jako 4MK, Porter nie potrafił sobie wyobrazić, jakie były jego początki jako człowieka. Pamiętnik zapewnił mu pewien wgląd w przeszłość zabójcy, ale niewystarczający, zaledwie fragmencik – szybkie zerknięcie za zasłonę, zanim Bishop z powrotem ją zaciągnął.

Rodzice Calli Tremell zgłosili zaginięcie we wtorek. W czwartek dostali pocztą jej ucho. W sobotę dołączyły do niego oczy, a w kolejny wtorek dostarczono język. Wszystkie przesyłki w małych białych pudełkach przewiązanych czarnym sznurkiem, z ręcznie wypisanym adresem odbiorcy i bez śladu odcisków palców. Nigdy ich nie zostawiał.

Trzy dni po dostarczeniu ostatniego pudełka biegacz znalazł ciało dziewczyny w Almond Park – usadzono ją na ławce z przyklejonym do dłoni kartonem z napisem „NIE CZYNIĘ NIC ZŁEGO”. Zespół Portera już wcześniej domyślił się metody działania zabójcy, więc napis tylko potwierdził ich teorię.

Hasło „nie czynię nic złego” okazało się kluczem do zrozumienia Bishopa, z czego zdali sobie sprawę przy drugiej ofierze 4MK – Elle Borton. Zaginęła 2 kwietnia 2010 roku, ponad rok po pierwszej ofierze. Ekipa Portera przejęła sprawę od Zaginionych Dzieci, kiedy rodzice zgłosili otrzymanie przesyłki z uchem. Gdy nieco ponad tydzień później znaleziono jej ciało, trzymała w ręku zeznanie podatkowe swojej babci za rok 2008. Policja trochę poszperała i odkryła, że babcia zmarła w roku 2005. Matt Hosman z wydziału przestępstw gospodarczych ustalił, że ojciec Elle, kierownik domu opieki, składał zeznania w imieniu kilkunastu swoich zmarłych podopiecznych. Bishop zabił Elle Borton, ledwie dwudziestotrzylatkę, za przestępstwa ojca.

Kiedy motywy Zabójcy Czwartej Małpy stały się jasne, policjanci sprawdzili rodzinę Calli Tremell i odkryli, że jej matka prała brudne pieniądze w banku, w którym pracowała – ponad trzy miliony dolarów przez dziesięć lat.

Porter zrobił krok w prawo i spojrział na trzecią fotografię. Missy Lumax, 24 czerwca 2011 roku. Jej ojciec handlował pornografią dziecięcą. Z kolei ojciec Susan Devoro podmieniał prawdziwe brylanty na fałszywki w swoim zakładzie jubilerskim. To ona była ofiarą numer cztery – 3 maja 2012 roku. Numer pięć: Barbara McInley, siedemnaście lat. Zaginęła 18 kwietnia 2013 roku. Sześć lat wcześniej jej siostra śmiertelnie potrafiła pieszego, więc Bishop zabił Barbarę w ramach kary. Brat Allison Crammer prowadził na Florydzie fabrykę wyzyskującą nielegalnych imigrantów. To ona była ofiarą numer sześć, zniknęła 9 listopada 2013 roku, w wieku dziewiętnastu lat. Ten sam los spotkał Jodi Blumington zaledwie kilka miesięcy później. Dwudziestodwulatka zaginęła 13 maja 2014 roku. 4MK zabił ją, ponieważ jej ojciec sprowadzał kokainę dla kartelu.

Ostatnia fotografia na tablicy przedstawiała dziewczynę, którą Porter dobrze znał, jedyną, którą poznał osobiście, jedyną, która przeżyła. Piętnastoletnią Emory Connors uprowadzono w listopadzie ubiegłego roku. Choć straciła ucho i spędziła kilka dni w niewoli, Bishop jej nie zabił. Najprawdopodobniej by to zrobił, gdyby Porter go wcześniej nie dopadł. Tak przynajmniej pisali w gazetach. Porter świetnie wiedział, że Bishop sam darował jej życie. Wiedział też, że Bishop pozwolił mu się wytropić. Chciał mieć okazję się pochwalić, wyjaśnić swoje motywy i cele, przedstawić swój manifest, zanim zamordował Arthura Talbota i zniknął.

Talbot – jak się okazało, ojciec Emory – był najgorszym przestępcą ze wszystkich krewnych ofiar. Choć Bishop porwał Emory, w końcu ukarał bezpośrednio Talbota: zmasakrował go i zrzucił do szybu windy. Zamordował go i oszczędził Emory.

Emory zaś odziedziczyła miliardowy majątek ojca, gdyż w chwili jego śmierci nabrała mocy prawnej klauzula w jego testamencie wymuszona lata wcześniej przez matkę dziewczyny.

Emory przeżyła, a Bishop wymknął się organom ścigania.

„Sześć gałek ocznych”.

Porter wpatrywał się w zdjęcia ofiar 4MK.

Siedem zabójstw, jedna dziewczyna puszczona wolno.

W listopadzie, podczas śledztwa w sprawie Emory, Anson Bishop zdołał przeniknąć do zespołu Portera – podszył się pod fotografa kryminalistycznego. Podczas pierwszej narady omówili wszystkie poprzednie ofiary Zabójcy Czwartej Małpy, żeby wprowadzić nowego kolegę w temat. Słuchał ich uważnie, chłonał informacje jak gąbka, udając, że to dla niego nowość. Porter często wracał myślami do tamtej chwili, doszukując się czegoś, co powinno zdradzić prawdziwą tożsamość mordercy, ale nic takiego nie było. Bishop zapewne podziwiał tę tablicę z poczuciem spełnienia, jednocześnie przejawiając przerażenie i zaciekawienie w idealnych proporcjach. Zadawał właściwe pytania i powstrzymał się przed ubarwianiem faktów przekazanych mu przez policję.

Porter domyślał się, że musiało to być dla niego niezwykle trudne. W trakcie ostatniej konfrontacji przy Belmont Bishop zdawał się aż kipieć potrzebą podzielenia się swoją historią, wytłumaczenia swoich postępów. Pragnienie to musiało go przytłaczać, kiedy patrzył na te tablice i słuchał, co detektywi wiedzieli o poszczególnych ofiarach.

Bishop rzucił jednak kilka celnych uwag, uczeplił się paru szczegółów.

Porter zamknął oczy i wrócił myślami do tamtego dnia, do jego słów.

Przypomniawszy sobie, że Bishop zwrócił uwagę na kwestię dostępu do informacji: trzeba się dowiedzieć, kto wiedział o tych wszystkich przestępstwach, i zacząć eliminować podejrzanych. Były to jednak tylko puste słowa, gdyż w końcu okazało się, że to Talbot posiadał wszystkie informacje, a Bishop mu je ukradł. Wspomniał o datach, zauważył, że 4MK eskaluje swoje działania. To akurat było prawdą, ale jeśli istniał ku temu jakiś powód, nie udało im się go odkryć. Wówczas byli przekonani, że zabójca nie żyje. Liczyło się dla nich tylko odnalezienie Emory.

No i kolor włosów.

Porter pamiętał, jak Bishop zafiksował się na zdjęciu Barbary McInley, jedynej blondynki. Nazwał ją anomalią. Jedyna blondynka w grupie atrakcyjnych brunetek. Potem zapytał, czy któraś z dziewczyn była napastowana seksualnie – żadna. Spytał też, czy wśród ofiar 4MK byli mężczyźni. Konkretnie chciał wiedzieć, czy któraś z dziewczyn miała brata, a potem powiedział coś w rodzaju: „Jeżeli przyjmujemy, że w połowie z tych rodzin byli synowie, a on wybierał ofiary losowo, powinniśmy mieć jedną lub dwie ofiary płci męskiej. Nie mamy, więc z jakiegoś powodu wolał córki od synów... Tylko nie wiemy dlaczego”². Porter sądził, że Zabójca Czwartej Małpy porywał kobiety, bo łatwiej je kontrolować, mniejsze ryzyko, że będą się bronić.

Sześć gałek ocznych.

Siedem martwych dziewczyn.

Porter wrócił do fotografii Barbary McInley. Ukarana za siostrę, która przejechała pieszego i zbiegła z miejsca wypadku. McInley jako jedyna

przyciągnęła uwagę Bishopa podczas narady, tylko na niej skupił się na dłużej. Porter wciąż miał przed oczyma obraz, jak stuka w to jedno zdjęcie, a jego umysł pracuje na najwyższych obrotach.

Zerknął na drzwi, nasłuchując kroków na korytarzu, ale panowała całkowita cisza.

Na stole pod ścianą po jego lewej stronie piętrzyły się stosy pudeł na akta – wszystko, co zebrali na temat 4MK. Na trzecim pudle od lewej widniał napis „Ofiary”, własnoręcznie wykonany przez Portera. Podszedł do stołu, zdjął pokrywkę i grzebał w papierach tak długo, aż znalazł akta Barbary McInley, również wypełnione jego charakterem pisma.

To były jego akta. Akta jego ekipy. Nie należały do FBI.

– Chuj z tym.

Porter zawinął akta w płaszcz, z powrotem przykrył karton i ruszył do drzwi wyjściowych. Kiedy upewnił się, że w holu nadal jest pusto, wyślizgnął się z pokoju i po cichu zamknął za sobą drzwi.

Wszedł do pokoju narad na końcu korytarza i włączył jarzeniówki wiszące pod sufitem.

– Już myślałem, że wzięliście sobie dziś wolne – stwierdził agent specjalny Stewart Diener. Siedział na miejscu Nasha, z nogami na biurku, i stukał zawzięcie w ekran telefonu komórkowego.

Porter miał nadzieję, że jakiś zbłąkany powiew wiatru rozwichrzy misterną zaczeskę tego typka. Nic z tego.

9

PORTER

Dzień drugi, 7.59

Porter zmierzył Dienera wzrokiem.

– Znaleziono ciało, kolejna nastolatka zaginęła. Przez całą noc byłem na nogach. O co ci chodzi?

„Od jak dawna on tu się czai?”

– Wiem, wszyscy już wiedzą. Brawo za dyskrecję. – Diener rzucił na biurko Portera najnowsze wydanie „Chicago Tribune”.

Porter zerknął na nagłówek:

„4MK ZNOWU PORYWA NASZE CÓRKI?”.

Niżej umieszczono fotografię Emory Connors, która ze spuszczoną głową szła ulicą. Zarówno artykuł, jak i zdjęcie znajdowały się w górnej połowie pierwszej strony – najważniejszy tekst numeru. Pod linią zgięcia wydrukowano jeszcze dwie fotografie: wykonane teleobiektywem ujęcie sceny zbrodni w Jackson Park oraz dom Daviesów.

Diener wstał, obszedł biurko Portera, tak że znalazł się po jego stronie, i postukał palcem w gazetę.

– Wymieniają tutaj z nazwiska Ellę Reynolds i Lili Davies.

– Jak to możliwe? Nie ujawniliśmy żadnych informacji. Z rodzicami Lili Davies widziałem się parę godzin temu.

Diener wzruszył ramionami.

- Widocznie jeden z twoich genialnych podwładnych ma za długi język.
- To jakiś absurd – mruknął Porter, przebiegając tekst wzrokiem.

W artykule wspomniano o znalezieniu ciała w zalewie w Jackson Park oraz spekulowano, że chodzi prawdopodobnie o zaginioną Ellę Reynolds. Autor pisał także, że wkrótce po odkryciu zwłok okazało się, że zniknęła kolejna nastolatka. Lili Davies wyszła wczoraj do szkoły, ale nie dotarła na lekcje i od tej pory nikt jej nie widział. Resztę artykułu poświęcono poprzednim ofiarom Zabójcy Czwartej Małpy, zasugerowano też, że Anton Bishop musiał zmienić strategię po tym, jak umknął policji.

- Co tu robi ten palant? – zapytał Nash od progu.

Porter podniósł gazetę.

- Dostarcza najświeższe wiadomości.

Nash podszedł do nich i rzucił płaszcz na krzesło zwolnione przez Dienera. Zdjął jakiś paproch z ramienia agenta.

– Fajnie, że rozważasz możliwe ścieżki kariery. Jak będziesz grzeczny, to po szkole pojedziemy do Walmarta i kupimy ci jakiś porządny rower, żebyś mógł docierać z gazetami do większej grupy klientów.

Porter położył gazetę na biurku Nasha i wskazał na fotografie zalewu oraz domu Daviesów.

– To nie Bishop. Spekulowanie, że to jego robota, świadczy o kompletnej nieodpowiedzialności. Zależy im tylko na jak najwyższej sprzedaży.

– Skąd ta pewność? Może Bishop rzeczywiście postanowił trochę zmienić taktykę, tak jak piszą – zaproponował Diener.

– Seryjni mordercy nie zmieniają sposobu działania, dobrze o tym wiesz. To dla nich jak podpis.

Diener wzruszył ramionami.

– Bishop nie jest jak inni seryjni mordercy. Każde zabójstwo stanowiło element wyrafinowanego planu zemsty. Wypełnił go z chwilą zamordowania Talbota. Może zamierzał przejść na emeryturę, ale szybko się zorientował, że nadal ciągnie go do dziewczynek. Nie mógł nad tym zapanować, więc

uprowadził Ellę Reynolds. Wykończył ją, a potem porwał Lili Davies. – Diener ruszył w stronę wyjścia. – Spróbuj spojrzeć na sprawę z dystansu, zobaczysz, że to ma sens.

Porter odłożył na biurko płaszcz, w którego fałdach nadal tkwiły akta Barbary McInley. Serce waliło mu jak młotem.

– Co za ciul – stwierdził Nash.

– Słyszałem! – zawołał Diener z korytarza. – Jeśli nie macie racji i to faktycznie ofiary 4MK, to musicie nam przekazać sprawę!

– Ten drugi gość jest trochę lepszy – powiedział Porter. – Ten jego partner, Pitbul, Bool, Ghul...?

– Poole. Frank Poole. Zresztą też ciul, jak oni wszyscy. Hej, zobacz, jak mi się zrymowało! – Nash zamierzał zatrzaskać drzwi, ale w tej samej chwili pojawiła się Clair z iPadem w ręku. Tuż za nią do pokoju wszedł Kloz, na laptopie niósł trzy białe pudła ustawione jedno na drugim w chwiejną wieżę.

– Może by mi któryś pomógł?

Nash wziął górny karton i zaniósł go na swoje biurko.

– Nie zabieraj ich za daleko – poprosił Kloz. – Muszą mi wystarczyć na cały tydzień.

– Co to jest? – zapytał Porter.

– Trzy razy po dwanaście pączków z tej nowej cukierni niedaleko, Peace, Love, and Little Donuts – wyjaśniła Clair. – Skurczybyk chciał zachomikować wszystkie pod swoim biurkiem, ale wytłumaczyłam mu, że dzielenie się ze współpracownikami to cnota.

Kloz parsknął.

– Powiedziałaś, że jeśli ich tu nie przyniosę, to wyślesz mejla do całego wydziału, że trzymam je u siebie. Nie mogłem zostawić ich na górze bez opieki, te sępy zaraz by się na nie rzuciły. Po minucie zostałyby tylko okruszki. Poza tym jest ich tylko osiemnaście: po sześć w opakowaniu, nie po dwanaście.

Nash otworzył podwędzone pudełko i wytrzeszczył oczy.

– Jezusie słodki, co za piękności.

Porter złapał drugi karton ze sterty i zasiadł za biurkiem. Clair wzięła trzeci.

– Ej! – wrzasnął Kloz. – To moje!

– Tylko czemu takie małe? – zapytał Porter z ustami pełnymi kremowego nadzienia.

Clair wyłuskała ze swojego pudełka pączka obsypanego kawałkami oreo.

– To pączki „dla smakoszy”. Zrobiłabym cudzysłów w powietrzu, ale mam zajęte ręce. Pieką takie maleństwa i sprzedają jako wymyślne żarcie dwa razy drożej niż zwykłe pączki. Gdyby nie były takie zajebiste, to interes szybko by padł, ale te pączusie to niebo w gębie. Z każdym gryzem czuję, jak mi rośnie tyłek, ale mam to gdzieś.

Kloz usiadł na swoim stałym miejscu, przy biurku obok stołu konferencyjnego. Położył dłonie płasko na metalowym blacie i zrobił głęboki wdech dla uspokojenia, ale twarz mu poczerwieniała.

– No dobra, możecie zjeść po jednym, ale nie więcej.

– Niewykluczone, że zjadłem już cztery – powiedział Nash, starł z ust dowody kulinarnej zbrodni i spojrzał na pudło ze zdziesiątkowanymi wypiekami.
– A reszty nie oddam.

Dziesięć minut później wszystkie trzy kartony świeciły pustkami, ostał się tylko jeden pączek z polewą truskawkową. Porter poczuł pobudzające działanie cukru. Wstał, podszedł do jedynej wolnej tablicy i napisał na górze „ELLEN REYNOLDS”.

– Chyba Ella Reynolds – poprawił go Nash.

Porter westchnął, zmasał imię wierzchem dłoni i napisał „ELLA”.

– No dobra, to co wiemy?

– Dwudziestego pierwszego stycznia zgłoszono jej zaginięcie, a znaleziono ją wczoraj, dwunastego lutego. Zamarznięte zwłoki znajdowały się pod taflą lodu na zalewie w Jackson Park – powiedziała Clair.

– Nie była zamarznięta – wtrącił się Nash. – Przynajmniej nie całkiem. Tak powiedział Eisley. Ale zalew był.

– Racja, przepraszam – odparła Clair. – Pracownicy parku twierdzą, że zalew całkowicie zamrzął drugiego stycznia, czyli dwadzieścia dni przed zaginięciem dziewczyny. Poza tym mam coś na nagraniu z kamery, puszcze wam, jak już uzupełnimy wszystkie informacje na tablicy.

Porter skinął głową.

– Kiedy ją znaleziono, dziewczyna nie miała na sobie własnych ubrań, a prawdopodobnie należące do drugiej zaginionej, Lili Davies. – Zapisał imię i nazwisko, po czym wrócił do kolumny Elli. – Ostatni raz widziano Elle, kiedy w czarnej kurtce wysiadała z autobusu jakieś dwie przecznice od domu, w pobliżu Logan Square, około dwudziestu kilometrów od miejsca, w którym znaleziono zwłoki. Możemy chyba założyć, że sprawca zainscenizował miejsce zbrodni tak, by wydawało się, że ciało Ellie leżało w wodzie od wielu tygodni, ale to niemożliwe, jeśli się okaże, że ubrania faktycznie należą do Lili.

Nash wstał zza biurka, podszedł do stołu konferencyjnego stojącego przed tablicą i usiadł.

– Po co to wszystko? Namęczył się, żeby umieścić Elle pod lodem, a potem ubrał ją w ciuchy Lili, co pozwala nam dokładnie ustalić datę śmierci. To nie ma sensu.

– Dla niego ma – zauważył Porter. – Wszystko to ma dla niego jakiś sens. To także...

Porter zapisał „UTOPIONA W SŁONEJ WODZIE” pod nazwiskiem Elli.

– Poważnie? – zapytał Kloz.

– Eisley znalazł słoną wodę w płucach i żołądku ofiary. Jest praktycznie pewny, że przyczyną śmierci było utonięcie – odparł Porter.

– Utonięcie – powtórzyła Clair. – W słonej wodzie.

– Do najbliższego oceanu jest z tysiąc kilometrów – dodał Nash.

– Musimy sprawdzić wszystkie oceanaria w mieście i firmy, które je zaopatrują – stwierdził Porter. – Możemy raczej wykluczyć wycieczkę nad morze. Za mało czasu, ledwie się to spina.

Clair pokręciła głową.

– Za krótko spałam, żeby to wszystko ogarnąć.

– Chyba wszyscy gonimy resztkami – przyznał Porter. – Co nam wiadomo o tej drugiej dziewczynie, Lili Davies?

Nash otworzył notatnik.

– Córka doktora Randala Daviesa i Grace Davies. Najlepsza przyjaciółka Gabrielle Deegan. Chodzi do Wilcox Academy. Ostatnio widziano ją w czerwonej kurtce, jak twierdzi matka, dokładnie w nylonowej pikowanej parze z kapturem. Miała też na sobie białą czapkę, białe rękawiczki, ciemne dżinsy i różowe adidas. Nie dotarła do szkoły, więc najprawdopodobniej porwano ją dwunastego rano. Matka widziała, jak wychodziła do szkoły około siódmej piętnaście. Lekcje zaczynają się za dziesięć ósma, a do szkoły ma blisko, chodzi pieszo.

– Sama czy z kimś? – zapytał Porter.

– Matka powiedziała nam, że to tylko cztery przecznice, więc Lili chodzi sama – powiedział Nash.

Kloz obrzucił smutnym spojrzeniem pudełka po pączkach, po czym również podszedł do stołu konferencyjnego.

– Cztery przecznice to rzeczywiście bliźutko. Niewiele czasu dla porywacza. Clair usiadła obok Nasha.

– Przy założeniu, że poszła prosto do szkoły, a nie możemy tego założyć. Może po drodze wpadła na znajomego i wsiadła do auta. Wiem, że to tylko parę przecznic, ale sama często tak robiłam w drodze do szkoły. W tak bliskiej odległości od szkoły wszyscy i tak spotykają się na parkingu, wielu uczniów zostaje tam jeszcze pogadać przed dzwonkiem na lekcje.

– Można?

Wszyscy podnieśli głowy. W progu stała Sophie Rodriguez. Uwagę Portera zwrócił ten sam jasnobrązowy sweter, który miała na sobie u Daviesów. Ona pewnie też nie wróciła jeszcze od tej pory do domu.

– Zapraszamy – powiedział. – Usiądź gdzieś, właśnie omawiamy po kolei wszystkie szczegóły.

– Eee, Sam? – powiedział Kloz, mierzając wzrokiem nowo przybyłą. – Pamiętasz, jak się to skończyło ostatnio, kiedy wpuściłeś obcego?

Clair wymierzyła mu kuksańca w ramię.

– Znam Sophie prawie od czterech lat. Jest sprawdzona. – Wskazała na krzesło po lewej.

Sophie zostawiła torbę koło drzwi, zdjęła kurtkę i usiadła, studiując tablicę.

– Wiem, że sprawą zajmuje się wydział zabójstw, a jak dotąd Lili jest tylko zaginiona, ale mamy dość oczywiste powiązanie. Współpraca to najlepsze rozwiązanie, przynajmniej na razie. Dopóki się nie zorientujemy, o co w tym wszystkim chodzi.

– Witamy w ekipie, Sophie – powiedział Porter.

Nash posłał mu zmęczone spojrzenie, ale nic nie powiedział.

Sophie rozejrzała się po twarzach wszystkich obecnych.

– Ella też była jedną z moich dziewczyn. Człowiek zawsze stara się mieć nadzieję, ale po czterdziestu ośmiu godzinach od zaginięcia można założyć, że to albo ucieczka z domu, albo coś gorszego. Obie dziewczyny wychowywały się w szczęśliwych rodzinach, więc serce chyba mi podpowiadało, że to „coś gorszego”. Kiedy powiedzieliście mi o ubraniach, tylko potwierdziliście moje przypuszczenia. Mam nadzieję, że znajdziemy Lili, zanim będzie za późno.

– Pokazywałaś rodzicom Lili zdjęcia ubrań? – zapytał Porter. Wysłał je mejlem jeszcze z kostnicy.

Sophie skinęła głową.

– Matka potwierdziła, że należą do Lili. Podobno własnoręcznie wpisała jej inicjały na metce od czapki.

Porter dopisał „ZNALEZIONA W UBRANIU LILI DAVIES” w kolumnie Elli na tablicy. Potem znów zwrócił się do Sophie.

– Co jeszcze możesz nam powiedzieć o Elli?

Przyjrzała się informacjom zebranych na tablicy.

– Kilka tygodni temu, tuż po zaginięciu, zrobiłam coś w rodzaju wizji lokalnej. Wysiadała z autobusu jakieś dwie przecznice od domu, przy Logan

Square, ale rodzice powiedzieli mi, że czasem odrabiała lekcje w Starbucksie przy Kedzie Avenue. Sprawdziłam obie trasy. Droga z przystanku do domu zajęła mi cztery minuty, z przystanku do Starbucksa siedem, a ze Starbucksa do domu dziewięć. Wszędzie kręci się sporo ludzi. Nie mam pojęcia, jak ktoś mógł ją stamtąd porwać, żeby nikt nie zauważył.

– Rozmawiałaś z kierownikiem Starbucksa? – zapytał Nash.

Sophie pokiwała głową.

– Rozpoznał Ellę na zdjęciu, które mu pokazałam, ale nie potrafił powiedzieć, czy tego konkretnego dnia u nich była. Zwykle płaci gotówką, więc nie mogłam sprawdzić wyciągów z karty debetowej czy kredytowej.

– Kamery?

– Jedna jest, ale codziennie się resetuje, nie zapisują nagrań. Zanim do nich dotarliśmy, było już za późno.

– Może powinienem to sprawdzić? – zaproponował Kloz. – Nie widziałem jeszcze systemu bezpieczeństwa, który rzeczywiście kasowałby materiał z poprzedniego dnia. Jeśli jest tam jakiś twardy dysk, to fragmenty mogły się zachować, nawet jeśli kierownik sądzi, że wszystko się skasowało.

Porter skinął głową i zapisał na tablicy „NAGRANIE ZE STARBUCKSA (CYKL 1-DNIOWY?) – KLOZ”.

– Co jeszcze?

– Przeszukaliśmy komputer i skrzynkę mejlową, ale nie znaleźliśmy niczego nietypowego – odparła Sophie. – Telefon zniknął razem z nią. Ostatni raz połączył się ze stacją przekaźnikową w pobliżu Logan Square i zniknął z sieci cztery minuty po rozkładowym przyjeździe autobusu.

– Kloz?

Kloz już kiwał głową i notował coś w laptopie.

– Tym też się zajmę.

– Znaleźliście coś w pokoju Lili? – zwrócił się Porter do Sophie.

– Nic szczególnego. Dużo porozrzucanych ciuchów. Niczego nie chowała w szufladach ani pod materacem, czyli w typowych skrytkach. Na lustrze wisiało

przyklejone zdjęcie Lili z jakąś dziewczyną. Matka powiedziała, że to Gabby, jej przyjaciółka. Od ojca dowiedziałam się, że miała telefon komórkowy i laptopa, ale w pokoju ich nie znalazłam. Podobno wzięła je ze sobą do szkoły, matka mówiła, że pewnie miała komputer w plecaku. – Urwała na chwilę, żeby przeczytać esemesa. – Próbowaliśmy namierzyć jej komórkę, ale była wyłączona. Właśnie dostałam wyniki. Ostatni przekaźnik, z którym się połączyła, znajduje się niedaleko domu Daviesów. O siódmej dwadzieścia trzy zniknęła z sieci. To niecałe dziesięć minut od wyjścia z domu.

– Kloz, sprawdź, czy uda ci się coś wyciągnąć z kont na portalach społecznościowych albo skrzynki mejlowej – poprosił Porter.

– Robi się – odparł Kloz.

Sophie wyjęła z torby teczkę na dokumenty i rozłożyła jej zawartość na stole. Miała w niej zdjęcia obu dziewczyn.

– Ella i Lili są do siebie podobne, co mogłoby sugerować pociąg do pewnego typu urody albo motywy seksualne, ale patolog powiedział, że nie znaleziono śladów napastowania. Na razie jednak nie ignorowałabym tego podobieństwa, może nie być przypadkowe.

– Słusznie. Mogę zerknąć? – zapytał Porter, wskazując na fotografie.

Sophie podała mu odbitki, a Porter przykleił je do tablicy.

– Ile lat ma Lili?

– Siedemnaście – odparła Sophie.

– Obie mają blond włosy mniej więcej do ramion. Ella miała niebieskie oczy, Lili ma zielone. W podobnym wieku, dwa lata różnicy. Do którego liceum chodziła Ella? – zapytał Porter.

Sophie przekartkowała notatnik.

– Kelvyn Park High. Była w drugiej klasie.

– Mamy jakieś powody, żeby przypuszczać, że się znały?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła. – Inne szkoły, inne kręgi znajomych, dwa lata różnicy. Żadna nie jeździła samochodem.

– A co z galerią? – zapytał Porter. – Może tam mogły się poznać?

– Nie byłam jeszcze w galerii. Otwierają dopiero o dziesiątej.

Porter podrapał się po policzku.

– Wolałbym, żebyście poszły z Clair do szkoły, a potem może porozmawiały z tą przyjaciółką, Gabrielle Deegan. Dzieci boją się Nasha.

– Nic na to nie poradzę, że tak wszystkich onieśmielam – zazartował Nash.

– My pójdziemy do galerii – powiedział Porter.

– Świetnie, nie ma to jak trochę sztuki.

– Prześlę wam adres – powiedziała Sophie. – To przy North Halsted Street.

Porter zerknął na tablicę.

– Co jeszcze?

Zapadła cisza.

– To co, obejrzymy nagranie? – zapytała Clair.

– Dobra, odpalaj.

Clair stuknęła palcem w ekran iPada i postawiła go na środku stołu. Stop-klatka: wąska czarna jezdnia sfilmowana pod beznadziejnym kątem. Znacznik czasu wskazywał godzinę 8.47 dnia 12 lutego.

Clair włączyła odtwarzanie i czas na wyświetlaczu zaczął się zmieniać w tempie rzeczywistym. Przejechały dwa samochody – żółta toyota i biały ford. Kiedy pojawił się szary pikap, Clair wcisnęła pauzę.

– Będę teraz powolutku przewijać do przodu – powiedziała i obraz zaczął przesuwać się klatka po klatce.

Porter zrozumiał dlaczego, gdy tylko kamera uchwyciła tył furgonetki.

– Zatrzymaj – powiedział.

Samochód ciągnął duży zbiornik z wodą, taki, jakie miewają firmy zajmujące się czyszczeniem basenów.

– W parku nie ma basenu, zresztą raczej nie ma wielkiego popytu na takie usługi w środku zimy – stwierdziła Clair. – Pewnie tak przywiózł tam wodę.

– Masz ujęcia pod innymi kątami? – zapytał Porter.

Clair pokręciła głową.

– To jedyna kamera.

Kloz nachylił się nad tabletem.

– Wiele tu nie działałam. Jakość obrazu jest niezła, tylko kąt filmowania tragiczny.

– Możesz cofnąć o parę klatek? – poprosił Porter.

Clair wcisnęła przewijanie do tyłu. Z każdym dotknięciem obraz cofał się o jedną klatkę.

– Stop – powiedział Porter. – Skąd ten odblask i czemu właściwie ktoś to tak fatalnie ustawił?

Kamerę zamontowano pod bardzo ostrym kątem, praktycznie pionowo w dół. Zwykle kierowano obiektyw w górę lub w dół ulicy – najlepszy sposób, żeby uchwycić zbliżające się lub oddalające samochody.

Zatrzymali nagranie na klatce, która obejmowała większość szyby przedniej, ale jaskrawobiały odblask uniemożliwił zajrzenie do środka.

Porter dostrzegł zarys sylwetki kierowcy, ale żadnych szczegółów, które pozwoliłyby na identyfikację.

– Kloz, myślisz, że dałbyś radę to powiększyć i chociaż trochę wyczyścić?

Kloz przygryzł opuszkę kciuka.

– Może... Trudno powiedzieć. Spróbuję.

– Kierownik parku powiedział mi, że rzadko przeglądają nagrania. Kamera ma przede wszystkim odstraszać. Albo się z czasem oblużowała i przekręciła w dół, albo ktoś celowo ją oblużował i tak ustawił. Facet nie ma pojęcia, kiedy ani jak to się mogło stać – wyjaśniła Clair. – Twierdzi, że dawniej kamera była zamontowana tak, żeby rejestrować nadjeżdżające samochody i ich kierowców.

Porter odwrócił się w stronę Kloza, ale ten machnął ręką, zanim przełożony zdążył otworzyć usta.

– Tak, wiem. Przejrzę stare nagrania i spróbuję ustalić, kiedy to się mogło stać, a może nawet jakimś cudem trafimy na naszego sprawcę, jak szczyrzy się do kamery z młotkiem w garści.

– Czasem popełniają błędy – zauważył Porter.

– Pewka.

– Nie jest źle. W najgorszym razie powinniśmy wyłapać markę i model pikapa. Sprawdzimy firmy zajmujące się czyszczeniem basenów i może coś się trafi. – Porter odwrócił się z powrotem do tablicy. – Możemy dodać coś jeszcze?

Znowu zapadła cisza. Porter nałożył zakrętkę na flamaster i usiadł przy stole konferencyjnym.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o samych uprowadzeniach. Sprawca działa szybko i najwyraźniej bez żadnego problemu porywa dziewczyny z miejsc publicznych. To znaczy, że albo świetnie wtapia się w otoczenie, albo zapoznaje się z nimi wcześniej, żeby czuły się w jego towarzystwie bezpiecznie. Nie dałby rady niezauważenie zaciągnąć wierzgającej nastolatki do furgonetki, więc musiał je jakoś przekonać, żeby poszły z nim z własnej woli.

– Może mieć do dyspozycji inne pojazdy – zasugerował Nash. – Roboty drogowe, gazownia czy kablówka. Coś, czego się w ogóle nie zauważa.

Kloz obrócił laptopa, żeby pokazać wszystkim szczegółowy plan Chicago i okolic. Widniały na nim trzy czerwone kropki: jedna w pobliżu Logan Square, druga w Jackson Park, trzecia przy King Drive na Bronzeville.

– Oba miejsca porwania dzieli jakieś piętnaście kilometrów. W tak dużym mieście oznacza to pokaźny obszar polowania. Co ciekawe, Jackson Park, gdzie znaleziono Ellę, jest bliżej domu Lili niż Elli.

Porter przyjrzał się uważnie mapie.

– Czyli Lili porwano blisko miejsca znalezienia Elli. To może się okazać ważne.

– Ella utonęła w słonej wodzie? – Sophie ze zmarszczonym czołem patrzyła na tablicę. – To przecież nie ma sensu.

– A może basen ze słoną wodą? – zasugerował Kloz. – To by pasowało do furgonetki ze zbiornikiem.

– Jest coś takiego? – zdziwił się Nash.

Kloz pokiwał głową.

– Tak, moja ciocia na Florydzie ma taki basen. Jest uczulona na chlor. Poza tym są łatwe w utrzymaniu, nie trzeba odmierzać środków dezynfekcyjnych.

– W Chicago raczej nie ma takich dużo. Mógłbyś zrobić listę? – poprosił Porter.

– Robi się – odparł Kloz.

Sophie wyjęła z torby teczkę na dokumenty i rozłożyła jej zawartość na stole. Miała w niej zdjęcia obu dziewczyn.

– Ella i Lili są do siebie podobne, co mogłoby sugerować pociąg do pewnego typu urody albo motywy seksualne, ale patolog powiedział, że nie znaleziono śladów napastowania. Na razie jednak nie ignorowałabym tego podobieństwa, może nie być przypadkowe.

– Słusznie. Mogę zerknąć? – zapytał Porter, wskazując na fotografie.

Sophie podała mu odbitki, a Porter przykleił je do tablicy.

– Ile lat ma Lili?

– Siedemnaście – odparła Sophie.

– Obie mają blond włosy mniej więcej do ramion. Ella miała niebieskie oczy, Lili ma zielone. W podobnym wieku, dwa lata różnicy. Do którego liceum chodziła Ella? – zapytał Porter.

Sophie przekartkowała notatnik.

– Kelvin Park High. Była w drugiej klasie.

– Mamy jakieś powody, żeby przypuszczać, że się znały?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła. – Inne szkoły, inne kręgi znajomych, dwa lata różnicy. Żadna nie jeździła samochodem.

– A co z galerią? – zapytał Porter. – Może tam mogły się poznać?

– Nie byłam jeszcze w galerii. Otwierają dopiero o dziesiątej.

Porter podrapał się po policzku.

– Wolałbym, żebyście poszły z Clair do szkoły, a potem może porozmawiały z tą przyjaciółką, Gabrielle Deegan. Dzieci boją się Nasha.

– Nic na to nie poradzę, że tak wszystkich onieśmielam – zażartował Nash.

– My pójdziemy do galerii – powiedział Porter.

– Świetnie, nie ma to jak trochę sztuki.

– Prześlę wam adres – powiedziała Sophie. – To przy North Halsted Street.

Porter zerknął na tablicę.

– Co jeszcze?

Zapadła cisza.

– To co, obejrzymy nagranie? – zapytała Clair.

– Dobra, odpalaj.

Clair stuknęła palcem w ekran iPada i postawiła go na środku stołu. Stop-klatka: wąska czarna jezdnia sfilmowana pod beznadziejnym kątem. Znacznik czasu wskazywał godzinę 8.47 dnia 12 lutego.

Clair włączyła odtwarzanie i czas na wyświetlaczu zaczął się zmieniać w tempie rzeczywistym. Przejechały dwa samochody – żółta toyota i biały ford. Kiedy pojawił się szary pikap, Clair wcisnęła pauzę.

– Będę teraz powolutku przewijać do przodu – powiedziała i obraz zaczął przesuwać się klatka po klatce.

Porter zrozumiał dlaczego, gdy tylko kamera uchwyciła tył furgonetki.

– Zatrzymaj – powiedział.

Samochód ciągnął duży zbiornik z wodą, taki, jakie miewają firmy zajmujące się czyszczeniem basenów.

– W parku nie ma basenu, zresztą raczej nie ma wielkiego popytu na takie usługi w środku zimy – stwierdziła Clair. – Pewnie tak przywiózł tam wodę.

– Masz ujęcia pod innymi kątami? – zapytał Porter.

Clair pokręciła głową.

– To jedyna kamera.

Kłoz nachylił się nad tabletem.

– Wiele tu nie zdziałam. Jakość obrazu jest niezła, tylko kąt filmowania tragiczny.

– Możesz cofnąć o parę klatek? – poprosił Porter.

Clair wcisnęła przewijanie do tyłu. Z każdym dotknięciem obraz cofał się o jedną klatkę.

– Stop – powiedział Porter. – Skąd ten odbłask i czemu właściwie ktoś to tak fatalnie ustawił?

Kamerę zamontowano pod bardzo ostrym kątem, praktycznie pionowo w dół. Zwykle kierowano obiektyw w górę lub w dół ulicy – najlepszy sposób, żeby uchwycić zbliżające się lub oddalające samochody.

Zatrzymali nagranie na klatce, która obejmowała większość szyby przedniej, ale jaskrawobiały odbłask uniemożliwił zajrzenie do środka.

Porter dostrzegał zarys sylwetki kierowcy, ale żadnych szczegółów, które pozwoliłyby na identyfikację.

– Kloz, myślisz, że dałbyś radę to powiększyć i chociaż trochę wyczyścić?

Kloz przygryzł opuszkę kciuka.

– Może... Trudno powiedzieć. Spróbuję.

– Kierownik parku powiedział mi, że rzadko przeglądają nagrania. Kamera ma przede wszystkim odstraszać. Albo się z czasem obluzowała i przekręciła w dół, albo ktoś celowo ją obluzował i tak ustawił. Facet nie ma pojęcia, kiedy ani jak to się mogło stać – wyjaśniła Clair. – Twierdzi, że dawniej kamera była zamontowana tak, żeby rejestrować nadjeżdżające samochody i ich kierowców.

Porter odwrócił się w stronę Kloza, ale ten machnął ręką, zanim przełożony zdążył otworzyć usta.

– Tak, wiem. Przejrzę stare nagrania i spróbuję ustalić, kiedy to się mogło stać, a może nawet jakimś cudem trafimy na naszego sprawcę, jak szczyrzy się do kamery z młotkiem w garści.

– Czasem popełniają błędy – zauważył Porter.

– Pewka.

– Nie jest źle. W najgorszym razie powinniśmy wyłapać markę i model pikapa. Sprawdzimy firmy zajmujące się czyszczeniem basenów i może coś się trafi. – Porter odwrócił się z powrotem do tablicy. – Możemy dodać coś jeszcze?

Znowu zapadła cisza. Porter nałożył zakrętkę na flamaster i usiadł przy stole konferencyjnym.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o samych uprowadzeniach. Sprawca działa szybko i najwyraźniej bez żadnego problemu porywa dziewczyny z miejsc publicznych. To znaczy, że albo świetnie wtapia się w otoczenie, albo zapoznaje się z nimi wcześniej, żeby czuły się w jego towarzystwie bezpiecznie. Nie dałby rady niezauważenie zaciągnąć wierzgającej nastolatki do furgonetki, więc musiał je jakoś przekonać, żeby poszły z nim z własnej woli.

– Może mieć do dyspozycji inne pojazdy – zasugerował Nash. – Roboty drogowe, gazownia czy kablówka. Coś, czego się w ogóle nie zauważa.

Kloz obrócił laptopa, żeby pokazać wszystkim szczegółowy plan Chicago i okolic. Widniały na nim trzy czerwone kropki: jedna w pobliżu Logan Square, druga w Jackson Park, trzecia przy King Drive na Bronzeville.

– Oba miejsca porwania dzieli jakieś piętnaście kilometrów. W tak dużym mieście oznacza to pokaźny obszar polowania. Co ciekawe, Jackson Park, gdzie znaleziono Ellę, jest bliżej domu Lili niż Elli.

Porter przyjrzał się uważnie mapie.

– Czyli Lili porwano blisko miejsca znalezienia Elli. To może się okazać ważne.

– Ella utonęła w słonej wodzie? – Sophie ze zmarszczonym czołem patrzyła na tablicę. – To przecież nie ma sensu.

– A może basen ze słoną wodą? – zasugerował Kloz. – To by pasowało do furgonetki ze zbiornikiem.

– Jest coś takiego? – zdziwił się Nash.

Kloz pokiwał głową.

– Tak, moja ciocia na Florydzie ma taki basen. Jest uczulona na chlor. Poza tym są łatwe w utrzymaniu, nie trzeba odmierzać środków dezynfekcyjnych.

– W Chicago raczej nie ma takich dużo. Mógłbyś zrobić listę? – poprosił Porter.

– Może uda mi się do czegoś dotrzeć przez pozwolenia na budowę – powiedział Kloz.

Porter rozejrzał się po twarzach zgromadzonych wokół stołu. Z wyjątkiem Sophie Rodriguez znał ich wszystkich od lat. Sięgnął na biurko Nasha po gazetę i położył ją na stole.

– Uważajcie na reporterów. Ktoś zaczął węszyć troszkę za blisko, nie cofnie się też przed snuciem domysłów.

Clair odwróciła gazetę tak, żeby przeczytać nagłówek.

– Chyba nie myślisz, że któreś z nas wygadało się prasie?

Porter pokręcił głową.

– Myślę, że wydrukują wszystko, byle tylko sprzedać nakład. A jeśli nie uda im się wyciągnąć niczego z któregoś z nas, to zaczną zmyślać. Wygłoszę oświadczenie, kiedy będziemy gotowi. Do tego czasu żadnych kontaktów z mediami, nie licząc poszukiwań Lili.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwała dopiero Sophie.

– Ktoś je tego ostatniego pączka?

Kloz opuścił głowę na stół i westchnął ciężko.

– Częstuj się.

Tablica z listą dowodów

ELLA REYNOLDS (15 lat)

Zgłoszenie zaginięcia: 22.01

Znalezienie ciała: 12.02, zalew w Jackson Park

Woda zamarznięta od 2.01 (20 dni przed zaginięciem)

Ostatnio widziana: przystanek autobusowy na Logan Square (2 przecznice od domu, 24 kilometry od Jackson Park)

Miała na sobie czarną kurtkę

Utopiona w słonej wodzie (zwłoki w wodzie słodkiej)

Zwłoki w ubraniach Lili Davies

Droga z przystanku do domu: 4 minuty

Bywała w Starbucksie przy Kedzie, 7 minut od domu

LILI DAVIES (17 lat)

Rodzice: dr Randal Davies i Grace Davies

Przyjaciółka: Gabrielle Deegan

Szkoła: Wilcox Academy (prywatna), nie przyszła na lekcje 12.02

Ostatnio widziana: wyjście z domu do szkoły (pieszo), 12.02 około 7.15, miała na sobie czerwoną, nylonową, pikowaną parkę z kapturem, białą czapkę, białe rękawiczki, ciemne dżinsy, różowe buty sportowe (strój Elli Reynolds)

Uprowadzona najprawdopodobniej 12.02 rano (w drodze do szkoły)

Krótkie okienko: 35 minut (wyszła z domu o 7.15, początek lekcji o 7.50)

Droga z domu do szkoły: 4 przecznice

Zgłoszenie zaginięcia: po północy (wczesne godziny 13.02)

Rodzice sądzili, że poszła do pracy (w galerii sztuki) prosto po szkole (nie pojawiła się ani tu, ani tu)

SPRAWCA

- Prawdopodobnie prowadził szarego pikapa ze zbiornikiem na wodę
- Może pracować w branży czyszczenia/obsługi basenów

ZADANIA:

- Nagrania ze Starbucksa (cykl 1-dniowy?) – Kloz
- Komputer, telefon, skrzynka mejlowa Elli – Kloz
- Portale społecznościowe, billingi, skrzynka mejlowa Lili (telefon i komputer niedostępne) – Kloz
- Powiększenie zdjęcia potencjalnego sprawcy z bramy wjazdowej do parku – Kloz
- Poluzowana kamera w parku? Sprawdzić stare nagrania – Kloz
- Ustalić markę i model furgonetki z nagrania – Kloz
- Trasa Lili do szkoły, rozmowa z Gabrielle Deegan – Clair i Sophie
- Wizyta w galerii (kierowniczka: pani Edwins) – Porter i Nash
- Lista basenów ze słoną wodą w Chicago i okolicach (pozwolenia na budowę) – Kloz
- Sprawdzić oceanaria i firmy, które je zaopatrują

10

PORTER

Dzień drugi, 9.08

– Sam, nie musisz tego robić.

– Muszę.

Zadzwoił do drzwi Reynoldsów.

Przyjechali tu prosto z komendy, z włączonym kogutem. Porter zignorował przynajmniej trzy czerwone światła.

Nash przestępował z nogi na nogę na schodku przed wejściem.

– Przecież przyślą jakiegoś mundurowego.

Porter zatarł dłonie. Ta zima go w końcu wykończy. Przy takim wietrze temperatura odczuwalna oscylowała wokół minus piętnastu.

– Już po dziewiątej. Mogli już czytać poranne gazety. Radio i telewizja też pewnie o tym trąbią.

Porter znowu nacisnął guzik dzwonka.

Zasłona za szybą okna po lewej od drzwi odsunęła się na chwilę na bok, po czym opadła z powrotem. Dało się słyszeć odsuwanie rygla i drzwi uchyliły się na kilkanaście centymetrów. Przez szparę wyjrzała kobieta po czterdziestce o ciemnych, zaczerwienionych oczach, podkrążonych z niewyspania. Brązowe włosy miała przetłuszczzone, wyraźnie niemyte od wielu dni. Była ubrana w dżinsy i gruby brązowy sweter.

– O co chodzi?

Porter pokazał odznakę.

– Detektyw Porter, a to detektyw Nash, policja Chicago. Możemy wejść?

Zagapiła się na niego na dłuższą chwilę, jakby jego słowa docierały do niej z opóźnieniem. Potem skinęła głową i otworzyła drzwi szerzej, wyglądając przy tym na ulicę.

– Mróz chyba w końcu przegonił ostatnich reporterów. Jeszcze w nocy stał tu wóz transmisyjny.

Porter i Nash otrzepali buty ze śniegu, weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi. Ogarnęła ich fala gorąca, w domu panowała duchota, zwłaszcza w zestawieniu z rześkim powietrzem na zewnątrz. Porterowi było wszystko jedno. Mógłby przez godzinę stać w ognisku, a palce i tak miałby zgrabiałe. Odchrząknął.

– Zastaliśmy pani męża?

Pani Reynolds pokręciła głową.

– Jeszcze nie wrócił.

– A dokąd poszedł?

Kobieta wzięła głęboki oddech i przysiadła na poręczy skórzanej kanapy.

– Od czasu zniknięcia Elli codziennie jeździ samochodem i jej szuka. Wraca do domu na trochę, żeby coś zjeść i się przespać, a potem znowu wychodzi. Na początku kilka razy z nim pojechałam, ale czułam, że to bez sensu. Jeździć wte i wewte przypadkowymi ulicami, jakbyśmy mieli ją wypatrzeć gdzieś między budynkami, jak zgubionego psa. Ale nie mogę mu przecież zabronić. Serce by mu pękło. W zeszły wtorek na próbę został w domu i oboje prawie chodziliśmy po ścianach. Wczoraj wieczorem po kolacji znowu wyszedł.

– Aktywność pomaga w takich sytuacjach – stwierdził Nash.

Popatrzyła na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu i mówiła dalej.

– Przez pierwszy tydzień bez przerwy dzwoniłam. Do znajomych Elli i do naszych krewnych, do sąsiadów, do każdego, kto chciał odebrać telefon. Schroniska, szpitale, kostnice... Siedzę tu beczynn timer, tkwię w tym domu, czuję się tak... bezradnie. Ale co jeszcze mogę zrobić? Wszędzie wiszą plakaty. Przy

tej pogodzie i tak na niewiele się zdadzą. Ludzie wychodzą na dwór, tylko jeśli muszą.

Porter zrobił głęboki wdech.

– Przykro mi, ale muszę pani powiedzieć...

Pani Reynolds uciszyła go gestem dłoni.

– Nie musi pan nic mówić. Widziałam rano w wiadomościach. Od trzech tygodni nie wyłączamy telewizora. Przysnęłam na kanapie, a kiedy się obudziłam, pokazywali nagranie z parku. Nie powiedzieli wprost, że to Ella, tylko że w zalewie znaleziono ciało jakiejś dziewczyny. Ale matka wie. Wydaje mi się, że wiedziałam już od tygodni. Chyba widziałam pana w telewizji. Wygląda pan jakoś znajomo.

– Bardzo mi przykro.

Pokiwała głową i otarła chusteczką oczy, choć wyglądała, jakby wypłakała wszystkie łzy przynajmniej dwa tygodnie temu.

– Moja Ella na pewno by nie uciekła, byliśmy tego pewni od samego początku. Z każdą minutą od jej zaginięcia traciłam kolejny okruszek nadziei. W dzisiejszych czasach nastolatka nie może tak po prostu zniknąć, jest przecież internet, wszędzie kamery... Kiedy dziewczyna znika bez śladu, to wiadomo, że musiało się zdarzyć coś złego. – Wzięła głęboki oddech. – Jak umarła?

– Prawdopodobnie utonęła. Czekamy na szczegółowy raport patologa.

– Utonęła w tym zalewie?

Porter pokręcił głową.

– Nie... Gdzie indziej. Utopiła się, a potem umieszczono ją w zalewie.

– Chce pan chyba powiedzieć, że ktoś ją utopił. To nie był wypadek, prawda?

– Obawiam się, że nie.

Pani Reynolds wbiła oczy w podłogę.

– Chciałabym zapytać, czy cierpiała, ale obawiam się, że znam odpowiedź, i nie jestem pewna, czy chcę ją usłyszeć z czyichś ust. Przecież porwali ją kilka tygodni temu. Wiadomo, kiedy utonęła? Wiecie, co ten potwór przez tyle czasu wyprawiał z moją córeczką?

Nash również opuścił wzrok.

– Obecnie wiemy niewiele więcej. Mieliśmy nadzieję zdążyć panią poinformować, zanim...

– Zanim dowiedziałam się z innego źródła? To bardzo szlachetne z waszej strony, ale ci dziennikarze... cóż.

– Może się pani skontaktować z mężem? Może powinniśmy do niego zadzwonić, poprosić, żeby wrócił do domu?

Znowu przez dłuższą chwilę patrzyła pustym wzrokiem w przestrzeń, dopóki nie zarejestrowała jego słów. Porter widywał już wcześniej takie odklejenie. W wyniku silnej traumy ludzie czasem oddzielają się nieco od rzeczywistości: obserwują wydarzenia toczące się wokół, ale ich nie przeżywają. Pani Reynolds wygrzebała w końcu komórkę spod koca leżącego na kanapie. Po kilku sekundach powiedziała bezgłośnie „poczta głosowa”, po czym, ze wzrokiem znowu wbitym w ziemię, zostawiła wiadomość:

– Floyd? To ja. Kochanie, wracaj do domu, proszę. Jest... jest tu policja. Znaleźli ją, naszą małą.

Rozłączyła się i rzuciła telefon z powrotem na kanapę.

Trzasnęły tylne drzwi i do salonu wmaszerował mały chłopiec. Zostawił za sobą ślady śniegu na kuchennej posadzce. Był opatulony w granatowy kombinezon, luźną żółtą czapkę, szalik i czarne rękawiczki, nie mógł mieć więcej niż siedem czy osiem lat.

– Mamo, ktoś zrobił bałwanka u nas w ogródku.

Pani Reynolds zerknęła na niego i odwróciła się z powrotem do Portera i Nasha.

– Nie teraz, Brady.

– Bałwanek chyba jest chory.

– Jak to?

– Krew mu leci.

11

LILI

Dzień drugi, 9.12

Przez jakiś czas Lili była sama, ale teraz już nie.

Mężczyzna zszedł do piwnicy i od jakichś dwóch minut stał u podnóża schodów, obserwując ją. Trzymał coś w ręku, ale nie mogła wypatrzeć, co to takiego.

Kiedy w końcu się odezwał, mówił cicho, z namysłem, jakby przećwiczył to, co chciał powiedzieć.

– Nie wypiąś mleka.

Lili rzeczywiście nie wypią mleka i nie zamierzała go pić. Nie zamierzała jeść ani pić niczego, czym ten człowiek chciał ją poczęstować. Wolą umrzeć z głodu, niż cokolwiek od niego przyjąć.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała, owinęła się tylko szczelniej narzutą i wcisnęła w najdalszy kąt klatki.

– Nie musi być niesympatycznie. Chyba że tego chcesz. Ja osobiście wolałbym, żeby było ci wygodnie i przyjemnie – powiedział. – Nie jest ci za zimno?

Pod ścianą po jej prawej stronie stała centrala grzewczo-wentylacyjna połączona z bojlerem. Od kiedy się tutaj obudziła, urządzenie na zmianę włączało się i wyłączało, teraz nie wydawało żadnych dźwięków. Wylot z boku

urządzenia był skierowany prosto na klatkę i leciało z niego bardzo ciepłe powietrze. Nie zamierzała mu jednak tego mówić.

– Koniecznie mi powiedz, jeśli zmarzniesz.

Wyszedł z cienia u podnóża schodów i zbliżył się do jej klatki. Zabawne, pomyślała, jak szybko zaczęła uważać to za swoją klatkę. Gdy w niej siedziała, zdawało jej się, że klatka chroni ją przed zagrożeniem z zewnątrz. Im bardziej się zbliżał, tym większą czuła wdzięczność do metalowej siatki, która ich dzieliła, za poczucie bezpieczeństwa. Sięgnęła do tyłu wolną ręką, wplotła palce w druciane oczka i mocno ścisnęła, czując, jak zimna stal wbija się w skórę dłoni.

Kiedy mężczyzna znalazł się w plamie światła, miała okazję porządnie mu się przyjrzeć. Jego skóra była niewiarygodnie blada, barwy papieru: wyraźnie widziała siateczkę żył na szyi, płytkie bruzdy na policzkach i czole. Czarna wełniana czapka ciasno przylegała mu do głowy, zakrywając włosy – o ile w ogóle jakieś miał. Niżej były cienkie, ledwie zaznaczone brwi. Gdy tylko zobaczyła jego oczy, od razu tego pożałowała. Tak na nią patrzył, głębokim spojrzeniem zza mętnej, szarej chmury. Miał oczy staruszka, pokryte zaćmą czy bielmem. Przy tym wcale nie wyglądał staro, miał najwyżej trzydziestkę. Te oczy do niego nie pasowały, wyglądały nienaturalnie. Prawe oko zdawało się ciemniejsze od lewego, przekrwione. Lili chciała odwrócić wzrok, ale nie zamierzała dać mu takiej satysfakcji. Nie okaże słabości.

– Przepraszam za mój wygląd. Chorowałem. Dzisiaj mam jednak dobry dzień. Przysięgam, że to nie jest zaraźliwe. Nie obawiaj się, proszę – powiedział, mocno sepleniąc.

Lili z całych sił ścisnęła metalową siatkę, z lubością przyjmując ból jako coś, na czym mogła skupić uwagę. Zagryzła zęby i zuchwale wysunęła żuchwę do przodu.

Mężczyźni nie domykały się usta. Każdemu wdechowi towarzyszył cichy świst.

– Wypuszczę cię i będziesz robiła wszystko, co ci powiem. – Zerknął na przedmiot w swojej prawej ręce: paralizator. Lili wiedziała, że te urządzenia nie są zabójcze. Zastanawiała się, jak duży ból sprawiają. Zdoła go odepchnąć, dobiec do schodów i uciec na górę, nawet gdyby ją poraził?

Lewą ręką wsunął klucz najpierw do górnej kłódki, potem do dolnej, wysunął obie z drzwi i powiesił na metalowym ogrodzeniu. Potem podniósł skobel i otworzył drzwi.

Lili, wciąż zastygła w bezruchu, z całej siły zaciskała palce na tylnej ścianie klatki.

– Wyjdź, proszę – powiedział cicho. – Mógłbym cię porazić paralizatorem i wyciągnąć, ale potem musielibyśmy zaczekać, a może nawet zacząć od początku. Najlepiej rób to, co ci mówię.

Świdrował ją wzrokiem tych mętnych oczu. Na prawej dłoni, tuż przy nadgarstku, miał brudny bandaż poplamiony zaschniętą krwią.

– Wyłaź, już! – wrzasnął.

Lili aż podskoczyła i wzięła głęboki oddech.

– Dlaczego zmuszasz mnie do krzyku? Proszę, nie zmuszaj mnie do tego. Nie chcę krzyczeć. Nie chcę być dla ciebie niemiły. Po prostu wyjdź, żebyśmy mogli zacząć, proszę. Im wcześniej zaczniemy, tym szybciej będzie po wszystkim.

Nie chciała, wiedziała, że nie powinna, ale zmusiła się, żeby wstać i podejść do tego mężczyzny, do drzwi klatki. Patrzyła ponad jego ramieniem na schody, na światło docierające tu z góry.

– Inne próbowały uciec po schodach, ale żadnej się nie udało. Możesz spróbować, jeśli chcesz, ale skończy się to porażeniem i tylko opóźnisz całą sprawę. Będziemy musieli zacząć od początku, ale zaczniemy od początku. Najlepiej rób to, co ci mówię – powtórzył uspokajająco. Przez narzutę wyczuwała w dole pleców jego dłoń, popychał ją delikatnie, kierując ku dużej białej zamrażarce stojącej pod ścianą, wzdłuż której biegły schody.

Podniósł pokrywę.

Lili spodziewała się fali lodowatego powietrza – mieli w domu podobną zamrażarkę. Z wnętrza buchnęło jednak ciepłą wilgocią. Zamrażarka była pełna wody. Cofnęła się o krok, próbowała go odepchnąć, ale wypustki paralizatora wbijające się w plecy powstrzymały ją przed dalszymi ruchami.

– Woda jest przyjemnie ciepła. Dotknij, nie bój się.

Lili patrzyła, jak jej dłoń sięga ku zamrażarce, jakby działała zupełnie samodzielnie, poza jej kontrolą. Zanurzyła palce w wodzie. Była ciepła, znacznie cieplejsza niż powietrze w piwnicy.

– Radziłbym ci się rozebrać. Tak jest lepiej.

Rzucił to nonszalancko, całkowicie swobodnym tonem, jakby rozmawiała dwójka starych dobrych znajomych.

– Nie będę... – wyrwało się Lili, zanim się zorientowała, że coś mówi. Ugryzła się w język i pokręciła głową. Zacisnęła dłonie na narzucie i jeszcze szczelniej owinęła ją wokół swojej drobnej sylwetki. Chciała się odsunąć od zbiornika z wodą, ale mężczyzna stał tuż za nią. Czuła na szyi powiew ciepłego oddechu.

Jego lewa ręka opadła na jej ramię i pociągnęła za narzutę.

Lili wrzasnęła, pierwszy raz, odkąd się tu znalazła, naprawdę wydała jakiś odgłos. Krzyczała najgłośniej, jak potrafiła, dźwięk był tak potężny, że czuła, jakby gardło ciął jej ostry nóż. Odbijał się echem od ścian piwnicy i odwrzaskiwał jej głosem, który nie należał do niej. Ten głos brzmiał jak u przerażonej małej dziewczynki, kogoś, kto stracił panowanie nad sobą, kto się poddał, kogo nie chciała znać.

Metalowe wypustki paralizatora wgryzły się w jej szyję niczym dwa zimne zęby, a potem poczuła ból tak silny, jakby przenikał każdy centymetr jej ciała, ostrze nacinające skórę od stóp po czubki palców u rąk. Oczy uciekły jej w tył głowy, nogi odmówiły posłuszeństwa. Krzyk Lili natychmiast ucichł i ogarnęła ją cisza.

Ocknęła się na podłodze, leżała na narzucie. Mężczyzna właśnie ściągał jej majtki. Wszystkie pozostałe ubrania już z niej zdjął. Lili próbowała sięgnąć po

krawędź narzuty, żeby się zakryć, ale ręka jakby nie słuchała poleceń mózgu. Spojrzała na palce, które nadal dygotały.

– Nie chciałem cię razić prądem. Nie chcę cię skrzywdzić. Proszę, nie zmuszaj mnie do tego, żebym znowu cię skrzywdził – powiedział. – Kiedy skończymy, dostaniesz ubrania z powrotem. Tak będzie lepiej, sama zobaczysz.

Lili zrozumiała, co się teraz stanie, i próbowała się na to psychicznie przygotować.

Mężczyzna objął ramieniem jej plecy, drugie wsunął pod kolana i podniósł ją z podłogi. Chociaż wyglądał na schorowanego, okazał się zaskakująco silny. Zaniósł ją nad zamrażarkę wypełnioną ciepłą wodą i delikatnie opuścił do środka. Lili miała metr pięćdziesiąt siedem. Kiedy wyprostowała nogi, palcami u stóp musnęła przeciwległą ściankę. Mężczyzna trzymał ją pod ramiona, żeby jej głowa nie zanurzyła się pod wodę.

– Ciepło, prawda? Przyjemnie.

Ciepła woda rzeczywiście działała na nią dziwnie kojąco: czuła się tak, jakby zsunęła się do basenu i dryfowała, pozwalając się unosić wodzie. Lili zorientowała się, że wraca jej czucie w palcach, w ramionach – ciepło masowało jej kończyny, przywracając je do życia.

– Zamknij oczy, zrelaksuj się – powiedział uspokajającym tonem, prawie nie sepleniąc. Z opanowaniem. – Zrób głęboki wdech, odetchnij sobie porządnie.

Lili tak właśnie zrobiła, nie dlatego, że jej kazał, ale ponieważ sama chciała. Rozchyliła usta i wzięła haust piwnicznego powietrza, napełniła nim płuca, tak jak uczyła się na zajęciach jogi: oczyszczający, głęboki, pełny oddech.

– A teraz powoli wypuść, poczuj, jak powietrze opuszcza twoje ciało – wyszeptał. – Poczuj każdą jego cząsteczkę.

Lili wypuściła...

Mężczyzna popchnął ją w dół i zanurzył w wodzie z taką siłą, że uderzyła głową o dno zamrażarki. Wierzgała, wymachiwała rękami. Na krótką chwilę zdołała chwycić się górnej krawędzi, ale gładki plastik zaraz wyślizgnął się z jej ręki.

Lili potrafiła długo wstrzymać oddech, kiedy ostatnio ktoś mierzył jej czas, udało jej się wytrzymać prawie dwie minuty. Ale musiałaby wcześniej nabrać dużo powietrza do płuc, jakoś się przygotować. Nie napełniła płuc, wręcz przeciwnie, opróżniła je, zgodnie z rozkazem tego mężczyzny, a kiedy wepchnął ją pod powierzchnię, zrobiła wdech – organizm rozpaczliwie próbował złapać powietrze. Zachłysnęła się wodą i natychmiast zaczęła kaszleć, wyrzucając ją z siebie, jeszcze zanim uderzyła głową o dno, ale kaszląc, nabierała jeszcze więcej wody. Woda napełniła jej gardło i zalała płuca, wywołując ból tak dotkliwy, że Lili poczuła, jakby zaraz miała implodować. Kiedy przestała się rzucać i wierzgać, ból ustąpił i przez ułamek sekundy Lili pomyślała, że nic jej nie będzie, że jej ciało jakimś cudem znalazło sposób, żeby przeżyć pod wodą, i znieruchomiała. Zobaczyła mężczyznę, który z rozchylonymi ustami gapił się na nią z góry tymi szarymi, przekrwionymi oczami. Woda zniekształcała obraz, ale dobrze go widziała. Potem ogarnęła ją całkowita ciemność i nie widziała już nic.

12

CLAIR

Dzień drugi, 9.13

Clair i Sophie Rodriguez podjechały pod dom Lili Davies przy South King Drive i zaparkowały zieloną hondę civic Clair za dwoma wozami transmisyjnymi. Oba miały podniesione anteny satelitarne, ale nigdzie nie było widać dziennikarzy ani kamerzystów.

W powietrzu unosiły się drobne płatki śniegu, niebo było białe i zamglone.

– Zimno jak w psiarni – rzuciła Clair i zatarła zmarznięte dłonie.

– Zawsze się zastanawiałam, skąd się wzięło to powiedzenie – odparła Sophie, obserwując wozy satelitarne.

– Psiarni się nie ogrzewało, bo dawniej pieski były niekochane.

– O, to tak jak ja.

Clair zerknęła na koleżankę.

– A co z tamtym gościem, z którym się spotykałaś? Jak mu było, James, John, Joe...?

– Jessie. Jessie Casanova.

Clair zachichotała.

– Serio się tak nazywał? Casanova?

Sophie przewróciła oczami.

– Przepraszam, wiem, że nabijanie się z nazwisk jest strasznie niedojrzałe, ale błagam, Casanova? Z takim nazwiskiem to raczej trudno o subtelne zaloty.

– A okazało się, że żaden z niego casanova. W tym głównie tkwił problem. Miałam nadzieję na jakąś akcję, ale gość zachowywał się jak staroświecki dżentelmen. Przez cztery randki nie doczekałam się niczego więcej niż buziak w policzek. Dziewczyna potrzebuje trochę pieśczoł.

– Tak jak pies.

– Tak jak pies – przytaknęła Sophie.

– Ciągłe się nie zagrzałam – stwierdziła Clair.

– Ja też nie.

– Ale psiarnia.

– Totalnie psiarnia. – Sophie zadrzała.

Clair obróciła się w fotelu, rozglądając się dookoła, po czym wskazała na budynek obok.

– To dom Lili Davies, zgadza się?

– Tak, siedemset czterdzieści osiem.

– A gdzie jest szkoła?

Sophie pokazała palcem przez okno.

– O cztery przecznice na wschód. Prawie ją stąd widać.

W miejsce malutkich śnieżynek zaczęły teraz padać takie nieco większe od ulubionych płatków śniadaniowych Clair. Przeszedł ją niekontrolowany dreszcz. Zasunęła kurtkę do samej góry, obwiązała szyję grubym wełnianym szalikiem, na głowę nałożyła puchatą różową czapkę. Kiedy odwróciła się z powrotem do Sophie, zobaczyła, że ta zrobiła to samo.

– Wyglądasz jak Piankowy Marynarzyk z *Pogromców duchów*.

Sophie parsknęła.

– A ty jak odnaleziona po latach siostra Willy’ego Wonki.

– Świetna z nas para. Chodźmy. – Clair pociągnęła za klamkę i wysiadła na chodnik. Śnieg pokrywał ziemię pięciocentymetrową warstwą i nie przestawał padać, zacinał w twarz. Podskoczyła parę razy, czekając, aż Sophie obejdzie samochód. Z ust buchała jej para. Kobiety ruszyły Sześćdziesiątą Dziewiątą Ulicą na wschód, zgarbione brnęły pod wiatr sypiący śniegiem.

Kiedy przeszły przez Vernon Avenue, Clair się zatrzymała i utkwiała wzrok w jakimś punkcie.

– Gdybym chciała kogoś porwać, to wygląda mi na niezłe miejsce.

Wpatrywała się w ciemne tunele pod estakadą, w miejscu, w którym autostrada Chicago Skyway przechodziła nad Sześćdziesiątą Dziewiątą. Trzy pasy ruchu w każdą stronę, każdy około pięciometrowej szerokości, w sumie jakieś trzydzieści metrów od pobocza do pobocza z wąską barierą pośrodku. Chociaż w każdym odcinku tunelu paliły się po trzy lampy, tylko nieznacznie rozświetlały zimowy mrok.

Clair spojrzała w niebo, wypatrując słońca.

– O której jest teraz wschód?

Sophie przechyliła głowę na bok, między brwiami pojawiła jej się zmarszczka.

– Mniej więcej koło siódmej.

– Nasza dziewczyna szła tędy wczoraj jakieś dwie godziny wcześniej, niedługo po wschodzie słońca. O ile w ogóle się wynurzyło. Raczej tu pustawo, chociaż tuż przed rozpoczęciem lekcji może być większy ruch. Tak czy inaczej, ktoś mógł tu spokojnie zaparkować, może symulować awarię samochodu i złapać ją, kiedy przechodziła. Stawiałabym na tunel, całą resztę okolicy widać jak na dłoni.

Dotarły do wjazdu pod wiadukt. Sophie przyłożyła rękę do betonowej ściany.

– To porządna dzielnica. Ani kawałka graffiti, żadnych śladów obecności bezdomnych. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł tu zaparkować na dłużej i nie zwrócić na siebie uwagi.

Przeszły chodnikiem pod autostradą, ich kroki odbijały się echem od ścian tunelu. Kiedy znalazły się po drugiej stronie, Sophie wyciągnęła rękę i powiedziała:

– To jej szkoła.

Prywatna szkoła Wilcox Academy mieściła się w zaadaptowanym budynku po starej fabryce czy magazynie. Ściany z czerwonej cegły wyglądały jednak tak

nieskazitelnie, jakby postawiono je nie dalej niż przed rokiem. Parking przed fasadą szkoły, z napisem „TYLKO DLA PERSONELU”, był pełny. Po drugiej stronie ulicy znajdował się ogólnodostępny parking, z którego prawdopodobnie korzystali uczniowie.

Clair otworzyła duże przeszklone drzwi i weszła do środka, wypuszczając na zewnątrz falę ciepła.

– W taką pogodę mam ochotę wskoczyć do auta i pojechać prosto na Florydę.

– Czym mogę służyć?

Clair odwróciła się i zobaczyła starszego ochroniarza siedzącego przy stoliku na lewo od wejścia. Kiedy zrobiła krok do przodu, rozległ się dźwięk jakiegoś brzęczyka.

Strażnik wskazał na drzwi.

– Wykrywacz metalu wbudowany w futrynę.

Clair pokazała odznakę.

– Detektyw Norton z policji Chicago, a to Sophie Rodriguez ze stowarzyszenia Zaginione Dzieci. Badamy sprawę zaginięcia jednej z tutejszych uczennic, Lili Davies.

Strażnikowi zrzęda mina.

– Słyszałem o tym w drodze do pracy. Okropnie mi żal tej rodziny. Taka dobra dziewczyna.

Sophie nieznacznie odwróciła głowę w jego stronę.

– Zna ją pan?

Pokiwał twierdząco głową.

– To mała szkoła, w sumie może dwieście dzieciaków. Codziennie każdego widuję, więc trudno, żebym ich wszystkich nie poznał. Jestem byłym policjantem, pracowałem w Pittsburghu, przeszedłem na emeryturę jakieś sześć lat temu. Jeśli mogę wam jakoś pomóc, jestem do dyspozycji.

– Co może nam pan o niej powiedzieć? – zapytała Clair.

– Jak już mówiłem, nigdy nie było z nią żadnych problemów. Zwykle docierała na miejsce koło wpół do ósmej. Większość uczniów przed pierwszym

dzwoniem sterczy na tym parkingu po drugiej stronie ulicy, ale ona nie. Wolała przyjść wcześniej, uniknąć tłoku i spokojnie zdążyć na lekcje. Nie miała zbyt wielu przyjaciół. – Zamachał ręką. – Nie zrozumcie mnie źle, była lubiana, ale trochę introwertyczka. Zawsze było widać, że dużo się u niej w głowie dzieje. Wiecznie zamyślona.

Sophie wyjrzała przez okno na samochody naprzeciwko.

– Zabierała się czasem z kimś autem?

Pokręcił głową.

– Może i ktoś ją podwoził, ale nic mi o tym nie wiadomo. Jeśli widziałem ją przed szkołą, to zwykle szła chodnikiem, tak samo jak wy.

Clair ściągnęła czapkę i szalik.

– A Gabrielle Deegan? Ją pewnie też pan zna?

Kącik jego ust uniósł się lekko w górę, ochroniarz potarł się po podbródku.

– Gabby ma swoje wady, ale w gruncie rzeczy też dobra z niej dziewczyna. Często trzymają się razem, podobno przeciwieństwa się przyciągają.

– Jak to?

Rozejrzał się po korytarzu, po czym zwrócił się znowu do nich, zniżając głos.

– Czasem muszę ją upomnieć. W końcu jestem tu od pilnowania porządku. Ale widzę, jaka jest naprawdę: dziewczyna, która po prostu chce zwrócić na siebie uwagę. Mnie nie oszuka. Nigdy by się do tego nie przyznała, przeciwnie, zapierałaby się ze wszystkich sił, ale ja myślę, że jest tu jedną z najbystrzejszych uczennic. Wydaje mi się, że popisuje się z nudów, a nie dlatego, że taka z niej łobuzica. Kiedyś będą z niej ludzie. A na razie ja tu jestem i pilnuję, żeby trzymała się z daleka od poważnych tarapatów, choć czasem przymykam oko na mniejsze wybryki, staram się to jakoś wyważyć. W każdym roczniku jest przynajmniej jeden taki przypadek.

– Wie pan, gdzie możemy ją teraz znaleźć?

– Zadzwońię na górę i poproszę, żeby ktoś ją tutaj przysłał – odparł i sięgnął po telefon leżący na stoliku. – Pilnujcie portfeli i biżuterii – dodał, puszczając do nich oko.

13

PORTER

Dzień drugi, 9.14

Porter i Nash stali w progu tylnego wyjścia z domu Reynoldsów i patrzyli na ogródek.

Około piętnastu metrów od nich, pod wysoką brzozą w lewym kącie, tkwił bałwan i odwzajemniał ich spojrzenie.

Czarne paciorkowe oczy lśniły spod cylindra na głowie. Bałwan był ogromny, miał co najmniej dwa metry, może więcej, gruby korpus lśnił kryształkami lodu, do śnieżnej piersi miał przytwierdzoną czerwoną różę.

Ręce zrobiono z gałęzi, na końcu każdej z nich umieszczono czarną rękawiczkę. W prawej ręce bałwan trzymał trzonek drewnianej miotły. Z prowizorycznych ust sterczała fajka z kaczana kukurydzy, a z białej szyi kapła ciemna krew.

Ciągle padał śnieg, w powietrzu unosiła się biała mgiełka. Scena wyglądała dziwnie, bardzo malowniczo. Porter czuł się tak, jakby patrzył na obrazek w książeczce dla dzieci, jakby to się nie działo naprawdę. Po prawej stronie stała huśtawka, a za ogródkiem zaczynał się las.

– Nie ulepił go nikt z domowników? – upewnił się Nash.

– Nie – odparła pani Reynolds, mocno obejmując synka.

Wydusiła z siebie jednowyrazową odpowiedź, ale nie odrywała wzroku od dziwnego intruza.

Porter pociągnął za suwak, sięgnął pod płaszcz i wyjął glocka. Brady wytrzeszczył oczy.

– Jeju, mamó, ten pan zabije bałwana?

– Nie zrobię żadnej krzywdy bałwanowi. Obawiam się, że to on może zrobić mi coś złego – odpowiedział Porter cicho. – Widziałeś tu kogoś innego? Kogokolwiek?

– Nie, proszę pana.

– Możesz zabrać mamę z powrotem do salonu na kilka minut? Musimy coś tu sprawdzić z kolegą, zaopiekujesz się mamą?

Brady pokiwał głową. Porter przeniósł wzrok z chłopca na jego matkę.

– No to brykajcie.

Kiedy zostali sami, zwrócił się do Nasha.

– Zostań tu i nie spuszczaaj wzroku ani muszki z tego lasu.

Nash wyciągnął broń i utkwiał czujne spojrzenie w drzewach.

Porter wyszedł z progu kuchni na padający śnieg. W tyle głowy zaczęła mu grać stara piosenka dla dzieci.

Odciski małych stóp znaczyły świeży śnieg – w pobliżu drzwi ścieżki się przecinały, ale do bałwana prowadziła tylko jedna. Porter starał się podążać dokładnie po śladach: wolał robić małe kroczyki, stawiać stopy tam gdzie chłopiec, niż niepotrzebnie narobić dodatkowych odcisków. Przez prawie całą noc sypał śnieg, napadało kilka, może kilkanaście centymetrów, ale wydawało mu się niemożliwe, żeby ktoś zbudował coś takiego i nie zostawił żadnych śladów. Jego wzrok powędrował do miotły sterczącej z dłoni bałwana. Owszem, możliwe, że ktoś zamiótł ślady miotłą, ale to nie tłumaczyło, w jaki sposób wetknął ją potem bałwanowi, nie zostawiając chociaż jednej wydeptanej ścieżki. Porter zauważył też, że teren jest ogrodzony. Druciana siatka wysoka na metr dwadzieścia. Brama do ogródka od frontu była otwarta.

Porter zauważył nieznaczny ślad ciągnący się od tamtej bramy do bałwana. Nie tyle odciski butów, ile długie wgłębienie, jakby przeciągnięto coś ciężkiego sprzed domu do ogródka na tyłach.

Stanął przed bałwanem.

Górował nad nim, przewyższał Sama o dobre trzydzieści centymetrów. Z tej perspektywy uśmiech na jego twarzy, zrobiony z kawałeczków gałęzi, przypominał raczej złośliwy grymas.

Porter pamiętał, że w dzieciństwie zbudował setki takich figur – toczyło się kulę śnieżną, aż zmieniała się w śnieżny blok, którego nie dało się już ruszyć. Zwykle przy lepieniu bałwana zaczyna się od dużej kuli, która stanowi podstawę, na niej umieszcza się mniejszą, pełniącą funkcję torsu, a na samej górze najmniejszą – głowę.

Tego bałwana jednak tak nie ulepiono.

Śnieg był mocno ubity. Ktoś zadał sobie trud wyrzeźbienia bałwana, zamiast skorzystać z szybszej metody tradycyjnej.

Wszystkie te myśli przeleciały przez głowę Portera w chwili, gdy zmierzył śnieżną figurę wzrokiem od góry do dołu, aż w końcu jego spojrzenie spoczęło na ciemnej czerwieni na szyi – ciemnej czerwieni plamiącej śnieg jak syrop owocowy na rożku lodowym.

Porter ułamał gałąź z pobliskiego dębu i za pomocą rozszczepionego końca ostrożnie dźgnął śnieg pod najciemniejszą czerwoną plamą, gdzie płyn krzepł u podstawy szyi. Autor rzeźby musiał w trakcie pracy spryskiwać śnieg wodą, tak by zamarzała na lód – również i tę sztuczkę Porter pamiętał z dzieciństwa. Porządnie zrobiony bałwan powinien być solidny jak kamienny posąg, mógł przetrwać do końca zimy. Jeśli jednak nie utwardziło się śniegu, kawałki bałwana zaczynały odpadać w pierwszych promieniach słońca. Po południu połowa dzieła leżała na ziemi w mokrych kupkach.

Porter przebił się gałęzią przez lód i zeszkrobał nieco ubitego śniegu, aż dokopał się na tyle głęboko, żeby zobaczyć rozszarpaną szyję człowieka ukrytego pod spodem.

14

LILI

Dzień drugi, 9.15

Bolało.

Okropnie bolało.

Ciałem Lili wstrząsnął potężny spazm, jej płuca z całych sił próbowały pozbyć się wody, wykaszleć ją. Znów się zachłysnęła i zrobiła wdech, chociaż wcale nie chciała, nie chciała już wsysać więcej wody, nie chciała umierać. A jednak zrobiła wdech, było to odruchowe jak oddychanie, ale tym razem jej płuca napełniły się powietrzem. Odkasznęła jeszcze raz, wypluwając więcej wody z gardła i płuc. Gwałtownie nabrała powietrza.

Było jej zimno.

Okropnie zimno.

Nie znajdowała się już w wodzie, leżała na betonowej posadzce.

Otworzyła oczy.

Mężczyzna klęczał nad nią i przyciskał dłonie do jej klatki piersiowej.

Kiedy ich oczy się spotkały, znieruchomiał. Zrobił oczy jak spodki i pochylił się nad nią, poczuła na twarzy powiew nieświeżego oddechu.

– Co widziałaś?

Lili nabrała kolejny haust powietrza i połknęła, a potem następny.

– Wolniej, zaczynasz hiperwentylować. – Złapał ją za prawą rękę i przycisnął kciuk do jej nadgarstka. – Nadal masz trochę nieregularne tętno, ale unormuje

się. Leż spokojnie. Wdech przez nos, wydech przez usta, długie, kojące oddechy.

Lili posłusznie zmusiła się do wolniejszego oddychania. Wracało jej czucie w palcach u rąk i nóg. Było jej okropnie zimno. Zaczęła się niekontrolowanie trząść.

Mężczyzna wziął narzutę i otulił jej ciało stęchlą tkaniną.

– Kiedy umarłaś, natychmiast zaczęła ci spadać temperatura. Za chwilę powinna wrócić do normy. Co widziałaś?

Próbowała mruganiem przegonić mgłę zasnuwającą jej oczy, ale utrzymywanie ich otwartych sprawiało jej ból. Słabe światło wydawało się teraz niewiarygodnie jasne, gorące, parzące. Kiedy zacisnęła powieki, poczuła lekkie klepnięcie w policzek.

„Umarłaś”?

– Co widziałaś? – zapytał znowu. Zaczął pocierać jej ramiona przez narzutę, tarcie powoli ją rozgrzewało.

– U...umarłam? – Resztką wody zadrapała ją w gardle i Lili znów się rozkaszała.

– Utonęłaś. Twoje serce nie biło przez dwie minuty, potem cię zreanimowałem. Co widziałaś?

Lili słyszała jego słowa, ale potrzebowała dłuższej chwili, żeby je sobie przyswoić. Jej mózg pracował na zwolnionych obrotach, myśli poruszały się ospale.

Bolała ją klatka piersiowa. Czowała ostre klucie gdzieś w żebrach. Dotarło do niej, że prawdopodobnie zrobił jej resuscytację, żeby wycisnąć wodę z płuc i wznowić akcję serca.

– Chyba mam połamane żebra.

Złapał ją za ramiona i potrząsnął jej bezwładnym ciałem.

– Opowiedz mi, co widziałaś! Musisz mi opowiedzieć, zanim zapomnisz! Zanim przepadnie!

Ból w piersi palił jak nóż patroszący ją od brzucha do mostka. Lili wrzasnęła.

Mężczyzna puścił ją i cofnął się nieco.

– Przepraszam, strasznie mi przykro. Musisz mi tylko opowiedzieć i będzie po wszystkim, po prostu mi opowiedz.

Lili się zastanowiła, wróciła myślami do chwili, w której zanurzyła się pod wodę, kiedy... czy naprawdę utonęła? Pamiętała wdychanie wody, utratę świadomości. Pamiętała ciemność.

Pamiętała nicłość.

– Niczego nie widziałam. Chyba zemdlalam.

– Umarłaś.

– Ja... – Nie umiała dokończyć. Nie pamiętała kompletnie niczego.

Tkwiał nad nią i świdrował dzikim spojrzeniem wytrzeszczonych, przekrwionych oczu. Z kącików ust spływała mu ślina.

– Pamiętam, jak straciłam przytomność, a potem mnie pan ocucił. Nic więcej.

– Coś chyba musisz pamiętać?

Lili pokręciła głową.

– Nic.

Odsunął się od niej i usiadł, opierając plecy o zamrażarkę. Ściągnął czapkę i z frustracją zaczął drapać się po głowie.

Lili znów zachłysnęła się powietrzem, ale tym razem z szoku.

Na ogolonej skórze czaszki mężczyzny rysowało się ogromne, świeże cięcie chirurgiczne. Zaczynało się nad lewym uchem i biegło ku tyłowi głowy. Fioletowa, spuchnięta skóra była zszyta czarną nicią.

Naciągnął czapkę z powrotem, zakrywając ranę, i wstał, wyraźnie oszczędzając lewą nogę. Schylił się i podniósł Lili do pozycji stojącej. Krew gwałtownie odpłynęła jej z głowy, zachwiała się i zrobiło jej się białe przed oczami. Podtrzymał ją na nogach, dopóki nie zdołała ustać samodzielnie, i zaprowadził z powrotem do klatki. Wrzucił do środka ubrania i z hukiem zatrzasnął drzwiczki, po czym zamknął obie kłódki.

– Możesz się ubrać. Spróbujemy jeszcze raz za kilka godzin. Następnym razem zapamiętasz – zapowiedział. Ruszył ku schodom, delikatnie powłócząc prawą nogą. – Wypij mleko. Przyda ci się siła.

Lili rzuciła okiem na szklanę, teraz już ciepłą. Pływała w niej utopiona mucha.

15

CLAIR

Dzień drugi, 9.17

Ochroniarz zaprowadził Clair i Sophie do kącika z miejscami do siedzenia i wykonał kilka telefonów. Pod ścianą holu stały czarna skórzana kanapa i dwa fotele do kompletu, umieszczono tam również tabliczkę z napisem: „DARMOWE WI-FI – HASŁO DOSTĘPNE U PRACOWNIKA OCHRONY”.

Clair z zaciekawieniem przyjrzała się liściom sporego drzewka w doniczce.

– Jak to możliwe, że nie więdnie? Tutaj w ogóle nie ma światła słonecznego.

Sophie zerknęła na roślinę.

– Ten fikus? One są jak chwasty. Pochłaniają każde światło. Ten pewnie ciągnie światło z jarzeniówek pod sufitem i każdy promień, jaki uda mu się złapać z okien przy drzwiach wejściowych.

– Drzewo Frankensteina. Żywi się sztucznym syfem, a wygląda całkiem zdrowo. Też bym tak chciała – stwierdziła Clair.

– To obok to filodendron. Je też łatwo utrzymać przy życiu, wystarczy tylko podlewać, kiedy ziemia zaczyna wysychać. Mam kilka w domu. Praktycznie nie do zabicia.

– Hm, ja pewnie bym go zabiła. Po moich eksperymentach z roślinami zostają tylko uschnięte gałązki i zwiędłe pąki. Marna ze mnie ogrodniczka.

Usłyszały odgłos zbliżających się kroków, podniosły wzrok i zobaczyły na schodach nastolatkę z fioletowym plecakiem zarzuconym na ramię. Niewysoka,

jakiś metr pięćdziesiąt, brązowe włosy do ramion z różowymi pasemkami. Na ich widok zwolniła i obrzuciła je baczny spojrzeniem.

– Gabrielle Deegan? – zapytała Clair.

Dziewczyna skinęła głową, pokonała ostatnie stopnie i podeszła do nich.

– Szukacie Lili?

– Tak – odparła Sophie i wskazała na jeden z pustych foteli. Dziewczyna zerknęła na ochroniarza, który uśmiechnął się do niej krzepiąco, i opadła na siedzenie. Sophie i Clair usiadły na kanapie naprzeciwko. – Sophie Rodriguez, jestem z Zaginionych Dzieci, a to detektyw Clair Norton z policji.

Clair zauważyła, że Sophie nie wspomniała nic o wydziale zabójstw.

– Mówcie mi Gabby. Nikt nie zwraca się do mnie Gabrielle poza tamtym facetem. – Ruchem głowy wskazała ochroniarza. – Kapitan Prawa i Porządku. Powinnam szukać Lili, ale ten tu pilnuje wyjścia ze szkoły bardziej niż cnoty swojej córki.

Clair i Sophie wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, starając się nie uśmiechać.

– Macie już jakieś podejrzenia?

Gabby miała na sobie tradycyjny mundurek szkolny, ale Clair zauważyła, że białej bluzki nie wpuściła w spódnicę, a ta z kolei wyglądała na skróconą o kilka centymetrów powyżej przepisowej długości. Miała przekłute uszy, brew i wargę, ale w uszach nosiła tylko małe, srebrne, okrągłe kolczyki. Regulamin niewątpliwie zabraniał innej biżuterii – jeżeli komuś zależało na wyróżnieniu się z tłumu, tu raczej nie miałby szansy na indywidualizm. Zawsze gdy Clair przekraczała próg prywatnej szkoły, przypominała jej się scena z teledysku *Another Brick in The Wall*, w której szeregi identycznych uczniów maszerują równym krokiem prosto do gigantycznej maszynki do mielenia mięsa.

– Nie ma jej już od doby – ciągnęła Gabby. – Może leży gdzieś w rowie albo przywiązana do łóżka i jakiś nawiedzony psychol każe jej mówić do siebie „tatusiu”, a potem spuszcza się jej na cycki. Jeśli porwał ją ten cały 4MK, to nie wiadomo, co z nią wyrabia. Musicie ją znaleźć.

– Kiedy ostatnio z nią rozmawiałaś? – zapytała Clair.

– W środę wieczorem. Była w pracy – odparła Gabby. – Wysłała mi wiadomość z galerii.

– Co pisała?

– Właściwie to nic, wysłała tylko zdjęcie nowego mustanga. Wiśniowy, przepiękny. Tata obiecał, że w przyszłym roku kupi jej samochód na zakończenie liceum, więc od jakiegoś czasu wysyłałyśmy sobie zdjęcia fajnych aut. Jeszcze nie jest pewna, jaki by chciała, ale ojciec powiedział, że jeśli będzie miała same szóstki na świadectwie, to będzie mogła sama wybrać. Jest lekarzem, więc możliwe, że mówi poważnie. Mówiłam jej, że powinna sobie zażyczyć maserati, ale ona nie chce przesadzać. Szuka czegoś zajebistego, ale w rozsądnej cenie. Ciągle jej powtarzam, żeby rozbiła bank, skoro ma taką okazję, więc wysłała mi fotkę mustanga, a ja odesłałam jej taką.

Podniosła telefon. Clair nachyliła się bliżej.

– Co to za samochód?

– Tesla roadster. Już ich nie produkują, ale to zajebiste auto. Całkowicie elektryczny, a rozpędza się od zera do setki w dwie koma siedem sekundy. Na jednym ładowaniu przejedzie kilkaset kilometrów. Przestali je produkować w dwa tysiące dwunastym, ale nic nie ma takich dobrych parametrów, nawet najnowsze samochody elektryczne. Można je teraz kupić za siedemdziesiąt tysi, ale po premierze ceny dochodziły do paru stów.

Clair pomyślała o swojej siedmioletniej hondzie civic zaparkowanej na ulicy i pomyślała, że powinna chyba zadzwonić do taty i poprosić o nowe auto. Ta metoda była niewątpliwie znacznie atrakcyjniejsza niż ciułanie na używany samochód, na który i tak musiała wziąć zbójcko oprocentowaną pożyczkę u sprzedawcy.

– Mogę zobaczyć?

Gabby podała jej telefon.

Clair przewinęła wiadomości. Dziewczyny nic nie pisały, przez ostatnie kilka tygodni wymieniały się tylko zdjęciami samochodów.

– Miała nadzieję, że niedługo zrobi prawko i może namówi tatę, żeby wcześniej kupił jej samochód – ciągnęła Gabby. – Dostaje same szóstki od czasu malowanek w przedszkolu. Raczej się to nie zmieni przez najbliższy rok. Myślałyśmy sobie, że fajnie by było jeździć do szkoły, chociaż to tylko parę przecznic.

Clair oddała jej telefon.

– A ty masz prawo jazdy?

Gabby pokręciła głową.

– Nie potrzebuję, przynajmniej na razie. Wystarczają mi pociągi i autobusy. W mieście czasem cholernie trudno znaleźć miejsce do parkowania. Stwierdziłam, że najlepsza opcja to wozić się z kimś innym. – Uśmiechnęła się szelmowsko. – Zwłaszcza teslą roadsterem.

– Robisz tak czasem? – zapytała Sophie. – Jeździsz z kimś do szkoły?

Gabby zmieniła pozycję w fotelu i podrapała się w łokieć.

– Czasem, kiedy jest brzydka pogoda. Na Sześćdziesiątej Dziewiątej zawsze mija nas ktoś znajomy. Jeśli leje albo pada śnieg, czasem łapiemy stopa.

– A wczoraj rano? Jak myślisz, Lili mogła poprosić kogoś o podwózkę? – spytała Clair.

Gabby zastanowiła się chwilę.

– Nieźle sypało, więc to chyba całkiem możliwe.

– Potrzebujemy listy wszystkich osób, które mogły ją podwieźć. Dałabyś radę to spisać? – zapytała Sophie.

Gabby zachichotała.

– Myślicie, że porwał ją któryś z naszych chłopaków? Nie ma szans. Skopałaby mu tyłek, zanim zdążyłby wyjąć fiutka.

Sophie przechyliła głowę.

– A wsiadłaby do kogoś obcego?

– Nie.

– No to... – Sophie urwała znacząco.

Gabby nachyliła się do przodu, splatając palce rąk.

– Rano na Sześćdziesiątej Dziewiątej jest pełno uczniów, na chodniku i w samochodach. Gdyby ktoś próbował ją wciągnąć do auta albo coś w tym stylu, inni na pewno by zauważyli.

– A gdyby wsiadła do samochodu znajomych? – zapytała Clair. – Myślisz, że ktoś by zwrócił uwagę?

Gabby westchnęła ciężko.

– Nie wiem. Może.

– Mogłabyś przygotować taką listę? Wypisz każdego, kto przyjdzie ci do głowy, a z kim mogłaby się zabrać samochodem.

Gabby pokiwała głową i wyjęła z plecaka zeszyt.

16

PORTER

Dzień drugi, 10.26

Wewnątrz bałwana znaleźli Floyda Reynoldsa z głęboką raną ciętą szyi. Ktoś przywiązał go do metalowego słupa z dużego karmnika dla ptaków, a potem zbudował wokół niego bałwana, pokrywając zwłoki kolejnymi warstwami śniegu i lodu.

Porter i Nash z niedowierzaniem patrzyli, jak technicy kryminalistyczni usuwają bryły śniegu, ostrożnie pakując każdą z nich do torebki i opisując do analizy w laboratorium, powoli odsłaniając mężczyznę ukrytego pod spodem.

– To musiało zająć sporo czasu – powiedział Nash cicho.

– Co najmniej parę godzin – zgodził się Porter.

– Jak można zrobić coś takiego, żeby nikt nie zauważył?

Porter powiódł ręką po ogrodzie.

– Z tyłu mamy drzewa, żywopłot po prawej osłania przed sąsiadami, po lewej drewniany płot. Żeby ktoś zobaczył, co tu się dzieje, musiałby wejść przez furtkę przed domem. Ogródka na tyłach nie widać z ulicy.

– Pani Reynolds jest nieobecna myślami, a chłopiec pewnie już dawno spał, kiedy się zaczęło – dodał Nash, jakby myślał na głos.

Porter spuścił wzrok i ruszył do ogródka przed domem.

Nash szedł o kilka kroków za nim, starając się podążać dokładnie jego śladem, żeby nie mnożyć odcisków stóp. Robił to jednak raczej

z przyzwyczajenia niż z realnej potrzeby. Technicy już zbadali śnieg i niczego nie znaleźli.

Porter otworzył furtkę pchnięciem, zawahał się chwilę, po czym podszedł do srebrnego lexusa LS zaparkowanego na podjeździe. Samochód stał z boku, nie było go widać z okien domu. Pani Reynolds sądziła, że mąż wyruszył na objazd, a on najprawdopodobniej nawet nie odpalił silnika.

Sprawca otworzył tylne drzwiczki, wślizgnął się do samochodu i przyczaił za fotelem kierowcy.

– Czekał tutaj na Reynoldsa, schował się pewnie pod tylnym siedzeniem. Mają tu lampy z czujnikiem ruchu. Pani Reynolds mówiła, że mąż wyszedł po kolacji, więc pewnie było już ciemno. Światło się włączyło, więc jedyne miejsce, gdzie można się ukryć, to podłoga samochodu. Począł, aż Reynolds wsiądzie i zamknie drzwi, może nawet zapnie pas. Potem się wychylił i owinął mu szyję mocną żyłką, pewnie struną fortepianową, sądząc po tym, jak werżnęło mu się to w szyję. – W toku relacji Porter wsiadł na tylne siedzenie i odegrał całą scenę w zwolnionym tempie.

Spojrzał na tył fotela kierowcy.

– Mamy tu odcisk buta na skórzanej tapicerce. Wygląda na to, że próbował go zetrzeć, ale kawałek został. Pewnie zaparł się stopą o tył fotela na zasadzie dźwigni.

– Technicy mówią, że to buty robocze rozmiar jedenaście. Nie udało im się określić marki – powiedział Nash.

– Do takiego zabójstwa potrzeba dużo siły. Ofiara się rzuca, miota, próbuje wepchnąć rękę pod garotę. Reynolds miał pewnie mocno ograniczone ruchy, wszystko przez kierownicę. Mógłby próbować otworzyć drzwi, ale prawdopodobnie obie ręce trzymał przy szyi. Napastnik na tylnym siedzeniu znajdował się na mocniejszej pozycji. Reynolds nie dałby rady zerwać garoty, nawet gdyby był silniejszy od atakującego. Kąty i punkty podparcia nie dawały mu szans – stwierdził Porter. Wygramolił się z tylnego siedzenia i otworzył przednie drzwi. – Ślady krwi na przedniej szybie i desce rozdzielczej pasują.

Kierownica i drzwi były pokryte czarnym pudrem do pobierania odcisków palców.

– Sprawca go morduje, wysiada, otwiera przednie drzwi, bierze Reynoldsa pod pachy, wyjmuje go z samochodu i ciągnie aż do ogródka na tyłach. – Porter znowu odegrał pantomimę: zgarbiony zaczął ciągnąć niewidzialne zwłoki przez śnieg, aż dotarł do resztek bałwana. Ciało Reynoldsa było już teraz całkowicie widoczne, usunięto wszystek śnieg i lód. Porter spojrzał na rekwizyty leżące na ziemi: cylinder, czarne rękawiczki i miotłę. – Pewnie pozamiatał ślady, na ile mógł. Resztę załatwił śnieg, przez całą noc sypało.

– Wydaje nam się, że uciekł do lasu – powiedziała techniczka, ta sama, którą Porter i Nash poznali nad zalewem w Jackson Park.

Porter przytaknął.

– To samo bym zrobił na jego miejscu. Lindsay, zgadza się?

– Tak jest – odparła Rolfes. Wskazała ręką na ziemię, w kierunku lasu. – Pod drzewami warstwa śniegu jest cieńsza, ale i tak pozamiatał. Użył chyba gałęzi albo czegoś w tym rodzaju, na pewno mniej skutecznego niż miotła. Znaleźliśmy słaby ślad. Wychodzi z lasu o przecznicę stąd, na Hyicen Street. Pewnie zaparkował tam samochód.

– Ślady opon?

Rolfes pokręciła głową.

– Nie mamy możliwości identyfikacji pojazdu sprawcy. Dwoje mundurowych chodzi po sąsiadach i pyta, czy nikt nie widział tam wieczorem zaparkowanego samochodu.

Zadzwoił telefon Portera. Zerknął na wyświetlacz.

– Kapitan.

– Nie odbierasz?

– Nie.

Nash zmarszczył czoło.

– Szlag. Wiesz, co to znaczy.

Telefon Portera umilkł. Chwilę później rozdzwoniła się komórka Nasha.

– Szlag do kwadratu.

– Powiedz, że ciągle jesteśmy na miejscu zbrodni. Przyjedziemy na komendę, jak tylko tu skończymy – poinstruował Porter.

Nash westchnął i odebrał połączenie.

Za nimi rozległ się kobiecy krzyk.

Porter odwrócił się i zobaczył panią Reynolds na progu drzwi do kuchni.

– Chryste, prosiłem, żeby trzymali ją i dzieciaka w salonie. Nie powinna tego oglądać – powiedział.

Nash wzruszył ramionami i oddalił się od domu z telefonem przyciśniętym do ucha.

17

CLAIR

Dzień drugi, 10.26

Clair opadła na oparcie krzesła biurowego na skrzypiących kółkach i zaczęła skubać popękana zieloną skórę na podłokietniku. Sięgnęła po kubek z kawą i zbliżyła do...

Pusty.

Niech to szlag.

– Chcesz jeszcze jedną dolewkę? – zwróciła się do Sophie.

Sophie podniosła wzrok znad kartki wyrwanej z zeszytu.

– Nie, dzięki. Została nam jeszcze tylko dwójka. Miejmy to szybko z głowy i chodźmy stąd.

Po rozmowie z Gabby Deegan zostały odprowadzone przez ochroniarza na pierwsze piętro i przedstawione sekretarce, Noreen Outen. Z wymuszonym uśmiechem spojrzała na nie zza biurka oczami ukrytymi za okularami o tak grubych szklach, że grzbiet nosa miała czerwony od ich ciężaru. Clair bolała głowa od samego patrzenia, jak kobieta wyteża wzrok.

Wylegitymowały się i zleciły sekretarce dwa zadania: znaleźć wszystkich uczniów z wyczerpującego spisu dostarczonego przez Gabby (w sumie szesnaście nazwisk), a także sprawdzić listy obecności z 12 lutego – chciały się przekonać, czy ktoś jeszcze nie dotarł tego dnia do szkoły, na wypadek gdyby to jednak któryś z uczniów zabrał Lili do samochodu i gdzieś wywiózł.

Noreen Outen pilnie odrabiała zadanie, a tymczasem Clair i Sophie zaczęły przesłuchiwać uczniów, którzy ustawili się już w kolejkę na korytarzu. Załatwiły już czternaścioro, zostało dwóch. Jak dotąd nikt nie pamiętał, żeby widział wczoraj rano Lili, ani w drodze na lekcje, ani już w szkole.

– Kto następny?

Sophie zerknęła na notatki Gabby.

– Malcolm Leffingwell i Leo Gunia. Chcesz rzucić monetą?

Clair odchyliła głowę na oparcie krzesła.

– Leo!

Sophie zachichotała.

– Kurde, Clair, musisz zawsze tak głośno ich wołać?

– Uwielbiam, jak dzieciaki aż podskakują, kiedy ktoś wywrzaskuje ich imię z sekretariatu szkolnego. Całe życie przelatuje im przez głowę, począwszy od pierwszego zlania się w pieluchę. Widzisz? Zobacz, dzieciak jest biały jak śmierć.

Sophie rzuciła okiem na chłopaka, który wchodził właśnie do pokoju.

– Pieprzona sadystka.

– Lepiej niech się nie czują zbyt swobodnie.

Leo Gunia był ubrany w taką samą białą koszulę, granatowe spodnie i niebieski krawat w paski jak wszyscy pozostali uczniowie, z którymi rozmawiała. Czarne włosy miał schludnie przycięte, a na podbródku śladowe ilości szczeciniastej brody.

Clair powstrzymała się od uśmiechu. Dlaczego nastoletnim chłopcom zawsze się wydaje, że są w stanie wyhodować jakikolwiek zarost? Jeszcze nie widziała takiego, któremu by się udało. Mieli za to albo ledwie widoczny cień zarostu, albo kępki meszku jak na skórcie brzoskwini. Chętnie wręczyłaby każdemu z nich po maszynce do golenia i butelce testosteronu.

– Usiądź, Leo.

Sophie wyjaśniła, kim są i co tu robią. Leo przez cały czas utrzymywał kontakt wzrokowy i potakiwał.

– Cała szkoła o tym mówi.

– Naprawdę? Co mówią? – spytała Sophie. Chłopak wzruszył ramionami.

– No że ktoś ją może porwał, jak szła wczoraj do szkoły. Ten morderca od małop.

– To nie był Zabójca Czwartej Małpy – sprostowała Clair.

Znowu tylko wzruszył ramionami.

– No to ktoś tam inny.

– Widziałeś ją wczoraj rano?

Chłopak nie odpowiedział. Wbił wzrok w podłogę i zaczął się wiercić w fotelu.

– Leo?

– Powinienem był się zatrzymać. Było okropnie zimno, na pewno strasznie marzła, ale musiałem dojechać do szkoły jak najszybciej, żeby przed lekcjami pouczyć się jeszcze do sprawdzianu. Poprzedniego wieczoru pracowałem i nie miałem czasu się przygotować – powiedział Leo cicho.

Clair nachyliła się ku niemu.

– Czyli widziałeś ją? Gdzie?

– Na Sześćdziesiątej Dziewiątej, zaraz przed wiaduktem. – Podniósł załzawione oczy. – Szła zgarbiona pod wiatr. Mocno sypał śnieg, więc zobaczyłem ją dopiero w ostatniej chwili. Nie wiem, co się stało. Myślałem, żeby się zatrzymać, chyba nawet przesunąłem stopę w stronę hamulca, ale nagle przypomniało mi się o tym sprawdzianie. Popatrzyłem na zegarek, byłem już pięć minut spóźniony, czyli zostało mi tylko jakieś dwadzieścia minut na naukę, a zanimbym zaparkował i doszedł do sali na piętrze, pewnie nawet mniej. No ale tak czy inaczej, zobaczyłem ją w ostatniej chwili. Nie dałbym rady się zatrzymać, nawet gdybym chciał, a nie miałem czasu zawracać. Pomyślałem, że ktoś inny ją pewnie podrzuci.

Clair zerknęła na Sophie, a potem znowu zwróciła się do Leo.

– Widziałeś może, czy ktoś się zatrzymał?

Leo spuścił głowę.

– Nie. Nie wiem, czy w ogóle bym zauważył, nawet gdyby stanął ktoś tuż za mną. Nie myślałem o tym, a przy tym śniegu... Gdybym ją zgarnął, to pewnie nic by się jej nie stało. To moja wina.

– O której ją widziałeś? – zapytała Sophie.

– Wpół do ósmej – odparł Leo i westchnął ciężko.

– Jesteś pewny?

Pokiwał głową.

– Zależało mi na szóstce z tego sprawdzianu, przecież mówiłem. Przez całe rano odliczałem minuty i sekundy.

– A co dostałeś?

Leo znowu westchnął.

– Piątkę minus.

Clair wzięła od Leo adres i telefon, dała mu wizytówkę i odesłała z powrotem na lekcje.

Malcolm Leffingwell w ogóle nie widział Lili w tym tygodniu.

Noreen Outen zajrzała do pokoju przez uchylone drzwi.

– To ostatni?

Clair wstała i się przeciągnęła.

– Tak, proszę pani. Udało się coś znaleźć na listach obecności?

Noreen poprawiła ciężkie okulary, które zsuwały jej się z nosa, i przejrzała zapiski w niedużym notesie.

– Dwie uczennice były chore: Robyn Staats i Rosalee Newhouse, nieobecność obu zgłosiły matki. Nikt się nie spóźnił na pierwszą lekcję, wszyscy byli na miejscu. Mamy tu porządną młodzież, nikt by się tu nie mieszał w podejrzone sprawy.

– Któraś z tych nieobecnych dziewczyn znała Lili? – spytała Sophie.

– Niech pomyślę... Robyn jest w pierwszej klasie, Rosalee w trzeciej. Myślę, że to możliwe, ale trudno powiedzieć na pewno.

– Z nimi też będziemy musiały porozmawiać – oznajmiła Sophie.

Noreen skinęła głową.

Clair opadła z powrotem na krzesło. Miała wrażenie, że kręca się w kółko.

18

PORTER

Dzień drugi, 10.31

– Dlaczego kapitan chce się z nami spotkać u mnie w domu? – spytał Porter.

Ścisnął kierownicę tak mocno, że zbieleły mu kostki obu dłoni.

Kątem oka widział czerwono-niebieskie światła migające na dachu chargeera, syrenę zagłuszało wycie silnika. Jechał autostradą sto trzydzieści na godzinę.

Na siedzeniu pasażera Nash prawą ręką ścisnął uchwyt „ojapierdolę” nad drzwiami, a lewą trzymał się fotela.

– Nie chciał powiedzieć. Próbowałem to z niego wyciągnąć. Jego słowa brzmiały, cytuję: „Macie w tej chwili przyjechać z Porterem do jego mieszkania”.

Porter szarpnął kierownicą w lewo i wyminął ciężarówkę z cysterną z paliwem.

– Ale sprawiał wrażenie wkurzonego? Smutnego? Zmartwionego?

Nash wzruszył ramionami.

– Brzmiał tak jak zawsze. Nie umiałem go rozszyfrować.

– Kurwa! – Porter walnął w klakson i przytrzymał, bo niebieski prius wjechał na jego pas. – Ekolog jebany.

– Masz w domu coś, o czym powinienem wiedzieć? Dlaczego chce się z nami spotkać akurat tam?

Kierowca priusa włączył prawy kierunkowskaz i samochód powoli zjechał na sąsiedni pas. Gdy tylko znalazł się za linią, Porter wrzucił czwórkę i wyrwał do przodu, o centymetry mijając wystające lusterko priusa.

– Sam?

– Nie wiem.

Nash jęknął.

– Nie wiesz, czy masz w domu coś, o czym powinienem wiedzieć? No weź. To nie jest podstawówka. Jestem twoim partnerem. Czy to ma jakiś związek ze śmiercią Heather?

Porter nie odpowiedział.

Skręcił w zjazd z autostrady na Lake Shore Drive.

Oprócz białego forda kapitana pod budynkiem stały jeszcze trzy samochody, których Porter nie rozpoznawał – dwa czarne sedany i van, wszystkie na federalnych blachach. Nie było już miejsca wzdłuż krawężnika, więc zaparkował obok vana, blokując mu wyjazd, wyłączył syrenę, zostawił światła, wyskoczył z samochodu i popędził w górę po schodach. Nash dotrzymywał mu kroku.

Stali w korytarzu pod jego drzwiami: kapitan Dalton, agent specjalny Diener, agent Poole i agent dowodzący Hurless z grupy specjalnej FBI zajmującej się sprawą Zabójcy Czwartej Małpy. Towarzyszyło im dwóch federalnych techników kryminalistycznych, ale Porter ich nie znał.

Gdy tylko Porter i Nash wpadli na korytarz przez drzwi z klatki schodowej, Dalton popędził w ich stronę.

– Coś ty sobie, kurwa, myślał, Sam?

– O co ci chodzi?

– Świetnie wiesz, o co mi chodzi.

Nash w milczeniu stał koło Portera.

Dalton przerzucił kilka zdjęć na ekranie telefonu i podsunął wyświetlacz Porterowi pod nos.

– Dlatego to zabrałeś? Szukasz jej?

Porter zerknął na ekran. Widniał na nim liścik zostawiony na jego łóżku przez Bishopa razem z uchem mężczyzny, który zabił jego żonę.

Sam,

oto drobiazg ode mnie dla ciebie...

Przykro mi, że nie słyszałeś jego krzyku.

Co byś powiedział na odwzajemnienie przysługi?

Taka mała wymiana między przyjaciółmi.

Pomóż mi znaleźć moją matkę.

Już najwyższy czas, żebym z nią porozmawiał.

B.

– Szukasz jej? – powtórzył Dalton.

Porter wziął głęboki oddech.

– To jego próbuję znaleźć.

– To nie do ciebie należy – odparł Dalton, kipiąc z wściekłości. – Utrzymujesz z nim kontakt? Odzywał się do ciebie?

– Nie.

– A powiedziałbyś mi, gdyby się odzywał?

– Oczywiście, że tak.

Dalton wrzucił telefon z powrotem do kieszeni grubej brązowej kurtki.

– Chciałbym ci wierzyć. Ale nie jestem pewny, czy jeszcze potrafię.

Nash popatrzył na Poole'a spod zmarszczonych brwi.

– Co ty kombinujesz?

Poole uniósł ręce w obronnym geście, ale nic nie powiedział. Dalton się zasępił.

– On nic nie zrobił. Ochrona wyłapała twojego kumpla na monitoringu, rano wlaź ukradkiem do sali FBI naprzeciwko waszego pokoju narad.

– Pewnie chciał im tylko podkreślić ogrzewanie. Zawsze miło w taki paskudny dzień przyjść do ciepłego biura – odparł Nash. Zgiętym kciukiem wskazał na Dienera i dodał: – Ten tu koniobijca siedział dziś rano przy moim

biurku w naszym pokoju. Żyjemy tam sobie jak jedna wielka szczęśliwa rodzina. Wszystko mamy wspólne, miło jest się dzielić!

Agent dowodzący Hurless zrobił krok do przodu.

– Dopóki nie opuścimy gabinetu, podlega on władzy federalnej. Wdarcie się na taki teren to przestępstwo ścigane z urzędu, nawet jeśli intruz jest członkiem lokalnej policji.

– Zabrałem teczkę z aktami Barbary McInley – powiedział Porter.

Dalton przewrócił oczami. Hurless podszedł jeszcze bliżej.

– Kradzież mienia federalnego to osobny zarzut, ale równie obciążający.

– Oddam wam teczkę, jak tylko skończę.

– Oddasz ją w tej chwili. Potem się zastanowimy, czy odebrać ci odznakę – odparł Hurless.

Dalton poczerwieniał na twarzy i zwrócił się do Hurlessa:

– Jedyńą osobą, która może decydować o losie odznaki detektywa Portera, jestem tu ja. Jesteście gośćmi na mojej komendzie. Mogę wyrzucić całą waszą ekipę na bruk, wystarczy jeden telefon.

Hurless przysunął się do niego.

– Ustalmy coś, kapitanie. Jesteśmy tutaj tylko dlatego, że wasz as śledczy pozwolił uciec seryjnemu zabójcy. Ten błąd będzie słono kosztował wielu ludzi. Niewykluczone, że już zebrał zniwo. Jedna dziewczyna martwa, druga zaginiona, dwa przestępstwa, za które ze sporym prawdopodobieństwem odpowiada nasz delikwent, a wy powierzacie sprawę temu samemu niewydarzonemu glinie. Teraz zaczyna kraść akta. Krew ilu osób musicie mieć na rękach, żeby uznać, że pora coś z tym zrobić?

– 4MK nie porwał tych dziewczyn – powiedział Porter cicho.

– Dosyć! – warknął Dalton.

– Chcę wiedzieć, co jeszcze ten facet ukrywa. Otwierać drzwi – powiedział Hurless.

– Chyba cię pojebało! – wyrwało się Nashowi. – Bez nakazu nie macie tu czego szukać.

Hurless zaczął wyliczać na palcach.

– Wdarcie się na teren federalny, kradzież mienia federalnego, utrudnianie śledztwa federalnego, udzielanie pomocy zbiegowi poszukiwanemu przez władze federalne... Zauważyłeś słowo kluczowe? Utrata odznaki to w tej chwili naprawdę najmniejsze zmartwienie twojego kumpla.

Dalton wziął Portera pod ramię i odszedł z nim kawałek od reszty grupy.

– Musisz otworzyć te drzwi.

– Dlaczego?

– Wpuścisz ich, powęszą sobie trochę i zapomną o zarzutach. Pokaż im, nad czym tam pracujesz, i nie będzie problemu – powiedział Dalton. – Jeśli tego nie zrobisz, nie mogę cię w żaden sposób ochronić.

– Olej ich, Sam – poradził Nash.

Porter zerknął na mężczyzn stojących pod drzwiami do jego mieszkania. Poole podchwycił jego spojrzenie.

– Dobra, wpuszczę ich.

– Sam!

Porter uśmiechnął się blado do partnera.

– Spokojnie. Już naprawdę jest mi wszystko jedno. Może dzięki temu uda się go złapać.

Dalton zrobił głęboki wdech i poprowadził Portera z powrotem na drugi koniec korytarza.

Porter wyciągnął klucze z kieszeni, otworzył zamek i pchnął drzwi.

Hurless i Diener wpełzali do mieszkania, a za nimi obaj technicy kryminalistyczni. Potem dołączył do nich Poole. Mijał Portera i pozostałych ze spuszczoną głową.

Dopiero wtedy Porter przekroczył próg mieszkania, a na końcu weszli Dalton i Nash.

Z sypialni dobiegł gwizd.

– Jasny gwint – zawołał Hurless.

– Chryste... – Daltona prawie zatkało, kiedy wszedł do pokoju.

Nash się nie odzywał. Z ociąganiem dołączył do reszty.

– Co to ma być? – zapytał Hurless.

– Wszystkie doniesienia na temat Bishopa z całego świata z ostatnich czterech miesięcy – wyjaśnił Porter. Podszedł do mapy, znalazł żółtą pinezkę na zalewie w Jackson Park, wyciągnął ją i rzucił na stolik nocny. Diener uważnie mu się przyglądał.

– Ta była od czego?

– Jackson Park. Mówiłem wam, on nie uprowadził tych dziewczyn. To coś innego, ktoś inny.

Poole przemierzył pokój, przyklęknął obok laptopa i przebiegł wzrokiem tekst na ekranie.

– Alerty Google?

– Każda wzmianka o Bishopie albo Zabójcy Czwartej Mały w internecie – odparł Porter.

Poole zmienił kąt nachylenia ekranu, żeby lepiej widzieć, chciał zacząć pisać, ale odwrócił się do Portera.

– Mogę?

– Jasne.

Porter patrzył, jak agent przewija wiadomości, sprawdza po kolei temat każdej z nich, a potem łąduje poprzednie pięćdziesiąt i zaczyna cały proces od nowa. Kiedy dotarł do końca, uniósł głowę i spojrzał na mapy.

– Jak myślisz, gdzie on jest?

– Nie mam pojęcia.

Hurless zaczął wysuwać szuflady, szperać w ubraniach. Nash podszedł i stanął między nim a komodą Portera.

– Serio będziecie mu grzebać w szufladzie z majtkami?

– Proszę się odsunąć, detektywie – powiedział Hurless.

– Opuść, Nash. Niech sobie ogląda, co tylko chce. Nie mam nic do ukrycia – stwierdził Porter.

Hurless zwrócił się w jego stronę.

– Gdzie akta McInley?

– W moim samochodzie, pod fotelem kierowcy. – Porter rzucił mu kluczyki. Hurless przekazał je jednemu z techników, który natychmiast wyszedł z mieszkania i ruszył do windy.

– Jakie inne akta tu znajdziemy? – zapytał Hurless. Porter przeszedł przez pokój i usiadł na brzegu łóżka.

– Mam tylko te.

– Bo pozostałe oddałeś?

– Bo żadnych innych nie zabrałem.

Poole wstał znad laptopa i zwrócił się do niego.

– Dlaczego Barbara McInley?

Porter zawahał się na chwilę, czy chce coś powiedzieć, po czym uznał, że milczeniem nikomu nie pomoże.

– Intuicja, nic więcej. Coś jest z tą sprawą nie tak.

– W jakim sensie? – zapytał Poole.

– A kogo to obchodzi? – parsknął agent Diener. – Żaden z niego Philip Marlowe. Przeczucia i intuicje wystarczają za dowód tylko w starych czarno-białych filmach i szmirowatych kryminałach.

– W jakim sensie? – powtórzył Poole.

Porter przeczesał włosy dłonią.

– To jedyna blondynka. Osiem uprowadzonych dziewczyn, a wśród nich tylko jedna blondynka.

– To jakiś żart, prawda? – zapytał Hurless.

Poole podszedł bliżej.

– Porywał najbliższych ludzi, których uważał za kryminalistów. Wszystkie dzieci McInleyów miały blond włosy. Nie miał wyjścia.

Porter wzruszył ramionami.

– Może i tak, ale zbrodnia też nie pasuje. Siostra Barbary McInley śmiertelnie potrafiła przechodnia. To był wypadek. Wszystkie pozostałe przestępstwa, wszyscy inni, których postanowił ukarać, działali z premedytacją.

Poole zastanowił się chwilę.

– Nadal nie brzmi to zbyt przekonująco.

– Nie twierdziłem, że mam mocne przesłanki. Intuicja, coś mnie tknęło. Jak już powiedział twój kumpel, poczułem się przez chwilę jak Philip Marlowe, nic więcej – stwierdził Porter. – Gdyby coś z tego wyszło, powiedziałbym wam.

Technik wrócił z teczką McInley w rękę i podał ją agentowi Hurlessowi, który pomachał nią, patrząc na Portera.

– Znalazłeś tu coś? Cokolwiek na potwierdzenie swoich domysłów?

– Nie miałem kiedy do tego zajrzeć – odparł Porter. – Od samego rana ciągle coś się dzieje.

Agent dowodzący Hurless świdrował go wzrokiem przez niemal minutę, żaden z nich nie powiedział przy tym ani słowa. Potem zwrócił się znowu do techników kryminalistycznych i pozostałych agentów. Omiótł ścianę szerokim gestem.

– Zrobić mi zdjęcia tego wszystkiego, a potem zapakować i poopisywać. Wszystko ma do nas trafić. Przeszukajcie wszystkie zakamarki. Jeśli znajdziecie cokolwiek, co ma jakiś związek z tą sprawą, chcę się o tym dowiedzieć. – Odwrócił się do Portera i zbliżył na kilka centymetrów do jego twarzy. – Jeśli się dowiem, że coś ukrywasz, że ten facet się z tobą kontaktował, a ty nic nie powiedziałaś, jeśli wiesz cokolwiek, o czym mi nie mówisz, bez chwili wahania wrzucę cię do pierdła. Nie obchodzi mnie, jaki masz stopień, ile lat tu pracujesz, jaką masz historię, dla mnie jesteś pierdolonym złodziejem, złodziejem i kombinatorem, który wtrąca się w śledztwo federalne. Teraz masz szansę się wypowiedzieć, jeśli jest cokolwiek, o czym mi nie powiedziałaś. Teraz albo nigdy. Jeśli dowiem się za godzinę, to już po tobie. Zrozumiano?

– Nie mam nic do dodania.

Agent wypuścił powietrze z płuc.

Porter nie odrywał od niego wzroku.

Kiedy Hurless w końcu odwrócił się na pięcie, przemierzył pokój i zaczął grzebać w garderobie, Porter złapał się na tym, że patrzy na fotografię Heather

na komodzie, na jej promienny, krzepiący uśmiech, i poczuł się samotny jak jeszcze nigdy dotąd.

Godzinę później cztery pudła na akta zostały zapełnione.

Ściana w sypialni Portera znów była goła, nie licząc dziurek po pinezkach i plam tynku w miejscach, gdzie brutalnie zerwano farbę razem z taśmą klejącą. Agent Diener trzymał laptop pod pachą i krążył powoli po pokoju, na wypadek gdyby coś przegapili. Porter słyszał, że Hurless mamrocze coś do Daltona w korytarzu, ale nie potrafił rozróżnić słów.

Poole zamierzał chyba coś jeszcze powiedzieć przed wyjściem, ale najwyraźniej zmienił zdanie. Porter patrzył, jak wchodzi do windy, za nim podążali technicy z ostatnimi pudłami.

– Diener? – zawołał Hurless. – Idziemy.

Agent Diener przepchnął się obok Portera i wyszedł, zostawiając po sobie zapach wody po goleniu niemodnej od przynajmniej dwudziestu lat.

Drzwi windy się otworzyły. Hurless powiedział coś jeszcze do Daltona, po czym wszedł do środka, nie spuszczając oczu z Portera, dopóki drzwi nie zamknęły się z donośnym skrzypieniem.

Dalton wrócił do mieszkania, za nim wszedł Nash.

– Naprawdę nie rozumiem, co ci strzeliło do głowy, Sam. Ja pierdolę, co za burdel.

– Przecież nie ukrywał dowodów ani nic takiego – zauważył Nash.

Dalton zrobił się czerwony jak burak.

– Zamknij pysk. Szczerze wątpię, że się nie zorientowałeś, co się dzieje pod twoim nosem.

– On nie miał o tym pojęcia – powiedział Porter. – To wszystko moja sprawa.

Dalton obrócił się gwałtownie z powrotem w jego stronę.

– Nie dość, że zaszkoziłeś śledztwu w sprawie Zabójcy Czwartej Małpy, to teraz utrudniasz nam znalezienie tego nowego psychola, który porywa

dziewczyny. Nie mogę sobie pozwolić, żeby wyłączyć cię z dochodzenia.

– To tego nie rób.

– Hurless powiedział o wszystkim zastępcy dyrektora z FBI, a on zadzwonił do naszego komendanta. Nie mam już na to żadnego wpływu. – Kapitan spuścił wzrok. – Na tydzień zawieszam cię w obowiązkach służbowych. Masz przez ten czas wybić sobie z głowy cały ten syf. Jeśli się dowiem, że nie dałeś sobie z tym spokoju, będzie znacznie gorzej. Zgodzili się nie wnosić oskarżenia, ale zawieszenie nie podlega negocjacjom.

– Kapitanie, przecież to jest klasyczna próba sił. Nie może pan pozwolić, żeby polityczne przepychanki decydowały o pańskich działaniach. Złapanie tego faceta to nasz priorytet, a nikt nie wie więcej...

Dalton wyciągnął rękę.

– Broń i odznaka.

Porter wiedział, że nie ma sensu się kłócić. Posłusznie oddał glocka i legitymację służbową.

Dalton schował je do kieszeni kurtki, obrócił się i wyszedł. Nacisnął guzik przyzywający windę.

– Ten nowy facet jest groźny, kapitanie. Posuwa się coraz dalej – powiedział Porter.

– Nash i Clair się tym zajmą – odparł Dalton, nawet się nie odwracając. – Przez najbliższe siedem dni masz się z nami nie kontaktować. Jeśli się dowiem, że się wtrącasz, dostaniesz następny tydzień. Rozumiemy się?

Porter nie odpowiedział.

– Rozumiemy się? – powtórzył kapitan.

– Tak – odpowiedział Porter.

Przyjechała winda. Dalton wszedł i przytrzymał drzwi, żeby się nie zamknęły.

– Nash, jedziesz ze mną.

Nash zerknął na Portera, ale nic nie powiedział. Porter skinął nieznacznie głową.

Nash wsiadł do windy. Drzwi się zamknęły i Porter został sam na środku swojego mieszkania. Serce łomotało mu w piersi, a cisza zdawała się krzyczeć.

19

LILI

Dzień drugi, 11.36

Lili kulila się w kącie klatki owinięta grubą narzutą. Ubrała się, ale ciągle było jej zimno. Nie mogła przestać się trząść, mimo że stała tuż obok wylotu grzejnika. Nie odrywała wzroku od ciemnych schodów w rogu piwnicy, nasłuchiwała, jak stare deski nad jej głową trzeszczą pod stopami mężczyzny.

Po metalowej siatce przebiegł pająk, o kilka centymetrów od jej stopy, więc cofnęła się, jeszcze mocniej wciskając się w kąt.

Po każdym kroku na piętrze z sufitu opadał obłoczek kurzu, tworząc mgiełkę w bladym świetle. Lili próbowała udawać, że to śnieg, że wygląda przez okno. Próbowała udawać, że siedzi w swoim pokoju, w domu, że nic jej nie grozi, ale iluzja pryskała za każdym razem, kiedy mężczyzna zaczynał krzyczeć.

Bo krzyczał, i to dużo.

Jego słowa były niewyraźne, stłumione erupcje niedorzeczności, towarzyszył im czasem ryk, a czasem bolesny skowyt. Zakłócały względną ciszę panującą w budynku i unosiły się w powietrzu, w jakimś sensie żyjąc w tych małych chmurkach kurzu spływających z góry.

Ryków nic nie zapowiadało.

Ojciec Lili uderzył się raz młotkiem w palec wskazujący, kiedy próbował jej pomóc zbudować domek dla ptaków do szkoły, i wydał z siebie podobny skowyt, ale nie trwał on długo – jakby przyłapał się na wyciu, zorientował, że córka na

niego patrzy, i ugryzł się w język. Krzyk urwał się gwałtownie, zamarł w gardle, a twarz zalała mu fala czerwieni.

Dobiegające z piętra wrzaski mężczyzny nie urywały się tak nagle. Przez długi czas zachowywał całkowitą ciszę, nie ruszał się, nie wydawał żadnego dźwięku. Potem jego ostry jak brzytwa głos wypełniał cały budynek, a następnie przeradzał się w szloch, który długo jeszcze unosił się wśród ścian.

Lili nie wiedziała, co było przyczyną ryków. Nie chciała wiedzieć. Wołała, żeby zostało to na piętrze.

W ciągu ostatniej godziny zszedł do niej tylko raz. Opróżnił wiadro, które zostawił jej w charakterze nocnika, umył je w wannie gospodarczej i odniósł do klatki. Potem zmierzył wzrokiem nadal pełną szklankę mleka z muchą pływającą na powierzchni, zabrał ją i zaniósł z powrotem na górę, nie mówiąc przy tym ani słowa. Wyglądał jednak chorobliwie blado. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Lili natychmiast odwróciła wzrok, to było silniejsze od niej, jakby jej oczy nie chciały na niego patrzeć – co dziwne, skłoniła go tym do tego, żeby zostać dłużej. Jeśli na niego nie patrzyła, on chętniej patrzył na nią, nawet się gapił. Kto wie, jakie myśli chodziły mu po głowie.

Lili postanowiła, że następnym razem utkwi w nim wzrok i nie odwróci go nawet na chwilę, może wspomni coś o jego ranie. Może dzięki temu uda się go wcześniej spłoszyć.

Znała wielu takich chłopców.

Pewni siebie otwarcie się na nią gapili. Niektórzy nawet pilnowali, żeby wiedziała, że się jej przyglądali. Ale ci nieśmiali, choć też się patrzyli, to w chwili, gdy czuła na sobie ich wzrok, gdy odwzajemniała spojrzenie, natychmiast się odwracali i udawali zaabsorbowanie czymś innym, jakby w ogóle jej tam nie było. Jej przyjaciółka Gabby traktowała to jak swego rodzaju grę, zawsze czatowała na tych zahukanych i okropnie zawstydziała, kiedy udało jej się któregoś przyłapać.

W ich klasie był taki jeden chłopak, Zackary Mayville, wiecznie speszony. W zeszłym tygodniu przydzielono go Gabby jako partnera na lekcji przyrody,

więc żeby się z nim trochę podrażnić, rozpięła dwa górne guziki bluzki, tak że kiedy się schylała nad stołem roboczym, widać jej było biustonosz. Chłopak za każdym razem czerwieniał jak burak, zerkał, choć próbował uniknąć przyłapania, a Gabby zdołała przetrwać całą godzinę lekcyjną z kamienną twarzą. W przeciwieństwie do Lili, która nie mogła przestać się śmiać i prawie zawałiła zadanie. Musiała...

Usłyszała kroki na schodach. Mężczyzna wrócił.

Przebrał się. Teraz miał na sobie czarne džinsy, ciemnoczerwony sweter i tę samą czarną wełnianą czapkę co wcześniej. Kiedy dotarł do podnóża schodów, usiadł i tym razem natychmiast zaczął się na nią gapić.

Zaledwie kilka minut wcześniej Lili obiecywała sobie, że odwzajemni spojrzenie, że będzie się w niego intensywnie wpatrywała, niewzruszenie, niepokojąco. Wytrąci go z równowagi. Nie zrobiła tego jednak. Uciekła spojrzeniem. Wbiła wzrok w betonową posadzkę i obserwowała go kącikiem oka.

Siedział tak długo, przynajmniej dwadzieścia minut, oddychając płytko, krótkimi, świszczącymi haustami. Kiedy w końcu się odezwał, mówił cicho.

– Przykro mi, jeśli cię zestresowałem. Czasem mnie boli.

Lili chciała zapytać, co go boli, ale tego nie zrobiła. W ogóle nic nie powiedziała.

– Czasem – ciągnął – czuję się tak, jakby ktoś trzymał mnie za gałkę oczną i z całej siły ścisnął, nie na tyle mocno, żeby pękła, ale prawie. Mam lekarstwa, ale trudno mi się po nich skupić, myśleć jasno, a muszę się teraz skoncentrować. Muszę być w pełni władz umysłowych.

Lili chciała go o to wypytać, dowiedzieć się, co mu dolega, ale zachowała te myśli dla siebie. Nie zamierzała się do niego odzywać.

Podniósł rękę, podrapał się przez czapkę i wstał.

– Już czas na powtórkę.

20

CLAIR

Dzień drugi, 11.49

Kloz odepchnął się prawą stopą, wprawiając fotel w wirowanie.

– Serio? Sam nie mógł przestać policjantować? Żadna nowość.

Nash przysiadł na brzegu stołu konferencyjnego, przy przeciwległym końcu siedziały Sophie i Clair.

– Powinien był nam powiedzieć.

– I tak nie moglibyśmy go kryć – stwierdziła Clair. – Z tego, co mówisz, kapitan nie dał ci szansy się za nim wstawić.

Nash wyciągnął rękę w stronę pokoju po drugiej stronie korytarza.

– To wszystko robota tych pajaców z naprzeciwka.

Kloz znowu zakręcił się na krześle.

– Totalnie węższą tu jakiś spisek.

– Jak to? – zapytał Nash.

– Ktoś na górze próbuje chronić dupę. Powinniśmy współpracować z federalnymi przy tym śledztwie. A oni podebrali nam sprawę i nas odcięli. Co to za logika? Miałoby to sens tylko pod warunkiem, że ktoś na górze chce odseparować nasz wydział od śledztwa.

– Kto? Dalton?

– Może i ktoś wyżej. Burmistrz przyjaźnił się z Talbotem. Nieźle mu się oberwało, kiedy wszystko wyszło na jaw. Do tego gazety zaczęły pisać, że Sam

puścił Bishopa wolno...

Clair rzuciła w niego długopisem.

– Sam nikogo nie puścił. Uratował tamtą dziewczynę.

Kloz złapał długopis i schował do kieszeni.

– My o tym wiemy, ale jeśli komuś zależy na pikantniejszej historii, to lepiej powiedzieć, że puścił. Kumpel burmistrza jest kryminalistą, detektyw prowadzący śledztwo uwalnia seryjnego mordercę... Idealny pretekst, żeby federalni przejęli sprawę i nie dopuszczali nikogo z zewnątrz.

– Myślisz, że utrzymuje kontakt z Bishopem? – zwróciła się Clair do Nasha.

– Sam?

– No tak.

Nash wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Mógłby zrobić coś takiego? – zapytała Sophie. – Rozmawiać z nim na własną rękę?

Nash znowu wzruszył ramionami.

– Od czasu śmierci Heather jest raczej skryty.

– Jakiej Heather? – zapytała Sophie.

Clair przechyliła głowę.

– Nie słyszałaś?

Sophie pokręciła głową.

– Żona Sama została zamordowana podczas napadu na sklep kilka tygodni przed całą tą sprawą z Bishopem. Pewnie nie powinien był wtedy pracować, ale od początku zajmował się Zabójcą Czwartej Małpy, więc kiedy zaczęliśmy podejrzewać, że facet nie żyje, musieliśmy go wezwać. To było jego śledztwo. Policja złapała gościa, który zabił Heather, ale zwolnili go za kaucją. Bishop zabił Talbota, Porter uratował Emory, a potem przez parę dni dochodził do siebie w szpitalu. Po powrocie do domu znalazł na łóżku pudełeczko. W środku znajdował się liścik od Bishopa i ucho należące do mordercy żony Portera. Bishop go dorwał – wyjaśniła Clair.

– Co Bishop napisał w liściku?

– Prosił Sama, żeby pomógł mu odnaleźć matkę – odparł Nash.

– Matkę? A co ona ma z tym wspólnego?

Clair wywróciła oczami.

– Nie mamy teraz na to czasu. Wszystko ci opowiem w samochodzie. Musimy działać, zastanowić się, jak sobie poradzimy bez Sama. – Zwróciła się do Nasha. – Co się wydarzyło u Reynoldsów?

Nash znalazł zdjęcia na telefonie i przesunął go po blacie ku Clair i Sophie. Kłoz się nachylił, żeby dokładniej się przyjrzeć.

– Zrobił to ten sam facet, który zabił Ellę Reynolds?

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności – stwierdził Nash.

– Ale dlaczego?

– Pytanie za milion dolców.

Sophie przewijała zdjęcia jedno po drugim.

– To nie ma żadnego sensu. Skoro sprawca wziął na cel rodzinę Reynoldsów, to po co uprowadził Lili Davies? Nie znają się, nie ma między nimi żadnego związku.

– Musi być jakiś związek, po prostu jeszcze go nie znaleźliśmy. Co nam wiadomo o ojcu? – zapytała Clair.

Nash wstał i podszedł do tablicy. Zapisał „FLOYD REYNOLDS” i podkreślił, a pod spodem dopisał „ŻONA: LEEANN REYNOLDS”.

– Od dwunastu lat pracował dla UniMed America Healthcare. Sprzedawał polisy ogólne i ubezpieczenia zdrowotne. Według żony zarabia około dwustu tysięcy rocznie plus premie, nie mają żadnych długów, nie licząc karty kredytowej American Express, ale co miesiąc ją spłacają.

Kłozowski gwizdnął.

– Niezła kasa. Ewidentnie wybrałem zły zawód.

– U nas w pracy mamy ubezpieczenie z UniMed – zauważyła Sophie.

– To trzecia co do popularności firma tego typu w stanie – powiedział Nash, po czym zapisał na tablicy „ODCISK BUTA ROBOCZEGO ROZMIAR 11” pod

nagłówkiem „SPRAWCA”.

– Gdzie? – zapytała Sophie.

– Z tyłu fotela kierowcy w samochodzie Reynoldsów. To lexus LS. Sprawca wyraźnie próbował zetrzeć ślad, ale pewnie mu się śpieszyło. Sam uważa, że facet zaparł się tam nogą, kiedy dusił Reynoldsa.

Kloz spojrział w sufit, licząc coś w pamięci.

– Skoro rozmiar jedenaście, to miałyby mniej więcej siedemdziesiąt jeden i pół cała wzrostu, czyli jakiś metr osiemdziesiąt.

– Skąd niby to wiesz? – zapytała Sophie.

– Każdy człowiek jest średnio sześć i pół raza wyższy niż rozmiar buta. Mniejsze lub większe stopy byłyby nieproporcjonalne do reszty ciała, co oznaczałoby problemy z chodzeniem, staniem, utrzymywaniem równowagi – wyjaśnił Kloz.

– Aha.

– Trzymaj się mnie, jestem skarbnicą takich ciekawostek.

– Nie, dzięki – odparła Sophie.

– Nie jestem pewna, czy kupuję ten ich brak długów. Może nie mają kredytów, ale co z mniej typowymi rodzajami zadłużenia, na przykład długami hazardowymi albo czymś w tym rodzaju, o czym mógł nie powiedzieć żonie? Jeśli był winny pieniądze nieodpowiednim ludziom, to całkiem możliwe, że dla przykładu ukarali jego córkę.

– Ale jego by przecież nie zabijali – stwierdził Kloz. – Bez sensu, nie miały ich kto spłacić.

– A żona? Może to ona ma u kogoś dług i postanowili dla przykładu ukarać i córkę, i męża – powiedziała Sophie. – Kobiety też się hazardują.

– Kiedy one mają na to czas? Przecież ciągle tylko gotują, sprzątają i rodzą dzieci – rzucił Kloz i szybko zasłonił notatnikiem twarz przed nadlatującymi długopisami.

Kiedy opuścił go po chwili, zobaczył Clair, która patrzyła na niego niedowierzająco.

– Ale z ciebie żłób.

– Nie przepadam za tobą – oznajmiła Sophie, kręcąc głową z niesmakiem.

Nash przestudiował tablicę i stwierdził:

– Właściwie to całkiem niegłupie.

– Dziękuję – powiedział Kloz z triumfalnym uśmiechem.

– Nie o ciebie mi chodzi, debilu, tylko o Sophie – sprostował Nash. – Clair, poproś Hosmana, żeby pogrzebał w ich finansach, a nuż coś śmierdzi na przedmieściach.

– Robi się.

– Ktoś pilnuje matki? – spytał Kloz.

Nash skinął głową.

– Zostawiliśmy tam dwóch mundurowych, pilnują matki i synka. Na ulicy przed domem stały też trzy wozy telewizyjne. Podejrzewam, że w najbliższej przyszłości raczej nie mogą liczyć na samotność. Pewnie tak będzie lepiej.

Clair znowu przejrzała zdjęcia Reynoldsa na telefonie Nasha.

– Nie wygląda mi to na robotę lichwiarza. Ci goście stawiają na skuteczność, dwa ciosy w głowę, nie pozostawiają miejsca na domysły. Nie chciałoby im się bawić w lepienie bałwanów czy godzinami układać ciała pod lodem w idealnej pozycji. Sprawca wyraźnie próbuje coś powiedzieć.

– Nie boi się też złapania – dodała Sophie. – Działa długo w dobrze widocznych miejscach.

Clair skinęła głową.

– Ktoś, kto nie ma nic do stracenia, nie odczuwa strachu ani skruchy, po prostu działa. To oznacza, że facet jest naprawdę groźny.

Nash połączył linią nazwiska Elli Reynolds i Lili Davies.

– Między tymi dwiema musi być jakiś związek.

Telefon Klozowskiego zawibrował, detektyw spojrzał na wyświetlacz.

– Mamy markę i model furgonetki z nagrania w parku. Toyota tundra, rocznik dwa tysiące jedenaście.

– Spróbuj zrobić listę wszystkich takich aut w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od miasta.

– Okej. – Klozowski już wystukiwał coś na telefonie.

– Udało ci się powiększyć zdjęcie kierowcy?

– Nie – odparł Klozowski. – Próbowałem wcześniej, ale kamera jest stara, ma kiepską rozdzielczość.

Nash wrócił do tablicy, skreślił wykonane zadania i przyjrzał się liście pozostałych rzeczy do zrobienia.

– Robi się tego coraz więcej, a straciliśmy jednego człowieka.

Kloz odłożył telefon i podniósł rękę.

– Tak, Kloz? – spytał Nash. Klozowski wyszczerzył zęby.

– Załapałeś, co zrobiłem? Pamiętasz, jak Bishop wtedy podniósł rękę? To się nazywa „aluzja”.

– Masz coś do dodania?

Kloz skinął głową.

– Tak jest. Mogę ruszyć w teren. I tak muszę skoczyć do tego Starbucksa, żeby pogrzebać w ich nagraniach.

Nash zerknął na tablicę z listą dowodów.

– A co z resztą twoich zadań?

– Przecież nie działałam tam na górze solo. Mam swoich ludzi. Wezmę ze sobą laptopa, będą mogli na bieżąco przesyłać nam informacje – odparł Kloz.

Nash skinął głową.

– No to działamy. Drogie panie, rozdzielmy się. Wy załatwcie galerię, powinni już mieć otwartą. Ja pojedę z Klozem do Starbucksa i postaramy się odhaczyć jeszcze parę rzeczy z listy. Na tym etapie musimy zakładać, że Lili ciągle żyje. Potrzebujemy przełomu.

Clair wstała i się przeciągnęła.

– Może ktoś powinien sprawdzić, co z Samem?

– Nie – uciął Nash.

Tablica z listą dowodów

ELLA REYNOLDS (15 lat)

Zgłoszenie zaginięcia: 22.01

Znalezienie ciała: 12.02, zalew w Jackson Park

Woda zamarznięta od 2.01 (20 dni przed zaginięciem)

Ostatnio widziana: przystanek autobusowy na Logan Square (2 przecznice od domu, 24 kilometry od Jackson Park)

Miała na sobie czarną kurtkę

Utopiona w słonej wodzie (zwłoki w wodzie słodkiej)

Zwłoki w ubraniach Lili Davies

Droga z przystanku do domu: 4 minuty

Bywała w Starbucksie przy Kedzie, 7 minut od domu

LILI DAVIES (17 lat)

Rodzice: dr Randal Davies i Grace Davies

Przyjaciółka: Gabrielle Deegan

Szkoła: Wilcox Academy (prywatna), nie przyszła na lekcje 12.02

Ostatnio widziana: wyjście z domu do szkoły (pieszo), 12.02 około 7.15, miała na sobie czerwoną, nylonową, pikowaną parkę z kapturem, białą czapkę, białe rękawiczki, ciemne dżinsy, różowe buty sportowe (strój Elli Reynolds)

Urowadzona najprawdopodobniej 12.02 rano (w drodze do szkoły)

Krótkie okienko: 35 minut (wyszła z domu o 7.15, początek lekcji o 7.50)

Droga z domu do szkoły: 4 przecznice

Zgłoszenie zaginięcia: po północy (wczesne godziny 13.02)

Rodzice sądzili, że poszła do pracy (w galerii sztuki) prosto po szkole (nie pojawiła się ani tu, ani tu)

FLOYD REYNOLDS

Żona: Leeann Reynolds

Sprzedaż ubezpieczeń – zatrudniony w UniMed America Healthcare

Żadnych długów? Może żona. Hosman sprawdzi

SPRAWCA

- Prawdopodobnie prowadził szarego pikapa ze zbiornikiem na wodę: toyota tundra 2011
- Może pracować w branży czyszczenia/obsługi basenów
- Odcisk buta roboczego rozmiar 11 – tył fotela kierowcy w samochodzie Reynoldsów (lexus LS). Dźwignia?

ZADANIA:

- Nagrania ze Starbucksa (cykl 1-dniowy?) – Kloz
- Komputer, telefon, skrzynka mejlowa Elli – Kloz
- Portale społecznościowe, billingi, skrzynka mejlowa Lili (telefon i komputer niedostępne) – Kloz
- ~~Powiększenie zdjęcia potencjalnego sprawcy z bramy wjazdowej do parku~~ – Kloz
- Poluzowana kamera w parku? Sprawdzić stare nagrania – Kloz
- ~~Ustalić markę i model furgonetki z nagrania~~ – Kloz
- ~~Trasa Lili do szkoły, rozmowa z Gabrielle Deegan~~ – Clair i Sophie
- Wizyta w galerii (kierowniczka: pani Edwins) – Porter i Nash
- Lista basenów ze słoną wodą w Chicago i okolicach (pozwolenia na budowę) – Kloz
- Sprawdzić oceanaria i firmy, które je zaopatrują
- Sprawdzić realne zadłużenie Reynoldsów – Hosman

21

PORTER

Dzień drugi, 12.18

Porterowi zachciało się Big Maca.

Nie tylko Big Maca, ale też dużych frytek, szejka czekoladowego i ciastka z jabłkami na deser.

Chciało mu się tak bardzo, że łaknienie kazało mu pomaszerować z mieszkania wzdłuż Wabash do oddalonego o trzy przecznice McDonalda, jak zwykle o tej porze pękającego w szwach. Zamówił, zaniósł jedzenie do małego stolika na tyłach i pożarł wszystko co do kęsa. Siedem minut później siedział nad pustą tacą, a w żołądku nadal mu burczało.

Rozpaczliwie pragnął porozmawiać z Heather. Przepastna dziura w sercu, niegdyś wypełniona głosem żony, paliła żywym ogniem.

Od odejścia Heather minęło sześć miesięcy, ale odczuwał je jak cztery tysiące żyć. Ludzie mówili mu, że czas uleczy rany, że dziura w sercu się zmniejszy, stopniowo zapełni się innymi miłościami, doświadczeniami życiowymi. Tak się jednak nie stało. Przeciwnie, otchłań zdawała się pogłębiać, a każdego dnia tęsknił coraz mocniej.

Heather rozumiała. Heather potrafiła słuchać.

Porter chciał jej opowiedzieć o ostatnich sześciu miesiącach. Potrzebował rady. Pragnął usłyszeć jej głos.

– Powstrzymałaś mnie przed zapuszczaniem się na ruchome piaski, Guziczku – powiedział cicho. – Teraz tkwię w nich po kolana i zapadam się coraz głębiej.

W zeszłym miesiącu załatwił wyłączenie jej numeru z sieci komórkowej. Wcześniej regularnie do niej dzwonił, czasem nawet trzy, cztery razy dziennie, tylko po to, by usłyszeć jej słodki głos na drugim końcu linii – ta odległość wystarczała, żeby brzmiał on prawdziwie, żeby ona brzmiała prawdziwie. Głupie, wiedział, ale to jedyne, co mu zostało. Powoli znikła z jego życia, nieważne, jak mocno starał się ją zatrzymać. Choć jej ciało umarło nagle i niespodziewanie, dusza trwała. Porter z całych sił trzymał tę duszę za rękę, z początku nie chciał puścić, aż w końcu dotarło do niego, że nie ma innego wyjścia. To tamtego wieczoru rozwiązał umowę z operatorem, a kiedy zadzwonił do niej następnego ranka, zamiast jej głosu usłyszał w słuchawce automat, który oznajmił, że numer nie jest już w użyciu. W tamtej chwili wyślizgnęła mu się jej dłoń i Heather odeszła na zawsze.

Byłby gotów zabić, żeby ją odzyskać.

Choćby na pięć minut, mieć ją znowu obok, przytulić, zapytać, co powinien teraz zrobić.

– Kocham cię, Guziczku – dodał półgłosem.

Porter westchnął ciężko, wstał, pozbierał puste opakowania i wyrzucił wszystko do przepełnionego kosza przy drzwiach. Wyszedł na mróz, z przyjemnością odczuwając odrętwienie.

Potem ruszył przed siebie bez konkretnego celu.

Dwadzieścia minut później stał w holu Flair Tower przy West Erie Street, a pod nogami zbierała mu się niewielka kałuża. Nie zamierzał tu przychodzić i nawet kiedy popychał już drzwi wejściowe, rozważał odwrót, a mimo to tkwił tu teraz bez ruchu i gapił się na hol niewidzącym wzrokiem, jakby oszołomiony.

– Panie detektywie?

Porter nie słyszał jej kroków. Nie spodziewał się zresztą, że spotka ją w tak dużym budynku, ale oto stała tuż przed nim.

– Dzień dobry, Emory.

Ostatni raz widział ją w szpitalu, wkrótce po tym, jak uratowali ją z rąk 4MK. Bishop zostawił ją na dnie szybu windy w tamtym budynku przy Belmont, posłużył się nią jako przynętą na Portera. Była wtedy zagłodzona, wymizerowana, blada. Miała poważny uraz prawego nadgarstka spowodowany kajdankami, którymi Bishop przykuł ją do noszy, poza tym obciął jej lewe ucho, ale w szpitalu dziewczyna i tak się uśmiechała. Teraz miała dłuższe włosy, pełniejszą twarz, rumiane policzki.

– Dobrze się pan czuje?

– Prze...przepraszam. Nie jestem pewny, co tu robię. Zamierzałem cię odwiedzić już dawno, zaraz po tym wszystkim, ale miałem tyle na głowie, że czas minął nie wiedzieć kiedy – powiedział.

– Chodźmy usiąść. – Wzięła go za rękę i zaprowadziła na jedną z kanap ustawionych przed kominkiem w kącie holu. Polano trzaskało w płomieniach, ciepło ognia promieniowało na pomieszczenie i ogrzewało powietrze.

Porter ściągnął rękawiczki, palce drżały mu ze zdenerwowania.

– Chyba nie powinienem był tu przychodzić.

– Bzdura, miło pana widzieć – odparła Emory z uśmiechem. – Sama wiele razy chciałam zajrzeć na komendę, ale nie mogłam zebrać się w sobie. Głupie. Wydaje mi się, że po czymś takim trudno dobrać odpowiednie słowa. Cała ta sprawa wydaje mi się jakimś koszmarem, który przydarzył się komuś innemu. Jakbym kilka miesięcy temu obejrzała film i zapomniała o nim po wyjściu z kina. Nie mogę rozmawiać ze znajomymi, nie są w stanie tego zrozumieć. Pani Burrow też. Parę razy próbowała coś ze mnie wyciągnąć, ale nie potrafiłam... Czuję się bardzo skrępowana. Chciała skłonić mnie do mówienia dla mojego dobra, nie dlatego że zależało jej na poznaniu drastycznych szczegółów, ale ja uznałam, że nie ma sensu jej tym obarczać. To mój koszmar. Nie ma powodu, żeby ona też cierpiała, żeby prześladowały ją te myśli.

– Widziałaś się z psychiatrą?

Emory roześmiała się i potrząsnęła głową.

– Za to oni chcieli się ze mną widzieć. Nawet nie zliczę, ilu się do mnie zgłosiło, chyba z kilkudziesięcioro. Próbowalam nawet z jedną rozmawiać, ale nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że planuje napisać książkę z moimi wyznaniem, a wizja takiej książki na wystawie księgarni, którą musiałabym mijać ze świadomością, że moje cierpienie zostało zapisane czarno na białym, żeby wszyscy mogli o nim poczytać, taka myśl zamknęła mi usta. Nie mogłam powiedzieć jej ani słowa.

– Wydaje mi się, że nie wolno im tego robić. Na pewno straciłaby prawo do wykonywania zawodu.

– Pewnie tak.

Emory trzymała dłonie na podołku. Porter co prawda dostrzegł ledwie widoczne blizny na prawym nadgarstku, ale ogólnie rzecz biorąc, chirurdzy świetnie się spisali. Na lewym przegubie widniał mały tatuaż w kształcie ósemki – również pamiątka po Bishopie.

Podniosła prawy nadgarstek i podciągnęła rękaw.

– Odwalili świetną robotę, co nie?

– Gdybym nie wiedział, co się stało, w życiu bym się nie domyślił. Prawie nie widać.

– W maju wracam do szpitala. Lekarz powiedział, że może całkowicie usunąć ślady, ale musimy poczekać, żeby rana całkowicie się zagoiła – powiedziała, kręcąc przegubem. – Ciągle nie mam pełnego zakresu ruchów, ale wydaje mi się, że powoli wraca.

Spojrzenie Portera odruchowo powędrowało do jej lewego ucha, ukrytego pod długimi, kasztanowymi włosami. Zreflektował się, prawie odwrócił wzrok, ale doszedł do wniosku, że nie ma sensu udawać.

– A jak tam ucho?

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie.

– Chce pan zobaczyć?

Porter odwzajemnił uśmiech i przytaknął.

– Wygląda paskudnie?

– Niech pan sam oceni. – Emory odgarnęła włosy i pokazała całkowicie naturalnie wyglądające ucho. – Fajne, co?

Porter nachylił się, żeby lepiej się przyjrzeć. Pomijając małą bliznę u podstawy, w miejscu przyszycia narządu, nic nie wskazywało na to, że to nie jest jej prawdziwe ucho.

– Niesamowite.

Emory podwinęła prawy rękaw i pokazała mu niewielką bliznę pod łokciem.

– Tutaj je wyhodowali, pobrali chrząstkę z moich żeber. Zajęło to tylko parę miesięcy. Operację miałam jakieś sześć tygodni temu. Lekarz powiedział, że Bishop usunął ucho z niemal chirurgiczną precyzją, więc nie mieli problemu z przyszyciem nowego. Zwykle w takich sytuacjach ucho zostaje urwane wskutek jakiegoś rodzaju wypadku i lekarze muszą się nieźle namęczyć, żeby poskładać wszystko do kupy. Chyba miałam szczęście.

– Uważam, że jesteś bardzo silna.

– A wie pan, co jest najlepsze?

– Co?

Przekręciła głowę i pokazała mu drugie ucho.

– Zauważył pan jakąś różnicę?

Porter musiał się dłuższą chwilę zastanowić, ale w końcu do niego dotarło.

– Prawe ucho masz przekłute, a lewe nie?

– Zgadza się. – Uśmiechnęła się szeroko. – Lewe też było, ale teraz już nie jest. Chyba tak to zostawię. – Podniosła lewą rękę i pokazała mu znak nieskończoności wytatuowany na przegubie. – Co do tego jeszcze nie mogę się zdecydować. Wydaje mi się, że mała pamiątka po tamtych wydarzeniach to niekoniecznie coś złego. Czasem dobrze jest przypominać sobie ciężkie czasy. Dzięki temu inne problemy nie wydają się takie straszne.

– Niezwykła z ciebie dziewczyna, podziwiam cię.

Z powrotem opuściła włosy.

– Och, dziękuję, panie detektywie.

Przez chwilę oboje milczeli, ale nie była to niezręczna cisza, czuli się całkiem swobodnie. Porter wpatrywał się w płomienie liżące kłody w kominku, drewno powoli zmieniało barwę na czerwień i biel. Trzaskanie ognia kołło go i odprężyło. Ta dziewczyna straciła w dzieciństwie matkę, teraz ojca, a mimo to się uśmiechała. Porter z całych sił pragnął się uśmiechać. Uśmiechać się szczerze.

Emory nachyliła się ku niemu, jakby czytała mu w myślach.

– Właściwie to nie był dla mnie ojcem. Praktycznie go nie znałam. Gdyby nie pieniądze, gdyby mama nie sformułowała testamentu w taki sposób, to wcale nie jestem pewna, czy w ogóle chciałby mieć ze mną do czynienia.

– Był twoim ojcem. Na pewno byłeś dla niego bardzo ważna. Po prostu nie potrafił tego okazać.

– Był okropnym człowiekiem – odpowiedziała cicho. – Może nie dla mnie, ale dla wielu innych ludzi.

Porter z początku chciał zaprzeczyć, spróbować go wybielić, ale się rozmyślił. To już duża dziewczyna. Zasługuje na prawdę.

– Najważniejsze, żebyś pamiętała, że nie jesteś nim. Zawsze byliście odrębnymi jednostkami.

Oczy zaszczyły jej łzami, ale udało jej się powstrzymać od płaczu.

– Prasa twierdzi co innego. Piszą, że teraz jest najgorzej. Cały majątek trafił do dzieciaka, nie ma kto prowadzić interesu. Inspekcja budowlana zamknęła w zeszłym miesiącu jeden z jego wieżowców, a dziennikarze winią za to mnie. Przepadły prawie cztery tysiące miejsc pracy.

Porter słyszał o tym budynku. Talbot wykorzystał do budowy beton niskiej jakości. Kiedy odkryto uchybienie, próbował zmodyfikować konstrukcję (i prawdopodobnie przekupić inspektorów), ale koniec końców budowę zamknęto. Wieżowiec kosztował ponad siedemset milionów dolarów, a przeznaczono go do wyburzenia. Lepiej skończyć to teraz, uważał Porter, niż doprowadzić budowę do końca i czekać, aż cała konstrukcja się zawali.

– Zależy im tylko na sprzedaży gazet. Jakim cudem to miałyby być twoja wina?

– W Talbot Enterprises wszyscy się teraz kłócą – wyjaśniła Emory. – Troje członków zarządu kwestionuje testament ojca. Twierdzą, że nie napisał go z własnej woli, że matka go zmusiła, żeby zostawił wszystko mnie. Wszyscy interesują się tylko pieniędzmi, nie ma komu podejmować najważniejszych decyzji, więc wszystko się sypie. Jestem za młoda, żeby przejąć stery, więc na razie Patricia Talbot pełni obowiązki prezesa, dopóki nie znajdzie się ktoś na stałe. – Emory westchnęła ciężko. – Ona z kolei pozywa bezpośrednio mnie. Twierdzi, że mój ojciec nie miał prawa mi tego wszystkiego zostawić, że zgodnie z prawem wszystko należy się jej. No i jeszcze Carnegie...

Porter słyszał co nieco o Carnegie, drugiej córce Talbota. Przed jego śmiercią regularnie pojawiała się w gazetach. Wieczna imprezowiczka notorycznie ładująca w areszcie, z ustaloną, acz nie najlepszą reputacją w kręgach towarzyskich.

– Obrzuca mnie błotem w mediach społecznościowych i we wszystkich wywiadach, przy każdej możliwej okazji – powiedziała Emory. – Nazywa mnie Nieślubną Suką. Takim hasztagiem kończy każdego posta. Nigdy jej nawet nie spotkałam, a ona się zachowuje tak, jakby miała wydlubać mi oczy długopisem, gdybyśmy wpadły kiedyś na siebie na ulicy.

Po tych słowach nie udało jej się już powstrzymać łez. Porter objął ją ramieniem.

Jakąś minutę później otarła oczy.

– Straszna ze mnie egoistka, ciągle mówię tylko o sobie. A co u pana? Jak sobie pan radzi? – zapytała Emory. – Słyszałam o tych dziewczynach. Gazety twierdzą, że to 4MK. Że nie zostałyby uprowadzone, gdyby nie pan. W „Tribune” napisali wprost, że go pan wypuścił, co za bzdura. Ja chyba wiem najlepiej.

– To nie jest 4MK.

– Nie?

– Nie – odparł Porter.

Emory otrząsnęła się z płaczu i zmusiła do uśmiechu.

– Znajdzie je pan. Mnie pan znalazł.

Porter miał wielką nadzieję, że dziewczyna ma rację.

Minęła już prawie godzina. Powinien się zbierać.

Emory jakimś sposobem się tego domyśliła. Wstała z kanapy, a kiedy on też się podniósł, objęła go i uścisnęła.

– Nie mogę rozmawiać z psychiatrami. Może my moglibyśmy czasem pogadać? Jeśli ma pan ochotę słuchać?

– Tak, chyba też bym chciał.

– No to świetnie.

Kiedy Porter wychodził z Flair Tower, dziura w jego sercu zdawała się nieco mniejsza.

22

LILI

Dzień drugi, 12.19

– Nie! Już nie chcę! – wrzasnęła Lili.

Mimo jej protestów mężczyzna wyciągnął ku niej swoje duże dłonie i zaczął ciągnąć za narzutę, którą była owinięta.

– Musimy kontynuować – powiedział.

Lili rzuciła się do ucieczki, ślizgając się na wilgotnej posadzce, próbując się nie przewrócić na beton. Dotarła do kąta klatki i znalazła się pod ścianą, dosłownie i w przenośni.

– Dosyć, proszę! – Nie miała już żadnej drogi ucieczki.

Mężczyzna podniósł paralizator i wycelował go w jej stronę. Nacisnął guzik, Lili zobaczyła małą błyskawicę między metalowymi wypustkami, poczuła w powietrzu zapach ozonu.

– Proszę mi dać jeszcze godzinę, potem możemy to zrobić, obiecuję. Obiecuję. – Próbowała to powiedzieć, ale trzęsła się tak mocno, że z jej ust wydobyła się tylko garść pojedynczych sylab, fragmenty słów.

Jeśli zrobiliby to znowu, to byłby już czwarty... nie, piąty raz. Zaraz, a może trzeci. Nie była pewna. Nie mogła składnie myśleć. Plątały jej się wątki, mózg nie chciał sprawnie funkcjonować. W polu widzenia wirowały jej białe płatki, więc z trudem mogła się zorientować, co się dzieje dookoła, burza śnieżna w piwnicy, tak to wyglądało, zawieja, szara mgła.

On jednak przez tę zamieć wyciągnął po nią rękę, lewą dłoń z wyprostowanymi palcami.

– Teraz, jesteśmy już blisko.

Drugą rękę, tę z paralizatorem, przysunął blisko do niej, prawie dotykając jej szyi. Lili nie zniosłaby bólu wywołanego kolejnym porażeniem. To było jak ogień żujący jej kości, wygryzający ją od środka. Ból gorszy od śmierci.

Bo teraz wiedziała już, jak to jest umrzeć, jakie to uczucie.

Podsunał jej paralizator pod twarz i znowu nacisnął włącznik, tym razem w pobliżu jej oka.

– Okej! – krzyknęła. A przynajmniej próbowała krzyknąć. Tylko głosce „k” udało się opuścić jej gardło, wydobyć się gdzieś zza szczękających zębów.

Mężczyzna cofnął się, ale zaledwie o krok czy dwa. Wolną ręką podrapał się przez czapkę po jęczącej się ranie pod spodem.

Lili próbowała wstać, ale stopy odmówiły jej posłuszeństwa, nogi się pod nią ugięły, jakby były z galarety.

Wyciągnął dłoń, żeby jej pomóc. Paznokcie miał obgryzione do żywego ciała, opuszki palców czerwone i spuchnięte.

Lili splotła palce z jego palcami. Jego dłoń była zimna i wilgotna. Nie chciała go dotykać, ale wiedziała, że nie da rady sama ustać, nie teraz. A musiała stać. Musiała robić to wszystko dobrowolnie, bo inaczej tylko bardziej by bolało. On by dopilnował, żeby bardziej bolało.

Wyprowadził ją z klatki. Lili opierała na nim większość ciężaru ciała, żeby utrzymać się w pozycji pionowej.

Kiedy dotarli do zbiornika z wodą, spojrzała na niego błagalnie. Zajrzała w te mętne, pozbawione życia oczy.

– Pół godziny, proszę. Muszę trochę odpocząć.

– Jesteśmy już zbyt blisko.

Lili patrzyła na niego długo, sekundy ciągnęły się jak godziny. W końcu skinęła głową. Przestała trzymać narzutę pod szyją i wystrzępiona tkanina opadła na podłogę, zbierając się wokół jej nóg jak kałuża. Nie ubierała się po ostatnim

razie. Nie było sensu, skoro powiedział, że za kilka minut powtórka. Otuliła się więc tylko narzutą, miękką zieloną narzutą, jej narzutą. Skuliła się pod narzutą w klatce i czekała. Widziała ubrania, które jej zostawił – należały do jego córki, jak twierdził – złożone równo w klatce, tuż przy drzwiach. Musiał je pozbiierać w którymś momencie po tym, jak rzuciła je na podłogę koło zbiornika.

Wcześniej Lili myślała, że są w tym domu sami. Ostatnim razem, jakąś godzinę temu, Lili wołała głośno jego córkę, ale nikt nie odpowiedział. Wyobraziła sobie swoją rówieśniczkę, która siedzi sama w małej sypialni na górze, zatyka uszy palcami i nie chce przyjąć do wiadomości, co jej ojciec robi kilka pięter niżej. Jak mogła? Jak ktokolwiek by mógł? Z początku Lili nie chciała uwierzyć, że dziewczyna wie, co się dzieje, ale wkrótce doszła do wniosku, że musi wiedzieć – budynek nie był wcale taki duży. Dom Lili był znacznie większy, a była pewna, że i tak usłyszałyby wrzaski z piwnicy. Ta dziewczyna, córka tego mężczyzny. Świetnie wiedziała, co się dzieje, a nic nie zrobiła.

– Wchodź – rozkazał mężczyzna.

Lili spojrzała na wodę. Wiedziała, że jest ciepła, cieplejsza niż powietrze w piwnicy, przyjemnie, kojąco ciepła, ale bała się jej bardziej niż czegokolwiek w życiu – bardziej niż gniewu rodziców, bólu czy poważnego urazu, bardziej niż mężczyzny stojącego obok.

Ta woda to śmierć.

– No już, wchodź – powiedział.

Lili wzięła głęboki oddech, ale nie pomogło to uspokoić dreszczy wstrząsających jej ciałem, osłabienia narastającego gdzieś w głębi i powolnie przejmującego nad nią kontrolę. Mimo to jeszcze raz zrobiła wdech, oparła rękę na krawędzi zamrażarki i wspięła się do środka. Położyła się, mężczyzna trzymał jej głowę nad wodą. Kiedy zanurzyła uszy pod powierzchnię, przestała słyszeć odgłosy piwnicy, zostało jej tylko brzmienie własnego oddychania, echo łomoczącego serca, a nawet dźwięk zamykanych i otwieranych powiek.

Mężczyzna podniósł ją nieco, na tyle, żeby odsłonić jej uszy.

– Tym razem zapamiętaj – powiedział. – Zapamiętaj wszystko.

– Dobrze – powiedziała Lili.

Mężczyzna wepchnął ją pod powierzchnię, przyciskając jej osłabione ciało do dna zbiornika. Tym razem Lili nie próbowała się wyrywać, nie wzięła nawet ostatniego głębokiego wdechu. Zamiast powietrza wciągała wodę. Wytrzymała dławiący ból płuc zalewanych wodą, zwalczyła odruch kaszlu i chłonęła więcej. Oddychała wodą tak długo, aż pofalowany obraz mężczyzny sterczącego nad zamrażarką zniknął, aż wszystko ogarnęła czerń, aż przestało ją boleć, i cały czas przypominała sobie, że musi zapamiętać.

Lili miała już nie odzyskać przytomności.

23

NASH

Dzień drugi, 12.20

– Chyba nie oczekujesz, że będę w stanie dokonywać cudów informatycznych otoczony aromatem świeżo mielonej kawy bez dużego macchiato karmelowego w rękę, co? – powiedział Kloz, siadając za biurkiem kierownika na zapleczu Starbucksa przy Kedzie Avenue.

Zagracony pokój miał nie więcej niż dziewięć metrów kwadratowych, biurko stało wciśnięte pod tylną ścianę, a każdy wolny centymetr podłogi był zawalony kartonami z najróżniejszymi artykułami. Kiedy Kloz zajął miejsce za biurkiem, a Nash stanął obok, kierownik musiał zostać na korytarzu przed drzwiami.

– A pan? Napije się pan czegoś? – zwrócił się do Nasha. Kierownik miał przerzedzone brązowe włosy, okulary i jakieś piętnaście kilo więcej, niż przewidziano dla jego sylwetki. Wiercił się, przestępował z nogi na nogę, jego dłonie pozostawały w ciągłym ruchu. Nash mimowolnie zaczął się zastanawiać, jakie skutki dla organizmu musi mieć wdychanie oparów kawy przez dziesięć godzin dziennie.

– Proszę zwykłą dużą kawę, czarną.

– Jaki rodzaj? Blonde, Dark, Pike Place bez kofeiny, Caffè Misto, Clover...

– Zwykłą dużą kawę, czarną – powtórzył Nash.

Kierownik zgarbił się smutno.

– Zobaczą, co da się zrobić.

Nash odprowadził go spojrzeniem aż do części kawiarnianej, po czym zwrócił się do Kloza:

– No i co?

Kloz miał na ekranie trzy otwarte okna. Zmrużonymi oczami studiował tekst w trzecim z nich.

– Straszny starość, ma co najmniej z pięć lat. Dysk ma tylko pół giga, a podłączyli kamerę HD w trybie 1080p.

– Mówże po ludzku, bo zrobię ci krzywdę.

Kloz przewrócił oczami.

– Kamera nagrywa bardzo wyraźny, szczegółowy obraz, więc potrzeba dużo pamięci, żeby go zapisać. Ten komputer nie ma dużo pamięci. Kiedy kończy się miejsce na dysku, program zaczyna automatycznie nagrywać na najstarszych materiałach.

– Jak daleko możesz się cofnąć?

Kloz powiększył jedno z okien i przeczytał jego zawartość.

– Nie jest tak źle, jak mówiła Sophie. Mogę wyciągnąć nagrania z ostatnich dwóch i pół dnia. Pełne nagrania, bez żadnych skasowanych fragmentów. Kiedy komputery nadpisują dane, nie robią tego linearnie, zgodnie z datą, tak jak my byśmy to zrobili. Nagrywają bajtami. To znaczy, że kiedy starsze nagrania zostają nadpisane, fragmenty całości zostają na dysku.

Nash nachylił się nad komputerem.

– Czyli możesz wyciągnąć migawki starsze niż dwa i pół dnia, ale nie cały, pełny filmik?

– No, wreszcie załapałeś – stwierdził Kloz z uśmiechem od ucha do ucha.

– I co, jest coś z naszą dziewczyną?

– Na to chyba już za późno. Uruchomiłem program, który powinien poskładać kawałki do kupy, ale jak dotąd najstarszy obrazek mam sprzed niecałych dwóch tygodni.

– A ona zaginęła trzy tygodnie temu.

– Zgadza się.

Kierownik wrócił z dwoma dużymi kubkami i wręczył je detektywom. Nash powąchał swój i pociągnął łyk.

– To kawa?

– To właśnie pan zamówił, prawda? – zapytał kierownik.

Nash skinął głową.

– No tak, ale spodziewałem się, że przyniesie mi pan jakieś wymyślne dziwactwo.

Kloz napił się z głośnym siorbnięciem. Kiedy oderwał wargi od kubka, były pokryte białą pianką.

– Ja tam uwielbiam takie wymyślne dziwactwa. Trzysta kalorii pyszności.

– Poważnie? – Nash zmarszczył brwi. – Trzysta?

Kierownik wzruszył ramionami.

– To rozmiar venti, prawie sześćset mililitrów, pięćdziesiąt kalorii na setkę, czyli tak, zgadza się. Trzysta.

Nash odstawił kubek i zmierzył go wzrokiem.

– A w mojej ile?

– Zero, chyba żeby dodać cukru. To zwykła czarna kawa.

Kloz pociągnął kolejny łyk.

– Nie oceniaj mnie.

Kierownik zerknął na ekran komputera.

– Udało się coś wyciągnąć?

– To straszna kupa złomu.

– To samo powiedziałem detektywowi, który był tu poprzednim razem. Firma rzadko je wymienia, chyba że się zepsują, ale ten jest jak wół roboczy, nie do zajechania, chociaż próbowałem, uwierzcie mi. W gruncie rzeczy nie zależy im na długoterminowym przechowywaniu plików. W przypadku włamania chcą mieć dowód, ale nie ma powodu trzymać nagrań dłużej niż dzień czy dwa.

Brzęknął telefon. Kierownik wyjął wielkiego samsunga, przeczytał wiadomość i schował go z powrotem do kieszeni. Kloz zagapił się na niego.

– Macie tu wi-fi, prawda?

– Pewnie.

– Jaki standard?

– A/b/g/n i ac, na dwa koma cztery i pięć gigaherców – odparł.

– Najwyższa jakość, co? Klienci pewnie tego wymagają.

Kierownik przytaknął.

– Tego to akurat firma pilnuje. Najlepsi klienci przesiadują u nas godzinami.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Nash.

Kloz wstał i zaczął śledzić przebieg kabli, zwłaszcza jednego, grubego i niebieskiego. Dotarł wzdłuż niego za trzy kartony kubków ustawione w kącie jeden na drugim. Za nimi były półki. Kiedy odsunął pudła na bok, ukazały się jakieś ustrojstwa migające światełkami, ale Nash nie potrafił żadnego zidentyfikować. Kloz zatrzymał się przy jednym z nich, niedużym czarnym pudełku z dwiema antenkami na wierzchu, i odwrócił je do góry nogami.

– To tutejszy router wi-fi i punkt dostępu. Ruckus ZoneFlex, najnowocześniejszy na rynku. Pamiętasz tych wszystkich ludzi przy stolikach, którzy gapili się w laptopy i smartfony? To dzięki temu pudełeczku łączą się z internetem – wyjaśnił Kloz. Otworzył swojego MacBooka. – Widzisz? Korzystałem już kiedyś z sieci w Starbucksie, więc komputer przyłączył się automatycznie. Teraz jestem w tej samej sieci, co wszyscy ci ludzie w kawiarni.

– Wskazał palcem ikonkę w rogu, niedaleko zegarka.

– I co nam to daje? – zapytał Nash.

Kloz postukał w klawisze. Otworzyło się nowe okno, w którym dane przesuwały się znacznie szybciej, niż Nash nadążał czytać.

– To ruch na tym routerze w czasie rzeczywistym. – Odwrócił się do kierownika. – Nie powinniście zostawiać naklejki z nazwą użytkownika i hasłem na routerze. To pierwsze miejsce, które sprawdzi ewentualny haker, jeśli tylko będzie miał okazję.

Kierownik podniósł rękę.

– Tym się zajmują ci na górze, ja w ogóle nie tykam tego ustrojstwa.

Kloz wrócił do MacBooka.

– Widzę w tym logu każdego mejla, każdą stronę internetową, każde zdjęcie i piosenkę wyświetlane w tej chwili przez tamtych ludzi w kawiarni.

– Ciągłe nie rozumiem, co nam to daje – powiedział Nash.

Kloz się uśmiechnął.

– Gdybym był seksowną bohaterką filmu, a ty Tomem Cruise’em, to właśnie w tej chwili spróbowałbyś mnie pocałować.

– Nie będę cię całował, Kloz.

– I tak bym ci nie pozwolił.

– Co to wszystko znaczy?

Kloz uniósł wyprostowany palec wskazujący i zaczął znowu pisać na klawiaturze. Nash zobaczył, że wycina jakieś dane z mejla i wkleja je do swojego programu. Potem zaklaskał w ręce i uśmiechnął się triumfalnie.

– Nie możemy zobaczyć Elli Reynolds na wideo, bo dawno przepadło, ale możemy sprawdzić, co tutaj robiła, od ponad roku do dwudziestego pierwszego stycznia. Wszystko z telefonu i komputera.

Nash zastanowił się chwilę.

– Dwudziestego pierwszego? Czyli na dzień przed zaginięciem. To oznacza, że nie było jej tutaj w dniu uprowadzenia. To nam trochę precyzuje czas zniknięcia. Co tam jeszcze masz?

Kloz go nie słuchał, już znowu walił w klawisze. Nie odzywał się przez prawie trzy minuty, a potem oznajmił:

– Dzieci zawsze o krok wyprzedzają rodziców.

– To znaczy?

Na ekranie komputera Kloza wyświetlały się dwa okna. Kliknął na to po lewej.

– Tutaj mamy wszystkie dane ściągnięte z komputera Elli i jej kont internetowych. Telefon zniknął razem z nią, ale mamy jej laptopa. Miała praktycznie zerową historię wyszukiwania. Albo używała przeglądarki w trybie prywatnym, albo szyfrowała połączenie. Większość dzieciaków wie, jak się to robi, nie chcą, żeby rodzice grzebali im w historii. Wziąłem więc jej adres MAC,

czyli niepowtarzalny numer identyfikacyjny każdego komputera, i sprawdziłem go z routerem Starbucks. To tutaj. – Kliknął w okno po prawej. – Router zapisuje wszelką aktywność, nawet zaszyfrowaną. Kiedy porówna się oba okna, odfiltruje dane, które już mieliśmy, można zobaczyć, co robiła podczas połączenia szyfrowanego. Czyli praktycznie wszystko, o czym mieli nie wiedzieć jej rodzice.

– Pornosy? – zapytał kierownik.

Nash zupełnie zapomniał, że on ciągle tam stoi.

– Niestety, nie pornosy – odparł Kloz. Otworzył nowe okno i odwrócił laptopa tak, żeby Nash mógł popatrzeć.

Nash cmoknął.

– Hm, tego się nie spodziewałem.

24

CLAIR

Dzień drugi, 12.46

– To tutaj, trzydzieści trzy zero sześć – powiedziała Sophie, wskazując przez okno na biało-niebieską markizę nad dużą witryną z czarnymi drukowanymi literami, układającymi się w napis „THE LEIGH GALLERY”.

Clair wcisnęła się hondą na wolne miejsce postojowe, wysiadły z samochodu i ostrożnie przeszły przez ulicę, starając się nie poślizgnąć na oblodzonym chodniku.

Kiedy weszły do środka, zadźwięczał mały dzwonek nad drzwiami i blondynka w okularach o włosach sięgających do ramion podniosła głowę znad biurka na tyłach galerii.

– Dzień dobry paniom – powiedziała z uśmiechem. – Jeśli macie jakieś pytania albo mogłabym w czymś pomóc, proszę dać mi znać.

Clair rozejrzała się po pomieszczeniu. Jeszcze nigdy nie widziała tylu kolorów w jednym miejscu. Ściany od podłogi do sufitu były pokryte obrazami, każdy skrawek przestrzeni wypełniały płótna mierzące od kilku centymetrów do półtora metra. Prace reprezentowały cały wachlarz tematów i stylów, od abstrakcyjnych po pejzaże. Oświetlały je reflektory strategicznie rozmieszczone na listwach pod sufitem. Po obu stronach przestronnej sali stały stoliki z rzeźbami, wazami, figurkami. Clair nie potrafiła dostrzec żadnego zamysłu w rozmieszczeniu dzieł. Kolekcja sprawiała wrażenie totalnego chaosu, ale był

to chaos wspaniały. Gdyby nie przyszła tu służbowo, mogłaby tu spędzić długie godziny.

Sophie podniosła jeden z posążków ze stolika po prawej.

– Uwielbiam pingwiny, są takie słodkie.

Kobieta wstała zza biurka, założyła okulary i podeszła do nich.

– Autorką jest Tess Marchum, lokalna artystka. Każdy egzemplarz wykonuje ręcznie. Urzeka mnie to, jak zdają się trzymać wartość przy stole, jakby pilnowały pozostałych zwierząt. To spod jej ręki wyszły też tamte zebry i żyrafy. Wielki talent.

Clair zapisała w pamięci, żeby koniecznie tu wrócić, kiedy będzie miała więcej czasu, i porządnie się rozejrzeć. Teraz zwróciła się do kobiety:

– Pani Edwins?

– Tak. Proszę mi mówić Collette.

Sophie odstawiła pingwina na stolik i pogłaskała go po główce.

– Sophie Rodriguez, jestem z Zaginionych Dzieci, a to detektyw Clair Norton z policji Chicago. Chciałybyśmy zadać kilka pytań na temat Lili Davies.

Kobieta zmarkotniała.

– Znaleźliście ją? Wszystko w porządku?

– Jeszcze nie, ale mamy mocną ekipę poszukiwawczą – odparła Clair. – Kiedy widziałas ją ostatni raz?

– Przedwczoraj wieczorem, zamykała galerię. Miała pracować też wczoraj, ale się nie pojawiła. O siedemnastej zaczęłam się poważnie martwić. To nie było w jej stylu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio opuściła zmianę, a jeśli miała się spóźnić, nawet parę minut, to zawsze dzwoniła albo pisała.

– Na którą miała przyjść?

– Zwykle pracuje na zmianie od czwartej do zamknięcia – odpowiedziała Collette.

– A przedwczoraj wieczorem zauważyłaś coś dziwnego w jej zachowaniu? – spytała Clair.

Kobieta pokręciła głową.

– Absolutnie nie. Przyszła parę minut przed czasem i jak zwykle tryskała entuzjazmem. Zawsze ma uśmiech na twarzy. Klienci ją uwielbiają. – Zawahała się na chwilę, po czym zniżyła głos. – Widziałam poranne gazety. Myślicie, że porwał ją Zabójca Małpy?

Clair pokręciła głową.

– To nie on. – Chociaż to powiedziała, w głębi duszy wcale nie była taka pewna. Tuż po wydarzeniach sprzed kilku miesięcy wydawało się, że Bishop skończył, co miał do zrobienia. Jego ostatecznym celem był Arthur Talbot i udało mu się go dorwać. Nie miał żadnego powodu działać dalej. Mordercy jednak rzadko przestają zabijać z własnej woli. Jeśli Bishop tylko zrobił sobie przerwę, to musiało go korcić, żeby wrócić, a choć ostatnie zbrodnie nie pasowały do jego schematu działania, śmierdziały nim na kilometr. Oczyma wyobraźni Clair zobaczyła uśmiechniętego Bishopa i szybko wyrzuciła ten obraz z umysłu.

– Ale ktoś ją uprowadził? – zapytała Collette.

– Owszem, tak sądzimy.

– Zwróciłaś uwagę na kogoś dziwnego w galerii w ciągu ostatnich kilku tygodni? Nieznajomego albo kogoś, kto trochę za bardzo przyglądał się Lili zamiast dziełom sztuki? – zapytała Sophie.

Kobieta w zamyśleniu przygryzła policzek od środka.

– Większość odwiedzających to stali klienci. Owszem, kilka razy w miesiącu organizujemy różne imprezy, na których pojawiają się nowe twarze. Zresztą nawet w zwykłe dni, takie jak dziś, różni ludzie wpadają się rozejrzeć, ale nie przychodzi mi do głowy nikt szczególny. Zazwyczaj Lili zaczyna o czwartej, a ja wychodzę koło piątej, więc raczej nie pokrywają nam się grafiki. Niewykluczone, że ktoś taki zajrzał tu po moim wyjściu. Lili to taka piękna dziewczyna, jestem pewna, że nie brakuje adoratorów, którzy odwiedzają ją pod moją nieobecność. Nieraz zdarzało mi się tu zastać jej znajomych, ale nigdy nie sprawiają problemów. Nie mam nic przeciwko, o ile nie przeszkadzają. Kiedy nie ma klientów, można się tu czuć nieco samotnie.

Clair spojrzała na sufit.

– Macie tu monitoring?

Collette pokręciła głową.

– Nie, przykro mi. To spokojna okolica, nie trzymamy gotówki, więc nie czułam potrzeby instalowania kamer.

– Wspominałaś o różnych imprezach – powiedziała Clair. – Przyciągają dużo odwiedzających?

– O tak, na wystawy lokalnych artystów schodzi się nawet po kilkaset osób. Stali klienci, do tego znajomi i wielbiele twórców. Zapewniamy poczęstunek i napoje. Staramy się organizować je jak najczęściej – odparła.

Clair zwróciła się do Sophie:

– Gdybym miała na oku jakąś nastolatkę i chciała poobserwować ją z bliska, to chyba najlepsza okazja, nie sądzisz? Tłum, dużo nieznanomych twarzy. Łatwiej się nie wyróżniać, niż gdyby przyszedł tu sam. – Odwróciła się z powrotem do pani Edwins. – Nie prowadzicie przypadkiem jakichś list obecności na tych wernisażach?

– Prowadzimy – odparła Collette. – Zbieramy nazwiska, adresy i mejle, żeby dodać gości do listy wysyłkowej. Przekazujemy też kopię wystawianym artystom.

– Mogłybyśmy dostać takie listy? – zapytała Clair.

Collette zawahała się, ale w końcu pokiwała głową z ociąganiem.

– Jeśli to pomoże Lili, to oczywiście. Dajcie mi chwilkę.

Clair popatrzyła za kobietą, która odeszła z powrotem w stronę biurka i zniknęła w korytarzu prowadzącym na zaplecze.

– Jeśli ten nasz tu był, to wątpię, żeby podał prawdziwe nazwisko i dane kontaktowe – powiedziała do Sophie.

– To po co nam te listy?

– Sprawdzimy wszystkich i wyłowimy fałszywki: nazwiska, które nie odpowiadają podanym adresom, zmyślane mejle... Miejmy nadzieję, że dzięki

temu uda nam się zawęzić grono podejrzanych do kilku osób. Kiedy już to zrobimy, będziemy mogli...

Z zaplecza rozległ się przeraźliwy wrzask.

Clair wyszarpnęła glocka z kabury pod pachą i popędziła w stronę źródła dźwięku, Sophie biegła tuż za nią. Wyminęły biurko, przecisnęły się wąskim korytarzem obok ciemnej łazienki i dotarły do małego pomieszczenia magazynowego. Collette Edwins stała tuż za progiem, z jedną dłonią wciąż na włączniku światła, a drugą przyciśniętą do ust. Wpatrywała się w coś na środku pomieszczenia.

Clair podążyła za jej spojrzeniem, mocniej zaciskając dłoń na pistolecie.

Martwe ciało Lili Davies zwisało nieruchomo z metalowej półki, oczy miała szkliste, puste, usta lekko rozchylone. Czarny kabel elektryczny wrzynał się w fioletową skórę jej szyi. Poza tym była upiornie blada.

Clair sprawdziła, czy w pokoju nikogo nie ma, schowała glocka z powrotem do kabury, podeszła do dziewczyny i przyłożyła jej palce do szyi, żeby sprawdzić tętno. Nic. Skórę miała zimną. Kabel oplatający szyję przymocowano do wsporników półki.

– Powiesiła się? – wykrztusiła Collette.

– Nie – odparła Clair. – Nie żyła już, zanim umieszczono tu ciało.

– Kto jeszcze ma dostęp do tego pomieszczenia? – zapytała Sophie.

Collette cała się trzęsła.

– By... byłam tu dosłownie dwie godziny temu. Musiałam dostawić trochę figurek na wystawę. Nie było jej tutaj. Nikogo tu nie było. Od rana byłam tu sama.

– A co z tymi drzwiami? – zapytała Clair. W kącie magazynu były metalowe drzwi.

– Trzymamy je zamknięte. Otwieramy tylko na dostawy.

Clair wyjęła z kieszeni lateksową rękawiczkę, naciągnęła na dłoń i sprawdziła gałkę. Ani drgnęła, drzwi były też zamknięte na oddzielny zamek zamontowany

powyżej.

– Wychodzimy stąd, ale już – zarządziła.

25

POOLE

Dzień drugi, 13.03

Agent specjalny Frank Poole usiadł za pordzewiałym metalowym biurkiem, które przydzielono mu w gabinecie w piwnicy komendy. Pudła z papierami z mieszkania detektywa Portera leżały na stole obok. Po szybkim lunchu w niedużej jadłodajni przy Wabash agenci Hurless i Diener pojechali do biura terenowego FBI na Roosevelt Road, żeby sprawdzić, co z ich innymi sprawami. Poole zdecydował się wrócić tutaj. Spodziewał się protestów ze strony Hurlessa, ale zwierzchnik sam pomógł mu załadować kartony do samochodu i poinstruował Poole'a oraz techników, żeby zawieźli je prosto na komendę.

Poole zamknął drzwi i wyłączył jarzeniówki. Pomieszczenie pogrążyło się w całkowitej ciemności, jeśli nie liczyć światła lampki na jego biurku.

Otworzył teczkę Barbary McInley i przekartkował zawartość. Najbardziej lubił pracować właśnie tak, w ciemności, kiedy nic nie odwracało jego uwagi. Żadnych hałasów, zgiełku współpracowników, żadnego głosu poza materiałem dowodowym.

Barbara McInley. Siedemnaście lat. Piąta ofiara Zabójcy Małpy. Bishop ją uprowadził, ponieważ jej siostra Libby McInley śmiertelnie potrafiła przechodnia 14 marca 2007 roku. Wrócił do wewnętrznej strony okładki teczeki, gdzie przyczepiono zdjęcie Barbary McInley. Piękna dziewczyna. Blondynka.

Spojrzał na tablice w kącie pokoju, wyęzając wzrok, żeby dojrzeć zdjęcia wszystkich ofiar Bishopa. Same brunetki, z wyjątkiem Barbary. Fotografie całkowicie pochłonięły jego uwagę, kiedy zerknął na zegarek, zorientował się, że minęło blisko dziesięć minut. Sięgnął po telefon i wybrał numer, który zapisał w kontaktach na samym początku śledztwa, ale jeszcze nie miał okazji z niego skorzystać.

Dopiero po trzech sygnałach w słuchawce odezwał się szorstki głos.

– Halo?

Poole odchrząknął.

– Detektyw Porter?

– Tak.

– Mówi agent specjalny Frank Poole.

Chwila ciszy.

– Słucham.

– Zajęliśmy się tą sprawą, bo nam to zlecono. Rozumie to pan, prawda? Nie możemy przejść śledztwa, jeśli nie zostaniemy zaproszeni.

– Kto was zaprosił?

Poole przeczesał włosy palcami.

– Gdyby im zależało, żebyście wiedzieli, toby wam sami powiedzieli. Wydaje mi się, że nie do mnie należy przekazanie tej informacji.

– To pan do mnie zadzwonił – stwierdził Porter. – Co chciałby mi pan zakomunikować?

– Gdyby to ode mnie zależało, nie wprosiłbym się tak. Sam bym nie chciał, żeby ktoś się wtrącał do któregoś z moich śledztw, więc wcale mi się to nie uśmiecha.

– A jednak jest pan właśnie tutaj.

– Jestem – przyznał Poole.

– Ktoś uważa, że skopałem sprawę, więc ściągnęli was tutaj, żeby ratować twarz. To nie wasza wina, że tu jesteście, tylko wykonujecie rozkazy i tak dalej, zgadza się?

– Twierdzą, że puścił go pan wolno, że jesteście za blisko.

– Możecie sobie wierzyć, w co chcecie. Teraz to już wasza sprawa – powiedział Porter.

Poole wstał – krzesło zatrzeszczało z wyrzutem – i podszedł do tablicy z fotografiami dziewcząt.

– Prawdę mówiąc, nie przepadam za tym całym politycznym syfem, nie obchodzą mnie te gierki. Wydaje mi się, że pan ma podobne podejście. Obu nam zależy na tym samym. Chcemy złapać tego potwora.

Porter nie odpowiedział.

– Mój szef i Diener liczą na to, że wybiją się na tej sprawie – ciągnął Poole. – Wydaje mi się, że takie mają zamiary.

– A pan nie ma żadnych zamiarów.

– Ja tylko chcę, żeby ten facet już nigdy nikogo nie skrzywdził – odparł Poole.

Przez dłuższą chwilę obaj milczeli. Porter jako pierwszy przerwał ciszę.

– Dlaczego pan do mnie zadzwonił?

– Mówmy sobie na ty – zaproponował. – Frank.

– Dlaczego do mnie zadzwoniłeś, Frank?

Poole wrócił do akt leżących na biurku.

– Barbara McNley. Odniosłem wrażenie, że wcześniej nie powiedziałaś nam wszystkiego.

– Już mówiłem tobie i twojemu szefowi, że nie miałem kiedy nawet przejrzeć tych akt.

– Ale intuicja podpowiada ci, że coś tam jest?

Porter znów milczał.

– Moja intuicja podpowiada mi, żeby zaufać twojej intuicji – ciągnął Poole.

Na drugim końcu linii panowała cisza. Agent FBI też nic nie mówił. Zamierzał poczekać, aż rozmówca postanowi się odezwać.

Porter w końcu westchnął ciężko.

– Kiedy wezwano mnie z powrotem do pracy przy tej sprawie, byłem od kilku tygodni na urlopie z powodu zabójstwa mojej żony. Nash wyłapał ofiarę wypadku, uznaliśmy, że to Zabójca Czwartej Małpy. Wszystko działa się bardzo szybko. Pożyczyliśmy Bishopa z wydziału kryminalistycznego, bo sprawiał wrażenie bystrego gościa. Nie szukaliśmy już mordercy. Sądziliśmy, że nie żyje. Skoncentrowaliśmy się na próbie odnalezienia Emory. Zebraliśmy się w pokoju narad, byli tam wszyscy najważniejsi członkowie grupy specjalnej 4MK, no i do tego Bishop, ten nowy. Omówiliśmy materiał dowodowy. Czasem pomaga mi przejrzenie wszystkiego od początku do końca, bywa, że coś mi nagle zaświta, coś rzuci się w oczy. Omówiliśmy więc wszystkie dowody ze względu na Bishopa, ale też dla siebie, żeby trochę sobie odświeżyć sprawę.

– Chcieliście spojrzeć na wszystkie dane z innego punktu widzenia – wtrącił Poole. – Nie zależało wam już na znalezieniu człowieka, który krył się za wszystkimi dowodami, ale na wykorzystaniu danych do ustalenia, kim był i dokąd mógł zabrać Emory.

– Zgadza się. Dzięki takiej zmianie perspektywy można czasem doznać olśnienia. Wyłapać coś, co za pierwszym razem się przegapiło. Sprawa zaczęła dotyczyć przede wszystkim zaginionej dziewczyny – ciągnął Porter. – W trakcie zebrania Bishop dorzucał swoje trzy grosze. Przysięgam na Boga, nawet kiedy myślę o tym teraz, po wszystkim, ten gnój sprawiał wrażenie, jakby słyszał o tym pierwszy raz w życiu. Nawet nie to, że zachowywał całkowicie kamienną twarz, ale wręcz widziałem, jak pracują mu trybiki w głowie, jak analizuje tablicę z listą dowodów, łączy wątki, dopasowuje elementy, wymyśla teorie. Setki razy wracałem myślami do tamtego dnia i naprawdę ani razu nie zrobił nic, co mogłoby nam zasugerować, że to on jest zabójcą. Tak świetnie odgrywał rolę Paula Watsona, specja od kryminalistyki, że chyba nawet sam zapomniał, kim jest. Zdawało się, że zależy mu na złapaniu 4MK tak samo jak nam. Wiem, myślisz pewnie, że próbuję się tłumaczyć, że ktoś powinien się domyślić, że to farsa, ale on naprawdę całkowicie wszedł w rolę. Nie miał na twarzy maski, on się tą maską stał.

– To socjopata – stwierdził Poole. – W tamtej chwili mógł rzeczywiście być Paulem Watsonem. Tacy ludzie, pozbawieni sumienia, są jak biała kartka, puste naczynie. Mogą wrzucić do tej przestrzeni jakąkolwiek osobowość, a ona całkowicie ich przejmuje, wypełnia pustkę. Miewałem do czynienia z takimi ludźmi. W niektórych przypadkach przybrana osobowość zupełnie przejmuje kontrolę, w innych w jakimś sensie tkwią tam wszystkie razem, wzajemnie świadome swojej obecności.

– No więc, jak mówiłem, w tamtej chwili był Paulem Watsonem, a ten wyglądał, jakby chciał złapać 4MK. W trakcie omawiania dowodów, kiedy przytaczaliśmy historię każdej ofiary po kolei, zatrzymał się przy McInley. Zwrócił uwagę, że była jedyną blondynką. Wtedy wydawało nam się, że to po prostu komentarz amatora. Przecież wszyscy wiedzieliśmy, że była jedyną blondynką, w końcu gapiliśmy się na te zdjęcia przez pięć lat. Ale zatrzymał się przy niej, choć tylko na chwilę. Zignorowałem to, kiedy sądziłem, że to uwaga laika, ale teraz...

– Teraz wracasz do tej sytuacji ze świadomością, że byłeś wtedy w pokoju narad z 4MK, a on zatrzymał się przy Barbarze McInley – podsumował Poole.

– Tak.

– Niewiele.

– Powtórzyłem to już chyba z pięć razy. Nie mam nic konkretnego, to tylko przeczucie – powiedział Porter. – No i dochodzi też samo przestępstwo. Siostra McInley przejechała pieszego, uciekła z miejsca zdarzenia, ale to był wypadek. W przypadku wszystkich pozostałych ofiar Bishop wykorzystywał fakt, że ktoś z ich rodziny popełnił przestępstwo celowo. Zbrodnię z premedytacją, przemyślaną, ukartowaną. Ucieczka z miejsca wypadku nie pasuje do reszty.

Poole zerknął do akt.

– Zgodnie z raportem potrąciła pieszego, który przechodził na czerwonym świetle. Wszedł na ulicę prosto pod koła jej samochodu.

– Gdyby nie zbiegła z miejsca wypadku, nie postawiono by jej zarzutów. Nie za taką sprawę – stwierdził Porter. – Poza tym mamy tu podobieństwo do śmierci

Jacoba Kittnera. Nie zapominaj, że Bishop zapłacił temu facetowi, żeby wyszedł na ruchliwą ulicę. Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

– Ja też nie – odparł Porter. – Daj mi chwilę. – Znalazł akta Libby McInley i otworzył je na laptopie. – Według rejestru postawiono jej zarzuty w marcu dwa tysiące siódmego, a w lipcu tego samego roku skazano za nieumyślne spowodowanie wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym, w którym zginął niejaki Franklin Kirby. Dostała dziesięć lat, odsiedziała siedem z hakiem. Sześć tygodni temu została zwolniona warunkowo.

– Zaraz, jak się nazywał ten potrącony?

– Franklin Kirby. A co? Znałeś go?

Porter znów milczał.

– Porter. Jeśli skądś znasz to nazwisko, to musisz mi o tym powiedzieć – stwierdził Poole.

– Powinieneś sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Daj mi znać, jak się czegoś dowiesz.

– Dlaczego? – spytał Poole, ale Porter już się rozłączył.

26

PORTER

Dzień drugi, 13.04

Na drugim końcu miasta Porter stał przed skrzynką na listy w holu swojego bloku z telefonem w jednym ręku i „TV Guide” w drugim. Wpatrywał się w podłogę, w fotografię, która wypadła spomiędzy stron magazynu telewizyjnego, kiedy wyszarpnął go z przepełnionej skrzynki.

Porter ukłęknał i pochylił się niżej.

Było to zdjęcie w formacie trzynaście na osiemnaście, czarno-białe, na matowym papierze. Przedstawiało kobietę w kombinezonie więziennym prowadzoną przez ogrodzony drucianą siatką korytarz zewnętrzny, jeden strażnik szedł przed nią, drugi z tyłu. Ręce miała skute za plecami, głowę nisko opuszczoną, twarz ledwie dostrzegalną. Zdjęcie najwyraźniej zrobiono z daleka, było ziarniste, jakby powiększono je przy użyciu oprogramowania działającego w znacznie wyższej rozdzielczości niż obiektyw. Porter zdołał odcyfrować drukowany napis „WIĘZIENIE HRABSTWA ORLEANS” umieszczony na ścianie za kobietą.

Upuścił „TV Guide” na podłogę, obok zdjęcia, podniósł je dłonią w rękawiczce i obrócił na drugą stronę. Na odwrocie widniało jedno zwięzłe zdanie wypisane czarnym tuszem.

Chyba ją znalazłem.

B.

27

MĘŻCZYŻNA W CZARNEJ WEŁNIANEJ

CZAPCE

Dzień drugi, 13.14

– Widziała? – zapytał głos w słuchawce.

Mężczyzna w czarnej wełnianej czapce przycisnął telefon do ucha.

– Nie, nie widziała.

Siedział przy niedużym biurku z płyty pilśniowej i czarnego plastiku. Na blacie wały się papiery, kolorowe flamastry i rysunki. Bardzo dużo rysunków. Biurko stało pod oknem wychodzącym na ulicę. Sąsiad wyprowadzał psa, małego białego lhasa apso, ubranego w czerwono-zielony kubraczek. Pies podniósł tylną łapę i zaczął sikać na śnieg. Mężczyzna w czarnej czapce patrzył, jak powiększa się żółta plama kalająca jego ogródek. Sąsiad mieszkał trzy metry dalej, a mimo to właśnie tutaj wyprowadzał codziennie pupila. Pies skończył się załatwiać, podrapał krawędź chodnika krótkimi, grubymi tylnymi łapami, po czym pociągnął pana z powrotem do domu.

Mężczyznę swędziała rana z boku głowy, więc zaczął się drapać. Wełniana czapka przesuwiała się pod jego palcami, ślizgała po łysej głowie.

– Następna zobaczy – stwierdził głos na drugim końcu linii. – To będzie właśnie ta.

– Mam nadzieję.

- Zostawiłeś ją tam, gdzie ci kazałem?
- Tak.
- Ktoś cię widział?
- Nikt już nie zwraca na mnie uwagi.
- Czy ktoś cię widział? – powtórzył głos z naciskiem.
- Nie.
- Dobrze.
- Tak.

Mężczyzna wziął do ręki zielony flamaster i zaczął kolorować jeden z rysunków na biurku. Dłoń zaczęła mu się jednak trząść, tusz wychodził za linie, więc cisnął flamaster na drugi koniec pokoju.

W słuchawce usłyszał westchnienie. Mężczyzna kryjący się za tym głosem jakimś cudem go widział – zawsze go widział.

– Prędzej czy później wszystkie widzą. To tylko kwestia czasu. – Znowu mówił o dziewczynach.

Mężczyzna w czarnej czapce tęsknił za tymi dziewczynami. Bez nich dom wydawał się taki cichy. Wziął czerwony flamaster, przyłożył do rysunku i patrzył, jak dłoń znowu zaczyna mu drżeć. Odłożył flamaster i drzenie ustąpiło. Rozprostował palce, zacisnął w pięść, znowu wyprostował. Wszystko w porządku, ręka poruszała się normalnie. Przestał. Ręka się nie trzęsła. Podniósł flamaster. Ręka się nie trzęsła. Zaczął kolorować. Drobne pociągnięcia wydłużały się i poszerzały, flamaster zaczynał żyć własnym życiem, bazgrał, ręka się trzęsła. Nacisnął mocniej, ale nic to nie dało. Tusz wychodził za linie. Czerwony zachodził na zielony, którego próbował przed chwilą, kolor zmieniał się w mętny brąz. Linie rysunku znikają pod tymi mimowolnymi bazgrołami, obrazek umierał stopniowo od jego dotyku.

Odrzucił flamaster i odwrócił się na krześle twarzą w stronę pokoju.

Czerwony sweter jego córki leżał zmięty na podłodze za jego plecami, małe buciki stały koło łóżka.

– Chcę złapać następną teraz, zanim się ściemni – powiedział.

– Musisz uzbroić się w cierpliwość.

Wiedział, że głos ma rację. Głos zawsze miał rację.

Znowu podrapał się po głowie, paznokcie wpiły się w żywe mięso, palce miał mokre od krwi.

– Ale powiesz mi kiedy?

– Powiem.

– Jestem gotowy.

– Wiem.

Połączenie zostało przerwane.

Mężczyzna w czarnej wełnianej czapce odwrócił się z powrotem do biurka i odłożył telefon. Wyjrzał przez okno. Nie było już psa, nie było sąsiada, ale została plama na lśniąco białym śniegu.

Wziął do ręki żółty flamaster i zaczął kolorować rysunek.

28

PORTER

Dzień drugi, 14.17

Przez ostatnią godzinę Porter siedział na kanapie, fotografia leżała przed nim na blacie. Przyniósł lampkę nocną ze stolika przy łóżku, zdjął klosz i wymienił żarówkę na stuwatową. Światło było bardzo jasne, bezlitosne. Pochylał się nad zdjęciem, studiował każdy centymetr, każdy piksel.

Jego mózg pracował na najwyższych obrotach.

Libby McInley zabiła Franklina Kirby'ego. Barbara McInley została ukarana śmiercią za tę zbrodnię.

Oczywiście, że znał to nazwisko.

Bishop powiedział mu o nim tuż przed tym, jak zepchnął Arthura Talbota do szybu windy. Franklin Kirby wrył się Porterowi na stałe w pamięć razem z wszystkimi niedokończonymi wątkami związanymi z 4MK. Franklin Kirby to prawdziwe imię i nazwisko mężczyzny, który uciekł z matką Bishopa i ich sąsiadką, kochanka jednej z nich, a możliwe, że obu. Zamordował swojego partnera, którego Bishop nazywał w pamiętniku Panem Nieznajomym. Potem Bishop powiedział Porterowi, że mężczyzna w rzeczywistości nazywał się Felton Briggs. Talbot zatrudniał Briggsa jako ochroniarza czy prywatnego detektywa. Żadne z tych nazwisk nie pojawiało się w rozmaitych bazach danych przeszukanych przez Portera.

Duchy, tak samo jak Bishop.

Aż do teraz.

Znowu spojrzął na fotografię. Skupił wzrok na kobiecie.

Siedział tak dłuższą chwilę bez ruchu.

W końcu podniósł spojrzenie i rozejrzał się po mieszkaniu. Federalni narobili straszego bałaganu, pościągali książki z półek, opróżnili szafki, wyrzucili zawartość szuflad. Heather patrzyła w sufit ze zdjęcia przewróconego w trakcie przeszukania.

Nie chciał tu być.

Nie mógł tu być.

Nie teraz.

Porter zapatrzył się na zdjęcie na stoliku.

Dziesięć minut.

Dwadzieścia minut.

– Jebać to.

Wstał, poszedł do sypialni i wyciągnął z szafy walizkę. Pięć minut później gotowy bagaż stał przy drzwiach wejściowych.

Z zamrażarki w kuchni wyjął foliowy pakunek podpisany „mielona wołowina”, otworzył i wyjął zawartość – blisko trzy tysiące dolarów gotówką, kiedy ostatnio sprawdzał. Złożył banknoty na pół, wsunął do kieszeni i wrócił do salonu.

Znowu rozejrzał się po pokoju, po czym podszedł do swojego ulubionego rozkładanego fotela. Podniósł go od dołu i przekręcił na bok. Fotel uderzył w drewnianą podłogę z hukiem, który poniósł się echem po cichym mieszkaniu.

Porter wsunął palce pod materiał pod spodem i pociągnął. Rzępy łatwo ustąpiły.

Pamiętnik Bishopa był przyklejony taśmą do drewnianego stelaża pod tkaniną. W końcu nie wprowadził go do rejestru dowodów rzeczowych. Odczepił od fotela nieduży, czarno-biały notatnik, odkleił taśmę i wsunął go do kieszeni z pieniędzmi. Wrócił do stolika, zabrał zdjęcie od Bishopa, tym razem już bez rękawiczek, i je również schował.

Wyjął komórkę, wyłączył i odłożył na stół.

W progu odwrócił się i jeszcze raz popatrzył na mieszkanie, na przewrócone zdjęcie Heather, po czym wziął walizkę, wyszedł i zamknął drzwi na klucz.

29

CLAIR

Dzień drugi, 18.23

Clair podała Nashowi kubek kawy i opadła na sąsiednie krzesło.

– Ten facet jest jak duch. W tej galerii była cisza jak makiem zasiał, a on jakimś cudem zdołał sforsować oba zamki w tylnych drzwiach, dostać się do magazynu i upozować ciało Lili, wszystko prawie bez dźwięku, a przynajmniej na tyle dyskretnie, żeby nie przyciągnąć uwagi kierowniczkii, która cały czas siedziała nie więcej niż trzy, może pięć metrów dalej.

Nash pociągnął łyk kawy i zmarszczył nos.

– Paskudztwo.

– Możliwe, że stała w tym dzbanku już jakiś czas. Trochę pozasychała na ściankach.

Zajrzał do kubka, wzruszył ramionami i mimo wszystko się napił.

Eisley zgodził się przeprowadzić pilną sekcję zwłok Lili Davies; od nieco ponad godziny czekali na wyniki w jego gabinecie w zakładzie medycyny sądowej. Oprócz ciała Lili w galerii nie znaleziono żadnych innych dowodów. Ani jednego odcisku palca czy śladu buta. Sprawca najprawdopodobniej powycierał wszystko przed wyjściem. Została tylko dziewczyna.

Zgodnie z poleceniem Eisleya przywieziono ją prosto do kostnicy, żeby mógł od razu wziąć się do pracy.

Clair i Nash zgodzili się poczekać na wyniki, a tymczasem Klozowski pojechał się skonsultować ze swoimi informatykami. Sophie Rodriguez ruszyła prosto do Daviesów. Nie chcieli, żeby rodzina dowiedziała się o wszystkim z wiadomości, jak stało się w przypadku Reynoldsów.

– Czyli Ella Reynolds przeglądała oferty sprzedaży samochodów? – spytała Clair.

Wcześniej Nash powiedział jej, co znaleźli w jej historii wyszukiwania w Starbucksie. Teraz wziął kolejny łyk kawy, zmuszając się do przełknięcia płynu.

– Cars R Us na Pulaski Road. Przez jakieś dwa tygodnie prawie codziennie przeszukiwała ich katalog. Potem widocznie znalazła coś, co przypadło jej do gustu: mazdę dwójkę z dwa tysiące dwunastego za siedem tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt pięć dolarów. Jasnozielona, z tekstylną tapicerką i silnikiem półtora litra. Automat, sto dwadzieścia tysięcy na liczniku.

– Spory przebieg.

– No tak. – Nash uśmiechnął się krzywo. – To też była moja pierwsza myśl.

– Mówiłeś, że wyszukiwanie było zaszyfrowane, tak? Czemu miałyby ukrywać coś takiego przed rodzicami? – zapytała Clair.

Nash wzruszył ramionami.

– Może nie chcieli, żeby kupowała samochód. Miała dopiero piętnaście lat. Może uważali, że jest za młoda.

– Trochę dziwnie oglądać samochody, kiedy nie można jeszcze nawet zrobić prawa jazdy.

– E tam, ja byłem gotów kupić furę w wieku ośmiu lat – odparł Nash.

– Piętnastoletnie dziewczyny interesują się raczej chłopakami z samochodem, a nie kupowaniem własnego.

– Nie wszystkie.

– Najwyraźniej.

– Właśnie mieliśmy tam jechać z Klozem, kiedy zadzwoniłaś z wieściami o Lili – powiedział. – Podjedziemy, jak już tu skończymy.

Clair przypomniała sobie słowa Gabrielle Deegan.

– Wiesz co, Gabby, przyjaciółka Lili Davies, powiedziała nam, że Lili też szukała samochodu. Przez ostatnie parę tygodni ciągle wysyłała jej wiadomości ze zdjęciami samochodów, zastanawiała się, co wybrać. Ojciec obiecał jej samochód na zakończenie liceum.

Popatrzyła na Nasha, który w zamyśleniu napił się kawy.

– Jest jakaś szansa, że była w tamtym salonie? Może to właśnie je łączyło.

– Sprawca handluje używanymi samochodami?

Nash wstał i zaczął powoli chodzić po gabinecie.

– Miałyby łatwy dostęp do ofiar. Pomyśl tylko, jak to działa. Taka Ella czy Lili wybiera sobie samochód, idzie do salonu i spotyka sprawcę. To pozornie niegroźne, one przychodzą do niego, a nie na odwrót. Pokazuje im wybrany samochód albo inne, które ma w ofercie. Spędzają razem sporo czasu. Udało ci się kiedykolwiek załatwić taką sprawę w mniej niż godzinę? Zawsze próbują cię urobić. Klientki łążą po parkingu ze sprzedawcą, zapoznają się, może dają się namówić na parę jazd próbnych. To wszystko sprawia, że czują się bezpiecznie. Lili czy Ella pewnie by się pilnowały, gdyby jakiś facet podszedł do nich na ulicy, ale w takiej sytuacji? Pewnie same próbowałyby mu się przypodobać, żeby załatwił im jakąś zniżkę.

Oczy Clair zrobiły się wielkie jak spodki.

– Przed jazdą próbną trzeba zostawić kopię prawa jazdy, wszystkie dane osobowe. Miałyby do nich dostęp nawet po wyjściu dziewczyn.

Nash pokręcił głową.

– Żadna z nich nie miała jeszcze prawka, zapomniałaś?

– Może musiały wypełnić jakiś formularz czy coś.

– Może.

– Na pewno nie zaszkodzi sprawdzić.

– Zgoda.

Eisley wszedł przez dwuskrzydłowe drzwi, wycierając ręce w ręcznik papierowy. Gestem głowy wskazał salę sekcijną.

– Chodźcie.

Clair wstała i ruszyła za nim, Nash poszedł w jej ślady. Wsadziła sobie do ust gumę do żucia i poczęstowała Nasha, ale pokręcił głową.

– Chyba zaczynam się przyzwyczajać do zapachu.

– W moim fachu jak zaczynasz się przyzwyczajać, to znak, że czas na emeryturę – powiedział Eislej.

Nagie ciało Lili Davies leżało na stole z otwartą klatką piersiową i brzuchem. Cięcie w kształcie litery igrek ciągnęło się od ramion aż do kości łonowej. Kiedy Nash to zobaczył, zbladł i wyciągnął rękę do Clair.

– To może jednak wezmę tę gumę.

Clair parsknęła i dała mu jedną. Sama pochyliła się nad ciałem. Na twarzy Lili malował się niezmacony spokój.

Eislej przechylił dużą lampę nad stołem, kierując jej promień na otwartą klatkę piersiową.

– Normalnie bym ją zaszył, ale chciałem, żebyście to zobaczyli. – Sięgnął do środka i wskazał palcem coś pod żebrami. – Widzicie te ślady na płucach?

Clair podążyła wzrokiem za jego palcem ku ciemnym smugom na różowej powierzchni. Na obu płucach były ich dziesiątki.

– Co to jest?

– Kiedy płuca napełniają się płynem i naprężają pod naciskiem, czasem mogą powstawać siniaki – wyjaśnił Eislej.

– Czyli co, utonęła? Jak Ella? – zapytał Nash.

Eislej pokiwał głową.

– W słonej wodzie, tak samo jak Ella.

Clair nachyliła się bliżej.

– Myślałam, że kiedy przestaje bić serce, na ciele nie robią się już siniaki. Jeśli się utopiła, to czy powinna mieć posiniaczone płuca?

– Siniaki na płucach topielców to nic szczególnego, zarówno przed-, jak i pośmiertne – odparł Eislej.

– W takim razie czemu nam to pokazujesz?

Eisley znów powiódł palcem wzdłuż śladów na płucach dziewczyny.

– Niektóre są znacznie ciemniejsze niż inne, widzisz? Na przykład tutaj.

Clair skinęła głową.

– To oznacza wielokrotne urazy. Niektóre są starsze od innych.

– Chcesz powiedzieć, że topiła się więcej niż jeden raz? – spytał Nash.

– Z moich obserwacji wynika, że ta dziewczyna topiła się sześć, może siedem razy w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Jak to możliwe? – zapytała Clair, marszcząc czoło.

– Wydaje mi się, że sprawca ją topił, a potem reanimował – powiedział. – Jeśli przyjrzesz się bliżej jej zębom, zauważysz mikrołamania. Sądzę, że wykonywał resuscytację. Znalazłem też liczne oparzenia elektryczne od paralizatora, więc albo próbował ją nim obezwładnić, albo reanimować.

– To działa?

Eisley pokręcił głową.

– Nie. Prąd rozszedłby się po skórze. Trzeba skierować go bezpośrednio do serca. Może gdyby położył ją na metalowej płytce, ale wątpię, czy nawet to by coś dało. Ale resuscytacja krążeniowo-oddechowa jak najbardziej mogła mu się udać.

– Wiele razy – dodała Clair.

– Co najmniej sześć albo siedem.

– Boże święty.

Nash opuścił głowę i podrapał się w czoło.

– Czyli wychodzi na to, że topił ją ileś razy, aż w końcu nie dał rady jej ożywić.

– Ja również wyciągnąłem taki wniosek, owszem – przytaknął Eisley.

Clair cofnęła się od stołu.

– Po... po co... – powiedziała, ale bardziej do siebie niż do swoich towarzyszy.

Eisley zmarszczył brwi.

– Obawiam się, że to nie koniec.

Poszedł na drugi koniec sali i uniósł prześcieradło zakrywające zwłoki leżące pod ścianą.

Ella Reynolds.

– Zbadałem jeszcze raz 14982F i znalazłem takie same ślady. Jako że ciało prawie całkowicie zamarzło, komórki doznały uszkodzenia, więc sińce były gorzej widoczne. Mimo to powinienem był jednak to zauważyć. Nie mam żadnego usprawiedliwienia, przeoczyłem. Skupiłem się przede wszystkim na samym utonięciu oraz na zminimalizowaniu szkód wyrządzonych przez warunki, w jakich znaleźliście ciało.

– Elle – poprawił Nash cicho. – Ma na imię Ella.

– Ależ tak, Ella. Oczywiście.

– Ją też co chwilę topił i reanimował? – zapytał Nash.

Eisley ponuro pokiwał głową.

– Wygląda na to, że w jej przypadku trwało to znacznie dłużej. Między kolejnymi zdarzeniami mijało czasem wiele dni, tymczasem u 149... u Lili... to była kwestia godzin, nawet minut. W zachowaniu sprawcy wyraźnie widać eskalację. Gdyby Lili miała więcej czasu na dojście do siebie, być może by przeżyła. Niestety, wytrzymałość organizmu ludzkiego ma swoje granice. Nie dano jej szansy.

– A ojciec Elli? – zapytała Clair. – Znaleźliście coś?

Eisley delikatnie przykrył ciało Elli z powrotem białym prześcieradłem, po czym podszedł do metalowych szuflad wbudowanych w ścianę. Wysunął jedną i gestem przywołał ich bliżej.

– Próbowałem się dodzwonić do Portera, ale ciągle włącza się poczta.

– Sam musiał się na trochę wycofać – powiedział Nash.

– Wszystko w porządku?

– Sprawy osobiste.

Eisley przez chwilę wyglądał, jakby chciał drążyć temat, ale widocznie zmienił zdanie. Ciało Floyda Reynoldsa spoczywało w grubym czarnym worku. Rozpiął zamek od głowy do pasa i odsunął plastik na boki, żeby mogli zajrzeć do

środku. Skóra nieboszczyka była biała jak kreda, z wyjątkiem grubej fioletowoczarnej szramy na szyi. Najgorsza była na środku, nad jabłkiem Adama. W miarę jak rozciągała się na boki, stawała się coraz cieńsza i jaśniejsza, a kończyła się w okolicach uszu.

Eisley powiódł palcem, trzymanym w powietrzu kilka centymetrów nad ciałem, wzdłuż linii.

– To musiał być bardzo cienki drut, najprawdopodobniej struna z pianina albo gitary elektrycznej. W większości sklepów z narzędziami sprzedają cienkie kable, ale to mi wygląda na znacznie cieńsze, niż można by tam znaleźć. Tak jak mówiłem, coś w rodzaju struny z instrumentu muzycznego. Porter wspomniał o odcisku buta na fotelu samochodowym. To by pasowało do obrażeń. Sprawca zarzucił drut na szyję denata i zaczął z całej siły ciągnąć. Jako że głowa ofiary opierała się o zagłówek, napastnik miał niewiarygodną przewagę. Jeśli przyjrzyście się bliżej temu miejscu na środku, zobaczycie, że struna przebiła się niemal do tchawicy. Urazy są lżejsze po bokach, co pasowałoby do uduszenia od tyłu.

– Czyli to definitywna przyczyna śmierci? – upewnił się Nash.

Eisley skinął głową.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Nie znalazłem niczego innego.

Telefon Clair zawibrował. Odczepiła go od paska i przeczytała wiadomość.

– Randal Davies właśnie doznał poważnego udaru.

30

CLAIR

Dzień drugi, 18.51

Clair i Nash trafili na końcówkę godzin szczytu, ale przedarli się przez korki i jakieś trzydzieści minut później zaparkowali przed oddziałem ratunkowym szpitala imienia Johna H. Strogera Jr. W poczekalni zobaczyli Sophie Rodriguez – siedziała w kącie z Grace Davies, matką Lili.

Sophie zauważyła ich, gdy tylko weszli do pomieszczenia przez przeszklone drzwi automatyczne, i od razu do nich podeszła.

– Byliśmy u nich w kuchni. Przekazałam im wieści o Lili, przyjęli je tak, jak można się było tego spodziewać. Obejmował żonę, a potem nagle jakby stracił władzę w członkach. Próbowwała go podtrzymać, ale to kawał chłopa. Osunął się na podłogę i dostał drgawek. Natychmiast wezwałam pogotowie, karetka pojawiła się jakieś cztery minuty później. Do tego czasu drgawki ustały, ale oddychał z trudem, a serce biło mu bardzo słabo. Długo nie mogłam znaleźć tętna, a kiedy wreszcie udało mi się je zmierzyć, wyszło około czterdziestu uderzeń na minutę.

– Miewał już podobne problemy? – zapytała Clair. Sophie pokręciła głową.

– Żona mówi, że nie. Codziennie ćwiczy, nawet teraz, w tym całym młynie. Kiedy do nich przyszłam, właśnie wybierał się pobiegać. Mówił, że to mu pomaga oczyścić umysł.

– Jego córka zaginęła, a on sobie chciał zrobić przebieżkę? – zapytał Nash.

– Ludzie różnie sobie radzą z takimi sytuacjami. – Sophie dyskretnie obejrzała się przez ramię na Grace Davies. – Straciła córkę, mąż leży na intensywnej terapii. Nawet sobie nie wyobrażam, przez co ona przechodzi.

Dwuskrzydłowe drzwi oddziału ratunkowego otworzyły się popchnięte przez lekarza, który powiódł wzrokiem po twarzach w poczekalni i ruszył ku Grace Davies. Clair, Nash i Sophie czym prędzej do niej wrócili.

– Bardzo mi przykro, Grace – mówił lekarz. – Tylko tego ci jeszcze brakowało.

– Znacie się? – zapytała Clair.

Lekarz zmrużył oczy.

– A pani to kto?

– Detektyw Clair Norton, a to detektyw Nash i Sophie Rodriguez z Zaginionych Dzieci.

Jego twarz złagodniała.

– Pomagacie znaleźć Lili. – Pokiwał głową i dodał: – To taka kochana dziewczyna. Znam ją od urodzenia. Kto mógłby zrobić coś takiego?

Grace gwałtownie zbladła, a zapuchnięte czerwone oczy znów wypełniły się łzami. Sophie objęła ją ramieniem.

Clair powiedziała lekarzowi, że Lili została odnaleziona. Ani na chwilę nie oderwał oczu od Grace Davies. Kiedy policjantka skończyła, mężczyzna wziął głęboki oddech.

– To okropne. – Podeszedł do Grace, objął ją i powiedział coś na ucho.

– Skąd pan zna Daviesów? – zapytała Clair.

– Randal pracuje tutaj na onkologii, a ja od prawie sześciu lat jestem ordynatorem oddziału ratunkowego. W naszym szpitalu trzymamy się blisko – wyjaśnił lekarz. – Poza tym obaj robiliśmy rezydenturę w McGaw.

Nash podeszedł bliżej.

– W jakim stanie jest doktor Davies? Wyjdzie z tego?

– Na razie w stabilnym, ale udar mógł spowodować nieodwracalne zmiany. Teraz czekamy na wyniki tomografii komputerowej. – Wypuścił panią Davies

z ramion i cofnął się o krok. – Grace, od jak dawna Randal zażywał lizynopryl?

Kobieta zmarszczyła czoło.

– A co to jest lizynopryl?

– Lek na nadciśnienie.

– Randal przecież nie ma nadciśnienia.

Lekarz położył dłoń na jej ramieniu.

– A możliwe, że miał nadciśnienie, ale ci nie mówił? Może nie chciał cię martwić.

Pani Davies pokręciła głową. Wyciągnęła z torebki telefon i zaczęła stukać w ekran.

– Nie ma nadciśnienia. Oboje mierzymy sobie ciśnienie parę razy w tygodniu takim aparatem na bluetooth, który przywiózł w zeszłym roku z jakiejś konferencji. – Podała mu telefon. – Zobacz, wszystkie nasze wyniki.

Lekarz przewinął listę pomiarów.

– Wszystko w normie.

– Randal codziennie uprawia sport – powiedziała. – Podczas ostatnich badań kontrolnych powiedzieli mu, że ma kondycję trzydziestolatka.

– W takim razie mamy poważny problem – powiedział lekarz, pocierając brodę.

Clair do tej pory milczała. Coś było nie tak.

– O co chodzi?

Lekarz nie odpowiedział od razu, wyraźnie pogrążony we własnych myślach.

– Wykryliśmy u niego wysokie stężenie lizynoprylu we krwi. Szacuję, że przyjął raczej sporą dawkę: trzysta, może czterysta miligramów.

– A jaka jest normalna dawka? – zapytał Nash.

– Od dwóch i pół do czterdziestu miligramów, ale nie więcej.

Clair odwróciła się do Sophie, ale zanim nawet zdążyła zadać pytanie, Sophie już energicznie kiwała głową.

– Niech pomyślę... Byliśmy w kuchni. Ja piłam wodę, pani Davies...

– Piłam sok pomarańczowy – powiedziała pani Davies. – Randal zaparzył cały dzbanek kawy, ale ja nie piję. Nie mogę potem zasnąć.

– Myślisz, że ktoś zatrzał kawę? – Nash zapytał Clair.

Clair zaczęła odpowiadać, ale odciągnęła go na bok, poza zasięg słuchu reszty.

– Sprawca zabił ojca Elli Reynolds – powiedziała cicho.

– Udusił ojca Elli Reynolds i prawie uciął mu głowę struną fortepianową – odparł Nash. – To przedawkowanie leków, niezbyt podobna metoda. Może doktor Davies miał nadciśnienie i sam przepisywał sobie leki, z jakiegoś powodu ukrywając problemy przed żoną. Kto regularnie mierzy sobie ciśnienie we własnym domu?

Clair pokazała mu Apple Watch na swoim przegubie.

– To urządzonek zlicza kroki, monitoruje puls, nawet zwraca mi uwagę, kiedy zbyt długo siedzę na tyłku. W dzisiejszych czasach wszyscy kontrolują takie rzeczy. – Dźgnęła go palcem w wielki brzuch. – A w każdym razie wszyscy powinni to robić.

– Jestem pulchny i dobrze mi z tym, Eklerku. Nie potrzebuję jakiegoś gadżetu, który cztery razy dziennie będzie mi o tym przypominał.

– Skoro normalna dawka to od dwóch i pół do czterdziestu miligramów, a on miał dziesięć razy więcej, to nie ma mowy o wypadku. Ktoś próbował go zabić – stwierdziła Clair.

– To mogła być też próba samobójcza – zauważył Nash.

– Trzeba to sprawdzić – powiedziała Clair. Wyjęła telefon i wybrała numer komendy. – Wyślę tam kryminalistycznych.

Nash skinął głową bez większego przekonania.

– Spytam panią Davies, gdzie trzyma zapasowy klucz.

31

POOLE

Dzień drugi, 19.04

Agent specjalny Frank Poole zaparkował czerwonego jeepa cherokee przy Mckeen Road w Downers Grove, kilka budynków od domu z numerem 317 po prawej. Teczka z aktami Barbary McInley leżała otwarta na fotelu pasażera.

To ostatni znany adres Libby McInley, zapisany w aktach przez kuratora sądowego sześć tygodni wcześniej, kiedy wypuszczono ją z więzienia.

Nie powinien był tu przyjeżdżać.

Wiedział, że to nierozsądne.

Na podjeździe stał ford taurus z późnych lat osiemdziesiątych. Wyglądało na to, że stoi tam już od dłuższego czasu. Lakier w kolorze wypłowiałego bordo albo brązu, trudno było określić w słabym świetle szybko zapadającego zmroku. Na podjeździe nie było śladów kół, samochód pokrywała gruba warstwa śniegu. Rozległe plamy rdzy, sflaczałe opony, porzucony, zapomniany. Spod świeżego puchu wystawały długie źdźbła zbrązowiełej trawy i chwasty, jakby zima bezskutecznie próbowała zakryć zapuszczony trawnik. Dom był jednopiętrowym klockiem, pozbawionym wyraźnego stylu. Cztery ściany i dach, przylegający garaż na jeden samochód. Biała farba już dawno przestała się trzymać sidingu, ciemne drewno prześwitywało w miejscach, w których odeszła całymi płatami. Dach wymagał gruntownej naprawy, wyraźnie zapadał się nad – prawdopodobnie – bardzo małym salonem.

W sąsiednich domach zaczęły się zapalać światła, ale numer 317 pozostawał ciemny i pozbawiony życia.

„Chcesz się rozejrzeć w środku”, szepnął mu jakiś głos z tyłu głowy. „Tylko rzucisz okiem i możesz wracać. Nic złego się nie stanie, nikt się o tym nie dowie”.

Poole rzeczywiście chciał się rozejrzeć. Chciał z nią porozmawiać. Porter miał rację. Coś było nie tak ze sprawą śmierci jej siostry. Nie dawało mu to spokoju i Poole wiedział, że jeśli tego nie zrobi, przez następne dwa tygodnie będzie o tym bez przerwy myślał. Jedyne sposob, żeby się od tego uwolnić, to podejść do drzwi, zadzwonić i zamienić kilka słów z panią McInley.

Po zakończeniu rozmowy z Porterem Poole przeczesał wszystkie bazy danych w poszukiwaniu informacji o Franklinie Kirbym, pieszym przejechanym przez McInley. Nie znalazł zupełnie nic. Ofiarę zidentyfikowano na podstawie prawa jazdy w portfelu. W aktach McInley znajdowało się zdjęcie dokumentu, ale w bazie kierowców nie było po nim śladu. Numer prawa jazdy należał do kobiety nazwiskiem Lesley Carmichael, czterdziestosześcioletniej mieszkanki Woodlawn – zdecydowanie nie do Franklina Kirby'ego. Libby McInley przejechała mężczyznę posługującego się fałszywymi dokumentami, choć wystawionymi na nazwisko ewidentnie znane Porterowi.

Poole wysiadł z jeepa na zimne wieczorne powietrze, zamknął drzwiczki i przeszedł przez ulicę, kierując się ku numerowi 317. Ani chodnik, ani kamienna ścieżka prowadząca do drzwi nie zostały odśnieżone. Również ganek pokrywała kilkunastocentymetrowa warstwa śniegu. Nacisnął guzik dzwonka palcem w rękawiczce, usłyszał podwójne brzęknięcie w środku i czekał.

Nic.

Zadzwonił jeszcze raz, oglądając się na podjazd.

Potem znów obrócił się do drzwi.

Żadnego dźwięku.

Ciemno.

Libby McInley mogła go zauważyć i pogasić światła. Nie ona pierwsza na zwolnieniu warunkowym chowałaby się przed gliniarzem pukającym do drzwi. W aktach nie było żadnych informacji o miejscu zatrudnienia. Pewnie nie miała powodów opuszczać domu. Zresztą on sam nie wychodziłby w taką pogodę, gdyby nie musiał.

Załomotał do drzwi, trzy głośne stuknięcia.

– Pani McInley? Agent specjalny Frank Poole. Wiem, że pani tam jest. Proszę otworzyć.

Nie miał pojęcia, czy rzeczywiście tam była, ale ten numer zwykle działał.

Poole chuchnął w dłonie. Czuł się tak, jakby stał w kadzi lodowatej wody. Jego oddech zamieniał się w powietrzu w rozedrgany obłok pary wodnej.

Zszedł z ganku, przelazł przez niski żywopłot i przycisnął twarz do dużego okna widokowego. Szkło było zimne i pokryte szronem. Nie widział niczego po drugiej stronie szyby.

„Gdyby działało ogrzewanie, poczułbyś to na szkle, zgadza się? Kto nie włącza ogrzewania w taką pogodę?”

Cofnął się i zaczął obchodzić dom dookoła, sprawdzając każde okno po drodze. Jeśli zobaczył go któryś z sąsiadów, to na pewno dzwoni już na policję. Potknął się o stojący z boku domu zardzewiały rower, starego czerwonego schwinna zasypanego śniegiem. Wałały się tu też szczątki roślin doniczkowych, już dawno zwiędłych, oraz zbieranina węży ogrodowych, pozwijanych i porzuconych na zimę.

Na tyłach była drewniana weranda. Czarny grill marki Weber leżał przewrócony na bok, pogrążony w śnie zimowym, wokół piętrzyły się krzesła ogrodowe, każde z innej parafii. Kiedy wszedł na werandę, deski niebezpiecznie zatrzeszczały pod jego ciężarem.

„Mogą być przegniłe. Możesz się zapaść”.

Ostrożnie zbliżył się do tylnego wejścia.

Siatka w drzwiach była przecięta.

Proste cięcie, długie na kilkanaście centymetrów, akurat tyle, żeby dorosły mężczyzna mógł wsunąć rękę.

„Akurat tyle, żeby otworzyć drzwi, rozpracować zamek wytrychem”.

Poole spróbował przekreślić gałkę. Otwarte.

Sięgnął pod płaszcz i wyjął glocka 22. Trzymał go nisko, tuż przy biodrze, i celował w ziemię. Do lufy przymocował małą latarkę LED. Pstryknął włącznik palcem wskazującym.

Najpierw uderzył go zapach: słodki, paskudny odór rozkładu, zepsucia. Unosił się falą, ostrzegająco, jakby nakazywał mu się wycofać, wsiąść do samochodu i odjechać.

– Pani McInley? Agent specjalny Frank Poole. Wchodzę do środka.

Drewniane drzwi prowadziły do kuchni. Poole popchnął je czubkiem buta, jednocześnie wodząc po pomieszczeniu snopem światła z latarki na lufie pistoletu. W zlewie i na blacie piętrzyły się sterty brudnych naczyń. Oprócz tego kartony po pizzy i pudełka po chińszczyźnie, puste puszki po napojach i butelki po wodzie.

Ogrzewanie było wyłączone.

Kiedy podszedł do zlewu, zobaczył naczynia zamrożone w bryle lodu. Wszystko pokrywała warstewka szronu.

A mimo to ten zapach.

Poole minął szafki kuchenne i wszedł do małej jadalni. Stół był zarzucony różnymi pudełkami i papierami – podania o pracę, kopie CV z nazwiskiem „Elizabeth McInley” napisanym wytłuszczonym drukiem w nagłówku. Gazety, nieotwarte rachunki, ubrania – damska bluzka i biustonosz, wszystko beładnie porozrzucane.

– Pani McInley? Jest tu pani?

Oddech Poole’a unosił się w zimnym powietrzu. Zauważył na ścianie termostat. Ogrzewanie było wyłączone, pokrętko ustawione na najniższą temperaturę.

Po lewej stronie miał otwarte drzwi. Przeszedł przez nie do niewielkiego salonu, teraz celując bronią i latarką do przodu, podążając za nimi. Po prawej były drzwi frontowe oraz duże okno, przez które próbował wcześniej zajrzeć do środka, równie nieprzejrzyste z tej strony, jak i z zewnątrz. Pod ścianą po lewej stała kanapa skierowana w stronę małego telewizora ustawionego na skrzynkach po mleku. Przed kanapą stał tani stolik z płyty pilśniowej. Ktoś zrzucił wszystko z blatu na podłogę – kolorowe gazety, pilot, rachunki za media, parę ulotek reklamowych.

Na środku stołu w równiutkich odstępach leżały trzy białe pudełka przewiązane czarnym sznurkiem. Biel pudełek zakłócały brązowoszkarłatne plamki, jakby nakrapiany wzór.

Poole zrobił krok w przód i omiótł spojrzeniem łazienkę. Na ściankach białej wanny widniała linia brązowego osadu, umywalkę pokrywały plamy zaschniętej pasty do zębów. Na podłodze leżał spleśniały ręcznik, zwinięty w kłęb i upchnięty koło sedesu. Ktoś wytarł kawałek lustra na samym środku; na Poole'a patrzyło jego niewyraźne odbicie.

Wycofał się z łazienki z powrotem do salonu, tym razem celując pistoletem w drzwi do sypialni. Kątem oka widział pudełka na stoliku. Starał się na nie nie patrzeć. Zataczając łuk, podszedł do otwartych drzwi – wolał wejść do środka na wprost, niż przesuwać się wzdłuż ściany i wślizgnąć bokiem. W świetle latarki tańczącym po ścianach ukazała się zdezelowana komoda, potem łóżko.

Na łóżku leżało ciało kobiety przywiązane do wszystkich czterech rogów. Ktoś rozciął i zdjął jej ubranie, resztki leżały w strzępach porzucane na podłodze. Ciało pokrywały malutkie czerwone nacięcia, całe tysiące, na każdym centymetrze skóry. Oczu nie było, zostały puste, czarne oczodoły. Usta miała pełne suchej, zakrzepłej krwi. Poole wiedział, że pod matowymi włosami brakuje też jednego ucha. Znajdzie to wszystko w pudełkach.

Odczepił latarkę od lufy i schował broń do kabury.

Patrzył na szczątki Libby McInley.

32

POOLE

Dzień drugi, 19.12

Poole zastygł bez ruchu. Przed twarzą unosiły mu się białe smużki pary, w którą jego oddech zamieniał się w mroźnym powietrzu.

W sypialni panował całkowity spokój.

Kiedy wejdzie się do pomieszczenia, w którym znajduje się już przynajmniej jedna osoba, wiadomo, że ktoś tam jest. Ludzkie ciało instynktownie wyczuwa obecność drugiego człowieka. Wyostrza się czujność, nasila instynkt samozachowawczy. Następuje subtelny wzrost poziomu adrenaliny, kiedy organizm przyswaja sobie widok i dźwięk tej osoby, język jej ciała i zachowanie. Mózg błyskawicznie przełącza się na tryb oceny sytuacji: czy ta osoba mnie pociąga, czy odrzuca? Budzi obojętność czy zaskoczenie? Nasze ciało i umysł wyciąga wszystkie te wnioski szybciej, niż zdążymy choćby mrugnąć.

O ile ta osoba żyje.

Kiedy wejdzie się do pomieszczenia zajmowanego przez zmarłych, nic takiego nie następuje. Bez duszy ciało jest tylko skorupą, powłoką, a umysł jakimś sposobem to pojmuje. Wysyłane są zupełnie inne sygnały: jak ta osoba zmarła? Kiedy zmarła? Czy coś, co ją zabiło, ciągle tu jest? Czy to coś lub ktoś może mnie skrzywdzić?

Poole patrzył na zwłoki Libby McInley i nie czuł nic poza głębokim poczuciem straty, tak silnym, że bolało go serce.

Podszedł bliżej do łóżka, światłem latarki przebiegając po ciele.

Odcięto jej palce u rąk i nóg. Znalazł je ułożone w równym rzędku na stoliku nocnym, obok poplamionych nożyc do homara.

Bishop nigdy jeszcze nie zrobił czegoś takiego. To oznaczało eskalację.

Poole spróbował zapalić lampkę nocną. Wyjęto z niej żarówkę.

W przypadku poprzednich ofiar 4MK nigdy nie udało im się znaleźć miejsca zbrodni. Podrzucał ciała w miejsca, gdzie zgodnie z jego wolą miały zostać znalezione. Ani razu nie dowiedzieli się, gdzie dochodziło do samego zabójstwa. Agent dowodzący Hurless podejrzewał, że zabijał w tunelach pod miastem, ale Poole zawsze miał inne zdanie na ten temat. Sądził, że Bishop miał specjalny pokój do zabijania, w jakimś odludnym, ważnym dla niego miejscu, gdzie nikt mu nie przeszkadzał, gdzie krzyki były pochłaniane, zanim wydostały się na zewnątrz.

Libby McInley konała w koszmarnych bólach. Umierała powoli. I skoła tutaj, sama.

Wszędzie była krew. Strumień światła z latarki Poole'a wydobył jej ślady na ścianie za łóżkiem, na prześcieradłach, na grubym zielonym dywanie pod jego stopami. Nie powinien tu chodzić, nie bez przygotowania. Niewykluczone, że niszczył potencjalne dowody, ale coś mówiło mu, że nic tu nie znajdą – przynajmniej nic użytecznego. Znajdą tylko to, co Bishop chciał, żeby znaleźli.

Poole nachylił się nad ciałem, oświetlając latarką gnijące ciało, małe nacięcia.

Żyletką.

Żadne nie dłuższe niż centymetr. Tak wiele, że całą skórę miała pokrytą zaschniętą krwią.

Poole zdjął rękawiczkę i wyciągnął ku niej rękę, opuszkami palców muskając jej przedramię.

Była chłodna, ale nie lodowata. Ogrzewanie w domu musiało zostać wyłączone na długo przed jej śmiercią – przynajmniej kilka dni, może nawet tydzień. Ona zmarła niedawno, nie dalej niż w ciągu ostatnich dwóch dni.

I wtedy zauważył coś w nacięciach. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi, pewnie dlatego, że patrzył pod innym kątem. Nie zauważył, dopóki nie spojrział na jej ramię od strony wezgłowia łóżka.

Słowa.

On nie tylko pociął ją żyłką. Pisał po jej ciele, potraktował je jak płótno, czystą kartkę. Małe słowa, ledwie widoczne spod krwi. Ramiona krwawiły słabiej, bo przywiązane do ramy łóżka znajdowały się nad sercem.

Jesteś zła — Jesteś zła — Jesteś ZŁA — jesteś

Ta sama fraza, powtórzona wiele razy, na każdym centymetrze skóry.

Żyła jeszcze, kiedy to robił. Świadczyły o tym ślady wylanej krwi przy każdym nacięciu. Zaczął od stóp i posuwał się do góry. Poole wywnioskował to po ilości krwi przy każdej ranie. Umarła wreszcie gdzieś na wysokości żeber. Kontynuował, ale od tego miejsca cięcia były szybsze, bardziej niedbałe.

Po jej śmierci nie sprawiało mu to już takiej przyjemności. Musiał jednak wypełnić zadanie.

To było brutalne, to była zemsta.

– Kim był dla was Franklin Kirby? – zapytał Poole na głos Libby McInley i Ansona Bishopa. Żadne nie odpowiedziało.

Dziesięć minut później tą samą drogą, którą przyszedł, opuścił dom i wrócił do jeepa. Wdrapał się do środka, odpalił silnik i zadzwonił do agenta Hurlessa. Rozważał telefon do detektywa Portera, ale zmienił zdanie. Chciał zobaczyć wyraz jego twarzy, kiedy będą o tym rozmawiać. Musiał zrozumieć, co dokładnie wiedział Porter.

33

PORTER

Dzień drugi, 22.04

Detektyw Sam Porter wylądował w Nowym Orleanie o dziesiątej wieczorem z minutami, po dwugodzinnym czekaniu na przesiadkę w Dallas – tylko taki lot udało mu się zarezerwować na ten sam dzień. Na lotnisku w Dallas próbował coś zjeść w McDonalddie, ale męczyły go sensacje żołądkowe. Organizm nie tolerował żadnych pokarmów.

Złapał taksówkę i prosto z lotniska pojechał do więzienia hrabstwa Orleans przy Gravier Street. Kazał kierowcy objeżdżać budynek dookoła, dopóki nie zauważył chodnika ogrodzonego metalową siatką i tablicy z fotografii. Poprosił taksówkarza, żeby stanął i na niego zaczekał.

Wysiadł z taksówki i przeszedł przez ulicę, mimo późnej pory pocąc się w grubej kurtce. Nigdy nie wyjeżdżał zimą z Chicago. Zadziwiające, jaka różnica temperatur występowała między północnymi a południowymi krańcami kraju. Tutaj powietrze było gęste, wilgotne, przesiąknięte smrodem miasta, które zdawało się codziennie zużywane, nadużywane, a każdej nocy spłukiwane strumieniem wody.

Zbliżył się do strażnika pełniącego wartę przy bramie. Dowiedział się od niego, że godziny widzeń zaczynają się o dziewiątej i trwają do osiemnastej, bez wyjątków. Naczelnik będzie o siódmej. Z nim Porter może porozmawiać.

Wartownik nie kojarzył kobiety ze zdjęcia, ale rozpoznał strażnika idącego przed nią.

– To Vince Weidner. Pracuje na dzienną zmianę, zaczyna o ósmej.

Porter mu podziękował i wrócił do taksówki.

– Ma pan tam kogoś? – zapytał kierowca, kiedy Porter zamykał drzwi.

– No mam.

– Odsiedziałem tu swoje, pewnie teraz też bym kiblował, gdyby mi kuzyn nie załatwił tej roboty. Trudno w tych stronach się utrzymać. Zarobki beznadziejne, a do tego wszyscy ci turyści windują ceny nieruchomości. Zwykli ludzie nie mogą sobie pozwolić na mieszkanie w mieście. Trzeba się przenieść gdzieś dalej i dojeżdżać. Albo znaleźć sobie sposób na zwiększenie dochodów.

– I właśnie dlatego pan tam trafił? Przez zwiększanie dochodów?

Taksówkarz zachichotał.

– Inny kuzyn wyszkolił mnie w pięknej sztuce doliniarstwa. Praktycznie każdego potrafi uwolnić od ciężaru portfela.

– Skoro jest taki dobry, to czemu pana złapali?

– Nie powiedziałem, że ja też jestem dobry. Zdaje się, że Mic podczas szkolenia pominął jeden czy dwa kroki. Złapali mnie przy pierwszej próbie. Już miałem rękę w tylnej kieszeni jakiegoś gościa, a ten mnie capnął i złamał nadgarstek. Wrzasnąłem tak głośno, że aż trzech gliniarzy przyleciało sprawdzić, co to za cyrki. Nie powinienem był wybierać takiego wielkiego skurwysyna na pierwszy raz, ale myślałem sobie, że nic nie poczuje przez ten cały tłuszcz. No i się przeliczyłem.

– Ile pan dostał?

Kierowca westchnął ciężko.

– Trzy długie tygodnie i jeden dzień. Zaliczyli mi pobyt w areszcie, więc wyszedłem od razu po rozprawie. Ale to mi wystarczyło. Nie mam najmniejszego zamiaru już nigdy oglądać tego miejsca od środka, o nie. Jest mi bardzo dobrze w tym tutaj fotelu. A swoją drogą, dokąd jedziemy?

Porter nie odrywał wzroku od budynku. Beżowe kamienne ściany, wąskie okna. Ona gdzieś tam jest.

– Może mi pan coś powiedzieć o naczelniku?

– Ja nic nie wiem. Jak mnie wsadzili, to pilnowałem swojego nosa, z nikim nie gadałem. Odsiedziałem swoje sam jak kołek, a po wyjściu zmyłem z siebie smród tego syfu. Naczelnika widziałem na oczy przez całe dwie minuty, zaraz po przyjeździe, jak wysiadłem z suki. Nic nie mówił, tylko się patrzył, jak klawisze gonią świeże bydło do zagrody – ciągnął taksówkarz. – Wyglądał na twardego gościa. No ale tak to chyba jest w tym fachu. – Zerknął na Portera w lusterku wstecznym. – To pewnie nie mój interes, ale za co siedzi ten pana ktoś?

– Nie wiem.

– Tak pytam, bo zakład półotwarty jest w tym drugim budynku, we wschodnim skrzydle. Mamy tu w mieście dużo przypadków zakłócania porządku pod wpływem, większość kursów tutaj mam po typków, co to chlapnęli sobie o jednego albo o dziesięć za dużo wieczór wcześniej we Francuskiej, więc gliny zgarnęły ich na dołek, żeby przetrzeźwieli do rana. Wschodnie skrzydło jest po drugiej stronie budynku. W tym tutaj to siedzą najbardziej hardkorowi kryminaliści. Tacy, co to ich nie wystraszy jedna noc w pierdłu, żeby się nawrócić. Musi pan iść od razu do dobrego budynku, bo inaczej zmarnuje pan godzinę na stanie w kolejce, a potem się okaże, że to nie to miejsce – tłumaczył.

– Ona jest w tym budynku.

– Aha, no to kiepsko.

– Jest tu jakiś hotel w okolicy? – zapytał Porter.

– Kurde, tutaj to nie polecam. Może wrócimy do centrum i znajdziemy panu jakieś przyjemne lokum na Bourbon.

– Musi być coś blisko.

Kierowca zrobił głęboki wdech.

– Tu zaraz obok jest motel, ale nie pozwoliłem tam nocować nawet temu kuzynowi, przez którego wpadłem.

– Nie szkodzi – stwierdził Porter.

Mężczyzna wyrócił oczami i wrzucił bieg.

– Pańskie wakacje, może pan robić, co chce. Tylko na wszelki wypadek ostrzegam, jaka to dzielnia: jak komuś tu przyjdzie do głowy rzucać koralikami z balkonu podczas parady karnawałowej, to musi się liczyć, że w zamian dostanie serię ze spluwy.

Hotel stał w nie najlepszej okolicy, zaledwie o kilka przecznic od więzienia. Przysadzisty różowy budynek na środku parkingu, dwa piętra z pokojami, a nad wszystkim wielki podświetlany szyld z napisem „HOTEL TRAVELER’S BEST VALUE INN – WOLNE MIEJSCA”. Połowa żarówek nie działała, a dwie z pozostałych mrugały słabo za brudnym białym plastikiem.

Taksówkarz zaparkował obok budynku.

– Jest pan pewny?

Porter już był jedną nogą na zewnątrz.

– Można płacić gotówką, prawda?

– Pewnie przyjęliby nawet paczkę fajek i flaszkę taniego wina w ramach zapłaty za pokój. Gotówka jest tu na pewno mile widziana.

Licznik wskazywał pięćdziesiąt jeden dolarów i dwadzieścia trzy centy. Porter wyjął z portfela trzy dwudziestki i podał kierowcy.

– Reszty nie trzeba.

Banknoty szybko zniknęły w kieszeni koszuli.

– Tak w ogóle to nazywam się Hershel Chrisman. Jakby pan potrzebował gdzieś podjechać, to niech pan dzwoni, przyjadę od razu, nawet tutaj. – Wskazał ruchem głowy na hotel i podał Porterowi wizytówkę z numerem telefonu wydrukowanym dużą czcionką. – Przejdzie pan przez parking wzdłuż tego betonowego muru. Recepcja jest po drugiej stronie windy, na drugim końcu budynku. Jakby pan zmienił zdanie i stwierdził, że woli się jednak przenieść do Hiltona na Bourbon, to niech pan dzwoni. Całe życie tu mieszkam, znam to miasto na wylot. – Zniżył głos. – A jakby się panu nie udało wyciągnąć tej

babeczki z pierdła, to znam parę miejsc, gdzie może pan znaleźć zupełnie nową babeczkę. Pan zadzwoni.

Porter skinął głową i wsunął wizytówkę do kieszeni spodni.

– Dzięki za kurs, Hershel. Trzymaj się.

Taksówka odjechała i Porter został sam w ciemności. Z oddali dobiegało wycie syren i donośne głosy.

Ruszył wzdłuż ściany z pustaków, przeciął parking cuchnący gnijącymi śmieciami i znalazł recepcję za windami. Żadnych drzwi ani przyjemnego holu, tylko gruba szyba uświniona Bóg wie czym. Grubawy, siwy i łysiejący mężczyzna koło sześćdziesiątki w okularach o czarnych oprawkach obserwował Portera – najpierw na niedużym monitorze, potem przez okno.

Porter podszedł do szyby.

– Chciałbym wynająć pokój.

Mężczyzna oblizał popękane wargi. Miał coś w kąciку ust. Wyglądało na okruszek doritos: pomarańczowa, wilgotna drobinka.

– Proszę dwa dowody tożsamości i kartę kredytową.

Porter wyciągnął portfel.

– Nie mam dokumentów. Płacę gotówką.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Dwadzieścia dziewięć dziewięćdziesiąt pięć za noc plus sto dolarów kaucji. Na wypadek gdyby coś się stało z wyposażeniem.

Porter wygrzebał z portfela pięć dwudziestek i wcisnął je przez wąski otwór pod szybą.

– Tu ma pan sto dolarów. Jeśli zdecyduję się zostać dłużej niż trzy noce, to wrócę i dopłacę.

Kierownik zebrał banknoty, walnął pięścią w bok przedpotopowej kasy, żeby odblokować szufladę, i wsunął pieniądze do środka.

– A kaucja? Jeszcze mi pan wyniesie pościel i ręczniki.

– Niedawno robiłem remont, więc wszystko mam w domu. Nie ma powodu do obaw. Nawet nie dotknę barku w pokoju.

Mężczyzna bacznie przyjrzał się Porterowi zmrużonymi oczami, ale najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie warto się z nim wyklócać. Przez szczelinę pod szybą podsunął mu podkładkę z jakąś listą.

– Proszę się wpisać.

Porter nabazgrał „Bob Seger” w pierwszym wolnym wierszu i oddał podkładkę.

Kierownik przeczytał podpis, zdjął z tablicy klucz i wrzucił na metalową tackę pod otworem w szybie.

– Umieściłem pana w naszym penthousie. Apartament położony jest we wschodniej części budynku i zapewnia wspaniałą widok na miasto. Polecam śniadanie kontynentalne, znajdzie je pan w automatach na końcu korytarza. Życzę miłego pobytu.

Porter sięgnął po klucz – nie jedną z tych plastikowych kart, ale najzwyczajniejszy klucz z plastikowym breloczkiem z numerem 203 wybitym wyblakłymi czarnymi literami. Wrzucił klucz do kieszeni i wziął walizkę.

– Dziękuję.

Kierownik wrócił do ekranów monitoringu. Pomachał, a raczej machnął na niego ręką z palcami pomarańczowymi od chrupek.

Porter minął windy, dotarł do schodów, wspiął się na piętro i znalazł pokój 203. Nie potrafił stwierdzić, czy ma sąsiadów. Wszystkie okna były ciemne.

Musiał dłuższą chwilę pogmerać w zamku, żeby przekręcić klucz. W końcu się udało, więc otworzył drzwi, przekroczył próg i zapalił światło.

Na środku stało podwójne łóżko, pod ścianą naprzeciwko – obdrapana komoda z jasnej dębiny. Obok pilota do telewizora leżała kartka obiecująca „DARMOWE HBO!”, ale brakowało samego telewizora: zostało tylko puste miejsce, gdzie musiał wcześniej stać, o czym świadczyły rysy na drewnie. Sporą część podłogi pokrywała wyblakła brązowa plama o nieregularnych kształtach. Ktoś widocznie próbował wyczyścić zielony dywan typu berber jakimś odplamiaczem i tylko pogorszył sprawę. W przeciwległym kącie stały obdrapane biurko i krzesło.

W pokoju była też łazienka, ale Porter nie czuł się na siłach do niej zajrzeć. Musiał się przygotować psychicznie. Na razie rzucił walizkę na łóżko i podszedł do okna. Odsunął grubą zasłonę. W oddali widać było więzienie, a mimo tak późnej pory w niektórych oknach nadal paliło się światło.

34

CLAIR

Dzień trzeci, 4.56

Zadzwoił telefon.

Clair gwałtownie otworzyła oczy. Pokój leżał na boku. Nie, to jej głowa leżała na zimnym metalowym blacie biurka, w kałuży jej własnej śliny.

– Ja pierdole – wymamrotała, zerknąwszy na zegar. Niedługo świt. Ze szpitala Nash pojechał do Daviesów nadzorować rewizję, a ona wróciła do pokoju narad popracować.

Sięgnęła po telefon i przyjęła połączenie.

– Tak?

– Detektyw Norton?

– Przy telefonie.

– Mówi Lindsay Rolfes z laboratorium. Próbowałam się do pani dodzwonić, ale ciągle włączała się poczta.

– Tak się zdarza, kiedy zasypiam w pracy – powiedziała Clair. – O co chodzi?

– Jakies dwadzieścia minut temu wysłałam mejla do pani i detektywa Portera z wstępnymi wynikami przeszukania domu Daviesów. W resztkach kawy znaleźliśmy wysokie stężenie lizynoprylu. Zauważyliśmy także rysy na zamku w drzwiach do przedsionka. Nie pasowały do śladów normalnego użycia klucza – wyjaśniła Rolfes.

– Czyli ktoś się włamał?

– Taka jest nasza opinia. Sforsował zamek, wszedł do środka i najprawdopodobniej wlał roztwór leku do pojemnika na wodę w ekspresie do kawy. Nawet gdyby Davies napełnił pojemnik po brzegi, dawka była tak wysoka, że nie rozcieńczyłaby się do bezpiecznego poziomu. – Głos jej się załamał, przez chwilę milczała. – Zadzwoiłam do szpitala, żeby omówić wyniki badania toksykologicznego z lekarzem Randalą Daviesa, i powiedziano mi, że pacjent zmarł o dwudziestej drugiej trzydzieści cztery. Doznał ciężkiego udaru i tym razem nie udało się go odratować.

Clair wzięła głęboki oddech. Dwie dziewczyny, a teraz ich ojcowie.

– To nie koniec – dodała Rolfes. – Ustaliliśmy, że ubranie, w którym znaleziono Lili Davies, należało do Elli Reynolds. Na materiale znajdowały się fragmenty tkanki skórnej i włosów obu dziewczyn. Na rękawie znaleźliśmy też niewielką ilość wymiocin, pochodziły od Lili Davies. Wszystkie informacje zawarłam w mejlu, o którym już wspominałam.

– Jakież ślady pozwalające stwierdzić, kiedy sprawca dokonał włamania?

– Nic. Nie znaleźliśmy też niczego, co by świadczyło, że sprawca w ogóle odwiedził inne pomieszczenia poza kuchnią. Odnoszę wrażenie, że wszystko dokładnie zaplanował, wszedł, szybko załatwił sprawę i wyszedł.

– Dziękuję za wieści. Proszę dać znać, jeśli coś jeszcze ustalicie – powiedziała Clair.

– Niech pani trochę odpocznie.

Rozmowa dobiegła końca. Clair odłożyła telefon na biurko.

Nie mogła odpoczywać, nie teraz.

Wstała, przeciągnęła się i podeszła do tablicy. Pod „LILI DAVIES” zapisała:

Zwłoki w ubraniach Elli Reynolds

Kilkakrotnie topiona (słona woda) i reanimowana

Potem dodała kolumnę Randalą Daviesa i wpisała w niej:

Lekarz, szpital imienia Johna H. Strogera Jr.

Ojciec Lili Davies

Mąż Grace Davies

Przedawkowanie lizynoprylu (lek na nadciśnienie)

Spojrzała na listę zadań i wykreśliła te wykonane. Niewiele im zostało. Potrzebowali nowych tropów.

Cztery ofiary.

Ciekawe, czy Kloz ustalił coś w sprawie basenów ze słoną wodą, oceanariów i obsługujących je firm.

Clair zerknęła na ekspres do kawy stojący w kącie pokoju, ale szybko się rozmyśliła. Kupi sobie raczej coś w automacie, coś w szczelnym opakowaniu odpornym na lizynopryl.

35

NASH

Dzień trzeci, 6.43

– Ogrzewanie w tym gracie jest o kant dupy potłuc – stwierdził Klozowski, zacierając dłonie przy wylocie ciepłego powietrza.

Zaparkowali naprzeciwko Cars R Us na Pulaski Road. Napis na znaku głosił, że salon zostanie otwarty za godzinę – dwie godziny wcześniej niż zwykle, w związku z jakąś wyprzedażą walentynkową. Plac wokół sklepu był obwieszony czerwonymi serpentynami.

Nash spędził pół nocy u Daviesów, nadzorując pracę techników kryminalistycznych. Zdążył tylko skoczyć do domu, wziąć prysznic i się przebrać, a potem zaraz musiał jechać po Kloza, który mieszkał w centrum i czekał już na niego na schodku przed wejściem do swojego budynku, żłopiąc red bulla.

Nash poklepał deskę rozdzielczą.

– Connie nie jest w najlepszej formie, ale jeszcze przywrócę jej świetność z czasów, kiedy była prawdziwą królową balu. Muszę tylko trochę nad nią popracować.

Kloz znieruchomiał i zagapił się na niego.

– Ja pierdołę, zaczynam się ciebie bać, to jest chore. Serio. Brzmisz jak żywcem wyjęty z *Christine*, a ta historia nie skończyła się dobrze dla nikogo, nawet dla tamtego samochodu. Czemu nie zamienisz tej kupy złomu na jakąś

fajną toyotę czy hondę? Coś z poduszkami powietrznymi i odtwarzaczem CD. Tutaj masz magnetofon ośmiościeżkowy, Nash. Magnetofon, do chuja. Skąd ty wytrzaśniesz kasety ośmiościeżkowe?

– Och, człowieku małej wiary – odparł Nash. Nachylił się i walnął pięścią w klapę schowka, która otworzyła się i opadła na kolana Kloza. Na podłogę wysypał się deszcz staroświeckich kaset. – Wrzuć no którąś na głośnik.

Kloz gapił się na stos taśm pod nogami.

– Oficjalnie awansuję ten samochód do kategorii legendarnych. – Sięgnął pod stopy i wyłowił jedną z kaset. – Zajebiście. – Wsunął ją do odtwarzacza z charakterystycznym kliknięciem. Po chwili pierwsze riffy *Sweet Caroline* Neila Diamonda zatrzeszczały w zajechanych głośnikach z rzęzącym zaśpiewem.

Nash zaczął bębnić palcami w kierownicę, a Kloz bujał się do rytmu w przód i w tył.

– John Lennon może się schować przy tym gościu. Czysty geniusz.

Kloz zaczął nucić.

Nash sięgnął do magnetofonu i wyciągnął taśmę.

– Co jest, kurwa? – obruszył się Klozowski.

– Jak puścimy dalej, to zaczniesz śpiewać, potem ja zacznę śpiewać, zbliżymy się do siebie, a potem się zrobi dziwna atmosfera. Nie jestem jeszcze gotowy, żeby śpiewać z tobą Neila Diamonda. To duży krok. Za krótko pracujesz w terenie – powiedział Nash.

– Ale śpiewałbyś z Clair czy Porterem, prawda?

– To co innego.

– Jak to?

– Tak to.

– Chyba wybrałem zły wydział. W informatycznym nie śpiewamy.

Nash zerknął na drugą stronę ulicy.

– Oho, coś się dzieje.

Z czerwonego SUV-a wysiadł mężczyzna w niebieskiej kurtce zimowej i podbiegł przez śnieg do niskiego, szarego budyneczku stojącego na środku placu. Dłuższą chwilę grzebał się z kluczem w grubych rękawiczkach, ale w końcu otworzył drzwi i wsunął się do środka.

– Kierownik albo właściciel – stwierdził Kloz. – Miałeś rację. Przyszedł wcześniej, żeby przygotować wszystko na wyprzedaż.

– Idziemy – zarządził Nash. Odpiął pas i otworzył drzwi. Prawie się przewrócił od podmuchu mroźnego wiatru, z trudem utrzymał się na nogach na śliskim podłożu. Postawił kołnierz płaszcza i szczelnie osłonił szyję. Żałował, że nie włożył czapki.

Począł do chwili, kiedy nic nie jechało, i przeszedł na drugą stronę ulicy, najszybciej, jak mógł, ale tak, by się przy tym nie poślizgnąć. Klozowski ruszył za nim.

Salon samochodów używanych Cars R Us zajmował niedużą działkę, najwyżej dwa tysiące metrów kwadratowych, otoczoną wysokim czarnym ogrodzeniem i wysokimi słupami z reflektorami skierowanymi na najnowsze modele używanych samochodów, żeby ukazać je w jak najlepszym świetle. Pod zawyżoną ceną na metce każdego pojazdu widniał krótki napis: „Niski przebieg!”, „Bez korozji!”, „Świetna okazja!”, „Zadbany!”.

Nash minął samochody i zatrzymał się przed wejściem do sklepu.

Kloz prawie stracił równowagę na oblodzonym chodniku. Szybko rozejrzał się dookoła, czy nikt nie zauważył. Nash świdrował go wzrokiem.

– Kiedy to się skończy, przenoszę się na Florydę albo do Los Angeles. W ciepłym klimacie też nie brakuje roboty dla informatyków – oznajmił Kloz, kiedy w końcu doczłapał do budynku.

– Tylko spróbuj, zostaniesz wyklęty przez kibiców Cubsów. Drużyny z ciepłych miast są najgorsze, nie mają oddanych fanów. Ludzie tracą całe dni na szukanie miejsca do zaparkowania przy plaży albo grają w golfa. Nie mają czasu na prawdziwe sporty.

Kloz stuknął się w pierś.

– Informatyk, pamiętaj. Naprawdę myślisz, że mam jakiegokolwiek pojęcie o sporcie?

Nash pokręcił głową.

– Nigdy nie będę z tobą śpiewał.

– Trudno, co robić.

Drzwi niewielkiego salonu były zamknięte na klucz, ale Nash widział mężczyznę krzątającego się we wnętrzu. Zapukał w okno i przycisnął do szyby odznakę oraz legitymację. Mężczyzna odwrócił się od szafki na akta w odległym kącie biura, w rękę trzymał łyżkę do nakładania kawy. Nawet nie próbował ukrywać irytacji faktem, że ktoś mu przeszkadza, i ostentacyjnym gestem wrzucił łyżkę z powrotem do ogromnej puszki z kawą, po czym łaskawie podszedł do drzwi. Nadal miał na sobie niebieską kurtkę, teraz rozsuniętą do połowy wydatnego brzucha. Spod kurtki wystawał zielony sweter.

Mężczyzna przyjrzał się odznace przez brudną szybę w drzwiach.

– Czego chcecie?

– To niezbyt uprzejme powitanie funkcjonariuszy publicznych – stwierdził Kloz.

– Policja Chicago. Musimy z panem porozmawiać – odpowiedział Nash, starając się przekrzyczeć wycie wiatru.

Mężczyzna tęsknym wzrokiem obrzucił ekspres do kawy, po czym przekręcił zamek w drzwiach i wpuścił ich do środka.

– Szybciej, żeby ciepło nie uciekło.

Nash i Kloz wsunęli się do sklepu, a on zamknął za nimi drzwi. Znowu spojrzął na ekspres.

– Chyba bardzo panu zależy, żeby nastawić tę kawę – stwierdził Nash.

Mężczyzna westchnął ciężko.

– Przepraszam, ale w zeszłym roku rzuciłem palenie, a rok wcześniej picie. Kofeina to jedyna używka, jaka mi jeszcze została.

– Proszę się nie krępować – powiedział Nash.

Patrzyli, jak pracownik salonu wraca prędko do szafki, uważnie odmierza dziesięć łyżeczek mielonej kawy i napełnia zbiornik wodą z kranu nad niedużym zlewem w kącie. Po wciśnięciu guzika ekspres ożył, zaczął syczeć i stukać, w miarę jak grzała się woda. Mężczyzna odwrócił się ponownie w ich stronę i nareszcie nieco odprężył.

– Mel Cumberland. Czym mogę służyć szanownym stróżom prawa?

– Detektyw Nash, to jest Edwin Klozowski. – Wyjął z kieszeni telefon, postukał w wyświetlacz i pokazał rozmówcy. – Zna pan tę dziewczynę?

Dłoń Cumberlanda błyskawicznie powędrowała do stojącego obok biurka i Nash już prawie sięgnął po broń, zanim do niego dotarło, że tamten szuka okularów. Za plecami usłyszał złośliwe prychnięcie Kloza.

Cumberland założył okulary i podszedł bliżej.

– Mogę?

Nash podał mu telefon.

Przysunął go sobie blisko do twarzy i przechylił nieco głowę, żeby przyjrzeć się lepiej.

– A powinienem znać?

– To ten samochód – powiedział Kloz. Nash się odwrócił i podążył wzrokiem za jego palcem, który wskazywał jasnozieloną mazdę zaparkowaną z boku.

– Aaa, o to chodzi – powiedział Cumberland i oddał komórkę Nashowi. – Słuchajcie, panowie, non stop muszę się użerać z różnymi rodzicami. Nie ma żadnych przepisów, które by zabraniały dzieciakowi kupić samochód. Nie wolno im tylko prowadzić, dopóki nie zrobią prawka. Dziewczyna nie miała historii kredytowej, więc powiedziałem jej, że nie może go stąd zabrać, dopóki nie wpłaci przynajmniej dziesięciu rat. Do tej pory już i tak skończy szesnaście lat, więc nie będzie problemu. Jak rodzice chcą na mnie donosić, to radzę, żeby może najpierw się podciągnęli z przepisów, a nie marnowali pieniądze podatników. Założę się, że macie lepsze rzeczy do roboty, bo ja na pewno.

Ekspres zabulgotał za jego plecami. Zwinnym, precyzyjnym ruchem podmienił dzbanek na poplamiony kubek, przytrzymał go w miejscu i zamienił

jeszcze raz, kiedy się napełnił. Na ścianie widniał zszarzały napis: „ŻADNYCH ZABAWNYCH TEKSTÓW, TO PO PROSTU NACZYNIEM NA KAWĘ (A CZASEM TEŻ WHISKY)”.

– Też chętnie bym się napił – powiedział Kloz. – Tylko może raczej z tego. – Wskazał opakowanie styropianowych kubków leżące na szafce. Cumberland napełnił dwa z nich i podał policjantom.

– Pierwsze dwie raty zapłaciła w terminie, ale z trzecią się spóźnia, już prawie dwa tygodnie. Dzieciaki w dzisiejszych czasach są kompletnie nieodpowiedzialne. Pewnie przepuściła kasę na sukienkę na bal czy inną bzdurę i nawet jej nie przyszło do głowy zajrzeć i uprzedzić, że się spóźni. Zwykle odpuszczam dzieciakom za pierwszym razem i nie doliczam kary za spóźnienie, próbuję im wytłumaczyć, dlaczego należy spłacać zobowiązania w terminie, ale niektóre się nie pojawiają, wolą się schować. Jak zrobią tak dwa razy, to mamy problem.

– Ona nie żyje – rzucił Nash, uważnie obserwując twarz rozmówcy. Nie doczekał się jednak żadnej reakcji, z wyjątkiem słów:

– Ja jej nic nie zrobiłem.

– Nie?

Cumberland odstawił kubek na szafkę i podniósł rękę.

– Nie wiem, co tam sobie wymyśliliście, ale ja jej tylko sprzedałem samochód. Widziałem ją ze cztery, może pięć razy. Przyszła parę razy, rozejrzała się, spodobała się jej mazda, uzgodniliśmy plan ratalny, tyle. Jak już mówiłem, zalega dwa tygodnie z ostatnią płatnością. Ostatnio widziałem ją zaraz po Nowym Roku. Właściwie to ona jeszcze nawet nie kupiła tego samochodu. Dopiero po wpłacie dziesięciu procent mogła oficjalnie uznać się za właścicielkę.

– Czyli nie widział jej pan od stycznia? – upewnił się Nash.

Cumberland poszedł za biurko i postukał w klawiaturę.

– Ella Reynolds, tak? Ostatnio była tu trzeciego stycznia i wpłaciła trzysta dwanaście dolarów. Mówiłem jej, że wystarczyłoby dwieście, ale nie chciała,

żeby ktoś jej podkupił auto, więc płaciła więcej, żeby uskładać na kaucję. Miesiąc wcześniej wpłaciła dwieście siedemdziesiąt trzy. Dokładnie drugiego grudnia.

– Ciekawe, skąd miała pieniądze – powiedział Kloz. – Nic nam nie wiadomo, żeby pracowała.

Cumberland przejrzał dokumenty.

– Zgodnie z tym, co mam we wniosku, udzielała korepetycji innym uczniom. Tak przynajmniej napisała w rubryce „zatrudnienie”.

– Mogła nie mówić o tym rodzicom – stwierdził Klozowski. – Ja też dawałem korki i nigdy nie powiedziałem tacie. Obciąłby mi kieszonkowe. Siedziałem cicho i ciągnąłem kasę z obu źródeł.

– Nie wątpię, że byłeś wzorowym dzieckiem – odparł Nash. – Korepetycje tłumaczą też te wizyty w Starbucksie. Poza przeglądaniem samochodów mogła się tam spotykać z kolegami i koleżankami.

– Starbucks albo biblioteka, przynajmniej ja zawsze tak robiłem – przyznał mu rację Kloz.

Nash znalazł na telefonie zdjęcie Lili Davies i pokazał je Cumberlandowi.

– A ta dziewczyna? Widział ją pan tutaj?

Wyteńczył wzrok i przyjrzał się zdjęciu na wyświetlaczu.

– Nie. Tej nie kojarzę.

– Może tu była, ale obsługiwał ją inny pracownik?

Cumberland pokręcił głową.

– Nawet jeśli, to ja zawsze tu jestem. Pilnuję, żeby poznać każdego, kto przekracza nasz próg. Niektórzy z tych młodszych sprzedawców są naprawdę nieźli, ale ja jestem lepszy. Zdarza się, że ktoś po rozmowie z nimi niczego nie kupi, ale ze mną nigdy się tak nie dzieje. Zawsze dobijam targu.

– Będzie nam potrzebna lista wszystkich pracowników – powiedział Nash.

– Nie ma sprawy. Ja, Brandon Stringer i Doug Fredenburg. Doug to mechanik. Od dwóch dni nie było go w pracy, ma grypę. Brandon ma przyjść na ósmą.

– Któryś z nich miał kontakt z młodą Reynolds?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Cumberland. – Kiedy przyszła tu pierwszy raz, Brandon obsługiwał kogoś innego. Uparta dziewczyna, obejrzała mazdę pobieżnie, a potem wmaszerowała do biura i oznajmiła, że chce ją kupić. Żadnej jazdy próbnej, nic. Nie żebym pozwalał klientom bez prawka na jazdy próbne, no ale ja mogłem ją przewieźć.

– A gdzie był ten drugi? Fredenburg?

Cumberland znowu postukał w klawisze.

– Wygląda na to, że leżał pod jakimś pontiakem w warsztacie i wymieniał pompę hamulcową. Rzadko ma do czynienia z klientami. Możecie oczywiście poczekać na Brandona, zapraszam. Może rozejrzycie się po placu? – Gestem głowy wskazał nową Nasha zaparkowaną po drugiej stronie ulicy. – Pański samochód ma potencjał, to może być świetny wóz, ale czy naprawdę nie żał panu czasu i pieniędzy na renowację? Nie lepiej zamienić go na jakiś w pełni sprawny, gotowy do użytku nowszy model?

– Na przykład taki z porządnym ogrzewaniem i odtwarzaczem muzycznym, który nie działa na korbkę – powiedział Kloz. – Twoje auto jest takie stare, że konie pod maską trzeba karmić owsem.

Pozostała dwójka popatrzyła na niego dziwnie.

– No co, to było śmieszne.

– Nie, synku, nie było, naprawdę – odparł Cumberland.

Nash i Kloz wgramolili się z powrotem do chevroleta. Płatki śniegu wirowały nad przednią szybą.

Nash włączył zapłon i popatrzył na salon po drugiej stronie ulicy.

– Nie wydaje mi się, żeby ten kawoholik był tym, którego szukamy.

– Prowadzenie śledztwa wolę zostawić panom i paniom śledczym, ale muszę się zgodzić, że on mi nie pasuje. Porwanie dziewczyny we własnym salonie to kompletna głupota, a poza tym on mi nie wygląda na gościa, któremu chciałoby się odstawić taki numer.

– Jest za stary – dorzucił Nash. – Tego typu przestępstwa mają zwykle podłoże seksualne, typowe dla sprawców poniżej trzydziestego piątego roku życia. Nawet jeśli do niczego nie dochodzi, seks jest głównym motywem. Cumberland jest spokojnie po pięćdziesiątce. Ma nadwagę. Każda nastolatka skopałaby mu tyłek, gdyby spróbował jej wręczyć czekoladki czy kwiaty. Nie miałby szans porwać żadnej dziewczyny na środku ulicy. Szukamy kogoś młodszego, silniejszego, zmotywowanego.

– Może to jednak któryś z pracowników – zauważył Kloz. – Facet może i twierdzi, że nie było u nich Lili Davies, ale to wcale nie znaczy, że taka jest prawda.

– Obie dziewczyny szukały samochodu. To jedyny, jakkolwiek słaby trop, jaki mamy. Pewnie, że na nich poczekamy.

Kloz sięgnął do włącznika radia.

– Nie rusz.

36

POOLE

Dzień trzeci, 6.44

Byli tam całą noc.

Technicy kryminalistyczni krążyli po zdewastowanym domu Libby McInley w foliowych kombinezonach, w sumie kilkanaście osób. Poole obserwował ich z fotela kierowcy w swoim jeepie. Choć wszyscy na pewno zachowywali najwyższą ostrożność, starał się nie myśleć, jak taki natężony ruch wpłynie na jego miejsce zbrodni.

Agent dowodzący Hurless stał na progu, trzymał telefon przy uchu. Agent specjalny Diener był gdzieś w środku.

Poole patrzył, jak Hurless kończy rozmowę i przechodzi przez ulicę do jego jeepa.

Opuścił szybę.

– Według koronera nie żyje od kilku dni. Sądzymy, że zaczął... sądzymy, że przywiązał ją do łóżka mniej więcej o tej porze w środę, i poświęcił jej dużo czasu: między pierwszą raną a ostatnią upłynęło jakieś dziesięć, dwanaście godzin. Zaczął od palców u stóp, skończył na tych u rąk. Oczy, ucho i język usunął w międzyczasie.

– A nacięcia?

– Koroner mówi, że robił je na bieżąco. Prawdopodobnie na zmianę nacinał skórę i usuwał części ciała – wyjaśnił Hurless. – Trzymał ją w łóżku. Załatwiała

się pod siebie. Więzy na prawej kostce przecięły skórę aż do mięśnia.

Poole robił wszystko, żeby nie zamknąć oczu. Wiedział, że wtedy zobaczyłby to wszystko. Zobaczyłby, jak Bishop przywiązuje tę kobietę do łóżka i torturuje ją przez pół dnia, a nikt nie odpowiada na jej krzyki.

– To mi wygląda na fuszerkę... Jak na niego. Jak na Bishopa.

– Ewoluuje. Wiemy już, kim jest. Teraz nie musi być tak ostrożny jak dawniej – powiedział Hurless.

– Może.

– Myślisz, że chodzi o coś innego?

– No, o coś.

– Bardzo enigmatyczne.

– Jeszcze nigdy nie pociął ciała w taki sposób – stwierdził Poole. – Obcinanie palców to coś zupełnie nowego.

– Mówiłem, eskalacja.

– Pewnie masz rację.

Hurless przestąpił z nogi na nogę. Jego oddech unosił się w mroźnym powietrzu niczym kłęby dymu papierosowego. Znowu zaczął padać śnieg: grube, ciężkie płatki.

– Dotarłeś tutaj po śladach Portera.

Wypowiedział to jako zdanie twierdzące, nie było tam znaku zapytania. Poole przytaknął.

– Ma dobry instynkt.

– Dobry instynkt? Pracował z tym gościem przez pół tygodnia i nie miał o tym zielonego pojęcia. A potem, kiedy miał szansę go przyskrzynić, puścił go wolno. Pozwolił mu uciec z budynku otoczonego przez połowę chicagowskiej policji. Powinien był złapać Bishopa już pięć lat temu, nas nie powinno tutaj być, a ta kobieta – machnął głową w stronę domu – powinna być cała i zdrowa. Nie zapominaj o tym wszystkim.

Poole nic nie odpowiedział, uważnie wpatrywał się w dom. Zepsuty samochód na podjeździe, rower pod boczną ścianą.

– Była całkowicie odizolowana, jak w więzieniu. Musimy porozmawiać z kuratorem, ale pewnie nam powie, że w ogóle nie mógł jej wyciągnąć z domu. Sam do niej przychodził.

Tym razem to Hurless milczał. Rok temu pewnie wyszydziłby podwładnego za takie słowa, ale przez ten czas Poole już nieraz pokazał, na co go stać. Właśnie z tego powodu poprosił o włączenie go do swojego zespołu.

Agent specjalny Diener wyszedł na schodek przed wejściem do domu, znalazł ich wzrokiem i pomachał.

– Musicie to zobaczyć! – zawołał.

Poole wysiadł z samochodu i ruszył za Hurlessem przez ulicę, trzymając głowę nisko, żeby zasłonić się od płatków śniegu, a raczej lodowatego deszczu.

Elektryczność nadal nie działała. Technicy kryminalistyczni ustawili w ogródku za domem generator prądu, pomarańczowe kable i przedłużacze wily się przez pokoje i korytarze. Wokół budynku ustawiono podwójne halogeny na żółtych metalowych stojakach – każdy centymetr powierzchni tonął w jaskrawym świetle lub ostrym, głębokim cieniu. Hurless i Poole poszli za Dienerem do sypialni na tyłach, gdzie nadal leżała Libby McInley. Fotograf przesuwiał się powoli wokół łóżka, uwieczniając na zdjęciach każdy skrawek kaźni. Poole niemal słyszał wrzask dobywający się z tych nieruchomych ust pełnych zaschniętej krwi.

Inny technik rozmontowywał kamerę 3D umieszczoną na trójnogu na środku pokoju. Obracając się dookoła, urządzenie zarejestrowało pełny obraz pomieszczenia pod wszystkimi kątami, na fotografiach i nagraniu wideo. Następnie kamerę przenoszono do innego pomieszczenia i powtarzano cały proces od początku – w ten sposób uwieczniony zostanie cały dom, a być może także teren na zewnątrz. Przy użyciu programu komputerowego obrazy zostaną połączone, co pozwoli agentom na wirtualne oględziny miejsca zbrodni w dowolnym miejscu i czasie, w takim stanie, w jakim znajdowało się teraz. Poole nie potrzebował takich technologii. Na szczęście czy nieszczęście dysponował niemal idealną pamięcią fotograficzną. Nie zdoła wyrzucić z mózgu

tego, co tu dziś zobaczył, choćby pragnął tego z całego serca. Widoki, zapachy i dźwięki wryły się na stałe w jego umyśle.

Cztery halogeny oświetlały łóżko. Były jasne, ale flesz aparatu fotografa świecił jeszcze jaśniej. Poole odwrócił wzrok.

Diener stał nad wysuniętą szufladą komody. Trzymał niedużą latarkę i kierował jej promień do wewnątrz.

Poole podążył wzrokiem za strumieniem światła i zajrzał do szuflady.

– Mogłaby przez to trafić z powrotem do więzienia. Po co tak ryzykować? – powiedział Diener.

Poole wyciągnął z kieszeni parę fioletowych lateksowych rękawiczek, nałożył je i sięgnął do szuflady. Wyjął z niej prawo jazdy i paszport, oba ze zdjęciem Libby McInley, ale wystawione na nazwisko Kalyn Selke. Odłożył fałszywe dokumenty na komodę, znów sięgnął do środka i wyjął pistolet, matowoczarny, kaliber .45.

– Naładowany.

– Wygląda na to, że nawet nie próbowała go użyć – zauważył Hurless.

– Nie miała okazji – stwierdził Poole. – Bishop na pewno ją zaskoczył i obezwładnił. W badaniach toksykologicznych wyjdzie jakiś środek uspokajający, propofol albo nalbufina. Obu zdarzało mu się już używać.

Hurless zwrócił się do Poole'a.

– Mówiłeś, że nie ruszała się z domu. To mi wygląda, jakby planowała ucieczkę.

– Wystarczy trzymać się kilka kroków przed demonami. Choć kilka centymetrów poza ich zasięgiem – mruknął Poole pod nosem.

– A co to niby ma być? – parsknął Diener.

– Czytałem to kiedyś w jakiejś powieści Thada McAlistera – odparł Poole. – Nie sądzę, żeby cierpiała na agorafobię. Ukrywała się tu przed kimś. Bała się.

– Bishopa?

– Zabił jej siostrę, może w jakiś sposób dostarczył jej wiadomość do więzienia, zagroził jej. Wydaje mi się, że ten cały Franklin Kirby, którego

przejechała, był dla niego w jakimś sensie ważny. Dlatego scena zbrodni różni się od poprzednich. Zamordował Libby McInley nie z powodu Talbota czy w związku z przestępstwami, w które był on zamieszany. Wydaje mi się, że to zbrodnia z zemsty. Zależało mu, żeby cierpiała, żeby odczuwała ból – powiedział Poole.

Zauważył, że coś wystaje spod brązowego swetra złożonego w kostkę. Poole sięgnął do szuflady i wyjął przedmiot, który okazał się zdjęciem z polaroida przedstawiającym dwie nagie kobiety w łóżku. Brzegi fotografii były wystrzępione, kolory wyblakłe.

– Zaczynam lubić tę dziewczynę – powiedział Diener.

– Musi być stare. Obstawiałbym piętnaście, dwadzieścia lat. Nikt już dziś nie używa polaroidów.

– Jest tu coś jeszcze. – Hurless wskazał palcem na przeciwległy kąt szuflady.

Poole zauważył, o co chodziło przełożonemu. Wyciągnął kosmyk blond włosów, długości około piętnastu centymetrów, na obu końcach związany czarnymi gumkami do włosów.

37

LARISSA

Dzień trzeci, 7.21

Larissa Biel stała na rogu West Chicago Avenue i North Damen. Za każdym razem, kiedy ktoś otwierał drzwi do Pierre's Bakery za jej plecami, musiała walczyć ze sobą, żeby nie wpaść do środka i nie pożreć tony placków, ciastek i innych pyszności. Czy to w ogóle legalne, żeby wywiewać takie zapachy na ulicę? Wieczorem w szkole bal walentynkowy, musiała się zmieścić w sukienkę. Już i tak ledwie się dopinała, więc wystarczyłyby nawet pączek czy dwa, żeby przekroczyła granicę. Miał tam być Kevin Dew, a wiedziała, że kiedy tylko zobaczy ją w tej czarnej kiecce bez ramiączek, natychmiast przestanie się uganiać za Kieszą Gerow i zaprosi ją na randkę.

Drzwi piekarni znowu się otworzyły i wyszedł z niej jakiś stary facet w puchatej niebieskiej kurtce i zielonym szaliku z małymi elfami wspinającymi się na choinki. Facet jadł kanapkę. Spory bajgiel z jajkami i bekonem parował apetycznie, aż pociekła jej ślinka.

Nie!

Dłużej nie wytrzyma. Odeszła parę metrów, stanęła bliżej rogu piekarni. Zza budynku dosięgnął ją podmuch lodowatego wiatru, zadygotała.

Gdzie ten facet?

Zatupała i zaczęła dreptać w miejscu. Jeszcze dziesięć minut temu przejmowałyby się, co sobie pomyślą przechodnie, ale teraz było jej już

wszystko jedno. Przemarzła do kości, jeśli nie zacznie się ruszać, to zrobi się z niej chodzący sopel.

Wtedy go zobaczyła.

Podjechał do krawężnika tuż przed nią, płynnie zajmując miejsce między furgonetką FedExu a poobijanym SUV-em z włączonymi kierunkowskazami.

Kiedy tylko zahamował, Larissa pociągnęła za klamkę i otworzyła drzwi. Opadła na fotel, zamknęła drzwiczki i przytknęła dłonie do kratki ogrzewania.

– Spóźnił się pan dwadzieścia minut. Już miałam sobie pójść.

Podrapał się w bok głowy przez czarną wełnianą czapkę. Wyglądał na łysego, chociaż trudno to było jednoznacznie stwierdzić.

– Masz dokumenty?

Larissa skinęła głową, wyjęła wydruk z kieszeni i mu podała.

– To jak to właściwie działa?

Uśmiechnął się blado, przyczepił papiery do podkładki i rzucił ją na tylne siedzenie.

– Wygrałaś w naszym konkursie jedną bezpłatną lekcję. Jeśli zdecydujesz się kontynuować kurs, cena wynosi czterysta dolarów. Opłata obejmuje trzydzieści godzin zajęć teoretycznych i osiem godzin za kółkiem, czyli minimum niezbędne do otrzymania prawa jazdy w stanie Illinois. Mamy też inne programy, jeśli miałabyś na przykład problem z parkowaniem równoległym albo pytaniami z części teoretycznej, koszt to maksymalnie siedemset dolarów.

– I możecie mnie za każdym razem odbierać z tego miejsca?

Skinął głową.

– Zgarniamy kursantów z całego Chicago. Możemy też wysadzić cię gdziekolwiek w granicach miasta. Zresztą za jakiś czas to ty będziesz kierowała.

Larissa uśmiechnęła się grzecznie. Instruktor miał problem z wymową „s” w „kursantach” i „sz” w „zresztą”. Pomyślała, że to urocze, przypominało jej o Kevinie.

– To co, zaczynamy darmową lekcję?

Larissa wyciągnęła pas bezpieczeństwa i porządnie zapięła.

– Jeśli o mnie chodzi, to jestem gotowa.

Zobaczyła, że zanim wyjechał z powrotem na ulicę, położył na desce rozdzielczej plakietkę „nauka jazdy”. Uznała, że to trochę głupie, skoro cały samochód był wymalowany w te właśnie słowa.

38

PORTER

Dzień trzeci, 7.33

Porter siedział na drewnianej ławce pod gabinetem naczelnika, głęboko w betonowych trzewiach więzienia hrabstwa Orleans. Przyszedł tu z hotelu pieszo i szybko się przekonał, że te rejony miasta lepiej było oglądać nocą.

Nowy Orlean dziwnie pachniał. Nawet w najporządniejszych dzielnicach ta woń unosiła się kilka centymetrów nad ulicą, podpływała w górę do nozdrzy i przypominała ci, gdzie jesteś. W pobliżu więzienia zapach nawet nie próbował się kryć. Niemal widziało się wyziewy, warstewkę oleju powlekającego każdą powierzchnię, kapiącego z latarni i kratek ściekowych. W każdym zaułku i na każdej niezabudowanej działce roiło się od tymczasowych mieszkańców, nie tylko miejscowych, lecz także turystów, którzy napili się już do pełna i porzucili światła, muzykę i atrakcje centrum miasta na rzecz tej okolicy, jakby ukrytej za zasłoną czarnoksiężnika z Oz.

Kiedy stawiał się przed główną bramą, strażnik powitał go znużoną obojętnością. Zanim Porter zdążył coś powiedzieć, mężczyzna wygłosił wyuczoną tyradę o godzinach widzeń oraz lokalizacji wejść dla odwiedzających. Porter wręczył mu wizytówkę policyjną i wyjaśnił, co tu robi. Strażnik nie prosił o pokazanie odznaki, a podczas kontroli bezpieczeństwa Porter powiedział, że broń zostawił w sejfie hotelowym. Ryzykował, że ktoś zadzwoni na komendę

w Chicago, żeby sprawdzić prawdziwość jego historyjki, ale nie miał większego wyboru. Jako cywil nic by nie zdziałał.

Korytarze więzienia hrabstwa Orleans miały ściany z pustaków pomalowane na matową biel. Poprowadzono go przez labirynt krętych korytarzy, aż zupełnie stracił orientację. Powietrze było nieświeże i zastałe, echo ich kroków wywoływało wrażenie, że znajdują się głęboko pod ziemią. Eskortujący go strażnik powiedział, że to skrót do gabinetu naczelnika, przez samo serce maszyny. Porter nigdy nie cierpiał na klaustrofobię, ale jeśli miałby tu spędzić dłuższy okres, mógłby się tej przypadłości nabawić. Nie mógł sobie wyobrazić pracy w tym miejscu, spędzania tu każdego dnia. Pod każdymi stalowymi drzwiami musieli się zatrzymać i poczekać, aż ktoś ich wpuści. Czuł na sobie puste oczy kamer monitoringu. Mijali je co jakieś sześć metrów.

Na końcu korytarza przeszli przez serię drzwi rozmieszczonych co trzy metry, co przywiodło Porterowi na myśl służę albo komorę dekontaminacyjną z jakiegoś starego filmu science fiction. Za ostatnimi drzwiami znajdowały się pomieszczenia administracji. Choć tu również do konstrukcji zastosowano pustaki i stal, przestrzeń ozdobiono wydeptanym dywanem i plastikową paprotką: odrobina cywilizacji, oaza wśród ziemi jałowej.

Strażnik wskazał na ławkę.

– Naczelnik jest na miejscu, ale robi obchód. Niedługo powinien skończyć. Proszę poczekać.

Od tej pory minęło prawie pół godziny.

Pomieszczenie monitorowało sześć kamer umieszczonych w różnych punktach. Niektóre się obracały, inne były nieruchome, ale wszystkie czujnie obserwowały otoczenie.

– Detektyw Porter?

Sam nie słyszał, żeby ktokolwiek wchodził, a jednak ten mężczyzna stał może metr od niego.

– Zgadza się.

– Naczelnik Vina. Co pana sprowadza do naszego małego rajku na ziemi?

– Muszę się spotkać z jedną z osadzonych.

– Od ponad dziesięciu lat nie zajmowałem się widzeniami, ale o ile dobrze pamiętam, to godziny odwiedzin zaczynają się o dziewiątej, poza tym raczej łatwo trafić do kolejki, na zewnątrz jest oznakowanie. Nie mam tam nic do roboty. Szczerze mówiąc, tak właśnie wolę.

Naczelnik był trochę niższy od Portera, miał około metra siedemdziesięciu. Włosy wyraźnie posiwiały mu już jakiś czas temu, strzygł je bardzo krótko. Małe oczy były blisko osadzone po obu stronach nosa, który wyglądał na kilkakrotnie łamany i nastawiany. Na szyi miał wąską różową bliznę. Znikała pod kołnierzykiem niebieskiej koszuli. Był krępy i hardy, patrzył pewnym wzrokiem. Nie odrywał oczu od Portera, to było spojrzenie więźnia.

– Mamy powody przypuszczać, że ta osadzona może mieć powiązania z Zabójcą Czwartej Małpy.

– Aaa, to ten detektyw Porter.

– Tak, ten detektyw Porter.

– Śledziłem tę sprawę w telewizji. Kosmos. Jakie powiązania?

– Nie wolno mi ujawniać tej informacji.

– Cóż, w takim razie mnie nie wolno pozwolić panu na widzenie z osadzoną.

– Mogę załatwić nakaz – powiedział Porter.

Naczelnik wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo. A kiedy już pan wróci z tym nakazem, to proszę go pokazać strażnikowi przy bramie dla odwiedzających. – Obrócił się i ruszył ku drzwiom gabinetu. – Życzę udanego pobytu w Nowym Orleanie, detektywie.

– Być może to jego matka – powiedział Porter. – Muszę utrzymać to widzenie w tajemnicy. Jeśli prasa się o czymś dowie, możemy stracić jedyny trop, jaki mamy. Potrzebuję pańskiej pomocy.

Naczelnik zatrzymał się kilka kroków przed drzwiami i pokręcił głową.

– A taką miałem nadzieję na cichy, spokojny weekend. Pomaganie panu nie zapowiada się cicho ani spokojnie.

– Może pan uratować życie wielu ludzi. Muszę tylko z nią porozmawiać.

Naczelnik odwrócił się do niego.

– Nazwisko?

Porter na chwilę zamilkł. Złapał już gościa na haczyk, nie mógł teraz go stracić.

– Nie jestem pewny. Nie mam też zielonego pojęcia, za co ją skazano.

Naczelnik uśmiechnął się kpiąco.

– Panie detektywie, mamy tu teraz dwa tysiące więźniów, chociaż przed Katriną mieliśmy jakieś sześć i pół tysiąca. Niektórzy czekają na proces za ciężkie przestępstwa, inni trafili tu za mniejsze przewinienia: wykroczenia drogowe, zakłócanie porządku w stanie nietrzeźwym... Pozostali korzystają z gościnności departamentu więziennictwa stanu Luizjana albo rządu federalnego i są tu na pobyt długoterminowy. Jak właściwie zamierza ją pan znaleźć bez nazwiska?

Porter wyjął z kieszeni fotografię i podał ją naczelnikowi.

– Mam tylko to.

Naczelnik wziął od niego zdjęcie i ze swojej kieszeni wyciągnął okulary. Odwrócił fotografię, przeczytał wiadomość z drugiej strony, po czym wrócił do ziarnistego obrazu.

– To zachodnia brama – stwierdził, przyglądając się uważnie.

Porter wskazał na strażnika, który szedł przed matką Bishopa.

– To...

– Vincent Weidner – przerwał mu naczelnik. – Poznaję.

– Może on ją pamięta?

Naczelnik westchnął ciężko.

– Chodźmy – powiedział, gestem zapraszając go do gabinetu. – Zobaczę, co da się zrobić.

39

CLAIR

Dzień trzeci, 8.13

Komórka Clair zadzwoniła w rogu jej biurka w pokoju narad. Chwyciła ją i odebrała połączenie.

– Detektyw Norton.

– Mówi sierżant Dawn Spiegel z centrum powiadamiania ratunkowego.

– Czym mogę służyć?

– Kilka minut temu jedna z dyspozytorek odebrała bardzo dziwny telefon.

Myślę, że może to mieć jakiś związek z waszą sprawą. Odtworzyć pani nagranie?

„Błagam, niech to nie będzie kolejna zaginiona dziewczyna”.

– Tak, proszę.

– Proszę chwilę poczekać. Muszę panią przełączyć na głośnik – powiedziała sierżantka.

Clair usłyszała stuknięcie – kobieta po drugiej stronie położyła słuchawkę.

– Proszę posłuchać.

– „Centrum powiadamiania ratunkowego, słucham” – usłyszała słowa dyspozytorki.

Chwila wahania, a potem głos starszej kobiety, powolny, jakby papierowy.

– „Umarł dwa razy”.

– „Przepraszam, nie zrozumiałam”.

– „Umarł dwa razy” – powtórzył głos, tym razem głośniej, z większym naciskiem.

Dyspozytorka słyszalnie westchnęła.

– „Kto, proszę pani? Kto umarł dwa razy?”

– „Floyd Reynolds”.

Clair wstała i podeszła do tablicy z listą dowodów.

FLOYD REYNOLDS

Żona: Leeann Reynolds

Sprzedaz ubezpieczeń – zatrudniony w UniMed America Healthcare

Żadnych długów? Może żona. Hosman sprawdzi

Pod spodem dopisała:

Uduszony cienką struną (fortepianową?) przed własnym domem (w samochodzie)

Ciało ukryte w bałwanie

Ojciec Elli Reynolds

– „Kto, proszę pani?” – spytała znowu operatorka.

Tym razem to jej rozmówczyni westchnęła.

– „Floyd Reynolds. Umarł w zeszłym tygodniu, a teraz znowu wczoraj. Był dzisiaj nekrolog w gazecie”.

– „Czy zdaje sobie pani sprawę, że fałszywe zgłoszenia są karalne? To przestępstwo czwartego stopnia”.

– „Nikt nie umiera dwa razy”.

– „Za przestępstwo czwartego stopnia grozi kara od jednego do trzech lat pozbawienia wolności oraz grzywna w wysokości do dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Fałszywe zgłoszenia do centrum powiadamiania ratunkowego mogą narazić naszych pracowników na niebezpieczeństwo, to także obciążenie dla budżetu” – oznajmiła dyspozytorka.

– „Jeśli nie może się pani zająć tą sprawą, to może powinna mnie pani przełączyć do odpowiedniego działu”.

Rozległo się kliknięcie i z początku Clair sądziła, że dyspozytorka się rozłączyła, ale po kilku sekundach wróciła. Zapewne wyciszyła na chwilę rozmowę.

– „Proszę pani, Floyd Reynolds to popularne imię i nazwisko. Jestem przekonana, że to zbieg okoliczności. Nie chcę robić pani problemów, więc się rozłączam. Radziłabym, żeby nie dzwoniła już pani w tej sprawie. Jeśli to pani zrobi, najprawdopodobniej zostaną pani postawione zarzuty”.

– „To samo imię. To samo nazwisko. Ta sama data urodzenia. Ten sam adres. To ten sam człowiek. Umarł dwa razy – upierała się kobieta. – Proszę zajrzeć do dzisiejszego »Chicago Examinera«”.

W tym miejscu rozmowa została przerwana.

Clair usłyszała, że sierżant Spiegel podnosi słuchawkę i wyłącza tryb głośnomówiący.

– Po zakończeniu rozmowy dyspozytorka powiadomiła innych o prawdopodobnym fałszywym zgłoszeniu, uznała to za żart. Zgodnie z przepisami musimy zarejestrować takie zgłoszenie, a jeśli się powtarza, powiadomić policję i wszcząć procedurę postawienia zarzutów. Skojarzyłam to nazwisko z rejestru, więc sprawdziłam gazetę w internecie. Floyd Reynolds rzeczywiście pojawia się w nekrologach dwa razy, dzisiaj i w ubiegłą środę. Wszystkie dane osobowe się zgadzają. To ten sam facet.

Clair zmarszczyła czoło.

– Jak to możliwe? Przecież umarł wczoraj.

– Proszę mi podać adres, prześlę pani te linki mejlem.

40

PORTER

Dzień trzeci, 8.16

– Czy to...?

– Nicolas Cage, zgadza się – przyznał naczelnik, wprowadzając Portera do ciasnego gabinetu. Oprawione zdjęcie z kartoteki policyjnej wisiało na ścianie po lewej od biurka. – Gościł u nas w kwietniu dwa tysiące jedenastego, bo wdał się w bójkę w miejscowym bistrze. Rozwalił nawet okno. Te typy z Hollywoodu czasem zapominają, że nie są już na planie. Tak mu się u nas spodobało, że miesiąc później znowu nas odwiedził, tym razem wypił parę kolejek za dużo. Awanturował się z żoną na środku Dzielnicy Francuskiej. Odpuścilibyśmy mu, ale szarpał się z policjantami. Nie mieli wyjścia, musieli go aresztować. Doskonały aktor. Świetnie zagrał w *Con Air*.

– To ten film z Seanem Connerym?

Naczelnik uniósł palec i sięgnął po słuchawkę.

– Strażnik Weidner proszony do gabinetu naczelnika, Weidner do gabinetu naczelnika – powiedział. Po chwili jego słowa poniosły się echem przez więzienny system komunikacji wewnętrznej.

– Ten z Seanem Connerym to *Twierdza* – poprawił go naczelnik, odkładając słuchawkę. Gestem zaprosił, żeby usiadł na jednym z krzeseł przed biurkiem. – Mamy tu sporo celebrytów, bo to mocno imprezowe miasto. Dajemy im odespać i przetrzeźwieć, tak jak studenciakom, kiedy zaczynają wszczynać burdy, a rano

wyganiamy. O ile w grę nie wchodzi zniszczenie mienia ani uszkodzenie ciała, nie ma potrzeby stawiać zarzutów. Gdybyśmy aresztowali każdego pijaka z Francuskiej, to po tygodniu więzienie byłoby pełne, a babeczki nie miałyby komu pokazywać cycków.

Pukanie do drzwi gabinetu.

Porter podniósł wzrok i od razu rozpoznał Vincenta Weidnera z fotografii. Ciemne włosy, nieco dłuższe niż u większości strażników więziennych, zachodziły mu na kołnierz, miał też krótką hiszpańską bródkę. Na jego szyi, pod podstawą podbródka, widniała około pięciocentymetrowa blizna. Porter oszacował jej wiek na kilka lat. Poszarpane brzegi świadczyły o tym, że nie była rezultatem zabiegu chirurgicznego, a cięcia nożem albo ostrym odłamkiem szkła. Porter pomyślał o bliźnie na własnym udzie, gdzie Bishop dźgnął go nożem. Od razu poczuł swędzenie i musiał ze sobą walczyć, żeby się nie podrapać.

Oczy Weidnera spoczęły na chwilę na Porterze, ale zaraz zwrócił się do naczelnika:

– Dzień dobry. Czym mogę służyć?

Naczelnik wskazał drugie krzesło i strażnik powoli usiadł. Strażnicy więzienni zdawali się zawsze poruszać z najwyższą ostrożnością, jakby przed każdym ruchem rozpatrywali wszystkie możliwe scenariusze wydarzeń – przynajmniej ci dobrzy w swoim fachu. Pozostałym zwykle działa się krzywda. Biorąc pod uwagę bliznę, Porterowi trudno było stwierdzić, do której z tych grup zaliczał się Weidner.

– To detektyw Sam Porter z policji w Chicago. Podąża za tropem w śledztwie i poprosił nas o pomoc – wyjaśnił naczelnik. Kiwnął głową do Portera. – Ma pan to zdjęcie?

Porter wyjął fotografię z kieszeni marynarki i podał strażnikowi. Pokazał palcem kobietę między dwoma strażnikami.

– Poznaje ją pan?

Weidner przechylił lekko głowę w prawo.

– To enenka.

– Kto?

– Enenka. Nazwisko nieznane. NN numer dwa jeden trzy osiem, zdaje się – powiedział Weidner, oddając Porterowi zdjęcie. – O co chodzi?

Naczelnik przysunął sobie bliżej klawiaturę i zaczął stukać palcami wskazującymi.

– NN numer dwa jeden trzy osiem. Jest u nas od osiemnastego stycznia, trochę ponad trzy tygodnie. Postawiono jej zarzuty, przyznała się do winy, teraz czeka na wyrok. Kieszonkostwo, złapali ją na Bourbon.

– Czyli wasza polityka „łap i wypuszczaj” nie obowiązuje w przypadku drobnych kradzieży? – zapytał Porter.

Strażnik przewinął tekst na ekranie.

– Ukradła portfel jakiemuś człowiekowi z Jersey, w środku było... oj, ale pech.

– Co?

– Miał w portfelu pięćset dwanaście dolarów – odparł strażnik. – Kradzież każdej kwoty powyżej pięciuset dolarów klasyfikowana jest w naszym hrabstwie jako ciężkie przestępstwo. Gdyby facet zdążył wcześniej kupić jeszcze jednego drinka, pewnie uznaliby to za wykroczenie i babeczka już by wracała do domu. W tej sytuacji czekają ją minimum dwa lata, może dłużej, jeśli to nie jest jej pierwsze naruszenie prawa.

– Ups.

– Właśnie. No ale cóż, kto chce się bawić, musi się liczyć z konsekwencjami – stwierdził naczelnik Vina. – Wygląda na to, że miała przy sobie jeszcze trzy inne portfele. Dokumenty w żadnym z nich do niej nie pasowały, a sama nie podała danych.

– A odciski?

Vina pokręcił głową.

– Nie ma jej w systemie, ani naszym, ani krajowym. Ma jeden znak szczególnie, mały tatuaż na nadgarstku. – Przekręcił monitor, żeby Porter mógł sam zobaczyć.

Porter szeroko otworzył oczy. Nachylił się nad biurkiem. Na ekranie widniała malutka ósemka, łudzaco podobna do tej na przegubie Jacoba Kittnera, mężczyzny przejechanego przez autobus, początkowo uważanego za Zabójcę Czwartej Małpy. Ten sam tatuaż Bishop zrobił Emory Connors.

– Muszę się z nią spotkać – powiedział.

Naczelnik obrócił monitor z powrotem do siebie.

– Będziemy potrzebować zgody. Ma prawnika.

Porter zmarszczył brwi.

– Jak to możliwe, skoro nie podała nawet nazwiska?

Weidner odchrząknął.

– Byłem przy tym. To było podczas wstępnego przesłuchania. Nic nie mówiła od chwili, kiedy wysiadła z suki, przez ponad godzinę siedziała w sali przesłuchań bez słowa. Gapiła się tylko na detektywa Dunleavy’ego. I cały czas się szczyrzyła. Po jakiejś godzinie pochyliła się przez stół i powiedziała tylko trzy słowa: „Prawniczka, Sarah Werner”. Potem oparła się z powrotem na krzesło, założyła ręce i znowu się uśmiechnęła. Nie wiem, jak Dunleavy’emu udało się zachować zimną krew. Ja na pewno bym się wkurwił. – Ugryzł się w język i zerknął na naczelnika, ale ten tylko machnął ręką.

– Kim jest ta Sarah Werner? Ktoś stąd? – zapytał Porter.

– Trzeba by zapytać Dunleavy’ego – odparł Weidner.

Naczelnik włączył tryb głośnomówiący i wybrał numer.

Odebrał szorstki głos.

– Tak?

– Dunleavy? Mówi naczelnik Vina z więzienia hrabstwa. Jest tu ze mną detektyw z Chicago i jeden ze strażników. Możesz mi coś powiedzieć o tej NN, którą przywieźli parę tygodni temu? Reprezentowała ją Sarah Werner.

– Szlag. Znowu ta gówniana sprawa? – Dunleavy westchnął ciężko. – Nie ma dużo do gadania. Złapali ją, bo pechowo wybrała kieszeń do obrobienia. Facet powiedział nam, że kiedyś już go okradziono, więc wyrobił sobie nawyk sprawdzania portfela w miejscach publicznych. Szturchnęła go lekko, sięgnął

odruchowo do kieszeni, odkrył brak portfela i złapał ją za rękę. Ona na to paskudnie podrapała go po twarzy i zaczęła wrzeszczeć, jakieś bzdury w rodzaju: „Nie wróć do ciebie, musisz dać mi spokój! Nigdy już mnie nie skrzywdzisz, nie pozwolę ci, mam tego dość!”. Przyciągnęła uwagę dwóch miejscowych ziomków, którzy ochoczo korzystali z happy hour w Crooked Broom. Wytoczyli się z knajpy, rozdzielili ich, po czym spuścili facetowi wpierdol.

– O kurde – powiedział naczelnik.

– Złamali mu dwa żebra, wybili trzy zęby i porządnie podbili oczy. Mogło być gorzej, ale wtedy z baru wyszła żona faceta, zobaczyła, że mąż dostaje bęcki, i zaczęła się drzeć. – Dunleavy wziął oddech i mówił dalej: – Drugi wrzask wystarczył, żeby u naszych ziomków wyłączył się tryb jaskiniowca, jeden złapał naszą małą złodziejkę, zanim zdążyła się wtopić w tłum. Jakiś turysta zauważył, jak tamten ją łapie, pomyślał, że może chce jej zrobić coś złego, więc zaczął go odciągać, prawie doprowadził do kolejnej bójkii. Wtedy pojawiła się policja, porozdzielali całe towarzystwo, zakuli w opaski zaciskowe i porozstawiali po kątach, żeby spróbować dojść, o co właściwie chodzi. – Dunleavy zakrył mikrofon i coś do kogoś zawołał. Porter nie rozszyfrował słów. Po chwili wrócił do rozmowy. – Miałem przyjemność poznać panią NN dopiero, kiedy przywieźli ją na komendę i zakwaterowali w sali przesłuchań. Rozmowa była zdecydowanie jednostronna. Próbowałem nad nią popracować, nic nie osiągnąłem, a potem wyskoczyła z tą prawniczką.

– Sarah Werner.

– Tak, Sarah Werner.

Mężczyzna umilkł. Naczelnik zerknął na Portera, który skinął głową. Vina popatrzył na telefon.

– Dzięki, Rick. Jeśli będziemy jeszcze czegoś potrzebować, to się odezwiemy.

– Doskonale, nie krępujcie się.

Odłożył słuchawkę, więc naczelnik wyłączył głośnik i opadł na oparcie fotela.

– Trudno będzie zorganizować panu widzenie. Jako cywil musiałby pan z nią załatwić, żeby wyraziła zgodę i umieściła pana na liście odwiedzających. Jako

detektywowi nie wolno panu się z nią spotkać, dopóki prawniczka nie wyrazi zgody. Tak czy inaczej, będzie pan się musiał trochę nagimnastykować.

– Gdzie znajdę Sarah Werner? – zapytał Porter.

41

LARISSA

Dzień trzeci, 8.53

Gęsty mrok, kolorowe plamki światła i drobinki kurzu wirujące w powietrzu, tańczące w polu widzenia. Larissa Biel przewróciła się na drugi bok i sięgnęła po kołdrę, żeby zakryć głowę.

Sobota.

Nie ma lekcji.

Nie ma lekcji, czyli można pospać. Nie ma lekcji, czyli może się zakopać pod grubą kołdrą i spać do przedpołudnia, może nawet dłużej, jeśli będzie chciała. Matka poszła do pracy. W domu było pusto, cicho. Potem przypomniała sobie o lekcji jazdy. Nastawiła wczoraj budzik. Niedługo zadzwoni. Ale do tego czasu mogła jeszcze pospać. Sięgnęła po kołdrę, ale nic nie znalazła.

Jej pokój brzmiał jakoś dziwnie. Nieznajome elektryczne bzyczenie, dźwięk włączonych urządzeń.

Larissa już dzisiaj wstała.

Wyszła z domu.

Pamiętała, jak czekała na mrozie na rogu ulicy na instruktora, wsiadła do samochodu.

Materac był zimny i twardy. Pościel okropnie cuchnęła.

– Napijesz się mleka? Przyniosłem ci.

Głos był cichy, niepewny, obcy. Larissa oparła się senności, zmusiła się, żeby otworzyć oczy. Kiedy podniosła ciężkie, zmęczone powieki, poczuła silny ból, jakby ktoś walił ją od środka po głowie kijem golfowym.

– Możliwe, że się trochę zagrzało, ale ciepłe też jest dobre. Lubię ciepłe mleko.

On ją czymś dźgnął, ten instruktor. Zaraz po tym, jak zapięła pas, poczuła ukłucie w udo, ostry ból. Pamięta, że opuściła wzrok, zobaczyła igłę, zobaczyła, jak mężczyzna naciska tłok strzykawki.

Potem już nic.

Z ciemności wyłoniły się zarysy pogrążonej w półmroku piwnicy, na schodach pod przeciwległą ścianą siedział cień mężczyzny, dzieliła ich metalowa siatka.

Larissa usiadła i mało brakowało, a opadłaby z powrotem na ziemię, przed oczami rozbłysło jej białe światło, ale po chwili wzrok wrócił do normy. W pomieszczeniu było ciemno. Jedyne źródło światła znajdowało się gdzieś u szczytu schodów.

– Mleko pomoże wypłukać narkotyk z organizmu. Przykro mi, że musiałem to zrobić, ale w innym wypadku byś ze mną nie poszła.

Mężczyzna w czarnej wełnianej czapce, instruktor.

Znajdowała się w klatce z drucianej siatki, leżała na betonowej posadzce owinięta w brudną zieloną narzutę. Szybko obróciła głowę to w jedną, to w drugą stronę, przyglądając się otoczeniu. Bojler, grzejnik, stół roboczy. Pod ścianą ze schodami stała stara biała zamrażarka, ale musiała być zepsuta – nie wydawała żadnego dźwięku, a pokrywa była podniesiona, oparta o ścianę.

Obok zamrażarki na podłodze leżało coś przykryte plandeką malarską. Oczyma wyobraźni zobaczyła siebie, jak leży pod tą plandeką, jak ktoś znajduje pod nią jej ciało.

– Co to? – zapytała schrypniętym głosem.

Zerwał się ze schodów, szybko, ze złością.

– Nieważne. Nie interesuj się.

Słyszała, jak mężczyzna podchodzi bliżej, lekko powłócząc jedną nogą. Zatrzymał się w odległości metra i podrapał w głowę przez czapkę. Larissa zobaczyła jego oczy z ciemnymi obwódkami, głęboko zapadnięte. Szare, pozbawione życia, jak oczy znacznie starszego człowieka. Były też przekrwione, ze śladami zaschniętych łez w kącikach.

– Nie patrz się tak na mnie. – Cofnął się o krok. Światło znad schodów podświetlało go od tyłu, kryjąc rysy twarzy.

Larissa zebrała się w sobie i wstała, choć wszystkie mięśnie zdawały się protestować, słabe i napięte. Brudna zielona narzuta opadła na ziemię. Nie miała na sobie kurtki. Skrzyżowała ręce na piersi, naciągnęła rękawy swetra i schowała w nich dłonie.

– Jeśli mnie pan wypuści, nic nikomu nie powiem. To będzie nasza mała tajemnica. – Pomyślała o wieczornym balu, o Kevinie Dew. Niemożliwe, żeby tu była, to nie mogła być prawda. – Moi rodzice wiedzą, gdzie jestem. Wiedzą, że byłam umówiona na lekcję. Jeśli długo nie będę wracać, zgłoszą zaginięcie. Zadzwonią na policję. Tego pan chce? Jeśli mnie pan wypuści, to do tego nie dojdzie. Zapomnę o całej sprawie.

Kłamała. Ojciec wyszedł wcześniej rano na budowę, matka planowała pójść do biura. Lubiła pracować w sobotnie popołudnia, bo nikogo poza nią nie było. Rodzice zamierzali iść wieczorem na kolację, a wiedzieli, że Larissa wybiera się na bal walentynkowy. Po powrocie z pracy stwierdzą pewnie, że szykuje się u jakiejś koleżanki. Nie będą się spodziewali jej powrotu do północy, może dłużej. Nikt nie będzie jej szukał. Nikt nie zauważy jej zniknięcia.

– Czy twój umysł i dusza są jasne?

Miał problem z wypowiedzeniem słowa „dusza”, warknął potem dziwnie, jakby był na siebie wściekły.

– Nie rozumiem.

Na chwilę pochylił się do przodu, ale zreflektował się i cofnął w cień.

– Żeby zobaczyć, musisz być czysta. Żebyś była czysta, musisz mieć jasny umysł i duszę. – Zaczął okrężnym ruchem pocierać kciuk o palec wskazujący,

jakiś nerwowy tik. – Ostatnia nie miała jasnego umysłu i duszy, sędzę, że to dlatego niczego nie zobaczyła. Ale z tobą będzie inaczej. Jestem pewny.

Wzrok Larissy znów powędrował ku plandece na podłodze.

– Im wcześniej zaczniemy, tym wcześniej będziesz wolna. Chcesz być wolna, prawda?

– Tak, chcę, żeby mnie pan wypuścił.

– Mogę cię uwolnić, ale obawiam się, że nigdy nie będę mógł cię wypuścić.

Przemierzyła niewielką klatkę i podeszła do drzwiczek zamkniętych na dwie kłódki, na dole i na górze. Obiema rękami złapała za drzwi.

– Wypuść mnie, ty chory pojebie! Wypuść mnie stąd!

Jeśli nie liczyć pocierania palcem o palec, instruktor się nie ruszał, tkwił jak cień na tle ciemniejszych cieni. Oblizwał suche, spierzchnięte wargi.

Larissa wrzasnęła.

Wrzeszczała najgłośniej, jak potrafiła, tak głośno, że paliło ją w gardle. Patrzyła mu prosto w oczy i wrzeszczała, dopóki nie wyrzuciła z płuc ostatniego grama powietrza, a potem zrobiła wdech i wrzeszczała dalej. Kiedy w końcu umilkła, w pomieszczeniu zapadła głęboka cisza, zakłócana jedynie buczeniem urządzeń elektrycznych i cichym tykaniem bojlera z wodą.

– Też czasem krzyczę. Robi mi się wtedy lepiej – powiedział. – Nikt mnie nigdy nie słyszy, tak jak i ciebie nikt nie usłyszy.

Ruszył ku schodom, ale zatrzymał się u podnóża.

– Wypij mleko. Będziesz potrzebowała siły. Niedługo wrócę i zaczniemy.

Patrzyła, jak wspina się po stopniach, oszczędzając lewą nogę. Kiedy dotarł do szczytu schodów, usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Zostawił zapalone światło.

Szklanka z mlekiem stała w kącie klatki, tuż przy drzwiczkach. Larissa wylała mleko na betonową posadzkę, owinęła szklankę zieloną narzutą, po czym cisnęła ją na ziemię i zdeptała butem. Potem rozwinęła narzutę, ostrożnie wybrała najostrzejszy odłamek długości około ośmiu centymetrów i ujęła go drżącą dłonią.

– No to zaczynajmy, skurwielu.

42

CLAIR

Dzień trzeci, 8.59

Clair usłyszała Nasha i Klozowskiego już z korytarza, zanim weszli do pokoju narad. Klócili się, chyba chodziło o Neila Diamonda.

Pokręciła głową.

Kiedy Nash przekroczył próg, rzuciła w niego długopisem. Złapał go w locie.

– Co jest, Eklerku?

Kloz przemknął się obok niego i podszedł do swojego biurka.

– Czy Porter przypadkiem nie wprowadził zasady „nie rzucamy przedmiotami w innych detektywów”?

– Portera zawiesili, więc zasada nie obowiązuje – stwierdziła. – Mam coś. To może być sensacja.

Nash przysiadł na brzegu stołu konferencyjnego.

– Świetnie, bo my nic nie załatwiliśmy u samochodziarza. Okazało się, że Ella Reynolds w tajemnicy przed rodzicami kupiła na raty mazdę. Rozmawialiśmy z wszystkimi pracownikami. Brandon Stringer, jeden ze sprzedawców, rozpoznał Ellę na zdjęciu i tyle. Kiedy przyszła do salonu, zajmował się innym klientem. Przejął ją Cumberland, właściciel. Żaden z nich nie znał Lili Davies, słyszeli o niej tylko w wiadomościach. Pracuje tam też mechanik, Douglas Fredenburg, ale to na pewno nie jego szukamy. Ma żonę i piątkę dzieci. Nie miałby czasu zorganizować partyjki pokera z kumplami, a co

dopiero kilku porwań i zabójstw. Poza tym Cumberland zapewnił mu żelazne alibi. Żaden z nich nie pasuje. Kolejna ślepa uliczka.

Na biurku Clair leżały wydruki komputerowe. Podniosła jedną z kartek i podała Nashowi.

– Co to jest?

– Czytaj.

Nash podniósł kartkę i przeczytał na głos.

– „Świętej pamięci Floyd Bernard Reynolds, 11 maja 1962 – 13 lutego 2015. 16 lutego 2015 roku o 17.00 w kościele pod wezwaniem Świętego Gabriela od Matki Boskiej Bolesnej odbędzie się nabożeństwo żałobne ku czci Floyda, kochającego męża i ojca. Po nabożeństwie konsolacja w sali parafialnej”. – Nash opuścił kartkę. – Nekrolog Reynoldsa, no i co?

Clair wzięła inny wydruk i wręczyła go Klozowskiemu. Zmierzył ją wzrokiem, ale odchrząknął i zaczął czytać:

– „Świętej pamięci Floyd Bernard Reynolds, 11 maja 1962 – 13 lutego 2015. Ojciec kłamstw, mąż śmierci dostąpił wreszcie spokoju wśród róż. Już żadnych kwiatów, prosimy, tylko błogosławieństwa”.

– Trochę to mroczne – stwierdził Nash.

– Mroczne na poziomie byłej dziewczyny – zgodził się Kloz i oddał Clair kartkę.

Clair odwróciła się do Nasha.

– Ten, który przeczytałeś, opublikowano dziś rano w „Chicago Examinerze”. Ten drugi – potrząsnęła kartką trzymaną w dłoni – w zeszłą środę, jeszcze przed śmiercią Reynoldsa, także w „Examinerze”.

Nash sięgnął po wydruk.

– Pokaż no mi to...

Clair zignorowała go i podeszła do tablicy. Przykleiła obie kartki pod nagłówkiem „Floyd Reynolds”.

– Albo i nie – mruknął Nash pod nosem. Clair wróciła do swojego biurka.

– To nie wszystko. – Wzięła do ręki kolejną kartkę i odczytała na głos. – „Dr Randal Frederick Davies, mąż Grace Ann Davies, ojciec Lili Grace Davies, pozostawił nas z zapartym tchem, pachnąc lawendą i czepotą puszystą tak na końcu, jak na początku swojego beznadziejnego marszu ku światłu”.

– Tutaj też niezbyt kolorowo – powiedział Kloz.

– Davies umarł? – spytał Nash.

Clair skinęła głową.

– Wczoraj wieczorem. Doznał ciężkiego udaru. Powikłania po drastycznym spadku ciśnienia.

– Tak szybko wypuścili nekrolog?

Clair wróciła do tablicy i przykleiła kartkę pod nazwiskiem Daviesa.

– Ktokolwiek zamówił ten nekrolog, nie czekał na zgon. Wydrukowali go cztery dni temu, także w „Examinerze”.

– Czyli co, facet z wyprzedzeniem zamawia nekrologi ludzi, których zamierza zamordować?

– Tak.

– A co z dziewczynami? – zapytał Kloz, wyciągając laptopa z torby.

– Szukałam, ale nie udało mi się niczego znaleźć, tylko nekrologi ojców.

Nash podszedł do tablicy i uważnie przeczytał wydruki.

– Wiadomo, kto je puścił do druku?

– To jest najdziwniejsze.

– To akurat jest najdziwniejsze, naprawdę?

– Przed chwilą rozmawiałam z szefową działu nekrologów w „Chicago Examinerze”. Pracuje tam od czterdziestu trzech lat, twierdzi, że osobiście czyta każdy nekrolog przed wysłaniem do druku, bo, cytuję, „prości ludzie nie mają żadnego poszanowania dla zasad gramatyki”, i zarzeka się, że nie widziała tych dwóch wiadomości, które pojawiły się w zeszłym tygodniu. Pamiętała dzisiejszy nekrolog, nawet poprawki, które wprowadziła przed wysłaniem do druku. Kiedy przeczytałam jej te poprzednie, parsknęła i stwierdziła, że na pewno zaznaczyłaby je jako podejrzane. Dowiedziałam się, że nekrologi zamieszcza się

za pośrednictwem formularza na stronie „Examinera” i nie brakuje fałszywych zawiadomień o śmierci, zwykle to wygłupy dzieciaków. Zgodnie z procedurą nie publikuje się niezweryfikowanych nekrologów. Redaktorka zwykle prosi o kopię aktu zgonu albo kontaktuje się z zakładem pogrzebowym. Trzeba też zapłacić. – Przeszła przez pokój i z powrotem usiadła za biurkiem. – Nekrologi to dla gazet żyła złota. We wszystkich trzech przypadkach zapłacono kartą kredytową. W przypadku Reynoldsa dwukrotnie użyto tej samej karty należącej do jego żony. Karta, którą zapłacono za nekrolog Randala Daviesa, to American Express wystawiona na nazwisko Grace Davies. Przy fałszywych nekrologach ktoś wysłał formularze przez stronę, a potem natychmiast zhakował system i zmienił ich status na „zatwierdzone”. Po prostu ominęli redaktorkę i zabezpieczenia gazety, wysyłając ogłoszenia bezpośrednio do druku, bez weryfikacji.

– Patrę właśnie na kod pod formularzem na stronie „Examinera”. W systemie zapisują się informacje, o których użytkownicy nie wiedzą. System operacyjny, adres IP... i parę innych danych – powiedział Kloz, przebiegając wzrokiem tekst przesuwający się na ekranie.

– Redaktorka z „Examinera” wysłała mi plik z wszystkimi zgłoszeniami z ostatnich trzydziestu dni. Powinieneś go mieć na mejlu – powiedziała Clair.

– Dostałem, właśnie sprawdzam.

Nash znowu przestudiował fałszywy nekrolog Randala Daviesa.

– Jeśli to się ukazało cztery dni temu, to jeszcze przed zaginięciem Lili Davies.

Clair przytaknęła.

– W takim razie kto tak naprawdę miał być ofiarą? Ojciec czy córka?

Clair przez ostatnią godzinę zastanawiała się dokładnie nad tym samym pytaniem, ale nie znalazła jednoznacznej odpowiedzi.

– Wydaje mi się, że zależy mu na jednym i drugim, ale z różnych powodów. Córki topi, wielokrotnie. To się zgadzało w przypadku obu dziewczyn. Nie śpieszy się, reanimuje je i powtarza wszystko od nowa, dopóki wytrzymują ich organizmy: w przypadku Elli Reynolds trwało to tygodniami, w przypadku Lili

Davies kilka dni. Obu ojców zabił zupełnie inaczej i zrobił to szybko, jakby od niechcienia.

– Nie od niechcienia, skoro wcześniej podrzucił nekrologi – zaproponował Nash.

– No dobra, nie od niechcienia. Jakby chciał coś powiedzieć – odparła Clair. – Ale to, co robi z dziewczynami, to podtapianie, służy jakiemuś celowi.

– Jakby próbował się czegoś dowiedzieć.

– Jakby próbował się czegoś dowiedzieć – powtórzyła Clair.

– Czyli zależy mu na dziewczynach, a ojcowie są czymś w rodzaju zasłony dymnej?

Clair przycisnęła palce do skroni.

– Nie, to coś więcej. Nie jestem pewna dlaczego, przynajmniej na razie.

– Ojcowie, córki... To mi zaczyna coraz bardziej przypominać 4MK – zauważył Nash.

– Topienie nie pasuje, poza tym dla Bishopa bardzo ważne było niezabijanie rodziców. Uważał, że więcej bólu sprawi im strata dziecka.

– Może się rozwinął. Albo wręcz przeciwnie, sprymitywizował.

– Dlaczego Bishop miałby zmieniać taktykę?

– Znalazłem te dane – przerwał im Kłoz. – We wszystkich trzech przypadkach adresy IP pochodzą z domów ofiar. To oznacza, że nekrologi albo wysłano z ich domów, albo postarano się, żeby tak to wyglądało.

– Można coś takiego sfalszować?

Kłoz w zamyśleniu oparł palec na górnej krawędzi ekranu laptopa.

– Byłoby trudno. Właściwie nie da się sfalszować IP przychodzącego w takim formularzu. Łańcuch jest rejestrowany po tym, jak dane opuszczają hosta.

Clair cisnęła w niego długopisem. Nawet nie zauważył, kiedy wzięła go do ręki. Robiła się coraz szybsza. Długopis odbił się od ramienia Kłozowskiego i spadł na podłogę pod jego biurkiem.

– Ej! Nie mam nic przeciwko, żebyś rzucała w Nasha, ale mówię stanowcze nie atakom na mnie – powiedział Kłoz.

– Mów po angielsku, to nic ci nie będzie groziło.

Kloz zgarbił się za laptopem, chowając się przed Clair za ekranem.

– Żeby wiadomość została wysłana z ich adresu IP, żądanie musiałoby wyjść z ich domu, z ich routera. Jest parę sposobów, żeby to zrobić. – Zaczął wyliczać na palcach. – Po pierwsze, można zdalnie zhakować komputer. To raczej trudne. Sprawca musiałby wysłać im złośliwe oprogramowanie, żeby otworzyć tylne drzwi, albo znaleźć lukę w systemie operacyjnym. Jeśli regularnie nie ściągają aktualizacji, to byłoby łatwiej, ale nadal ryzykownie, bo nie wiadomo, czy i kiedy się uda, dopóki się nie spróbuje. Po drugie, można zhakować domowe wi-fi. To akurat prostsze. Można to zrobić z ulicy przed domem i wystarczy parę narzędzi, które każdy może sobie ściągnąć z sieci.

– Podchodzenie tak blisko też brzmi ryzykownie – zauważył Nash.

– Wysyłał te wiadomości, zanim komukolwiek stała się krzywda. Nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Zajęłoby to mu parę minut, zwłaszcza jeśli domownicy nie aktualizują oprogramowania sprzętowego routera.

– Nikt tego nie aktualizuje. Przekonaliśmy się w Starbucksie.

– Właśnie – przytaknął Kloz. – No i jest jeszcze sama gazeta. To opcja numer trzy. Sprawca musiałby wysłać nekrologi przez formularz na stronie, a potem zhakować dane zgromadzone na serwerach gazety. Jak już by się tam dostał, musiałby zmienić adresy IP. To najtrudniejszy sposób. Ja na jego miejscu próbowałbym się włamać do wi-fi.

– Zostawiłoby to jakiś ślad? Tak jak wtedy w Starbucksie? – zapytał Nash.

Kloz znowu skinął głową.

– Serwery gazety nie zapisują adresów MAC, ale poszczególne routery już tak. Potrzebuję tylko dostępu.

– Musiałbyś wchodzić im do domu? – zapytała Clair. – Przeżywają teraz taką tragedię...

– Mógłbym to zrobić z ulicy, tak jak sprawca. Nie ma potrzeby zawracać głowy rodzinom.

– Możemy sprawdzić nazwiska wszystkich z listy nekrologów dostarczonej przez redakcję? – zapytał Nash. – Poszukać ludzi, którzy nie mają wystawionego

aktu zgonu? Może nam się uda namierzyć następną ofiarę, zanim uderzy.

– Trudno będzie bez numerów ubezpieczenia albo czegoś konkretnego, żeby wykluczać poszczególne osoby, ale mogę spróbować – powiedział Kloz.

Clair przejrzała listę zadań na tablicy.

– Udało ci się zrobić listę basenów ze słoną wodą w okolicy?

– Jeśli powiem, że tak, to obiecujesz przestać we mnie rzucać? – zapytał Kloz.

– Nie.

– Okrutna kobieta – stwierdził Kloz. – Wysłałam plik. Powinnaś go już mieć w odebranych. Możemy wykluczyć baseny. Woda, którą Easley znalazł w płucach dziewczyn, miała zbyt wysoką zawartość soli. W basenach utrzymuje się stężenie na poziomie trzech tysięcy części na milion, a my szukamy wody ze stężeniem trzydziestu pięciu tysięcy, porównywalnym z wodą morską. W związku z tym znalazłem osiemnaście punktów sprzedaży ryb słonowodnych i akcesoriów do ich hodowli. Tę listę też ci wysłałem.

Clair wstała zza biurka i uaktualniła tablicę.

– Dobra, zaraz to sprawdzę. Wy dwaj przejdźcie się pod domy ofiar i wydobądźcie z routerów, co się da. Potem się zgadamy.

– Sam kazałby mi zdobyć nakaz uzyskania danych z routera – powiedział Kloz.

Clair wymierzyła w niego kolejny gotowy do rzutu długopis.

– Udam, że nie powiedziałeś tego na głos.

Tablica z listą dowodów

ELLA REYNOLDS (15 lat)

Zgłoszenie zaginięcia: 22.01

Znalezienie ciała: 12.02, zalew w Jackson Park

Woda zamrznięta od 2.01 (20 dni przed zaginięciem)

Ostatnio widziana: przystanek autobusowy na Logan Square (2 przecznice od domu,
24 kilometry od Jackson Park)

Miała na sobie czarną kurtkę

Utopiona w słonej wodzie (zwłoki w wodzie słodkiej)

Zwłoki w ubraniach Lili Davies

Droga z przystanku do domu: 4 minuty

Bywała w Starbucksie przy Kedzie, 7 minut od domu

LILI DAVIES (17 lat)

Rodzice: dr Randal Davies i Grace Davies

Przyjaciółka: Gabrielle Deegan

Szkoła: Wilcox Academy (prywatna), nie przyszła na lekcje 12.02

Ostatnio widziana: wyjście z domu do szkoły (pieszo), 12.02 około 7.15, miała na sobie czerwoną, nylonową, pikowaną parkę z kapturem, białą czapkę, białe rękawiczki, ciemne dżinsy, różowe buty sportowe (strój Elli Reynolds)

Uprowadzona najprawdopodobniej 12.02 rano (w drodze do szkoły)

Krótkie okienko: 35 minut (wyszła z domu o 7.15, początek lekcji o 7.50)

Droga z domu do szkoły: 4 przecznice

Zgłoszenie zaginięcia: po północy (wczesne godziny 13.02)

Rodzice sądzili, że poszła do pracy (w galerii sztuki) prosto po szkole (nie pojawiła się ani tu, ani tu)

Zwłoki w ubraniach Elli Reynolds

Kilkakrotnie topiona (słona woda) i reanimowana

FLOYD REYNOLDS

Żona: Leeann Reynolds

Sprzedaż ubezpieczeń – zatrudniony w UniMed America Healthcare

Żadnych długów? Może żona. Hosman sprawdzi

Uduşony cienką struną (fortepianową?) przed własnym domem (w samochodzie)

Ciało ukryte w bałwanie

Ojciec Elli Reynolds

RANDAL DAVIES

Lekarz, szpital imienia Johna H. Strogera Jr.

Ojciec Lili Davies

Mąż Grace Davies

Przedawkowanie lizynoprylu (lek na nadciśnienie)

SPRAWCA

- Prawdopodobnie prowadził szarego pikapa ze zbiornikiem na wodę: toyota tundra 2011
- ~~Może pracować w branży czyszczenia/obsługi basenów~~
- Odcisk buta roboczego rozmiar 11 – tył fotela kierowcy w samochodzie Reynoldsów (lexus LS). Dźwignia?

ZADANIA:

- ~~Nagrania ze Starbucksa (cykl 1 dniowy?)—Kłoz~~
- ~~Komputer, telefon, skrzynka mejlowa Elli—Kłoz~~
- ~~Portale społecznościowe, billingi, skrzynka mejlowa Lili (telefon i komputer niedostępne)—Kłoz~~
- ~~Powiększenie zdjęcia potencjalnego sprawcy z bramy wjazdowej do parku—Kłoz~~
- ~~Poluzowana kamera w parku? Sprawdzić stare nagrania – Kłoz~~
- ~~Ustalić markę i model furgonetki z nagrania—Kłoz~~
- ~~Trasa Lili do szkoły, rozmowa z Gabrielle Deegan—Clair i Sophie~~
- ~~Wizyta w galerii (kierowniczka: pani Edwins)—Porter i Nash~~
- ~~Lista basenów ze słoną wodą w Chicago i okolicach (pozwolenia na budowę)—Kłoz~~
- ~~Sprawdzić oceanaria i firmy, które je zaopatrują~~
- ~~Sprawdzić realne zadłużenie Reynoldsów – Hosman~~

43

POOLE

Dzień trzeci, 9.23

Poole stał na środku pokoju użyczonego im w komendzie głównej policji Chicago i gapił się w ścianę.

Agenci z chicagowskiego biura terenowego FBI przez całą noc odtwarzali ścianę danych z mieszkania Portera, posiłkując się fotografiami.

Detektyw Porter wykazał się wielką skrupulatnością. Poole prędko zorientował się w znaczeniu poszczególnych kolorowych pinezek. Czerwone odpowiadały miejscom, w których widziano Bishopa, niebieskie adresom reporterów albo redakcji lokalnych gazet, a żółte adresom osób zaginionych lub zamordowanych metodą podobną do tej opracowanej przez 4MK.

Żółta pinezka tkwiła w Jackson Park, gdzie znaleziono ciało Elli Reynolds. Porter upierał się, że Bishop nie miał nic wspólnego z jej zaginięciem ani śmiercią, mimo to poczuł potrzebę zaznaczenia tego na mapie, potem zaś próbował usunąć znacznik. Poole'a bardzo to zainteresowało. Wiedział o co najmniej trzech innych morderstwach na terenie Chicago w ciągu dwóch ostatnich miesięcy, których Porter nie zaznaczył na mapie, więc czemu Ella Reynolds?

Nie było pinezki za Lili Davies. Całkiem możliwe, że Porter zamierzał umieścić ją na mapie, ale nie było mu to dane. Poole od prawie dwóch dni nie przekroczył progu własnego mieszkania. Wiedział, że żona Portera niedawno

zmarła. Niewykluczone, że detektyw nie miał czasu zajrzeć do domu między zaginięciem drugiej dziewczyny a przejęciem materiałów przez FBI.

Ale i tak...

Podszedł do nowej tablicy zarekwirowanej z innej sali gdzieś w budynku. Nie pytał skąd. W lewym górnym rogu zapisał „LIBBY MCINLEY”, przyczepił zdjęcie z kartoteki policyjnej i liczne zdjęcia z miejsca zbrodni oraz dodał swoje uwagi.

Przywiązana do łóżka.

Odcięte palce u rąk i nóg.

Odcięte ucho i język, wyłupione oczy.

Liczne nacięcia – tortury.

Zemsta.

Fałszywe dokumenty (prawko/paszport, nazwisko: Kalyn Selke).

Broń, kaliber .45.

Kiedy sprawdzili Kalyn Selke w bazach danych, okazało się, że była siedmiolatką, która zginęła dwadzieścia cztery lata wcześniej w Woodstock w stanie Illinois. Gdyby przeżyła, byłaby zaledwie miesiąc młodsza od Libby McInley. Dowody tożsamości nie zostały sfałszowane, były autentycznymi dokumentami wystawionymi przez administrację państwową. To oznaczało, że McInley jakimś sposobem weszła w posiadanie aktu urodzenia i karty ubezpieczenia społecznego Selke, na ich podstawie wyrobiła sobie paszport, a następnie, posługując się trzema już dokumentami, złożyła wniosek o prawo jazdy pod przybranym nazwiskiem. Czasochłonny proces, ale mogła bez problemu dowiedzieć się o nim w więzieniu. Podejrzewał, że mogła nawet załatwiać sprawy zza krat, chociaż potrzebowałyby pomocników. Miała dostęp do komputerów i internetu, więc mogła wyszukiwać informacje, ale ktoś z zewnątrz musiał pisać listy i je wysyłać.

Jako ostatnią pozycję na liście informacji o Libby McInley umieścił pasmo blond włosów. Narysował strzałkę od tego podpunktu do fotografii włosów

przyklejonych u góry sąsiedniej kolumny. Miał nadzieję, że w laboratorium znajdą ślady DNA na którymś z włosów, ale nic z tego. Elegancki kosmyk został obcięty, a nie wyrwany z głowy właściciela lub właścicielki. Żadnych informacji umożliwiających identyfikację. Z analizy wynikało, że osoba, do której należały włosy, regularnie paliła zarówno tytoń, jak i marihuanę. Zażywała również xanax – lek stosowany powszechnie w leczeniu zaburzeń lękowych – przynajmniej w czasie, kiedy urósł ten fragment włosów. Nie dało się określić płci. Technicy oszacowali wiek włosów na mniej więcej dwadzieścia lat. Szybko uściślili, że to sama próbka liczyła tyle lat. Nie mieli żadnych podstaw do określenia wieku osoby, od której ją pozyskano. Włosy obcięto z czyjejs głowy około piętnastu do dwudziestu lat temu, stwierdzili. Czarne gumki spinające kosmyk na obu końcach były najzwyczajszymi frotkami produkowanymi przez firmę Goody, dostępnymi w niemal każdej drogerii czy sklepie spożywczym.

– Gdzie to położyć?

Poole odwrócił się i zobaczył Dienera z wielkim białym pudłem na akta – kartonem papierów odkrytym przez detektywów Nasha i Norton w mieszkaniu przy LaSalle, podrzuconym tam przez Bishopa cztery miesiące temu.

– Postaw na tamtym stole.

Diener upuścił pudło z głośnym łupnięciem.

– Wszystkie dokumenty zostały zdigitalizowane i opisane. Możesz je przejrzeć na tablecie. Po co ci oryginały?

– Nie pasuje mi przewijanie obrazków. Potrzebuję czegoś namacalnego.

– Niech ci będzie, ale lepiej się pośpiesz. Hurless mówi, że grzebanie się w tych papierach to strata czasu. Chce, żebyśmy pogadali z sąsiadami McInley i kuratorem sądowym.

– To może weź się do tego?

– Tak?

Poole skinął głową.

– Zacznij od mundurowych. Oni już rozmawiali z większością sąsiadów. Wróć do tych mieszkających najbliżej. Dzwoniłem już do kuratora. Jak tylko

przydzielą mi godzinę spotkania, zadzwonię do ciebie i możemy spotkać się na miejscu.

Diener nie cierpiał tkwić w czterech ścianach biura, więc Poole wiedział, że rzuci się na pierwszą okazję wyjazdu w teren, nawet w taką pogodę. Poole wiedział również, że rozmowy z sąsiadami nic nie dadzą. Nic go to nie obchodziło. Chciał po prostu pozbyć się Dienera.

Diener ruszył rażno do wyjścia, po drodze ściągając płaszcz z oparcia krzesła.

– Hurless powinien za jakąś godzinę wrócić z biura terenowego. Lepiej, żeby cię tu już wtedy nie było.

Poole znowu kiwnął szybko głową i wrócił do pudła. Nie przejmował się Hurlessem.

Zaczął wyjmować powiązane stosy dokumentów i układać je na stole w równych rzędkach.

44

PORTER

Dzień trzeci, 9.33

– Powiem ci, że chyba nie za bardzo umiesz spędzać wakacje – powiedział Hershel Chrisman z fotela kierowcy w taksówce. – Większość turystów nie zapuszcza się w te okolice, a jeśli tu trafiają, to uciekają gdzie pieprz rośnie. Lepiej już się użerać z kapłankami juju i straganiarzami w centrum niż z tutejszymi gangsterami. Ludzie są tutaj tacy biedni, że płatki śniadaniowe jedzą widelcem, żeby zaoszczędzić na mleku. Na strzelaninę samochodową muszą jeździć autobusem.

Porter uśmiechnął się po raz pierwszy od dwóch dni. Na pierwszy rzut oka okolica nie wyglądała tak źle. Zaparkowali na South Broad Avenue przed szeregiem domów typu *shotgun* przerobionych na budynki biurowe. W niektórych prowadzono takie same interesy jak przy California Avenue w Chicago, niedaleko więzienia hrabstwa Cook – biura poręczycieli kaucji, kancelarie prawnicze, agencje finansowe. W Chicago takie lokale miały graffiti na ścianach i kraty w oknach. Tutaj szemrane interesy maskowały się odrobiną nowoorleańskiego uroku – żywe kolory, zdobienia, ciekawa architektura; biuro poręczyciela kaucji miało nawet ganek, na którym dwa wiklinowe krzesła stały przy niewysokim stoliku, jakby zapraszały na poranną lemoniadę. Taksówka stała pod biało-zielonym budynkiem z tabliczką na drzwiach głoszącą „SARAH WERNER, KANCELARIA PRAWNICZA”.

– To może trochę potrwać – powiedział Hershel.

– Mogę poczekać, nie ma sprawy.

– Twoja kasa. – Wzruszył ramionami. – Jak znajdujesz Traveler's Best?

Wczoraj wieczorem Porter nie mógł się zdecydować, co byłoby gorsze: spanie w hotelowej pościeli czy spanie na niej. Pokój był prawdopodobnie ostatnio sprzątny za czasów prezydentury Reagana. Noc spędził więc na drewnianym krześle, z nogami na biurku – lepiej nie dotykać podłogi.

– Cudowne miejsce, można się poczuć jak w domu.

Hershel parsknął.

– Mówiłem, że to straszna nora.

Z bocznej uliczki naprzeciwko wyszedł jakiś mężczyzna, stanął na chodniku i spuścił spodnie. Chcąc nie chcąc, Porter był świadkiem, jak mężczyzna oddaje mocz, pogwizdując nierozpoznawalną melodię, zasuwa spodnie i wraca do zaułka, ziewając z zasłoniętymi ustami. Porter dostrzegł jeszcze co najmniej trzy osoby krzątające się po ciemnej, zatęchłej uliczce i jedną leżącą na wymiętym śpiworze. Oparty o ścianę śmietnika stał duży karton, w którym zniknął jeden z cieni.

– Typ nie jest stąd – zawyrokował Hershel.

– Nie?

– Nowoorleańczycy może i nie są najbogatsi, ale szanujemy to miasto, nawet paskudne dzielnice. To magiczne miejsce. – Wskazał gestem głowy na uliczkę. – Tacy ludzie nie wychowali się w Luizjanie. Pewnie turysta, utknął tu po drodze. Miasto się ich pozbędzie, wyrzuci ich na zbity pysk. Nie ma tu miejsca dla takich.

– Sam mówiłeś, że to zła dzielnica, że nie powinienem tu przyjeżdżać.

Hershel machnął ręką.

– To nie wina dzielnicy. Zastrzeliłbyś psa tylko dlatego, że ma pchły? Po prostu na tym kawałku psa jest więcej pcheł niż gdzie indziej, to wszystko.

Obok taksówki zatrzymało się czarne bmw z przyciemnianymi szybami.

– To mi wygląda na samochód prawniczki – powiedział Hershel.

Porter obserwował drzwi kierowcy. Po chwili wysiadła przez nie szatynka o włosach do ramion i w okularach słonecznych zdecydowanie zbyt dużych w stosunku do twarzy, rozejrzała się dookoła, zamknęła drzwi i ruszyła w stronę kancelarii.

Porter pochylił się do przodu.

– Ile jestem winny?

Hershel zerknął w lusterko.

– Szesnaście siedemdziesiąt pięć.

Podał mu dwudziestkę i machnął ręką na resztę.

– Mam na ciebie poczekać?

Porter patrzył, jak kobieta otwiera biuro, wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi. Podał kierowcy jeszcze dziesięć dolarów.

– Zaczekaj pięć minut, jak do tej pory nie wyjdę, to możesz jechać. Zadzwoń, jeśli będę potrzebował transportu.

Hershel wziął pieniądze i wsunął banknot do kieszeni w koszuli.

– Ta twoja pani musi być naprawdę wyjątkowa, skoro zadajesz sobie dla niej tyle trudu. Większość facetów raczej odpuszcza, nie zawraca sobie głowy. Mam nadzieję, że zdaje sobie sprawę, jak dobrze trafiła, będzie o tym pamiętać po wyjściu.

Porter wysiadł z taksówki, klepnął w dach, po czym odwrócił się i wspinał po schodach do kancelarii.

Kiedy otworzył drzwi, zaćwierkał elektroniczny brzęczyk. Uderzyła go fala klimatyzowanego powietrza. Nie zdawał sobie sprawy, jak gorąco i wilgotno było na zewnątrz, mimo wczesnej pory.

– Proszę usiąść, rozgościć się. Zaraz przyjdę – zawołał damski głos z zaplecza. – Dopiero przyszłam, muszę zaparzyć herbatę. Bez kofeiny do niczego się nie nadaję.

Gabinet był nieduży, jakieś trzy metry na cztery. Choć wyraźnie próbowano przerobić wnętrze, Porter miał wrażenie, że znajduje się raczej w salonie starego domu niż w kancelarii prawniczej. Sufit był wysoki, otoczony sztukateriami,

z misternymi zdobieniami na środku. Ściany pokryte dekoracyjnymi panelami. Po prawej, obok dużego okna witrażowego, znajdował się kominek, przed którym stała nieduża kanapa i dwa fotele. Ścianę po lewej zabudowano regałami pełnymi książek, które wyglądały na równie stare jak sam budynek. W głębi pomieszczenia stało drewniane biurko, antyk, z dwoma krzesłami, wszystko zavalone stosami książek i dokumentów. Za nimi znajdowało się wejście do jasnego korytarza. Oczami wyobraźni ujrzał to miejsce takim, jakim było dawniej: salon od frontu, kuchnia i bardziej nieformalny pokój rodzinny na tyłach. Niemal słyszał dzieci nawołujące się z odległych krańców domu, dawno zapomniane głosy duchów.

– Można zwolnić jedno z tych krzeseł przed biurkiem, niech się pan nie krępuje. Proszę przełożyć te rzeczy na podłogę – zawołała z tylnej części domu.
– Przepraszam, nie spodziewałam się dzisiaj nikogo.

Było tu jeszcze piętro, zauważył to z zewnątrz.

Zastanawiał się, czy dodatkowa przestrzeń stała się z czasem mieszkaniem Sarah Werner. Tak jak fasada domu przekształconego w kancelarię, również i wnętrze zdawało się nie pasować do bezdomnych na ulicy – schronienie od czarnych chmur wiszących nad tą częścią miasta, miejsce zastygłe w czasie, nienadążające za tym, co działo się poza ścianami o gipsowych zdobieniach i solidnymi drzwiami.

Porter podszedł do biurka, zdjął z jednego krzesła stertę papierzysek, przełożył je na stos na drugim i usiadł.

Na ścianie za biurkiem wisiały liczne ramki z dyplomami. Pani Werner zrobiła licencjat na Uniwersytecie Stanowym Pensylwanii, a w 1998 roku ukończyła studia prawnicze na wydziale prawa Uniwersytetu Pensylwanii. Porter nie miał wyższego wykształcenia. Zatrudnił się w policji tuż po ukończeniu liceum. Rozwagał studia kryminologiczne, ale z rozmów ze starszymi kolegami po fachu wywnioskował, że dyplom nie da mu nic poza długami. Gdyby chciał awansować ponad stanowisko detektywa, zwierzchnicy mogliby wymagać dodatkowych kwalifikacji, ale nigdy mu na tym nie zależało. Przełożeni byli

wiecznie zestresowani i całymi dniami przesiadywali za biurkiem, zajmując się kwestiami finansowymi i problemami z personelem. Jego umysł potrzebował stymulacji i wyzwań zapewnianych przez pracę w terenie.

– Bardzo przepraszam, że musiał pan czekać.

Porter odwrócił się i zobaczył kobietę w korytarzu za biurkiem. Trzymała dwa kubki parującej herbaty.

– Zaparzyłam też dla pana – powiedziała. – Pomyślałam, że nieuprzejmie by było pana nie poczęstować, a poza tym nie lubię pić sama. – W jej brązowych oczach błysnęła łobuzerska iskierka. – Och, ale zapomniałam spytać, czy chce pan do tego cukier albo mleko?

Porter sięgnął po kubek.

– Taka będzie idealna, dziękuję.

Miała ledwie dosłyszalny akcent, wyraźnie próbowała się go oduczyć, ale wciąż był obecny. Nie brzmiała jednak jak tutejsza.

Sarah Werner z uśmiechem podała mu kubek i miękko umościła się w fotelu po swojej stronie biurka, obiema dłońmi trzymając herbatę przy ustach. Miała na sobie ciemnoszarą garsonkę i czarne pończochy na zgrabnych nogach, co Porter zauważył z lekkim zawstydzeniem, zanim zniknęły pod biurkiem. Zerknął znowu na dyplomy na ścianie, dokonał szybkich obliczeń. Jeśli poszła na studia prosto po szkole, to miała teraz około czterdziestu pięciu lat, o dziesięć mniej od niego. W życiu by się nie domyślił. Gdyby zobaczył ją na ulicy, dałby jej najwyżej trzydzieści pięć. Z wyjątkiem drobnusieńkich zmarszczek wokół oczu miała nieskazitelną cerę. Brązowe włosy opadały na ramiona delikatnymi falami. Wyczuwał łagodną woń bzu.

– Powinam chyba zapytać, kim pan jest – powiedziała z uśmiechem.

Porter kazał sobie wrócić na ziemię.

– Przepraszam, przez ostatnie kilka dni sporo się działo. – Podał jej wizytówkę. Detektyw Sam Porter z policji w Chicago.

Rzuciła okiem na wizytówkę, po czym położyła ją w rogu biurka.

– Zabójca Czwartej Małpy?

– Zna pani tę sprawę?

Przełożyła wizytówkę na stos koło telefonu.

– Pracuję jako obrońca w sprawach karnych, detektywie. Nie ukrywam, że fascynują mnie umysły kryminalistów, zakrawa to wręcz na obsesję. Staram się być na bieżąco ze wszystkimi najślynniejszymi sprawami. Czym mogę służyć? Sądzi pan, że zabójca przeniósł się do Nowego Orleanu?

Porter napił się herbaty i odstawił kubek na biurko.

– Coś pani pokażę, ale to musi pozostać między nami. Nie może pani z nikim o tym rozmawiać, rozumie pani? Nie ujawniliśmy tej informacji i nie możemy ryzykować, żeby przedostała się do opinii publicznej.

– Oczywiście.

Porter sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął fotografię, położył na burku i odwrócił, żeby prawniczka mogła się przyjrzeć.

Sarah przez dłuższą chwilę uważnie patrzyła mu w oczy, a potem spuściła wzrok i spojrzała na zdjęcie.

– Czy to...?

– Tak, to pani klientka. Tak sędzę.

– Ale co to ma wspólnego z Zabójcą Czwartej Małpy?

Porter pokazał jej wiadomość na odwrocie fotografii.

– „Chyba ją znalazłem. B.” – przeczytała na głos. Zmarszczyła czoło i spojrzała na niego. – Nie rozumiem. Kto znalazł kogo?

– To charakter pisma Ansona Bishopa. Jest przekonany, że pani klientka to jego matka.

Zachowała neutralny wyraz twarzy.

– A pan jak uważa?

Porter wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co o tym myśleć. Na razie po prostu podążam tropem. Co może mi pani o niej powiedzieć?

Sarah przesunęła fotografię z powrotem w jego stronę i wyciągnęła brązową teczkę ze sterty papierów leżących obok. Po jej otwarciu ukazała się kopia

zdjęcia z kartoteki policyjnej przyczepiona spinaczem po lewej i plik dokumentów po prawej.

– NN numer dwa jeden trzy osiem. Oprócz tego i oprócz listy zarzutów nic o niej nie wiem. Widziałam się z nią dwa razy i nie powiedziała ani słowa.

– Nawet do pani?

– Nawet do mnie.

– U naczelnika powiedzieli mi, że poprosiła konkretnie o panią. Jedyne słowa, jakie wymówiła, to pani imię i nazwisko.

Tym razem to Sarah wzruszyła ramionami.

– A ja nie mam bladego pojęcia dlaczego. Nie wiem nawet, skąd wytrzasnęła moje nazwisko. Sporo się ogłaszam w mieście, więc pewnie wpadła jej w ręce moja ulotka albo wizytówka. Może słyszała, że biorę czasem sprawy pro bono. Może wylosowała mnie z książki telefonicznej, kto to wie. Przy pierwszym spotkaniu wytłumaczyłam jej, że może bez obaw ze mną rozmawiać, że nikomu nie przekażę niczego, co mi powie. Wygłosiłam całą mowę o tajemnicy adwokackiej. Siedziałyśmy tak z pół godziny, a ona się tylko na mnie gapiła. – Pociągnęła łyk herbaty i mówiła dalej: – Za drugim razem omówiłam jej zarzuty, wyjaśniłam, że są bardzo poważne. Nadal milczała. Podpisała dokumenty, na mocy których mogę ją reprezentować w sądzie, więc wiem, że rozumie, co do niej mówię. Wiem, że potrafi czytać, po prostu nie chce nic mówić.

– Była już w sądzie?

Sarah przewróciła oczami.

– To była masakra. Sędzia Kobrick niejedno już widział i nie zamierza się bawić w żadne gierki. Nic nie mówiła, więc zagroził, że uzna to za przyznanie się do winy. Udało mi się go przekonać, żeby odroczył decyzję o dwa tygodnie. Mamy stawić się przed sądem dwiętnastego lutego, tak że mam niecały tydzień, żeby coś wymyślić. Jadę tam dzisiaj, a jeśli znów nie będzie chciała ze mną rozmawiać, będę zmuszona załatwić konsultację psychiatryczną.

– Mogę ją skłonić do mówienia.

Sarah dopiła herbatę i powoli obracała kubek w miękkich dłoniach o zadbanych paznokciach.

– A potem co? Oskarży ją pan o coś w Chicago? Nie jestem pewna, czy to leży w interesie mojej klientki.

– Zależy mi na jej synu, nie na niej.

– A skąd przekonanie, że ona wie, gdzie go znaleźć? A nawet jeśli wie, dlaczego miałyby panu powiedzieć? Znam tylko jeden instynkt silniejszy od samozachowawczego – powiedziała Sarah. – To instynkt matki, która zrobi wszystko, żeby ochronić swoje dzieci.

– Mogę ją skłonić do mówienia. Mogę pani pomóc. – Porter nachylił się do niej nad biurkiem. – Proszę, niech pani mi pozwoli się z nią spotkać.

Uśmiechnęła się, zamknęła teczkę i w końcu skinęła głową.

– W porządku.

45

LARISSA

Dzień trzeci, 10.06

Larissa nie mogła oderwać wzroku od wybrzuszonej plandeki malarskiej leżącej na podłodze przed zamrażarką. Instruktor powiedział coś o „ostatniej”. Larissa wiedziała, że miał na myśli jakąś inną dziewczynę. Już to kiedyś robił. Był zbyt dobrze przygotowany, działał zbyt systematycznie, to nie mógł być pierwszy raz.

Trochę za mocno ścisnęła odłamek szkła, zacięła się już dwa razy. Nic poważnego, ale poleciało trochę krwi. Wytarła rękę w dzinsy i przycisnęła dłoń do nogi, aż rana się zasklepiła i ustało krwawienie. Potem znów wzięła odłamek, powtarzając sobie, że nie może ścisnąć. Jednak z każdą kolejną sekundą zaciskała dłoń coraz mocniej, palce wbijały się w ostrą jak brzytwa krawędź szkła, aż w końcu znowu poczuła ciepłą krew. Tym razem nie próbowała tamować krwawienia. Skoncentrowała się na bólu. Ból pobudził jej zmysły, wzmógł czujność, pomagał się skupić na obserwacji otoczenia.

Sprawdziła każdy centymetr klatki.

Metalowa krata była przytwierdzona do betonowej posadzki, pod sufitem nie było miejsca, żeby się prześlizgnąć, szpara miała najwyżej pięć centymetrów. Obie kłódki na drzwiach wyglądały na solidne, opatrzone napisem „MASTER”. Były okrągłe, zaprojektowano je tak, by nie dało się ich przeciąć, zresztą i tak nie dysponowała przecież narzędziami do cięcia metalu. Gdyby miała wsuwkę albo spinacz do papieru, mogłaby spróbować je otworzyć, ale to tylko gdybanie.

Nigdzie nie mogła znaleźć telefonu. Na pewno go zniszczył. Nawet ona wiedziała, że policja mogłaby ją namierzyć po sygnale iPhone'a.

Z piętra dobiegł głośny krzyk.

Krzyk męczyzny.

Larissa prawie wypuściła z ręki śliski odłamek szkła.

Brzmiało to tak, jakby instruktor bardzo cierpiał.

Ryki trwały około minuty, po czym zamarły, przeszły od wrzasku do stłumionego szlochu, a potem zapadła całkowita cisza.

Czy ktoś przybył ją uratować?

Czy ktoś zrobił mu krzywdę?

Larissa zamknęła oczy i wyteżyła słuch, starała się dosłyszeć, co się dzieje na górze.

W domu panowała jednak cisza, jeśli nie liczyć tykania bojlera i sporadycznego trzeszczenia konstrukcji budynku.

– Pomocy! Tu na dole!

Jej głos brzmiał słabo w zderzeniu z nową ścianą ciszy.

Usłyszała odgłos naciskania klamki w drzwiach u szczytu schodów. Najpierw grzechotanie, potem drzwi otworzyły się z głośnym piskiem zawiasów.

Światło z góry spłynęło po schodach, jasne palce sięgające do ich podnóża, odepchnięte przez piwniczne cienie.

Larissa złapała odłamek szkła, poczuła, jak krew spływa jej po dłoni i kapie na ziemię pod stopami.

Kroki na schodach.

Naprężyła się.

Kiedy zobaczyła instruktora, kiedy wyłonił się zza rogu i odnalazł ją tymi szarymi oczami, zmusiła się, żeby nie odwracać wzroku. Patrzyła na niego, zaciskając mocno szczękę. Palcami przesunęła odłamek bliżej nasady dłoni, żeby go ukryć. Przycisnęła rękę do spodni, żeby nie zauważył krwi. Dorwie go od razu, gdy tylko otworzy drzwi. Rzuci się na niego, wbije szkło głęboko w szyję i dla pewności jeszcze mocno przekręci.

Niósł coś na rękach. Kiedy podszedł bliżej, zorientowała się, że to równo złożone ubrania. Położył je na posadzce, blisko drzwiczek klatki.

– Mam córkę w twoim wieku. To jej ubrania.

Larissa spojrzała na schludną kupkę. Czarne legginsy, skarpetki, bielizna i czerwony sweter. Sweter był stary, znoszony, wyblakły.

– Podobają ci się?

Nie odpowiedziała.

– Włożysz to po wszystkim.

– Ma pan córkę?

Twarz instruktora była pozbawiona wyrazu.

– Powiem jej, że ci się podobają. Miło jej będzie to usłyszeć.

– Gdzie ona jest? Wie, że tu jestem? – Larissa cofnęła się o krok. – Ratunku! Twojego ojca pojebało! Pomocy!

Spuścił wzrok i spojrzał na miejsce, gdzie wcześniej zostawił mleko.

– Ona tutaj nie schodzi. Nie przepada za piwnicą.

Kątem oka Larissa ciągle widziała plandekę. Odwróciła się. Nie mogła patrzeć. Musiała być silna.

Gapił się w miejsce, gdzie postawił szklanekę, a potem zauważył kałużę mleka bliżej tyłu klatki, częściowo wytartą narzutą.

– Mniej więcej co druga dziewczyna rozbija szklanekę i próbuje mnie zranić. Pozostałe nie. Mówił mi, że będziesz waleczna. To dobrze. Taka siła to coś dobrego.

Instruktor dotknął kupki ubrań czubkiem buta.

– Ubierzesz się w nie po wszystkim. Będziesz wtedy ładna. Będziesz się czuła ładna. To jej ulubiony sweter. Z przodu jest wyszyty kucyk, widzisz?

Rozłożył sweter i podniósł go, żeby jej pokazać.

– Kiedy będzie po czym? – Pytanie wyrwało się Larissie, nawet nie wiedziała, że się odezwie, i od razu zapragnęła cofnąć te słowa. Nie chciała znać odpowiedzi.

Instruktor nadal trzymał sweter wysoko, zignorował jej pytanie. Spojrzał na kucyka, uśmiechnął się, po czym ostrożnie poskładał ubranie i odłożył je na kupkę.

– Musisz się rozebrać.

Larissa powoli pokręciła głową, mocniej chwytając ostry kawałek szkła. Cofnęła się w głąb klatki.

– Nie. Nie ma mowy.

Mężczyzna miał lekko rozchylone usta, jakby oddychał przez nie zamiast przez nos. Wysunął język, oblizał popękane wargi i schował go z powrotem. Z tylnej kieszeni wyjął paralizator, podniósł go i nacisnął włącznik. Między biegunami przebiegło wyładowanie elektryczne.

– Odłóżysz ten odłamek szkła na podłogę, a potem się rozbierzesz, żebyśmy mogli zacząć. A potem zobaczysz. Kiedy zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Larissa prawie się poślizgnęła na resztkach rozlanego mleka. Rana we wnętrzu dłoni pogłębiała się, w miarę jak dziewczyna mocniej zaciskała pięść. Krew kapiała na podłogę.

Instruktor wytrzeszczył oczy.

– Nie rób sobie krzywdy! Rzuć to szkło! – Wyciągnął z kieszeni klucze i zaczął gmerać przy kłódkach.

Larissa przytknęła sobie szkło do szyi, docisnęła do skóry.

– Stój, bo się potnę. Poderżnę sobie gardło. Zrobię to, Bóg mi świadkiem. – Starła się sprawiać wrażenie spokojnej, opanowanej, nadać głosowi władczy ton, ale kiedy polecenia padły z jej ust, brzmiały piskliwie, zdławione tłumionymi łzami.

Wycofała się jeszcze głębiej, poślizgnęła na narzucie i przewróciła na tylną ścianę. Próbowwała się podeprzeć wolną ręką, ale wylądowała w resztkach rozbitej szklanki, ostre okruchy pocięły jej dłoń w kilkunastu miejscach.

Instruktor zdjął już pierwszą kłódkę, a teraz otwierał drugą.

Oddech uwiązał jej w gardle. Brakowało jej powietrza. Nie mogła oderwać wzroku od tego mężczyzny, tego potwora, który właśnie otworzył drugą kłódkę.

Wyciągnął ją z drzwi i odrzucił na bok, po czym wszedł do klatki i ruszył w jej stronę. Nadepnął na rękę, w której trzymała odłamek, przygwoździł ją do betonu, jednocześnie schylając się z paralizatorem.

Drugą ręką Larissa zgarnęła z posadzki garść okruchów szkła, małych kryształków, bez chwili namysłu wepchnęła je do ust, tak dużo, ile tylko się dało, i połknęła. Pięć, dziesięć, dwadzieścia, sama nie wiedziała ile. Myślała, że poczuje ból, kiedy będą przechodzić przez gardło, ale wcale nie, to było jak połknięcie tabletki czy kostki lodu.

Instruktor wyrwał jej z ręki największy kawałek szkła. Wyrzucił potencjalną broń przez drzwi klatki, odłamek uderzył o betonowe podłoże i rozprysnął się na mniejsze fragmenty. Zanim jednak zdążył oderwać jej drugą dłoń od ust, było już za późno. Połknęła. Rzucił dziewczyną o posadzkę, cisnął nią niczym starą szmacianą lalką, a z gardła wydobył mu się krzyk, wrzask głośniejszy niż cokolwiek, co ona mogłaby z siebie wydać. Ryczał przez prawie minutę, aż w końcu wycofał się z klatki i zamknął kłódki.

– Coś ty zrobiła? – warknął.

Larissa poczuła leciutki ból w brzuchu, nie mocniejszy niż ukłucie szpilką.

46

NASH

Dzień trzeci, 10.07

– Czemu oni ciągle tu są, do jasnej cholery?

Nash zwolnił i zaparkował chevroleta jakieś dwie przecznice od domu Daviesów. Naprzeciwko domu stały dwa wozy transmisyjne. Jeden miał rozłożoną antenę na dachu. Ani śladu reporterów czy kamerzystów. Najprawdopodobniej siedzieli w wozach, chroniąc się przed zimnem.

– Musimy podjechać bliżej – powiedział z siedzenia pasażera Kloz z twarzą wlepioną w ekran komputera. – Sygnał ich wi-fi tutaj nie sięga.

Nash nie był przekonany, czy ma to większe znaczenie. Kiedy Klozowski włamał się do wi-fi Reynoldsów, okazało się, że historia routera została wymazana. Po wysłaniu nekrologów sprawca zatarł wszystkie ślady.

– Chuj z tym. – Nash wyjechał z powrotem na jezdnię, minął wozy telewizyjne i zaparkował tuż przed pierwszym z nich.

Kloz zachichotał.

– Co się cieszysz?

– Nazwali swoją sieć bezprzewodową „Wóz patrolowy FBI”. Gdyby ktoś próbował się podłączyć do cudzego wi-fi, pomyślałby, że gdzieś w okolicy czai się patrol FBI.

– Dziennikarzy to nie odstraszyło.

– Większość ludzi używa nazwiska albo adresu, chociaż to niezbyt rozsądne. Po co informować podejrzanych typów, do którego domu należy sieć? To jakby zapisać swój adres na breloczku z kluczami – powiedział Kloz.

Nash obrzucił wzrokiem wóz stojący za nimi. Tylne drzwi otworzyły się, gdy tylko zaparkowali.

– Mamy jakieś trzydzieści sekund, zanim rekiny się na nas rzucą.

– W takim razie mamy problem.

– Dlaczego?

– Mam już markę i model ich routera, ale wygląda na to, że kiedy zmienili nazwę sieci, przy okazji zmienili też hasło. Przypuszczam atak brute force, żeby złamać zabezpieczenia – wyjaśnił Kloz.

– Ile ci to zajmie?

– Minutę, może dwie.

Kamerzysta wysiadł z samochodu i naciągnął kaptur kurtki na głowę, żeby osłonić się przed śniegiem. Wyjął kamerę i oparł sobie na ramieniu.

Nash zerknął w stronę domu.

Wszystkie zasłony były zaciągnięte. Możliwe, że ktoś był w środku, ale on nikogo nie widział. Z wozu telewizyjnego wysiadła jakaś kobieta w cienkim trenczu, który podkreślał jej sylwetkę, ale raczej kiepsko chronił przed zimnem.

Lizeth Loudon z Channel 7.

Powiedziała coś do kamerzysty i popatrzyła w kierunku samochodu Nasha, w jednej ręce trzymając mikrofon, drugą poprawiając włosy.

Ktoś wysiadł też z drugiego wozu, mężczyzna w garniturze. Nash go nie kojarzył. On też skierował kroki w ich stronę. Za chwilę wyskoczył kamerzysta i ruszył za nim.

– Szlag.

Kloz nie odrywał wzroku od ekranu komputera.

Pukanie do okna.

Lizeth Loudon.

Powszechnie zrozumiałym gestem dała mu do zrozumienia, żeby opuścił szybę. Nash jej pomachał.

– Radziłbym ci skończyć w tej chwili.

– Już prawie mam.

Drugi reporter minął Loudon, warknął polecenie swojemu kamerzyście i wskazał miejsce przed maską samochodu Nasha, na środku ich drogi. Operator rozłożył stojak i zaczął iść w tamtą stronę.

– Ani mi się waż – powiedział Nash. Wrzucił bieg i szarpnął do przodu. Kamerzysta odskoczył, zderzak prawie zahaczył o stojak.

– Udało się – powiedział Kloz. – Uważaj, nie wyjedź poza zasięg.

Nash cofnął i zatrzymał się o centymetry od wozu za nimi. Kiedy kamerzysta znów ruszył w ich stronę, on wrzucił jedynkę i pojechał do przodu. Tym razem uderzył w stojak, a kamerzysta poślizgnął się na lodzie i upadł w zaspę razem z kamerą.

Znowu pukanie do okna.

Loudon coś do nich krzyczała.

Nash uśmiechnął się i pomachał. Zapaliła się czerwona lampka na kamerze za jej plecami.

– Teraz już naprawdę radziłbym ci kończyć – wycodził przez wyszczerzone zęby.

– Mam – powiedział Kloz. – Jazda!

Nash wcisnął gaz do dechy. Chevrolet zatańczył na lodzie, tylne koła kręciły się szaleńczo, starając się uzyskać przyczepność. Śnieg prysnął na wszystkie strony, zasypał reporterów i cały ich sprzęt. Samochód wypruł do przodu, pozostawiając za sobą chmurę białego dymu.

47

PORTER

Dzień trzeci, 10.36

Sarah Werner zaparkowała swoje bmw na bocznym parkingu. Porter ruszył za nią do małego wejścia na uboczu, około sześćdziesięciu metrów od kolejki czekającej pod głównymi drzwiami dla odwiedzających. Dwóch strażników przeszukało jej cienką skórzaną teczkę, sprawdzili ich oboje ręcznym wykrywaczem metalu i pobieżnie obszukali. Porter musiał okazać prawo jazdy, a potem oddać pasek do spodni i sznurowadła. Prawo jazdy mu zwrócono, pozostałe przedmioty schowano w szafce na stanowisku kontroli bezpieczeństwa. Porter dostał kluczyk z numerkiem. Werner nie miała paska, a przed wyjściem z kancelarii zmieniła szpilki na buty na płaskim obcasie. Zrobiono im zdjęcia i wydrukowano je na dużych czerwonych naklejkach identyfikacyjnych opatrzonych słowem „ODWIEDZAJĄCY”.

Po drugiej stronie czekała już na nich strażniczka wezwana automatycznie, kiedy Werner powiedziała, że przyszli na widzenie z NN numer 2138. Skinęła im głową.

– Tędy, proszę.

Rozległ się brzęczyk otwierający ciężkie metalowe drzwi i wkroczyli w zaduch, który Porter pamiętał z wcześniejszej wizyty.

Ściany w tej części więzienia wyglądały wręcz wesoło w porównaniu z gabinetem naczelnika – bladobłękitne z beżowym obrzeżeniem i sufitem

w odcieniu bieli. Każdy ich krok śledziły kamery umieszczone we wszystkich kątach – puste, wszystkowidzące oczy obracające się powoli na podstawach. Strażniczka przeprowadziła ich przez troje kolejnych drzwi, zanim dotarli do dużego pokoju zastawionego stołami. Większość stołów była zajęta, po jednej stronie siedzieli osadzeni, po drugiej – odwiedzający. Panował ogłuszający hałas, głosy odbijały się echem od betonowych ścian. Wzdłuż zachodniej ściany znajdowały się sale widzeń indywidualnych. Strażniczka podała Werner kopertę, otworzyła drzwi do drugiej sali z kolei i wpuściła ich do środka. Drzwi zamknęły się za nimi z kliknięciem.

Werner rzuciła teczkę na aluminiowy stół i usiadła na jednym z czterech krzeseł przykręconych do podłogi. Otworzyła kopertę i przebiegła wzrokiem tekst umieszczony na pojedynczej kartce.

– Jasny gwint.

– Co się stało?

– Pani NN wdała się wczoraj wieczorem w ostrą wymianę zdań. Współwięźniarka próbowała ją dźgnąć ostrym końcem nieco zmodyfikowanej szczoteczki do zębów. Zanim strażnicy zdołali je rozdzielić, NN wyrwała tamtej szczoteczki i trzy razy ją dźgnęła: raz w szyję i dwa razy w udo. Potem rzuciła szczoteczki i cofnęła się z rękami w górę. Nie trafiła w żadną ważniejszą tętnicę, ale i tak wysłała tamtą do izby chorych. Kobieta utrzymuje, że nasza NN zaczęła, ale dwoje świadków twierdzi, że to ona zaatakowała, a NN się broniła. W zależności od wyniku śledztwa mogą postawić jej dodatkowe zarzuty. – Odłożyła kartkę na swoją teczkę i zaklęła. – Nie ma to jak usiłowanie zabójstwa na dobry początek dnia.

– Domyślam się, że NN nadal nic nie mówi?

Werner gestem głowy wskazała drzwi.

– Przekonamy się za chwilę.

Rozległ się głośny brzęczyk i drzwi otworzyły się z rozmachem. Do sali weszło dwoje strażników, jeden z przodu, jeden z tyłu, a między nimi NN numer 2138.

Nogi miała skute kajdanami, które połączono łańcuchem z podobnymi obręczami na przegubach. Przez to musiała garbić się niezgrabnie, długie brązowe włosy zasłaniały jej twarz i opadały na czerwony kombinezon. Strażnicy podprowadzili ją do jednego z krzeseł i przykuli do metalowego pierścienia na stole. Podniosła ręce, żeby odgarnąć sobie włosy z oczu. Porterowi mignął tatuaż w kształcie ósemki na nadgarstku, ale po chwili zniknął z powrotem w rękawie.

– Dzień dobry – przywitała się Werner. – Przyprowadziłam dziś znajomego. To detektyw Sam Porter z policji w Chicago.

Porter patrzył, jak kobieta podnosi wzrok i kieruje go na niego. Walczył z chęcią odwrócenia oczu. Przechyliła lekko głowę i oparła się na krzesło, splatając palce dłoni. Ani uśmiechu, ani ponurego grymasu, tylko ciemne, przeszywające spojrzenie. Porter usiadł obok Werner, naprzeciwko więźniarki. Sięgnął do kieszeni, wyjął zdjęcie i położył je na stole.

Zerknęła przelotnie na fotografię, ale zaraz wróciła wzrokiem do niego.

Porter odwrócił zdjęcie na drugą stronę.

– Serdeczne pozdrowienia od syna.

Jeśli nawet spojrziała ponownie w dół, Porter tego nie zauważył. Nie odrywała od niego oczu. Złączyła czubki palców wskazujących i oparła się na nich, przycisnęła do ust o pełnych wargach.

Zsunął jej się rękaw. Porter wskazał na tatuaż.

– Może powie mi pani coś o Franklinie Kirbym? On też miał taki tatuaż?

Na dźwięk tego nazwiska kącik jej ust uniósł się w nieznacznym uśmiechu. Zmyła go jednak z twarzy ponownym przechyleniem głowy.

Werner westchnęła z frustracją.

– Chce mi pani powiedzieć, co się wydarzyło wczoraj wieczorem? Nie ma pani szans się stąd wydostać, jeśli będzie wszczynąła bójki z innymi osadzonymi. Wystarczą nieprzychylnie zeznania świadków i do zarzutów dojdzie usiłowanie zabójstwa. Kieszonkostwo to jedno, ale haratanie współwięźniarek może się skończyć dłuższą odsiadką.

NN nie odrywała oczu od Portera.

– Może sobie pani milczeć do woli – ciągnęła Werner – wszystko mi jedno, czy pani ze mną rozmawia, czy nie, ale proszę pamiętać, że wcale sobie tym pani nie pomaga, pograża się pani tylko coraz bardziej. Mamy niecały tydzień na opracowanie strategii obrony, a przynajmniej znalezienie jakichś luk, żeby złagodzić zarzuty, a ja nie mogę niczego zrobić bez współpracy z pani strony.

Choć kobieta się nie odzywała, Porter widział inteligencję na jej twarzy, jakiś błysk w kącikach oczu. Oddychała powoli, spokojnie. Serce niewątpliwie biło jej miarowo, nie miała przyśpieszonego tętna. Zero lęku, zero stresu – nie pozwalała sobie na takie emocje. Kajdany, zamki w ciężkich drzwiach, całe to miejsce to dla niej tylko nic nieznacząca iluzja, co najwyżej drobna przeszkoda.

Porter pomyślał o Emory Connors i wszystkich, którzy zginęli z ręki Bishopa. Pomyślał o małym chłopcu wychowanym przez taką kobietę, przez taką kobietę ukształtowanym.

Wezbrała w nim fala gniewu. Nachylił się przez stół.

– Calli Tremell, dwadzieścia lat. Elle Borton, dwadzieścia trzy lata. Missy Lumax, osiemnaście. Susan Devoro, dwadzieścia sześć. – Odliczał je na palcach, jedną po drugiej, powoli, z rozmysłem. – Allison Crammer, dziewiętnaście lat. Jodi Blumington, dwadzieścia dwa. Gunther Herbert, Arthur Talbot, Harnell Campbell. Wszyscy nie żyją. Usiłowanie zabójstwa Emory Connors. Wszystko przez pani syna, pani dziecko. Kto jeszcze? Jak wielu innych?

Porter celowo nie wymienił Barbary McInley, uważnie przyglądał się wyrazowi twarzy kobiety, kiedy pomijał to nazwisko. Nic jednak nie zdradziła. Równie dobrze mógłby recytować listę zakupów spożywczych.

NN numer 2138, matka Bishopa, niegodziwa kobieta, opadła na oparcie krzesła, zabębniła palcami po blacie stołu, po czym znowu splotła ręce.

Porter miał ochotę ją udusić.

Wstał, wyjął pamiętnik Bishopa z kieszeni i rzucił go na stół, tuż przy jej dłoniach.

– Świetnie wiem, kim jesteś – powiedział. – Świetnie wiem, czym jesteś.

Przemierzył małą salkę i dwukrotnie walnął w drzwi, czując na karku jej palące spojrzenie.

48

NASH

Dzień trzeci, 10.40

Nash wcisnął „zakończ połączenie” i wrzucił telefon do kieszeni.

– U Sama od razu włącza się poczta, nie ma nawet sygnału.

Kłozowski nie podniósł głowy. Nie odrywał wzroku od głównego monitora, dwudziestosiedmiocalowego ekranu otoczonego czterema dwudziestodwucalowymi.

Nash miał wrażenie, że opali się od samego stania w tym pomieszczeniu. Kłoz co prawda miał laptop, ale uparł się, że przy swoim biurku na komendzie szybciej będzie mógł przeanalizować dane.

– Sam mówiłeś, że nie powinniśmy do niego dzwonić – powiedział roztargnionym głosem, przewijając tekst. – Jak sobie pościelił i tak dalej.

Nash znów wyjął telefon i wybrał numer domowy Portera.

– Takie milczenie nie jest w jego stylu. – Cztery sygnały, potem automatyczna sekretarka. Rozłączył się. – Może powinniśmy do niego podjechać.

– Chyba coś mam – powiedział Kłoz, wpatrując się w monitor.

Nash nachylił się nad nim, ostrożnie omijając gadżety z Batmanem i papierki po batonikach porozrzucone na biurku Kłozowskiego. Na ekranie widniały ciągi liter i cyfr połączonych w pary i rozdzielonych dwukropkami.

– Co to jest?

– Widzisz to tutaj? – Kloz wskazał serię dat. – Zobacz, dane zaczynają się dziewiątego lutego.

– No tak.

– Otóż powinny obejmować znacznie dłuższy okres. Miesiące, może nawet lata. Dane zapisują się w tym pliku, dopóki nie zabraknie miejsca, wtedy stare dane są zastępowane nowymi. Sęk w tym, że miejsca nigdy nie zabraknie.

– Czyli skoro zaczynają się dziewiątego lutego, to znaczy, że sprawca wymazał plik, tak jak u Reynoldsów, zgadza się? Więc nic nie mamy?

Kloz wskazał na ekran długopisem.

– Coś mamy. Widzisz pierwszą linijkę?

Pokazał mu pierwszy wiersz:

```
02-09-2015 21:18:24 a8:66:7f:04:0c:63
```

– Na początku jest data, potem godzina, a na końcu adres MAC. Przeczesalem cały plik, ten adres pojawia się tylko raz: właśnie tutaj, w pierwszej linijce – wyjaśnił Kloz.

– Co to znaczy?

– Myślę, że sprawca wymazał dane z routera i się rozłączył, ale w nowym rejestrze zdążyła się zapisać jego obecność, jedna sekunda. Sprawdziłem wszystkie pozostałe adresy MAC zarejestrowane w ciągu tamtych czterdziestu ośmiu godzin. Wszystkie należą do urządzeń w domu, oprócz tego jednego.

– Możesz go namierzyć?

Kloz pokręcił głową.

– Nie do końca. Ten adres to unikalny identyfikator komputera. MAC jest wbudowany w sprzęt, więc nikt nie może go zmienić, ale nie da się go wytropić przez sieci, żeby znaleźć bieżącą lokalizację. Nie tak jak z adresem IP.

Nash westchnął ciężko.

– No to co nam to daje?

– Mimo wszystko jest to coś w rodzaju odcisku palca – powiedział Kloz. – Sprawdziłem ten adres w danych, które uzyskaliśmy ze Starbucks, i znalazłem go w rejestrze. Sprawca w sumie na trzydzieści trzy minuty zalogował się do ich

sieci z tego samego komputera. – Kloz opadł na oparcie fotela. – W Chicago działa niezły system publicznego wi-fi. Mamy nadajniki w parkach, bibliotekach, na dworcach... wszędzie. Dwunastego lutego rano ten sam adres MAC zalogował się do publicznej sieci w Jackson Park na prawie półtorej godziny.

– Kiedy ukrywał Ellę Reynolds pod lodem.

Klozowski przytaknął.

– Aktywność komputera wygląda na bierną, powtarza się w regularnych odstępach. To oznacza, że sprawca pewnie miał laptopa w furgonetce, którą widzieliśmy na nagraniu, ale wcale go nie używał. To, co znalazłem, to najprawdopodobniej zautomatyzowane zadania, takie jak pobieranie poczty, działania w tle. Jedno zdarzenie na minutę. Gdyby faktycznie sprawdzał coś w sieci, pojawiłoby się więcej nieregularnych zdarzeń.

– Po co miałyby się podłączać do wi-fi i z niego nie korzystać?

– Myślę, że tym razem nie połączył się celowo – stwierdził Kloz. – Najpewniej kiedyś zalogował laptopa do publicznej sieci i nie skasował połączenia. Został w systemie, więc komputer automatycznie połączył się z siecią, kiedy znalazł się w jej zasięgu, tak jak mój w Starbucksie. Oszczędność czasu. W jego przypadku za każdym razem, kiedy znajduje się w zasięgu miejskiego wi-fi.

– Wracając do mojego pytania: możesz go namierzyć?

– Wracamy do mojej wcześniejszej odpowiedzi. Adres IP jest trochę jak telefon stacjonarny. Numer jest zawsze taki sam i zawsze włączony, więc można go przyporządkować do niezmiennej fizycznej lokalizacji. Adres MAC jest przypisany do urządzenia, w tym przypadku do laptopa. Laptopa można włączać i wyłączać, logować się do miliona sieci. Może przeskakiwać z jednej do drugiej albo zniknąć z radaru na nieokreślony czas. To oznacza, że nie możemy go śledzić, ale możemy go wypatrywać.

– Jak?

– Kiedy władze miejskie uruchomiły system darmowego wi-fi, wbudowały w niego tylne wejście dla organów ścigania. Mogę napisać bota i wpuścić go do

sieci. Jeśli laptop sprawcy połączy się z publiczną siecią, dostaniemy powiadomienie. Wtedy będziemy mogli zawęzić jego lokalizację do konkretnego węzła, do którego jest zalogowany. To będzie jednak znacznie większy teren, niż udałoby się uzyskać na podstawie adresu IP, każda wieża ma zasięg około czterystu metrów.

- Pół kilometra w mieście to równie dobrze mogłyby być różne kraje.

- Dowiemy się, w którym rejonie miasta się znajduje. To zawsze coś. Może nam się poszczęści i skoreluje nam to z jakąś inną informacją.

49

PORTER

Dzień trzeci, 10.42

Sarah Werner wyszła za Porterem na korytarz. Strażnik zamknął za nimi drzwi do sali widzeń, w której została NN.

Werner spojrzała na Portera.

– Co to było, co pan jej dał?

– Pamiętnik, który Bishop zostawił nam na miejscu zbrodni kilka miesięcy temu. Szczegółowo opisuje w nim pewne wydarzenia ze swojego dzieciństwa. Jeśli to rzeczywiście jego matka, powinna je rozpoznać.

Prawniczka się zachnęła.

– Mówi pan „rozpoznać” i „wydarzenia”, ale ja słyszę „oskarżyć” i „zbrodnie”. Obiecał pan, że jeśli pozwolę się panu z nią spotkać, nie zrobi pan nic, co mogłoby skutkować dodatkowymi zarzutami.

– Informacje zawarte w tym pamiętniku są co najwyżej poszlakowe.

– Jak w ogóle pan to przemycił?

– Z tyłu pod koszulką.

Werner zmrużyła oczy.

– Tak na przyszłość, jako jej prawniczka sama mogłam jej to przekazać. Nie ma potrzeby uprawiać kontrabandy...

– Dobrze wiedzieć, nie lubię, jak mnie coś uwiera.

– ...a jako jej prawniczka byłabym również wdzięczna, gdyby mnie pan uprzedził, zanim postanowi się z nią czymś podzielić.

– Zapamiętam. Jak długo ona tam zostanie?

– Do ciszy nocnej, jeśli o to poproszę – powiedziała Werner. – A czemu?

– Możemy ją obserwować?

Prawniczka spojrzała mu w oczy. Porter wiedział, że jest na niego zła. Miała do tego pełne prawo. Nie spodziewał się jednak, że będzie się aż tak złościć. Chodziło o ustalenie hierarchii, pokazanie mu, gdzie jego miejsce.

Porter zaprezentował twarz pokerzysty.

Cmoknęła z irytacją, przemyślała sprawę, po czym pokręciła głową i zwróciła się ku drzwiom po lewej.

– Chodźmy.

Pokój obserwacyjny był niewiele większy od wąskiego korytarzyka. Sądząc po drzwiach, podobne pomieszczenia były umieszczone obok każdej sali widzeń. Na ścianie po lewej zamontowano duże lustro weneckie zapewniające wgląd do sąsiedniej sali. Znajdowało się tu także niewielkie biurko z monitorem komputerowym. Na ekranie widać było zbliżenie NN siedzącej przy stole z perspektywy kamery umieszczonej w kącie sali.

Przy biurku stało jedno krzesło. Porter zaoferował miejsce Werner, ale ta odmówiła, mówiąc, że woli stać.

NN nie ruszyła się z miejsca. Siedziała przodem do nich, notatnik leżał przed nią na stole, palcami bębniła w okładkę. Wbijając wzrok w nieprzepuszczalną stronę lustra, jednak Porter nie mógł się oprzeć wrażeniu, że więźniarka ich widzi.

Minęło pięć minut. Porter był już gotowy do niej wrócić, ale wtedy kobieta westchnęła, otworzyła okładkę jednym palcem i zaczęła czytać. Detektyw się odprężył i oparł o biurko. Werner stała obok, poklepując się kopertą o udo.

– Brała udział w innych bójkach?

Przestała odbijać kopertę, podeszła do biurka i przysiadła na rogu.

– To okropne więzienie, jedno z najgorszych, jakie widziałam. Mają strasznie dużą rotację personelu, tylko w zeszłym roku wymieniła się ponad połowa, więc jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć tego samego strażnika dwa razy. Drzwi się praktycznie nie zamykają, pracownicy przychodzą i odchodzą. Większość osadzonych zna tę placówkę lepiej niż strażnicy. Wielu z tutejszych więźniów ma dożycie i nic do stracenia, a przy tym szukają każdej okazji do awantury.

– Takiej jak nowa, która nie chce nic mówić?

– Jak nowa, która nie zamierza przestrzegać obowiązujących zasad. Na spacerunku trzyma się na uboczu. Kiedy ktoś próbuje z nią porozmawiać, odchodzi. Kto wysyła takie sygnały w silnie zhierarchizowanej społeczności, musi się spodziewać, że kogoś wkurzy. – Podniosła kopertę. – Ta awantura oznacza, że zaczynają na nią polować. Obawiam się, że inne osadzone poczną krew i zmówią się przeciwko niej. Z nudów gotowe są zrobić wszystko.

– Może pani wysłać ją do izolatki?

– Pewnie, jeśli jest miejsce – burknęła. – Poziom przemocy bije rekordy, więźniowie postrzegają te miejsca jako jedyne schronienie. Jest tak źle, że federalni rozważają przejęcie zarządzania więzieniem od władz Nowego Orleanu i biura szeryfa. Nie wiadomo, czy to by w ogóle pomogło. W zeszłym miesiącu ukazał się raport: w ciągu ostatniego roku doszło do ponad dwustu przestępstw dokonanych na współwięźniach, czterdziestu czterech przypadków nadużycia siły przez personel, trzech zgłoszonych napaści seksualnych, a kto wie, ilu nie zgłoszono. Mieli tu szesnaście prób samobójczych, dwadzieścioro dziewięcioro więźniów przewiezionych do szpitala z obrażeniami zbyt poważnymi, żeby można się było nimi zająć w izbie chorych. A teraz będzie najlepsze: kiedy federalni opublikowali te dane, stwierdzili, że liczby są poważnie zaniżone.

– Jak to możliwe?

– W izbie chorych prowadzą rejestr, spisywany odręcznie. Dostęp do niego ma tylko naczelnik. Zarejestrowano sto pięćdziesiąt przypadków napaści od zeszłego stycznia. Sto dziewiętnaście z nich nie zostało zgłoszonych szeryfowi hrabstwa Orleans. Połamane kości, szwy... ciężkie urazy, wszystkie zamiecione

pod dywan. Teoretycznie osadzonych powinno się dzielić na podstawie systemu klasyfikacyjnego, biorącego pod uwagę czynniki ryzyka, takie jak stan zdrowia psychicznego, historia zachowań agresywnych w więzieniu i na wolności. Wydaje mi się, że strażnicy zupełnie to ignorują. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że niektórych z nich przemoc po prostu kręci. Słyszałam plotki o potajemnych zakładach i celowym umieszczaniu więźniów sprawiających problemy w jednym miejscu, żeby coś się zaczęło dziać. Wewnętrzne śledztwa to farsa, ograniczają się do wymiany okólników między personelem a kierownictwem, naczelnikiem. Do akt nie trafiają żadne konkretne sprawozdania.

Zorientowała się, że Porter się na nią gapi. Spuściła wzrok.

– Przepraszam, czasem mnie trochę ponosi. Przez lata widziałam, jak trafiało tu sporo względnie porządnym ludzi, którzy wychodzili już jako niezbyt porządni.

Porter się uśmiechnął.

– Miło widzieć, że ktoś się jeszcze czymkolwiek tak bardzo przejmuję. To nie jest odosobniony przypadek. Mamy takie same problemy w Chicago. Czasem jedyną wyraźną różnicą między więźniem a strażnikiem jest to, po której stronie krat znajdują się danego dnia.

Werner wstała i zwróciła się w stronę lustra weneckiego.

– Jeszcze nie wiem, co o niej sądzić.

NN przewróciła stronę, z głośników w pokoju obserwacyjnym rozległ się cichy brzęk łańcuchów.

– Proszę poprosić strażnika, żeby ją rozkuł – powiedział Porter. – Niech się wygodnie rozsiądzie.

50

POOLE

Dzień trzeci, 11.02

– Niech to szlag. Dostanę za to zjebkę. – Vernon Bedard opadł na drewniane krzesło za biurkiem i powoli wypuścił powietrze. – Miałem do niej zajrzeć w środę, złożyć „niezapowiedzianą” wizytę, ale nie dotarłem. Mam od cholery spraw.

Kurator Libby McInley oddzwonił godzinę wcześniej i umówił się z Poole'em oraz agentem Dienerem w holu ośrodka kuratorskiego dla osób dorosłych hrabstwa Cook mieszczącego się w centrum miasta, nieopodal komendy głównej policji.

Bedard zauważył ich od razu, kiedy tylko wysiadł z windy. Był pulchnym mężczyzną o grubych dłoniach i jeszcze grubszych okularach, ubranym w żółtą koszulę zapinaną na guziki i brązowe spodnie, na oko dwa rozmiary za małe. Zaprowadził ich do swojego gabinetu na trzecim piętrze – klatki z jednym oknem wychodzącym na parking. Sterty dokumentów zalegały biurko i szafki pod ścianą naprzeciwko drzwi.

Na biurku leżały też trzy zszywacze. Słuchając kuratora, Poole złapał się na tym, że jego wzrok ciągle do nich wędruje.

– Miałem przy niej złe przeczucia.

– Kiedy ostatnio ją pan widział? – zapytał Diener.

Bedard obrócił się na krzesło i przekopał przez jeden ze stosów akt na kredensie za biurkiem.

– Zobaczymy. – Zwrócił się ponownie do nich i otworzył teczkę McInley. Przesunął kciukiem wzdłuż rejestru przyklejonego do wewnętrznej strony okładki. – Dziewiątego stycznia. Była spokojna, przystosowana do życia na wolności – odczytał, stopniowo ścisząc głos.

– Odnoszę wrażenie, że nie jest pan przekonany. Czy to niewłaściwa ocena sytuacji? – zapytał Poole.

Bedard opadł na oparcie krzesła, zabierając akta. Palcem wskazującym trącił żółtą karteczkę przyklejoną w rogu.

– To jest tak. Wielu osadzonych ma problemy tuż po zwolnieniu z więzienia. Z doświadczenia wiem, że magiczna granica przebiega gdzieś w okolicy pięcioletniej odsiadki. Po spędzeniu ponad pięciu lat za kratkami więzienny tryb życia staje się normą, czymś naturalniejszym niż życie na wolności. Moim zdaniem to kwestia rutyny, utartych schematów: posiłki codziennie o tej samej porze, spacer o tej samej porze, cisza nocna, pobudka. Każdego dnia, w którym to nie oni muszą decydować, stają się coraz bardziej zależni od takiej organizacji czasu, stopniowo tracą wolną wolę, chęć działania, poczucie sprawczości. W więzieniu to zaleta, bo z czasem łatwiej ich kontrolować, ale jednocześnie oduczają się samodzielności. Po wyjściu często przytłacza ich konieczność dokonywania wyborów. Codzienne decyzje, które nam wydają się czymś zupełnie naturalnym, jak na przykład gdzie, kiedy i co zjeść na obiad, dla nich stanowią potężne problemy nie do rozwiązania.

Poole nachylił się do niego i przestudiował zapiski w aktach Libby McInley.

– Czyli nie była „spokojna, przystosowana do życia na wolności”?

Bedard popatrzył na nich przez dłuższą chwilę.

– Ani trochę. Była kompletnie rozbita.

– To po co pisać coś takiego?

– Moim zadaniem jest pomóc tym ludziom na nowo poukładać sobie życie po odsiadce. Prowadzić ich za rączkę, nauczyć od nowa się sobą zajmować,

a jednocześnie unikać pokus i nie pakować się w tarapaty, przez które kiedyś wylądowali w więzieniu. To nie jest łatwe ani dla mnie, ani dla nich. – Położył dłoń na teczce. – Dostęp do moich akt mają prawie wszyscy w całym systemie, nie tylko moi przełożeni. Niektórzy pracodawcy, głównie z sektora publicznego, edukatorzy z programów zatrudnienia dla więźniów, zarządcy państwowych budynków mieszkalnych... przedstawiciele organów ścigania. – Obrzucił ich wymownym spojrzeniem. – Jeśli napiszę w aktach coś negatywnego, to mogę narobić takiej osobie kłopotów, które będą się za nią ciągnęły latami. Napiszę, że Libby McInley ma problem z przystosowaniem się do życia na wolności, i zanim się obejrzymy, odmówią jej kursów doszkalających, bo ktoś inny będzie się lepiej nadawał. Potencjalni pracodawcy ją odrzucą. Kilka takich przypadków i już zupełnie nie będzie mogła funkcjonować w normalnym świecie.

– To właśnie oznacza żółta karteczka? – zapytał Poole. – Wewnętrzny kod, żeby wiedział pan, jaki jest prawdziwy obraz sytuacji, niezależnie od oficjalnych notatek?

Bedard skinął głową.

– Zielona oznacza, że wszystko w porządku, czerwona mówi o problemie. Niebieska jest dla tych, którzy przystosowują się powoli.

– U niej jest żółta.

– Żółta znaczy, że chciała wrócić. Zdarza się, że zwolnieni warunkowo popełniają ciężkie przestępstwo i sami zgłaszają się na najbliższy posterunek, żeby wrócić za kratki. – Bedard zerknął na zdjęcie Libby McInley. – Miałem nadzieję załatwić jej miejsce w ośrodku przejściowym. Była już na liście oczekujących. Gdyby się nie udało, namawiałbym ją, żeby znalazła sobie współlokatorów. Kontakt z ludźmi czasem pomaga.

Poole zauważył, że znów gapi się na trzy zszywacze. Skarcił się w myślach i przeniósł wzrok na kuratora.

– Zadam teraz panu pewne pytanie i chciałbym, żeby dobrze się pan zastanowił nad odpowiedzią. – Pochylił się, opierając łokieć na biurku. – Czy pana zdaniem Libby McInley chciała wrócić do więzienia, bo nie była

samodzielna i nie potrafiła sobie poradzić w życiu, czy dlatego, że czegoś się bała i w więzieniu czuła się bezpieczniej?

Bedard zmarszczył czoło.

– Chodzi panu o to, że coś jej mogło grozić? Ktoś chciał ją dopaść?

– Tak.

Bedard zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

– Trudno powiedzieć. Nie powiedziała mi nic takiego. Kiedy widziałem ją ostatni raz, wydawała się wykończona. Nalała mi szklankę wody z kranu i zauważyłem, że trzęsą jej się ręce. Oczy miała zapuchnięte i podkrążone z niewyspania. Wyglądała na wychudzoną, wyraźnie zeszczupiała, prawdopodobnie za mało jadła. Ale nic nie wskazywało, żeby czuła się zagrożona. Sądzę, że coś bym wyczuł. Często mam z tym do czynienia w pracy z członkami gangów.

– Czy zdarza się panu przeszukiwać mieszkanie podopiecznego? – zapytał agent Diener.

– Oczywiście, jeśli są ku temu poważne przesłanki.

– Czy kiedykolwiek przeszukiwał pan dom Libby McInley?

Kurator pokręcił głową.

– Siedziała za ucieczkę z miejsca wypadku. Nie za narkotyki czy broń. Nawet w więzieniu trzymała się od takich rzeczy z daleka. Podczas zwolnienia warunkowego trzeba przechodzić obowiązkowe testy na obecność narkotyków, za każdym razem miała negatywne wyniki. Nie miałem powodu robić jej rewizji. O co wam chodzi? Była w coś zamieszana?

Bedard zmienił pozycję na krześle.

Poole wiedział, co tak naprawdę znaczyło to pytanie. „Była zamieszana w coś, co powinienem był zauważyć? Jak głęboko wpadłem w kłopoty?”

– Czy mówi coś panu nazwisko Kalyn Selke?

– Nie.

Diener pochylił się bliżej.

– Na pewno?

Bedard odwrócił się w lewo, znalazł klawiaturę komputera pod plikiem kartek z notatnika i wystukał nazwisko.

– Nie kojarzę. Nie mam takiej osoby pod dozorem. W systemie też jej nie ma.

– Znaleźliśmy u Libby prawo jazdy i paszport na nazwisko Kalyn Selke, ale ze zdjęciem Libby McInley – powiedział Poole.

– Prawdziwe czy fałszywki?

– Prawdziwe.

– Niełatwo coś takiego załatwić.

– Prawdziwa Kalyn Selke zmarła w wieku siedmiu lat – ciągnął Poole. – Wpadła pod samochód na rowerku. To było dwadzieścia cztery lata temu.

– Pewnie zdobyła akt urodzenia i na jego podstawie uzyskała paszport, a potem już z dwoma dokumentami wyrobiła sobie prawo jazdy – myślał na głos Bedard. – Jeśli zrobiła to jeszcze w czasie odsiadki, to ktoś jej pomógł. Zresztą jeśli zrobiła to po wyjściu, to też ktoś musiał jej pomagać.

– Dlaczego pan tak myśli?

Bedard wzruszył ramionami.

– Zdarza się to częściej, niż moglibyście pomyśleć. Jak już mówiłem, takim ludziom trudno jest zacząć od nowa. Niektórzy dochodzą do wniosku, że łatwiej im będzie z inną tożsamością. Jakieś dziesięć lat temu w więzieniu stanowym w Ohio przyłapali faceta, który odsiadywał dożywocie i miał cały system załatwiania dokumentów. Wybierał osadzonych, którzy niedługo mieli wyjść, przekonywał ich, jak to dobrze zacząć wszystko od nowa, a potem wciskał im swoją ofertę. Klient płacił kuzynowi tego faceta przez kogoś na zewnątrz, a kuzyn załatwiał dokumenty, które czekały na więźnia po wyjściu. Nie da się tego zrobić z za krat, za dużo telefonów do wykonania, podań, listów. Trzeba mieć adres zamieszkania, żeby dostać dokumenty. Urząd nie wyśle ich do więzienia na nazwisko osadzonego.

– No tak, raczej nie.

Bedard podrapał się po szyi i obejrzał palec.

– Szacuje się, że ci z Ohio zarabiali na tym interesie prawie dwieście tysięcy rocznie. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że ktoś robił to samo w Stateville, gdzie ona siedziała. Pewnie w każdym więzieniu jest taki ktoś. Albo paru ktosiów. Wraz z rozwojem technologii taki interes robi się coraz bardziej wyspecjalizowany i bardziej dochodowy.

– W tej samej szufladzie znaleźliśmy też czterdziestkę piątkę – dodał Diener. Bedard westchnął.

– Mogła ją zdobyć od tych samych ludzi. Oferują szeroki wachlarz produktów: dokumenty, broń, plany podróży. Chyba wystarczy odpowiednio wysoka kwota i można kupić życie, jakie się chce.

– A ona miała pieniądze? – zapytał Poole.

Bedard jeszcze raz przejrzał akta.

– Oboje rodzice nie żyją. 4MK zajął się jedyną siostrą. Nie widzę żadnych odwiedzających w ciągu ostatniego roku. Wcześniejsze dane możecie uzyskać w więzieniu. Żadnych rozmów telefonicznych. Z tego, co rozumiem, podczas odsiadki trzymała się sama, z dala od kłopotów. A jak wyglądała jej sytuacja finansowa przed wyrokiem?

Diener zerknął do notatek na telefonie.

– Kredyt samochodowy na dwanaście tysięcy, czterdzieści osiem tysięcy pożyczki studenckiej, a na koncie trzydzieści dwa dolary. Opłaty bankowe stopniowo pożarły środki na koncie, aż w końcu je zamknęto.

Kurator rozłożył ręce.

– No cóż, to znaczy, że była spłukana. W więzieniu można płacić na dwa sposoby: twardą gotówką albo przysługami. Skoro nie miała pieniędzy, to zainteresowałbym się tą drugą opcją. Może zgodziła się coś dla kogoś zrobić po wyjściu na wolność w zamian za dokumenty. Może kogoś zabić, to by wyjaśniało pistolet.

– Widywał się pan z nią. Sprawiała wrażenie osoby zdolnej do takiego czynu?

– Myślę, że po paru latach w więzieniu każdy mógłby stać się taką osobą, nawet niewinna dziewczyna z przedmieścia.

Dziesięć minut później stali koło jeepa Poole'a. Śnieg nieco zelżał, teraz już tylko delikatnie prószył, ale wszędzie nadal było biało. Poole odśnieżył przednią szybę rękawem kurtki.

– Udało się coś wyciągnąć od sąsiadów?

Diener pokręcił głową.

– Mundurowi dowiedzieli się dokładnie niczego. Ja odwiedziłem po cztery domy w każdą stronę. Niezbyt przyjemne towarzystwo. Jediną osobą, która w ogóle ją kojarzyła, jest jakaś staruszka z naprzeciwka. Całymi dniami przesiaduje z nosem przyklejonym do szyby i wściubia go w nie swoje sprawy. – Zerknął na telefon. – Nazywa się Roxy Hackler. Twierdzi, że od kiedy Libby się wprowadziła, widziała ją w sumie trzy razy. W dniu przeprowadzki wysiadła z taksówki z jedną torbą. Następnego dnia Roxy zauważyła ją, jak wracała ze spożywczego obciążona siatkami. I jeszcze w zeszłym tygodniu, podobno Libby wyszła przed dom i krążyła po chodniku, rozmawiając przez telefon. Uznała, że to trochę dziwne przy tej pogodzie. Kto wychodzi na taki mróz, żeby zadzwonić?

– Mamy pomysł, z kim mogła rozmawiać?

– Nie ma żadnego telefonu zarejestrowanego na jej nazwisko. W domu też nic nie znaleźliśmy.

– Możliwe, żeby miała w domu podsłuch?

Diener kopnął kupkę poczerńiałego śniegu na krawężniku.

– Wątpię. Technicy nie znaleźli, a zdążyli już parę razy wywrócić ten dom na lewą stronę. Oczywiście nie zmienia to faktu, że mogła podejrzewać podsłuch. Nie pierwszy raz ktoś po wyjściu z więzienia byłby przekonany, że pozostaje pod obserwacją.

– Akurat w tym przypadku mogło tak być.

Diener wydał policzki i wypuścił białą chmurę, która zawisała w powietrzu.

– Bishop nigdy dotąd nie wrócił po drugiego członka rodziny. Była pierwsza. Zorientowała się, że chce ją dorwać, i próbowała uciec. On był szybszy.

– Też tak myślę – przytaknął Poole. – Jeśli ustalimy przyczynę, możemy się zbliżyć do Bishopa.

– To co dalej? Zaraz sobie jaja odmrozę.

– Wracam na komendę. Muszę skończyć przeglądanie tego pudła, które zostawił Bishop. A ty może zajmij się tymi dokumentami? Spróbuj się dowiedzieć, jak Libby je załatwiła. Musimy dojść do tego, kto jej pomagał.

– A powinniśmy pilnować rodzin pozostałych ofiar?

Poole nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

51

LARISSA

Dzień trzeci, 11.21

Larissa Biel przekręciła się na bok na zimnej betonowej posadzce, podciągnęła kolana pod brodę. Kątem oka widziała kałużę wymiocin koło głowy, upstrzoną czerwonymi plamkami. Straciła już rachubę, ile razy wymiotowała w ciągu ostatnich kilku godzin. Okropnie bolało ją gardło. Nie mogła przełykać, nie mogła mówić.

Zwróciła część połkniętego szkła. Widziała odłamki lśniąco-czerwono-żółtej mazi. Nadal jednak czuła ostry ból żołądka, więc wiedziała, że nie pozbyła się wszystkiego.

Po tym, jak połknęła szkło, instruktor złapał ją za włosy, zaciągnął do zamrażarki i wcisnął jej głowę do środka. Nie spodziewała się wody, która wypełniła jej gardło i nos, a kaszel sprawił, że wciągnęła jej jeszcze więcej.

– Pij! – wrzasnął.

Nie mogła oddychać.

Nie pozwalał jej odetchnąć.

Woda piekła ją w oczy, smakowała oceanem. Próbowwała wypluć solankę, ale on siłą zamknął jej usta i zatkał nos, dopóki nie przełknęła. Powtórzył całą operację jeszcze trzy razy, aż w końcu zaczęła wymiotować. Potem wrzucił ją z powrotem do klatki i zamknął drzwiczki.

Larissa nie czuła szkła, kiedy je przetykała, ale teraz odłamki cięły jak brzytwa, a kiedy krzyczała, bolało jeszcze dotkliwiej.

Teraz instruktor ją obserwował.

Siedział na podłodze kilka metrów dalej, poza kratami jej klatki, i wbijał w nią spojrzenie ciemnych oczu. Słyszała jego oddech, głęboki, nierówny. Prawą dłoń trzymał w lewej. Palce mu drżały.

Larissa jęknęła i przekręciła się na drugi bok. Nie mogła patrzeć na te oczy.

– Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle³ – wyszeptał instruktor za jej plecami, głosem tak cichym, że z początku nie była pewna, czy rzeczywiście go słyszy. Po kilku sekundach ciszy powtórzył te same słowa, przeciągając „sz” w „duszy” z sykiem jadowitego węża.

Ścisnęło ją w żołądku i próbowała krzyknąć, ale ból w gardle stłumił wrzask, zanim zdążył się dobyć, zmienił go w zduszone rżenie.

Larissa skoncentrowała się na szkłe.

Nie chciała go zwracać. Chciała, żeby przecięło jej żołądek i dostało się do innych narządów. Chciała, żeby szkło zakończyło sprawę. Gdyby mogła, połknęłaby więcej.

Ból oznaczał, że nadal żyła. Dopiero kiedy ból ustanie, ona znajdzie ukojenie. Ból jednak ani myślał ustąpić. Czuła w brzuchu palenie, jakby tkwiło w nim gorące ostrze noża. Larissa zacisnęła kolana i krzyknęła bezgłośnie.

Za jej plecami zadzwonił telefon.

Odległy głos na drugim końcu linii, nie na głośniku, ale słyszalny.

– Połknięcie szkła nie musi się okazać śmiertelne. Może zobaczy mimo to.

Instruktor westchnął słabo.

– Została uszkodzona, naruszona. Nie zobaczy. Nigdy nie zdoła zobaczyć.

– Musisz spróbować.

– Potrzebuję innej.

Piwnica znowu pogrzyżyła się w ciszy wraz z zakończeniem rozmowy.

Instruktor fuknął gniewnie.

Cisza.

Bezruch.

Ciemność.

– A jak postanowione ludziom raz umrzeć, a potem sąd⁴ – przemówił instruktor o kilka centymetrów od jej ucha.

Larissa podskoczyła, ból zapiekł ją w żołądku.

Mężczyzna był tuż za nią. Nie słyszała, kiedy wszedł do klatki.

Straciła przytomność?

Na jak długo?

Jego gorący oddech owiewał jej szyję. Czowała ten smród. Prawdopodobnie znowu wymiotowała, ale nic nie pamiętała. Włosy jej się lepily.

Larissa odwróciła się w jego stronę, ledwie znosząc przeszywający ból.

Klatka była pusta. W piwnicy nikogo nie było.

Sama.

Pod głową miała róg zwiniętej w kłębek zielonej narzuty.

Dom trzeszczał, ale poza tym otaczała ją grobowa cisza.

52

CLAIR

Dzień trzeci, 12.23

Clair otworzyła drzwi sklepu z artykułami akwarystycznymi Tanks A Lot na Piętnastej Ulicy i poczuła falę ciepłego, wilgotnego powietrza. Strzepała śnieg z butów i rozsunała kurtkę.

Pod ścianami wąskiego lokalu stały rzędy niebieskich akwariów, przez środek biegły zaś trzy alejki z różnymi artykułami.

Mężczyzna o długich szarych włosach podniósł wzrok zza kasy, palcem zaznaczając miejsce w czytanej książce, najnowszym tomie serii o Jacku Reacherze.

– Czym mogę służyć?

Clair odwiedziła tego ranka już trzy podobne sklepy. W żadnym niczego nie udało jej się ustalić. Podeszła do lady i pokazała sprzedawcy odznakę policyjną.

Mężczyzna odłożył książkę i zmarszczył brwi.

– Znaleźliście?

– Co znaleźliśmy?

– Czyli nie znaleźliście.

Clair zmrużyła oczy.

– Nie jestem pewna, o czym...

– Skoro nie znaleźliście, to nie powinno tu pani być. Powinna pani szukać dalej. Traciecie czas. – Parsknął z frustracją. – Mój udział własny

w ubezpieczeniu wynosi pięć tysięcy dolarów. Jest warta tylko ułamek tej kwoty, więc nie mogę się domagać odszkodowania, a nie stać mnie na zakup nowej. Musicie znaleźć tego drania, który ją ukradł, i odstawić na miejsce.

Clair podniosła rękę.

– Zacznijmy jeszcze raz. Jestem z wydziału zabójstw policji Chicago i...

– Zabójstw? A czemu detektywi z zabójstw mieliby szukać mojej cysterne?

– Ktoś ukradł panu cysterne?

– A nie dlatego tu pani przyszła?

Clair wygrzebała telefon z kieszeni i znalazła zdjęcie wyciągnięte przez Kloza z nagrania kamery monitoringu w parku.

– To ona?

Sprzedawca wziął od niej komórkę i przyjrzał się fotografii, rozsuwając palce, żeby powiększyć obraz.

– Trudno powiedzieć, beznadziejne zdjęcie. Możliwe. Tak myślę. Gdzie ją znaleźliście?

– A poznaje pan furgonetkę?

– Nie.

Clair zabrała telefon i wrzuciła go z powrotem do kieszeni.

– Kiedy ukradziono pańską cysterne?

– Kiedy zgłosiłem kradzież. Chyba powinniście to wiedzieć?

– Załóżmy, że nie wiem.

– Najwyraźniej.

Clair jeszcze nigdy nie pobiła żadnego staruszka, ale wizja ta wydawała jej się teraz coraz bardziej kusząca.

– Kiedy ukradziono pańską cysterne?

Zabębnił długimi palcami na blacie.

– Tydzień po Bożym Narodzeniu. Ktoś się włamał do magazynu za sklepem i odjechał.

– Coś jeszcze zginęło?

– Dwadzieścia worków soli.

– Może mnie pan tam zaprowadzić?

Zagiął róg strony kryminału i gestem nakazał Clair, żeby poszła za nim. Ryby obserwowały ich, kiedy przechodzili obok akwariów, Clair starała się nie patrzeć. Zawsze bała się ryb. Tutaj niektóre były naprawdę duże. Wyobrażała sobie ząbki w ich pyszczkach. Nigdy nie potrafiła zrozumieć, jak ludzie mogli pływać w otwartych zbiornikach wodnych.

Drzwi na tyłach sklepu prowadziły do zagraconego magazynu. Wzdłuż ścian stały metalowe regały i stojaki. W kącie po lewej walały się stare akwaria, ustawione niestabilnie jedne na drugich, niczym wieża w grze Jenga, tylko ze szklanych, przezroczystych klocków. Z trzech metalowych beczek wypęły plastikowe rurki i węże najróżniejszych rozmiarów.

Duże urządzenie stojące po lewej stronie pomieszczenia wydawało donośny odgłos przywodzący na myśl zepsutą pralkę. Maszyneria miała ponad trzy metry długości. Składała się z prostopadłościanu, cylindrycznej kolumny i pojemnika oraz łączących je rur. Mniejsze rurki chowały się w ścianie, niewątpliwie prowadziły do sklepu.

– To system filtracji. We wszystkich akwariach mam słoną wodę, znacznie więcej z nią zachodu niż ze słodką. Jeden błąd z utrzymaniem pH, za dużo soli czy za mało, najmniejszy drobiazg może zakłócić cały ekosystem i wszystkie pozdychają. Nie trzeba też dużo czasu, wystarczy parę godzin. – Podeszedł do maszyny i sprawdził jakiś wskaźnik. – Parę lat temu miałem tu sporą rozdymkę, miała ze trzydzieści centymetrów. Coś ją przestraszyło, biedaczka nadęła się do rozmiarów piłki do kosza, wydzieliła truciznę i wybiła mi prawie połowę asortymentu. Po tej historii wymieniłem filtr na taki z odwróconą osmozą i nie miałem już problemów. Ale i tak muszę trzymać rękę na pulsie i pilnować wskaźników.

Clair nie miała ochoty na wykład o rozdymkach.

– Może mi pan pokazać, którądy weszli sprawcy?

Sprzedawca wskazał tylną ścianę magazynu.

– Obstawiam, że przez tamte drzwi.

Duża, otwierana do góry brama garażowa, a po lewej mniejsze metalowe drzwi. Te drugie miały dwa rygle i zasuwę, garażowe działały na prąd.

– Przez które?

– Nie wiem.

– Żadnych śladów włamania?

Zaperzył się i poczerwieniał na twarzy.

– Mówiłem już pierwszemu policjantowi, drzwi są zawsze zamknięte na klucz. Bramę też opuszczam. Sprawdzam je po przyjsciu, a potem jeszcze raz przed wyjściem. Na pewno weszli tędy. Jeśli gliniarze nie potrafią ustalić, jak tamci to zrobili, to już nie moja wina, że nie są za bystrzy.

Clair podeszła do mniejszych drzwi, zdjęła rygle, odciągnęła zasuwę i otworzyła drzwi. Zimne powietrze wpadło do środka, więc wolną ręką zebrała poły kurtki, drugą badając krawędź metalowych drzwi. Żadnych zadrapań ani wgnieceń. Drzwi nie zostały wyważone. Zamki z ryglami były solidne, porządnej marki, trudno byłoby je otworzyć wytrychem, ale nie było to niemożliwe.

– Jest pan pewien, że zasuwka była zamknięta?

– Praktycznie zawsze jest zamknięta. Używam tylko bramy garażowej, a ona otwiera się na pilota, którego mam w aucie, albo tym guzikiem. – Wskazał podświetlony przycisk na ścianie.

Wrócił na środek pomieszczenia i szeroko rozpostarł ramiona.

– Cysterna stała dokładnie tutaj. Poprzedniego wieczora odczepiłem ją od furgonetki i napełniłem węzem od systemu filtrującego. Przygotowałem na następny dzień.

– A co było następnego dnia?

– Obsługuję szesnaście dużych akwariów w całym mieście, to prawie dwadzieścia procent moich dochodów. A myśli pani, że mogę jeździć do klientów bez cysterny? Woda paruje, zanieczyszcza się, trzeba ją wymieniać. Zawsze zabieram ze sobą zbiornik, żeby w razie potrzeby móc wymienić albo uzupełnić wodę.

Clair spojrzała na napęd do bramy garażowej, Craftsman 54985, jak głosił duży napis z boku obudowy urządzenia. O ścianę po prawej stała oparta drabina.

– Mógłby pan?

Przyniósł jej drabinę i rozstawił ją pod napędem. Clair wyjęła z kieszeni swoje kluczyki, wspięła się po szczeblach i przyjrzała się tylnej ścianie urządzenia. Znalazła żółty guzik, wcisnęła go, a potem wcisnęła guzik na pilocie otwierający jej własny garaż. Lampka napędu zamrugała – urządzenie zapamiętało sygnał.

Kiedy znów przycisnęła guzik na swoim pilocie, silnik pod sufitem zaszumił i brama zaczęła się otwierać. Nacisnęła jeszcze raz i drzwi zmieniły kierunek.

– A niech mnie.

Clair zeszła po drabinie.

– Kto jeszcze ma dostęp do tego pomieszczenia?

– Tylko ja.

– Dostawcy, szefostwo, właściciel budynku?

– Parę tygodni temu zatrudniłem dziewczynę do pracy na kasie, ale przyszła tylko raz. Strasznie nerwowa. Chyba niezbyt dobrze się czuła wśród ludzi. – Zniżył głos. – Siedziała w Stateville za nieumyślne spowodowanie śmierci, dopiero co wyszła. Opowiedziała mi, co zaszło, wyglądało mi to na wypadek. Wyraźnie miała problem ze znalezieniem pracy, więc postanowiłem dać jej szansę. Nie mamy tu dużo gotówki, a nie podejrzewałem jej, że wyniesie ryby w kieszeni. Potrafię całkiem nieźle oceniać ludzi, a podczas rozmowy o pracę nic mi nie zadzwoniło ostrzegawczo, więc pomyślałem: czemu nie? Swoją drogą i tak myślałem, żeby dać ogłoszenie do gazety, że szukam kogoś na pół etatu.

Clair zmarszczyła czoło.

– Zgłosiła się do pracy, której pan nie ogłaszał? Nie wywiesił pan nawet kartki w witrynie?

Wcisnął rękę do kieszeni.

– Zajrzała tu któregoś dnia, był akurat duży ruch, zorientowała się, że przydałaby mi się pomoc, i sama się zaofiarowała. Już mówiłem, tak czy inaczej

myślałem o ogłoszeniu.

– Jak się nazywała?

– Libby. Libby McInley.

Clair wyjęła telefon i wybrała jeden z zaprogramowanych numerów.

Od razu włączyła się poczta: „Mówi detektyw Sam Porter z policji Chicago, nie...”.

Rozłączyła się.

Niech to szlag. Zamierzała zadzwonić do Nasha.

53

POOLE

Dzień trzeci, 13.18

Przyjaciele!

Jak dobrze wiedzieć, że wreszcie tu trafiliście! Miałem nadzieję towarzyszyć Wam, gdy nadejdzie ta chwila, ale nie było mi to pisane. Pociesza mnie fakt, że te materiały dostały się w kompetentne ręce, i jestem pewien, że przekazecie je swoim towarzyszom z wydziału przestępstw finansowych, żeby mogli wzbogacić rosnący stos dowodów świadczących przeciwko panu Talbotowi i jego firmie. Wierzę, że w tym pudle znajduje się wystarczająco dużo informacji, żeby skazać tego człowieka, ale obawiam się, że nie mogłem czekać na proces i od razu przeszedłem do wyroku, który wydaje mi się najbardziej stosowny w wypadku popełnionych przestępstw. Podobnie jak jego wieloletni partner biznesowy Gunther Herbert, pan Talbot stanie dzisiaj twarzą w twarz ze sprawiedliwością i odpowie za swoje czyny w najszybszym możliwym trybie. Może pozwolę, żeby ucałował córkę po raz ostatni na pożegnanie? A może nie. Może najlepiej będzie, jeśli pozwolę im się przyglądać, jak się wykrwawiają.

Oddany Wam

Anson Bishop

Poole wygładził kartkę, uważnie przyglądając się charakterowi pisma – schludnemu i czytelnemu, a jednak dziwnie złowrogiemu.

Liścik pochodził z pudła znalezionego w pustym mieszkaniu przez detektywów Clair Norton i Briana Nasha kilka dni po uprowadzeniu Emory Connors przez Bishopa, kilka godzin po tym, jak porwał jej biologicznego ojca Arthura Talbota. Adres lokalu widniał na formularzu wypełnionym przez Bishopa, kiedy pod przybraną tożsamością zatrudnił się w policji Chicago jako technik kryminalistyki nazwiskiem Paul Watson. Bishopowi zależało na odkryciu dokumentacji i ułożył misterny plan (jeden z wielu), aby upewnić się, że zostanie znaleziona dokładnie wtedy, kiedy chciał, ani wcześniej, ani później. Wiedział, że pojedą pod ten adres, kiedy jego prawdziwa tożsamość wyjdzie na jaw, ale na pewno nie wcześniej.

Poole przed wyjazdem na spotkanie z kuratorem sądowym Libby McInley wyłożył zawartość kartonu w równych rzędkach na składanym stole.

Stery papieru podzielone na grube pliki, w sumie dwanaście sztuk.

W pierwszych siedmiu plikach znajdowały się informacje dotyczące Arthura Talbota, a konkretnie zawieranych przez niego transakcji nieruchomościowych i posiadanych udziałów finansowych w spółkach. Funkcjonariusze wydziałów przestępstw gospodarczych zarówno chicagowskiej policji, jak i FBI nadal pracowali nad odkryciem wszystkich szczegółów, ale już zdołali zająć majątek o wartości ponad pięćdziesięciu milionów dolarów, co do którego istniały podejrzenia, że pochodził z działalności przestępczej. Z powodu dużych rozmiarów Talbot Enterprises większość aktywów co prawda zamrożono, ale sąd zezwolił na prowadzenie rachunków bieżących. Wszystkim zależało na rozwikłaniu sprawy bez szkody dla tysięcy legalnych miejsc pracy stworzonych przez przedsiębiorstwo Talbota. Fundusz powierniczy Emory Connor również pozostał nietknięty, ponieważ był całkowicie odseparowany od Talbota, na co ten ostatni najwyraźniej nalegał.

Poole odłożył te dokumenty na bok.

Kolejne cztery pliki również miały związek z Talbotem, ale obejmowały także dwie rodziny mafijne działające na terenie Chicago i okolic, jak również dwadzieścia trzy inne osoby. Szeroki wachlarz przestępstw, od hazardu i prania

brudnych pieniędzy po narkotyki i prostytutkę. Dzięki tym danym aresztowano sześć osób, a zapowiadały się kolejne zatrzymania.

Również i te pliki Poole odsunął. Interesowała go ostatnia sterta papierów.

Ostatni plik liczył około trzystu stron. Pierwszą kartkę, w zielone i białe linie, pokrywało drobne, ścisłe pismo. W pierwszej linijce zapisano:

163.BK14 2.5k.JM.

Do pliku przyczepiono brązową kopertę zawierającą dwadzieścia sześć zdjęć z polaroida przedstawiających mniej lub bardziej rozebranych nastolatków obu płci. Każdą odbitkę opatrzono numerem. Charakter pisma nie odpowiadał pismu Bishopa. Według raportu detektywa Nasha koperta nie była od początku przyczepiona do tego pliku, leżała na dnie pudła. Choć dokumenty były najprawdopodobniej powiązane, Poole wolał zostawiać dowody dokładnie w takim samym stanie, w jakim je znaleziono, żeby nie szkodzić śledztwu. Połączenie tych dwóch obiektów na podstawie domysłów było lekkomyślne i mogło doprowadzić do wyciągnięcia błędnych wniosków.

Poole przesunął palcem po pierwszej linijce tekstu:

163.BK14 2.5k.JM.

Uważano, że numer 163 odpowiada konkretnemu dziecku – białej kobiecie, czternastoletniej, sprzedanej lub kupionej za dwa i pół tysiąca, najprawdopodobniej dolarów, ale możliwe, że innej waluty. Handlarze żywym towarem najchętniej obracali bitcoinami.

Poole dobrze się znał na bitcoinach. Elektroniczna kryptowaluta już od 2008 roku była solą w oku służb bezpieczeństwa – przestępcy mogli nią obracać jak gotówką, ale przez internet, nie pozostawiając żadnych śladów: ani kto komu płacił, ani za co.

Jeśli zapis oznaczał dwa i pół tysiąca bitcoinów, to przekładałoby się na około dwa miliony sześćset tysięcy dolarów amerykańskich. Mało prawdopodobne. Za zdrową białą czternastolatkę można było zwykle dostać w Stanach Zjednoczonych poniżej dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Jednak literą „k” oznaczano nie tylko tysiące, czasem także bitcoiny. W tym wypadku 2.5k

oznaczałoby około dwa tysiące sześćset dolarów – znacznie bardziej prawdopodobna kwota.

Poole'a brzydziła myśl, że życie ludzkie można sprzedawać i kupować za jakąkolwiek kwotę, więc siłą wypchnął ją z głowy. Musiał się skupić na materiale dowodowym.

163.BK14 2.5k.JM.

Dziecko numer 163, biała czternastolatka, sprzedana lub kupiona za dwa tysiące sześćset dolarów. Inicjały JM mogły należeć do dziecka albo do osoby sprzedającej lub kupującej dziecko. Nie dało się tego ustalić.

Poole przerzucił zdjęcia z polaroida. Żadnego z numerem 163.

Ktoś przyporządkował pozostałe fotografie do poszczególnych wpisów na liście. Obok każdej pasującej pozycji przyklejono żółtą karteczkę. Dziewiętnaście dziewczynek i siedmiu chłopców.

Poole policzył wpisy na pierwszej stronie: dwadzieścia sześć. Plik miał blisko trzysta stron, co oznaczało, że wyszczególniono tu prawie osiem tysięcy dzieci. Poprawka: prawie osiem tysięcy osób. Jeśli liczba pojawiająca się po skrócie oznaczającym rasę i płeć rzeczywiście odzwierciedlała wiek, to wiele z tych osób było starszych, choć najwyższą wartością, jaką znalazł, było dwadzieścia trzy.

Chicago zajmowało trzecie miejsce w kraju pod względem nasilenia handlu żywym towarem. Według najnowszych badań ponad dwadzieścia pięć tysięcy osób padło ofiarą tego procederu w mieście i okolicach. Jeśli liście można było wierzyć, odpowiadała blisko jednej trzeciej wszystkich ofiar. Poole nie miał powodów, by wątpić w dane Bishopa. Wszystkie inne informacje się potwierdziły.

Grupy specjalne odpowiedzialne za zwalczanie handlu ludźmi działające na poziomie hrabstwa Cook, rejonu Chicago i całego stanu Illinois otrzymały kopie wszystkich danych, ale nie udało się ich jednoznacznie rozszyfrować. Gdyby organa ścigania zdołały rozwikłać zagadkę, prawdopodobnie rozbiłyby największy gang handlarzy żywym towarem w historii Stanów Zjednoczonych.

Poole wstał i rozprostował nogi. Podniósł jedną z fotografii, podszedł do tablicy i przyłożył do tej znalezionej u Libby McInley. Z początku miał nadzieję, że obie zrobiono tym samym aparatem. Małe szanse, oczywiście, ale potrzebował jakiegoś punktu zaczepienia, związku między poszczególnymi elementami.

Zdjęcia nie pochodziły z tego samego aparatu.

Analizy wykazały, że dzieci sfotografowano na kliszy światłoczułej Polaroid 780 turbo, natomiast zdjęcie odkryte w domu McInley wykonano na PX 680 Color Shade FF. Dowiedział się także, że polaroidy mają wiele wspólnego z lufą broni: każdy aparat zostawia na odbitkach niepowtarzalny wzór, serię cieniutkich linii zbyt drobnych, żeby były widoczne gołym okiem, ale pozwalających na identyfikację pod mikroskopem zdjęć wykonanych tym samym aparatem. Wszystkie zdjęcia dostarczone przez Bishopa w pudle zrobiono tym samym aparatem. Numery seryjne poszczególnych klisz doprowadziły do dat produkcji i pozwoliły stwierdzić, że fotografie wykonano w ciągu dwóch lat pod koniec lat dziewięćdziesiątych.

Zadzwoił telefon Poole'a. Agent wrócił do biurka.

Diener.

Wcisnął „odbierz”.

– Frank? Coś mam. Miałeś rację.

– Dokumenty?

– Tak. Do urzędu stanu cywilnego w Illinois wpłynął wniosek o wydanie odpisu aktu urodzenia. Jakiś rok temu, dziesiątego kwietnia dwa tysiące czternastego, za pośrednictwem portalu internetowego.

– Kiedy McInley była jeszcze w więzieniu.

– Zgadza się. Wniosek złożyła Kalyn Selke, a raczej ktoś, kto się za nią podawał. Dysponowała albo dysponował wszystkimi niezbędnymi informacjami: miejscem urodzenia, z nazwą szpitala włącznie, nazwiskiem panieńskim matki, pełnym imieniem i nazwiskiem ojca. Jako powód złożenia wniosku podano „utrata metryki w pożarze”. Załączono nawet dowód tożsamości ze zdjęciem

Libby McInley. Podróżkę, ale nikomu się nie chciało sprawdzać. Odpis wystawiono drugiego maja dwa tysiące czternastego. Jakiś tydzień później, ósmego maja, złożono wnioski o wydanie paszportu na podstawie aktu urodzenia i trzech rachunków, za prąd, telefon i kablówkę, wystawionych na ten sam adres, na który wysłano dokumenty, gdzieś w Brighton Park. Właśnie tam jadę.

Poole poczuł ucisk w klatce piersiowej.

– Prześlij mi ten adres. Spotkamy się na miejscu.

54

CLAIR

Dzień trzeci, 13.31

– Ile to potrwa?

Kłozowski podniósł rękę i machnął ze zniecierpliwieniem, nie odrywając wzroku od monitora.

– Próbuję znaleźć dobry kąt filmowania. Powiesz, jak zauważysz coś, co...

– Ten! – wrzasnęła Clair.

– Jezu, Eklerku, nie drzyj się tak, co? – rzucił Nash, który stał za nią. Clair nachyliła się i dotknęła ekranu.

– To tylne wejście do sklepu z rybkami. Co to za ulica?

Kłoz kliknął w zakładkę z informacjami umieszczoną obok ikonki kamery monitoringu.

– Róg Szesnastej i Mortimer.

– Możesz przybliżyć?

– Dałem już maksymalne powiększenie. Którego dnia szukamy?

– Mówił, że ukradli mu cysterne jakiś tydzień po świętach – powiedziała Clair. – Kradzież zgłosił czwartego stycznia. Może dla pewności zacznijmy od dwudziestego siódmego grudnia?

Kłoz wypuścił długi strumień powietrza.

– To spore okienko.

– Lepiej zwiększyć szanse powodzenia.

Nash pochylił się z drugiej strony.

– Myślałem, że da się wyszukiwać po marce i modelu?

Kloz oparł się na krześle.

– Mógłbyś zostawić mi trochę przestrzeni? Śmierdzisz rzodkiewką.

– Jadłem sałatkę na lunch – powiedział Nash, cofając się o krok. – Próbuję zadbać o swoje ciało i jeść zdrowiej.

– Zjadłeś na lunch sałatkę z McDonalda, aż pływała w sosie majonezowym. To jedno z najbardziej tuczących dań w menu McDo.

– Pierdolisz.

– Wcale nie.

– Skupcie się, panowie! – wtrąciła się Clair. – Możesz szukać po rodzaju pojazdu?

Kloz pokręcił głową.

– Nie do końca.

– To nie do końca odpowiedź.

– Kamery nie potrafią zidentyfikować marki ani modelu pojazdu, ale za to odczytują i zapisują tablice rejestracyjne. Mogę zestawić je z danymi z bazy wydziału komunikacji i...

– Czyli o ile sprawca nie zmienił tablic, to możesz przeszukać wszystkie numery wyłapanie przez monitoring i wyłowić spośród nich wszystkie toyoty tundry z dwa tysiące jedenastego, które przejeżdżały przez to skrzyżowanie, nawet jeśli nie znasz dokładnej daty ani godziny – przerwała mu Clair. – Do roboty.

Kloz zaczął stukać w klawisze.

– Lepiej mi się pracuje przy kawie.

– Jeśli coś znajdziesz, przez miesiąc będę ci kupować kawę ze Starbucksa.

– To bardzo wielkoduszne z twojej strony, ale nie rozwiązuje mojego obecnego problemu.

Clair przewróciła oczami.

– Skocz mu po coś do picia – powiedziała do Nasha.

Nash otworzył usta, gotów protestować, ale potem się rozmyślił. Ruszył do małego pokoju socjalnego w kącie działu informatycznego.

Clair zniżyła głos i jeszcze bardziej nachyliła się nad Klozem.

– Rozmawiałeś z Samem?

Klozowski nie odrywał wzroku od ekranu.

– Nie wolno nam się z nim kontaktować. Nigdy nawet do głowy by mi nie przyszło złamać polecenie służbowe.

– Ja dzwoniłam trzy razy. Za każdym razem włącza się poczta.

– Nash też dzwonił parę godzin temu. To samo – odparł Kloz cicho.

Na ekranie monitora pojawiła się lista. Wybrał kilka pozycji i nacisnął enter.

– Słuchaj, naprawdę nie chcę robić za jedyne dorosłego w tym towarzystwie. Porter jest też moim kumplem, ale zrobił nas w chuja. Federalni wparowali i przejęli sprawę 4MK, nic mi do tego. Takie jest życie, trudno. Pogodziłem się z tym i zająłem innymi rzeczami. Ty też. I Nash. Porter powinien być zrobić to samo. – Nagle przestał stukać w klawiaturę, zgarbił ramiona. – Bo dałaś sobie spokój, prawda? Nie masz gdzieś tajemnego gabinetu, z którego próbujesz na własną rękę walczyć ze złem i występkiem? – Zanim Clair zdążyła odpowiedzieć, znowu zaczął pisać, a potem mówił dalej: – Lubię swoją pracę. Chcę odnosić sukcesy, więc robię, co mi każą. Może dlatego jestem trochę dziwny, ale za to śpię jak dziecko, nie mam żadnych zmartwień. O kurde.

– Co?

– Toyoty tundry są bardzo popularne.

– Ile masz?

– Sześćset dwanaście między dwudziestym trzecim a dwudziestym ósmym grudnia.

Nash wrócił, ostrożnie niosąc trzy styropianowe kubki. Jeden postawił obok Kloza, drugi podał Clair.

Clair spojrzała na ekran.

– Możesz posortować listę według liczby wystąpień? To nie może być przypadek, że Libby McInley pracowała tam przez jeden dzień. Jeśli

współpracuje ze sprawcą, robiła zwiad czy coś takiego, to znaczy, że on nie musiał, więc pewnie niezbyt często mijał tę kamerę. Większa częstotliwość może wskazywać na regularny ruch drogowy, na przykład ludzi, którzy codziennie jeżdżą tamtędy do pracy i z pracy.

Kloz pozmieniał coś w rubrykach na górze strony i znowu nacisnął enter.

– No dobrze. Największa liczba przejazdów to czternaście. Sto sześć pojedynczych przejazdów, dziewięćdziesiąt trzy podwójne... Posortuję od najrzadszych do najczęstszych, a potem wyciągnę zdjęcia.

Clair patrzyła, jak lista znika, a na jej miejscu pojawiają się zdjęcia kilkudziesięciu furgonetek, wszystkie wykonane pod tym samym kątem.

– Szukamy doczepionej cysterny.

Przebiegli wzrokiem fotografie. Po paru sekundach Kloz kliknął „dalej” na dole ekranu. Pojawił się kolejny zestaw zdjęć. Przejrzeli je, znowu nacisnął „dalej”, potem jeszcze raz. To, czego szukali, znaleźli dopiero po dwunastu stronach.

– Tu cię mamy – powiedział Kloz.

– To na sto procent ta sama furgonetka, którą widzieliśmy na nagraniu z Jackson Park – powiedział Nash.

– Musimy sprawdzić rejestrację, znaleźć nazwisko i adres właściciela – powiedziała Clair. – Możesz zbliżyć na kierowcę?

– Tak. – Kloz kliknął przełącznik i obraz powiększył się na cały ekran. Podwójnymi kliknięciami w przednią szybę sprawił, że ich oczom ukazała się twarz kierowcy.

– A niech to szlag – mruknął Nash.

– Czy to...? – Kloz opadł na oparcie fotela z szeroko rozdziawionymi ustami. Pocierał się po karku.

– To Bishop – powiedziała Clair cicho.

55

PORTER

Dzień trzeci, 13.35

– Dostanie mi się od mojego kręgarza – jęknęła Sarah Werner. Leżała na biurku w pokoju obserwacyjnym, monitor i klawiaturę odsunęła na bok.

Strażnicy zaglądali do nich regularnie co pół godziny, ale Werner za każdym razem ich odsyłała.

Porter podciągnął się i usiadł porządnie na krześle. Jego też wszystko bolało.

Zerknął na zegar wiszący w rogu pomieszczenia.

– Minęły ze trzy godziny. Co ona tam robi?

Sarah odwróciła głowę i popatrzyła przez lustro weneckie.

– Ciągłe czyta. Trzeba było przynieść coś do jedzenia.

Żołądek Portera przytaknął głośnym burczeniem.

– Chcę tu być, kiedy skończy. Lepiej, żeby nie miała czasu tego wszystkiego przetrwać.

– Nie mów mi o niczym związanym z jedzeniem, błagam.

– Przepraszam.

Porter podniósł ręce nad głowę i mocno się przeciągnął. Powstrzymał się przed ziewnięciem.

– Nie musisz ze mną czekać, jeśli masz coś do roboty. Nie chcę cię tu trzymać.

Sarah ziewnęła, zakrywając usta.

– Nie mam dziś absolutnie żadnych innych planów.

– Żadnej drugiej połówki?

Sarah parsknęła.

– Bronię w sprawach karnych w jednym z najbardziej niebezpiecznych miast w tym kraju. Nierozsądnie zdecydowałam się też na mieszkanie nad kancelarią, w związku z czym dosłownie zabieram pracę do domu. Zresztą mniejsza z tym, gdzie mieszkam, i tak ślęczę nad aktami co najmniej przez osiemdziesiąt godzin tygodniowo. Jeśli nie tkwię za biurkiem, to jestem tutaj albo w sądzie, czasem na komisariacie. Każda moja decyzja przekreśla jakiekolwiek szanse na życie osobiste. – Pokręciła głową, rozciągając szyję, i uśmiechnęła się do niego. – Przez ostatnie cztery miesiące nie miałam do czynienia z niczym bardziej zbliżonym do randki niż nasza obecna sytuacja.

Porter poczuł, że się czerwieni.

– Naprawdę? Jak mi idzie?

Sarah spojrzała na sufit, a potem zaczęła się przyglądać swoim paznokciom. Porter zauważył, że były raczej krótkie. Jeśli je malowała, to przezroczystym lakierem.

– Na pewno należą ci się punkty za oryginalność. Wybór lokalu pozostawia nieco do życzenia, ale bywało gorzej.

– Może mógłbym cię zabrać na obiad? Jakoś się zrehabilitować? – Słowa te wyrwały się Porterowi zupełnie bezwiednie, od razu zapragnął je cofnąć.

Tym razem to Sarah się zarumieniła. Gestem głowy wskazała jego dłoń.

– Chyba powinieneś to najpierw ustalić z bazą, Romeo. Może i jestem w kiepskiej sytuacji, ale nie aż tak. Jeszcze nawet nie mam kota.

Kciuk Portera przejechał po brzegu obrączki. Spuścił wzrok i spojrzał na rękę.

– Moja żona zmarła w zeszłym roku. Pewnie nie powinienem już nosić obrączki, ale kiedy ją zdejmuję, palec wydaje mi się jakiś goły.

Sarah znów wzniosła oczy do sufitu.

– Nasza randka właśnie oficjalnie stała się krępująca. Przepraszam.

– Wyszedłem z wprawy. W liceum potrafiłem schrzanić randkę w czasie poniżej czterech minut.

– Ooo, to raczej nie był z ciebie casanova? Nie potrafię sobie wyobrazić ciebie w liceum.

Porter musiał się zastanowić dłuższą chwilę. Odległe wspomnienia drażniły się z nim, ledwie widoczne na końcu długiego tunelu.

– Czasami wydaje mi się, że to wszystko było tak dawno. A kiedy indziej mam wrażenie, jakby to było wczoraj.

– Typ wspomnienia ma wpływ na to, jak postrzegamy czas, jaki od niego upłynął.

– Co to znaczy?

Sarah westchnęła.

– Aaa, przeczytałam kiedyś coś takiego w podręczniku do psychologii na studiach. Mózg postrzega szczęśliwe wydarzenia jako świeże, nieodległe w czasie. Za to okropne wspomnienia są odsuwane jak najdalej, czasem nawet zupełnie zapomniane albo blokowane. To chyba taki nasz mechanizm obronny. Otaczać się tylko tym, co dobre, odsuwać na dystans złe chwile, coś w ten deseń.

– Może to ja powinienem leżeć, pani doktor.

– Chcesz się zamienić?

– Jako prawdziwy dżentelmen nigdy nie pozwoliłbym damie usiąść na tym krześle. To jakieś barbarzyńskie narzędzie tortur. – Porter przeniósł ciężar ciała, zimne drewno wrzynało mu się w tył. – Gdyby to była sala przesłuchań, to jeszcze bym zrozumiał, niech podejrzanemu nie będzie za wygodnie, ale tutaj? Jakiś biedny strażnik spędza na tym krześle spory kawał życia.

– Temu biurku też poważnie brakuje piankowej nakładki. *No bueno.* – Zwróciła się do niego, opierając głowę na dłoni. – Co pamiętasz?

– Z liceum?

Skinęła głową.

– Często cię wpychali do szafek na książki czy to raczej ty wpychałeś innych? Porter zachichotał.

– Na pewno ktoś by mnie zamknął, gdybym się zmieścił. Byłem raczej przy kości.

– Ty?

– Owszem. W pierwszej klasie ważyłem siedemdziesiąt kilo przy wzroście metr pięćdziesiąt osiem.

– Nie tak źle. Zresztą ewidentnie z tego wyrosłeś.

– Byłem najczęstszym celem w każdej grze w zbijaka. A potem, w przedostatniej klasie, urosłem ze trzydzieści centymetrów. Jakby ktoś mnie złapał za głowę i wyciągnął w górę. Tak samo też się czułem. Pamiętam, że wszystko mnie potwornie bolało, na jakiś czas straciłem też koordynację. Ręce i nogi miałem jakby za długie. Na korytarzu szkolnym potykałem się o własne stopy. Koszmar.

– Ale założę się, że wtedy nikt nie próbował ci podskoczyć. Byłeś wysoki jak na licealistę.

Porter wzruszył ramionami.

– Wcześniej też nikt mi za bardzo nie podskakiwał. Byłem raczej klasowym błaznem. Jak ktoś szukał zaczepki, to rzucałem jakiś żart i rozładowywałem sytuację.

– Szkoda, że nie zachowałeś tego poczucia humoru w dorosłym życiu – rzuciła Sarah z szelmowskim uśmieszkiem i błyskiem w oku.

– Dzięki.

Spuściła nogi z blatu, podniosła się i przysiadła na brzegu biurka. Wyglądziła szarą spódnice.

– Jakie jest twoje najlepsze wspomnienie z liceum?

Porter zastanowił się chwilę, ale nic mu nie przyszło do głowy. Znowu wyprostował się na krześle.

– O nie, ja już ci o czymś powiedziałem. Teraz twoja kolej. Jesteś ładną dziewczyną. Założę się, że w szkole robiłaś furorę.

– Hm. Nie wiem, co powinnam najpierw zinterpretować: to, że nazwałeś mnie „ładną” czy że nazwałeś mnie „dziewczyną”.

– Kurde, widzę, że nie opuściłaś ani jednych zajęć z tej psychologii, co?

– Ani jednych.

– Oczywiście wiem, że na jakimś etapie życia wszyscy stajemy się mężczyznami i kobietami, ale nie jestem pewny, w jakim wieku to następuje. Ja ciągle się czuję jak dziecko, myślę o sobie jako o chłopaku – powiedział Porter.

– Wydaje mi się, że to mniej więcej wtedy, kiedy bierzemy kredyt na dom i znajdujemy porządną pracę. Kiedy to nie ktoś inny jest za nas odpowiedzialny, ale my sami bierzemy na siebie różne zobowiązania.

– Kiedy stajemy się w pełni widzialni – powiedział Porter cicho.

– Słucham?

– To coś z pamiętnika Bishopa. Miał poczucie, że dzieci są niewidzialne dla reszty świata, a z czasem stają się mniej przeźrocyste. Jako dorośli jesteśmy całkowicie widzialni, a potem znów blakniemy, aż w końcu społeczeństwo znów nas nie zauważa jako staruszków – wyjaśnił Porter.

– Hmm. To nawet głębokie. Chyba sobie to zapamiętam – stwierdziła Sarah.

– Ja osobiście wolę nie polegać na psychopatach w dziedzinie poradnictwa psychologicznego i duchowego.

– A jednak dokładnie zapamiętałaś jego słowa.

Głośne uderzenie w szybę sprawiło, że prawniczka z krzykiem zeskoczyła z biurka.

Porter wstał, nie odrywając wzroku od lustra weneckiego.

NN stała po drugiej stronie, kilka, może kilkanaście centymetrów od szyby. Wyciągniętą ręką przyciskała do szkła pamiętnik.

56

POOLE

Dzień trzeci, 13.35

Agenci specjalni Frank Poole i Stewart Diener siedzieli w jeepie cherokee Poole'a na spokojnej ulicy w dzielnicy mieszkaniowej, kilkadziesiąt metrów od budynku z numerem 519 przy Czterdziestej Pierwszej Ulicy.

Poole przyglądał się posesji przez lornetkę zeiss 526000 – ciężką, ale niezwykle efektywną.

Dom był niewielki, prawdopodobnie dwie sypialnie, może tylko jedna łazienka. Parterowy. Jasnozielona farba wyblakła i poodpryskiwała. Działkę otaczało ogrodzenie z metalowej siatki. Na bramie wisiała bokiem tablica z napisem „NA WYNAJEM”, ledwie się trzymała na pojedynczej czarnej opasce w rogu. Chodniki, ogródek i podjazd pokrywała blisko półmetrowa warstwa śniegu. Nikt od dawna tu nie odśnieżał. Na podjeździe nie było samochodów. Grube zasłony w oknach uniemożliwiały zajrzenie do środka.

– To pod ten adres wysłano i metrykę, i paszport. Na nagraniach z monitoringu z wydziału komunikacji widać, że Libby osobiście odebrała prawo jazdy na podstawie sfałszowanych dokumentów trzy dni po wyjściu ze Stateville – powiedział Diener.

– Dom wygląda na opuszczony. W śniegu nie ma śladów stóp prowadzących do domu. Nie mam jak zajrzeć do środka, okna są zasłonięte. – Poole opuścił

lornetkę. – To pewnie jakaś meta. Ktokolwiek pomógł jej załatwić dokumenty, wykorzystywał to miejsce tylko jako adres korespondencyjny.

Poole zasunął kurtkę i owinął szyję szalikiem.

– Pójdę się trochę rozejrzeć.

Diener zmierzył wzrokiem padający śnieg.

– Kiedy to zimne białe gówno w końcu odpuści?

Poole'owi śnieg wcale nie przeszkadzał. Czasem ten paskudny świat wyglądał lepiej pod białym kocem.

Drzwiczki jeepa jęknęły w zawiasach, kiedy otworzył je zamasyście. Poole wysiadł i mocno zatrzaskał je za sobą. Przy zimnej pogodzie drzwi czasem nie zamykały się do końca. Usłyszał, że Diener też wysiadł i obszedł samochód, śnieg trzeszczał pod jego butami.

Ruszyli chodnikiem, a kiedy znaleźli się dokładnie naprzeciwko budynku, przeszli przez ulicę. Odkąd tu przyjechali, Poole nie widział jeszcze ani jednego innego samochodu. Najwyraźniej zapuszczali się tu tylko mieszkańcy. Dziwne miejsce na skrzynkę kontaktową. Zwykle wybierano miejsca, gdzie panował duży ruch. W spokojnych dzielnicach ludzie raczej zauważali nieznajomych, a użytkownicy skrzynek kontaktowych woleli pozostać niezauważeni.

Umysł Poole'a wypełniły obrazy domu Libby McInley, zwłaszcza tego, co znalazł w środku. Poczul kwaśny smak w ustach. Z całego serca chciałby zapominać takie rzeczy, ale jego mózg upierał się, żeby wypychać je na sam przód.

Na brzegu chodnika stały na słupkach dwie skrzynki na listy. Ta po lewej, przeznaczona na gazety, nie miała drzwiczek i była pusta. Poole otworzył sąsiednie metalowe pudełko i wyciągnął kilka przesyłek.

– Publishers Clearing House do Libby McInley i karta darowizny na rzecz stowarzyszenia weteranów zaadresowana do mieszkańców, jedno i drugie z tego tygodnia. Ktoś sprawdza skrzynkę – stwierdził Poole, po czym schował listy z powrotem. Diener rozejrzał się po ulicy.

– Mniej więcej co drugi podjazd wygląda na świeżo odśnieżony. Jak już sprawdzimy dom, powinniśmy porozmawiać z sąsiadami. W takiej cichej okolicy na pewno znajdziemy kogoś, kto ma ten dom na oku.

Brama przymarzła do metalowego ogrodzenia, Poole musiał kilka razy uderzyć, żeby zamek ustąpił. Brama otworzyła się opornie w gęstej zaspie śniegu, ruszyli chodnikiem ku frontowi domu.

– Frank. – Diener cicho wymówił jego imię, wskazując na drzwi dłonią w rękawiczce. Brakowało zamka, została po nim ziejąca dziura. Gałka wyglądała na obluzowaną, w górnej części była podrapana i poobijana. Ktoś czymś w nią uderzył. Framugę znaczyły rysy i otarcia.

Zanim spróbował otworzyć drzwi, Poole rozsunął kurtkę i sięgnął po pistolet. Palcem wskazał na Dienera, a potem na bok budynku. Diener również wyciągnął broń i zniknął za rogiem w poszukiwaniu tylnego wejścia.

Poole sięgnął do gałki. Chociaż nadal się obracała, musiał trzymać ją mocno, żeby nie wypadła. Śruby, które miały za zadanie trzymać całość razem, zostały wykręcone albo obluzowane, tak że cały cylinder sprawiał wrażenie, jakby miał mu się rozpaść w ręku. Zatrzask ustąpił z kliknięciem. Poole otworzył drzwi, delikatnie je popychając.

Za progiem zobaczył niewielki salon. Ktoś porozcinał nożem poduchy sfatygowanej brązowej skórzanej kanapy. W pokoju walały się sterty wypełnienia, białe kopce. Ogrzewanie nie działało.

– FBI. Proszę się pokazać! – Jego głos poniósł się echem przez cały dom. Tak brzmi tylko pogłos w pustym, zapomnianym miejscu.

Wszedł do środka.

Graffiti pokrywało wszystkie ściany. Kolorowe tagi gangów, imiona, ksywy i dziwne frazy – „Dasha cię kocha”, „Mały Mix” czy „X-Train Chirps”. Poole nie rozumiał połowy z nich.

Na drugim końcu domu tylne drzwi otworzyły się z głośnym trzaskiem. Diener wszedł do kuchni z bronią w ręku, lufą skierowaną do sufitu. Skinął głową do Poole’a i skręcił w korytarz po prawej. Wyjął z kieszeni małą latarkę,

włączył ją i trzymał pod pistoletem, posyłając strumień światła w głąb przedpokoju.

Poole przemierzył salon i ruszył za nim. Ktoś albo skopał, albo okładał pięściami ściany z płyt gipsowo-kartonowych w korytarzu – od góry do dołu pokrywały je dziesiątki dziur. Może ktoś szukał czegoś zamurowanego w ścianie, a może dzieci się bawiły, nie dało się tego jednoznacznie stwierdzić. Wykładzina, niegdyś złota, teraz pokryta brązowymi plamami, cuchnęła moczem.

Na podłodze w pierwszej sypialni znaleźli materac otoczony pustymi opakowaniami po jedzeniu i piciu. W kącie leżał zmięty koc. Zasłonięte okna były dodatkowo zaklejone gazetami. Ktoś niedawno korzystał z łazienki, ale z powodu braku wody muszlę po brzegi wypełniała zamarznięta masa, o której Poole wolał nie myśleć. Z wanną nie było lepiej. Pozbawione drzwiczek szafki odsłaniały popękane plastikowe rury.

Przeszli do drugiej sypialni.

Tam nie było nawet materaca, tylko podarty śpiwór i zdezelowany grill turystyczny na gaz. Ktoś albo na nim gotował, albo ogrzewał pomieszczenie, albo jedno i drugie. W pokoju unosiła się stęchła woń marihuany.

Wrócili do salonu. Piwnicy nie było. Dom był opuszczony.

– Myślę, że sypiają tu bezdomni, może czasem wpadają miejscowe dzieciaki. Nie najgorsze miejsce na skrzynkę kontaktową. – Poole schował pistolet do kabury. – Od jak dawna nikt tu nie mieszka?

Diener przetrząsał szafki i szuflady w aneksie kuchennym.

– Od ponad roku. – Zajrzał do odpływu w zlewie. – Ktoś wlał tu beton.

– Dzieciaki czasem tak robią – odparł Poole, przyglądając się napisom i malunkom na ścianie salonu.

– Nie udało mi się znaleźć zbyt wiele o samej nieruchomości – ciągnął Diener. – Pierwszy właściciel zmarł, dom odziedziczyła trójka dzieci. Wszystkie mieszkają w innych stanach. Jest wystawiony na sprzedaż. Próbowali też go chyba wynająć, ale nie mają chętnych. – Wyciągnął martwą mysz spod zlewu,

podniósł za ogon i cisnął na drugi koniec pokoju. – Nie rozumiem dlaczego. Przeurocze miejsce.

Poole zignorował mysz, która pacnęła na podłogę tuż przy jego stopach.

– Coś tu może być. – Snopem światła z latarki powiódł po graffiti. Diener podszedł bliżej.

– Wygląda mi to raczej na robotę dzieciaków. Chuligani, mali gangsterzy i tak dalej.

Poole wskazał na krótki ustęp zapisany czarnym markerem.

*Iż ja nie mogłam się zatrzymać –
Śmierć uczyniła mi tę grzeczność –
Powóz ledwie nas dwie pomieścił –
I nieśmiertelność.*⁵

– To nie jest bazgranina dzieciaków, to cytat z Emily Dickinson. A popatrz tutaj. – Wypatrzył kolejny ustęp zapisany tą samą ręką.

*Wymowna analogia życia i śmierci:
Porównaj życie do wody, a śmierć do lodu.
Woda gęstnieje i krzepnie, by stać się lodem,
Lód zaś roztapia się znowu i staje wodą.
Co umarło, na pewno znów się narodzi;
Co się narodziło, musi kiedyś umrzeć.
Jak lód i woda nie szkodzą sobie nawzajem,
Tak życie i śmierć współistnieją w zgodzie.*

– To Hanshan, chiński poeta żyjący w czasach dynastii Tang – powiedział Poole.

– Ja pierniczę, skąd ty to wiesz?

– Na studiach miałem dziewczynę, którą kręcił buddyzm. Ciągłe cytowała wiersze z jakiegoś tomiku. Ten też tam był.

– No tak. Ale czemu te podkreślenia?

Poole zadumał się na dłuższą chwilę, ale w końcu pokręcił głową.

– Nie wiem.

Diener przeszedł parę kroków dalej.

– Mam tu następny, ten sam charakter pisma.

*Wróćmy do Domu, wróćmy już,
na nic to ciągną pogoń i poszukiwanie,
Dziś wszystko przepęlnia błogość.
Z błękitnego oceanu śmierci
Życie wypływa niczym nektar.
W życiu jest śmierć; w śmierci jest życie.
Gdzież więc jest strach, gdzie jest strach?
Ptaki na niebie śpiewają: „Śmierci nie ma!”.
Dniem i nocą przyplw Nieśmiertelności
Zstępuje tu na ziemię.*

Poole zmarszczył brwi.

– To bodajże tybetańskie, ale możliwe, że coś mi się pomyliło. Nie wiem też, czemu tutaj podkreślono akurat te słowa: „Dom”, „strach”, „śmierć”.

Diener podrapał się po karku.

– Dzieciaki, może i niegłupie, ale i tak dzieciaki. Wydaje mi się, że to nie ma nic wspólnego z Libby McInley.

Poole wyciągnął telefon, żeby zrobić zdjęcia ściany.

– Może pójdziesz pogadać z sąsiadami? Chcę na wszelki wypadek mieć to udokumentowane.

Kolega parsknął.

– Nic z tego, ja łąziłem po sąsiadach McInley, a ty sobie siedziałeś w ciepélku na komendzie. Jeśli ktoś ma teraz wyjść na ten ziáb i snuć się od drzwi do drzwi, to raczej ty, twoja kolej.

Poole z wahaniem zerknął na ścianę.

– Nie martw się, obfotografuję każdy kawałeczek – zapewnił Diener.

Poole skinął głową i przez drzwi frontowe wyszedł z powrotem na mroźne powietrze.

57

MEŹCZYŻNA W CZARNEJ WEŁNIANEJ

CZAPCE

Dzień trzeci, 13.35

Mężczyzna w czarnej wełnianej czapce przyłożył palce do skroni i mocno nacisnął. Myśli kołatały mu się pod czaszką, próbowały się wydostać, to bolało. Bardzo bolało. Nie zdawał sobie sprawy, że znowu zaczął krzyczeć, dopóki dźwięk się nie urwał, a strużka śliny skapnęła mu z warg na kołnierz bluzy. Podniósł powieki i jego oczy zalało światło wpadające przez okna, wwierciło się w źrenice, w siatkówki, nowy ból nakładający się na stary.

Lewą ręką niezdarnie próbował otworzyć fiolkę z lekami, biała nakrętka z zabezpieczeniem przed dziećmi ślizgała mu się w zakrwawionych palcach, dopiero za trzecim razem zdołał ją zdjąć. Wytrząsnął dwie tabletki, włożył do ust i przełknął na sucho, czując w gardle ich szorstką, kredową fakturę.

Buteleczka upadła na biurko, pozostałe pigułki rozsypały się po rysunkach, niektóre z grzechotem pospadały na podłogę. Nie przejmował się tym.

Spojrzał na swoją lewą dłoń z zakrwawionymi palcami. Zaczął się drapać po ranie na głowie, drapał tak długo, aż poleciała krew, ale nawet to nie wystarczało. Kiedy przestał, nastąpiła sekunda, może dwie ulgi. Potem znowu zaczęło się swędzenie, od lewego ucha ku tyłowi głowy, niczym tysiąc robaków

odbywających marsz śmierci pod powierzchnią jego skóry, wwiercających się głęboko do wnętrza głowy.

Robaki zżerały jego myśli. Teraz już to wiedział. Żywiły się jego wspomnieniami. To dlatego miał takie problemy z zapamiętywaniem. Żywiły się i rozmnażały, a swędzenie nasilało się wraz z ich ilością – z początku było ich tylko parę, a teraz całe masy.

Sięgnął po telefon, za pierwszym razem nie trafił. Chwycił i wybrał pierwszy z listy zaprogramowanych numerów, jego numer. Jedyne numer. Rozległ się sygnał, drugi, trzeci...

„Abonent nie uruchomił usługi poczty głosowej, nie jest więc możliwe pozostawienie wiadomości. Prosimy spróbować później”.

Wcisnął „zakończ”, a potem znowu wybrał numer. Trzy sygnały...

„Abonent nie uruchomił usługi poczty głosowej...”

Rozłączył się. Miał ochotę rzucić telefonem na drugi koniec pokoju. Chciał zobaczyć, jak tani plastik roztrzaskuje się na miliony kawałeczków po uderzeniu w ścianę. Nie zrobił tego jednak. Nie mógł.

Potrzebował nowej dziewczyny.

Potrzebował tego człowieka, żeby załatwił mu nową dziewczynę.

Taką, która zobaczy. Która wkrótce zobaczy to, co ma zobaczyć.

Tabletki zaczęły działać, wzrok mu się rozjaśnił i wyostrzył, mężczyzna w czarnej czapce spojrzął na leżący przed nim rysunek. Pamiętał szkicowanie tej konkretnej sceny, jego córka jechała na rowerze po chodniku przed ich domem. To było całkiem niedawno, zaledwie zeszłej jesieni, właśnie zaczynały spadać liście z drzew. Rysunek jednak nie wyszedł dobrze, rower powinien być czerwony. Prawa dłoń zacisnęła się na miękkiej tkaninie swetra córki. Nie pamiętał, żeby go podnosił, a jednak trzymał go teraz zwinięty w kłębek, palcem wskazującym przebijał kołnierzyk.

Podniósł sweter do nosa i powąchał.

Nic.

Nie potrafił dokładnie określić, kiedy stracił zmysł węchu, ale wiedział, że musiało to nastąpić niedawno, prawdopodobnie w ciągu ostatnich kilku dni.

Znikała wraz z jego zmysłami, myślami, wspomnieniami, na których ucztowały robaki.

Pogrzebał wśród przedmiotów rozrzuconych w nieładzie na blacie, znalazł czerwony marker i zdjął zatyczkę. Powoli zbliżył końcówkę flamastra do kartki, celując w metalową ramę roweru. Spodziewał się, że znów zacznie się trząść, jego organizm już się na to przygotowywał: gorąca krew napłynęła mu do twarzy, pod skórą kumulowało się pełne lęku napięcie. Czubek markera dotknął papieru, a mężczyzna stabilną ręką przesunął pisak z boku na bok. Kolorował obrazek, a do oczu napłynęły mu łzy, bo jego dłoń poruszała się tak jak dawniej, powoli i pewnie. Łzy kapały na obrazek, na jego córkę na nowiutkim rowerze.

Z piwnicy dobiegł stłumiony szloch, ale zignorował go.

Nienawidził tej dziewczyny za to, co zrobiła.

Uszkodzona.

Niezdolna zobaczyć.

Bezużyteczna.

Będzie cierpiała za swoje grzechy. Będzie płonęła.

Pokolorował rower i przerzucił się na sweter, identyczny z tym, który trzymał w ręku. Czerwony sweter, zawsze ten sam czerwony sweter. Pomalował go uważnymi pociągnięciami flamastra, jak za dawnych czasów, kiedy wszystko jeszcze było dobrze.

Nawet swędzenie ustało. Niezupełnie, ale złagodniało, i obiecał sobie, że nie będzie się już drapał. Nie zamierzał ryzykować ponownego otwarcia rany.

Kolejny jęk z piwnicy, tym razem głośniejszy od poprzedniego. Skóra na głowie zaświerzbiała na ułamek sekundy. Nie na tyle długo, żeby wymagało to drapania. Nie będzie się drapał.

Skończył ze swetrem i sięgnął po niebieski flamaster, żeby zająć się niebem. Jesienne niebo nad Chicago było zwykle zasnutę szarością, ale tamta przejażdżka na rowerze należała do szczęśliwych wspomnień, a w szczęśliwych

wspomnieniach niebo jest zawsze błękitne. Praca go całkowicie pochłonęła. Nawet nie zauważył przez okno, że ktoś przechodzi przez ulicę, zbliża się do jego drzwi. W ogóle nie zdawał sobie sprawy, że ktokolwiek nadchodzi, dopóki nie usłyszał pukania do drzwi, ciężkiego łomotania na parterze.

Rana zaswędziała, robaki rozbiegły się na swoich malutkich nóżkach, szukając schronienia.

58

PORTER

Dzień trzeci, 13.36

– Chyba skończyła – powiedziała Sarah, zasłaniając dłonią rozdziawione usta.

– Tak myślisz? – Porter wypuścił powietrze wstrzymywane w płucach.

NN stała nieruchomo, pamiętnik tkwił przyciśnięty między jej dłonią a szybą, echo uderzenia wciąż odbijało się od ścian.

Sarah ruszyła w stronę drzwi.

– Daj mi chwilę. Mogę z nią porozmawiać, zanim do nas dołączysz?

Porter skinął głową, nie odrywając oczu od kobiety po drugiej stronie lustra. Wiedział, że ona nie może go widzieć, a mimo to nie mógł się oprzeć wrażeniu, że patrzy wprost na niego. Jej ciemne, znękanne oczy wypełniała furia, a jednak oddychała spokojnie i miarowo. Nie potrafił jej rozgryźć. Jej serce mogło walić jak młotem, ale mogło też bić miarowo i powoli. Podejrzewał, że raczej to drugie. Przez lata pracy w policji spotkał wiele osób, które potrafiły do jakiegoś stopnia kontrolować swój organizm, reakcje fizjologiczne, wytrenować się tak, żeby zachować spokój w obliczu silnych emocji. Zawsze zdradzały je jednak oczy, nie dało się na nie założyć filtra.

Sarah pojawiła się za szybą, ale NN zdawała się jej z początku nie zauważać. Stała bez ruchu. Odwróciła się dopiero, kiedy prawniczka zajęła miejsce przy stole. Przeszła przez salę i usiadła obok Sarah, położyła notatnik na stole.

Nachyliła się do Sarah i szepnęła jej coś do ucha.

Sarah poderwała głowę, jakby wystraszona, może po raz pierwszy usłyszała głos swojej klientki. Odpowiedziała, ale zbyt cicho, żeby Porter mógł dosłyszeć, a potem wstała i podeszła do panelu kontrolującego monitoring umieszczonego na ścianie w rogu. Porter zobaczył, że przełącza dwa pstryczki. Pierwszy wyłączał nagrywanie wideo, drugi – audio. W sali obserwacyjnej panowała grobowa cisza. Sarah zerknęła w jego stronę zza lustra weneckiego, kierując wzrok nieco za daleko w lewo, nieświadoma jego dokładnej pozycji, a potem wróciła na miejsce koło NN.

Wtedy kobieta się do niego uśmiechnęła – oczywiście nieznacznie, ale był to niewątpliwie uśmiech. Potem zwróciła się znów do adwokatkę i nachyliła do niej blisko.

Porter widział ruchy ich warg, rozgrywał się przed nim niemy film, gesty i mowa ciała opowiadały historię, której nie potrafił dokładnie poskładać. NN raz po raz odwoływała się do pamiętnika, kartkowała notes w poszukiwaniu konkretnej strony, przesuwała palcem po tekście, bezgłośnie odczytując słowa drugiej kobiecie. Przez cały ten czas Sarah Werner słuchała. Kiwała i kręciła głową, marszczyła brwi. Czytała fragmenty zapisków, które tamta jej wskazała. Porter miał ochotę wziąć do ręki krzesło, rozwalić szybę i przejść przez dziurę w ścianie do tamtego pokoju. Pragnął tego najbardziej na świecie.

W końcu, blisko trzydzieści minut później, Sarah wstała i wyszła z pokoju. Jej klientka ukryła twarz w dłoniach.

Uchyliły się drzwi sali obserwacyjnej i Sarah zajrzała do środka.

– Chodź, jest gotowa z tobą porozmawiać.

Porter zorientował się, że trzęsą mu się ręce. Choć w pomieszczeniu było pewnie nie więcej niż osiemnaście stopni, czoło miał zroszone potem.

– Dobrze się czujesz?

Skinął głową i ruszył ku wyjściu.

Zaprowadziła go za róg do sali przesłuchań. Strażnika w korytarzu zastąpił inny. Młodszy, Latynos. Obrzucił ich obojętnym spojrzeniem, po czym wrócił do uważnego studiowania najwyraźniej fascynującego fragmentu posadzki.

Porter wszedł do pokoju i znów zajął miejsce naprzeciwko NN. Sarah usiadła obok niej. Strażnik zamknął za nimi drzwi.

NN przesunęła pamiętnik po blacie w stronę Portera, ale nie odrywała palców od czarno-białej okładki.

– To wcale nie było tak.

Nie był pewien, jak wyobraża sobie jej głos. Chyba spodziewał się szorstkiego, władczego tonu. Nic z tych rzeczy. Słowa ześlizgiwały się z jej języka gładko niczym smyczek sunący po strunach skrzypiec. Nie pobrzmiwała w nich złość. Była spokojna, opanowana. Zwrócił uwagę na lekki południowy akcent.

– Nie?

W końcu zdjęła dłonie z notatnika i splotła je na krawędzi stołu, lekko przechylając głowę w lewo.

– Anson zawsze miał wybujałą wyobraźnię, a także tendencje do uzalania się nad sobą.

Sarah siedziała bez słowa po drugiej stronie stołu, popatrzyła na pamiętnik, a potem na niego.

Porter pochylił się do przodu.

– Wie pani, gdzie mogę go znaleźć?

Matka Bishopa zabębniła palcami na stole, paznokcie zastukały o aluminiowy blat.

– Wie pani, gdzie on jest?

I znów pojawił się uśmiech, chociaż próbowała go ukryć, ledwie cień w kąciку ust.

– Proszę mi dać długopis.

– Nie mam.

Żachnęła się.

– No tak, nic dziwnego. Boją się, że ktoś taki jak ja mógłby pana dźgnąć w szyję. Żadnego zaufania od tych u władzy. – Zatupała nogami pod stołem. – A ja tu taka nieskuta, gotowa na atak.

– Daj jej długopis – poprosił Porter Sarah, przyglądając się jej klientce.

Sarah zmrużyła oczy.

– Sam, nie sądzę, żeby...

– Proszę.

Usztywniła się, ton jego głosu zaskoczył ją i chyba nieco obruszył. Westchnęła, sięgnęła do teczki, wyjęła niebieskie pióro kulkowe i położyła je na stole przed NN.

Kobieta wzięła do ręki długopis i odkręciła zatyczkę. Wolną ręką gwałtownie sięgnęła na drugą stronę stołu – Porter cofnął się razem z krzesłem, prawie się przewrócił. Odzyskał równowagę, a kobieta ujęła dłonią pamiętnik i przysunęła go sobie, chichocząc pod nosem.

– Nie ma się czego bać, Sam. Zwykle nie gryzę.

Kiedy usłyszał swoje imię z jej ust, przeszedł go dreszcz, jakby poczuł na kręgosłupie dotyk dłoni nieboszczyka.

Otworzyła notatnik i zapisała coś na pierwszej stronie. Potem założyła z powrotem nakrętkę na długopis i oddała go Sarah, która szybko schowała go z powrotem do teczki.

Porter sięgnął na drugą stronę stołu, zabrał pamiętnik i otworzył okładkę.

– Co to jest?

Uśmiechnęła się, po czym wstała.

– Chciałabym wrócić już do celi.

Podeszła do drzwi i zapukała dwukrotnie w szybę.

W okienku pokazała się twarz strażnika, otworzyła się klapka na wysokości pasa. NN obróciła się plecami do drzwi i wsunęła dłonie w otwór. Strażnik zapiął kajdanki na jej nadgarstkach i zacisnął je z kliknięciem. Zrobiła krok do przodu, drzwi się otworzyły. Strażnik złapał ją za ramię.

– Niedługo znów porozmawiamy, Sam. Nie mogę się doczekać. – Przy drzwiach zatrzymała się na chwilę i dodała: – Poszukaj w miejscu, gdzie kryją się potwory. Tam znajdziesz odpowiedzi.

Po tych słowach strażnik ją wyprowadził, z korytarza dobiegało szuranie miękkich podeszew jej butów.

Sarah zwróciła się do Sama:

– Co napisała?

Przekręcił notatnik do góry nogami, żeby mogła sama przeczytać:

Jenkins Crawl Road 12

Simpsonville, SC

59

POOLE

Dzień trzeci, 14.03

Poole zapukał jeszcze raz, głośniej.

Policzki i szyja zdrętwiały mu od lodowatego wiatru, przeklinał się w duchu za to, że nie założył szalika.

W domu na lewo od opuszczonej posesji nikt nie odpowiedział na pukanie. Zaglądał do okien, ale wyglądało na to, że nikogo nie ma w domu. Zauważył go pies, podniósł łeb spod koca na podłodze i po chwili znów usnął, ani razu nie szczeknąwszy.

Sąsiadka z prawej była w domu, ale niewiele się od niej dowiedział. Kobieta otworzyła mu wyraźnie zirytowana, mocno zaciskała poły grubego różowego szlafroka na dość pulchnym ciele. Z siedemdziesięciocalowego ekranu za jej plecami ryczała piekielnie głośno transmisja golfa. Telewizor zdawał się całkowicie nie na miejscu, zdecydowanie zbyt duży na tak mały, staroświecko umeblowany salon. Tuż za drzwiami, obok stojaka na płaszcze obwieszonego kilkunastoma kurtkami, czapkami i szalikami, stała chwiejna sarta pustych pudełek z Amazona. Na kanapie siedziały dwa pieski, które zaczęły ujadać, gdy tylko zapukał, a kiedy drzwi się otworzyły i Poole znalazł się w ich polu widzenia, jeszcze bardziej się zdenerwowały. W domu unosiła się woń sera.

Kobieta skrzywiła twarz w grymasie, odsłaniając poźółkłe zęby ukryte za popękanymi wargami.

– Czego?

Poole pokazał odznakę.

– Jestem z FBI. Chciałbym zadać kilka pytań o dom na sąsiedniej parceli.

Zignorowała odznakę, nie odrywała od niego wzroku.

– Nic nie wiem o tamtych obok. – Obejrzała się na psy. – Morda, kurwa! Zamknąć mi się!

Uciszyły się na chwilę, żeby nabrać powietrza, po czym zaczęły od nowa.

– Czy w ciągu ostatnich kilku tygodni widziała pani, żeby ktoś wchodził do domu lub z niego wychodził?

– Właściciele mają gdzieś tę chałupę. Po śmierci Hectora te jego niewdzięczne dzieciaki całkowicie zapuściły dom. Powinien był zostawić go mnie. To ja się nim opiekowałam, kiedy rak zaczął tak go męczyć, że nie mógł już nawet pójść do sklepu. To ja przy nim byłam.

Poole wolał nie myśleć o umiejętnościach opiekuńczych, jakimi mogła dysponować stojąca przed nim kobieta.

– A po śmierci Hectora? Kto zaglądał do domu?

Podniosła rękę i podrapała się w policzek, na suchej skórze został różowy ślad.

– Nikogo tam nie było, może poza okolicznymi dzieciakami. Lepiej, żeby tam siedziały, niż się włóczyły po ulicach, więc nikt nie ma nic przeciwko. Jak dzieciom Hectora się to nie podoba, to niech założą lepszy zamek. Może trochę odmalują ściany. Hector nigdy by nie pozwolił tak zapuścić domu.

– A co z pocztą? Ktoś odbiera korespondencję i przekazuje dzieciom Hectora? Nie zauważyłem stosów listów, więc ktoś chyba musi je zabierać.

– Poczta zajmuje się facet z naprzeciwka. Sympatyczny człowiek.

– W którym domu mieszka?

Kobieta pokazała palcem.

– W tamtym zielonym.

Kiedy puściła poły szlafroka, wystrzępiona tkanina frotowa rozchyliła się i Poole'owi mignęło, co dzieje się pod spodem. Żałował, że to zobaczył.

W tej chwili Poole stał na progu zielonego domu po drugiej stronie ulicy.
Zapukał jeszcze raz.

60

MEŹCZYŻNA W CZARNEJ WEŁNIANEJ

CZAPCE

Dzień trzeci, 14.04

Pukanie.

Tak głośne.

Cholerne nacięcie z boku głowy bolało go od tego hałasu, chciał krzyknąć, żeby przestali pukać, zakończyć to. Łomoty jednak ciągle się powtarzały, każdy głośniejszy od poprzedniego, aż w końcu zorientował się, że siedzi przy biurku z rękami przyciśniętymi do uszu, a flamaster wyslizgnął mu się z palców i upadł na podłogę.

Wstał.

Chwiejnym krokiem ruszył ku wyjściu z pokoju, dotarł do schodów, prawie się przewracając na porozrzucanych ubraniach córki.

Ostrożnie zszedł po schodach, odsłaniając uszy tylko na chwile potrzebne, żeby przytrzymać się poręczy i nie stracić równowagi.

Każde puknięcie odbijało się echem w jego głowie.

Ból był gorszy niż migrena. Gorszy niż nóż wbity w oko.

Chciał, żeby ustąpił.

Potrzebował tego.

Dotarł do podnóża schodów i potykając się, przeszedł przez hol do drzwi frontowych. Kiedy się przy nich znalazł, kiedy poczuł w dłoni miedzianą gałkę, wziął głęboki oddech. Siłą wtłoczył powietrze w płuca, w mięśnie, w ciało. Kazał kojącemu powietrzu wypełnić jego ciało i uśmierzyć ból. Poczuł, że palenie w policzkach ustępuje. Że ból słabnie. Że rozjaśnia mu się umysł.

Zmusił się do uśmiechu i otworzył drzwi.

61

POOLE

Dzień trzeci, 14.04

Kiedy drzwi się otworzyły, Poole patrzył na odznakę trzymaną w lewym ręku, prawą zaś zamierzał kolejny raz zapukać.

Kiedy drzwi się otworzyły, Poole nie zorientował się, że to Anson Bishop je otworzył. Podniósł wzrok na twarz mężczyzny dopiero chwilę po tym, jak tamten zauważył jego odznakę.

Zdążył ledwie zarejestrować swój błąd, zanim Bishop zacisnął pięść na kołnierzu jego kurtki i wciągnął go do zielonego domu z siłą człowieka napędzanego czystą adrenaliną. Zdążył ledwie usłyszeć cztery słowa z ust Bishopa, zanim ten wciągnął go do środka i cisnął detektywem o stół w przedpokoju, posyłając go z impetem na ziemię.

– To nie Sam Porter.

62

MEŹCZYŻNA W CZARNEJ WEŁNIANEJ

CZAPCE

Dzień trzeci, 14.04

Otworzył drzwi.

Na ganku stały dwie osoby. Chłopak i dziewczyna, mniej więcej szesnastoletni.

Chłopiec odezwał się pierwszy. Miał na sobie białą koszulę i czarny krawat pod grubą kurtką puchową.

– Dzień dobry panu. Odwiedzamy dziś pana i pańskich sąsiadów, aby głosić prawdę. Czy mógłbym zapytać, jaką religię pan wyznaje? Jest pan protestantem? Katolikiem?

Dziewczyna gapiała się na ranę na głowie mężczyzny ze speszonym uśmiechem na ustach. Naciągnął czapkę z powrotem szczelnie na głowę, w miarę możliwości zasłaniając jątrzące się cięcie.

– Nie... niedawno miałem operację. Przepraszam, zwykle to zasłaniam. Wiem, że wygląda... nieprzyjemnie.

Chłopiec zerknął na dziewczynę, a potem zwrócił się znowu do niego.

– Skoro nadal jest pan wśród nas, Bóg najwyraźniej chciał pana zachować. Blizny nie są nam nieprzyjemne. Są oznaką gojenia, dowodem wiary, podobnie jak doświadczenia, które do nich prowadzą.

Mężczyzna w czarnej wełnianej czapce złapał się na tym, że mu potakuje, a ból i świąd niemal całkowicie ustały.

– Może wejdziecie? Nie będziecie tak marzli na dworze?

Dziewczyna przestąpiła z nogi na nogę. Splotła palce z palcami chłopaka, ten zaś uśmiechnął się szeroko.

– Bardzo chętnie – powiedział.

63

POOLE

Dzień trzeci, 14.05

Stolik rozpadł się w drzazgi, ramię Poole'a paliło z bólu – runął na podłogę, a wokół spadł deszcz odłamków drewna.

Bishop złapał go jedną ręką za kolano, drugą tuż pod ramieniem, podniósł i z półobrotu rzucił nim o przeciwległą ścianę przedpokoju. Poole poczuł, jak jego głowa wali najpierw w ścianę, a potem w drewnianą podłogę z głośnym łoskotem. Przed oczami wybuchła mu fala białego światła, a potem poczuł ból tak silny, że obawiał się utraty przytomności. Ból zaczynał się w barku, tuż pod szyją, i promieniował na całą rękę.

Poole osunął się na ziemię jak kupka szmat, kolba pistoletu wbijała mu się w miękką i wrażliwą skórę pod pachą.

Bishop kopnął go w zębra.

Nowy ból, ostrzejszy od poprzedniego.

Jak przez mgłę zobaczył Bishopa, który cofnął się o krok i podniósł nogę od strzaskanego stolika. Ukląkł obok Poole'a.

– Musisz mi wybaczyć, nie spodziewałem się gości. Gdybym wiedział, że wpadniesz z wizytą, kupiłbym jakiś smakołyk w piekarni za rogiem. Mają tam przepyszne babeczki, nie za słodkie. Wydaje mi się, że dodają kroplę miodu, ale piekarka nie chce zdradzić tajemnicy.

Bishop podniósł nogę stołową i z całej siły uderzył nią Poole'a w kark.
Zapadła ciemność.

64

MEŃCZYNA W CZARNEJ WEŁNIANEJ

CZAPCE

Dzień trzeci, 14.05

Mężczyzna w czarnej wełnianej czapce wprowadził gości do środka i zaproponował, żeby zdjęli kurtki. Chłopak rozebrał się i podał mu okrycie. Dziewczyna nie. Nawet nie odsunęła zamka.

Uśmiechnął się do nich.

– Właśnie miałem zrobić gorącą czekoladę. Może się poczęstujecie? W taki zimny dzień nie ma nic lepszego niż kubek gorącej czekolady. Usiądziemy sobie wygodnie w kuchni, opowiecie mi dokładnie, co was sprowadza.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się od nich i ruszył krótkim korytarzem do kuchni. Chłopak poszedł za nim, dziewczyna na końcu. To jej krokom się przysłuchiwał, wyłapywał niepewność i wahanie. Miała buty zimowe o twardych podeszwach.

W kuchni wysunął dwa krzesła spod stołu.

– Proszę, rozgośćcie się. Zajmie mi to chwilę.

– To bardzo miłe z pana strony – powiedział chłopak.

Kątem oka mężczyzna w wełnianej czapce widział, jak chłopak wysunął trochę bardziej krzesło dla dziewczyny. Ta spojrzała na niego wymownie i usiadła. Z jej ust padło ledwie słyszalne „dziękuję”.

– Możecie mi się przedstawić? Jak wam na imię?

Z szafki nad kuchenką wyciągnął głęboki miedziany rondel, wlał mleko i postawił na gazowym palniku. Błękitne języki płomienia lizały dno garnka.

– Ja się nazywam Wesley Hartzler, a to moja przyjaciółka Kati Quigley – powiedział chłopak, rozłożył na stole kilka pism, po czym splótł dłonie.

„Strażnica” i „Przebudźcie się!”.

– Świadkowie Jehowy?

– Wie pan coś na ten temat? – zapytała dziewczyna. Ona też trzymała dłonie na stole, ale nie zdjęła rękawiczek, a jej palce poruszały się nerwowo.

Miała słodki głos. Dźwięczał jak kryształowy dzwoneczek.

Wyjął dużą drewnianą łyżkę z szuflady po lewej i zaczął mieszać mleko.

– Obcowałem z wieloma formami Słowa Bożego. Muszę jednak przyznać, że kiedy do drzwi pukają Świadkowie, zwykle są znacznie starsi niż wasza dwójka.

– Mamy po szesnaście lat. To wystarczająco dużo, żeby głosić Słowo – powiedział chłopak.

– Wesley, zgadza się?

– Tak, proszę pana.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. Wszyscy możemy się wiele nauczyć od młodych, a w dzisiejszych czasach tak często się was ignoruje.

Przyniósł trzy kubki, znalazł puszkę czekolady w proszku w innej szafce nad kuchenką i wsypał solidną porcję do każdego kubka. Kiedy mleko zaczęło się gotować, rozlał płyn na trzy równe części i dodał po kropli aromatu waniliowego.

– Moja mama zawsze tak podawała kakao, z wanilią, a ja nawet po tylu latach nie mogę się odzwyczaić. Wanilia dodaje nutkę tajemnicy, odrobinę wyjątkowości.

Postawił napoje przed gośćmi i po chwili wrócił do stołu, trzymając swój kubek w obu dłoniach. Usiadł i obdarzył ich uśmiechem.

– Domyślam się, że w dzisiejszych czasach trudno jest głosić Słowo Boże. Wielu ludzi jest tak zagubionych. To musi budzić frustrację.

– Jaką religię pan wyznaje, panie...? – zapytała Kati Quigley. Zdjęła rękawiczki i otuliła kubek dłońmi. Zauważył jednak, że się nie napiła.

– Na imię mi Paul. – Uśmiechnął się i pociągnął łyk kakao.

– Jak jeden z apostołów – zauważył Wesley i też się napił.

– Właśnie tak, jak apostoł. – Otarł usta rękawem bluzy. – Jeśli chodzi o religię, to można mnie chyba nazwać poszukującym. Czerpię trochę stąd, trochę stamtąd. Przekonałem się, że sam proces odkrywania może prowadzić do oświecenia tak samo jak lektura Pisma Świętego.

– Nasz zbór jest o jakiś kilometr stąd. Powinien pan do nas dołączyć. W każdą sobotę wieczorem mamy otwarte spotkania, zaczynają się o dwudziestej i trwają zwykle nie dłużej niż godzinę. Wszyscy zgromadzeni na pewno chętnie wysłuchaliby pana poglądów. – Wesley pociągnął kolejny łyk kakao. Okruszek czekolady utkwiał mu w kąciku ust. – Przepyszne.

Siedząca obok Kati podskoczyła i spojrzała na chłopaka zmrużonymi oczami.

Czyżby kopnął ją pod stołem?

Wesley opowiadał dalej.

– Po spotkaniu podajemy zwykle ciasto i napoje. Mógłby pan zdradzić swój przepis na gorącą czekoladę.

– Brzmi bardzo zachęcająco.

Kati podniosła kubek do ust. Zauważył, że powąchała parujący napój. W końcu niechętnie pociągnęła niewielki łyk.

– Mmm, niebo w gębie. – Odstawiła kubek na stół i kilkakrotnie obróciła dookoła, po czym opuściła dłonie na podolek.

– Cieszę się, że wam smakuje.

– Ma pan rodzinę, panie Paulu? – zapytała Kati.

– Mam córkę w twoim wieku. Też bywa trochę nieśmiała.

– O, ja nie jestem nieśmiała.

– Nie?

Kati pokręciła głową, znowu próbując czekolady. Nie potrafił stwierdzić, czy rzeczywiście pije, czy tylko podnosi kubek do ust, próbując stworzyć pozory.

– Z Kati robi się niezła gaduła, kiedy już kogoś bliżej pozna – wtrącił się Wesley.

– A gdzie jest pańska córka? W domu? – Kati obrzuciła wzrokiem małą kuchnię.

– Na górze, odpoczywa. Ostatnio niezbyt dobrze się czuje.

– A ma pan żonę?

Mężczyzna w czarnej wełnianej czapce spuścił wzrok.

– Niestety, straciliśmy ją przy narodzinach córki. Wystąpiły pewne... komplikacje.

– Niezbadane są...

Zbył ją machnięciem ręki.

– Wiem co nieco na temat wyroków boskich.

– To próby. Bóg pana sprawdza. Sprawdza siłę pańskiej wiary – powiedział Wesley.

– Możliwe, że to prawda, ale wcale nie czyni to takich doświadczeń mniej bolesnymi. Czy któreś z was straciło kiedyś kogoś bliskiego? Kogoś, kto był dla was całym światem?

Wesley i Kati wymienili spojrzenia, po czym pokręcili głowami.

– Jesteście tacy młodzi. Miejmy nadzieję, że jeszcze bardzo długo nie spotka was nic takiego. Miejmy nadzieję, że Bóg nie ma żadnego powodu, żeby upatrzeć sobie któreś z was. A jeśli tak się stanie, to miejmy nadzieję, że będzie akurat miał dobry dzień.

– Każdy dzień jest dobry, jeśli spędzić go z Bogiem.

– Tak... Pewnie masz rację.

– Przyprowdzi pan córkę na nasze spotkanie? – spytała Kati.

Uśmiechnął się.

– Jestem pewny, że z największą przyjemnością przyszlaby do waszego zboru.

Wesley dopił gorącą czekoladę i nieco ostentacyjnie odstawił pusty kubek na stół.

– No dobrze, chyba będziemy się zbierać, na nas już czas. Chcielibyśmy przeprowadzić dziś jeszcze wiele rozmów. – Przesunął ulotkę po blacie. – Na odwrotnej stronie jest adres Kingdom Hall, tak się nazywa nasz zbór. Jak już mówiłem, to bardzo blisko stąd. Byłoby nam bardzo miło, gdyby pan przyszedł. Razem z córką.

Mężczyzna w czarnej wełnianej czapce wypił ostatni łyk kakao i podrapał się w ranę z boku głowy. Znowu zaczął odczuwać lekkie pulsowanie.

– Powiedz mi, Wesley, co według Świadków Jehowy dzieje się z duszą po śmierci?

Wesley zaczął już wstawać z krzesła, ale teraz zerknął na Kati i z powrotem usiadł.

– Wierzymy, że dusza umiera wraz z ciałem. To kara za grzechy popełnione przez Adama i Ewę.

– Czyli nie ma nieba? Ani piekła?

– Ależ nie, jest niebo, ale Bóg wpuści do niego dusze zaledwie stu czterdziestu czterech tysięcy osób, które będą wraz z nim rządzić pod przywództwem Chrystusa i uczynią niebo na ziemi.

– W takim razie co się stanie z całą resztą?

Kati założyła ręce.

– Bóg powiedział w Księdze Rodzaju: „wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty; bo prochem jesteś i w proch się obrócisz”⁶.

– Czyli nie ma żadnej nadziei. – Powiódł ręką po pomieszczeniu. – Tyle tego wszystkiego, a i tak jesteśmy marnym prochem. Wszyscy, których kochamy, to tylko pokarm dla robaków i drzew. – Usłyszał w swoim głosie narastający gniew, więc szybko go stłamsił. – Powinniśmy zatem chyba robić wszystko, co w naszej mocy, żeby stać się ludźmi prawymi, a dzięki temu mieć szansę znaleźć się w gronie tych stu czterdziestu czterech tysięcy.

Wesley podsunął mu ulotkę jeszcze bliżej.

– Najlepiej się do nas przyłączyć, głosić Słowo Boże, to daje największą nadzieję. Nigdy nie jest za późno.

Mężczyzna w czarnej czapce zaplótł palce na pustym kubku.

– No nie wiem. Dla niektórych z nas chyba jednak jest już za późno.

Zamachnął się kubkiem i zdzielił Wesleya w bok głowy. Ceramiczne naczynie pękło od uderzenia, a małe uszko zwiśło na sekundę z jego palca, zanim opadło na stół. Wesley osunął się w bok i runął na podłogę, ciągnąc za sobą krzesło.

Kati potrzebowała chwili, żeby sobie przyswoić, co się właśnie stało. Nie mogła oderwać szeroko otwartych oczu od chłopca leżącego na podłodze tuż obok niej. Patrzyła jak ktoś całkowicie pochłonięty programem w telewizji, jej mózg nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co właśnie zobaczyła.

Mężczyzna w czarnej wełnianej czapce wykorzystał tę chwilę wahania – rzucił się na nią i złapał za kołnierzyk kurtki.

Kati uderzyła go w ramię, zmuszając do zwolnienia uścisku, i chlusnęła mu w twarz resztkami gorącej czekolady, po czym wyrwała się i popędziła korytarzem ku frontowym drzwiom.

Płyn poparzył mu delikatną skórę pod oczami. Nie obchodziło go to. Nawet nie poczuł. Przesadził powalone krzesło i ruszył za nią.

– Kati! Skarbie. Nie nauczyli cię, że nie wypada wstawać od stołu, dopóki gospodarz nie powie, że już można?

Dobiegła do wyjścia i zaczęła ciągnąć za klamkę, szarpać się z zasuwą.

Klucz miał w kieszeni.

Łomotała w drzwi pięściami. Zaczęła wrzeszczeć. Ledwie ją słyszał. Jej krzyki były stłumione, jakby dobiegały spod wody. Kati odwróciła się i oparła plecami o drzwi.

– Proszę...

Sięgnął ręką do rany. Na palcach została mu mokra, świeża krew. Wyobraził sobie krew sączącą się przez świeżo przekopaną ziemię na jakimś opuszczonym cmentarzu.

– Proszę, nie...

Głowa dziewczyny stuknęła przyjemnie, kiedy uderzył ją o drewnianą podłogę, a jego palce zostawiły krwawe ślady na jej czole.

65

PORTER

Dzień trzeci, 14.06

– Co to znaczy? To jej adres? Stamtąd jest? – pytała Sarah Werner.

Stali w kolejce do szafek na przedmioty osobiste, czekali na wyjście z więzienia.

– Nie możesz tam jechać – powiedział Porter stanowczo.

Sarah się zachnęła.

– Nie powiedziałam, że chcę jechać. Gdybym chciała, tobym powiedziała.

– Coś tam się kotłuje w tej twojej głowie i wcale mi się to nie podoba.

– To moja klientka. Też mam prawo tam jechać, tak samo jak ty. Cokolwiek się tam znajduje, może dostarczyć mi dodatkowych informacji, pozwolić mi lepiej zrozumieć sprawę i pomóc tej kobiecie.

– Cokolwiek się tam znajduje, stanowi część otwartego śledztwa w sprawie 4MK.

– Chciałabym też przeczytać ten pamiętnik.

– To materiał dowodowy.

Sarah uśmiechnęła się złośliwie.

– Materiał, który nie został opisany, a ty nosisz go w kieszeni, dotykasz bez rękawiczek i wyraźnie nie przejmujesz się pilnowaniem łańcucha dowodowego.

Dotarli na początek kolejki. Porter wsunął kluczyk do zamka, otworzył drzwiczki i wyjął zawartość szafki: pasek do spodni, sznurowadła, portfel, tani

telefon na kartę i nóż – mały składany nóż myśliwski.

„Nóż Bishopa”.

– Może pójdziemy na późny lunch? – zaproponowała Sarah. Porter pochował wszystko do kieszeni i włożył sznurowadła z powrotem do butów.

– Muszę jechać na lotnisko.

– Powinniśmy o tym porozmawiać. Możesz zarezerwować lot w restauracji. – Przechyliła głowę na bok, ciemne włosy spłynęły jej po ramieniu. – Nie możesz tak lecieć z pustym żołądkiem, a poza tym założę się, że nie wpuszczą cię do samolotu, kiedy się dowiedzą, że podczas pobytu w Luizjanie nie spróbowałeś autentycznej kuchni kreolskiej.

– Nie jest łatwo ci odmówić – stwierdził Porter, czując na udzie ciężar noża.

Pół godziny później siedzieli przy małym stoliku w kącie Dooky Chase’s na rogu Orleans Avenue i Miro Street. Przed Porterem stały trzy talerze: jeden z krewetkami i fasolą limeńską, drugi z zapiekanką ziemniaczano-serową i trzeci z kanapką. Samolot z Nowego Orleanu do Greenville w Karolinie Południowej odlatywał za niecałe dwie godziny. Na miejscu będzie musiał wynająć samochód i dojechać do Simpsonville, jakieś dwadzieścia minut drogi.

– Kiedy ostatnio coś jadłeś? – zapytała Sarah, gapiąc się na górę jedzenia. Sama zamówiła miseczkę gumbo i dużą herbatę mrożoną.

Porter musiał się chwilę zastanowić.

– Chyba wczoraj, jakiegoś batona. – Spojrzał na talerze, skacząc wzrokiem między różnymi daniami. – Podbój czy krewetki, podbój czy krewetki, podbój czy krewetki...

– Ta kanapka nazywa się *po’ boy*, a nie „podbój”. Uważaj, bo dostaniesz lanie od miejscowych.

Porter spróbował krewetek, a zaraz potem nabrał na widelec trochę zapiekanki. Oczy aż mu się zaświeciły.

– Rewelacja.

– Leah Chase gotuje tutaj od siedemdziesięciu lat. Jest już po dziewięćdziesiątce. Nadal serwuje najlepsze żarcie w mieście – powiedziała Sarah. – Widywałam tu Raya Charlesa. Martin Luther King zaglądał przy każdej wizycie w mieście. Barack Obama jest wielbicielem tej knajpy. Musisz spróbować gumbo.

Podsunęła mu łyżkę pełną zupy. Porter zamarł na chwilę, bo nagle przypomniało mu się, jak Heather karmiła go podczas kolacji rocznicowej dwa lata temu w Carl's Steakhouse.

– Sam?

Porter się ocknął, wziął łyżkę i spróbował gumbo. Wyśmienite.

– Wszystko w porządku? Jakbyś na chwilę odpłynął.

Przez okno, koło którego siedzieli, wpadały potoki słońca, promienie błyszcząły w oczach Sarah. Porter przeciągnął lewym kciukiem po obręczce ślubnej. Poruszył palcami i położył rękę na kolanach.

– W więzieniu wydarzyło się coś jeszcze – powiedział, zajadając się ziemniakami. – Nie byłem pewny, czy powinienem ci o tym mówić, ale uznałem, że powinnaś wiedzieć.

– O czym?

Sięgnął do lewej kieszeni, wyjął telefon i położył go na stole. Następnie z prawej kieszeni wydobył nóż i umieścił go koło telefonu.

– Przeszedłem do więzienia bez komórki i noża. Ktoś podrzucił mi to do szafki, kiedy rozmawialiśmy z twoją klientką.

Sarah wytrzeszczyła oczy.

– Powinniśmy tam wrócić, powiedzieć naczelnikowi.

Porter pokręcił głową.

– To nie jest dobry pomysł. Pewnie skonfiskowałyby telefon, wszczął jakieś śledztwo. Zaaresztuje winnego, a ja stracę drogę kontaktu z Bishopem. – Pstryknął nóż, który zakręcił się na blacie. – Bishop wspominał o takim nożu w swoim pamiętniku. To może być ten sam.

– Myślisz, że Bishop podrzucił ci te rzeczy?

– Może nie on osobiście, ale ktoś, kto dla niego pracuje. – Porter zerknął na wyświetlacz. Telefon był włączony i naładowany do pełna.

– Mogę zobaczyć?

Porter podał jej aparat.

Sarah przejrzała zawartość.

– To nie smartfon. Rejestr połączeń jest pusty, nie ma zapisanych kontaktów, żadnych wiadomości. Myślę, że nikt go wcześniej nie używał. – Oddała mu telefon. – I co teraz? Czekamy, aż zadzwoni?

Porter wgryzł się w kanapkę.

– Teraz ty wracasz do kancelarii, a ja jadę na lotnisko.

– Naprawdę sądzisz, że pozwolę ci to zrobić samemu?

– Nie przypominam sobie, żebyś była zaproszona.

– To moja klientka. Zasluguje, żeby się dowiedzieć, dokąd to wszystko prowadzi.

– Zadzwonię.

– Z tej jednorazówki? – Nachyliła się nad blatem. – Ilu policjantów podróżuje służbowo bez broni i własnego telefonu? Może pokażesz mi odznakę, co? Widziałam tylko wizytówki. Mogłeś je sobie wydrukować w punkcie ksero.

– Nie tak głośno.

Ściszyła głos, ale jej słowa bolały bardziej, niż kiedy krzyczała.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś jakimś psycholem, który udaje glinę?

– Daj mi swój telefon – powiedział Sam spokojnie.

– Po co?

– Proszę cię.

Wzięła głęboki oddech, wyciągnęła iPhone'a z torebki i podała mu.

Porter otworzył przeglądarkę i wpisał swoje nazwisko. Pojawiły się dziesiątki artykułów ze zdjęciami, przedstawiającymi zarówno jego, jak i Ansona Bishopa i niektóre z jego ofiar. Podał jej komórkę z powrotem.

Sarah popatrzyła na ekran, przejrzała nagłówki, po czym schowała telefon.

– Musisz być ze mną szczery, Sam. Możesz mi zaufać. Chcę ci pomóc.

Tak więc zrobił.

Powiedział jej wszystko.

66

POOLE

Dzień trzeci, 14.23

Poole zatrzepotał powiekami. Mignął mu hol wejściowy, próbował wstać, ale znowu zemdlął.

Nie był pewny, jak długo leżał nieprzytomny ani kiedy się ocknął. Gdy odzyskał przytomność za drugim razem, na wszelki wypadek został w pozycji leżącej. Zamglonym wzrokiem potoczył po korytarzu. Próbował nasłuchiwać odgłosów w budynku, ale niemal wszystko zagłuszał dźwięk krwi dudniącej w uszach.

Leżał tak przez kilka minut, może tylko sekund. Czas i świadomość nie były już płynne, zmieniły się w sznurkową drabinkę bez początku ani końca, w coś, czego próbował się kurczowo trzymać.

Łomotanie w uszach ucichło, zamiast niego usłyszał rytmiczne tykanie starego zegara gdzieś w głębi korytarza. Widział jego bok, ale tarcza była zwrócona w drugą stronę, wskazówki wskazywały coś innego.

Oswobodził prawą dłoń i wyciągnął glocka z kabury pod pachą.

Ani śladu Bishopa.

Poole usiadł powoli, potem kucnął, czekając, aż zawroty głowy ustąpią. Lewą ręką wymacał delikatny punkt na karku, w który uderzył Bishop. Miał tam guza wielkości pięści, ale ani śladu krwi. Możliwe, że doznał wstrząsu mózgu, nie był

pewny. Poole zebrał się w sobie i zmusił do wstania. Zrobiło mu się białło przed oczami, musiał się oprzeć o ścianę, żeby znowu nie zemdleć.

Pistolet wydawał się ciężki, wysuwał mu się z dłoni. Ścisnął mocniej, celowo przyciskając palec do ostrego fragmentu osłony spustu – ukłucie bólu pomagało mu się skupić.

Poole ruszył przed siebie korytarzem, trzymając broń obiema wyprostowanymi rękami, z lufą skierowaną w dół.

Przedpokój prowadził do skąpo umeblowanego salonu z jadalnią i aneksem kuchennym pod tylną ścianą. Przeszukał wszystkie trzy części pomieszczenia, po czym jego uwagę zwrócił inny korytarz, na lewo od tej otwartej przestrzeni. W przeciwieństwie do holu wejściowego ten korytarz był wąski. Na jednym końcu znalazł małą łazienkę, na drugim – sypialenkę. Pościel na dwuosobowym łóżku była porządnie naciągnięta. Bishop zaścielił.

Pod przeciwległą ścianą stała komoda. Trzy szuflady były wyciągnięte, wszystkie puste. Wrócił do łazienki i odkrył mokrą umywalkę, ale brak podstawowych przyborów higienicznych.

Ogarnęło go wrażenie, że Bishop przebywał tu już od jakiegoś czasu, że był to dla niego swego rodzaju azyl. Nie spodziewał się wizyty agenta federalnego. Spłoszył się i szybko się ulotnił.

Poole sięgnął po komórkę. Nie było jej.

Wrócił do holu z myślą, że pewnie wypadła mu podczas walki z Bishopem, ale tam też jej nie było.

„Diener”.

Poole podszedł do drzwi i szarpnął za gałkę.

Zamknięte na klucz.

Bishop dopilnował, żeby zamknąć drzwi.

Poole zaczął gmerać przy zasuwie, ale ruchy wciąż miał sztywne, jakby jego dłonie należały do kogoś innego.

W końcu uderzyła go fala zimowego powietrza.

Drzwi opuszczonego domu po drugiej stronie ulicy stały otworem.

Poole przebiegł przez jezdnię, wciąż trzymając przed sobą broń, fragmentem świadomości rejestrując ruch zasłony opadającej na miejsce w oknie sąsiadki, jej ciało podświetlone od tyłu na zielono przez ekran telewizora, na którym turniej golfowy został właśnie przerwany przez reklamę samochodu.

Nie zdawał sobie sprawy, że woła Dienera po imieniu, dopóki dźwięk jego własnego głosu nie wrócił do niego echem w cichym domu, i nie od razu zauważył też ciało oparte o narożnik ściany salonu, z szyją, płaszczem i koszulą zalanyymi krwią.

67

POOLE

Dzień trzeci, 14.26

Krew była ciepła.

Poole przycisnął palec wskazujący do szyi Dienera – choć wiedział, czego może się spodziewać, coś kazało mu sprawdzić. Obserwowało go martwe oko Dienera, gapiło się na niego przez wąską szparę między powiekami. Lewe oko usunięto, została po nim czarna dziura. Dienera pozbawiono także języka oraz lewego ucha.

Bishop uderzył ostrzem tuż pod podbródkiem, a potem pociągnął w dół, przecinając żyłę zażuchwową. Jedna ręka Dienera była pokryta krwią. Najwyraźniej próbował zatamować upływ krwi, ale jego wysiłki spełzły na niczym. Prawdopodobnie wykrwawił się w niecałą minutę.

Poole zauważył, że pistolet Dienera nadal tkwi w kaburze. Bishop musiał go zaskoczyć, nie dał mu czasu na wyciągnięcie broni. Kiedy Diener usłyszał, że otwierają się drzwi wejściowe, założył pewnie, że to Poole.

Rany po uchu i oku nie były mocno zakrwawione, co sugerowało, że usunięto je już po śmierci.

Poole nie musiał długo szukać brakujących narzędzi.

Z pokrytej graffiti ściany usunięto kilka fragmentów tynku, w sumie cztery kwadraty. Bishop wyciął wiersze zapisane czarnym markerem i umieścił oko, ucho i język Dienera w trzech z czterech otworów.

Serce waliło Poole'owi jak młotem, bolał go guz na karku. Nachylił się nad ciałem i przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu telefonu.

Nic z tego.

Wyprostował się, ale gwałtowny ruch sprawił, że stracił równowagę. Wyciągnął rękę i oparł się o ścianę, pod palcami czuł brudny, szorstki tynk.

Dopiero po dziesięciu minutach doszedł do siebie na tyle, żeby pójść do sąsiadów i zadzwonić po posiłki.

68

CLAIR

Dzień trzeci, 14.30

– Dlaczego Bishop miałby współpracować z Libby McInley? – zapytała Clair.

– Co ważniejsze, dlaczego Libby McInley miałaby współpracować z Bishopem? Przecież zabił jej siostrę, na litość boską – odparł Nash.

Byli z powrotem w pokoju narad.

Zdjęcie Bishopa za kierownicą furgonetki zostało powiększone i wydrukowane, teraz wisiało przyklejone do tablicy z przodu pomieszczenia.

– Musimy powiadomić FBI – odezwał się Kloz zza stołu konferencyjnego. – Te sprawy mają związek z 4MK. Muszą o tym wiedzieć.

Clair i Nash zmierzyli go wzrokiem.

Podniósł ręce w obronnym geście.

– No co? Nie możemy tego ukrywać.

– Gdzie jest teraz Libby McInley? Wyszła z więzienia, zgadza się? Ma jakiegoś kuratora, ktoś jej pilnuje? – spytała Clair.

Klozowski przysunął sobie laptop. Zaczął stukać w klawisze, ale po kilku kliknięciach twarz mu zbladła.

– Co?

Z szeroko otwartymi oczami Kloz szybko przebiegał tekst wzrokiem.

– Niedobrze to wygląda.

Clair pokręciła głową, podeszła do niego i przesunęła komputer tak, żeby zobaczyć ekran.

– Proszę bardzo, nie krępuj się, wcale nie czytałem – powiedział Kloz z przekąsem.

Uciszyła go gestem podniesionej dłoni.

Kloz odsunął się od stołu na fotelu na kółkach.

– Kurwa, kurwa, kurwa mać – wyrzuciła w końcu z siebie Clair i oddała mu laptopa.

– No – przytaknął Kloz.

– Co jest? – zapytał Nash, podchodząc do stołu.

– Poole i spółka znaleźli wczoraj zwłoki Libby McInley. Nie miała oczu, ucha i języka. Przed śmiercią była torturowana – odpowiedziała Clair.

Nash zmarszczył czoło.

– Jeśli Libby i Bishop działali razem, to czemu miałyby ją zabijać? To bez sensu.

– A kiedy Bishop robił coś z sensem? – Clair zerknęła w stronę drzwi prowadzących na korytarz, po którego drugiej stronie znajdował się pokój zajmowany przez FBI. – Czemu nic nam nie powiedzieli?

Kloz sapnął z irytacją.

– Parę sekund temu sama chciałaś przed nimi zataić informacje o Bishopie, a teraz się zastanawiasz, czemu nie puścili pary z gęby? – Rozłożył szeroko ręce.

– Ich sprawa, nasza sprawa. Dwie różne sprawy.

– Do tej pory – rzucił Nash.

– Do tej pory.

Clair przemierzyła pokój narad i wyjrzała na korytarz.

– Nie widziałam ich od wczoraj, a wy? Drzwi mają zamknięte.

– Nie widziałem nikogo od nich od czasu tej sceny u Portera – powiedział Nash.

Clair obróciła się do niego.

– Powinniśmy znowu spróbować się dodzwonić do Sama.

Nash wyjął telefon i wybrał numer. Po chwili pokręcił głową.

– Nadal tylko poczta, nie odbiera.

– Musimy do niego jechać – stwierdził Klozowski. – Coś jest nie tak.

– Myślałam, że boisz się pakować w kłopoty. Uważasz, że powinien wypić piwo, którego sobie nawarzył, wypełniać rozkazy – powiedziała Clair.

– To było godzinę temu. Teraz mam wrażenie, że coś jest nie tak.

Nash nie odrywał wzroku od wyświetlacza telefonu.

– Chłopak ma rację, coś tu nie gra. Sam nigdy tak po prostu nie zapada się pod ziemię. Powinien odebrać telefon przynajmniej od kogoś z nas.

Clair westchnęła.

– No dobra. Zastanówmy się, co powinniśmy teraz zrobić, a jak już wyjdziemy, to przy okazji zahaczmy o jego mieszkanie.

– W porządku, dobry pomysł – przytaknął Nash.

Clair wróciła do tablicy.

– Dobrze, skupmy się. Musimy połączyć fragmenty tej układanki. Co Bishop ma z tym wszystkim wspólnego?

Ktoś zapukał do drzwi. Cała trójka obróciła się i zobaczyła Sophie Rodriguez stojącą na progu. Clair poczuła, jak twarz jej się wydłużyła.

– O nie.

Sophie weszła do środka. Miała wory pod oczami. Ręce zwisały jej bezwładnie wzdłuż boków.

– Dziesięć minut temu dostaliśmy zgłoszenie. Larissa Biel. Mniej więcej w tym samym wieku co pozostałe. Miała wieczorem iść na szkolny bal. Matka chciała zrobić jej niespodziankę, więc wykupiła wspólną wizytę w spa. Rano poszła na parę godzin do pracy, a kiedy wróciła, Larissy nie było w domu. Zaczęła dzwonić po znajomych, ale nikt jej nie widział. Słyszała w wiadomościach o innych dziewczynach, więc wpadła w panikę i zadzwoniła do nas. – Sophie się zawahała. – Sama nie wiem, może jeszcze za wcześnie, ale mam złe przeczucia.

– Kiedy widziano ją po raz ostatni? – zapytała Clair.

– Matka powiedziała, że kiedy wychodziła do pracy, dziewczyna jeszcze spała. To było o wpół do siódmej. Ojciec twierdzi, że nie ma śladów włamania, a jej pokój wygląda „normalnie”, cytuję. Razem z dziewczyną zniknęły jej buty, kurtka i telefon.

Nash sięgnął po kurtkę.

– Musimy zabezpieczyć rodziców. Jeśli to robota Bishopa, to im również może grozić niebezpieczeństwo.

Sophie zmarszczyła brwi.

– Skąd myśl, że to Bishop?

– Opowiemy ci po drodze. – Odwrócił się do Klozowskiego. – Kloz...

– Już się robi. – Informatyk znowu siedział przy komputerze. – Sprawdzam wszystkie nekrologi z ostatnich dwóch tygodni na nazwisko Biel. Jak mają na imię jej rodzice?

– Darlene i Larry – odparła Sophie.

– Masz numer telefonu Larissy? Zacznę ją namierzać.

Komórka Kloza brzęknęła.

– Wysłałam ci – powiedziała. – Adres domowy też.

– Wyślij tam mundurowych, powiedz im, że my już jedziemy – zawołała Clair przez ramię, kiedy całą trójką pędzili już korytarzem.

69

POOLE

Dzień trzeci, 17.18

Poole stał na środku zielonego domu, domu Bishopa, i przyciskał sobie do karku kompres lodowy. Budynek został ogrodzony taśmą, tak samo jak opuszczony dom po drugiej stronie ulicy – w obu roilo się teraz od agentów federalnych. Godzinę temu widział, jak wynieśli martwe ciało Dienera na noszach, po zebraniu wszystkich śladów i przeprowadzeniu gruntownej dokumentacji miejsca zbrodni.

Kobieta w różowym szlafroku przysunęła sobie fotel pod okno i obserwowała wydarzenia z kubkiem jakiegoś napoju w dłoni, o golfie dawno już zapomniała. Agenci przesłuchali ją zaraz po przybyciu na miejsce, ale nie dowiedzieli się niczego ponad to, co powiedziała już wcześniej Poole'owi.

Agent dowodzący Foster Hurless stał obok niego, jak zwykle z ponurym wyrazem twarzy.

– Opowiedz mi jeszcze raz, co tu zaszło.

– Nie widziałem samochodu na podjeździe. Uciekł na piechotę. Może być gdzieś blisko. Bez sensu, żebym tu tkwił, nie ma ze mnie żadnego pożytku – powiedział Poole.

– Lekarz musi sprawdzić, czy nadajesz się do służby, poza tym mamy martwego agenta. Wysłałem ludzi, żeby pogadali z sąsiadami. Ślady stóp

w śniegu są tylko na podjeździe i ścieżce do domu. Nie ma garażu – powiedział Hurless. – To mały dom.

– Zapamiętałbym samochód.

– Może zaparkował na ulicy. Wzdłuż drogi stoi pełno aut.

Poole nie odpowiedział.

– Opowiedz mi jeszcze raz.

– Nie ma dużo do gadania. Idąc tropem fałszywych dokumentów, namierzyliśmy adres korespondencyjny: ten opuszczony dom naprzeciwko. Przeszukaliśmy budynek, nikogo tam nie było. Diener został, żeby zrobić zdjęcia wnętrza, głównie graffiti na ścianach, a na mnie padło łożenie po sąsiadach. Kobieta z naprzeciwka powiedziała, że pocztę odbierał facet z tego domu, więc tu przyszedłem. Nie spodziewałem się, że otworzy mi Bishop. Wziął mnie z zaskoczenia. Doszło do szarpaniny. Złapał nogę od stolika i mnie ogłuszył. Kiedy się ocknąłem, upewniłem się, że nikogo tu nie ma, a potem wróciłem do budynku naprzeciwko i znalazłem ciało agenta specjalnego Dienera.

– Czyli wiedziałeś, że ktoś wykorzystywał tamten dom jako skrzynkę kontaktową, wiedziałeś, że zaglądał tam ktoś stąd, a mimo to przyszedłeś tu bez żadnego wsparcia?

Poole poczuł, że się czerwieni.

– Nie miałem powodów spodziewać się jakiegokolwiek zagrożenia. A już na pewno nie spodziewałem się Bishopa.

– A on spodziewał się Sama Portera? Tego detektywa?

– Dokładnie powiedział: „To nie Sam Porter”. Nie jestem pewien, co to miało znaczyć.

– To znaczy, że nie zdziwiłaby go wizyta Portera.

Poole pokręcił głową.

– Wiem, co sobie myślisz, ale Porter to dobry gliniarz. Zdarzyło mu się kilka błędów, ale nie jest zamieszany w tę sprawę, na pewno nie w takim sensie. Zależy mu po prostu na złapaniu tego faceta, to wszystko.

Hurless potarł brodę.

– Może tak, może nie. Właśnie się dowiedziałem, że przy zwłokach znalezionych kilka miesięcy temu był jakiś pamiętnik, chodziło o tego gościa potrąconego przez autobus, którego z początku wzięli za 4MK. Okazało się, że to pamiętnik Bishopa. Porter nie wprowadził go do rejestru dowodów. Jest o nim mowa w raporcie, ale policja nie ma go w magazynie i nigdy nie miała.

– Po co miałyby zatajać dowody? – zapytał Poole.

– Czemu Bishop spodziewał się jego wizyty?

Poole skrzywił się i mocniej przycisnął łód do karku.

– Po co wspominać o pamiętniku w raporcie, skoro zamierzał go zataić?

– Pamiętnik pojawia się w raporcie detektywa Nasha, nie u Portera. Porter nie wspomina o nim ani razu na czterdziestu trzech stronach.

Jedna z techniczek kryminalistycznych podeszła do Hurlessa, stała bez słowa i czekała na przerwę w rozmowie. Kiedy na nią spojrzeli, odezwała się:

– Skończyliśmy wstępne oględziny. Żadnych odcisków palców. Znaleźliśmy ślady lateksu na wielu powierzchniach, więc najprawdopodobniej zawsze nosił rękawiczki. Inne powierzchnie zostały wytarte do czysta.

– A noga stołowa, którą mnie uderzył?

– Wytarta – odparła.

Poole skinął głową w kierunku łazienki, natychmiast żałując tego ruchu.

– A wanna albo prysznic? Może się kąpał?

– Wanna była sucha i pokryta plamami wybielacza. Sądzymy, że czyścił ją po każdym użyciu, to samo z umywalką oraz zlewem kuchennym. Usunął też wszystkie syfony hydrauliczne. Zabieramy pozostałe rury, na wypadek gdyby coś się gdzieś złapało. Odkurzymy także wszystkie powierzchnie. Coś znajdziemy – zapewniła. – Nikt nie potrafi się całkowicie ukryć.

– Możemy określić, jak długo tu przebywał? – zapytał Poole.

Techniczka pokręciła głową.

– Był gotów ulotnić się w każdej chwili. Ucieczka zajęła mu pewnie mniej niż dziesięć minut. Mógł tu siedzieć zarówno parę dni, jak i parę miesięcy.

– Sąsiadka z naprzeciwka pamięta, że widywała go już pół roku temu – powiedział Hurless.

– Czyli Bishop przygotował sobie metę, zanim zidentyfikowano go jako 4MK.

– Na to wygląda. Z księgi wieczystej wynika, że właścicielem domu jest jedna ze spółek córek Talbot Enterprises. Od dwóch lat wykupują domy w tej okolicy i wynajmują lokatorom. Media są cały czas podłączone, żeby rury nie popękały od mrozu, kiedy nikt tu nie mieszka. Roi się tu od bezdomnych i squatterów. Wystarczyło, że rozwalił zamek, i już mógł się czuć jak u siebie. W taką pogodę nietrudno się maskować, każdy ma na sobie kilka warstw ubrań. Nie rzucałby się w oczy.

– Jeśli urządził sobie tutaj metę z wyprzedzeniem, to pewnie ma też inne.

– Tak bym obstawiał.

Poole zwrócił się do techniczki.

– A co z telefonami? Bishop zabrał i mój, i agenta Dienera.

– Oba wypadły z sieci o drugiej dwadzieścia cztery po południu – odparła.

Poole opuścił kompres i obrócił się do agenta dowodzącego Hurlessa.

– Możemy przejść na drugą stronę ulicy? Chcę się porządnie przyjrzeć tamtej ścianie.

Ciała Dienera już nie było, ale została ciemnoczerwona plama. Poole ciągle słyszał szorstki głos agenta, szuranie jego kroków. Niemal spodziewał się, że lada chwila wyjdzie z któregoś pomieszczenia na tyłach domu w towarzystwie jednego z techników.

Agent dowodzący Hurless wskazał na ścianę pokrytą graffiti.

– Co możesz mi powiedzieć o tych wyciętych kawałkach?

Oko Dienera nadal balansowało na krawędzi dziury w płycie gipsowo-kartonowej, obok umieszczono tabliczkę z numerem 37.

Poole przeciągnął palcem po krawędzi otworu.

– Tutaj był wiersz Dickinson. Napisany czarnym markerem czy flamastrem. Szedł tak: „Iż ja nie mogłam się zatrzymać – /Śmierć uczyniła mi tę grzeczność – /Powóz ledwie nas dwie pomieścił – /I nieśmiertelność”.

Podszedł do drugiej dziury, gdzie spoczywało teraz ucho Dienera opisane numerem 38.

– Tutaj był Hanshan. – Wyrecytował wiersz z pamięci słowo w słowo: – „Wymowna analogia życia i śmierci: /Porównaj życie do wody, a śmierć do lodu. /Woda gęstnieje i krzepnie, by stać się lodem, /Lód zaś roztapia się znowu i staje wodą. /Co umarło, na pewno znów się narodzi; /Co się narodziło, musi kiedyś umrzeć. /Jak woda i lód nie szkodzą sobie nawzajem, /Tak życie i śmierć współistnieją w zgodzie”.

W trzecim otworze język Dienera, opatrzony numerem 39, stanowił milczące odbicie słów, które widniały tam wcześniej:

– „Wróćmy do Domu, wróćmy już, /na nic to ciągła pogoń i poszukiwanie, /Dziś wszystko przepęlnia błogość. /Z błękitnego oceanu śmierci /Życie wypływa niczym nektar. /W życiu jest śmierć; w śmierci jest życie. /Gdzież więc jest strach, gdzie jest strach? /Ptaki na niebie śpiewają: »Śmierci nie ma!«. /Dniem i nocą przypływ Nieśmiertelności /Zstępuje tu na ziemię”. – Wskazał na miejsce po wierszu, na niewidzialne słowa. – „Dom”, „strach” i „śmierć” były podkreślone. To stary tybetański wiersz.

Najbardziej intrygowała go czwarta dziura, znajdująca się wysoko po prawej stronie. Nic się w niej nie znajdowało, został pusty otwór w ścianie, ale najwyraźniej wycięty przez Bishopa z tą samą precyzją, z jaką potraktował pozostałe trzy kawałki: niemal idealnie kwadratowa dziura.

Poole nie przyjrzał się temu fragmentowi ściany tak dokładnie jak pozostałym. W przypadku tamtych trzech uważnie przeczytał słowa, zapamiętał charakter pisma. Wciąż miał przed oczami każdą literę. Z tym otworem sprawa wyglądała jednak inaczej. Tylko zerknął na tę część ściany, nic więcej.

– A tutaj? – zapytał Hurless. – Co tu było napisane?

Poole uciszył go gestem uniesionej dłoni, zamknął oczy i skoncentrował się na przywołaniu widoku, który ukazał się jego oczom zaraz po wejściu do opuszczonego domu. Widział tę ścianę, ale nie widział jej tak naprawdę. Nie podjął świadomego wysiłku, żeby zapamiętać to, co zobaczył. Bohomazy i bazgroły zapisały się w jego pamięci jako rozmyta plama, jak widziany nieostro obraz Pollocka.

„Próbujesz mi coś powiedzieć, Bishop, czy coś ukrywasz?”, pomyślał Poole. Odtworzył w pamięci obraz ściany, każdego jej centymetra. Wyobraził sobie, że przechodzi obok, jego oczy chłoną każdą kolorową plamkę, jego wzrok pada dokładnie na to miejsce, brakujący fragment. To samo czarne pismo, bryłowate litery. Widział je, ale nieostro, jak tło fotografii, której główny bohater znajduje się na pierwszym planie, a cała reszta jest rozmazana. Skupił się na tych czarnych słowach, na tej smudze, nie tyle na znaczeniu słów, ile ich obrazie. Koncentrował się tak długo, aż w końcu się wyostrzyły, litera po literze, i dopiero kiedy zobaczył je wszystkie, odczytał na głos:

– „Nie można bawić się w Boga, nie zadając się przy tym z szatanem”.

70

KATI

Dzień trzeci, 17.20

Kati Quigley przebudziła się gwałtownie. Zaczęło się powoli, stopniowo wyswabiała się z objęć snu, ale ten ostatni moment, kiedy świadomość ostatecznie się z nich wyrwała, przyszedł nagle, aż się zdrygnęła.

Ręce miała skrepowane za plecami. Nogi też były związane. Oczy zasłonięte jakąś przepaską. Czuła wilgoć podłoża. Powietrze cuchnęło odchodami, moczem i czymś jeszcze.

– Jest tu kto?

Jej własny głos brzmiał słabo, obco. W skroni pulsował jej ostry ból, przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć dlaczego. Potem zalały ją wspomnienia minionych wydarzeń, straszliwa powódź obrazów zakończona wizją mężczyzny z paskudną raną na głowie, który dogonił ją w korytarzu i cisnął nią o drzwi.

„O Boże”.

– Wesley?

Jakiś szmer w odległości paru metrów.

Przez zawiązany na oczach kawałek materiału sączyło się trochę światła, ale zbyt mało, żeby mogła zobaczyć cokolwiek poza niewyraźnymi kształtami i cieniami, dziwnymi potworami tańczącymi w oddali.

– Wesley? To ty? Nic ci nie jest?

Pamiętała, jak tamten wstrętny człowiek rzucił się przez stół i trzasnął Wesleya w głowę kubkiem po kakao, pamiętała okropne chrupnięcie i Wesleya osuwającego się na podłogę. Wtedy rzuciła się do ucieczki. Mogła próbować mu pomóc, ale uciekła, myślała tylko o sobie, bo ten paskudny facet chciał się rzucić także na nią.

– Przepraszam, Wesley – powiedziała cicho, a szloch niemal zdusił jej słowa.

Wtedy, znów o parę metrów od niej, rozległ się jęk – to nie Wesley. Głos należał do dziewczyny. Słaby i stłumiony, ale tego jednego była pewna.

– Kto tu jest? Kim jesteś? – Kati podciągnęła nogi i próbowała kolaniem zsunąć opaskę z oczu, ale bezskutecznie. Materiał był porządnie zawiązany.

Zmusiła ciało, żeby popęzło w stronę źródła dźwięku, niczym gąsienica, odpychała się nogami. Przy każdym ruchu na nowo eksplodował ból z boku głowy, zalewały ją fale mdłości. Mimo to nie zatrzymywała się. Czołgała się ku głosowi, aż w końcu otarła się ramieniem o coś miękkiego i ciepłego.

Druga dziewczyna wzdrygnęła się, kiedy poczuła dotyk skóry Kati, po czym umieściła między nimi jakiś koc czy narzutę.

– Kim jesteś? – powtórzyła Kati, czując ruch.

– Nie była czysta, nigdy nie zobaczy. Wolą rzucić się w jezioro ognia i utonąć we własnej krwi.

Kati prawie podskoczyła na dźwięk tego głosu, jej ciało przeszedł dreszcz, jakby palce przebiegły po wieku trumny.

Głos mężczyzny, tego z raną na głowie. Miał problem z wymawianiem „s”. Wypowiedział te słowa półszepem, zaledwie kilka metrów od niej, ze strony, w którą właśnie się przesunęła.

Kati przyłgnęła do ciepłego ciała obok. Czuła, jak dziewczyna drży i szarpie się pod kocem.

– Gdzie jesteśmy? Gdzie Wesley?

Mężczyzna zakasłał mokro, oddech wiązał mu w gardle.

– Twój przyjaciel Wesley jest tutaj z tobą. Niezbyt dobrze się czuje.

Kati pomyślała o zapachach – kału, moczu i czegoś jeszcze. Nie chciała się zastanawiać, czym było to coś jeszcze.

– Ludzie z Kingdom Hall wiedzą, gdzie jesteście. Wiedzą, że mieliśmy chodzić po tej ulicy, które domy planowaliśmy odwiedzić. Jeśli mnie pan wypuści, powiem im, że to był wypadek. Powiem, że Wesley się przewrócił, a pan próbował mu pomóc.

– Nie obchodzi mnie, że po ciebie przyjdą. Nie obchodzi mnie nawet, że przyjdą po mnie. Do tego czasu będzie już po wszystkim.

Jego głos się zbliżył. Kati słyszała, jak mężczyzna przemierza pomieszczenie, powłócząc lekko stopą. Słyszała, że musi mieć jakiś problem z nogą.

Zgrzyt metalu o metal. Odgłos otwieranych drzwi.

– Zobaczysz dla mnie?

Teraz był obok niej. Czuła na szyi jego gorący oddech.

– Powiesz mi, co widziałas?

Kati wrzasnęła, ale w chwili, kiedy wydobyła z siebie dźwięk, wcisnął jej coś do ust, jakąś szmatę czy ścierkę, która smakowała brudem i czymś kwaśnym. Potem poczuła jego ramiona – podniósł ją i zaczął nieść na rękach. Spod leżącego obok koca wysunęła się dłoń, złapała ją za ramię na krótką chwilę, po czym opadła z powrotem.

– Wierzysz, jesteś wyznawczynią. Ty na pewno zobaczysz.

Potem spadanie.

Mężczyzna wypuścił ją z ramion albo tylko stopniowo opuścił, nie była pewna. Najpierw poczuła wodę, potem jego ręce się cofnęły i zaczęła się w tym coraz głębiej zatapiać, czymkolwiek „to” było. Opadała coraz niżej, aż zanurzyła się niemal cała, oprócz twarzy, twarzy z przepaską na oczach i ustami łapiącymi powietrze. Dłońmi i stopami dotykała dna, a jeśli odpowiednio przechyliła głowę, mogła trzymać ją nad powierzchnią.

Woda była ciepła, niemal gorąca.

Gdyby Kati widziała, zobaczyłaby, jak mężczyzna w czarnej wełnianej czapce zdejmuje plandekę ze stosu akumulatorów samochodowych połączonych

szeregowo, ułożonych obok zamrażarki przerobionej na zbiornik na wodę. Zobaczyłaby, jak bierze końcówki kabli rozruchowych podłączonych do ostatniego akumulatora w szeregu. Zobaczyłaby, jak wkłada obie końcówki do wody.

Kati jednak nic takiego nie zobaczyła.

Kat nie zobaczyła zupełnie nic, kiedy prąd wstrząsnął jej ciałem z taką mocą, że rozerwał plastikowe opaski krępujące jej ręce i nogi.

Nie zobaczyła nic z wyjątkiem nieopisanie jasnego białego światła.

71

CLAIR

Dzień trzeci, 17.43

– Nie będę tu siedział pod kluczem jak jakiś przestępca, kiedy ten wariat trzyma naszą córkę – awanturował się Larry Biel. Bez przerwy krążył po niewielkim pokoju hotelowym – byli tam od prawie dwóch godzin, a on nie zatrzymał się ani na chwilę.

– Larry, nie pomagasz. Chodź tu, proszę, usiądź obok mnie – powiedziała Darlene Biel z łóżka.

Clair obserwowała ich, siedząc przy stoliku tuż obok wejścia do pokoju.

W ciągu czterech minut od telefonu Clair umundurowani policjanci pojawili się w trzypiętrowym domu Bielów przy West Superior Street. Darlene Biel wisiła na telefonie, po raz piąty przepytując wszystkich znajomych córki, podczas gdy jej mąż przekopywał się przez dane w laptopie Larissy. Znał się na komputerach, dwa lata wcześniej zainstalował córce program do kontroli rodzicielskiej KidBSafe. Niechętnie oddał laptop Clair, która z kolei jak najszybciej przekazała go zespołowi Klozowskiego na komendzie.

Clair wyjaśniła, że choć nie mają powodów przypuszczać, że sprawca pozostałych zbrodni uprowadził także ich córkę, zwłaszcza że zniknęła zaledwie pół dnia wcześniej, wolałaby, żeby na wszelki wypadek pozostali pod opieką policji, póki nie uda się wyeliminować tej możliwości. Przez kolejne dwadzieścia minut musiała ich namawiać do opuszczenia domu. Darlene zebrała

się szybko. Pracowała jako przedstawicielka handlowa firmy farmaceutycznej, większość czasu spędzała w trasie, miała więc zawsze spakowaną torbę podrózną. Larry potrzebował więcej czasu. Wyraźnie zwlekał, zatrzymywał się w każdym pomieszczeniu, jakby się spodziewał, że córka wyskoczy z któregoś kąta, jakby bawiła się z nimi w chowanego, aż w końcu Darlene spakowała mu torbę i wsadziła go do wozu policyjnego.

Chociaż policja Chicago dysponowała trzema tajnymi mieszkaniami dla świadków, Clair wolała zabrać Bielów do pierwszego z brzegu hotelu w centrum, za pokój zapłaciła gotówką. Jeśli Bishop był w to zamieszany, nie zamierzała zostawiać żadnych śladów na papierze. Tylko Nash znał jej lokalizację. On został w ich domu, razem z Rodriguez nadzorowali przeszukanie. O kilka numerów od domu, po obu stronach, stały zaparkowane nieoznakowane samochody z funkcjonariuszami gotowymi zareagować w przypadku pojawienia się sprawcy.

– Larry, przez ciebie jeszcze bardziej się denerwuję, usiądź, proszę – powtórzyła Darlene.

Larry Biel po raz ostatni przemierzył pokój, po czym opadł na łóżko obok żony i zwrócił czerwoną twarz w stronę Clair.

– Mówiła pani, że ile dziewczyn porwał już ten facet?

– Przynajmniej dwie, o tylu wiemy. Ale chciałabym podkreślić: nie mamy powodu sądzić, że ten człowiek uprowadził państwa córkę. Sam pan mówił, że może być u znajomych. Wolimy po prostu zastosować wszystkie środki zapobiegawcze.

– Nie ma jej u żadnych znajomych – zaproponowała Darlene Biel. – Przed balem miała iść do Carrie Ann, żeby się przygotować, a od rana ani razu się do niej nie odezwała. Nie kontaktowała się też z nikim innym. Ona tak nie znika, nigdy jej się to nie zdarza. Zawsze mi mówi, dokąd się wybiera. Nie mamy przed sobą tajemnic.

– Ten facet zabił też rodziców tych dziewczyn? – zapytał Larry Biel, ignorując wypowiedź żony. – To właśnie spotkało tego mężczyznę, którego

znaleziono w ogródku za domem zapakowanego w śnieg? O tym pani mówi?

– Nie mogę zdradzać szczegółów toczącego się śledztwa.

– Dziennikarze mówili, że ktoś tak mu poderżnął gardło, że prawie uciął mu głowę.

– Tutaj są państwo bezpieczni. Nie dopuścimy, żeby spotkało państwa cokolwiek złego.

Larry zaczął nerwowo bębnić palcami po blacie szafki nocnej ze sklejki. Clair pomyślała, że może lepiej było, jak chodził wte i wewte.

Rozległo się pukanie do drzwi, Larry zerwał się na równe nogi. Clair podniosła pistolet.

– Ja się tym zajmę, proszę się nie ruszać.

Z bronią w rękę wyjrzała przez wizjer, rozluźniła się i otworzyła drzwi. Jakiś czas temu poprosiła policjanta patrolowego, żeby przywiózł im pizzę.

Podał jej dwa kartonowe pudła i wyciągnął rękę, udając, że czeka na napiwek.

Clair zamknęła drzwi na zasuwkę, założyła łańcuch i położyła oba pudła na stole.

– Mamy jedną z samym serem i jedną pepperoni.

– Ja nic nie przełknę – powiedział Larry.

– Miejmy nadzieję, że niedługo będzie po wszystkim, ale na wszelki wypadek lepiej nabrać sił – doradziła Clair.

Darlene wzięła kawałek margherity i przysiadła na rogu łóżka. Choć sprawiała wrażenie opanowanej, ręce jej się trzęsły. Kapka sera ześlizgnęła się z trójkąta ciasta i plasnęła o dywan.

– Przepraszam, jestem strasznie rozbita.

Larry wstał i zaczął znowu krążyć po pokoju. Mijając pizzę po raz trzeci, wziął kawałek pepperoni.

– Powinniśmy rozwieszać plakaty, nagłośnić sprawę w mediach. Mógłbym zmobilizować sporą grupkę kumpli z budowy do przeszukiwania okolicy. Nie mogę tak tu siedzieć. Nie mogę nic nie robić, kiedy jakiś psychol trzyma moją

córeczkę. Ten facet nie zrobi mi żadnej krzywdy. Rozerwę go na strzępy, jeśli spróbuje mi coś zrobić. Zabiję go, jeśli chociaż tknie moją dziewczynkę.

O Larrym można by powiedzieć „chłop jak dąb”. Dzięki pracy fizycznej był w niezłej formie. Ale Randal Davies miał prawie dwa metry wzrostu i regularnie ćwiczył. Floyd Reynolds też nie był ułomkiem.

Zadzwonił telefon Clair.

– Cześć, Kloz, znalazłeś coś?

Darlene wstała z łóżka, patrząc na swoje dłonie brudne od sosu pomidorowego.

– Pójdę umyć ręce.

Clair skinęła głową i odprowadziła kobietę wzrokiem do łazienki. Larry ciągle chodził w tę i z powrotem.

– Znalazłem nekrolog. Puścili go dwa dni temu w „Sun Heraldzie” – powiedział Kloz w słuchawce.

– A nie w „Chicago Examinerze”?

– Albo gość rozszerza działalność, albo od początku publikował nekrologi w różnych gazetach, a my zrzędzeniem losu trafiliśmy akurat na „Examinera”.

– Co napisał?

– Przesłałem ci wiadomość. Dostałaś?

Komórka Clair brzęknęła.

– Tak, poczekaj.

Zerknęła na wyświetlacz:

DEALERKA DRAGÓW

MATKA I ŻONA

DARLENE BIEL SPOCZYWA W POKOJU

OSTATECZNIE ZGŁADZONA

Z łazienki dobiegł łoskot: odgłos ciała osuwającego się na podłogę.

72

CLAIR

Dzień trzeci, 18.04

Larry pierwszy dobiegł do drzwi łazienki. Szarpnął za klamkę – zamknięte.

– Darlene?

– Do tyłu! – krzyknęła Clair i prawie zahaczyła go nogą, którą kopnęła drzwi tuż pod zamkiem. Framuga jęknęła, ale nie ustąpiła.

Larry z rozbiegu natarł na drzwi barkiem, uderzył mocno i Clair usłyszała trzask pękającego drewna.

Darlene rzucała się na posadzce łazienki wstrząsana spazmami, z ust ciekła jej biała piana zalewająca policzki i podbródek. Szeroko otwarte oczy świeciły białkami, uciekały do tyłu głowy.

Larry upadł na kolana i podniósł głowę żony z podłogi. Rękę plamiła mu krew, podobnie jak kafelki pod głową Darlene. Jej ciałem targnął kolejny wstrząs. Szczoteczka do zębów pękła z głośnym trzaskiem między konwulsyjnie zaciskającymi się palcami.

– Trzeba ją przekręcić na bok! Zabezpieczyć język, żeby się nie zadławiła! – wykrzyczała Clair, jednocześnie wodząc bacznym wzrokiem po łazience.

Szczoteczka do zębów w dwóch częściach.

Otwarta tubka pasty na umywalce.

Płyn do płukania ust.

Larry przekręcił żonę na bok i biała piana z jej ust zaczęła się zbierać w kałużę na podłodze.

Clair chwyciła pojemnik na mydło w płynie i zerwała go ze ściany, po czym rzuciła się do Darlene.

– Musimy dać jej to do wypicia!

Larry szeroko otworzył oczy i ją odepchnął.

– Nie ma mowy! To ją zabije!

Clair odepchnęła go i przekręciła głowę Darlene.

– Otruła się jakąś substancją o szybkim działaniu, na przykład cyjankiem. Większość trucizn to kwasy. Mydło jest zasadowe. Zneutralizuje truciznę i wywoła wymioty.

Zanim Larry zdążył zaprotestować, Clair otworzyła pojemnik i wlała gęsty różowy płyn w otwarte usta Darlene. Potem zamknęła jej usta i zacisnęła nos, zmuszając kobietę do przełknięcia.

Ciałem Darlene wstrząsnął niesłychanie silny spazm, wyrwała się Clair z rąk. Rzuciła głową na boki, zaczęła gwałtownie machać rękami. Wierzgała nogami w powietrzu.

– Jest jeszcze gorzej! – wrzasnął Larry.

Clair wlała jej w gardło jeszcze więcej mydła, zmusiła ją do połknięcia. Po chwili kobieta je zwróciła, gulgocząc i kaszląc, zbryzgała mydłem posadzkę i ściany. Clair wmusiła w nią jeszcze więcej. Darlene zwymiotowała po raz drugi, potem trzeci. Jej ciało w końcu znieruchomiało i Clair sprawdziła tętno.

Larry klęczał obok niej ze śmiertelnie bladą twarzą.

– Zabiła ją pani! Boże święty, pani ją zabiła!

Clair próbowała zrobić wdech, ale wszystkie mięśnie w jej ciele protestowały.

– Niech pan dzwoni na pogotowie.

73

PORTER

Dzień trzeci, 20.06

Porter i Sarah Werner wylądowali w Greenville w Karolinie Południowej o 19.25. Mniej więcej w połowie lotu słońce zniknęło za horyzontem. Sarah spuściła wtedy plastikową zasłonkę. Porter nie pomyślałby, że w ogóle wyglądała przez okno. Zdawała się nie odrywać wzroku od pamiętnika Bishopa trzymanego w rękach. Patrzył, jak przesuwała palcem po każdej kolejnej stronie w miarę lektury, chłonęła każde słowo.

Na lotnisku to ona zapłaciła za bilety. Rozumiała już, że Porter stara się działać po kryjomu, więc im mniej będzie używał karty kredytowej, tym lepiej. Zaproponował, że odda jej w gotówce, ale odmówiła, twierdząc, że to wydatek służbowy i nie będzie miała problemu z odpisaniem całej kwoty od podatku.

Skończyła czytać pamiętnik na krótko przed lądowaniem.

Również na jej nazwisko wypożyczyli w Greenville samochód, dobrze wyposażonego czerwonego hyundaia sonatę.

Sarah wpisała adres z pamiętnika Bishopa do aplikacji GPS na swoim telefonie i ruszyła w milczeniu, z Porterem na fotelu pasażera.

Kiedy opuścili teren lotniska i wjechali na autostradę, to Sarah odezwała się pierwsza.

– Może powinniśmy znaleźć jakiś hotel i pojechać tam rano, kiedy będzie widno. W ciemności wiele nie zobaczymy.

Rzeczywiście było ciemno.

W mieście światło wciskało się do każdego zakamarka. Latarnie, sygnalizatory, biura, sklepy – zawsze coś się świeciło. Tutaj nie było niczego. Niebo czarne jak smoła, upstrzone dalekimi gwiazdami. Porter widział może na dziesięć metrów od brzegu autostrady, dalej ciemność pochłaniała światła reflektorów. Zaledwie kilka minut drogi od lotniska zdawało się, że zniknęła cywilizacja, a jej miejsce zajęły rozległe pola i nicość.

Porter zerknął na GPS.

– Ten twój dynks twierdzi, że zostało nam tylko trzynaście minut do celu. Wolałbym, żebyśmy tam od razu zajrzeli, zobaczyli, ile się da, i ewentualnie wrócili rano.

– Czy ty w ogóle sypiasz?

– Przespałem akademię policyjną.

– Nie chce mi się wierzyć. Gdzie indziej mogłeś się nauczyć takiego słowa jak „dynks”?

Heather.

Nauczył się go od Heather. To było jedno z jej ulubionych słów niesłów.

Jego wzrok powędrował do obrączki. Sarah go na tym przyłapała.

– Chcesz mi o niej opowiedzieć?

Porter poczuł, że się czerwieni.

– Nie chcesz słuchać o mojej żonie.

– Chcę – powiedziała. – Naprawdę bardzo bym chciała.

Nie mówił o niej dużo od czasu jej śmierci. Próbował rozmawiać z Nashem i Clair, którzy upoili go alkoholem pewnego wieczoru wkrótce po odnalezieniu Emory i jego powrocie do służby. Chociaż uważał ich za przyjaciół, zasadniczo był też ich zwierzchnikiem, a zresztą zawsze trudno mu przychodziło okazywanie emocji. Od śmierci Heather miał wiele takich chwil prywatnej zadumy. Nadal kilka razy dziennie łapał się na tym, że do niej mówi. Każdego ranka, kiedy się ubierał, nieco zbyt długo stał przed otwartą szafą, czubkami

palców gładził jej ubrania. Po jej śmierci została w nim próżnia, wielka pusta przestrzeń. Tęsknił za nią całym sercem, w każdej sekundzie każdego dnia.

– Miała na imię Heather. Została zabita podczas napadu na sklep spożywczy parę przecznic od domu, około pół roku temu. Złapali faceta, właściwie to był jeszcze dzieciak. Nazywał się Harnell Campbell. – Porter zamilkł na chwilę, jego wzrok powędrował za okno. – Udało mu się jakoś uciec. Lepiej by mu było zostać w więzieniu, bo Anson Bishop go potem namierzył. Sądzymy, że go zamordował. Nigdy nie znaleziono ciała. Bishop zostawił mi ucho chłopaka na łóżku jak jakiś prezent. Cóż, w jakimś sensie to był prezent. Nie da się ukryć, że cholernie chciałem go zabić. Myśl, że spędzi parę lat za kratkami, a potem odzyska wolność, podczas gdy ja nigdy nie odzyskam Heather, nie dawała mi spokoju. Wróciłem do domu i oto czekało na mnie ucho jej zabójcy schludnie zapakowane w białe pudełeczko i z liścikiem.

– Co było w liściku?

– Napisał:

Sam,

oto drobiazg ode mnie dla ciebie...

Przykro mi, że nie słyszałeś jego krzyku.

Co byś powiedział na odwzajemnienie przysługi?

Taka mała wymiana między przyjaciółmi.

Pomóż mi znaleźć moją matkę.

Już najwyższy czas, żebym z nią porozmawiał.

B.

– Wow.

– No.

– Dlatego tu jesteś? Dlatego przyjechałeś do Nowego Orleanu? Żeby pomóc mu odnaleźć matkę?

Porter pokręcił głową.

– Jestem tu po to, żeby go złapać, koniec kropka. Matka jest jednym z tropów w sprawie, niczym więcej. Zamordowanie Campbella to była umowa jednostronna. Nie jestem mu nic winien, co najwyżej wygodną celę więzienną.

– Ale on też może być w Nowym Orleanie. Być może ciągle nas obserwował – zauważyła Sarah. – Nie może wejść do więzienia, bo to grozi złapaniem, ale niewykluczone, że śledził każdy twój krok.

– Możliwe.

– Czyli może być także tutaj i nadal nas śledzić.

Porter w ogóle o tym nie pomyślał. Dopuszczał możliwość, że Bishop pilnował go w Nowym Orleanie, ale tutaj?

– Nie jestem pewny. Nie mógł wiedzieć, o czym rozmawialiśmy z jego matką. Nikt poza nami nie widział, co zapisała w pamiętniku, nie zna adresu.

– W sali przesłuchań są kamery. Możliwe, że któraś jest ustawiona pod odpowiednim kątem. Ktoś z wewnątrz podrzucił ci komórkę i nóż. Mógł jechać za nami na lotnisko. Kurde, mógł nawet lecieć z nami samolotem. Jeżeli ktoś tak intensywnie poszukiwany jak on potrafi tak długo się ukrywać, to znaczy, że musi być mistrzem kamuflażu i wtapiania się w tłum. Mam wrażenie, że odkąd go zidentyfikowałeś, codziennie pokazują go w wiadomościach. Nie dać się złapać przy takiej obławie... – Zawiesiła głos, podniosła dłoń i odgarnęła niesforny kosmyk z oczu, po czym zerknęła w lusterko wsteczne. – Ale nie ma go tutaj. Od dłuższego czasu nie widziałam żadnego innego samochodu. Choćby mógłby oczywiście jechać na wyłączonych światłach. Ja bym tak zrobiła na jego miejscu.

– Nie sędzę, żeby nas śledził. Masz rację, jest niezły w ukrywaniu się. Myślę też jednak, że jest na tyle bystry, żeby nie wychodzić z kryjówki. Gdybym miał się założyć, to obstawiałbym, że gdzieś się zaszyl i czeka, aż sytuacja się trochę uspokoi. Ludzie mają krótką pamięć. Aż się dziwię, że media tak długo mówią o tej sprawie. Jak tylko pojawi się jakaś nowa sensacja, Bishop zostanie odsunięty na dalszy plan. Jeśli zamierza coś zrobić, to zrobi to wtedy.

– Nie myśl, że nie zauważyłam – powiedziała Sarah.

– Czego?

– Zupełnie zmieniłeś temat. Zapytałam cię o żonę, a ty jakimś sposobem skierowałeś rozmowę na Bishopa. Nie ze mną te numery. Chcę się wszystkiego dowiedzieć. Mam słabość do romantycznych historii. Opowiedz mi, jak się poznaliście z Heather. A jeśli znowu będziesz próbował się wykręcić i zmienić temat na Bishopa, to zjadę na pobocze i spuszczę ci łomot kluczem do kół. Widzę, że nie brakuje tu idealnych miejsc na zakopanie ciała.

– Groźna z ciebie dziewczyna.

– Kobieta. Jestem groźną kobietą i jestem z tego dumna. A teraz opowiedz mi o Heather.

Porter westchnął.

– Poznaliśmy się w szpitalu, wyobraź sobie.

– W szpitalu? Co się stało?

– Byłem początkującym gliniarzem, pracowałem w sumie całkiem niedaleko stąd, pod Charleston. Dostałem kulkę w tył głowy. Ona była pielęgniarką z urazówki, akurat tak się złożyło, że miała dyżur na oddziale ratunkowym, kiedy mnie przywieźli.

Sarah wytrzeszczyła oczy.

– Dostałeś kulkę w głowę?

Porter pomacał się po potylicy i znalazł bliznę, małą wypukłość nieco na lewo od środka.

– To była mała pukawka, kaliber dwadzieścia dwa. Próbowaliśmy z moim ówczesnym partnerem złapać drobnego dilera, handlował głównie brudną heroiną i crackiem. Wołali na niego Borsuk. Przydybaliśmy go w ciasnej uliczce. Ja zaszedłem go od tyłu, a mój partner obszedł kwartał, żeby zaskoczyć go z drugiej strony. Gość najpierw zobaczył mojego partnera, odwrócił się i spanikował na mój widok. Był na jakichś prochach, strasznie pobudzony i niespokojny. Miał w ręku broń i niechcący pociągnął za spust. Nie chciał do mnie strzelać, nawet we mnie nie celował, to był odruch, wypadek. Kula

uderzyła w śmietnik za moimi plecami, odbiła się i dostałem rykoszetem w tył czaszki.

– Jasny gwint. Jakim cudem żyjesz?

Porter wzruszył ramionami.

– Widocznie mam twarde łeb. Kulka utknęła w kości. Nie dosięgła mózgu, chociaż było blisko.

– No to miałeś fart.

– Pewnie tak. Mówili, że uratował mnie ten rykoszet. Jakbym dostał bezpośrednio, toby było po mnie. Ale i tak nie wywinąłem się tak gładko. Prawie natychmiast zaczęło rosnać ciśnienie w czaszce. – Urwał na chwilę, przywołując wspomnienia. – To zabawne, pamiętam dokładnie moment uderzenia. To było jak mocne walnięcie otwartą dłonią w tył głowy. Nie zważyło mnie z nóg, tak jak na filmach. Stałem tam jak debil. Myślałem, że dojdę do samochodu i sam się zawiozę do szpitala. Dotknąłem rany, zobaczyłem krew na palcach, zrobiłem ze dwa kroki i straciłem przytomność. Ocknąłem się dopiero prawie tydzień później.

Sarah zwolniła, bo jakieś zwierzątko przebiegło przez drogę i zniknęło w zaroślach po drugiej stronie.

– Udało się usunąć kulę czy ciągle ją tam masz?

– Nie, nie, wyciągnęli ją. Potem wprowadzili mnie w śpiączkę, dopóki ciśnienie się nie unormowało. – Znowu pomacał małą bliznę. – Nabój trafił pod dziwnym kątem, nisko po lewej. Uciskało mi przede wszystkim hipokamp.

Sarah podniosła rękę.

– Czekaj, wiem. To ten kawałek mózgu odpowiedzialny za emocje i pamięć.

– Szóstka z plusem! – Porter uśmiechnął się szeroko. – Zawiaduje też autonomicznym układem nerwowym i odpowiada za orientację w przestrzeni. Wiedzieli, że z moim systemem nerwowym jest wszystko w porządku, nawet kiedy jeszcze leżałem w śpiączce, ale dopóki nie odzyskałem przytomności, nie mogli stwierdzić, czy nie uszkodziło mi niczego innego. Kiedy otworzyłem oczy,

Heather stała nade mną z tym przepięknym uśmiechem na ustach i wiedziałem, że jestem zakochany.

74

CLAIR

Dzień trzeci, 20.07

Clair stała w korytarzu przed pokojem numer 316 w hotelu Piedmont, zaciskała dłonie w pięści, a w żołądku miała supeł. Dziesięć minut wcześniej na miejsce przybyli technicy kryminalistyczni i zabezpieczyli pokój.

– Eklerku? – Odwróciła się i zobaczyła Nasha, który wysiadał właśnie z windy, rozpinając grubą kurtkę. – Co tu się narobiło?

Clair pokręciła głową. Nadal próbowała sobie to wszystko poukładać.

– Otruł ją. Przynajmniej tak mi się wydaje. Wymusiłam wymioty. Kiedy sanitariusze ją zabierali, była w stanie stabilnym, ale nadal nieprzytomna.

– Ale żywa?

– Tak, jeszcze żywa. – Odwróciła się tyłem do Nasha i zrobiła kilka kroków. – Jak to możliwe? Jak temu sukinsynowi udaje się zawsze nas wyprzedzać?

– Dorwiemy go.

Kiedy ponownie się odwróciła, w oczach miała łzy.

– Miałam ją chronić, a on się jakoś wślizgnął. Próbował ją wykończyć pod moim nosem.

Nash objął ją i mocno uściskał.

– To absolutnie nie jest twoja wina, Eklerku. Zrobiłaś wszystko dokładnie tak, jak powinnaś.

– Powinam była się domyślić. W przypadku Randal'a Daviesa sprawca dostał się do domu i zatrzał kawę lizynoprylem. Wiedział, że tylko Randal Davies ją pije, a to jego upatrzył sobie na cel. W jakiś sposób umieścił truciznę w kosmetykach Darlene Biel, albo w paście do zębów, albo w płynie do płukania ust... Regularnie podróżowała służbowo. Dostał się do jej torby podróżnej i podrzucił truciznę. Po tej sytuacji z Randalem Daviesem powinam była się tego spodziewać, powinam... – Ucichła i wtuliła twarz w jego ramię.

– Przepraszam?

Clair oderwała się od Nasha i otarła oczy zawstydzona.

– Tak?

W drzwiach do pokoju hotelowego stała techniczka Lindsay Rolfes. Odwróciła wzrok, kiedy Clair wyswobadzała się z objęć Nasha.

– Miała pani rację. Testy potwierdziły obecność cyjanku.

– W paście do zębów czy płynie? – zapytała Clair.

– W paście. Znaleźliśmy małą dziurkę w tubce. Wygląda na to, że sprawca wstrzyknął substancję przez igłę, około dwóch centymetrów od wylotu. Z uwagi na konsystencję pasty do zębów ofiara mogła używać jej przez wiele dni i nie trafić na truciznę. Szczerze mówiąc, pasta do zębów to świetny nośnik trucizny, działa trochę jak bomba z opóźnionym zapłonem. Gdyby sprawca wstrzyknął truciznę niżej, zyskałby nawet wiele tygodni, zanim Biel by na nią trafiła. Na waszym miejscu zapamiętałabym ten szczegół, bo to oznacza, że prawdopodobnie zależało mu, żeby cyjanek zadziałał mniej więcej teraz.

Clair wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Nie zamierzała pozwolić mu się przechytryć, nie ma mowy.

– Coś jeszcze?

Rolfes poprawiła okulary dłonią w rękawiczce jednorazowej.

– Na razie to wszystko. Ciągłe sprawdzamy jej przedmioty osobiste. Skończymy w laboratorium.

– Czyli u męża nic nie ma? – zapytał Nash.

– Nic nie znaleźliśmy. Zadzwoń, jeśli na coś jeszcze trafimy. – Odwróciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami pokoju.

Clair pocierała brodę, zataczając powolne kręgi po korytarzu.

– W nekrologu była mowa o Darlene Biel. To ona miała być ofiarą. To oznacza, że facet nie wziął się tylko na ojców, dopada jedno z rodziców. Coś ich musi łączyć, zarówno dziewczyny, jak i rodziców. Musimy to znaleźć.

– Musisz odpocząć – powiedział Nash. – Od ładnych dwóch dni gonisz ostatkiem sił. W takim stanie nie możesz logicznie myśleć. Ja zresztą też nie. – Zniżył głos. – Kiedy tu przyjechałem, próbowałem wysiąść z samochodu, ale zapomniałem rozpiąć pas. Dosłownie siedziałem tam przez parę sekund i próbowałem dojść, dlaczego nie mogę wstać. Mózg mi wysiada. Wszyscy powinniśmy odpocząć i się przegrupować.

Clair pokręciła głową.

– Wracam na komendę. Muszę uzupełnić informacje na tablicy, jeszcze raz przeanalizować wszystkie dane. Coś się tam kryje, jestem tego pewna. Ich córka ciągle gdzieś tam jest i możliwe, że jeszcze żyje. Zaginęła dopiero dziś rano.

– Szuka jej połowa chicagowskiej policji.

– Wracam na komendę – powtórzyła stanowczo.

Nash pogodził się z tym, że z nią nie wygra.

– W porządku, ale pod dwoma warunkami. Po pierwsze, spróbujesz się zdrzemnąć na kanapie w pokoju narad. A po drugie, dasz mi się zawieźć na miejsce. Nie powinnaś siadać za kierownicą. Jesteś roztrzęsiona od adrenaliny, ale w końcu będziesz miała zejście, a wtedy mocno cię to walnie.

– I co, mam powierzyć swoje życie facetowi, który nie potrafi sobie poradzić z pasem bezpieczeństwa?

– Masz tylko mnie.

– Niech Bóg ma nas w opiece.

Telefon Clair zawibrował. Wyjęła go z kieszeni i przeczytała wiadomość. Ścisnęło ją w gardle.

– Znaleźli furgonetkę i ukradzioną cysternę. Mamy kolejne ciało.

75

PORTER

Dzień trzeci, 20.07

GPS brzęknął i kazał skręcić w prawo. Sarah zwolniła i podążała za znakami na Simpsonville.

Porter znów przeniósł wzrok na okno.

– Po tym, jak zobaczyłem Heather, która nade mną stała, zauważyłem mojego partnera. Podnosił się z krzesła w rogu sali. Jakąś godzinę później pojawił się nasz kapitan. Z początku było dziwnie. Rozpoznałem mojego partnera. Nie zdawałem sobie sprawy, że cokolwiek jest ze mną nie tak. Pamiętałem pościg za dilerem, pamiętałem strzał, wszystkie te wspomnienia były świeże. Heather zapytała, jak się nazywam, a ja wypaliłem, że jestem miłością jej życia, zapytała o nazwisko obecnego prezydenta, odpowiedziałem. Potem zapytała o nazwisko poprzedniego prezydenta, a ja miałem w głowie całkowitą pustkę. Nie da się tego inaczej opisać, jakby ktoś wziął gumkę i wszystko wymazał. Widziałem twarz gościa, ale nazwisko mi uciekło. Potem zaczęły się testy. Bardzo dużo testów.

– Amnezja?

– Płynna amnezja wsteczna, tak powiedzieli. Nie miałem żadnych problemów z poruszaniem się, to duże szczęście. Większość wspomnień pozostała nienaruszona: dzieciństwo, okres dojrzewania, nawet niedawne wydarzenia, wszystko było na miejscu, ale pojawiły się duże luki, brakowało całych miesięcy

i lat. – Urwał na chwilę, postukał palcem w szybę. – Heather kazała mi robić takie ćwiczenie, które polegało na tym, że musiałem wypisywać w punktach najważniejsze wydarzenia z życia w kolejności chronologicznej, przyporządkowywać im daty możliwie najprecyzyjniej. Robiliśmy to codziennie, zaczynaliśmy od białej kartki papieru i stopniowo wypełnialiśmy ją wszystkim, co zdołałem sobie przypomnieć. Przez pierwsze kilka dni lista wydłużała się przy każdym podejściu. Robiłem wyraźne postępy. Po jakimś tygodniu się skończyło. Nie traciłem już żadnych wspomnień, ale tamte luki trzymały się mocno. Lekarze zapewniali mnie, że wspomnienia z czasem powrócą. Część chyba wróciła, ale do dziś brakuje mi różnych okresów.

– A Heather była przy tobie przez cały ten czas?

Porter skinął głową.

– Zapowiedziała, że zgodzi się pójść ze mną na randkę dopiero, kiedy wyjdę ze szpitala i przynajmniej przez miesiąc będę żył normalnie. Oboje poczuliśmy jakąś iskrę, wiedzieliśmy, że coś między nami jest, ale podobno podczas dłuższych pobytów w szpitalu pacjenci często zakochują się w personelu, więc wolała zachować ostrożność. Wiedziałem, że w moim przypadku nie chodzi o zwykłe zauroczenie pielęgniarką, ale nie miałem wiele do gadania. Nadal spotykaliśmy się codziennie, żeby „przelecieć listę”, bo tak właśnie o tym mówiła, ale nie chciała się zgodzić na randkę z prawdziwego zdarzenia. Kiedy w końcu przywrócili mnie do służby, jakieś trzy miesiące po wypadku, przyjęła zaproszenie do kina i na kolację. Obejrzeliśmy *Narzeczoną dla księcia*. Cztery miesiące później byliśmy już małżeństwem.

– Nie przeszkadza ci brak niektórych wspomnień?

Porter wzruszył ramionami.

– Najlepsze chwile przeżyłem z Heather. Wszystkie je pamiętam. Nic więcej mi nie trzeba.

– A co z pracą w policji? Trudno było wrócić do służby?

– Tak, to akurat było niełatwe, a nie spodziewałem się tego. Pomijając problemy z pamięcią, wszystko było ze mną w porządku. Żadnych dolegliwości

fizycznych. Zdałem parę testów pisemnych i sprawnościowych, odbyłem rozmowę i mogłem wracać na ulicę. Dostałem tylko nowego partnera. Poprzedniego przenieśli do wydziału narkotykowego. Ale ten postrzał w jakimś sensie odebrał mi coś jeszcze. Straciłem całą sympatię do Charleston. Miasto zdawało mi się jakby mroczniejsze, brudniejsze. Czułem niepokój za każdym razem, kiedy zbliżałem się do uliczki, w której się to stało. Zacząłem się obawiać, że z powodu tego lęku może spotkać mnie coś złego, jeśli zdekoncentruję się w nieodpowiednim momencie. Przegadaliśmy to z Heather na wszystkie strony i postanowiliśmy się przeprowadzić do Chicago, zacząć wszystko od nowa. Przeniosłem się do wydziału patrolowego, a kiedy pojawił się wakat w zabójstwach, zaraz się zgłosiłem. Kurde, to było wieki temu, byłem jeszcze dzieciakiem.

– Nie mieliście dzieci?

– Rozważaliśmy to, gadaliśmy o tym miliard razy, ale jakoś zawsze nam się wydawało, że to nie jest odpowiedni moment. Heather robiła karierę w szpitalu, ja też nieźle sobie radziłem. Człowiek sobie zawsze powtarza, że lepiej poczekać do przyszłego roku, sytuacja się uspokoi, ueziera się trochę grosza, więc ciągle odkłada tę decyzję i odkłada. Zanim się zorientujesz, jest już za późno. Ale nie żałuję braku dzieci. Myślę, że nie ma w moim życiu ani jednej sekundy, którą chciałbym zmienić.

– Nawet postrzału w głowę?

– Nawet postrzału w głowę. Hej, zjedź tam. – Porter wskazał małą stację benzynową po prawej.

– Po co? Mamy pełny bak.

– Po sprzęt.

Sarah zwolniła i zjechała z wąskiej jednopasmówki na zwirowany parking. Przed sklepem stał poobijany ford pikap. Poza tym nie było śladu życia. Podjechała obok furgonetki i przestawiła dźwignię skrzyni biegów na tryb postoju. Podniosła pamiętnik.

– Idź sam. Jest tu parę fragmentów, na które chciałabym zerknąć jeszcze raz.

– Zaraz wracam. – Odpiął pas i wygramolił się z sonaty.

Kiedy otworzył drzwi, rozległ się elektroniczny brzęczyk. Sprzedawca zerknął na niego zza lady, ale po sekundzie wrócił do lektury „Autotradera”.

W sklepie było tylko pięć alejek, Porter obszedł wszystkie. Wziął dwie latarki, opakowanie baterii R14, paczkę woreczków strunowych, pudełko rękawiczek lateksowych, tani aparat cyfrowy i dużą paczkę cheetosów. Zaniósł wszystko do kasy i rzucił zakupy na ladę.

Kasjer wyglądał na szesnaście, góra siedemnaście lat. Miał duży pryszcz na różowym podbródku i nos zdecydowanie zbyt duży jak na tak wąską twarz. Odłożył magazyn, skinął głową do Portera i zaczął skanować kody kreskowe. Rękawiczki musiał przeskanować cztery razy, zanim czytnik zadziałał. Porter zastanawiał się, czy chłopak w ogóle by wiedział, jak wprowadzić kod ręcznie.

– Dwadzieścia trzy czterdzieści osiem – powiedział dzieciak i obrzucił wzrokiem zakupy Portera. – Otwiera pan gabinet proktologiczny?

– Kariera neurochirurga mi się posypała, więc stwierdziłem, że spróbuję czegoś nowego.

Porter dał mu dwadzieścia pięć dolarów i sam wszystko spakował, podczas gdy kasjer odliczał resztę.

– Miłego wieczoru, panie doktorze.

– Dzięki.

W aucie wyjął z reklamówki cheetosy, a resztę rzucił na podłogę. Wyjeżdżając z powrotem na drogę, Sarah przyciskała pamiętnik do kierownicy, trzymając palec między stronami, żeby nie zgubić miejsca.

– Przeczytałaś cały pamiętnik i nie powiedziałaś ani słowa. Co o tym wszystkim sądzisz?

Wypuściła powietrze.

– Sama nie wiem, co mam myśleć. Trochę mi żal tego dzieciaka. Ale potem myślę, ile osób skrzywdził, ilu zrujnował życie, i przypominam sobie, że jest potworem. No a z trzeciej strony jest ta jego matka. Powiedziała, że to nie było tak. Co chciała przez to powiedzieć? Że nic nie jest tu prawdą? Czy tylko część?

Przelecieliśmy tysiąc kilometrów, bo jakaś więźniarka nabazgrała adres w zeszytcie. – Porter nic nie powiedział. Sarah rzuciła mu pamiętnik na kolana. – Daj no parę cheetosów.

Porter otworzył torbę i ją poczęstował.

Sarah wyjęła chrupkę i wrzuciła sobie do ust.

– Jeśli moja klientka odpowiada za choćby połowę rzeczy opisanych w tym pamiętniku... – Pokręciła głową i oblizała palce. – Nie mogę kogoś takiego reprezentować. Nie ma mowy.

GPS znów się odezwał, radząc im za trzysta metrów skręcić w lewo w Jenkins Bridge Road. Sarah włączyła kierunkowskaz.

Porterowi wydawało się, że po wyjeździe z miasta zrobiło się ciemno. Tutaj było jeszcze gorzej. Ani jednego domu czy samochodu, tylko drogi i pola uprawne.

Sarah skręciła w Jenkins Bridge Road, która choć asfaltowa, okazała się wyboista. Gwałtownie zjechała na lewo, żeby ominąć wielką dziurę pośrodku jezdni, a zaraz potem musiała ostro skręcić kierownicą w prawo, żeby nie wjechać w następną. Na krawędziach drogi widać było, że przyroda próbuje odzyskać odebraną jej przestrzeń. Chwasty przebijały się przez asfalt, spękany i pokruszony.

– PDS – powiedziała, zwalniając.

– Co?

– Psy dupami szczekają.

– Nie jestem pewien, co to znaczy.

– To znaczy, że jesteśmy na kompletnym wygwizdowie i czuję, że za jakieś trzy minuty zacznę bardzo żałować swoich ostatnich decyzji.

Nawigacja kazała jej za trzydzieści metrów skręcić w lewo. Sarah włączyła długie światła.

– Widzisz jakiś skręt? Bo ja nie widzę żadnej bocznej drogi. Właściwie to nic nie widzę.

Porter pochylił się do przodu.

– Jest, widzę. Zaraz za tym wielkim kamieniem.

Sarah skręciła w lewo, a nawierzchnia zmieniała się w żwirowo-trawiastą.

– Jeśli zamierzasz mnie tu zamordować i zakopać w płytkim grobie, to czy mógłbyś przynajmniej obiecać, że znajdziesz jakąś rodzinę zastępczą przyjazną rybkom?

– Masz rybki?

– Mam jedną rybkę. Wabi się Monroe. Potrafi świetnie słuchać i prawie w ogóle mnie nie ocenia.

Pola uprawne ustąpiły miejsca drzewom – dereniom, dębom wirginijskim – które górowały groźnie nad samochodem, sięgały ku sobie gałęziami przez wąską drogę i splatały się niczym dziesiątki kościstych palców. „Za trzydzieści metrów dojedziesz do celu – powiedział GPS. – Po prawej stronie”.

Sarah zmarszczyła czoło.

– Ja nic nie widzę, a ty? Myślisz, że nas oszukała?

– Nie wiem, co myśleć.

Nawigacja odtworzyła wesołą melodyjkę i oświadczyła: „Jesteś u celu”.

Sarah wcisnęła pedał hamulca i zatrzymała samochód.

– Tu nic nie ma. Zabawiła się naszym kosztem.

Porter wyjrzał przez przednią szybę. Droga kończyła się gąszczem chaszczy i drzew. Dookoła nie było widać nic oprócz gęstego lasu.

Odpiął pas, otworzył drzwi i wysiadł na chłodne nocne powietrze.

Sarah wyłączyła silnik i również wysiadła.

Porter ruszył ku poboczu, podeszwy jego butów zachręściły na żwirze. Stracił resztki energii, zgarbił się żałośnie.

– Kretyn ze mnie – stwierdził. – Powinienem był wiedzieć, że to się tak skończy.

Po lewej coś przemknęło przez krzaki. Porter obejrzał się w tamtą stronę i zobaczył parę lśniących oczu, które się w niego wpatrywały. Tkwiły tam przez chwilę, po czym zniknęły w poszyciu.

– Co to?

– Pewnie jakiś szop.

Porter zrobił parę kroków w lewo.

– Nie chodzi mi o tego zwierzaka...

Wyciągnął rękę i złapał grube pnącze porastające...

– Czy to skrzynka na listy?

Powrywał chwasty, odgarnął krzaki i ich oczom ukazał się pochylony słupek ze zdezelowaną białą puszką na szczycie.

Utkwił wzrok w wyblakłych literach wypisanych z boku czarną niegdyś farbą, ledwo widocznych w półmroku.

„Bishop”.

76

POOLE

Dzień trzeci, 20.07

Frank Poole wszedł do gabinetu w podziemiach komendy głównej policji i pstryknął włącznik światła. Jarzeniówki zapaliły się z charakterystycznym buczeniem, zalały pomieszczenie żółtawym blaskiem. Poole zmarszczył nos, czując dziwny odór sączący się z kąta pod tylną ścianą. Nie udało im się jeszcze ustalić, co tak śmierdziało, ale źródłem była niewątpliwie owalna plama na dywanie pod starym biurkiem.

Poole zdjął kurtkę, szalik i czapkę, rzucił je na stół koło drzwi. Podeszedł do biurka stojącego na środku pokoju, przysiadł na brzegu i utkwiał wzrok w tablicach prezentujących informacje dotyczące śledztwa.

Powinien pójść do domu.

Powinien pójść spać.

Ale nie mógł.

Poole wiedział, że gdy tylko zamknie oczy, zobaczy Libby McInley, która już tam na niego czeka i rozpaczliwie próbuje mu powiedzieć, co się stało, ale nie może, bo została na zawsze uciszona.

Szalik Dienera leżał na podłodze przy drzwiach.

Stewart, miał na imię Stewart.

Poole nie znał go zbyt dobrze. Widywał go czasem gdzieś na korytarzach chicagowskiego oddziału FBI, ale po raz pierwszy pracowali razem nad jakąś

sprawą. Nie był żonaty. Nie miał dziewczyny. Przynajmniej o żadnej nie wspominał. Poole nie wiedział nic o jego życiu prywatnym. Nie miał pojęcia, gdzie się urodził, jakie szkoły skończył, czy miał rodzeństwo. Agent Hurless zapowiedział, że osobiście skontaktuje się z bliskimi Dienera, ale nie wspomniał z kim konkretnie.

Poole wiedział, że prędzej czy później, jako ostatni, który widział go żywym, też będzie musiał odezwać się do tej osoby lub osób ważnych dla Stewarta Dienera. Żałował, że nie zadał sobie wcześniej trudu, żeby się czegoś o nich dowiedzieć.

– Niech to szlag, Diener – mruknął pod nosem, kręcąc głową.

Podszedł do tablicy, zrobił miejsce przy prawej krawędzi i zapisał:

Zielony dom – 41. Ulica 518

Bishop – ukrywał się tam cały czas?

Wyczyszczony – żadnych dowodów – przygotowany do szybkiej ewakuacji

Skrzynka kontaktowa – 41. Ulica 519

Adres wysyłki fałszywych dokumentów Libby McInley – Bishop je załatwił?

Dlaczego Bishop miałby pomagać Libby McInley? Dlaczego Libby miałaby się zgodzić mu pomóc? Zabójca siostry, Barbary McInley?

Dlaczego miałby zabić Libby McInley?

Poole zatrzymał się przy ostatnim punkcie. To nie miało sensu. Po co miałby zabijać Libby McInley, jeśli w jakiś sposób jej pomagał? Może się pokłócili? To by oznaczało, że istniała między nimi jakaś relacja. Ale jaki mogli mieć związek? Zamordował jej siostrę. Poddał ją torturom, a potem zamordował. Czy mogli jakimś cudem się znać? A jeśli tak, to czy znali się przed zamordowaniem Barbary, czy nawiązali kontakt, kiedy Libby siedziała w więzieniu? Na pewno zachował się jakiś ślad. Każda przesyłka, rozmowa telefoniczna czy widzenie trafiają do więziennych rejestrów.

Zapisał na tablicy „WIĘZIENIE STATEVILLE”.

Będzie musiał wyciągnąć od nich jej akta. Bishop w jakiś sposób zdołał z nią korespondować. Znalezienie tych wiadomości będzie kluczowe dla sprawy.

Znalezienie odpowiedzi na pytanie „jak?”.

Poole zrobił jeszcze więcej miejsca na tablicy i wypisał trzy wiersze oraz zdanie usunięte przez Bishopa z pokrytej graffiti ściany.

Czy Bishop zabrał ich telefony dlatego, że zrobili zdjęcia, utrwalili te napisy? Z początku Poole sądził, że brak telefonów miał ich tylko spowolnić, pozwolić Bishopowi uciec jak najdalej, zanim Poole zdążyłby wezwać posiłki. Teraz jednak nie był już tego taki pewny.

Bishop spodziewał się, że kryjówkę odnajdzie detektyw Sam Porter, a nie agenci federalni. To by oznaczało, że chciał, żeby to Porter znalazł napisy. Chciał, żeby Porter spróbował rozszyfrować ich znaczenie. Jednak to Poole i Diener pierwsi dotarli na miejsce, pokrzyżowali szyki Bishopowi, który niewątpliwie dokładnie zaplanował rozwój wydarzeń. Poole wyjął telefon, żeby obfotografować ścianę, ale Diener się wtrącił i powstrzymał go przed zrobieniem choć jednego zdjęcia.

Czy Diener zginął, bo widział ścianę? Bo ją sfotografował? Czy widział zdjęcia na telefonie Dienera? Bishop nie znalazł żadnych fotografii na telefonie Poole'a – może dlatego darował mu życie? Uznał, że on nie widział napisów?

Możliwe.

Poole jednak widział napisy i zapamiętał ich treść co do słowa.

Teraz ponownie przyjrzał się wierszom, zwrócił szczególną uwagę na podkreślone słowa:

Lód

woda

Życie

śmierć

Dom

strach

Śmierć

– Nie można bawić się w Boga, nie zadając się przy tym z szatanem – mruknął Poole.

Tylko „śmierć” się powtarzała. Zakreślił występujące dwukrotnie słowo i dopisał na dole „śmierć x 2”.

Bolał go guz z tyłu głowy. Sanitariusz powiedział, że prawdopodobnie doznał lekkiego wstrząśnienia mózgu. Potrzebował snu, ale pewnie nie powinien spać. Właściwie wcale nie chciał. Chciał nadal pracować nad sprawą.

Sen rozjaśniłby mu trochę w głowie.

Podszedł do biurka, przetrząsnął zawartość teczki, znalazł opakowanie ibuprofenu i połknął trzy tabletki na sucho.

Dokumenty z kartonów, które przeglądał wcześniej, nadal leżały na wierzchu. Zdjęcia z polaroida i arkusze kalkulacyjne walały się po biurku.

Znowu zerknął na tablice.

Poole nie wierzył w zbiegi okoliczności.

To wszystko musiało się jakoś łączyć.

77

PORTER

Dzień trzeci, 20.07

Porter gapił się na skrzynkę na listy.

Wydawała mu się znajoma – nazwisko „Bishop” nabazgrane z boku dziecinnym charakterem pisma, sama skrzynka, całe to miejsce. Nie przypominał sobie konkretnej wzmianki w pamiętniku, ale dopadło go tutaj déjà vu.

– Sam? Wszystko w porządku?

Porter miał zamknięte oczy. Nie pamiętał, żeby je zamykał. Kiedy podniósł powieki, zobaczył, że Sarah patrzy na niego z troską malującą się na twarzy ledwie widocznej w słabym świetle księżyca.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Znowu gdzieś odpłynąłeś, tak jak w więzieniu. Myślę, że naprawdę powinniśmy znaleźć jakiś hotel i wrócić tu za dnia. Oboje potrzebujemy snu, a teraz i tak nic tu nie widać.

Serce Portera waliło w piersi. Nie mógłby teraz zasnąć.

– Nic mi nie jest... Kupiłem latarki.

Ruszył z powrotem do samochodu, prawie się przewrócił, przechodząc przez zwirową drogę. Oparł się o dach samochodu.

Sarah znów znalazła się przy nim.

– Owszem, coś ci jest, Sam. Wyglądasz, jakbyś miał zaraz zemdleć. Usiądź na chwilę w aucie, oddychaj. Jesteś blady, jakbyś zobaczył ducha.

Sam potarł bliznę na potylicy, drugą dłonią nadal przytrzymując się samochodu.

– Nic mi nie jest.

Słowa zabrzmiały bardziej szorstko, niż planował. Sarah cofnęła się o krok.

Zrobił głęboki wdech.

– Przepraszam, nie chciałem wyjść na...

– Na buca? – weszła mu w słowo.

– Nie spodziewałem się, że to będzie istniało naprawdę. – Gestem głowy wskazał pamiętnik leżący na przednim siedzeniu. – Nie spodziewałem się, że tanto to będzie prawda. Nie... nie mogę teraz odjechać. Muszę się rozejrzeć. Muszę sprawdzić, co tu jest. Boję się, że jeśli wrócę tu rano, tego miejsca już nie będzie. Wiem, że to brzmi idiotycznie i pewnie takie jest, ale muszę tu zostać. Ty nie musisz, jeśli nie chcesz, ale ja tak. Wydaje mi się, że nie mam wyboru.

Podniosła ręce, ujęła jego twarz w dłonie.

Był jej wdzięczny za ten dotyk. Co więcej, potrzebował jej dotyku.

– Nie mogę pozwolić, żebyś błądził tu sam w ciemności. Cokolwiek jest tu do zrobienia, zrobimy to razem, ale jedno muszę bardzo jasno zaznaczyć. Jesteś mi winny naprawdę wypasioną kolację, kiedy już wrócimy do cywilizacji.

– Umowa stoi. – Przez usta Portera przemknął uśmiech. – Widziałem chyba jakieś stare kupony do Arby's na tylnym siedzeniu.

Stali tak przez blisko dziesięć minut, póki Porter nie odzyskał sił i jasności umysłu. W którejś chwili Sarah wsunęła dłoń w jego dłoń. Bardzo żałował, że nie zapamiętał tej chwili. To właśnie takie chwile warte były pamiętania, w przeciwieństwie do innych myśli, które kołatały mu się po głowie. Ścisnął jej dłoń.

– Teraz już wszystko dobrze. Chyba mnie to wszystko trochę przytłoczyło.

Porter puścił jej rękę i sięgnął do samochodu po torbę z zakupami. Położył ją na dachu auta, rozpakował latarki i włożył baterie, po czym podał jedną Sarah. Pamiętnik wsunął do kieszeni.

Sarah włączyła latarkę i poświeciła w obie strony po opuszczonej drodze, podczas gdy Porter czytał instrukcję obsługi aparatu fotograficznego.

– Tutaj jest żwirowy podjazd, a może to jakaś stara droga. Trudno powiedzieć, wszystko zarosły chwasty. – Stała jakieś półtora metra od niego, obok skrzynki na listy. – Jest coś jeszcze. Zdaje się, że koło skrzynki Bishopów stała jakaś inna. Znalazłam słupek, ale jest złamany jakieś pół metra nad ziemią.

– Na tej skrzynce byłoby napisane „Carter”. Mieszkali koło Carterów.

– No tak, było w pamiętniku.

Opanowawszy obsługę aparatu, Porter spakował rękawiczki, torebki i aparat z powrotem do torby, zamknął drzwi samochodu i podszedł do Sarah. Latarką nadal oświetlała resztki słupka od skrzynki. Kiedy przy niej stanął, oświetliła pas żwiru, który wcześniej zauważyła.

– O tym mówiłam. Wydaje mi się, że od lat nikogo tu nie było.

Porter podążył wzrokiem za snopem światła, patrzył, jak faluje na nierównej nawierzchni porośniętej zielskiem. Patrzył, jak ciemność połyka światło tuż za granicą zasięgu latarki. Potem wziął Sarah za rękę i bez słowa ruszyli w ciemność.

78

CLAIR

Dzień trzeci, 20.15

Clair zauważyła migające czerwono-niebieskie światła, kiedy jechali Ashland Avenue. Pokazała palcem przez przednią szybę.

– To tam.

– Widzę – odparł Nash i skręcił na parking Walmarta.

Podążyli za znakami wzdłuż ściany długiego budynku aż do strefy załadunku na tyłach. Kiedy skręcili za róg, trafili na dwa radiowozy, między którymi ustawiono blokadę. Policjant po lewej odsunął blokadę, puścił ich, po czym z powrotem zagroził drogę. Nash zaparkował między furgonetką techników kryminalistycznych a karetką. Sanitariusze stali za pojazdem i palili papierosy, bo niewiele mieli do roboty, mogli tylko czekać.

– Czujesz gaz? – zapytała Clair.

– To tylko Connie – wyjaśnił Nash. – Kiedy wrzucam tryb postoju, gdzieś z dołu zaczyna tak śmierdzieć. Muszę ją wziąć na przegląd.

– Zabijesz się kiedyś w tym rzęchu.

– Nie krzywdź mojej ukochanej, i tak nie ma lekko. Mały remont i będzie jak nowa. Prawda, Connie, złotko? – Wyciągnął rękę, pogłaskał deskę rozdzielczą i posłał w jej kierunku buziaka.

– Bishop to przy tobie małe piwo. Jesteś zdrowo popierdolony. – Clair wygramoliła się z samochodu i zatrzasnęła drzwi, po czym natychmiast wetknęła

ręce głęboko do kieszeni. Nash też wysiadł, poślizgnął się i prawie przewrócił na oblodzonym asfalcie.

Szara toyota tundra, pikap z cysterną przyczepioną z tyłu, stała na rampie przeładunkowej. Technicy kryminalistyczni otoczyli furgonetkę mocnymi reflektorami halogenowymi. Cały obszar ogrodzono jaskrawożółtą taśmą. Wokół stało co najmniej kilkoro umundurowanych funkcjonariuszy, którzy powstrzymywali napierający tłum ciekawskich. Byli to głównie pracownicy Walmarta – sklep był otwarty przez całą dobę. Musieli jednak zacząć dzwonić po znajomych, bo część gapiów nie miała na sobie uniformów sprzedawców, a jakiś samochód nadjeżdżał przez parking, kierując się prosto na światła i tłum. Clair wiedziała, że kiedy wieści się rozniosą, rozmiary zbiegowiska prędko się podwoją, a nawet potroją. Po przybyciu dziennikarzy będzie jeszcze gorzej.

Clair naliczyła troje techników kryminalistycznych. Wszyscy stali na odgrodzonym terenie i czekali na polecenia.

Porucznik Belkin zauważył detektywów w tłumie i podszedł do nich. Miał na sobie granatową kurtkę puchową z odznaką przymocowaną do klapy i napisem „POLICJA” nadrukowanym na plecach dużymi białymi literami.

– Ogrodziliśmy teren zaraz po przyjeździe. – Wskazał półciężarówkę, która stała na jałowym biegu kilkanaście metrów dalej. – Tamta ciężarówka przyjechała parę minut przed ósmą, kierowca zadzwonił do sklepu, bo pikap stał na rampie i zastawiał mu drogę. Kierownik magazynu wyszedł, zobaczył, że w pikapie ktoś jest, podszedł, żeby kazać mu zjechać, ale uciekł i zadzwonił pod 911, kiedy się zorientował... zresztą sami zobaczycie. Dotknął drzwi pojazdu. Wzięliśmy odciski palców, żeby go wyeliminować, zrobiliśmy też odlew podeszwy, żeby wykluczyć go ze śladów wokół furgonetki. W śniegu odbiły się buty jeszcze jednej osoby, ale przez tę pogodę się mocno zamazały. Technicy zrobili odlewy. Pewnie to sprawca. Kilkakrotnie okrążył pojazd. Może coś się uda znaleźć. Kierownik nazywa się Willis Cortese, trzymamy go w środku. Możecie z nim pogadać, ale zdaje się, że nie ma wiele do powiedzenia.

Nash wskazał na kamerę monitoringu nad rampą.

– Jakież nagrania?

Belkin pokręcił głową.

– Są tu trzy kamery. We wtorek ktoś je załatwił. Konserwator nie zdążył ich jeszcze wymienić.

– Jak to załatwił? Wiszą przecież wysoko.

– Poprzecinał kable i rozwalił kamery czymś ciężkim. Nie wiadomo, jak dokładnie to zrobił, ale całkowicie je zmasakrował. Musiał się świetnie orientować w działaniu kamer. Zakradł się tak, że pozostał poza polem widzenia. Ochroniarze mówią, że nagranie jest normalne, a potem nagle czarno, ani śladu osoby czy osób, które to zrobiły. Jeden z moich ludzi sprawdza sprzęt i nagrania, na wypadek gdyby ochronie jednak coś umknęło.

Nash zerknął ukradkiem na Clair. Oboje myśleli to samo: Bishop.

Belkin wskazał kciukiem na furgonetkę.

– Straszliwy burdel. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

– Zobaczmy – powiedziała Clair.

Belkin skinął głową i ruszył ku furgonetce. Schylił się, żeby przejść pod taśmą policyjną, i przytrzymał ją w górze dla Clair i Nasha. Podszedł do drzwi od strony kierowcy. Okno było otwarte.

– Z tego, co udało nam się ustalić, sprawca najprawdopodobniej wziął wąż od cysterny i wlał jej zawartość do szoferki, prawie dwa tysiące litrów. Musiało to trochę potrwać. Dwadzieścia, trzydzieści minut, może dłużej. Kiedy dotarłem na miejsce, temperatura wynosiła minus czternaście, a odczuwalna minus dziewiętnaście. Kryminaliści jeszcze tego dokładnie nie obliczyli, ale mówią, że żeby osiągnąć taki efekt, trzeba było lać wodę przez parę minut, potem zrobić przerwę na pięć, dziesięć minut, a potem znowu. Twierdzą, że musiało to być zrobione warstwami. Nawet przy tak niskich temperaturach, żeby coś takiego osiągnąć, trzeba było działać stopniowo. Gdyby opróżnili cysternę za jednym zamachem, tak by to nie wyglądało. Trzeba było sporo cierpliwości i niezłych jaj, żeby coś takiego zrobić, zwłaszcza tak na widoku.

Clair ze wszystkich sił starała się słuchać porucznika Belkina, który tłumaczył im, co widzą. Dodawał szczegóły dotyczące grubości i konsystencji lodu. Usłyszała, jak Nash zapytał, czy woda była słona, a Belkin wyjaśnił, że nie, słona woda nie zamarzłaby w tej temperaturze. Słyszała to wszystko, a jednocześnie jej mózg starał się pojąć, na co właściwie patrzyła.

W szoferce furgonetki znajdował się człowiek. Człowiek ten był przypięty pasem i trzymał obie ręce na kierownicy. Patrzył przed siebie, wbijał wzrok w jakiś nieistniejący przedmiot w oddali.

Ciało było zatopione w nierównej, chropowatej bryle lodu, którego warstwa była dość cienka wokół głowy, a gruba wokół fotela i przy podłodze.

Twarz ofiary gapiła się na wprost martwym, lodowatym wzrokiem.

Była to twarz chłopca. Nastoletniego chłopca.

79

PORTER

Dzień trzeci, 21.10

Najpierw zauważyli dom.

A raczej to, co z niego zostało.

Porter i Sarah zatrzymali się na podjeździe, światło latarek zatańczyło na deskach porośniętych winoroślą i chwastami.

Jakiś pożar był tu na pewno, co do tego nie mogło być wątpliwości. Ogień strawił dach, a resztki ścian były czarne i osmalone. Konstrukcja niemal całkowicie się zapadła, chociaż trudno było stwierdzić, czy bezpośrednio w wyniku pożaru, czy już później.

Porter wyjął aparat i podał go Sarah.

– Ty odpowiadasz za zdjęcia.

– Co konkretnie mam pstrykać?

– Mieści się tu z tysiąc plików, więc nie musisz się ograniczać. Chcę utrwalić wszystko. Nie wiadomo, co okaże się ważne.

Sarah podniosła aparat i wycelowała obiektyw w budynek.

Nawet kiedy dom jeszcze był cały, musiał być nieduży.

Porter wywnioskował to z obrysu fundamentów. Siedemdziesiąt, góra osiemdziesiąt metrów kwadratowych. Zgodnie z opisem z pamiętnika był tu ganek, ale zupełnie nie taki, jakiego spodziewał się Porter. Podczas lektury wyobrażał sobie sporą werandę okalającą całkiem duży dom. Rzeczywistość

zweryfikowała jego wizję. Ganek miał niecałe dwa metry na półtora, wspierał się dość niepewnie na starych pustakach. Prowadziły do niego dwa drewniane stopnie, ale Porter wątpił, żeby wytrzymały jego ciężar. Już dawno zbutwiały.

– Myślałam, że dom będzie większy – powiedziała Sarah. – Tak wywnioskowałam z opisów w pamiętniku.

Za każdym razem, kiedy Sarah robiła zdjęcie, aparat cicho pstrykał. Zabawne, jak ludzie kurczowo trzymają się przeszłości, pomyślał Porter. Nie było żadnego powodu, żeby aparat cyfrowy miał wydawać jakiegokolwiek dźwięki, a jednak ktoś zadał sobie ten trud i zaprogramował odpowiedni odgłos.

– To pewnie kwestia dziecięcej perspektywy. W oczach malucha wszystko zdaje się większe.

– Pewnie tak.

Porter ostrożnie postawił nogę na ganku, ominąwszy przegniłe deski. Snopem światła latarki znalazł miejsce, w którym niegdyś znajdowały się drzwi frontowe, a teraz ziała czarna dziura.

– Chyba nie zamierzasz tam wchodzić? – zapytała Sarah.

– Muszę zobaczyć piwnicę.

Światło latarki Sarah zatańczyło na jedynych dwóch pozostałych ścianach zewnętrznych, omiotło pustą przestrzeń, gdzie powinien się znajdować dach, a w końcu wylądowało na resztkach podłogi.

– To nie może być bezpieczne.

Porter zrobił kolejny krok. Deski zaprotestowały gwałtownie pod jego stopami, jęcząc i zawodząc.

– Jeśli podłoga się załamie, możesz się poważnie poturbować, a jesteśmy na końcu świata.

Porter poświecił na pozostałości po starej lodówce i kuchence, jakieś cztery metry w głąb tej ruiny. Z drzwi lodówki zwisała pordzewiała kłódka.

„Punktualnie o dziewiątej zatrzaśniwała drzwi lodówki i zamykała błyszczącą nową kłódkę Stanleya. Lodówka była zamknięta do pory lunchu, a potem do kolacji. Mogłem spokojnie głodować do południa, ale coś mi podpowiadało, że

wrzucenie czegoś do brzucha pomoże mi osłabić efekty popijawy i być może przygotuje mnie na resztę dnia”.

Fragmenty ścian sterczały gdzieniegdzie niczym ogromne, poczerńiałe wykałaczkę wyrastające z ziemi. Stara wanna stała zakopana pod stertą gruzu w dalszej części domu.

Porter zrobił kolejny ostrożny krok i uklęknął przy wielkiej dziurze w miejscu, gdzie prawdopodobnie znajdował się salon. W świetle latarki przeglądał rumowisko, które musiało już tak dawno temu spaść na niższą kondygnację, że nie dało się rozróżnić jego poszczególnych elementów. Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że znalazł metalową rurę, do której przykuci byli Carterowie, ale zaraz się zorientował, że to drzewo zakorzeniło się w spękanej betonowej posadzce i wyrosło już tak wysoko, że niemal sięgało na zewnątrz, do światła.

– Widzisz coś? – zapytała Sarah.

– Będziemy musieli przekopać całą posesję. Dom jest w stanie wieloletniego rozkładu.

– Ale żadnych zwłok, prawda?

– Jeśli jakieś były, to już dawno zostały stąd wyciągnięte. – Porter powtarzał sobie, że to prawda, jednak oczami wyobraźni wyraźnie widział dziesiątki trupów zagrzebanych w gruzach, czarne, spalone ciała. Cuchnęło tu śmiercią. – Hej, możesz mi rzucić aparat? Nie podchodź za blisko, nie chcę, żebyś tu łąziła.

Sarah zawahała się, zamachnęła na próbę i rzutem od dołu podała mu aparat. Porter złapał go czubkami palców.

– Dzięki.

Ostrożnie, żeby nie upuścić aparatu, zniżył go do otworu w podłodze, trzymając palec na guziku migawki. Zrobił kilkanaście zdjęć, celując obiektywem w różne strony, a jasny błysk flesza rozświetlał wszystkie zakamarki.

– Hej, znalazłam samochód! – zawołała Sarah gdzieś z tyłu.

Porter po raz ostatni ogarnął wzrokiem resztki piwnicy i tą samą drogą wrócił na twardy grunt. Sarah stała kilka metrów od domu i celowała latarką w splątane kłębowisko chwastów.

Nie zauważył samochodu od razu, dopiero kiedy prawie na niego wszedł. Sarah udeptywała wysoką trawę.

– To chyba volkswagen. Trudno powiedzieć.

– Volkswagen? Bez sensu. – Porter nareszcie zobaczył pordzewiałą kupę metalu, popękane szyby. We wnętrzu zamieszkało jakieś leśne stworzenie, siedzenia pokrywała matowa trawa. Obszedł samochód dookoła, uważnie badając karoserię. Kiedy światło latarki padło na tylny zderzak, zatrzymał się i nachylił bliżej.

– A niech mnie.

– Co?

Kiedy Sarah przyklękła obok, pokazał jej naklejkę na zderzaku, wyblakłą, ledwie czytelną. Przeczytała na głos:

– „PORSCHE DLA UBOGICH”.

„Ojciec miał porsche, rocznik 1969. To było dzieło sztuki o gardłowym ryku, który rozlegał się po przekręceniu kluczyka i narastał, gdy auto wyjeżdżało na drogę i sunęło wzdłuż chodnika z głodnym zachwytem.

Jakże ojciec uwielbiał ten samochód”.

– To garbus. Myślę, że to auto ojca Bishopa. – Porter wstał i poświecił na widoczne fragmenty pojazdu. – Zobacz, maska i bagażnik są otwarte. Widzisz strzaskane okna i reflektory? Wszystkie zniszczenia pasują do opisu z pamiętnika, tyle że to nie porsche.

– Porsche dla biedaków.

– No właśnie.

Porter przeszedł na tył i zrobił zdjęcie brudnej tablicy rejestracyjnej: straciła ważność w październiku 1995 roku.

Sarah wstała i pokazała na prawo.

– Tam jest jakiś inny dom.

Porter spojrział w tamtym kierunku i zrobił parę kroków do przodu.

– To nie dom, to przyczepa. – Oddał jej aparat.

– Dziś się chyba na to mówi „dom na kółkach” – powiedziała Sarah.

Przedarł się przez wysoką trawę i chwasty, przecinając dawny ogródek przed domem Bishopów, a Sarah ruszyła za nim. Kiedy dotarł na miejsce, obrócił się powoli dookoła, oświetlając latarką otoczenie. Gdy znowu stanął twarzą do przyczepy, zamarł bez ruchu, a jego umysł pracował na najwyższych obrotach.

– To tutaj musieli mieszkać Carterowie. Nie ma tu śladu po żadnym innym budynku.

„Drzwi z siatką z tyłu domu Carterów były otwarte. Targał nimi wiatr, który uderzał nimi o łuszczącą się białą framugę. Złapałem za klamkę i przytrzymałem drzwi, żeby pani Carter mogła wejść do środka. Weszła do ciemnej kuchni. Przez całą drogę nie odezwała się ani słowem. Oboje milczeliśmy. Gdyby nie pociągała nosem, nie wiedziałbym, że szła za mną”.

Sarah wdrapała się po betonowych schodach do drzwi wiszących na jednym zawiasie, bo drugi pękł i oderwał się od metalowej framugi.

– Otwarte.

Okna, przynajmniej te od frontu, nie miały szyb. Wystrzępione zasłony łopotały na wietrze, falowały na tle ciemnego wnętrza.

– Pójdę przodem – powiedział Porter i wszedł do środka. – Trzymaj się blisko mnie.

Zaraz za drzwiami wkroczył do miniaturowej kuchni – malutki blat z laminatu i ława wbudowana w ścianę po jednej stronie, a po drugiej zardzewiały sprzęt AGD. Podłoga była uwalana błotem, żywioły dały się przyczepie we znaki. Drzwi lodówki stały otworem, ukazując puste półki. Większości szafek brakowało drzwiczek. Wszystkie okna albo miały powybijane szyby, albo były otwarte na oścież, powietrze ze świstem wpadało do środka. Zaraz za kuchnią znajdował się mikroskopijny salonik, tapicerka kanapy była tak wyblakła i przegniła, że nikt by się nie domyślił, jak wyglądała kiedyś. Każdy

fragment płaskiej powierzchni pokrywało graffiti, jaskrawe obrazki i figury przeplatały się z dłuższymi tekstami, podpisami i tagami.

– Możesz to obfotografować? Potem przejrzymy wszystko na zdjęciach.

– To pewnie meta okolicznych dzieciaków – stwierdziła Sarah, podnosząc aparat. – Wszystkie nastolatki potrzebują porządnej kryjówki, żeby się spokojnie napić i pobzykać.

Porter przeszedł przez pomieszczenie kuchенно-salonowe, minął małą łazienkę z wyschniętą, brudną toaletą i wanną, w której walała się zwinięta w kłęb zasłona prysznicowa. Kiedy światłem latarki zahaczył o popękane lustro, zauważył w nim odbicie swojej własnej twarzy. Myślami wrócił do pamiętnika, do małego chłopca, który pokonał tę samą drogę wąskim korytarzem.

„Ruszyłem przez przedpokój, przyciskając do klatki piersiowej dłoń z nożem z ostrzem skierowanym przed siebie. To ojciec nauczył mnie tego chwytu. W razie konieczności pchnę nóż z całej siły mięśni ręki i z precyzją broni palnej. Trudno będzie zablokować takie pchnięcie; trudniej, niż gdybym się zamachnął. Ta technika pozwoli mi również wymierzyć cios prosto w serce lub żołądek i pociągnąć w dół lub do góry. Gdybym się zamachnął od góry, mógłbym przesunąć ostrze wyłącznie w dół, a wówczas istniałoby ryzyko, że ostrze się zsunie, zamiast wejść głęboko. Ojciec miał wielki talent”.

Niemal widział Bishopa krocącego za nim, czuł jego wzrok na karku. Kiedy on tu był ostatni raz? Kiedy był dzieckiem? Tyle lat temu? A może od tamtej pory wrócił? Wrócił i ponownie przemierzył ten sam przedpokój?

– Z tyłu są drzwi do dwóch pomieszczeń. To pewnie sypialnie – powiedziała Sarah za jego plecami.

Drzwi były zamknięte.

„Ojciec powiedział mi kiedyś, że jeśli się do kogoś podkradasz, masz co najmniej sekundę przewagi, zanim ten ktoś zdoła zareagować. Ludzki mózg powoli przetwarza informację o takiej czynności – ofiara zamiera w bezruchu, gdy próbuje zrozumieć, że stoisz obok niej, tym bardziej że wydawało jej się, że jest sama. Według ojca niektóre ofiary będą trwały w bezruchu i patrzyły na

ciebie, jakby oglądały program telewizyjny. Czekają na kolejne wydarzenia. Czasami lepiej nie wiedzieć, co się wydarzy”.

Porter pożałował, że nie ma pistoletu. Dlaczego nie kupił gdzieś w okolicy strzelby? Na broń tego rodzaju nie trzeba czekać.

Jego dłoń powędrowała do kieszeni i zacisnęła się na rękojeści noża Bishopa. Sięgnął do gałki drzwi po lewej stronie.

Sarah wrzasnęła.

80

KATI

Dzień trzeci, 21.11

– Obudź się!

– Obudź się!

– Obudź się!

Zduszone słowa.

Jakby wypowiedziane przez mokry ręcznik.

Dziewczęcy głos.

– Obudź się, proszę...

Wprost do jej ucha. Ciepły oddech. Ciężki szept.

Kiedy Kati zdołała w końcu otworzyć oczy, powieki tak jej ciążyły ze zmęczenia, że prawie opadły z powrotem. Odzyskała przytomność. Przytomności towarzyszył ból, który zalał ją niczym falą gorącego płynu krążącego w jej żyłach, palił mięśnie i kości.

Na oczach nie miała już opaski.

Nic nie krępowało jej rąk ani nóg.

Nachylała się nad nią dziewczyna mniej więcej w jej wieku, ich twarze prawie się dotykały. Głowa Kati leżała na podołku tamtej.

Kati skupiła wzrok na dziewczynie, a ta przycisnęła palec do ust.

– Nie może nas usłyszeć – wyszeptała. – Nie możemy dopuścić, żeby nas usłyszał. Nie chcę, żeby tu przyszedł.

Z jej głosem było coś nie tak. Brzmiała jak ktoś, kto wychodzi z paskudnego przeziębienia. Mówienie sprawiało jej ból. Kati widziała to w jej oczach. Na ustach miała zaschniętą krew.

Kati próbowała usiąść, ale jej się nie udało, opadła z powrotem na kolana dziewczyny, a ta pogładziła ją po włosach.

– Przebrałam cię. Ja to zrobiłam, nie on. Zostawił dla ciebie ubrania. Twoje były przemoczone. Można się tu przeziębic, więc nie mogłam cię zostawić takiej mokrej. Nie możesz się rozchorować. Musisz mieć siłę. Musimy cię stąd wyciągnąć. Sama nie dam rady. Trzeba działać razem.

Dziewczynie rwał się oddech, z mozołem wydobywała z siebie każde słowo.

Kati jak przez mgłę pamiętała pojemnik z wodą, tonięcie.

Potem nic.

– Próbował cię porazić prądem. W sumie nie próbował, poraził cię prądem, widziałam. Wrzucił cię do tego dużego pojemnika z wodą, a potem zanurzył w nim kable od akumulatora. Huknęło głośno, a potem poczułam... poczułam... że coś się pali. Myślę, że to mogły być twoje włosy. Trudno powiedzieć. Ciągłe masz mokre włosy. Wyciągnął cię z wody i zaczął reanimować. Reanimował i reanimował, w końcu zaczęłaś kaszleć, ale się nie ocknęłaś. Wsadził cię tu do mnie i poszedł na górę. Od tej pory nie wrócił. Na razie. Musimy być cicho, żeby nie wrócił na dół. Jak się zorientuje, że się ocknęłaś, to tu przyjdzie, jestem pewna.

Dziewczyna zakasłała.

Twarcz wykrzywił jej grymas bólu.

Kiedy odsłoniła usta, na dłoni miała krople czerwonej śliny.

– Po... połknęłam szkło, żeby trzymał się ode mnie z daleka. Udało się, nawet mnie nie tknął. – Błady uśmiech. – Ale mu pokazałam, co nie? – Wytarła rękę o zieloną narzutę, którą się otulała. – Jestem Larissa.

– Kati – wykrztusiła. Zaschło jej w gardle, chciało jej się pić. – Gdzie... gdzie Wesley?

– Kto?

- Przyszłam tu z Wesleyem Hartzlerem. Był tu ze mną.
- Nikogo poza tobą nie widziałam. Przyniósł tu tylko ciebie.
- Przyszłam tu z nim – powtórzyła Kati.

W oku Larissy pojawił się błysk nadziei.

- Może udało mu się uciec? Poszedł wezwać pomoc?

Kati zobaczyła, jak nieznajomy rzuca się przez stół, jak roztrzaskuje kubek po gorącej czekoladzie na skroni Wesleya. Jak Wesley osuwa się na podłogę.

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że zrobił mu krzywdę. Myślę, że poważnie go pokiereszował.

– Może wcale nie było z nim tak źle. Może uciekł. Wydaje mi się, że w innym wypadku byłby tutaj z nami. On by go zamknął w piwnicy.

Kati podniosła oczy na dziewczynę, zobaczyła, jak rozpaczliwie przelatuje wzrokiem po całym pomieszczeniu, po czym wbija go w sufit.

- Jak długo tu jesteś?

Dziewczyna przeniosła spojrzenie z powrotem na nią, błyskawicznym ruchem głowy, jak dzikie zwierzę.

– Nie... Nie jestem pewna. Dzień, coś koło tego? Zemdlałam po tym, jak połknęłam szkło. Trudno tu zachować poczucie czasu. Co dziś jest?

– Sobota – odparła Kati, zebrała się w sobie i usiadła. Kręciło jej się w głowie. Dotknęła lewej skroni i skrzywiła się z bólu. Larissa zmartwiała.

– Porwał mnie dziś rano. Nie minął jeszcze nawet dzień. Boże, a wydaje mi się, że siedzę tu od tygodnia. – Znowu zakasłała, wypluwając krew.

Kati próbowała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Larissa złapała ją i przytrzymała.

- Uważaj, jesteś jeszcze na pewno strasznie osłabiona.

Kati skinęła głową, wzięła głęboki oddech i jeszcze raz spróbowała się podnieść, tym razem podciągając się na metalowej siatce. Kiedy już udało się jej wyprostować, zaczęła obchodzić klatkę dookoła, sprawdzać każde spoiwo, każdą najmniejszą szczelinę.

– Sprawdzalam tysiac razy. Wszystkie laczenia zaspawal, a rame przytwierdzil do podlogi. Nie ma miejsca, zeby wyjsc gora, a na drzwiach sa dwie klodki. Nie da sie stad wydostac.

Kati podeszla do drzwi i zaczela uwaznie studiowac oba zamki.

– Gdzie trzyma klucz?

– Na lancuszkku na szyi. Wiesz, gdzie jesteśmy? To znaczy gdzie jest ten dom?

– A ty nie wiesz?

Larissa pokręcila glowa i opowiedziala, jak zostala uprowadzona.

– Dom jest przy Lowell. Sasiedzi ze wszystkich stron, sporo osob sie kręci po okolicy. Przyszliśmy tu z Wesleyem w ramach głoszenia Dobrej Nowiny, jesteście Świadcami Jehowy.

– Ktoś wie, gdzie jesteście?

Kati zmarszczyła czoło i wypuściła z ręki kłódkę, która stuknęła głośno o metalową ramę.

– Nie. Było nas sporo, ponad dwadzieścia osób, ale wszyscy wyszliśmy wcześniej rano ze zboru i rozdzieliliśmy się, żeby obejść jak najwięcej domów. Tutaj dotarliśmy dopiero po ładnych kilku godzinach. Reszta zniknęła mi z oczu. Zawsze chodzimy w grupkach, dla bezpieczeństwa. Trzymałam się Wesleya, bo mówił, że zna okolicę. – Kati kucnęła obok Larissy. – Mówiłaś, że nie tknął żadnej z nas. To dlatego nas porwał? Chodzi o seks?

Z oka Larissy popłynęła łza, dziewczyna otarła ją brudną ręką.

– Na początku tak myślałam, ale kiedy wziął się za ciebie... Pytał, czy dla niego zobaczysz, czy powiesz mu, co widziałaś, zanim wrzucił cię do wody, zanim poraził cię prądem. A kiedy cię reanimował, to ciągle powtarzał, żebyś zawróciła, żebyś do niego wróciła. Zachowywał się jak szalony. Nie chciał, żebyś umarła, a wcześniej próbował cię zabić. Nie ro...

Otworzyły się drzwi u szczytu schodów.

Ciężkie kroki.

Larissa położyła się na podłodze i przykryła narzutą.

– Udawaj, że śpisz. Zostawi cię w spokoju – szepnęła i zamknęła oczy.

Kati jednak nie posłuchała rady. Została w miejscu, stała przy drzwiczkach klatki, podczas gdy mężczyzna w czarnej wełnianej czapce pokonał resztę schodów prowadzących do piwnicy, lekko powłócząc prawą stopą.

– Obudziłaś się. – Podeszedł do klatki. – Widzę, że ubrania mojej córki na ciebie pasują, to dobrze. Nie chciałbym, żebyś się przeziębila. Powinienem był cię rozebrać przed zanurzeniem w wodzie. Tak jest lepiej, ale nie myślałem jasno. – Wetknął palce w oczka siatki i zacisnął dłonie. – Musisz mi powiedzieć, co widziałaś.

Kati spojrzała na jego dłonie. Paznokcie miał brudne, skórę pokrytą kolorowymi kreskami, śladami flamastrów czy długopisów. Rana z boku głowy częściowo wystawała mu spod czapki. Jątrzyła się, czerwona na tle bladej skóry, pokryta płatkami zaschniętej krwi, rozdrapana do mięsa.

– Co widziałaś? – zapytał znowu. „C” zabrzmiało jak „s”, seplenił. Przyglądał jej się z wyczekiwaniem, nawet nie mrugnął.

Kati podniosła rękę, musnęła jego palce, a potem uścisnęła jego brudną dłoń przez metalową siatkę, złapała go mocno. Nachyliła się bliżej, tak że ich twarze dzieliło kilka centymetrów.

– Widziałam coś niezwykłego – powiedziała. – Zobaczyłam twarz Boga.

81

PORTER

Dzień trzeci, 21.13

Szop czmychnął z łazienki korytarzem i wypadł przez drzwi do przyczepy, które nadal wisiały otwarte na jednym zawiasie.

Sarah odskoczyła z wyrazem zawstydzenia na twarzy.

– No weź, ty się nie wystraszyłeś? Ani trochę?

– W środku cały się trzęsę – odparł Porter, starając się powstrzymać uśmiech.

Sięgnął do gałki, przekręcił i otworzył drzwi z lewej strony wąskiego korytarzyka.

Mała sypialnia.

Pusta, jeśli nie liczyć sterty potłuczonych butelek po piwie w kącie. Okno było zabite deskami, szyba wybita, tak jak w tych od frontu domu na kółkach.

Porter odwrócił się do drzwi po prawej.

– Jeśli znowu wyskoczy jakiś szop, to cię przed nim obronię.

– Mój bohater.

Otworzył drzwi.

Druga sypialnia, ta akurat umeblowana.

Pod ścianą z lewej strony stało pełnowymiarowe łóżko i dwie szafki nocne. Naprzeciwko znajdowała się szafa, niegdyś oszklona. Oba lustra jednak już dawno poszły w drobny mak, a płyty pilśniowe pod spodem pokrywało graffiti. Szuflady z szafki nocnej były powyciągane, dwóch w ogóle brakowało.

Pozostałe dwie leżały jedna na drugiej w kącie szafy. Plamy na materacu na łóżku prezentowały cały wachlarz kolorów, ale żadnego z nich Porter nie potrafił zidentyfikować. W pokoju czuć było grzybem i nieświeżym, zastałym powietrzem.

– Dawno nikogo tu nie było – stwierdziła Sarah. – Ten materac jest chyba zbyt obleśny nawet dla dzieciaków.

– Nie doceniasz potęgi hormonów buzujących w nastoletnich chłopcach. Dla szesnastolatka ta nora jest jak luksusowy apartament.

– Nie mogę sobie wyobrazić, że ktoś tu normalnie mieszkał. Kiedyś to był czyjś dom.

Porter podszedł do szuflad w szafie, podniósł górną – obie puste. Komodę stojącą przy ścianie obok drzwi też splądrowano. Brakowało trzech szuflad. Jego myśli powędrowały do pamiętnika, do matki Bishopa, która wyciągała te same szuflady, bo czegoś szukała.

– Poszukaj w miejscu, gdzie kryją się potwory. Tam znajdziesz odpowiedzi – powiedział.

– Co?

– Tak mi powiedziała w więzieniu.

– Potwory chowają się pod łóżkiem – powiedziała Sarah.

Porter podniósł materac, z całej siły pociągnął go w górę, stęknął i oparł go o ścianę. Materiał pokrywający sprężyny albo przegnił, albo został wygryziony przez jakieś stworzenie i wykorzystany do wymoszczenia gniazda. Zostały tylko poszarpane strzępki przy brzegach drewnianej ramy.

– Jako dzieciak chowałem wszystkie skarby pod materacem, nie przejmowałem się potworami.

Sarah poświeciła latarką na podkładkę ze sprężynami pod materac.

– Jeśli mówiąc o skarbach, masz na myśli koty z kurzu i butelki po piwie, to trafiłeś na prawdziwą żyłę złota. Czego właściwie szukasz?

– Nie jestem pewny – przyznał Porter. – W pamiętniku była mowa o metalowej beżowej skrzyni.

– No to teraz już jej tu nie ma.

Porter podniósł podkładkę i oparł ją o materac stojący pod ścianą, po czym uklęknął. Przebiegł palcami po deskach podłogi, przyświecając sobie latarką.

– Podłoga jest nierówna.

– Wszystko tu jest nierówne.

– Ktoś zerwał klepki, a potem zamocował z powrotem.

Sarah kucnęła obok.

– Bandyci z pamiętnika chyba sprawdziliby to, nie sądzisz?

– Może ktoś to zrobił później. Potrzebuję śrubokręta.

– Jeśli sądzisz, że zabrałam śrubokręt na naszą małą eskapadę, to ewidentnie mnie nie znasz. Nie posiadam się z radości, kiedy pamiętam o spakowaniu ładowarki do telefonu, a właśnie sobie przypomniałam, że zostawiłam ją na biurku.

Porter próbował podważyć klepki palcami, ale nie mógł porządnie złapać.

– A kluczyki do samochodu?

– To akurat mam. – Sarah wyjęła kluczyki z kieszeni i mu podała.

Odłożył latarkę, ale Sarah skierowała strumień światła na podłogę, żeby widział, co robi. Wcisnął klucz w wąską szparę między dwiema deskami. Z początku nie ustępowały, ale potem usłyszeli pyknięcie – pierwsza z trzech oderwała się od podłoża. Wyciągnął klepkę i odłożył ją na bok, a potem zaczął ciągnąć następną. Ta odeszła już łatwiej, podobnie jak kolejna. W sumie udało mu się zdjąć pięć i odsłonić otwór o wymiarach mniej więcej pół metra na pół metra.

Porter wziął latarkę i poświecił w głąb dziury.

– Co tam masz?

Sięgnął w dół, wyłowił śpiwór i podał go Sarah.

– Wygląda mi to na sprzęt kempingowy. Jest jeszcze jeden śpiwór i plecak. – Zanurzył ramię, wyjął pozostałe rzeczy i na wszelki wypadek jeszcze raz sprawdził skrytkę, żeby się upewnić, że niczego nie przegapił. – To wszystko.

Sarah pociągnęła suwak plecaka.

– Poczekaj chwilę – powstrzymał ją Porter. Wyjął z kieszeni rękawiczki lateksowe i podał jej parę. – Włóż je.

– Naprawdę myślisz, że to dowody? – zapytała ze zmarszczonymi brwiami. – To pewnie sprawa dzieciaków. Jakiś bystrzak schował tu sobie legowisko, żeby jego księżniczka z balu nie musiała się kłaść na zasyfionym materacu.

– Lepiej zachować ostrożność, dopóki nie będziemy całkowicie pewni. – Porter sam włożył rękawiczki.

Sarah poszła w jego ślady i wróciła do zamka błyskawicznego.

– Zardzewiały, nie chce się przesuwac. – Skrzywiła się i zamek w końcu się poddał, otworzył się z metalicznym traskiem.

Z plecaka wydobywało się nieświeże, zawilgłe powietrze. Z dna śmierdziało jeszcze gorzej.

– Lepiej niech ja to zrobię – powiedział Porter, sięgając po plecak.

Oświetlił zawartość latarką, starając się oddychać przez usta. Potem zaczął wyjmować rzeczy z głównej komory plecaka i układać je w rzędzie na podłodze. Kiedy opróżnił plecak, odchylił się i uważnie przyjrzał wszystkim przedmiotom.

– Co tak śmierdzi?

– Woda musiała się dostać do środka, obstawiam, że raczej niedawno. Wszystko zgniło. Długo to tutaj leżało – odparł Porter.

Naliczył sześć koszulek, cztery pary dżinsów, skarpetki i bieliznę, zarówno męską, jak i damską. Ubrania były wilgotne, materiał rozłaził mu się w palcach. Jedna ze skarpetek była zwinięta w kulkę. Starając się nie zniszczyć materiału, Porter rozprostował ją i wygładził, uwidaczniając jakąś wypukłość, coś ukrytego wewnątrz skarpetki.

Wymienił spojrzenia z Sarah, sięgnął do środka, wymacał zawartość i położył ją na podłodze.

Serce Portera waliło jak oszalałe.

– Zrób zdjęcie.

Sarah skinęła głową i podniosła aparat.

Nie duży medalion, pozłacany, zawieszony na łańcuszku wraz z pordzewiałym kluczykiem. Kiedy Sarah zrobiła już zdjęcie, Porter siłą otworzył medalion. Znajdowała się w nim fotografia, ale obraz całkowicie wyblakł. W środku umieszczono inicjały L.M.

Sarah to również uwieczniła na zdjęciu.

82

CLAIR

Dzień trzeci, 21.14

Powinni byli wrócić na komendę, spróbować chociaż chwilę zdrzemnąć się w pokoju narad na przedpotopowej kanapie, która pełniła służbę w chicagowskiej policji prawdopodobnie jeszcze w czasach, gdy Al Capone i „Diamond Joe” Esposito zajmowali się podkradaniem słodczy ze sklepu, kiedy mama nie patrzyła. Kanapa obita wyblakłą brązową skórą, spękaną i porysowaną, z wyściółką, która przez lata stwardniała tak, że była niewiele miększa od podłogi.

Clair marzyła teraz o tej kanapie.

Marzyła o śnie.

– Na pewno gdzieś go mam – mamrotał Nash, przerzucając klucze w wielkim pęku. – To musi być jeden z tych.

Wybrał złoty klucz i wsunął do zamka w drzwiach do mieszkania Portera. Nie przekręcił się.

To nie ten.

Nash wyciągnął klucz, metal zazgrzytał o metal.

– Czemu masz tyle kluczy?

Wzruszył ramionami.

– Przeprowadzam się, stare klucze zostają, dochodzą nowe. Jak się to często powtarza, to człowiek ma ich nagle całkiem sporo.

– Większość ludzi przy przeprowadzce wyrzuca albo oddaje stare klucze. Nie powinno się ich trzymać.

– A ty co, po godzinach pracujesz w wydziale inspekcji kluczy? Że też ci starcza na to czasu...

Nash wypróbował kolejny, tym razem srebrny z ośmiokątną nasadą. Też nie pasował.

– Chodzi mi tylko o to, że powinny ci wystarczyć góra trzy klucze. Do samochodu, do mieszkania i do pokoju narad, tyle. Nie ma powodu nosić przy sobie więcej.

Kolejny złoty klucz, okrągły. Ten wreszcie gładko wszedł do zamka i przekręcił zasuwę. Nash otworzył drzwi.

– Gdybym nie trzymał starych kluczy, nie mógłbym zrobić czegoś takiego.

– Sam! Jesteś tu? – Clair nie była pewna, po co właściwie woła. Trzy razy dobijali się do drzwi i nikt nie otworzył.

W mieszkaniu panowała ciemność.

Nash sięgnął do włącznika i zapalił światło w salonie.

Oboje jednocześnie zobaczyli przewrócony fotel.

– Jasny gwint – powiedział Nash.

Clair wyciągnęła broń i zaczęła obchód mieszkania, po drodze zapalając światła w kolejnych pomieszczeniach.

Nash został w salonie. Powoli przeszedł przez pokój w stronę fotela.

– Clair, jego tu nie ma. Nie było też włamania.

Clair wróciła z sypialni, za jej plecami jasno świeciły lampy w łazience. Schowała pistolet. Zauważyła iPhone'a na stoliku kawowym. Schyliła się i podniosła aparat. Kciukiem nacisnęła guzik. Nic się nie stało.

– Telefon Sama, wyłączony.

Nash jednak jej nie słuchał. Siedział przy rozkładanym fotelu, palcami badał luźny materiał pod spodem przyczepiony na rzepy.

– Co ty robisz? – Clair przyklękła obok.

Nash odchylił się do tyłu i oparł o kanapę.

– Muszę ci coś powiedzieć. Nie będziesz zadowolona.

– Co?

– Pamiętnik.

– Co z pamiętnikiem?

Nash zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

– Sam zataił dowód, nikomu go nie zgłosił. – Nash podniósł dłoń, uciszając ją, zanim zdążyła coś powiedzieć. – Zamierzał to zrobić. Kiedyś by go przekazał komu trzeba. Ale jeszcze nie teraz. Chciał poczekać do aresztowania Bishopa. Obawiał się, że jeśli odda pamiętnik, to treść wycieknie do prasy, będzie sensacja, wyolbrzymią postać Bishopa i zrobią z niego legendę. Był przekonany, że to dlatego Bishop w ogóle podrzucił nam pamiętnik, więc uznał, że jeśli nie zgłosi go do ewidencji, jeśli w ogóle nikomu go nie przekaze, to zbije Bishopa z tropu, może sprowokuje go do błędu. Porter twierdził, że Bishop ma wybuchowy charakter. Sądził, że jeśli go zdenerwuje, Bishop może się potknąć, a my będziemy mieli szansę go złapać.

– A ty o tym wiedziałaś? Zgodziłaś się na to?

Nash powoli pokiwał głową.

– Na początku powiedziałem, że daję mu tydzień. Z tygodnia zrobił się miesiąc, potem cztery. Czas mijał, sprawa zdawała się coraz mniej istotna.

– Wspominałam o pamiętniku w raportach. Jest dowód na piśmie – zauważyła Clair.

– Ja też. Niczego nie ukrywałem. Sam o tym wiedział. Mówił, że to bez znaczenia. Gdyby ktoś zapytał, powiedziałby, że już dawno przekazał pamiętnik, zważyłby winę na magazyn z dowodami albo na system, przecież bez przerwy giną jakieś dowody. Znasz Sama, na pewno coś by wymyślił.

Clair brodą wskazała fotel.

– Tutaj go chował?

– Tak.

Clair sięgnęła do wnętrza fotela, pomacała.

– Dobra kryjówka. – Wyjęła rękę, oparła się o kanapę obok Nasha i westchnęła z rezygnacją. – No to gdzie on jest?

Nash spojrział na telefon Sama, który Clair ciągle miała w ręku.

– Mam strzelać? Obstawiam, że znalazł coś w tym pamiętniku i ruszył tropem odkrycia.

– Czemu zostawił telefon? Czemu nic nam nie powiedział?

– Nie chce nas w to mieszać, chce nas chronić.

– Zawiesili go. Kazali trzymać się z daleka od tej sprawy. Nawet jeśli osobiście doprowadzi Bishopa na komendę, odbiorą mu odznakę. Koniec.

– Wydaje mi się, że już go to nie obchodzi. Od śmierci Heather jest mu wszystko jedno. Kiedy Bishop mu się wymknął, coś w nim pękło. Myślę, że traktuje pościg za Bishopem jak niezalutwioną sprawę. Myślę, że zrobi wszystko, co konieczne, żeby go aresztować, potem i tak jest skończony. Chce odejść na własnych warunkach. Uważa, że Bishop jest na wolności przez niego, z powodu jego błędu, więc to on musi go złapać i zakończyć tę sprawę.

– To niebezpieczne.

– Wszystko mu jedno.

– Nie powinien być sam.

– Ale tego właśnie chce.

Clair podciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi.

– Ten chłopak w furgonetce to było okropne, Nash. Jeśli to Bishop, to jest coraz gorszy.

– Zawsze próbował nam coś przekazać. Na tym właśnie musimy się skupić. Odczytać ukrytą wiadomość. To doprowadzi nas do Larissy, a potem do niego. – Mówił cicho, monotonicznie. – Eklerku, musimy powiedzieć wszystko FBI, o pamiętniku też. Nie możemy już dłużej milczeć, nie w takiej sytuacji.

– Wiem. – Ogarnęła ją przemożna potrzeba ziewnięcia i Clair próbowała ją opanować, przycisnęła dłoń do ust. Najgorsze było beczynne siedzenie. Jeśli zaraz się nie ruszą, zaśnie na miejscu. – Jak tylko wrócimy.

Siedzący obok Nash też ziewnął.

– Odpocznijmy pięć minut, a potem prosto na komendę.
Nash jednak zdążył już zasnąć i teraz pochrapywał cicho.

PORTER

Dzień trzeci, 21.44

Porter czuł w kieszeni ciężar noża Bishopa.

„Było kiepsko. Bardzo kiepsko. Wsunąłem dłoń do kieszeni dzinsów w poszukiwaniu znajomego kształtu noża myśliwskiego, ale nie znalazłem go. Gdybym go miał, mógłbym dźgnąć tego mężczyznę w szyję. Przeciąłbym te liczne podbródki i uwolnił krew, która trysnęłaby jak z kranu. Byłem szybki. Wiedziałem to. Tylko czy wystarczająco szybki? Chyba mogłem zabić tego otyłego człowieka, zanim zdążyłby zareagować? Ojciec chciałby, żebym go zabił. Matka również. Chcieliby. Wiedziałem, że by chcieli”.

Słowa Bishopa odbijały się echem w jego głowie.

Stali przed przyczepą Carterów. Wszystko sfotografowali, schowali medalion i kluczyk do torebki strunowej. Włożyli z powrotem ubrania do plecaka i zostawili go na podłodze sypialni. Nie odkładali na miejsce desek ani materaca.

Nad ich głowami księżyc wypełził zza ciemnych chmur, odepchnął je na bok, żeby choć przelotnie zerknąć na ziemię. Wyraźnie się ochłodziło, nie aż tak jak w Chicago, ale w powietrzu czuło się głęboki, wilgotny ziąb, który przenikał aż do kości.

Sarah chciała jechać do miasta, znaleźć hotel, odpocząć. Nie musiała nic mówić. Widział to w jej oczach. Była zmęczona. Miała wystarczająco dużo przeżyć jak na jedną noc.

Porter odwrócił się od niej i zapatrzył na las rosnący wzdłuż granicy parceli, na której stały oba domy, na prowadzącą do tego lasu wąską ścieżkę.

Załaskotało go w żołądku. Poczuł mrowienie na skórze.

Sarah przeniosła snop światła latarki z ziemi pod stopami Portera, omiotła posesję, a w końcu skierowała go w miejsce, które i on oświetlał, koniec ścieżki.

– Od lat nikt tu nie mieszka. Jak myślisz, dlaczego ta dróżka ciągle tu jest? Powinna była już dawno zarosnąć.

– Pewnie zwierzęta. Albo te dzieciaki, co balują w przyczepie.

„Albo coś innego. Coś znacznie gorszego”.

Nóż był ciepły. Nawet nie zauważył, kiedy wsunął dłoń z powrotem do kieszeni. Palcami gładził powierzchnię rękojeści.

– Możesz tu zostać – zaproponował.

Zanim dokończył zdanie, Sarah już kręciła głową.

– Nie puszczę cię tam samego.

Przemierzyli trawnik, kierując się ku dróżce. Przeskoczyli pień złamanego drzewka, po czym zniknęli na końcu ścieżki, a światła ich latarek toczyły pojedynkę z ciemnością.

84

POOLE

Dzień trzeci, 21.49

– Sama przekopywałam się przez to pudło ze dwadzieścia razy. Księgi rachunkowe psychopaty – powiedział jakiś głos.

Poole podniósł głowę znad sterty arkuszy kalkulacyjnych i zobaczył jakąś kobietę stojącą w drzwiach. Miała na sobie różową czapkę, fioletowy szalik i rozsunietą grubą kurtkę. Już ją gdzieś widział.

– Mogę? – zapytała.

Oparł się i skinął głową na znak przyzwolenia, potem potarł skronie. Ból z tyłu głowy przeniósł się do przodu i na boki.

– Czym mogę służyć?

Podeszła i wyciągnęła rękę.

– Nikt nas sobie jeszcze nie przedstawił. Detektyw Clair Norton. Byłam w oddziale specjalnym 4MK z Porterem i Nashem, dopóki nie wkroczyliście ze swoimi ludźmi i nie ukradliście nam sprawy.

Poole uściskał jej dłoń.

– Agent specjalny Frank Poole.

– To już wiem. Mówiłam przecież, że jestem detektywką, umknęło panu?

Nie miał czasu na takie przekomarzanie.

– Czym mogę pani służyć?

– Potrzebujemy pana po drugiej stronie korytarza.

– Mam przyjść do pokoju narad? Porter zabronił mi tam wchodzić. Dali mi to bardzo wyraźnie do zrozumienia, razem z tym drugim gościem, kiedy ostatnio się tam zapuściłem.

– Dzięki panu i pańskim kumplom Sam poszedł na urlop. Pod jego nieobecność to ja tam rządę – powiedziała.

– A co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

– Ktoś upuścił waszą czekoladę do naszego masła orzechowego.

Poole poszedł za Clair Norton do pokoju narad po drugiej stronie korytarza. Kiedy przekroczył próg, atmosfera była tak gęsta, że można by ją kroić nożem. Kilka par zmęczonych oczu nie odrywało od niego wzroku. Ukłonił się detektywowi Nashowi i przysunął sobie krzesło do stołu konferencyjnego. Tylko jego znał spośród trzech osób obecnych w pomieszczeniu.

– Frank – mruknął Nash i nieznacznie pomachał mu na powitanie.

Clair przedstawiła mu pozostałych.

– To Sophie Rodriguez z Zaginionych Dzieci, a ten kocmołuch tam w kącie to Edwin Kłozowski. Szefuje naszym informatykom.

– Mów mi Kłoz. – Kłozowski wstał i wyciągnął do Poole'a rękę przez stół.

– Nie podlizuj się tu federalnym – powiedziała Clair.

Kłozowski cofnął rękę i z powrotem usiadł na krześle.

– No tak.

– Co ci się stało w głowę? – zapytał Nash. – Cały jesteś poobijany.

Poole opowiedział im o domach przy Czterdziestej Pierwszej, o Dienerze i Bishopie. Nash i Clair wymienili spojrzenia. Clair odezwała się pierwsza.

– Bardzo mi przykro.

Poole kiwnął głową.

– Pozwolą ci dalej pracować nad tą sprawą? – spytał Nash.

Poole wzruszył ramionami.

– Nikt nie powiedział, że nie. Przynajmniej na razie. I tak mamy za mało personelu w tutejszym oddziale Biura. Większość agentów jest zajęta

udaremnianiem potencjalnego zamachu terrorystycznego, pojawiły się groźby. Mogliby ściągnąć kogoś innego, ale na razie mają tylko mnie, a nikt nie orientuje się w tej sprawie lepiej niż ja. – Rozejrzał się wokół. – No może poza wami wszystkimi.

– I Samem – dodał Klozowski półgłosem. – On zna tę sprawę lepiej niż ktokolwiek z nas.

– Próbowałem się do niego dodzwonić, i to nie raz – powiedział Poole. – Ale natychmiast włącza się poczta głosowa.

Nash i Clair znowu wymienili spojrzenia.

– Przed chwilą byliśmy z Nashem w mieszkaniu Sama. Znaleźliśmy komórkę na stoliku w salonie, wyłączoną, a jego ulubiony fotel był przewrócony i leżał na boku.

– Myślicie, że Bishop go dorwał?

– Nie. Sądzymy, że opuścił mieszkanie dobrowolnie. Brakuje walizki. Wydaje nam się, że dokądś pojechał – powiedziała Clair.

– I nie chciał, żebyśmy wiedzieli dokąd – dodał Nash.

– Dokąd miał jechać?

Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie.

– Czy to możliwe, żeby współpracował z Bishopem? Jakoś mu pomagał?

– Nie ma mowy – odparł Nash.

– Wykluczone. – Clair założyła ręce na piersi.

Poole przyjrzał się uważnie ich minom.

– Co wam wiadomo o pamiętniku Bishopa?

W pokoju znowu zapadła cisza. Grupa wymieniła ukradkowe spojrzenia, ale nikt nic nie powiedział.

Poole sapnął z irytacją, wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Nie mam czasu na takie zabawy.

Nash wyprostował ręce i oparł się o stół. Wędrował wzrokiem od Clair do Klozowskiego i z powrotem.

– Zaczekaj, Frank. Usiądź, proszę.

Poole opadł powoli na krzesło.

– Wiecie, gdzie on jest, prawda?

Clair spojrzała na Nasha.

– Sam go ukrył – wyznał w końcu Nash.

– Przed zwierzchnictwem?

– Przed prasą. Gdyby wprowadził pamiętnik do rejestru dowodów rzeczowych, to równie dobrze mógłby go wysłać gazetom. Wyciekłby. Coś takiego na pewno by wyciekło.

– Czyli zataił dowody? A wy wszyscy mu na to pozwoliliście?

– Sam zabrał pamiętnik. Wiedziałem, że jest u niego, tylko Sam i ja, nikt inny.

– Nash spuścił oczy i utkwiał wzrok w swoich dłoniach.

– Gdzie jest teraz ten pamiętnik?

– Sam chował go pod fotelem w salonie, pod tym samym fotelem, który teraz leży przewrócony.

– Czyli Sam zabrał go ze sobą? Gdziekolwiek pojechał?

– Tak.

– Nikt nie zrobił kopii?

– Nie chcieliśmy robić kopii.

Poole przyswoił sobie wszystkie nowe informacje, po czym zwrócił się do Clair:

– Dlatego mnie tu sprowadziliście? Żeby się do wszystkiego przyznać?

Klozowski zaśmiał się cicho.

– O, stary, to jak z tym czubkiem góry lodowej.

– Co to ma znaczyć?

– To dopiero początek, jest znacznie więcej – powiedziała Clair. Z brązowej teczki leżącej na biurku wyjęła fotografię o wymiarach 20 na 30 centymetrów i podsunęła mu po blacie.

Poole podniósł odbitkę. Zdjęcie przedstawiało chłopca zamrożonego pod kilkoma warstwami lodu w szoferce furgonetki.

Clair wstała, podeszła do tablicy i zdjęła z niej inną fotografię. Ją również położyła przed Poole'em. Tym razem było to zbliżenie na przednią szybę pojazdu, wyciągnięte z nagrania kamery drogowej.

– To Bishop – powiedział Poole tonem pozbawionym wyrazu.

– Ta sama furgonetka – wyjaśniła Clair. – Poza tym ten sam wóz zarejestrował trzy tygodnie temu monitoring w Jackson Park. Sprawca przywiózł do parku cysterne, a potem wodę z niej wykorzystał do ukrycia ciała Elli Reynolds pod powierzchnią zalewu. Cysterne ukradziono z Tanks A Lot, sklepu akwarystycznego w centrum miasta. Libby McInley, siostra piątej ofiary Bishopa, zgłosiła się do pracy w Tanks A Lot. Pracowała tam przez jeden dzień. Sądzę, że tyle czasu wystarczyło jej na zrobienie rekonesansu dla Bishopa. Z jakiegoś powodu współpracują. A raczej współpracowali.

Poole uważnie przyglądał się obu fotografiom.

– Kiedy do tego wszystkiego doszliście?

– W ciągu ostatnich kilku godzin – powiedziała Clair. – Do wszystkiego.

– Zidentyfikowaliście chłopaka?

– Na razie nie. Ciało pojechało do sekcji. Jeszcze nad nim pracują.

– Wiecie, co spotkało Libby McInley? W jakim stanie ją znaleźliśmy? – zapytał Poole.

– Widzieliśmy raport.

– Widzieliście raport... – powtórzył Poole. Nadal, gdy tylko zamykał oczy, widział Libby McInley. A teraz też Dienera. Twarz Bishopa, kiedy otworzył mu drzwi.

„To nie Sam Porter”.

Z uśmiechem na twarzy.

Poole spojrzął na tablice ustawione z przodu pomieszczenia, na zdjęcia dziewczyn, które odwzajemniały spojrzenie. Potem zwrócił się znów do siedzących wokół stołu konferencyjnego, którzy patrzyli na niego wyczekująco.

– Porter twierdził, że te sprawy nie mają związku z Bishopem.

– Sam się mylił.

– Zatajanie dowodów, ukrywanie pamiętnika dotyczącego sprawy, która teraz jest już sprawą federalną... Możecie nie tylko stracić odznaki, ale nawet wylądować za kratkami. Ten pamiętnik może być kluczowy dla rozwiązania sprawy, a my go nie mamy. I nie wiemy, gdzie może być.

– Oni nie mieli z tym nic wspólnego. To вина moja i Sama – podkreślił Nash.

Znowu zapadła cisza, a całe pomieszczenie zdawała się wypełniać nerwowa energia, napięcie wzrosło, jakby zaraz miały pójść iskry.

Spojrzenie Clair skrzyżowało się ze wzrokiem Nasha siedzącego po drugiej stronie stołu. Oboje odwrócili oczy. Sophie gapiła się na ekran telefonu, chociaż nie wyglądało na to, żeby cokolwiek czytała, raczej po prostu nie chciała patrzeć na resztę.

Minęła tak niemal minuta, aż w końcu Poole wstał.

– Zaczekajcie.

Zostawił ich przy stole.

Kiedy wychodził, Klozowski rzucił pod nosem:

– Mamy przejebane.

Poole wrócił po chwili z jedną z tablic z pokoju FBI naprzeciwko. Ustawił ją obok pozostałych i ruszył z powrotem w stronę korytarza.

– Nie zgłosisz nas? – zawołał za nim Klozowski.

– Na razie musimy zająć się tą sprawą.

Clair wypuściła powietrze, które długo trzymała w płucach.

85

KATI

Dzień trzeci, 21.52

Mężczyzna w czarnej wełnianej czapce siedział po drugiej stronie niedużego stołu kuchennego. Ciemne oczy miał przekrwione, białka pocięte siatką czerwonych żyłek, lewe bardziej niż prawe. Prawe oko zdawał się oszczędzać. Kiedy na nią patrzył, przekręcał nieznacznie głowę, jakby przyglądał jej się lewym okiem, a prawe skupiało się na czymś w tle, za nią.

Ręce i nogi Kati były przymocowane plastikowymi opaskami zaciskowymi do metalowego krzesła.

Ciasno.

Zdecydowanie zbyt ciasno.

Kati nieustannie poruszała palcami, żeby pobudzić krążenie.

Starła się koncentrować na jego twarzy, utrzymywać kontakt wzrokowy, tak jak wypada podczas cywilizowanej rozmowy. Starła się nie patrzeć na ranę z boku głowy pokrytą warstwą skrzepniętej krwi. Starła się nie gapić się zbyt długo na czarną wełnianą czapkę ocierającą się o paskudne czerwone mięso. Starła się nie zwracać uwagi na ciemne plamy gorącej czekolady na stole i podłodze, dawno już zaschnięte. Najusilniej jednak starła się nie patrzeć na krew na podłodze, obficie rozprysniętą w miejscu, w którym upadł Wesley: okrągła kałuża, z której pociekły strumienie, z nich cieniutkie strużki, a na końcu pojedyncze krople na linoleum i na ścianie.

Nie mogła na to patrzeć.

Nie chciała na to patrzeć.

Mężczyzna trzymał w prawej dłoni fiolkę pigułek, ścisnął ją tak mocno, że palce całkiem mu zbieleły.

Kati próbowała dojrzeć etykietkę, ale jego dłoń zasłaniała większość napisu. Trząśł się, ale tylko trochę. Zanim zażył jedną z tych pigułek, było znacznie gorzej.

– Opowiedz mi jeszcze raz – powiedział i nachylił się nieco bliżej. Czuła zapach jego oddechu. Nie chciała go wachać. Wiedziała też, że jedyną szansą ucieczki było zdobycie jego zaufania. Musiała stać się mu potrzebna, dać mu jakiś powód, jakiego nie mogła albo nie chciała dać mu tamta druga dziewczyna z piwnicy, coś, czego nie dostał od innych ofiar.

– Mógłby pan poluzować mi więzy na rękach i nogach? Obiecuję, że nie będę próbowała uciekać. To boli. Nadal trudno mi się skoncentrować, a ból nie pomaga. – Szarpnęła nadgarstkami, stukając o metal, żeby zilustrować problem, ale potem uznała, że nie powinna tego robić. Nie powinna zdradzać żadnych oznak siły, oporu, buntu, pokazywać tylko słabość, uległość.

– Ból wyostrza umysł. Jeśli wykorzystasz go w odpowiedni sposób, ból nie osłabi koncentracji, wręcz przeciwnie, pomoże ci się skupić.

Po zażyciu pigułki mówił wyraźniej, prawie w ogóle już nie seplenił. Zaczął się jednak pocić, czoło i szyję pokrywała mu lśniąca warstewka.

– Chcę, żeby Wesley też to zobaczył – powiedziała Kati. – Mógłby pan pokazać też Wesleyowi? Żebyśmy oboje mogli opowiedzieć? Myślę, że ciekawie byłoby sprawdzić, czy oboje widzieliśmy to samo, nie uważa pan?

Na chwilę oderwał od niej oczy, spuścił wzrok, spojrzął na miejsce, na które ona nie chciała patrzeć, ale potem znów skupił się na niej, zacisnął usta w wąską kreskę.

– Nie będziemy rozmawiać o Wesleyu. Nie chcę już o nim dłużej słuchać. Chcę, żebyś znowu mi opowiedziała.

Kati jeszcze raz szarpnęła związanymi rękami, ale tym razem dyskretnie. Lewa opaska zdawała się nieco luźniejsza niż prawa, ale nie na tyle, żeby się wyswobodzić – tak jej się przynajmniej wydawało. Pewności nie miała.

– Nie wiem, czy potrafię ubrać to w słowa. Zobaczyłam coś przepięknego, magicznego. Jakbym znalazła się wewnątrz muzyki albo smakowała uczucia artysty, który uchwycił oddech malowanej postaci. Nie ma słów, które mogłyby to opisać, nie da się tego z niczym porównać.

– Mówiłaś, że zobaczyłaś twarz Boga.

Znów seplenienie, nieznaczne, ale słyszalne.

– My... myślę, że to był cały Bóg. Myślę, że mnie otaczał. Poczułam ciepło, otaczało mnie coś dużego i ciepłego. Zdarzyło się panu kiedyś przysnąć i najpierw przez ułamek sekundy mieć uczucie spadania, które potem przekształciło się w dryfowanie po powierzchni, wrażenie idealnej nieważkości, bez bólu, bez żadnego nacisku, dotyku na skórze? Nie dało się wyróżnić żadnego konkretnego dźwięku, a mimo to jednocześnie słyszałam najpiękniejszy, kojący dźwięk, jak wszystko i nic zarazem, prawie tak, jakbym jednocześnie była w dwóch różnych miejscach.

– Widziałaś siebie?

Kati zastanowiła się chwilę, po czym pokręciła głową. Jeden z palców lewej dłoni już prawie, prawie wysuwał się spod plastikowej opaski.

– Nie, nic z tych rzeczy. Wydaje mi się, że to się zdarza tylko w filmach czy w serialach. Ale... Czułam się wolna, wyzwolona z ciała, wolna od fizycznych ograniczeń.

Palec prawie wyślizgnął się z więzów, ale wrócił na miejsce. Jeśli mężczyzna słyszał zgrzyt plastiku na metalowej ramie krzesła, nie dał tego po sobie poznać. Palcem stukał w buteleczkę z lekami.

Zdobądź jego zaufanie, powtarzała sobie Kati. Zachowaj spokój. Jeśli ona będzie spokojna, on też zachowa spokój. Mów mu to, co chce usłyszeć. Myślami wróciła do dziewczyny w piwnicy, dziewczyny, która prawdopodobnie teraz umierała, bo wolała połknąć szkło, niż pozwolić temu potworowi się skrzywdzić.

Wolała umrzeć na własnych warunkach, niż dać mu się dotknąć. Kati ją podziwiała, ale sama nie miała zamiaru umierać. Ona się stąd wydostanie.

Nad zlewem było okno – słońce już zaszło, ale dostrzegła niewyraźny zarys sąsiedniego domu, zaledwie parę metrów dalej. W jednym z okien paliło się światło, zdawało jej się też, że zauważyła ruch za białymi zasłonami.

Kati oblizwała suche, spierzchnięte wargi.

– Mogłabym napić się wody?

Mężczyzna gapił się na nią bez słowa, w pierwszej chwili nie była pewna, czy ją w ogóle usłyszał. Już miała ponowić pytanie, ale wstał, podszedł do zlewu, wziął mętną szklankę z suszarki i napełnił wodą z kranu. Kiedy wracał do stołu, patrzyła na cząsteczki pływające w wodzie, resztki czegoś, co znajdowało się wcześniej w tej szklance, niedomytej, ohydnej.

Mężczyzna w czarnej wełnianej czapce stanął obok niej, przytknął jej szklankę do ust i przechylił. Kati piła. Piła i starała się nie myśleć o tym, co widziała w szklance. Potulna, życzliwa, niewzruszona. Słowa te przemykały jej przez głowę, wszystkie cechy, które musiała pozorować, żeby przeżyć. Woda miała kwaśny smak, ale kiedy mężczyzna zabrał szklankę, Kati się uśmiechnęła. Nie mogła pokazać po sobie niezadowolenia.

Drżącą dłonią odstawił szklankę na stół i wrócił na swoje miejsce. Nie wiedziała, czy mężczyzna trzęsie się z nerwów, czy z powodu innych dolegliwości, ale była całkowicie pewna, że nie drży ze słabości czy strachu. Nie może sobie pozwolić na takie błędne założenie.

– Kiedy zanurzył mnie pan w wodzie – ciągnęła – miałam na oczach opaskę. Ocknęłam się w ciemności, nie wiedziałam, gdzie jestem. Potem byłam w wodzie, w wodzie o temperaturze ciała, potem spadanie i cisza, a potem... – urwała i spojrzała mu w oczy – potem poczułam się doskonale, wszystko było idealnie. Bez strachu. Bez niedostatków. Bez potrzeb. Spokój. Błogość. Perfekcja.

Mężczyzna przyglądał jej się z lekko rozchylonymi ustami, z lewego kącika ciekła mu strużka śliny. Zignorował to, nawet nie próbował jej wytrzeć. Palcem

wskazującym dłoni trzymającej tabletki stukał w plastikową buteleczkę. Z kolei drugim palcem wskazującym pocierał o kciuk wolnej dłoni, powoli, w kółko.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? – zapytał w końcu.

– Nie mam powodu kłamać.

– Nie?

– Umarłam. Tamta dziewczyna mi powiedziała, że umarłam. Ożywił mnie pan, uratował mi życie.

– Zatrzymała ci się akcja serca. Umarłaś na niewiele ponad trzy minuty. Zreanimowałem cię. Może trwało to zbyt krótko. Może wcale nic nie widziałaś. Mówisz mi tylko to, co wydaje ci się, że chcę usłyszeć.

– Nigdy bym nie zrobiła czegoś takiego.

– Myślę, że powinniśmy spróbować jeszcze raz. Tym razem dłużej. Pięć minut, może sześć. Mózg umiera dopiero po pięciu, więc trzeba było zostawić cię na dłużej – oznajmił. W miarę jak mówił, stukanie w butelkę przybierało na sile i intensywności, a jednocześnie coraz szybciej i bardziej gorączkowo wyrzucał z siebie słowa. – Poniżej pięciu może być za krótko.

Kati naprężyła więzy, szarpnęła lewą ręką. Nie mogła się jednak wyswobodzić.

– Kto to jest... Maybelle?

Wziął głęboki haust powietrza i opadł na oparcie krzesła.

– Maybelle Markel? – powiedziała Kati. – Tak, Markel, zgadza się.

– Skąd znasz to nazwisko?

– Dotarło do mnie, kiedy tam byłam w tamtym miejscu. Usłyszałam je. Jakby ktoś szepnął mi do ucha, a może krzyczał z bardzo dużej odległości, nie jestem pewna. Kim ona jest?

Wyjął kolejną pigułkę. Z trudem odkręcił fiolkę, zdjął nakrętkę i połknął lekarstwo bez popijania.

– Wspominał pan o córce. Mówił pan, że mam na sobie jej ubrania. Tak właśnie się nazywa? Pańska córka nazywa się Maybelle Markel?

– Pewnie sam ci powiedziałem.

– Nie, nie mówił pan.

Zdezorientowany zaczął grzebać w pamięci, próbując sobie przypomnieć, czy zdradził jej imię. Pod wpływem pigułek ustąpiła mgła zasnuwająca mu oczy.

Kati znów szarpnęła lewą ręką, tym razem mocno, i prawie ją oswobodziła, ale dłoń gwałtownie wróciła do poprzedniej pozycji. Niewykluczone, że skaleczyła się plastikową opaską. Czuła nie tylko ból nadgarstka, lecz także ciepłą wilgoć. Pomyślała, że może dzięki skórze śliskiej od krwi uda jej się łatwiej uwolnić.

– Maybelle chciałyby chyba panu przekazać, że wszystko z nią w porządku. Odnalazła spokój.

– To właśnie mówiła? To ci powiedziała? – W jego głosie pobrzmiwał lęk, którego wcześniej tam nie było. – Jesteś pewna? – „Jefteś”.

Kati skinęła głową.

– Tak, tak sędzę.

Zamrugnął przekrwionymi oczami, a potem utkwiał w niej wzrok, świdrował ją spojrzeniem, prześwietlał na wylot. Zerwał się z takim impetem, że podniósł też stół, który poleciał do góry i w bok, szklanka poszybowała na drugi koniec pomieszczenia i roztrzaskała się na kawałki. Błat uderzył Kati w żebra jak taran, popchnął ją do tyłu razem z krzesłem, które na chwilę zaczepiło o szafki za jej plecami, a potem przewróciło się bokiem, boleśnie przygwoździło do podłogi jej rękę, przywaloną całym ciężarem dziewczyny.

Z ust mężczyzny dobyło się słowo: „Kłamstwo!”, okrzyk wściekłości i surowych, żywych emocji.

Kati też wrzeszczała. Wrzeszczała, kiedy przewracała się na podłogę. Teraz jednak milczała i nie odrywała wzroku od miejsca, w którym upadł Wesley, zaledwie centymetry od jej twarzy. Czuła we włosach jego lepka krew, widziała jaśniejszy punkcik na środku krwawej kałuży, gdzie jego głowa spoczywała na podłodze.

Kącikiem oka widziała też rysunek, który zauważyła, kiedy mężczyzna zaprosił ją z Wesleyem do kuchni, choć teraz dostrzegła go z trudem. Na

lodówce wisiał, przyczepiony magnesem z pizzerii Domino's, obrazek przedstawiający dom, a przed nim mamę, tatę, córkę i psa – schematyczne ludziki trzymające się za ręce. W prawym dolnym rogu znajdował się podpis: Maybelle Markel, grubymi fioletowymi literami.

Wtedy ktoś wszedł do domu. Drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły. Gorączkowe kroki w korytarzu, zbliżające się do kuchni.

– Co ty zrobiłeś?

– Kłamała. Niczego nie widziała. Żadna z nich. Ani jedna.

– Już niedługo wszyscy zobaczą.

86

POOLE

Dzień trzeci, 21.52

Agent specjalny Frank Poole, detektywi Clair Norton i Brian Nash, Sophie Rodriguez z Zaginionych Dzieci oraz Edwin Kłozowski z wydziału informatycznego policji Chicago siedzieli wokół stołu konferencyjnego w pokoju narad. Oczy wszystkich były zwrócone na sześć tablic ustawionych na przodzie.

Za ich plecami zapiszczał ekspres do kawy. Nikt się nie podniósł.

– W głowie się to nie mieści – powiedział w końcu Kłozowski. Przerwał milczenie trwające już blisko pięć minut.

To naprawdę nie mieściło się w głowie, pomyślał Poole. Szesnaście lat w FBI, z czego cztery w wydziale nauk behawioralnych w Quantico, potem przenosiny do Chicago. Nigdy nie widział czegoś takiego, ani bezpośrednio podczas śledztwa, ani w dziesiątkach przeanalizowanych przypadków. To wszystko nie miało żadnego sensu, nie tworzyło jasnego schematu. Seryjni zabójcy zawsze trzymali się jakiegoś charakterystycznego schematu. Schemat ten mógł się zmieniać, w miarę jak zabójca dopracowywał szczegóły i nabywał doświadczenia, zaczynał się czuć pewniej i swobodniej, ale działania nigdy nie były przypadkowe. Zawsze dało się zauważyć jakiś wzór.

„Dlaczego nie może dostrzec schematu?”

– Za dużo szumu – powiedział Poole półgłosem.

Nash spojrział na niego spod zmarszczonych brwi.

– Jak to?

– Musimy się pozbyć szumu.

Poole wstał i ruszył na przód sali, nie odrywając wzroku od tablic.

– Chyba nam odleciał – stwierdził Klozowski.

Poole stał przez chwilę bez ruchu, chłonąc cały tekst, każde słowo, każdą literę, każdy zawijas suchościeralnego markera, zapamiętał wszystko. Potem obrócił pierwszą tablicę tyłem do przodu – wszystkie te słowa zniknęły z tyłu, zastąpiła je czysta, biała tafla. Potem obrócił drugą, trzecią, aż w końcu wszystkie sześć tablic zwróconych było do tylnej ściany, a oni gapili się na nic.

Kloz parsknął i opadł na oparcie fotela.

– No teraz to już na pewno odleciał.

Poole obszedł tablice od tyłu, pościągał z nich wszystkie fotografie, wziął czarny flamaster z jednej z półeczek i wrócił do przodu.

– Przez ostatnie kilka dni dotarło do nas bardzo dużo informacji, zbyt dużo. Musimy wyeliminować szum, który zakłóca nam odbiór, i skupić się na tym, co naprawdę ważne, wyłuskać twarde dowody, poskładać je od nowa w sensowną całość.

– Jak puzzle – rzucił Kloz.

Nash i Clair zmierzyl go wzrokiem. Wzruszył ramionami.

Poole przykleił zdjęcie Ansona Bishopa na środku przy górnej krawędzi tablicy. Potem przejrzał pozostałe, wybrał i powiesił pod Bishopem wizerunki następujących osób:

Ella Reynolds

Lili Davies

Floyd Reynolds

Randal Davies

Libby McInley

Larissa Biel

Darlene Biel

NN z furgonetki

– Na te osoby sprawa miała bezpośredni wpływ – oznajmił Poole. – To ofiary albo niedoszące ofiary.

– Kto nam zostaje? – zapytała Clair.

Poole podniósł resztę fotografii.

– Troje współmałżonków: Leeann Reynolds, Grace Davies i Larry Biel, no i inne dzieci z poszczególnych rodzin. – Odłożył odbitki na stół konferencyjny, plecami do góry. – Jeśli znajdziemy jakiś związek tych osób ze sprawą, nie licząc więzów rodzinnych, wrócą na tablicę. Na razie jednak skupmy się na tamtych.

Nash zabębnił palcami po stole.

– Jeśli Bishop jest w to zamieszany i stosuje ten sam model działania co przy poprzednich ofiarach, to znaczy, że dzieci zostały ukarane za coś, co zrobili ich rodzice. Dzieci nie są tu prawdziwym celem.

– Ale tym razem zabił też rodziców – wtrąciła Sophie.

– Zwróć też uwagę, w jaki sposób zabił te dzieciaki – dodała Clair. – Obie dziewczyny utopione w słonej wodzie. Niezidentyfikowany chłopak zamrożony w szoferce. Wszystkich torturowano.

– Nie usunął oczu, ucha ani języka żadnego z dzieci, a to znacząca zmiana – zwrócił uwagę Nash. – Zupełnie odszedł od tego, co robił w przeszłości.

– Ale nie w przypadku Libby McInley – przypomniał Poole. – Ją zamordował dokładnie tak jak poprzednie ofiary.

– Wcale nie dokładnie tak samo – zaoponowała Clair. – Poobcinał jej też wszystkie palce. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie zrobił.

– Więcej tortur – stwierdził Nash. – Eskalacja?

– Inny rodzaj tortur, odmienny od pozostałych – powiedział Poole. Zebrał ze stołu kubki, podszedł do ekspresu i zaczął nalewać kawę. – Palce u rąk i nóg obcina się zwykle, żeby wyciągnąć informacje. W jego przypadku to poważne naruszenie normy. Poprzednim ofiarom usuwał oczy, ucho i język, żeby zostawić konkretną wiadomość dla osoby, która odnalazłaby ciała, żeby drażnić się

z policją, żeby wzbudzić sensację. Tamte ofiary wybierał ze względu na informacje, które już posiadał, wszystkiego dowiedział się z dokumentacji księgowej Talbota. Tamtych ofiar nie musiał przesłuchiwać. Wszystko już wiedział.

Poole wrócił do stołu i rozdał kawę.

Clair sięgnęła po kubek i pociągnęła łyk.

– Czyli Libby McInley różni się od reszty: miała jakieś informacje, których potrzebował, i był gotów poddać ją torturom, żeby je z niej wyciągnąć.

Poole podszedł z powrotem do tablicy.

– Był gotów poddać Libby cięższym torturom niż kogokolwiek, żeby czegoś się od niej dowiedzieć. – Odczepił zdjęcie Libby McInley i przeniósł je na tablicę po prawej. – Jej zabójstwo w niczym nie przypomina pozostałych. Ją też na razie oddzielmy.

– Co nam wiadomo o Libby McInley? Co czyni ją wyjątkową? – zapytał Nash.

Poole wyrecytował dane z akt z prędkością karabinu maszynowego.

– Oskarżona w marcu dwa tysiące siódmego, skazana w lipcu tego samego roku za nieumyślne spowodowanie wypadku drogowego, w którym zginął niejaki Franklin Kirby, skazana na dziesięć lat, z czego odsiedziała siedem z hakiem, sześć tygodni temu zwolniona warunkowo.

– Jak się nazywała ofiara wypadku? – zapytał Nash.

– Franklin Kirby. – Poole zrobił krok w stronę stołu. – Porter też znał to nazwisko, ale nie chciał zdradzić nic więcej. Kto to jest?

– Ja pierdołę, jak mogliśmy to przegapić? – wypalił Kloz.

Clair pokręciła głową.

– To facet z pamiętnika Bishopa. Kirby pracował dla Talbota. Systematycznie go okradał, a w końcu uciekł z matką Bishopa, kiedy ten był jeszcze dzieckiem. Poza tym zastrzelił jego ojca.

– Znowu ten pamiętnik – zachnął się Poole. – Muszę go przeczytać.

– Poczekaj, spróbuję ci to wszystko wytłumaczyć – powiedział Nash – bo ja akurat czytałem. Kirby morduje ojca Bishopa i ucieka z jego żoną. Libby McInley niechcący przejeżdża Kirby’ego. Bishop morduje Barbarę McInley, siostrę Libby, w ramach zemsty za zabicie Kirby’ego, a na koniec morduje Libby, mimo że najwyraźniej działają wspólnie? To nie ma żadnego sensu. Po śmierci Kirby’ego Bishop powinien skakać ze szczęścia.

Kloz odchrząknął.

– A co, jeśli to nie Bishop zamordował Libby? Może zrobił to ktoś inny i upozorował to tak, żeby wyglądało na sprawkę Bishopa. To by wyjaśniało obcięte palce. Nie zrobił tego Bishop, lecz ktoś, komu zależało na jakichś informacjach.

– Kto?

Klozowski nerwowo zmienił pozycję i mówił dalej:

– A co, jeśli to nie Bishop zabił Barbarę McInley?

Clair podrapała się po głowie.

– Wiemy, że to zrobił.

– Na pewno?

Znowu milczenie.

Kloz objął dłońmi kubek i zapatrzył się w chlupoczący w nim płyn.

– Wszystkie ofiary Bishopa musiały umrzeć, bo ktoś z ich rodzin był zamieszany w działalność przestępczą, wszystkie co do jednej, z wyjątkiem piątej ofiary, Barbary McInley. Jej śmierć powiązano z ucieczką jej siostry z miejsca wypadku. Wypadku – podkreślił i odwrócił się do Nasha. – Tak jak mówiłeś, Bishop nie miał powodu jej zamordować, na pewno nie za potrącenie Kirby’ego.

– W takim razie kto? – zapytał Poole.

– Matka Bishopa – odparł Kloz cicho.

87

POOLE

Dzień trzeci, 21.55

– Matka Bishopa? – powtórzył Poole. Klozowski skinął głową.

– Była związana z Kirbym. Nigdy jej nie złapano. Kto wie? Palce poobcinała pewnie w ramach zemsty. Uciąć ucho i język, wyłupić oczy i pochować do białych pudełeczek... Nietrudno podrobić styl Bishopa.

– Białe pudełka były takie same jak te używane przez Bishopa w pierwszej serii zbrodni? – zapytała Clair.

– Tak, identyczne – odparł Poole.

– Jeśli na wolności grasuje matka Bishopa, to nie mamy pojęcia, do czego jest zdolna. Biorąc pod uwagę wszystkie informacje zgromadzone przez jej syna, to wcale niewykluczone, że udało jej się znaleźć identyczne pudełka – stwierdził Nash. – Miała środki, pieniądze ukradzione Talbotowi przez Cartera.

Poole krążył między tablicami a stołem.

– Kiedy byliśmy u niego w mieszkaniu, Porter zwrócił nam uwagę, że zabójstwo McInley różniło się od pozostałych. Powiedział, że Bishop zdawał się nią bardziej zainteresowany, podkreślił fakt, że była jedyną blondynką spośród wszystkich ofiar.

– Pamiętam – powiedziała Clair. – Bishop zatrzymał się na chwilę i zagapił na to zdjęcie. Stwierdził, że to „anomalia”, cytuję.

Poole podszedł powoli z powrotem do tablicy i napisał: „Zabita przez matkę Bishopa?” obok zdjęcia Libby McInley, a potem znów zniknął za tablicami i wyłonił się z torebkami zawierającymi stare zdjęcie z polaroida i pukiel blond włosów. Położył dowody na stole konferencyjnym.

– Czy coś wam to mówi?

Clair podniosła odbitkę.

– Gdzie to znaleźliście? – Pokazała Nashowi i Klozowskiemu.

– W szufladzie u Libby, było schowane pod ubraniami, razem z tym kosmykiem.

Clair odłożyła fotografię.

– Bishop wspominał w pamiętniku o jakichś zdjęciach. To może być jedno z nich. Jeśli tak, to jedną z tych kobiet jest matka Bishopa, a drugą ich sąsiadka, Lisa Carter.

– Przepuściliśmy zdjęcie przez oprogramowanie do rozpoznawania twarzy, ale nic nie znalazło. Zdjęcie jest stare, kąt ujęcia też nie pomaga. A co z włosami? Była o nich mowa w pamiętniku?

– Nie. Może to Libby? – zasugerowała Clair.

– Nie pasują ani do Libby, ani do Barbary.

– A Kirby? – spytał Kloz. – On miał długie blond włosy.

Nash przysunął sobie torebkę z dowodem.

– Czemu Libby miałyby mieć włosy Kirby’ego? Skąd by je wzięła?

Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Poole wrócił do tablicy i dodał informacje o zdjęciu i włosach. Dopisał też nazwisko „KALYN SELKE”.

– Powinniście wiedzieć coś jeszcze: Bishop pomógł jej wyrobić dokumenty na to nazwisko. Korespondowali, kiedy siedziała w więzieniu.

– Ustaliliście w jaki sposób? – zapytała Clair.

Poole pokręcił głową.

– Nie miałem kiedy jechać do więzienia. Z rozmowy z kuratorem dowiedzieliśmy się tylko, że miała problem z przystosowaniem się do życia na

wolności. Odniósł wrażenie, że chciała wrócić za kratki.

– Gdzie siedziała? W Stateville?

– Tak. Znaleźliśmy też u niej czterdziestkępiątkę, bezdyskusyjne złamanie warunków zwolnienia – dodał Poole. – Wiedziała, że ktoś chce ją dopaść. Jeśli to, co powiedziałaś o Kirbym i matce Bishopa, jest prawdą, ma to sens. Musimy tylko zrozumieć, dlaczego Bishop ją chronił. – Zwrócił się ponownie ku tablicy. – No dobrze. Nieźle nam idzie. Idzie nam wręcz świetnie, mamy zupełnie nowe tropy, przynajmniej w przypadku Libby McInley. Przyjrzyjmy się teraz reszcie.

Poole zrobił kilka kroków w lewo, zostawił tablicę z Libby McInley i wrócił do pierwszej, tej z nagłówkiem „ANSON BISHOP” i zdjęciami siedmiorga zamordowanych lub zaginionych.

– Wracamy do tego, co mówiłem wcześniej – powiedział Nash. – Jeśli to ma jakiś związek z Bishopem i nie zmienił diametralnie sposobu działania, to znaczy, że dzieci zamordowano z powodu czynów rodziców. To nie dzieci są w centrum zainteresowania.

– Nash ma rację – zauważyła Clair. – Mógłbyś poprzesuwać zdjęcia? Daj rodziców na górę, a dzieci niżej.

Poole skinął głową i zmienił ustawienie fotografii:

Floyd Reynolds

Ella Reynolds

Randal Davies

Lili Davies

Darlene Biel

Larissa Biel

Podniósł zdjęcie chłopca zamrożonego w szoferce toyoty tundry.

– Zostaje nam wtedy ten chłopak.

– Musimy go szybko zidentyfikować, a potem odnaleźć rodziców – powiedziała Clair. – Mogą być następnym celem.

– Co wiadomo o pozostałych rodzicach?

Clair znalazła telefon i otworzyła notatki.

– Floyd Reynolds pracował w UniMed America Healthcare. Agent ubezpieczeniowy. Nie znaleźliśmy żadnych długów ani problemów finansowych. Żadnych problemów osobistych. Żona powiedziała, że poszedł szukać córki. Sprawca udusił go metalową struną w samochodzie Reynoldsów, ciało znaleziono w ogródku na tyłach domu, ukryte w bałwanie. Z tyłu fotela kierowcy został odcisk podeszwy buta. Sądzymy, że sprawca zaparł się nogą, kiedy dusił Reynoldsa. Rozmiar jedenaście.

– Nie mamy w aktach rozmiaru buta Bishopa, prawda?

– Nie.

Poole dopisał nowe informacje, po czym wskazał markerem na Randala Daviesa.

– Co mamy o Daviesie?

– Był lekarzem, onkologiem. Pracował w szpitalu Strogera. Tak jak u Reynoldsa, żadnych problemów osobistych ani finansowych. Zamordowano go dużą dawką lizynoprylu, lekarstwa stosowanego zwykle w leczeniu nadciśnienia, ale on go nie zażywał. Podejrzewamy, że sprawca włamał się do Daviesów tylnym wejściem. Lizynopryl w wysokim stężeniu podrzucono do ekspresu. Randal Davies był jedynym domownikiem, który pił kawę.

Poole zmarszczył czoło.

– Czyli sprawca albo o tym wiedział, albo było mu wszystko jedno, kto umrze.

– Mają w kuchni kilka dużych okien, niczym niezastłoniętych. Z ulicy wszystko widać – wyjaśnił Nash. – Sprawcy wystarczyłoby ich trochę poobserwować, żeby ustalić, kto co pije.

– Słusznie. Nie wydaje mi się, żeby dorośli byli wybierani przypadkowo, nawet w ramach jednej rodziny. Jeśli to rzeczywiście Bishop, to ma powód do zabicia każdej ofiary – powiedział Poole. – Zostaje nam jeszcze jedyna dorosła kobieta.

– Tak, Darlene Biel. Przydzieliliśmy jej do ochrony policjanta, pilnuje jej w szpitalu. Jej stan jest stabilny, ale wprowadzono ją w śpiączkę

farmakologiczną. Sprawca wstrzyknął jej cyjanek do tubki pasty. Przyjęła truciznę, kiedy myła zęby w pokoju hotelowym, który w założeniu miał być bezpieczny. – Clair zrobiła głęboki wdech i spuściła wzrok. – To moja wina. Była pod moją opieką, byłam za nią odpowiedzialna.

Nash dotknął jej ramienia.

– Uratowałaś jej życie. Gdyby ktokolwiek inny był na twoim miejscu, już by nie żyła.

Opowiedział Poole'owi, jak Clair wmusiła w Darlene Biel mydło w płynie.

– Zasadowe mydło neutralizuje kwasowe właściwości cyjanku? Jestem pod wrażeniem. Gdzie się tego nauczyłaś?

– Nauczyciel chemii w liceum kiedyś niechcący połknął trochę cyjanku – wyjaśniła Clair. – Kiedy się zorientował, pobiegł w te pędy do łazienki i wypił mydło do rąk. Przeżył. Zapamiętam to na całe życie.

– Nie obwiniaj się – powiedział Poole. – Cyjanek działa błyskawicznie. Umarłaby w ciągu minuty, dwóch. Prawdopodobnie ocalała życie właśnie dzięki temu, że była wtedy z tobą w tym hotelu. Gdyby stało się to w domu, raczej by nie przeżyła.

Clair zignorowała pochwały. Po głębokiej zmarszczce na jej czole Poole domyślił się, że wybiega już myślami naprzód. I rzeczywiście, zaraz odpowiedziała na pytanie, które właśnie chciał im zadać.

– Biel była, a raczej jest przedstawicielką handlową firmy farmaceutycznej. Dużo podróżuje, a kiedy kazaliśmy im opuścić dom, miała gotową spakowaną torbę. Zatruta pasta do zębów była właśnie w tej torbie. Technicy zbadali pastę w łazience Bielów i nic nie znaleźli. Tak jak w przypadku Randala Daviesa sprawca wybrał konkretnie ją. Dysponował wiedzą na temat zwyczajów ofiary, wiedział o torbie podróżnej i zaatakował.

– Wy też zauważyliście tutaj wspólny motyw?

– Wszyscy pracują w branży medycznej: lekarz i dwoje przedstawicieli handlowych – powiedział Nash.

– Czym zajmują się małżonkowie?

Clair zerknęła do notatek.

– Grace Davies i Leeann Reynolds zajmują się prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci. Larry Biel jest budowlańcem.

– Czyli bez związków z medycyną.

– Zgadza się – przytaknęła Clair. – Zdecydowanie wyłania się jakiś schemat.

Poole kiwał głową, jednocześnie czytając tekst na tablicy.

– W porządku, coraz lepiej. Możemy coś z tego wyciągnąć. – Wskazał nazwisko Elli Reynolds. – Teraz pogadajmy o dzieciach.

Clair zwróciła się do kobiety siedzącej po drugiej stronie stołu konferencyjnego.

– Sophie, może ty...

Sophie już energicznie kiwała głową.

– No dobrze. Ella Reynolds, piętnaście lat. Ciało znaleziono dwunastego lutego w zamrożonym zalewie w Jackson Park. Z początku nas to zdziwiło, bo zalew zamarzał na początku stycznia, przynajmniej dwadzieścia dni przed jej zaginięciem. Udało się jednak ustalić, że Anson Bishop wyciął przerębel, umieścił ciało w wodzie, a następnie dolewał wody z ukradzionej cysterny, aż wyrównał poziom lodu. Sądzymy, że uprowadzono ją przy Logan Square, jakieś siedem minut pieszo od domu. Wiemy też, że niedawno kupiła auto w Cars R Us, salonie samochodów używanych. Spłacała raty bezpośrednio u sprzedawcy. Rodzice nic o tym nie wiedzieli. Jeszcze nawet nie miała prawa jazdy, dopiero zaczynała się uczyć.

– Znaleziono ją w ubraniu drugiej ofiary, Lili Davies – uzupełniła Clair. – To mi pachnie Bishopem, sprawca próbuje wzbudzić sensację i zwrócić na siebie uwagę.

– Zgadza się – powiedział Poole. – To właśnie szum, o którym wspominałem na początku. Zostawmy to na razie. Zawsze możemy do tego wrócić, jeśli okaże się istotne. Co wiadomo o Lili?

– Siedemnaście lat – odparła Sophie. – Ostatnio widziano ją w drodze do szkoły, Wilcox Academy, dwunastego lutego. Nie dotarła na lekcje. Szkoła była

zaledwie cztery przecznice od domu. Ciało zostawiono w Leigh Gallery, gdzie pracowała. Podrzuciono je do magazynu na zapleczu, komuś niewątpliwie zależało, żeby szybko ją znaleziono. Sprawca obwiązał jej szyję czarnym kablem, żeby upozorować samobójstwo, ale od razu było jasne, że zrobił to już po śmierci. Podobnie jak Reynolds, zmarła w wyniku kilkakrotnego utonięcia w słonej wodzie. Ona z kolei miała na sobie ubrania Elli Reynolds, więc sprawca jakby zamienił je miejscami.

Klozowski wystawił głowę zza ekranu laptopa.

– Nie wspominałaś przypadkiem, że ona też chciała kupić auto?

Clair skinęła głową.

– Rozmawialiśmy z jej najlepszą przyjaciółką, Gabrielle Deegan. Powiedziała nam, że ojciec Lili obiecał jej samochód na zakończenie liceum, ale ona nie chciała tak długo czekać.

– Jakież powiązania z salonem, w którym tamta druga kupiła samochód? – zapytał Poole.

– Nie kojarzyli jej – odparł Nash. – Sprawdziliśmy personel, ale nie znaleźliśmy niczego podejrzanego. Wszystkie nastolatki marzą o samochodzie. Moim zdaniem to zbieg okoliczności. Szum, jak to określiłeś.

Poole odwrócił się do tablicy.

– Dobra, co z Larissą Biel?

– Z Larissą sprawy wyglądają inaczej – powiedziała Sophie. – Zaginęła dopiero dzisiaj rano, nie mamy ciała. Jest spora szansa, że dziewczyna żyje. Na tym etapie wiemy niewiele więcej. Wieczorem miała iść na szkolny bal, a kiedy rodzice wychodzili rano do pracy, była jeszcze w domu. Matka chciała jej zrobić niespodziankę i zabrać córkę do spa. Gdyby nie to, że wróciła wcześniej, pewnie w ogóle byśmy nie wiedzieli o zaginięciu Larissy.

– Sądząc po przypadku Elli Reynolds, a zwłaszcza Lili Davies, nie zostało jej dużo czasu. Davies była martwa w ciągu doby od zniknięcia – powiedziała Clair, po czym zwróciła się do Klozowskiego: – Jakież postępy z jej komputerem i telefonem?

– Rodzice zainstalowali jej na laptopie KidBSafe. Nastolatki już ze dwa lata temu nauczyły się to obchodzić i przesyłają sobie wskazówki. Larissa miała zainstalowane cracki, więc praktycznie mogła wyłączać oprogramowanie monitorujące, kiedy tylko chciała, i ograniczać kontrolę rodziców. – Kloz poprawił się na krześle. – W tle miała też uruchomione PrivaShield. To taki program, który na bieżąco czyści pamięć podręczną, innymi słowy: wymazuje cyfrowe odciski palców. Niegłupia dziewczyna. Dawała rodzicom dostęp do części danych, żeby mieli wrażenie, że ją kontrolują, a resztę ukrywała. Jeszcze w tym grzebiemy, ale z laptopa raczej nic nie wyciągniemy. Telefon pewnie miała przy sobie, kiedy ją porwano. Ustaliliśmy, że rano dotarła na róg West Chicago Avenue i North Damen, potem sygnał zniknął. Sprawca najprawdopodobniej wyjął baterię albo zniszczył aparat. Złożyliśmy u operatora wniosek o ujawnienie danych w trybie pilnym, ale jeszcze ich nie dostaliśmy. Dam znać, jak się czegokolwiek dowiem.

Poole podszedł do stołu konferencyjnego. Przyjrzał się uważnie zdjęciu chłopaka zamrożonego w szoferce pikapa, a potem odwrócił je tak, żeby pozostali mogli na nie spojrzeć.

– To zostaje nam tylko on.

– Eisley na pewno robi wszystko, co w jego mocy, żeby zidentyfikować ofiarę, ale lód spowalnia cały proces – powiedziała Clair, nie mogąc oderwać wzroku od fotografii.

– Furgonetka jest zarejestrowana na Kalyn Selke – powiedział Klozowski.

– Alias Libby McInley – dodał Nash. – Znowu ślepa uliczka.

– No.

Poole spojrzął jeszcze raz na tablicę.

– To wszystko?

– Nie omówiliśmy jeszcze nekrologów – odpowiedział Nash.

– Nekrologów? – spytał Poole, odwracając się do grupy.

Clair pokiwała głową.

– Rano jakaś starsza kobieta zadzwoniła pod numer ratunkowy i zgłosiła, że Floyd Reynolds umarł dwa razy. Nekrolog z jego nazwiskiem pojawił się w gazecie dzisiaj i w zeszłą środę. Kiedy zaczęliśmy w tym grzebać, znaleźliśmy więcej takich przypadków. Okazuje się, że sprawca publikuje w lokalnej prasie nekrologi ofiar, jeszcze zanim je zamorduje.

Poole jednak już jej nie słuchał.

– Umarł dwa razy... – powtórzył z namysłem, po czym odwrócił się znów do tablic. Znalazł tę, na której wypisał wiersze, i przekreślił ją tak, żeby wszyscy mogli je przeczytać. – Myślę, że Bishop zabił agenta Dienera, bo ten zobaczył te wiersze. Były wypisane na ścianie w opuszczonym domu, który służył za skrzynkę kontaktową. Zobaczcie, niektóre słowa są podkreślone. „Śmierć” jako jedyna występuje dwa razy. – Wyjaśnił, że wiersze zostały usunięte razem z kawałkami tynku.

– Spójrzcie na te podkreślone słowa – powiedziała Clair. – „Lód”, „woda”, „strach”... to wszystko pasuje do tych zabójstw.

– Sprawdziliście, skąd dzwoniła ta staruszka?

Wszyscy spojrzeli na Klozowskiego. Informatyk uniósł palec i przez chwilę trzymał go w górze, a potem zmarszczył brwi.

– Z raportu wynika, że połączenie wykonano z ośrodka opiekuńczego Lasting Harmony. Personel twierdzi, że dzwoniła Ingrid Nesbit, lat dziewięćdziesiąt trzy. Staruszka codziennie czyta nekrologi i strasznie się zdenerwowała, kiedy zobaczyła Floyda Reynoldsa po raz drugi. Upierała się, że musi zadzwonić.

– Ślepa uliczka – mruknął Nash.

Clair nadal wpatrywała się w tablicę.

– Skoro wiersze stanowią część układanki, a jemu zależało, żebyśmy to wszystko odkryli, to po co je powycinał? Po co zabił Dienera?

Poole westchnął.

– Myślę, że chciał, żeby to Porter to wszystko znalazł, nie ja. I raczej też nie wy.

Clair zwróciła się do Klozowskiego:

– Mówiłeś, że wszystkie fałszywe nekrologi wrzucono z tego samego komputera, zgadza się? Namierzyliście go?

Klozowski nie odpowiedział. Wyraźnie nie mógł oderwać wzroku od czegoś na ekranie laptopa.

– Kloz?

– Eee, nie. Nici z IP, ale jeśli komputer podłączy się do miejskiej sieci bezprzewodowej, to to od razu będę wiedział. Myślę... – urwał i pochylił się do przodu, prawie przyklejając nos do ekranu.

– Co jest? – spytała Clair.

– Coś zauważyłem, ale to pewnie nic takiego. Możliwe, że mój mózg próbuje zobaczyć coś, czego tak naprawdę nie ma – odparł Klozowski.

Clair wstała i podeszła do kolegi.

– No, gadaj, Kloz. Bo będę musiała znowu ci przywalić.

– Pozaznaczałem na planie miasta miejsca, z których uprowadzono dziewczyny i w których znaleziono ciała. Gdyby połączyć je liniami, to środek wypada mniej więcej koło szpitala imienia Johna H. Strogera.

Nash zajrzał mu przez ramię, żeby popatrzeć na mapę.

– To tam pracował Randal Davies.

– Agent ubezpieczeniowy, przedstawicielka firmy farmaceutycznej... Założę się, że pozostałe ofiary też tam często bywają – stwierdziła Clair. – Darlene Biel właśnie teraz tam leży.

– Jeśli zdobędę listę pracowników, to dałbyś radę porównać ją z bazą nekrologów? – zapytał Poole. – Może uda nam się znaleźć następną ofiarę, zanim sprawca zaatakuje.

– Jasne. – Kloz już stukał w klawisze. – Zrobi się.

Nash wstał i patrzył w skupieniu na tablice.

– Ciągłe nam tu czegoś brakuje.

– Czego? – zapytał Poole.

– Nie dałbym głowy, że Bishop robi to wszystko sam. Nawet jeśli Libby McInley mu jakoś pomagała, to po prostu za dużo roboty na jedną osobę. Nie

mamy jeszcze pełnego obrazu sytuacji.

– Możliwe.

– „Nie można bawić się w Boga, nie zadając się przy tym z szatanem” – przeczytał Nash. – Czy to właśnie robi z tymi dziećmiakami? Zabija je i wskrzesza? Bawi się w Boga?

– ...z szatanem – dodała Clair.

– Wszystkie trzy wiersze traktują o życiu i śmierci. Może to właśnie próbuje nam przekazać. – Poole przeczesał włosy dłonią. – Sypiam ostatnio na raty. Trudno mi się skupić.

Wtedy zadzwonił jego telefon.

Wyjął komórkę z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz: „NUMER ZASTRZEŻONY”.

Nacisnął „odbierz”.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszał w słuchawce głos.

– Frank, mówi Sam.

POOLE

Dzień trzeci, 22.15

Serce załomotało Poole'owi w piersi. Położył komórkę na stole konferencyjnym i włączył tryb głośnomówiący.

– Sam, jestem w pokoju narad z całym twoim zespołem. Jesteś na głośniku.

– Nie masz wstępu do pokoju narad.

– Ja go tu ściągnęłam, Sam – wyjaśniła Clair. – Sprawa strasznie się skomplikowała. Bishop maczał w tym palce. Więcej niż palce. Cały jest umoczony.

Poole nachylił się nad telefonem.

– Gdzie jesteś? Gdzie pamiętnik?

Słyszał oddech Portera na drugim końcu linii, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Poole podniósł głowę, obrzucił wzrokiem zgromadzonych, po czym znów zwrócił się do Portera:

– Libby McInley nie żyje.

Porter nie odpowiedział.

– Znaleźliśmy ciało przywiązane do łóżka. Ucho, oczy, język w białych pudełkach, takich samych jak przy innych ofiarach Bishopa. Poobcinane palce u rąk i stóp. Była torturowana. Nacięcia na każdym kawałku skóry.

Kiedy Porter w końcu się odezwał, przemówił spokojnym, wyważonym tonem:

– To nie Bishop. Bishop nie zabiłby Libby McInley, tak samo jak nie zabił jej siostry.

Poole zerknął na Klozowskiego.

– Twój informatyk twierdzi, że zrobiła to matka Bishopa. Chciałbym się dowiedzieć, co ty o tym sądzisz.

Porter znowu milczał jak zakłęty. Po chwili Poole usłyszał, że Porter coś do kogoś mówi – musiał zakryć mikrofon, bo głos dobiegał stłumiony – po czym wrócił do rozmowy.

– Sam?

– Zaraz dostaniesz wiadomość z adresem. Kiedy dotrzesz na miejsce, znajdź ścieżkę na tyłach posesji. Jest zarośnięta, ale powinieneś ją zauważyć, jeśli dobrze się przyjrzyysz, trochę jak dróżka wydeptana przez zwierzęta. Zaprowadzi cię do jeziora. Będziesz potrzebował ludzi. Musicie przeszukać jezioro – powiedział Porter.

– Gdzie jesteś, Sam?

– Kiedy dotrzecie nad jezioro, szukajcie kota.

– Mówisz zupełnie bez sensu, Sam. Jakbyś...

Połączenie przerwano.

Poole zaklął pod nosem.

Telefon zawibrował i na wyświetlaczu pojawił się adres:

Jenkins Crawl Road 12

Simpsonville, SC

– Czyli znalazł... – powiedział Nash, gapiąc się na telefon.

– Co znalazł?

– Dom rodzinny Bishopa.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Clair. – Czemu jest taki tajemniczy? To nie w jego stylu. Z kim rozmawiał?

Klozowski wpisał adres do wyszukiwarki. Przekręcił laptopa, tak żeby wszyscy widzieli ekran.

– To na końcu świata.

– Nie jestem pewny, czy w ogóle powinienem go słuchać – powiedział Poole.

– Ukradł pamiętnik. Wyraźnie coś ukrywa. Śmierć Libby jakby w ogóle go nie zaskoczyła. Co on jeszcze wie?

– Myślę, że gdyby wiedział o czymś, co mogłoby nam się przydać, toby się z nami tym podzielił – stwierdził Nash. – Nie ma powodu czegokolwiek ukrywać.

– A jednak zniknął z pamiętnikiem i zostawił telefon, żebyśmy nie mogli go namierzyć.

– Sam pracuje nad sprawą – powiedział Nash. – Możesz mu zaufać.

Poole cmoknął z niezadowoleniem, ale w końcu skinął głową.

– Zadzwoń do oddziału w Charlotte i od razu wyślę ich na miejsce. FBI ma odrzutowiec na O’Hare, więc sam powinienem tam dotrzeć za parę godzin.

Clair wstała i podeszła do tablic.

– Jeśli załatwisz nam listę pracowników szpitala Strogera, to będziemy mogli ruszyć ten trop. Może uda nam się dorwać Bishopa z obu stron.

Poole kiwnął głową i zniknął za drzwiami, przyśpieszając kroku, aż puścił się biegiem.

Tablica z listą dowodów

ANSON BISHOP

Floyd Reynolds – UniMed America Healthcare, agent ubezpieczeniowy – uduszony, ciało ukryte w bałwanie

Ella Reynolds – ciało znalezione w zalewie w Jackson Park, niedawno kupiła samochód – utopiona w słonej wodzie

Randal Davies – onkolog, pracował w szpitalu im. Johna H. Strogera Jr. – przedawkowanie lizynoprylu

Lili Davies – ciało podrzucone na zaplecze Leigh Gallery – utopiona w słonej wodzie
Darlene Biel – przedstawicielka firmy farmaceutycznej – otruta cyjankiem
Larissa Biel – zaginęła na rogu West Chicago Avenue i North Damen 14.02 rano
Niezidentyfikowany nastolatek

LIBBY McINLEY

Zamordowana przez matkę Bishopa?
Miała zdjęcie matki Bishopa i sąsiadki (Carter)
Kosmyk blond włosów – może Kirby’ego? Skąd by go wzięła?
Dokumenty na nazwisko Kalyn Selke, zdobyte z pomocą Bishopa
Kontakt z Bishopem podczas pobytu w więzieniu, nie wiadomo jaką drogą
W posiadaniu broni kaliber .45
Czuła się bezpiecznie w więzieniu, a nie poza nim

WIERSZE

*Iż ja nie mogłam się zatrzymać –
Śmierć uczyniła mi tę grzeczność –
Powóz ledwie nas dwie pomieścił –
I nieśmiertelność.*

*Wymowna analogia życia i śmierci:
Porównaj życie do wody, a śmierć do lodu.
Woda gęstnieje i krzepnie, by stać się lodem,
Lód zaś roztopia się znowu i staje wodą.
Co umarło, na pewno znów się narodzi;
Co się narodziło, musi kiedyś umrzeć.
Jak lód i woda nie szkodzą sobie nawzajem,
Tak życie i śmierć współistnieją w zgodzie.*

*Wróćmy do Domu, wróćmy już,
na nic to ciągnęła pogoń i poszukiwanie,
Dziś wszystko przepelnia błogość.
Z błękitnego oceanu śmierci
Życie wypływa niczym nektar.
W życiu jest śmierć; w śmierci jest życie.
Gdzież więc jest strach, gdzie jest strach?*

*Ptaki na niebie śpiewają: „Śmierci nie ma!”.
Dniem i nocą przyplływ Nieśmiertelności
Zstępuje tu na ziemię.*

Nie można bawić się w Boga, nie zadając się przy tym z szatanem.

PODKREŚLONE SŁOWA

lód

woda

życie

śmierć

Dom

strach

śmierć

89

PORTER

Dzień trzeci, 22.16

Sam wyjął z telefonu baterię i cisnął obie części na środek jeziora. Woda pochłonęła ofiarę, widoczne zmarszczki rozeszły się w krąg, ale wkrótce tafla znowu się wygładziła, kolejny sekret spoczął pod czarnym kocem.

– Po co wyrzucać telefon? Przecież i tak mu powiedziałaś, gdzie jesteśmy – powiedziała Sarah.

Porter przyklęknął parę kroków od brzegu, palce miał brudne. Kopał w ziemi.

Ścieżka miała jakieś czterysta metrów, prowadziła przez las do niewielkiej polanki, zgodnie z opisem w pamiętniku. Niewielkiej polanki nad jeziorem.

Bishop twierdził, że zimą woda zamarzała.

To było kłamstwo.

Choć w Karolinie Południowej zdarzały się ujemne temperatury, zimy były znacznie łagodniejsze niż na północy, nie do porównania choćby z Chicago. Nawet jeśli temperatura spadała poniżej zera, mrozy nigdy nie utrzymywały się na tyle długo, żeby zamarzał grunt, a już na pewno nie zbiorniki wodne. Jezioro nie było bynajmniej zbyt duże, ale dość spore, by nie dać się zimie, co do tego nie miał wątpliwości. Bishop napisał tak pewnie tylko po to, żeby ukryć lokalizację. Żaden inny powód nie przychodził Porterowi do głowy. Dezinformacja.

Kłęczął w rozkopanej ziemi. Sarah trzymała obie latarki. Oświetlała pień rozłożystego dębu górującego nad polanką. U podstawy drzewa znajdowała się niewielka dziupla. Porter nie musiał głęboko kopać. Kawałek wystawał z ziemi. Sarah od razu to zauważyła.

Białe metalowe pudełko na drugie śniadanie, całkiem pordzewiałe.

Porter nie spodziewał się znaleźć szkieletu martwego kota.

Tego też się nie spodziewał.

Otworzył pudełko. W środku znajdowała się koperta, pożółkła ze starości, przywiązana czarnym sznurkiem do szkolnego zeszytu. Kopertę zaadresowano po prostu:

Matka

– Sam, czemu wyrzuciłeś telefon? – zapytała Sarah znowu.

Porter wyjął pakunek z pudełka i jej podał.

– Nie martwię się, że Poole się dowie, gdzie jesteśmy, bardziej zależy mi na tym, żeby się nie dowiedział, dokąd się wybieramy – odparł.

– A co z Bishopem? Z jakiegoś powodu dał ci ten telefon.

– Musimy nim trochę wstrząsnąć, zaburzyć mu plany. Nie jesteśmy jego kukielkami. Jeśli nie będzie mógł się z nami skontaktować przez ten telefon, będzie musiał znaleźć jakiś inny sposób. Może dzięki temu wykurzymy go z nory – wyjaśnił Porter.

Wyjął z kieszeni pamiętnik Bishopa i włożył go do pudełka, zamknął pokrywkę i rzucił na wierzch trochę ziemi, prawie zasypując obrazek Hello Kitty na zardzewiałym metalu.

„Kot Bishopa”.

– Chodź – powiedział. – Spadajmy stąd.

90

POOLE

Dzień trzeci, 22.23

– Muszę się zająć tą sprawą – powiedział Poole, mocno skręcając w lewo kierownicą jeepa. Wyprzedził cztery samochody zablokowane na prawym pasie.

„Dlaczego jest taki ruch? Przecież już prawie jedenasta wieczorem, psiakrew”.

Z hukiem przeleciał nad nim boeing 727 z wysuniętym podwoziem, podchodzący do lądowania na lotnisku O’Hare.

– Powinieneś być na urlopie. Straciłeś dzisiaj partnera. Praca w terenie to ostatnie, czym powinieneś się teraz zajmować – odpowiedział agent dowodzący Hurless przez system głośnomówiący zainstalowany w samochodzie.

– Proszę mi pozwolić wziąć odrzutowiec. Jestem już prawie na lotnisku.

– Musisz zawrócić, przyjechać do biura i złożyć raport, żebym mógł dać to komuś innemu – powiedział Hurless.

Poole zrobił głęboki wdech, starając się uspokoić. Szarpnął kierownicą i o włos minął brązowe mitsubishi outlander, które próbowało skręcić w lewo. Kierowca walnął w klakson i zatrąbił przeciągle.

– Techniczni mówią, że dzwonił do ciebie z niezarejestrowanego telefonu, a najbliższa wieża przekaźnikowa odpowiada lokalizacji, którą podałeś, więc musiał znajdować się gdzieś w pobliżu tego jeziora, o którym wspominałeś.

Ściągnąłem zdjęcia satelitarne, ale niewiele mi to dało. Drzewa rosną tam gęsto, nie widać, co się dzieje na ziemi. Dziwne...

– Co?

– Telefon kupiono i aktywowano w Nowym Orleanie – powiedział Hurless tonem pozbawionym wyrazu, jakby czytał z kartki.

– W Nowym Orleanie? Możliwe, że ktoś się pomylił?

„Bishop był w Chicago jeszcze parę godzin temu. Porter wylądował pod Greenville w Karolinie Południowej, na końcu świata”.

– Sygnał zniknął zaraz po tym, jak Porter się rozłączył. Pewnie wyciągnął baterię, żeby nie dało się go namierzyć. Powtórz wszystko od początku. Co Porter ci powiedział?

Poole znowu relacjonował całą rozmowę, słowo w słowo.

– Nie podoba mi się to. Porter jest strasznie nieprzewidywalny, w zasadzie nic o nim nie wiemy – skomentował Hurless. – Jeśli współpracuje z Bishopem, to wszystko może być zasłoną dymną.

– Sądzę, że Libby McInley stanowi klucz do całej sprawy, do złapania Bishopa. Porter wie więcej, niż nam powiedział, ale jeszcze nigdy nie poprowadził nas w złym kierunku. Skoro twierdzi, że trzeba przeszukać jakieś jezioro w Karolinie Południowej, to moim zdaniem musimy go posłuchać. Technicy ciągle pracują nad tamtymi dwoma domami, więc na razie nie mamy żadnych innych tropów. Muszę to zrobić. Proszę o pozwolenie na lot.

Poole zjechał z autostrady i podążył za znakami na hangary handlingowe, w których parkowały czartery i samoloty prywatnych operatorów.

– Bishop w jakiś sposób utrzymywał kontakt z Libby McInley, kiedy siedziała w Stateville. Musimy się dowiedzieć, jak udawało mu się z nią rozmawiać i pomóc załatwić fałszywe dokumenty. Jeśli to ustalimy, będziemy już o krok bliżej. Podążę za okruszkami rzuconymi przez Portera i zrobimy kolejny krok. Proszę chwilę poczekać...

Poole zatrzymał się przed szlabanem i wylegitymował strażnikowi. Na widok mężczyzny w mundurze coś mu zaświtało.

– Radziłbym sprawdzić ochroniarzy w więzieniu, wszystkich strażników. To musi być to. Korespondencja, telefony czy urządzenia elektroniczne są stale monitorowane. Pozostaje więc tylko czynnik ludzki.

Strażnik podał mu podkładkę z listą i zaznaczył miejsce, w którym Porter miał się podpisać. Potem wskazał parking po prawej i bezgłośnie powiedział: „Pan stanie gdzieś tam”.

Poole skinął głową i podjechał pod nieduży budynek władz federalnych zajmowany przez departament bezpieczeństwa, FBI i ATF.

Zaparkował i zgasił silnik.

– Jestem na miejscu. Co mam robić?

Agent Hurless westchnął ciężko.

– Dziesięć minut temu kazałem im zatankować. Za dwadzieścia powinieneś startować. Kiedy będziesz w drodze, skontaktuj się z tamtejszym biurem. Szefem oddziału w Charlotte jest Bob Granger, to mój stary znajomy. Byliśmy razem w akademii. Może uruchomić lokalnego szeryfa i znaleźć to jezioro Portera. Wyśle ekipę nurków. Zamelduj się po wylądowaniu.

– Dziękuję.

– Lepiej, żebyś miał rację.

91

PORTER

Dzień trzeci, 22.26

Porter i Sarah w milczeniu wrócili do samochodu z wypożyczalni. Porter usiadł za kierownicą, a Sarah wisiąca na telefonie, rezerwując samolot.

– Następny lot jest o czwartej nad ranem – powiedziała, zasłaniając mikrofon dłonią. – To nam daje pięć godzin z hakiem. Rezerwować?

– Co?

Powtórzyła pytanie.

– Tak, przepraszam. Mam straszny mętlik w głowie.

Gapił się przez przednią szybę na jezdnię, na białe pasy przemykające obok samochodu i ginące w tyle. O tej porze na drodze prawie nie było ruchu. Był za to wdzięczny losowi. Czuł się tak, jakby mieli z Sarah całą drogę dla siebie, zbliżali się do widocznych na horyzoncie świateł Greenville.

– Może powinniśmy znaleźć pokój w jakimś hotelu przy lotnisku, żebyśmy mogli się umyć i przebrać.

Sarah potwierdziła rezerwację i odłożyła telefon.

– Chciałabym ci tylko przypomnieć, że do tej pory nie zabrałeś mnie na kolację. Przyznaję, że jak na pierwszą randkę to był wyjątkowy wieczór, ale chyba nie jestem jeszcze gotowa pójść z tobą do motelu na godziny.

Przewiązany sznurkiem pakunek z pudełka na drugie śniadanie, które znaleźli nad jeziorem, leżał w konsoli między fotelami. W półmroku ledwie było widać

słowo „Matka” na kopercie, głos Bishopa, jego słowa wrzeszczące z zeszytu.

Kolacja.

Nie jedli nic od Nowego Orleanu.

Zaburczało mu w brzuchu.

Trzydzieści minut później Porter siedział na jednym z dwóch łóżek w niewielkim pokoju w Motelu 8 przy lotnisku w Greenville. Na stoliku przy drzwiach wały się opakowania z Taco Bella. Sarah brała prysznic.

Paczka zdawała się ciężka, cięższa niż powinna, niekoniecznie ciężarem papieru, ale czegoś innego. Czegoś nieuchwytnego. Czyjegoś życia uwięzionego między stronami.

„Albo obłąkanych wypocin szaleńca”.

To samo myślał o pamiętniku, kiedy czytał go po raz pierwszy, a jednak dwie godziny temu stał dokładnie w miejscu, w którym rozegrały się zdarzenia w nim opisane.

Carterowie.

Jego matka.

Jego ojciec.

Dwaj mężczyźni, których Porter zidentyfikował później jako Kirby’ego i Briggsa.

Ci wszyscy ludzie.

To wszystko prawda.

Koperta i zeszyt były związane kawałkiem czarnego sznurka. Nie mógł się oprzeć myśli, że pochodził on z tej samej szpulki, z której korzystał przy przewiązywaniu tamtych białych pudełeczek.

Porter odwiązał sznurek, otworzył kopertę zaadresowaną do „Matki” i rozłożył strony. Papier zaszeleścił głośno w jego dłoni.

Od jak dawna pakunek tam leżał?

Jak długo list czekał na matkę, która nigdy się po niego nie zjawiała?

Porter na pierwszy rzut oka rozpoznał charakter pisma, młodszą wersję tego z pamiętnika.

Mamusiu. Wiem, że zawsze kazałaś mi nazywać Cię matką, ale naprawdę bardzo chciałbym mówić do Ciebie „mamusiu”. Czy to takie złe?

Mamusiu

Mamusiu

Mamusiu

Mamusiu.

Wybacz, Matko.

Najmocniej przepraszam. Przepraszam za to, co zrobiłem, cokolwiek to było, a co skłoniło Cię do ucieczki. Przepraszam za wszystko, co zrobiłem, a przez co mnie zostawiłaś.

Czy odeszłaś dlatego, że nie miałaś innego wyboru?

Czy odeszłaś dlatego, że ci ludzie po Ciebie przyszli i musiałaś uciekać?

O to chodzi, prawda?

W innym wypadku byś mnie nie zostawiła. Nie w taki sposób.

Za wolno wracałem znad jeziora. Gdybym wrócił szybciej, kazałabyś mi raz-dwa wskoczyć do samochodu, spakowałabyś moją torbę i pojechalibyśmy wszyscy razem. Zaczęlibyśmy nowe życie, a to zostałoby w lusterku wstecznym, zamazane za chmurą pyłu spod kół zielonego plymoutha.

Nie chciałem pisać tego listu, ale lekarz mi kazał. Powiedział, że go nie przeczyta, ale wiem, że to zrobi. Ojciec nauczył mnie rozpoznawać kłamstwa, a doktor Joseph Oglesby nie potrafi dobrze kłamać. Myśli, że potrafi, ale nic z tych rzeczy, co to, to nie, w żadnym razie. Zwężdżają mu się te martwe oczka, kiedy zmyśla, trzydzieści dwa razy tylko podczas naszej ostatniej sesji.

Dzień dobry, panie doktorze.

Powinien pan obciąć włosy. Kogo pan próbuje oszukać? Ta zaczeska wygląda kretyńsko.

Przepraszam.

Nie powinienem mówić takich rzeczy.

Ojciec mnie przecież porządnie wychował.

Powiedział mi kiedyś, że lepiej zasypywać ludzi deszczem komplementów, pozwalać im się w nich pławić, aż zaczną się topić. Wtedy chwycą się ciebie i będą

mocno się trzymać, dozgonni przyjaciele.

Ale nie matka, nie moja matka, nie Ty. Gdybyś się zorientowała, że nadmiernie sypię komplementami, to pewnie kazałabyś mi się z nich wycofać.

Różnicie się od siebie.

Różniliście.

Ojciec.

Och, mój ojciec.

Nie mogę teraz o tym pisać. Wiem, że doktor Oglesby by tego chciał, ale nie mogę, za bardzo mnie to boli. Boli prawie tak bardzo jak wtedy, kiedy pod moim kotem w kryjówce nad jeziorem znalazłem nóż.

Wiedziałem, co to oznacza.

Opuściłaś mnie, Matko.

Choć z całego serca chciałbym wierzyć, że nie zostawiłaś mnie celowo, choć chciałbym wierzyć, że nie miałaś wyboru, musiałaś uciec beze mnie, to wiem, że to nieprawda.

Zrozumiałem to, kiedy zobaczyłem nóż.

Dlaczego mnie nienawidzisz, Matko?

Dlaczego tak bardzo ~~nienawidzisz~~ nienawidziłaś ojca?

Po tym, jak dom się spalił – słyszałaś o pożarze? – zabrali mnie do ośrodka terapeutycznego Camden na przedmieściach Charleston.

Wszyscy są tu bardzo mili, nawet kłamczuch doktor Oglesby. Mam swój własny pokój. Jest w nim okno, ale się nie otwiera. Nie dla mnie letni wietrzyk, tylko monotonne buczenie klimatyzatora.

Doktor Oglesby poprosił, żebym prowadził pamiętnik.

Dał mi czarno-biały zeszyt i powiedział, że świetnie się nadaje na pamiętnik.

Powiedziałem mu, że pamiętniki to piszą dziewczyny, a on mi na to, że w takim razie niech będzie dziennik, chłopcy piszą dzienniki.

Powiedziałem, że się zastanowię.

Nie jestem głuptasem. Wiem, że chce, żebym wszystko zapisywał tylko po to, żeby mógł przeczytać, żeby lepiej mnie zrozumieć.

Czy to by było takie złe?

Gdyby ktoś mnie zrozumiał?

Nie martw się, Matko. Nie zdradzę mu Twoich sekretów.

Są u mnie bezpieczne.

Większość z nich.

Twój kochający syn

– AB

PS Pozdrów ode mnie panią Carter i tego pana z długimi blond włosami też. Kiedyś na pewno znowu się wszyscy spotkamy. Do tego czasu będę trzymał nóż zawsze pod ręką, dopilnuję, żeby ostrze się nie stępiło. Dziękuję, że mi go oddałaś.

– Coś ciekawego?

Porter podniósł głowę.

Sarah stała w drzwiach łazienki owinięta w biały ręcznik, drugi zamotała na głowie w turban, jak tylko kobiety potrafią. Za jej plecami unosiły się kłęby pary.

Porter przyłapał się na gapieniu na opalone nogi i zmusił się, żeby przenieść wzrok na jej twarz.

– Może powinnam się ubrać.

– Nie. Tak. To znaczy, jasne. Ja idę pod prysznic. – Porter z trudem przełknął ślinę, twarz płonęła mu żywym ogniem.

„Nie jesteś w liceum. Weź się w garść”.

Odwracając wzrok, Porter rzucił kopertę z listem na zeszyt, przeszedł przez pokój do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

Pachniała bzem.

PORTER

Dzień czwarty, 3.42

Sarah zajęła miejsce przy oknie.

Wyglądała na wykończoną.

Porter opadł na sąsiedni fotel, zorientował się, że usiadł na pasie bezpieczeństwa, więc podniósł się na chwilę, żeby znaleźć oba końce. Usiadł z powrotem, zapiął klamrę i dopasował przez pociągnięcie końcówki pasa.

Sarah przyglądała mu się z kpiącym uśmiechem.

– Naprawdę wierzysz, że ten kawałek materiału cokolwiek zmieni, jeśli samolot postanowi pójść na czołowe z głębą gdzieś w Alabamie?

– Nie chcę podpaść załodze. Czasem, jeśli jest się dla nich uprzejmym i robi wszystko zgodnie z zasadami, można dostać całą puszkę coli, a nie tylko kubeczek.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale potem zmieniła zdanie, oparła się i zamknęła oczy.

– Proszę mnie obudzić na miejscu, panie detektywie.

– Dziękuję.

– Za co?

– Za to, że ze mną pojechałaś. Wydawało mi się, że chcę to zrobić sam, ale z tobą jest lepiej – powiedział.

– W życiu niewiele rzeczy jest dobrych w pojedynkę.

– Zaczyna to do mnie docierać.

– Miło mi, że się na coś przydałam – powiedziała sennie. – Może poza plackiem.

– Co?

– Placek to coś, co mogłoby być lepsze w pojedynkę. Więcej placka dla mnie.

– Nie wiedziałem, że jest jakiś placek.

– W samolocie nie, może po wylądowaniu. Zawsze powinien być jakiś placek.

– Dobranoc pani.

Jakimś cudem zdołała zasnąć błyskawicznie, jeszcze przed zamknięciem drzwi przez załogę.

Samolot był wypełniony zaledwie w dwóch trzecich. Miejsce obok było puste.

Sam zaczekał, aż wzbiją się w powietrze, po czym zapalił lampkę nad głową i otworzył zeszyt na pierwszej stronie. Słowa Bishopa całkowicie go pochłonęły.

PAMIĘTNIK

– Wygodnie ci, Anson?

Uśmiechał się do mnie, ale to nie był prawdziwy uśmiech. To był uśmiech z tych, jakie zabiera się na proszoną kolację, imprezę charytatywną albo bankiet po rozdaniu nagród, uśmiech, który znika w chwili, gdy jego adresat czy adresatka znika za zamkniętymi drzwiami. Nigdy nie byłem na proszonej kolacji, imprezie charytatywnej ani bankiecie, ale czytałem o nich. Matka przyniosła kiedyś do domu magazyn „People”, całe strony takich sztucznych uśmiechów, uprzejmych, ale pustych.

– Chcesz się czegoś napić?

– Nie, proszę pana.

– Ależ jesteś uprzejmy – powiedział doktor Oglesby, zerkając do notatek. – Jesteś tu już od tygodnia, a ja mam wrażenie, że prawie w ogóle się nie znamy.

Nie był zbyt postawnym mężczyzną, przewyższał mnie może o trzy, góra pięć centymetrów. Choć wszyscy nazywali go doktorem, jeszcze nie widziałem go w białym kitlu. Dziś miał na sobie sweter w szaro-czarne romby i beżowe spodnie. Miał lekką nadwagę. Oponka na brzuchu wylewała mu się znad spodni, kiedy siadał i zakładał nogę na nogę. Ale nie bardzo. Pewnie starał się ćwiczyć kilka dni w tygodniu, chociaż trochę – tłuszcz próbował się wydostać, ciało pragnęło przytyć, ale udawało mu się zapanować nad skłonnościami do otyłości. Przynajmniej na razie. Zastanawiałem się, jak będzie wyglądał za dziesięć lat. Może zmieni zdanie w kwestii kitla? Gdybym był lekarzem, na pewno nosiłbym biały fartuch.

Jego gabinet przypominał duże pudło.

Ściany były pomalowane na kremowo i obwieszane dyplomami oraz zdjęciami, na których doktor Oglesby uśmiechał się sztucznie obok innych sztucznie uśmiechniętych ludzi. Biurko, w przeciwieństwie do innych w Camden, było drewniane, prawdopodobnie sam je tu przywiózł. Większość biurków w ośrodku była z szarego metalu.

Usiedliśmy na krzesłach przed biurkiem, twarzą do siebie. Zapewne podczas jednego z kursów zdobiących ściany doktorek dowiedział się, że lepiej rozmawiać z pacjentem na równej stopie, więc zamiast rozsiadać się w miękkim skórzanym fotelu za biurkiem, przyszedł tu do prostego ludu.

Większość wyłożonej kafelkami podłogi pokrywa duży perski dywan, ewidentnie podróbka. Nigdy wcześniej nie widziałem prawdziwego perskiego dywanu, podróbki zresztą też nie, ale coś w nim zdawało się krzywić fałszem. Może chodziło o tajemniczą plamę w rogu, prawie schowaną pod doniczką z paprotką.

– Tydzień – mruknął, stukając w podkładkę z klipsem, którą trzymał na kolanach. – Brałeś jakieś leki, Ansonie? Przed pobytem tutaj? Jakiegokolwiek?

Zadawał mi już to pytanie, w sumie cztery razy. Odpowiedziałem mu tak samo jak za poprzednimi trzema.

– Nie.

– Bo wydajesz się roztrzęsiony i niespokojny, jak osoba przechodząca ostatni etap odstawienia. Personel pielęgniarski też to zauważył, w twoich aktach znalazło się kilka uwag na ten temat. Cierpisz też na nocne poty i drgawki. To wszystko symptomy odstawienia.

Nie odpowiedziałem.

– Brałeś chloropromazynę czy flufenazynę? A może haloperidol albo loksapinę?

Milczałem.

– Haloperidol? Widzisz, kiedy wymieniłem tę nazwę, zauważyłem u ciebie tik, delikatny skurcz pod lewym okiem. To mi mówi, że słyszałeś o tym leku. A skąd chłopiec w twoim wieku miałby znać taki lek, jeśli nie on sam go codziennie brał i widział jego nazwę na opakowaniu?

Oblałem się rumieńcem. Zrobiłem głęboki, powolny wdech.

– Haloperidol to nie jest substancja, którą powinno się odstawiać z dnia na dzień. Kiedy lekarz decyduje się zmniejszyć dawkę albo wycofać lek z terapii danego pacjenta, pacjent taki jest odzwyczajany przez dłuższy czas. W niektórych przypadkach na jakiś czas zastępuje się lek inną, słabszą substancją, aby ograniczyć szkodliwe skutki odstawienia.

Doktor Joseph Oglesby nosił okulary. Szklka nie były zbyt grube i ciągle się zastanawiałem, czy naprawdę ich potrzebował. Wyglądał mi na takiego, co nosi okulary tylko po to, żeby uwypuklić swoją doktorowatość, żeby wypadać bardziej przekonująco w roli. Nosił okulary na srebrnym łańcuszku na szyi, regularnie zakładał je i zdejmował, jakby służyły mu raczej do stawiania znaków interpunkcyjnych na końcu zdania niż do wyraźniejszego widzenia. Łańcuszek na okulary przywodził na

myśl bibliotekarza, ale żaden był z niego bibliotekarz. Ze swojego miejsca widziałem warstwę kurzu pokrywającą książki na półkach.

– Gwałtowne odstawienie haloperidolu może powodować bezsenność, lęki, rozdrażnienie, depresję, zawroty głowy, ataki drgawek, nawet halucynacje. Widzisz, jak stukasz stopą w podłogę? Takie szybkie tupanie to niewątpliwy objaw. Jest jakiś powód, dla którego nie chcesz brać leków, Ansonie? To dlatego mnie oszukujesz?

Unieruchomiłem nogę. Nie zdawałem sobie sprawy, że potupuję.

Nie będę już tupał.

Lekarz przyłożył czubek pióra do ust, nie odrywając ode mnie wzroku, a potem zapisał coś w swoich papierach.

– Minął już tydzień, więc najgorsze za tobą. Nie widzę powodu, żeby na tym etapie do tego wracać. Powiesz mi, gdybyś poczuł, że powinieneś znowu brać leki? Możemy się umówić, że w razie czego wrócimy do tego tematu?

Nie chciałem kiwać głową, ale zrobiłem to.

I znowu ten uśmiech, wąły, tylko w kącikach ust.

PAMIĘTNIK

– Jesteś gotów porozmawiać o pożarze, Ansonie?

Zauważył, że noga zaczęła mi znowu latać, nie zdążyłem się opanować. Położyłem rękę na kolanie.

– Wiesz, ile ciał znaleziono w domu?

Nie pozwolę nodze tupać.

– Trzy. Od początku twojego pobytu tutaj jestem w stałym kontakcie z lokalnymi władzami i wiem, że nie udało się im jeszcze zidentyfikować ani jednego z nich. Ogień zniszczył ciała do takiego stopnia, że trzeba się opierać na kartotekach dentystycznych, ale trudno coś ustalić, jeśli nie wiadomo, do czego porównywać uzębienie ofiar. Czekają, aż wydarzy się jedno z dwóch: albo zostanie zgłoszone czyjeś zaginięcie i dane z kartoteki dentystycznej będą pasowały do zwłok, albo ty dostarczysz nam informacji, które pozwolą na identyfikację. Władze uważają, że wiesz, kim są ci ludzie. Bardzo by chcieli z tobą o tym porozmawiać, ale ponieważ jesteś małoletni i obecnie przebywasz pod moją opieką, nie wolno im tego zrobić. To się oczywiście może zmienić: wystarczy, że podpiszę kilka papierków, a oni wpadną tutaj i zabiorą cię gdzieś, gdzie skłonią cię do mówienia. Domyślam się, że raczej nie będzie to przyjemne miejsce, i absolutnie nie chciałbym, żeby coś takiego przytrafiło się tak porządnemu młodemu człowiekowi, ale nie mogę ich powstrzymać w nieskończoność. Wiesz, kto to jest prokurator okręgowy, Ansonie?

Wiedziałem, kto to jest prokurator okręgowy. Pojawiali się dość często w czytanych przeze mnie komiksach, ale nie powiem mu tego. Nie miałem najmniejszego zamiaru mówić mu czegokolwiek.

– Czy jedną z tych osób jest twój ojciec, Ansonie?

Noga ani drgnęła. Wbił we mnie wzrok, jak jastrząb polujący na mysz.

– Wszystkie trzy ciała znalezione w twoim domu są płci męskiej. Policja twierdzi, że twój ojciec nie pojawił się w pracy od czasu pożaru. To każe im przypuszczać, że właśnie wtedy zginął. Martwią się także o twoją matkę. Wygląda na to, że ona też

zniknęła. Poważnie się martwią. Zdaje mi się, że niektórzy z nich podejrzewają ją o podłożenie ognia. Cały dom był oblany jakimś łatwopalnym płynem, najprawdopodobniej benzyną. Z tego, co słyszałem, wszystko było nią przesiąknięte. Ktoś się naprawdę przyłożył. Czy twoim rodzicom dobrze się układało? Matka miała jakiś powód, żeby zrobić krzywdę ojcu? Stosował wobec niej przemoc? Bił ją?

– Ojciec nigdy nie podniósłby ręki na matkę.

Nie chciałem mówić. Wiedziałem, że nie powinienem się odzywać, ale nie mogłem pozwolić oczerniać ojca. Ani temu człowiekowi, ani nikomu innemu.

– Ale ojciec był w domu, kiedy się to stało, prawda?

– Nie wiem. Byłem nad jeziorem.

Doktor założył okulary, podsunął je na grzbiet nosa.

– Powiedziałeś strażakom, a potem policjantom, że przez kilka godzin łowiłeś ryby nad jeziorem, a do domu wróciłeś, kiedy zobaczyłeś dym, a jednak nie miałeś przy sobie ani skrzynki z przynętami, ani żadnej wędki, nie znaleźli też nic nad jeziorem. Uważają, że kłamiesz.

– Ja nigdy nie kłamię.

– Okłamałeś mnie w kwestii leków. Skłamałeś o haloperidolu, to bardzo poważne lekarstwo.

– To nie było kłamstwo, to było niedopowiedzenie.

– A czym się różni kłamstwo od niedopowiedzenia, Ansonie?

Noga tupnęła, ale tylko raz.

– Wiesz, dokąd pojechała twoja matka, Ansonie? Po tym jak wznieciła pożar, w którym zginął twój ojciec?

Matka nie zabiła ojca, matka nie podłożyła ognia. Chciałem mu to powiedzieć. Chciałem wykrzyknąć to na cały głos. Chciałem zerwać się z tego krzesła, wyrwać mu z ręki pióro, wbić mu je głęboko w szyję i patrzeć, jak krew tryska na sweter w romby i sztucznie uśmiechnięte zdjęcia na ścinach. Nie zrobiłem tego jednak. Nic nie powiedziałem.

– Instynkt każący matce chronić swoje młode jest jednym z najsilniejszych ludzkich popędów. Czy ojciec robił ci krzywdę? Dotykał cię tak, jak nie powinien? Dlatego pragnęła jego śmierci?

– Ojciec mnie też nigdy by nie skrzywdził.

– Przed przewiezieniem tutaj badali cię w szpitalu i nie znaleźli śladów przemocy, więc zakładam, że to prawda. Niestety nie wiem, jak skrupulatne były to badania. Muszę wierzyć im na słowo. Mój personel wszystko dokładnie by sprawdził, ale zabrano cię do lokalnego szpitala, a nie mogę ręczyć za kompetencje pracowników

tego rodzaju placówki. Niektóre z nich są wręcz barbarzyńskie, wyglądają jak lazarety z krajów Trzeciego Świata.

– Puszczałem kaczki.

– Słucham?

– Wcale nie mówiłem strażakom ani policjantom, że łowiłem ryby. Puszczałem kaczki nad jeziorem. Lubię puszczać kaczki.

– W raporcie policyjnym napisano co innego, Ansonie. Kłamstwa i niedopowiedzenia są równie niewłaściwe, nie radziłbym ci próbować ze mną takich numerów.

– W raporcie jest błąd.

Zdjął okulary, patrzyłem, jak opadają na sznurku i dyndają mu pod szyją.

W oknie gabinetu nie było krat. Zaczął padać deszcz.

– Do której szkoły chodziłeś, Ansonie?

– Matka uczyła mnie w domu.

– Naprawdę? To bardzo ciekawe.

– Dlaczego?

– Pamiętasz testy, które kazaliśmy ci rozwiązać drugiego dnia? We wszystkich osiągnąłeś niezwykle wysokie wyniki.

– Lubię testy. To fajna zabawa.

– Twoja matka musi być bardzo inteligentną kobietą. Czym się zajmuje zawodowo?

– Mówiłem już, pracuje w wydawnictwie.

Nabazgrał coś w notatkach, ale nawet nie spojrzał w dół.

– Owszem, mówiłeś, ale nie ma żadnych dowodów zatrudnienia, ani ostatnio, ani nigdy wcześniej. Twoi rodzice składali wspólne deklaracje podatkowe i nigdy nie pojawiała się w nich miejsce pracy matki. Urząd podatkowy przeprowadził drobiazgową kontrolę na wniosek tego prokuratora okręgowego, o którym już ci wspominałem. Ten człowiek jest jak buldog, aż mu ślinka cieknie na myśl o możliwości przesłuchania twojej matki.

– Nie wiem, gdzie ona jest.

– Przykro ci, że cię zostawiła? Biorąc pod uwagę instynkt macierzyński, o którym mówiłem wcześniej, wyobrażam sobie, że okrutnie trudno musiałoby być matce porzucić jedyne dziecko i całkowicie zerwać z nim kontakt, skreślić je, jakby nigdy nie istniało, potraktować jak śmiecia. Nie wiem, co mogłoby skłonić kobietę do takiego postępowania. Co zrobiłeś, że aż tak cię znienawidziła?

Tym razem, kiedy zaczęła latać mi noga, nie powstrzymałem jej. Siedziałem i patrzyłem na deszcz za oknem.

95

POOLE

Dzień czwarty, 4.38

Poole wylądował na lotnisku międzynarodowym Greenville-Spartanburg chwilę po pierwszej w nocy. Na płycie czekał już na niego czarny subaru forester na rządowych tablicach, za kierownicą siedział agent dowodzący Robert Granger. Miał przekrwione oczy o ciężkich powiekach.

Podał mu rękę i przywitał się głośno, przekrzykując huk silników odrzutowca.

– Frank, zgadza się? Witamy w Karolinie Południowej.

Poole oszacował jego wiek na pięćdziesiąt parę lat, ale tylko dlatego że agent Hurless miał pięćdziesiąt cztery i wspominał, że znali się z akademii. Granger wyglądał na znacznie starszego niż pięćdziesiąt cztery lata. Gdyby Poole spotkał go na ulicy, spokojnie dałby mu z dychę więcej. Przy kości, łysy, w grubych okularach i z zapuszczoną kocią bródką. To ostatnie mocno zdziwiło Poole'a, ponieważ regulamin FBI nie dopuszczał zarostu bardziej bujnego niż wąsik. Cóż, widocznie na południu obowiązują luźniejsze zasady.

Granger wskazał mu drzwi po stronie pasażera i obaj wsiedli do subaru. Ruszyli w drogę, zanim nawet Poole zdążył zapiąć pasy. Granger pomachał strażnikom w budce, dodał gazu i skierował się ku autostradzie.

– To co, 4MK, tak? Tutaj u nas?

– Uważamy, że ciągle jest w Chicago, ale podobno to jezioro ma jakiś związek ze sprawą – odparł Poole.

– Trochę musiałem podzwonić, ale po północy udało mi się w końcu dorwać szeryfkę. Nazywa się Hana Banister. Polubisz ją, babka z ikrą. Jest szeryfką Simpsonville od kilkunastu lat, w kolejnych wyborach nie ma żadnych rywali, miejscowym to nie przeszkadza. Mieszka tu niewiele osób i raczej nie przepadają za zmianami. Powiedziała, że ma na miejscu dwoje doświadczonych nurków. Ja w Charlotte miałem trójkę, więc zebraliśmy ich do kupy i wysłaliśmy wszystkich od razu nad to wasze jezioro. Kojarzy tamtą posesję, mówi, że od czasu pożaru była opuszczona. Dom spłonął, jest tam jeszcze przyczepa, którą właściciele wynajmowali lokatorom. Dzisiaj korzystają z niej nastolatki, robią w niej swoje nastoletkowe rzeczy. Z tego, co mówiła, nie ma tam wiele do oglądania.

– Nurkowie dadzą radę pracować po ciemku?

Granger pochylił się do przodu i wyprzedził powolną półciężarówkę.

– Moi nie wyglądali na zniechęconych. Łapią każdą okazję, żeby wskoczyć do wody.

– Daleko tam mamy?

Granger zerknął na nawigację w telefonie.

– Jakieś trzydzieści minut. Wygląda na to, że to na końcu świata.

Dwie godziny później Poole stał na brzegu jeziora i obserwował pracę nurków, podczas gdy Granger i szeryfka Banister (ikry rzeczywiście jej nie brakowało) wydawali rozkazy swoim ekipom.

W oddali buczał generator prądu, kable niczym węże rozpełzały się w różnych kierunkach. Na brzegu ustawiono wysokie reflektory, jasne promienie oświetlały czarną toń.

Jedna z nurków wypłynęła na powierzchnię i podniosła rękę.

– Mam następne! Sześć metrów w dół, dokładnie pode mną. Przywiązałam linę, zaraz przyczepię balon. – Odczepiła od paska mały zbiorniczek i pstryknęła guzik. Pyknęło i ze zbiorniczka wydobył się samopompujący

jaskrawopomarańczowy balon. Przywiązała go do sznurka trzymanego w drugiej ręce i położyła na wodzie.

– Chryste Panie, ile już mamy? – zapytała Banister gdzieś za plecami Poole’a.

Poole zerknął w prawo na czarne worki na zwłoki ułożone na brzegu.

– Cztery. W sumie już cztery.

– Całe ciało czy części? – zawołała Granger do nurki.

– Całe. – Kobieta założyła z powrotem aparat do oddychania i zniknęła pod powierzchnią, mocny promień światła jej latarki szybko zginął im z oczu.

Znaleźli jeszcze nieduże worki na śmieci zawierające szczątki, jak do tej pory seść. Otwarto tylko jeden z nich, zawierający ludzką kość udową. Wszystkie pozostałe zostały ostrożnie umieszczone w przezroczystych plastikowych torebkach jeszcze pod wodą, a potem wyjęte na powietrze i poukładane w plastikowych koszach – dołożono wszelkich starań, by nie dopuścić do zanieczyszczenia zawartości i zabezpieczyć znaleziska. Miały zostać otwarte dopiero w gabinecie koronera znajdującym się w budynku federalnym w Charlotte. Banister bez protestów przekazała stery Poole’owi i Grangerowi. Sprawa wyraźnie przekraczała możliwości jej departamentu.

Poole zatarł ręce. Temperatury nie można było nawet porównywać z mroźnym Chicago, ale wilgotne powietrze niosło znad jeziora przenikliwy chłód. Banister stanęła za nim i poświeciła latarką na pień jednego z rozłożystych drzew.

– Panie agencie? Chyba znalazłam tego waszego kota.

„Kiedy dotrzecie nad jezioro, szukajcie kota”.

Podszedł do niej i podążył wzrokiem za snopem światła latarki.

U podstawy dębu laurolistnego leżało zakopane przerdzewiałe pudełko na kanapki. Zaraz po przyjeździe Poole obszedł całe jezioro, uważnie wpatrując się w ziemię w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów kota. Spodziewał się znaleźć to coś, co miał na myśli Porter, tuż nad brzegiem, ale zaraz nurkowie wyłowili pierwsze ciało i całkiem zapomniał o kocie. Teraz byli jakieś trzy metry od wody, wśród drzew.

Poole schylił się i odgarnął ziemię z pokrywki.

„Hello Kitty”.

– Urocze. – Spojrzał na szeryfkę. – Ma pani jakieś rękawiczki?

– Proszę bardzo. – Wyjęła parę lateksowych rękawiczek z kieszeni kurtki i mu podała. Niesforne kosmyki siwiejących blond włosów wymsknęły się jej z kucyka. Zdjęła gumkę, zwinęła włosy w ciasny kok i ponownie związała. Zrobiła to wszystko jedną ręką, podczas gdy druga, celująca latarką w metalowe pudełko, ani drgnęła.

Poole mimowolnie zaczął się zastanawiać, czy równie sprawnie radziła sobie z pistoletem, o ile w ogóle miała tu kiedyś okazję sięgnąć po broń.

– Mam następnego! – dobiegło od jeziora.

„Już pięć”.

Granger podszedł i promień jego latarki dołączył do latarki Banister.

– To to, czego szukałeś?

Poole otworzył zardzewiały metalowy zamek z przodu pudełka i podniósł pokrywkę. Ze środka gapił się na niego pamiętnik.

– Będę potrzebował wypisów z kartoteki nieruchomości, map ewidencyjnych, wszystkich dokumentów związanych z tym miejscem. To samo z domami, które mijaliśmy po drodze.

– Takie rzeczy trzymają w ratuszu – powiedziała Banister, a jej oddech zamieniał się w białą parę w chłodnym powietrzu. – Podzwonię, obudzę parę osób.

PAMIĘTNIK

Lampy jarzeniowe pod sufitem buczały tak, jakby gdzieś w suficie ukrywał się milion pszczoł, ostre światło kapalo niczym zmarnowany miód. Próbowałem zignorować ten dźwięk, przekonałem się, że nie mogę, ale mimo to położyłem głowę na cienkiej poduszce przydzielonej w ośrodku.

Mój pokój miał jakieś dwa i pół metra długości i dwa szerokości. Nazywali to pomieszczenie moim pokojem, a ja przyjąłem taką definicję, chociaż jakiś głos w podświadomości szeptał mi, że to raczej cela. Pokoju nie zamyka się na klucz, kiedy siedzisz w środku. Pokój ma okna, które da się otworzyć. O moim pokoju nie można było tego powiedzieć.

Pierwszego dnia w tym miejscu obudziłem się w środku nocy i wygramoliłem z łóżka, żeby pójść do łazienki. Chyba już w chwili, gdy moje stopy dotknęły zimnej podłogi, wiedziałem, że coś jest nie tak, ale dopiero kiedy dotarłem do miejsca, w którym powinny się znajdować drzwi od sypialni, obudziłem się na dobre i zorientowałem, że wcale nie jestem w domu, a w jakimś obcym miejscu.

Nie mój pokój.

Nie moje łóżko.

Jakieś zupełnie inne miejsce.

Potrzeba załatwienia się ustąpiła. Wdrapałem się z powrotem na wąskie łóżko. Wstałem dopiero, kiedy jasne górne światła zapaliły się dokładnie o szóstej rano, obudziły się pszczoły gotowe przeżyć nowy, z góry zaprogramowany dzień. Świeciło się dokładnie do 22.00. W pokoju nie było zegarka, nie widziałem też żadnego przez okienko w drzwiach, ale mój wewnętrzny zegar działał precyzyjnie. Od najmłodszych lat ojciec uczył mnie odmierzać czas w umyśle. Nauczył wsłuchiwać się w rytmiczne tik-tak zegara ukrytego gdzieś w zakamarku podświadomości, znacznie dokładniejszego niż jakikolwiek zegar wiszący na ścianie, o ile umiało się mu zaufać.

W domu nie było zegarów.

Nie wolno mi było nosić zegarka.

Miałem tylko wewnętrzny zegar, regularnie sprawdzany przez ojca.

Pytał mnie o godzinę, czasem w najbardziej nieoczekiwanych i najdziwniejszych momentach. Jeśli myliłem się o więcej niż minutę, ojciec wyciągał konsekwencje. Nie będę się zagłębiał w szczegóły, wystarczy powiedzieć, że rzadko się myliłem.

Ojciec nauczył mnie także tłumić czas. Porównywał tę umiejętność do medytacji, ale zawsze dodawał, że to coś znacznie więcej. Zdolność ta nie wydawała mi się szczególnie przydatna, ale powiedział, że kiedyś może być mi potrzebna, a ja chętnie przyjmowałem wszystkie nauki, jakie zechciał mi przekazać. Tłumienie czasu pozwalało mi po prostu zamknąć oczy i się wyłączyć. Mogło to trwać pięć minut albo pięć godzin, zawsze na początku ustalałem czas. W przeciwieństwie do snu mogłem utrzymać aktywność mózgu, skupić się na konkretnym problemie, jeśli chciałem, ale mogłem wyłączyć i tę jego część, sprawić, by chwile, które normalnie zmarnowałbym na nudę, minęły w okamgnieniu.

Kiedy zamknęli mnie w tym pokoju, zacząłem tłumić czas.

Domyślałem się, co próbują zrobić. Wypuszczali mnie tylko do łazienki i na rozmowy z doktorem Oglesbym. Resztę czasu spędzałem w tym pokoju. Chcieli, żebym się zaczął nudzić. Chcieli, żebym zaczął nienawidzić tego pokoju. Chcieli, żebym wyczekiwał na czas poza tymi czterema ścianami, tęsknił do kolejnej sesji z doktorkiem. Choć jestem pewny, że działało to w przypadku poprzednich lokatorów, takie sztuczki nie mogły na mnie zadziałać, przynajmniej dopóki potrafiłem tłumić czas. Dopóki potrafiłem wykorzystać pobyt tutaj jako szansę przeanalizowania swojej obecnej sytuacji, znalezienia odpowiedzi, rozwikłania zagadki.

Jarzeniówki zapalały się o szóstej rano i gasły o dziesiątej wieczorem, po czym cykl się powtarzał. Do tej pory powtórzył się osiem razy. Obecnie była 16.32, popołudnie mojego ósmego dnia pobytu w tym miejscu. Z pokoju nie dało się w żaden sposób uciec. Okno było szczelnie zamknięte. Nawet gdybym zdołał je jakoś otworzyć, nie przecisnąłbym się między kratami. Mógłbym otworzyć zamek w drzwiach, gdybym miał cokolwiek, co mogłoby posłużyć za wytrych, ale nie miałem. Mój pokój był piąty z kolei po tej stronie korytarza. Łazienka znajdowała się po drugiej stronie, kawałek w prawo. Co prawda nie widziałem mieszkańców pozostałych pokoi, ale czasem ich słyszałem, zwłaszcza nocą. Zidentyfikowałem trzy głosy męskie i dwa damskie. Dziewczyna dwa pokoje dalej po mojej stronie korytarza, sądząc po brzmieniu głosu, miała jakieś piętnaście lat.

W nocy płakała. Płakała każdej nocy.

Nie wiedziałem, jak jej na imię. Nikt tu nie używał imion, z wyjątkiem doktora Oglesby'ego.

Korytarz miał około piętnastu metrów długości. Kiedy prowadzili mnie z pokoju do gabinetu doktora Oglesby'ego, szliśmy w lewo i mijaliśmy wyłącznie zamknięte drzwi. Kiedy wracaliśmy z gabinetu, zwracałem baczna uwagę na wszystko, co działo się na drugim końcu korytarza – dyżurkę pielęgniarek po lewej, strażnika po prawej, a między nimi zamknięte drzwi. Jeszcze nie widziałem, żeby się otwierały, ale za każdym razem słyszałem: elektroniczny brzęczyk, po którym następowało odblokowanie zamka. Podejrzewałem, że sterowanie znajdowało się gdzieś w pobliżu stanowiska strażnika, chociaż możliwe, że i pielęgniarki miały dostęp. Oczami wyobraźni widziałem mały guzik, brudny po wielu latach naciskania przez najróżniejsze palce.

Na obu końcach korytarza były zamontowane kamery: czarne oczy gapiące się z małych kopulek pod sufitem. Nie znalazłem kamery w gabinecie doktora Oglesby'ego, ale byłem niemal w stu procentach pewny, że musi tam być. W moim pokoju kryła się w szybie wentylacyjnym obok jarzeniówki, obserwowała mnie z góry. Nie wydawała żadnych dźwięków, ale czułem, jak mruga.

Ciekawe, doktorku, czy właśnie w tej chwili siedzisz przy biurku i oglądasz mnie na jakimś monitorze? Wprost zatrzęsienie ciekawych obserwacji, zapisujesz wszystko w notatniczku? Wyobrażam sobie, jak notujesz jak szalony, każde kolejne słowo bardziej bezsensowne od poprzedniego. Biedny mały Anson Bishop, sierotka zrodzona z ognia.

Dziewczyna parę pokojów dalej znowu zaczęła płakać. Dziwne, o tej porze?

97

PORTER

Dzień czwarty, 7.13

Brzęknął telefon Sarah.

Porter z początku nie wiedział, co to za dźwięk i skąd dobiega, ale potem zauważył telefon Sarah leżący na jej kolanach.

Poruszyła się, oparła głowę na jego ramieniu i z powrotem zapadła w głęboki sen.

Telefon znów brzęknął.

W kabinie zapaliły się światła, a z głośników rozległ się donośny komunikat:

– Szanowni państwo, prosimy ustawić oparcia foteli w pozycji wyprostowanej i zamknąć stoliki. Wkrótce wylądujemy w Nowym Orleanie. Czas lokalny: siódma trzynaście, temperatura: piętnaście stopni. Było nam bardzo miło gościć państwa na pokładzie, życzymy przyjemnego pobytu w mieście.

Sarah zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy. Skrzywiła się w jasnym świetle.

– Dzień doberek – wymamrotała, mlaszcząc sennie.

Komórka znów brzęknęła.

– Myślałem, że trzeba włączać tryb samolotowy, bo w przeciwnym razie ta sterta metalu runie z hukiem na ziemię.

– Na szczęście masz pas bezpieczeństwa, on cię ochroni. – Wzięła telefon do ręki i spojrzała na wyświetlacz. – Kiedy samolot zbliża się do ziemi, telefony zaczynają łapać sygnał. – Zmarszczyła czoło. – Dostaję esemesy, ale nie są do mnie. To do ciebie.

– Co?

– Spójrz. – Podała mu telefon.

Niepotrzebnie zniszczyłeś telefon, Sam.

To nie było miłe z Twojej strony.

Wcale a wcale.

– Skąd Bishop ma twój numer?

Sarah wzruszyła ramionami.

– Ojej, nie wiem. Może z tabliczki przed moją kancelarią, z książki telefonicznej, z internetu, z którejś z moich wizytówek. Może matka mu go dała. Jestem prawniczką, Sam. Mój numer można znaleźć wszędzie.

Porter wystukał: „Bishop?”.

Po chwili oczekiwania: „Podobała Ci się podróż do przeszłości?”.

Porter odpisał: „Znalazłem Twojego kota”.

Bishop na to: „Chyba znaleźliście, a nie znalazłeś?”.

Porter zerknął na Sarah. Nie odrywała wzroku od wyświetlacza.

BISHOP: W porządku. Wiem, że nie jesteś sam. Cieszę się Twoim szczęściem. Sarah wygląda na przemiłą osobę. Heather by ją polubiła. Na pewno szybko by się zaprzyjaźniły.

PORTER: Mam medalion Libby.

Bez odpowiedzi.

PORTER: To jej medalion, prawda? Schowany pod podłogą w przyczepie Carterów? Kim ona dla Ciebie była? Wiesz, że nie żyje, prawda?

Bez odpowiedzi.

PORTER: Bishop?

BISHOP: Tęsknię za moją matką, Sam. Rozpaczliwie potrzebuję porozmawiać z nią o Libby.

PORTER: Poddaj się. Załatwię, żebyście siedzieli w sąsiednich celach.

BISHOP: Nie trzeba. Przyrowadzisz ją do mnie.

– A takiego chuja – powiedział Porter.

PORTER: Ona się nigdzie nie wybiera.

BISHOP: Wysyłam Ci zdjęcie, Sam. Nie spodoba Ci się. Będziemy musieli o tym porozmawiać.

Telefon brzęknął i na ekranie pojawił się mały obraz: dwie dziewczyny leżące nieprzytomnie na betonowej posadzce.

BISHOP: Jesteś tam?

Sarah powiększyła zdjęcie dwoma palcami, żeby mogli się przyjrzeć szczegółom.

Jedna z dziewczyn była owinięta w zieloną narzutę, miała śmiertelnie bladą twarz i krew na wargach. Druga wyglądała, jakby ktoś ją wyłowił z rzeki, ubrania miała przemoczone, włosy posklejane.

Porter nie znał ani jednej, ani drugiej.

PORTER: Kto to?

BISHOP: Goście mojego znajomego. Niezbyt dobrze się miewają. Obawiam się, że jeśli jeszcze trochę zostaną pod jego opieką, mogą podzielić marny los Elli Reynolds i Lili Davies. Chybabyś tego nie chciał? Znowu mieć krew na rękach? Zrobimy wymianę, tylko Ty i ja. Moja matka za dziewczyny. Prosta wymiana, coś za coś. Ciągłe jesteś mi winny... za poprzedni raz.

PORTER: Nie zrobię tego.

BISHOP: Zawsze można znaleźć więcej dziewczynek.

BISHOP: Spróbuj powiadomić gliny, a obie umrą. Mam jeszcze sporo pudełek...

BISHOP: Zostaw całą gotówkę w szafce przy wejściu do więzienia.

PORTER: Nie.

BISHOP: Jest coś jeszcze, Sam. Nie spodoba Ci się to ani trochę, ale na wypadek gdybyś jednak zamierzał pozwolić dziewczynom umrzeć, przygotowałem coś naprawdę wyjątkowego, co robi „bum”. Nie chcę robić „bum”, ale będę musiał, jeśli nie przywieziesz mi matki. Nie ma tylu pudełek na świecie, żeby starczyło na to, co będzie po „bum”.

BISHOP: Musicie iść RAZEM z panią Werner. Nie wydadzą jej tylko w Twoje ręce. Jakkolwiek na to patrzeć, osadzonej przysługuje reprezentacja prawna. Nie sądzisz?

BISHOP: Masz czas do 20.00. Jeśli się spóźnisz, to

– Jeśli się spóźnię, to co? – spytał Porter.

– Brak sygnału. Pewnie wylecieliśmy poza zasięg wieży.

Podskoczyli na fotelach, kiedy koła podwozia uderzyły w płytę, samolot szybko wytracał prędkość, budynki lotniska migają za okrągłym okienkiem.

Sarah nie odrywała wzroku od telefonu.

– Spróbuj teraz, jest zasięg.

PORTER: Bishop?

NIE DOSTARCZONO!

Porter nacisnął czerwony link z napisem „PONÓW”.

NIE DOSTARCZONO!

Jeszcze raz.

NIE DOSTARCZONO!

– Co to ma znaczyć, do jasnej cholery? – Porter się zdenerwował.

– Może wyjął baterię – odparła Sarah. – Albo utopił telefon w jeziorze. – Zwróciła się do Portera: – No to nici z zaburzania mu planów. Nie udało nam się go spowolnić.

Porter przewinął wiadomości. Kiedy ponownie zobaczył zdjęcie dziewcząt, aż go ścisnęło w żołądku.

PORTER

Dzień czwarty, 7.57

– Mamy jeszcze godzinę do rozpoczęcia widzeń – powiedział Porter z siedzenia pasażera w bmw Sarah Werner.

Prosto z lotniska pojechali do więzienia.

Nie miał wyjścia.

Dobrze o tym wiedział.

– Skują ją – pocieszyła go Sarah. – Nie będzie mogła uciec. Trzymaj ją przy sobie, a kiedy już będziesz miał pewność, że dziewczynki są bezpieczne, oddaj ją z powrotem w ręce władz. Teoretycznie w ogóle nie wyjdzie na wolność. Może się do niej przykuć kajdankami? Gliniarze chyba tak robią, co nie? Kurde, nie wiem.

Dziesięć minut po tym, jak kontakt z Bishopem się urwał, Sarah dostała mejla z więzienia – automatyczne potwierdzenie otrzymania i rozpatrzenia dokumentacji dotyczącej osadzonej numer 2138, a do tego około dwudziestu stron standardowych informacji dla osób odpowiedzialnych za więźnia wydane w ich ręce.

Porter próbował dzwonić pod numer, z którego Bishop wysyłał esemesy, ale odezwał się automat: „Wybrany numer nie jest już w użyciu lub został odłączony. Prosimy sprawdzić...”. Słyszał już to nagranie. Rozłączył się.

– Ile ci zostało gotówki? – zapytała Sarah.

Porter westchnął i poklepał się po wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Dwa tysiące trzysta dwanaście dolarów.

Zaparkowała na środku placu, przodem do wejścia dla odwiedzających.

– Oficjalnie otwierają o dziewiątej, ale prawnicy mają wstęp już od ósmej.

– Powinienem iść sam – powiedział Porter. – Już i tak jestem w tarapatkach. Ty nie masz powodu się w to mieszać.

– Obawiam się, że teraz to tkwię już w tej sprawie po uszy.

– To ucieczka z więzienia. Będziesz na monitoringu. W najlepszym wypadku stracisz uprawnienia.

– Kiepski z ciebie mówca motywacyjny.

– Nie ma sensu, żebyś zniszczyła sobie przez to życie.

Sarah westchnęła.

– Bishop powiedział jasno, że musimy tam wejść oboje, więc wejdziemy oboje. Muszę tylko najpierw przestać się tak pocić.

– Pocisz się? Jest zimno.

– Pewnie ma to jakiś związek z tym dygotaniem. To też mogłoby mi już przejść.

Rzeczywiście dygotała. Porter spojrzał na jej dłoń podskakującą nerwowo na kierownicy.

– Idę sam. Jebać Bishopa, nie...

Sarah wyłączyła silnik i zanim zdążył dokończyć myśl, była już za drzwiami.

– Idziemy, detektywie.

– Szlag – mruknął Bishop. Wyjął z kieszeni nóż Bishopa i medalion Libby, wrzucił je do schowka, niezgrabnie rozpiął pas i popędził za Sarah.

Z uwagi na wczesną porę ośrodek dla odwiedzających był wyludniony. Tak jak poprzednio strażnik kazał Porterowi pokazać prawo jazdy, a potem wyjąć pasek ze spodni i sznurowadła z butów. Schował je w szafce razem z portfelem i kurtką, w kieszeni której zostawił pieniądze. Strażnik zamknął drzwiczki i dał mu kluczyk. Potem obszukał go i sprawdził ręcznym wykrywaczem metalu.

Wpuścił go, Sam przeszedł dalej do holu. Chwilę później dołączyła do niego Sarah.

– Co teraz? – zapytał Porter.

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie rozległ się brzęczyk i otworzyły się drzwi obok nich. Do pomieszczenia wszedł inny strażnik, drzwi zaraz się za nim zamknęły. Weidner. Rozmawiał przez komórkę. Uniósł wyprostowany palec wskazujący i skinął im głową. Po zakończeniu rozmowy zaprowadził ich do niewielkiej poczekalni.

– Proszę tutaj poczekać.

Za każdym razem, gdy rozlegał się brzęczyk otwierający drzwi, serce podchodziło Porterowi do gardła.

Dopiero za szóstym razem Weidner wrócił w towarzystwie dwóch strażników, między którymi szła NN ze skutymi rękami i nogami.

Weidner podsunął Porterowi podkładkę z pokwitowaniem.

– Proszę podpisać tutaj, tutaj i tutaj.

Porter nabazgrał swoje nazwisko, cały czas czując na sobie palący wzrok kobiety.

– To przepustka na jeden dzień. Niech ją pan odstawi najpóźniej o piątej po południu. Przez cały czas musi być skuta. Na kostce ma opaskę monitorującą, nie wolno jej opuszczać terenu hrabstwa Orleans. W przeciwnym razie będzie pan odpowiedzialny za złamanie nakazu sądowego.

„Nakazu sądowego? Jakim cudem Bishop...”

– W normalnych okolicznościach musiałyby wam towarzyszyć strażnik więzienny – ciągnął Weidner – ale ponieważ jest pan policjantem, a osadzona zostaje panu przekazana w ramach prowadzonego śledztwa, decyzja należy do pana. Czy chce pan, żeby przydzielono wam strażnika albo strażników?

Porter pokręcił głową.

Weidner podał mu wizytówkę. Z tyłu był przyklejony kluczyk.

– Jeśli z jakiegoś powodu nie będzie pan mógł odstawić osadzonej przed siedemnastą, proszę zadzwonić pod ten numer i poinformować dyżurnego.

Porter wsunął kartonik do kieszeni.

Weidner przewrócił stronę i podsunął podkładkę Sarah.

– Jako jej prawniczka musi pani tutaj podpisać, żeby zatwierdzić przekazanie osadzonej pod opiekę detektywa Portera.

Sarah podpisała i oddała dokumenty.

Sprawdził obie strony, skinął głową do strażników, a potem do kamery pod sufitem w rogu korytarza. Znowu rozległ się brzęczyk i strażnicy zaprowadzili NN z powrotem do środka, stalowe drzwi zatrzasnęły się za ich plecami.

Weidner znowu zwrócił się do Sarah i Portera:

– Weźcie swoje rzeczy i podjedźcie samochodem pod bramę dwunastą z boku budynku.

Potem zniknął za drzwiami.

Porter i Sarah gapili się na siebie przez chwilę. Cała rozmowa zajęła niecałe pięć minut.

Odebrali rzeczy osobiste z szafek. Porter zauważył, że kurtka zrobiła się znacznie lżejsza bez pliku banknotów w kieszeni.

Kiedy podjechali do bramy numer 12, NN stała już za ogrodzeniem z metalowej siatki, nadal ze strażnikami po obu stronach. Rozległ się głośny brzęczyk i brama otworzyła się tak samo jak drzwi w więzieniu. Strażnicy zaprowadzili ją do bmw Sarah, pomogli wsiąść i zamknęli drzwi.

NN uśmiechnęła się z tylnego siedzenia.

– Musimy jechać do pani kancelarii. No już, raz-dwa.

99

GABBY

Dzień czwarty, 8.03

Gabby Deegan leżała w łóżku i przeglądała Instagrama.

Ktoś wymyślił hashtag #WspomnienieLiliDavies i zaraz pojawiło się pełno różnych zdjęć Lili wrzucanych przez ludzi ze szkoły – ludzi, których nie znała i którzy nie znali jej. Gabby robiło się niedobrze.

Jakim prawem się teraz odzywali?

Pod hashtagiem pojawiło się sporo postów autorstwa Ally Winters i Magen Plants. Obie miały Lili w dupie, kiedy jeszcze żyła, a teraz nagle zgrywały jej najlepsze przyjaciółki? Kiedy Ally ostatni raz widziała Lili, powiedziała jej, że wygląda jak czupiradło i powinna zacząć chodzić do stylistki, a nie do taniego fryzjera w galerii handlowej. W zeszłym roku Magen zabrała Lili bieliznę z szafki w szatni od WF-u i schowała w bibliotece szkolnej. Gabby i Lili spędziły prawie godzinę na poszukiwaniach i dostało im się za opuszczenie lekcji. Co za głupie pizdy. Ale nie to było najgorsze – jacyś przypadkowi ludzie wrzucali zdjęcia, niektóre naprawdę okropne. Zdjęcia Leigh Gallery. Niektórzy robili sobie nawet selfie z tablicą przed galerią. @EddieSieZna z Wirginii Zachodniej wrzucił zdjęcie Buffalo Billa, z tego starego filmu *Milczenie owiec*, z podpisem „NIE włożyła balsamu do koszyka!”. Nawet jej nie znał, po prostu jakiś dupek, któremu powinno się zablokować dostęp do mediów społecznościowych.

Dyrekcja Wilcox Academy zapowiedziała na wieczór czuwanie przy świecach. Gabby jeszcze nie była pewna, czy pójdzie. Bo po co? Stanie w kółku ze świeczkami nie przywróci życia Lili, a poza tym wszyscy wiedzieli, że była jej najlepszą przyjaciółką. Wszyscy będą się na nią gapić.

Zamknęła Instagrama i otworzyła iMessage. Przewinęła wszystkie zdjęcia samochodów, którymi wymieniały się przez ostatnie kilka miesięcy. Lili nigdy nie będzie miała samochodu, nie zrobi prawa jazdy, nie znajdzie drugiej połówki, nie urodzi dziecka, nigdy...

Poczuła, że łzy znowu napływają jej do oczu, i próbowała je powstrzymać. Nie zmyła wczoraj dokładnie makijażu, więc wołała nawet nie myśleć, w jakim stanie jest jej eyeliner.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zawołała mama spod drzwi.

– Tak.

Szarpnięcie za klamkę.

– Dlaczego się zamknęłaś na klucz?

Gabby nie odpowiedziała. Otarła oczy.

– Może powinnaś zjeść śniadanie. Dobrze ci zrobi, jak coś zjesz.

No jasne. Płatki kukurydziane lekarstwem na wszystko.

– Może później, mamó.

Gabby przewróciła się na drugi bok, pościel zaplątała jej się wokół nóg. Otworzyła aplikację ze zdjęciami na telefonie i przejrzała album Lili, setki obrazów, ich wspólne zdjęcia w parku, na mieście, w szkole. Zapisła też niektóre wiadomości ze Snapchata. Zwykle używały Snapchata do prywatnych rozmów, bo wiadomości zniknęły zaraz po przeczytaniu. Mogły mówić sobie wszystko, co chciały, w tajemnicy przed ciekawskimi rodzicami, którzy czytali dosłownie wszystko. Oczywiście używały też iMessage, tam pisały rzeczy, które rodzice mogli zobaczyć, ale prawdziwe rozmowy toczyły się na Snapchacie. Jeśli Lili napisała coś, co Gabby chciała zachować – jak na przykład uwagę o Philipie Krendalu, któremu było widać pośladki na lekcji przyrody – robiła zrzut ekranu, zanim wiadomość zniknęła ze Snapchata, i zapisywała w albumie

Lili, ukrytym i zabezpieczonym hasłem, niedostępnym dla rodziców, tak jak powinno być. W przeciwieństwie do upamiętnienia na Instagramie te zdjęcia wywołały uśmiech na twarzy Gabby. Lili była królową zwięzłych żartów. Często wysyłała zdjęcia Chojraka, swojego pieska rasy lhasa apso, z krótkimi podpisami. Twórcy memów nie dorastali jej do pięt. Były też zdjęcia samochodów, ale nie z internetu, tylko z okolicznych salonów, tych aut, które wpadły jej w oko. Zamierzała wykorzystać następną okazję, kiedy ojciec wspomni o kupnie samochodu: pokazać mu auto w okolicy, konkretne auto, które jej się podobało, i zobaczyć, czy uda jej się go namówić do pogadania ze sprzedawcą. W salonie w centrum upatrzyła sobie camaro z 2010 roku, wiśniowe z czarną tapicerką. Gdyby podjechała tym pod szkołę, wszystkie chłopaki by się obejrzały, dziewczyny zresztą też.

Gabby zatrzymała się przy następnym zdjęciu. Lili trzymała iPada obok roześmianej twarzy. Podpis głosił: „Ale jazda... za darmo!”. Gabby zupełnie wyleciało to z głowy. Lili wygrała jakiś konkurs organizowany przez lokalny ośrodek nauki jazdy. Gabby mówiła jej, że to na pewno ściema. Podejrzewała, że pod pretekstem wygranej ściągają dzieciaki, a potem próbują im wcisnąć najdroższy kurs. Robiła tak co druga szkoła w Chicago, odkąd władze stanowe wprowadziły obowiązek wyjeżdżenia trzydziestu godzin przed podejściem do egzaminu. Lili powiedziała, że tak czy inaczej pójdzie się zorientować, ale jeśli rzeczywiście poszła, to Gabby nic o tym nie wiedziała. Poszłaby z nią.

Gabby gwałtownie się podniosła.

Przypomniała sobie pytania policji. Czy Lili wsiadłaby do obcego samochodu? Odpowiedziała, że nie, ale...

Powiększyła zdjęcie tak długo, aż udało jej się odczytać nazwę szkoły: Designated Driver. Znalezienie adresu zajęło jej całe dziesięć sekund.

Dwadzieścia minut później była już ubrana i wybiegała z domu. Matka nawet nie usłyszała jej wyjścia.

100

PORTER

Dzień czwarty, 8.24

– Zjedź tutaj na bok, Sarah. Mogę ci mówić na ty?

Porter wiedział, że nie powinni ślepo wykonywać poleceń tej kobiety. Rozumiał, że to niewłaściwe, a jednak właśnie to robili.

Wyjechali z terenu więzienia. Siedziała na tylnej kanapie, obserwowała ich, patrzyła na świat zewnętrzny przelatujący za oknem.

Sarah posłusznie minęła miejsca parkingowe przed budynkiem i wjechała w boczną uliczkę.

– Zaparkuj i zatrąb dwa razy.

Dźwięk klaksonu odbił się echem od budynków po obu stronach samochodu.

– Jakoś blado wyglądasz, detektywie. Powinieneś spróbować ćwiczeń oddechowych. Świetnie działają na układ krążenia.

Porter zignorował jej uwagi.

Ktoś wyszedł z uliczki po drugiej stronie. Porter rozpoznał bezdomnego, tego samego, który poprzednim razem sikał na chodnik.

„Czy naprawdę minęła tylko doba?”

– Mogę prosić o klucz, detektywie? – Porter chciał odruchowo zapytać, jaki klucz, ale potem przypomniał sobie o wizytówce. Wygrzebał ją z kieszeni. – Chciałabym też pozbyć się tych kajdanek z rąk i nóg.

– Nic z tego.

– Czeka nas długa droga.

– Życie bywa okrutne – mruknął Porter.

Znowu się uśmiechnęła, niemal niezauważalnie wygięła wargi.

– Racja, czasem tak bywa.

Nie podobał mu się ten uśmiech.

Ani trochę.

Bezdomny zapukał w okno, a potem się odwrócił, obserwując przeciwną stronę ulicy.

Porter patrzył, jak kobieta odczepia kluczyk od tylnej strony wizytówki, schyla się i odpina elektroniczną bransoletkę z kostki. Urządzenie zaczęło natychmiast pikać.

– Nie zorientują się? – zapytała Sarah, obserwując całą scenę w lusterku wstecznym.

NN spuściła szybę i podała opaskę czekającemu mężczyźnie, który zapiął ją sobie na kostce.

Pikanie ucichło.

Bezdomny stuknął w dach samochodu i wrócił do zaułka po drugiej stronie ulicy. Nie zamienili ani słowa.

– Te opaski monitorujące wcale nie działają tak dobrze, jak ludzie chcieliby wierzyć – powiedział Porter. – Kiedy znajdują się poza zasięgiem wieży przekaźnikowej, zapisują dane, a potem przesyłają je hurtowo przy najbliższej okazji. Te starsze, które są w obiegu już od dłuższego czasu, często błędnie zgłaszają próbę ściągnięcia opaski. Nadmierna eksploatacja, potrząsanie podzespołami, którymi nie powinno się trząść. Ośrodek nadzorujący zwykle ustala minimum czasowe: jeśli urządzenie zawiadamia o problemie trwającym dłużej niż minutę, włącza się alarm, jeśli krócej, zgłoszenie jest ignorowane. Zanim ją wypuścili, zaprogramowali obszar, którego nie wolno jej opuszczać. Jeśli nie przekroczy jego granic, nikt się o niczym nie dowie. Widziałem wczoraj tego gościa, nawet taksówkarz stwierdził, że tu nie pasuje. Pewnie na nas czekał.

Sarah przyswoiła sobie wszystkie informacje, zerkając nerwowo to w lusterko, to na Sama.

– Dokąd właściwie jedziemy? – zapytał, nie odwracając się do tyłu.

– Mój synek wam nie powiedział? Oczywiście do Chicago. Podam wam dokładniejszy adres, jak już będziemy bliżej.

Znowu ten uśmiech.

Perfidny, złowieszczy uśmieszek.

– Chciałabym przeczytać list od Ansona. Czy mogłabym go dostać, proszę?

Porter chciał odmówić.

Chciał jej powiedzieć, żeby siedziała na dupie i zamknęła ryj, ale tego nie zrobił. Sięgnął do schowka, wyjął szeleszczące, pożółkłe kartki i rzucił je na tylne siedzenie.

Słyszał, jak się wierci, żeby do nich dosięgnąć, ale się nie obejrzał.

Nie zamierzał na nią patrzeć.

– Nie było tam jeszcze pamiętnika? Tak tęsknię za jego słowami.

Porter szybko zatrzasnął schowek, żeby nie zauważyła noża i medalionu, po czym otworzył zeszyt w miejscu, w którym przerwał lekturę.

– Dam ci przeczytać, jak skończę.

NN spojrzała na Sarah, ich oczy spotkały się w lusterku.

– Zdaje się, że Anson dał wam czas do dwudziestej. Radziłabym ruszać w drogę. Lepiej nie kazać mu czekać zbyt długo. Nie należy do najcierpliwszych. Z tego, co zrozumiałam, ma do dyspozycji nieciekawe zabawki. No już, raz-dwa.

– Masz się nie odzywać, chyba że któreś z nas cię o coś zapyta. Rozumiemy się?

NN uniosła skute rękę, zamknęła usta na kłódkę niewidzialnym kluczykiem, po czym wróciła do listu.

Sarah po raz ostatni nerwowo zerknęła w lusterko na kobietę z tyłu, cofnęła na główną ulicę, wrzuciła bieg i dodała gazu.

– No to do Chicago – powiedziała. – Nie ma to jak miła wycieczka.

101

PAMIĘTNIK

Doktor Oglesby miał dziś na sobie zielony sweter w romby, a do tego znów beżowe spodnie. Wyobrażałem sobie, jak romby pączkują, plenią się jak chwasty w jego szafie, powoli zarastając gładkie tkaniny i kraciaste wzory. Są jakieś kulki na romby, tak jak na mole? Może jest jakiś sposób, żeby je wytępić. Czy regularne noszenie ubrań w romby sprawia, że człowiek przeistacza się w lekarza od głowy? Czy gdyby zamiast tych swetrów nosił codziennie koszulki Grateful Dead, szorty i klapki, to byłby innym człowiekiem? Czy zmiana stroju spowodowałaby zmianę osobowości i charakteru? Czy szata może zmienić człowieka? A może jest na odwrót? Najpierw zmiana osobowości, która wywołuje pragnienie ubierania się swobodniej. Nie byłem...

– Anson? Jesteś tutaj?

– Przepraszam.

– Nie musisz przepraszać, nic się nie stało. Zastanawiam się tylko, gdzie wędrujesz myślami, kiedy tak odpływasz.

– Nigdzie nie poszedłem. Cały czas tu byłem.

– Fizycznie tak, ale twój umysł znajdował się daleko stąd. O czym myślałeś?

Okulary znowu wisiały na sznurku.

– Kim jest ta dziewczyna z mojego korytarza?

– Jaka dziewczyna?

– Dwa pokoje ode mnie.

Lekarz zmarszczył czoło.

– Spotkaliście się?

Okulary powędrowały na nos, coś się zapisało w notatniku. Pokręciłem głową.

– Słyszałem, jak płacze. Wydaje się bardzo smutna.

– A tobie jest z tego powodu smutno?

– A powinno?

– Czy ty w ogóle płaczesz, Ansonie?

Musiałem się nad tym zastanowić. To było chyba pierwsze pytanie, które zmusiło mnie do namysłu, od początku mojego pobytu w ośrodku. Nie pamiętałem ostatniego razu, kiedy płakałem. Ojciec nauczył mnie płakać, potrafiłem płakać na komendę, przywołać łzy bez najmniejszego wysiłku, ale nie pamiętałem, żebym kiedykolwiek musiał to zrobić, nawet... nie, tylko nie wtedy. Nie chciałem o tym myśleć. Wydaje mi się, że ostatni raz płakałem po szczeniakach Ridley. Ale o szczeniakach też nie chciałem rozmawiać, ani teraz, ani nigdy. Ojciec powiedział mi kiedyś, że chociaż potrafię płakać, to powinienem pamiętać, że prawdziwi mężczyźni tego nie robią. Prawdziwi mężczyźni nigdy nie płaczą. Brudny Harry byłby zdecydowanie mniej groźny, gdyby się rozkleił, celując z pistoletu w łotrów, albo jeszcze gorzej – kiedy to oni trzymali go na muszce.

– Kiedy się dowiedziałeś, że jesteś sam, kiedy dotarło do ciebie, że nie ma twoich rodziców i zostałeś całkiem sam, rozplakałeś się?

– Tak.

Powiedziałem tak, bo wiedziałem, że to poprawna odpowiedź, że to właśnie chce usłyszeć. W rzeczywistości nie uroniłem nawet łzy, nie było sensu. Płacz nic by mi nie pomógł, niczego by nie zmienił. Płkanie byłoby stratą czasu. Nie zamierzałem marnować czasu. Nie dałem się opanować emocjom.

– A tutaj nie płakałeś jeszcze ani razu. – Okulary znów w dół. – Płkanie to żaden wstyd, Ansonie. Emocjonalne reakcje na sytuację i środowisko, w jakim się znajdujemy, pomagają organizmowi radzić sobie z bieżącym problemem. Tłumienie emocji, zamykanie się w sobie, to może być naprawdę niebezpieczne. Zdarzyło ci się kiedyś wziąć puszkę coli, mocno potrząsnąć, a potem otworzyć?

– Nie piję takich rzeczy.

– Przez potrząśnięcie wzburza się gaz rozpuszczony w płynie. Otwarcie puszki pozwala dać ujście temu wzburzeniu. Jeśli jej nie otworzysz, cała ta wytworzona energia pozostanie w środku i może być destrukcyjna, cząsteczki wpadają na siebie i coraz bardziej się denerwują, bo dociera do nich, że tkwią w zamknięciu i nie mają dokąd uciec. Jeśli potrząśniesz puszką i zostawisz ją na długo zamkniętą, pozwalając się jątrzyć, to kiedy ją wreszcie otworzysz, napój będzie niesmaczny.

– Cola jest niezdrowa.

– Tamta dziewczyna płacze, bo przytrafiło jej się coś potwornego. Nie mogę zdradzać żadnych szczegółów dotyczących innych pacjentów, ale doświadczyła rzeczy niewyobrażalnych, jakich nie życzyłbym nikomu, nawet komuś, kto kłamie albo wymiguje się od odpowiedzi. Płacze, bo dzięki temu czuje się lepiej. Płacze, bo płacz pomaga jej leczyć rany. Płacz to normalna reakcja, to właściwa reakcja. Dużo bardziej

martwi mnie ktoś, kto nie płacze, niż taka dziewczyna jak ona. Nie chcę się o ciebie martwić, Ansonie, ale się martwię.

– Nic mi nie jest.

– Cóż... – Doktor Oglesby wstał i przeszedł na drugą stronę biurka. Wysunął lewą górną szufladę i wyjął z niej plastikową torebkę strunową. Były na niej jakieś napisy, ale nie mogłem ich odczytać. W torebce znajdował się mój nóż myśliwski.

Położył torebkę na biurku między nami, a potem wrócił na krzesło po mojej stronie. Dźgnął piórem torebkę, nieco ją przesuwając.

– Niebrzydki nóż. Dostałeś go od ojca?

– Tak.

– Na pewno chciałbyś go dostać z powrotem.

– Tak.

– A co, gdybym go sobie zatrzymał? Albo wyrzucił do śmieci? Mógłbym też podarować go komuś z personelu. Szkoda zmarnować taki porządny nóż.

– On nie należy do pana.

– Nie? A ja myślę, że tak. W tej chwili to ja jestem w jego posiadaniu, więc tak jakby do mnie należał, przynajmniej tymczasowo. Policjanci dali mi ten nóż na przechowanie. Nóż to rodzaj broni. Nie jestem pewien, czy taki chłopiec jak ty powinien posiadać broń.

Nie odrywałem od niego wzroku.

Chciałem popatrzeć na nóż, ale jednocześnie wiedziałem, że on tego właśnie chce. Nie zamierzałem robić tego, co on chciał, o nie.

Jeszcze raz szturchnął torebkę, po czym oparł się wygodnie.

– Gdybym oddał ci ten nóż, to jak myślisz, co byś z nim zrobił? Powinienem się czuć zagrożony? Czy mój personel byłby bezpieczny? Co z takim nożem mógłby zrobić chłopiec, który nie płacze?

W przezroczystej torebce czegoś brakowało, czegoś, o co z całych sił chciałem go spytać, ale wiedziałem, że nie mogę. W kieszeni miałem też wcześniej zdjęcie matki i pani Carter. Gdzie się ono podziało?

Wyobrażałem sobie doktora Oglesby'ego, jak siedzi z tym zdjęciem po ciemku, przygląda mu się uważnie, a w głowie ma pełno brudnych myśli. Brudnych myśli, które wytarłby zapewne znoszonym swetrem w romby.

Tak nie może być.

Tak zdecydowanie nie może być.

Spojrzałem na nóż.

– Dobrze się sprawdza jako śrubokręt, używam go też do otwierania pudeł. Czasem obieram korę z pni starych drzew albo wydłubuję kamyki z bieżnika opon w samochodach matki i ojca. Składany nóż to użyteczne narzędzie, warto mieć go pod ręką, ale jeśli woli pan na razie zatrzymać mój nóż, jeśli ma się pan czuć spokojniej, to proszę bardzo.

Doktor Oglesby się uśmiechnął.

– Cieszę się, że wyrażasz zgodę, Ansonie. Poza tym masz stuprocentową rację. Kiedy byłem w twoim wieku, miałem scyzoryk. Zawsze nosiłem go w kieszeni.

Ojciec powiedział mi kiedyś, że scyzoryki to szajs, nieporęczne i przeładowane niepotrzebnym badziewiem. Prawdziwemu mężczyźnie wystarczy nóż. Jeśli mężczyzna potrzebuje nosić w kieszeni korkociąg, nożyczki i metalową wykałaczkę, to znaczy, że jest niezaradny. To tacy mężczyźni płaczą. Brudny Harry nigdy by nie nosił w kieszeni scyzoryka. Zachowałem to jednak dla siebie, bo doktorek wydawał się zadowolony z mojej odpowiedzi.

Doktor podrapał się po nosie, przyjrzał się palcu, a potem gestem głowy wskazał na biurko.

– Wiesz co? Zanim policjanci oddali mi nóż, poddali go różnym testom. Nie wiem, czego konkretnie szukali, ale z jakiegoś powodu czuli potrzebę dokładnego sprawdzenia ostrza.

Pomyślałem o panu Carterze, o jego ostatniej wizycie nad jeziorem. Ojciec pociął go na kawałeczki, elegancko pozawijał w plastik i powierzył mi zadanie posłania tych kawałeczków na dno jeziora. Zanim wrzuciłem je do wody, naciąłem każdy pakunek nożem i obciążyłem kamieniami. Niech ryby posmakują, jaka uczta je czeka, powiedział ojciec.

– Wiesz, co się okazało, Ansonie? – Zaczął sięgać po okulary, ale zmienił zdanie i zamiast tego pochylił się do przodu. – Nóż został wyszorowany do czysta i dokładnie wymyty chlorem. Był jak nowy. Skoro używałeś go tylko do otwierania pudeł, wydłubywania kamieni, obierania kory i wykręcania śrub, to wydaje mi się dziwne, że musiałeś mu zafundować kąpiel w wybielaczu. Podejrzewam, że policję też to zastanowiło.

– Lubię utrzymywać ostrze w czystości.

Nie odpowiedział, milczał przez dłuższą chwilę, aż w końcu rzucił:

– Tak, pewnie rzeczywiście lubisz.

Dziesięć minut później wyszliśmy z gabinetu i odprowadził mnie korytarzem z powrotem do mojego pokoju.

Siostra Gilman, jedna z pielęgniarek, zawsze się do mnie uśmiechała, kiedy lekarz prowadził mnie obok dyżurki. Dzisiaj odwzajemniłem uśmiech, a potem schyliłem się, żeby poprawić kapeć – był za duży i stopa czasem mi się wysuwała.

102

CLAIR

Dzień czwarty, 8.28

Kloz miał rację, głupi sukinynek.

Do tej pory znalazł już osiem nekrologów pracowników szpitala imienia Johna H. Strogera Jr., jak dotąd całych i zdrowych.

Kiedy trafiał na kolejną osobę, Clair we współpracy z działem kadr szpitala kontaktowała się z danym pracownikiem, informowała, o co chodzi, i wysyłała radiowóz.

Większość nocy zajęło jej zebranie wszystkich w szpitalu. Zabroniła im czegokolwiek ze sobą przywozić: żadnego jedzenia, kosmetyków, książek, telefonów, żadnych przedmiotów osobistych poza ubraniami, które mieli na sobie. Wszystko mieli dostać na miejscu. Tym, którzy mieli rodziny, kazała je też zabrać. Nikomu nie było wolno nawet zadzwonić, ani przed wyjściem z domu, ani po dotarciu na miejsce.

Zebrała wszystkich tutaj, w stołówce szpitalnej.

Byli wkurzeni.

Szybko zaczęli niemal chodzić po ścianach. Większość personelu nie mogła się doczekać początku swojej zmiany, żeby móc stąd wyjść. Współmałżonkowie i dzieci mieli gorzej, ale cóż, to było najsensowniejsze rozwiązanie. Stołówka znajdowała się na środku szpitala, łatwo było jej pilnować. Mieli pod dostatkiem

jedzenia. Clair nie pomieściłaby tylu osób w żadnym z tajnych mieszkań należących do policji, nawet w kilku z nich. Nie dysponowali takimi zasobami.

Nash wszedł przez drzwi na drugim końcu pomieszczenia, zauważył Clair i ruszył w jej stronę przez stołówkę, która zaczynała powoli przypominać obóz uchodźców.

– Zidentyfikowaliśmy chłopca z furgonetki – powiedział. – Nazywał się Wesley Hartzler. Świadek Jehowy. Zaginął wczoraj. Rano poszedł na zebranie w zborze, a potem wszyscy głosiciele rozeszli się po mieście.

– Wiadomo, dokąd poszedł?

Nash pokręcił głową.

– Nikt tam nie ustala żadnego planu ani nic w tym stylu. Zdaje się, że to całkowicie niezorganizowane. Wychodzą ze zboru i każdy idzie w swoją stronę.

– Był sam?

– Dobrał się w parę z jakąś dziewczyną, Kati Quigley. Właśnie rozmawiałem z jej matką. Dziewczyna też zaginęła. Uruchomiliśmy system alarmowy. Poprosiłem rodziców obojga, żeby przyjechali tutaj złożyć zeznania. Stwierdziłem, że tak będzie szybciej. Jest coś jeszcze – dodał. – Easley mówi, że przyczyną śmierci chłopaka był uraz głowy na skutek uderzenia tępym narzędziem. Brak wody w płucach.

– Czyli nie był torturowany?

– Myślę, że napatoczył się przypadkiem, więc sprawca go wyeliminował, a dziewczynę sobie zostawił.

Clair otworzyła aplikację z notatkami i przejrzała listę nazwisk od Kloza.

– Nie mamy nekrologów na nazwiska Quigley ani Hartzler.

Nash wzruszył ramionami.

– Może oboje się napatoczyli. To Świadkowie Jehowy, zapukali z nienacka do drzwi, zaskoczyli sprawcę, zobaczyli coś, czego nie powinni... – Nie dokończył, ale Clair wiedziała, do czego zmierza. Rozejrzała się po stołówce. Spośród ósemki potencjalnych ofiar wskazanych przez Kloza czworo miało dzieci. Żadnego nie brakowało, wszystkie były tu, na miejscu.

Nash podążył za jej spojrzeniem.

– Jeśli ją uprowadził, to dlatego, że akurat była pod ręką, a nie dlatego, że przez nas nie miał dostępu do jednego z tych dzieciaków. Skoro znaleźliśmy ciało chłopaka, a jej nie, to pewnie jeszcze żyje.

– Może torturuje ją właśnie w tej chwili.

– Jesteśmy już coraz bliżej.

– Byli pieszo? Wyślij mundurowych do punktu wyjścia i niech chodzą po domach. Tylko koniecznie każ im chodzić parami, nie chciałabym, żeby ktoś w pojedynkę trafił na Bishopa albo tego drugiego.

– Już to zrobiłem. Zadzwoiłem do centrali zaraz po rozmowie z Eisleyem. Zaraz tam jadę.

Clair skinęła głową i wybrała numer agenta Poole'a.

Tysiąc sto trzydzieści dwa kilometry od Chicago agent specjalny Poole odebrał telefon po drugim sygnale. Clair powiedziała mu o Wesleyu Hartzlerze, zawiadomiła też, że namierzyli wszystkie potencjalne ofiary Bishopa i bez problemów przenieśli do szpitala.

– Po rozmowie ze mną zadzwoń do agenta dowodzącego Hurlessa. To mój zwierzchnik. Zapoznaj go ze sprawą. Załatwi ci więcej ludzi do tego chodzenia po domach – powiedział Poole.

Clair czuła na sobie wzrok osób zebranych w stołówce, jakby każdy jej ruch rejestrowały dziesiątki par oczu, które znalazły się tu przez nią. Minęła dwóch funkcjonariuszy stojących pod drzwiami i wyszła na korytarz.

– Pokrzyżowaliśmy Bishopowi szyki. Będzie się mścił.

– Przestań o tym myśleć. Musisz się skupić na tym, żeby zapewnić tym ludziom bezpieczeństwo. Znajdziemy go. – Poole chyba przekładał jakieś papiery. Zniżył głos. – Mam tu w tym jeziorze jeszcze pięć ciał. Możliwe, że także szóste. Poćwiartowane. Kawałki zapakowane w plastikowe torby i obciążone kamieniami, gnijące w wodzie.

– Jezu.

– Mam też pamiętnik. Porter mi go zostawił. – Znowu szelest kartek. – Skrzynka na listy na posesji sąsiadującej z jeziorem była podpisana „Bishop”. Jestem właśnie w biurze rzeczoznawcy majątkowego hrabstwa, przeglądam kartoteki nieruchomości.

– Parę miesięcy temu też szukaliśmy, ale odbiliśmy się od ściany – powiedziała Clair. – Nie ma bazy danych dla całego kraju, więc typowaliśmy prawdopodobne hrabstwa. Kartoteki elektroniczne nie sięgają zbyt daleko w przeszłość, a Bishopów jest na pęczki. Zresztą ograniczyliśmy się do Illinois i sąsiednich stanów. Do głowy by nam nie przyszło sprawdzać Karolinę Południową.

– No cóż, czasem trzeba pogrzebać w tradycyjnych papie... – urwał nagle.

– Znalazłeś coś?

Bez odpowiedzi.

– Poole?

– Czy Sam ma jakikolwiek związek z Karoliną Południową?

– Eee... Zdaje się, że jako młodziak służył jakiś czas w Charleston, potem się przeniósł do Chicago. A czemu?

– W którym roku przeprowadził się do Chicago?

– Dlaczego pytasz?

Poole westchnął ciężko.

– Posesja nad jeziorem i oba domy na jej terenie są zapisane na jego nazwisko.

103

GABBY

Dzień czwarty, 8.49

Gabby Deegan wysiadła z autobusu linii 57 na West Roosevelt i przeszła trzy przecznice do szkoły jazdy Designated Driver, dwa razy niemal przewracając się na śliskim chodniku.

Budynek nie był zbyt duży, przysadzisty klocek z płaskim dachem, a wokół niego stało kilka małych białych hatchbacków obklejonych logo Designated Driver oraz jaskrawoczerwonymi napisami „NAUKA JAZDY” pokrywającymi każdy skrawek wolnego miejsca. Samochody były zasypane śniegiem, na przymusowym urlopie z powodu warunków atmosferycznych.

Gabby otworzyła drzwi, walcząc z porywistym wiatrem, i wślizgnęła się do środka. Kobieta po pięćdziesiątce uniosła wzrok znad „Chicago Tribune” i spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Dzisiaj mamy zamknięte. Przyszłam tylko nadrobić zaległości w papierkach. Mogę cię umówić na przyszły tydzień, może ta pogoda wreszcie się poprawi.

Gabby zdjęła czapkę i rękawiczki i podeszła do lady. W powietrzu unosiła się woń przypalanej kawy.

– Właściwie to nie przyszłam się umówić.

Kobieta skrzywiła się z niezadowoleniem i wróciła do lektury.

– Niczego nie kupujemy.

– Moja koleżanka była chyba u państwa kilka dni temu. Próbuje ją znaleźć. – Załadowała zdjęcie Lili Davies i pokazała kobiecie wyświetlacz telefonu.

Kobieta spojrzała jej w oczy i przez sekundę Gabby myślała, że każe jej się wynosić. Potem jednak odłożyła gazetę i spojrzała na telefon.

– Ładna panienka, wygląda jakoś znajomo. – Sięgnęła po telefon i przysunęła go sobie do twarzy, mrużąc oczy. – Nie wiem, jak wy dajecie radę z tymi małutkimi komórkami. Moja jest prawie jak tablet.

– Była tu pewnie w tym tygodniu.

Kobieta przechyliła głowę i zerknęła na gazetę, po czym oddała Gabby telefon, znowu wyraźnie zła.

– Nie wiem, co za komedię odstawiasz, ale wcale mnie to nie bawi.

– Ja nie...

Kobieta wzięła do ręki gazetę i położyła ją na ladzie przed Gabby, tak że na wierzchu była pierwsza strona.

– Powinam zadzwonić na policję.

Gabby spojrzała na najnowsze wydanie „Tribune”. Na pierwszej stronie wydrukowano zdjęcie Lili oraz dwóch innych dziewczyn, których nie знаła. Był też jakiś chłopak. Nagłówek głosił: „TRZECIE ZABÓJSTWO, KOLEJNE ZAGINIĘCIE. POLICJA NIC NIE WIE”.

– Była tutaj?

– Oczywiście, że nie. Zapamiętałabym coś takiego. Tylko spróbuj rozpowiadać, że była, to nasi prawnicy skontaktują się z twoimi rodzicami.

Gabby chciała drażyć, nawrzeszczyć na tę kobietę, kazać jej sprawdzić w systemie, ale się powstrzymała. W oko wpadł jej stosik wizytówek leżący na ladzie. Wzięła jedną, włożyła czapkę i rękawiczki i wyszła z powrotem na mróz i śnieg.

Na dworze znalazła w telefonie zdjęcie, które wysłała jej Lili. Powiększyła obraz i zbliżyła na iPada w ręce Lili z wiadomością o wygranej, potem zerknęła na wizytówkę i na sam budynek.

Numer telefonu na wizytówce, na budynku, nawet na samochodach kończył się na 0000. Ten na iPadzie Lili, pod który kazano jej zadzwonić, żeby odebrać nagrodę, był całkowicie inny, nawet kierunkowy się nie zgadzał.

Gabby wstukała numer, który podano Lili, i mocno przycisnęła telefon do ucha, żeby odciąć świszczący wiatr. Połączenie odebrano po piątym sygnale. Gabby widziała kobietę za ladą, która nadal spokojnie czytała gazetę.

– Szkoła jazdy Designated Driver, czym mogę służyć? – W słuchawce odezwał się szorstki męski głos. Miał problemy z wymówieniem głoski „s”.

104

POOLE

Dzień czwarty, 8.50

– Nie chciałam podsłuchiwać rozmowy, ale podsłuchałam, więc muszę zapytać: kto to jest Sam?

Hana Banister siedziała na taborecie po drugiej stronie stołu zastawionego pudłami na akta. Kilkakrotnie przepraszała go za brak komputerowych kartotek. Hrabstwo było małe, budżet jeszcze mniejszy, a za każdym razem, kiedy problem wypływał, pojawiała się jakaś pilniejsza potrzeba i odrzucano plan wprowadzenia danych archiwalnych do obecnego systemu, który obejmował zaledwie kilka lat.

Przed Poole'em leżał schludny stos aktów własności nieruchomości, nazwisko Portera gapiło się na niego z kartki.

– Detektyw Sam Porter z policji Chicago. Do niedawna był szefem specjalnej grupy śledczej zajmującej się sprawą 4MK.

– Czemu do niedawna? Co się stało?

Poole nie mógł jej powiedzieć, przynajmniej na razie. Nie był jeszcze pewny, z czym właściwie ma do czynienia.

– Zaczął traktować sprawę zbyt osobiście, brał rzeczy do siebie. – Poole skończył przeglądać pudło z aktami i odsunął je na bok. – Nie widzę jego nazwiska nigdzie poza tą konkretną nieruchomością.

Banister przeciągnęła się na krześle i stłumiła ziewnięcie.

– Nazwisko Porter z niczym mi się nie kojarzy, a mieszkam tu od urodzenia. Dosłownie, urodziłam się w szpitalu przy tej ulicy. To bardzo zwarta, zżyta społeczność, głównie rolnicy. Przez te lata kilka rodzin sprzedawało działki deweloperom, ale wydaje mi się, że znam ich tu wszystkich dość dobrze. Jasne, zdarzają się głupie wyskoki nastolatków, ale głównie dlatego, że młodzi nie mają tu wiele do roboty. Ostatnie zabójstwo mieliśmy tutaj prawie sześć lat temu, kiedy żona Edisona Lindleya postanowiła samodzielnie wymierzyć sprawiedliwość i ukarać męża za cudzołóstwo przy użyciu czubatej łyżki arseniku w zupie. Sama zgłosiła zabójstwo na policję i czekała na mnie na ganku ze szklanką lemoniady. Nie nazwałabym tego zbrodnią stulecia.

– Wspominała pani o deweloperach – powiedział Poole. – Mówi coś pani nazwisko Arthur Talbot albo firma Talbot Enterprises?

– Kojarzę, ale tylko z wiadomości. Źle skończył, co za koszmarna historia. Gdyby upatrzył sobie jakieś nieruchomości u nas, coś bym o tym słyszała. Zwykle omawiamy w ratuszu sprzedaż nieruchomości przed ogłoszeniem raportu o przestępczości. – Banister uniosła nad głowę teczkę w formacie A4. – Mam.

– Co?

– Raport z pożaru, w którym spalił się tamten dom.

Otworzyła teczkę na stole i zaczęła przerzucać zawartość.

– Sierpień, dziewięćdziesiąty piąty rok. Na długo przed moimi czasami. Od razu stwierdzono podpalenie. Raport sporządził Tom Langlin. Jest na emeryturze, ale nadal mieszka w okolicy. Mogę pana do niego zawieźć, jeśli będzie trzeba. Tu jest napisane, że cała okolica śmierdziała benzyną. Kiedy strażacy dotarli na miejsce, z domu już nic nie zostało. W środku znaleźli trzy ciała, wszystkie płci męskiej. Z powodu stanu, w jakim znajdowały się zwłoki po pożarze, nie udało się ustalić przyczyny śmierci. Przeżyła jedna osoba, niejaki Anson Bishop, lat dwanaście. Łowił ryby nad jeziorem i wrócił, kiedy zauważył dym. Jednym ze spalonych mężczyzn był prawdopodobnie jego ojciec. O podłożenie ognia podejrzewano matkę, zdaje się, że zniknęła. Publikowano jej

dane w mediach, ale nie udało się jej namierzyć. Przyczepę za domem wynajmowali Simon i Lisa Carterowie. Oni też zniknęli po pożarze i nigdy się nie znaleźli. Chłopak trafił do ośrodka terapeutycznego Camden, niedaleko stąd.

– Mogę zobaczyć?

Podawała mu akta.

Zadzwoił telefon. Poole odebrał i od razu włączył głośnik.

– Frank? Mówi Granger. Właśnie rozmawiałem z Hurlessem, przedstawiłem mu sytuację. Ciągłe przeszukują wodę, ale wydaje mi się, że już wszystkich znaleźliśmy. Pięć ciał w całości i przynajmniej jedno rozczłonkowane w workach. Co prawda worków jest za mało na więcej niż jedno ciało, ale niewykluczone, że szczątki pochodzą z różnych źródeł. Będziemy mieć pewność, dopiero kiedy zajmie się tym koroner. Kazałem wszystko przewieźć do Charlotte, tam jest najbliższe laboratorium FBI.

– Dzięki. Dawaj znać, czego się dowiesz. Jeśli nie będziesz mógł mnie złapać, kontaktuj się z Hurlessem.

– Jestem teraz znów w tamtym domu, a raczej w tym, co z niego zostało. Ewidentne podpalenie. Moi ludzie próbowali wyciągnąć jakieś dokumenty, ale nie mogą nic znaleźć.

– Mam te akta przed sobą. Poproszę, żeby ktoś z biura szeryfa zeskanował je i ci przesłał.

– Co tam wyczytałeś?

Poole powtórzył wszystko, co powiedziała mu Banister.

– Przyczepa przetrwała pożar i wygląda na to, że ktoś niedawno tam był. Sypialnia na tyłach jest splądrowana, ktoś przesunął łóżko, zerwał podłogę. Znaleźliśmy plecak z ubraniami, trochę sprzętu kempingowego. Wszystko porzucane, ktoś czegoś szukał.

Poole spojrzał na pamiętnik leżący na stole.

– Sądzę, że to detektyw Porter.

– Trudno powiedzieć, czy znalazł to, czego chciał. To też wysyłamy do Charlotte. Porobimy zdjęcia. Spróbuję załatwić ciężki sprzęt, żeby przeszukać

gruzowisko. Minęło już trochę czasu, ale może znajdziemy jakiś związek z tymi ciałami z jeziora.

Telefon Poole'a zawibrował na stole. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko.

– Mam Hurlessa na drugiej linii. Muszę lecieć. Informuj mnie na bieżąco.

– Jasne.

Poole nacisnął kciukiem wyświetlacz i odebrał drugie połączenie.

– Agent Poole.

– Frank, chyba coś mamy. Musisz zaraz znowu wsiadać w samolot.

– O co chodzi?

– Miałeś rację z tymi strażnikami w więzieniu Stateville. Rozmawiałem z naczelnikiem. Mamy strażnika, którego podejrzewali o przekazywanie informacji Libby McInley, ale nic mu nie udowodnili, więc nie postawili mu żadnych zarzutów. Niedługo po całej sprawie przeniósł się do innego zakładu. Zgadnij, gdzie teraz jest?

– Gdzie?

– W Nowym Orleanie.

„Telefon Portera”.

– No to mamy związek z Porterem. Są jakieś dowody, że się znają albo kiedykolwiek razem pracowali?

– Na razie nie, ale dopiero się o tym dowiedziałem. Zaraz zlecę ludziom, żeby zaczęli szukać – powiedział Hurless. – Facet nazywa się Vincent Weidner. Jest teraz w pracy, ma zmianę do szesnastej. Musisz tam lecieć. Naczelnik obiecał, że spróbuje go jakoś zatrzymać na terenie zakładu nawet po zakończeniu zmiany, jeśli będzie trzeba. Nic mu nie powiedzą, dopóki nie przyjedziesz, nie chcemy go uprzedzać. Granger mówił mi, co znaleźliście w jeziorze. Musimy się dowiedzieć, co ten strażnik wie, i dorwać Portera. Jest w to umoczony po uszy.

Poole powiedział mu o aktach nieruchomości.

– Bierz się za niego. Tylko żeby nic się nie przedostało do mediów. Nie chcę, żeby zaczęli zmyślać jakieś niestworzone historie.

– Tak jest.

– Rozmawiałem też z detektywem Norton. Wysłałem jej cztery zespoły do pomocy, są już w drodze. Przedzwonię też do zwierzchnika Portera, kapitan powinien wiedzieć, co się dzieje. Jesteśmy blisko, Frank.

– Tak jest.

Hurless się rozłączył. Poole spojrzał na szeryfkę Banister.

– Może mnie pani podrzucić na lotnisko w Greenville? – Kiwnęła głową. Porter podał jej wizytówkę. – Jeśli dowie się pani czegoś jeszcze, proszę zadzwonić do mnie albo do agenta dowodzącego Hurlessa. Jego numer jest na odwrocie. I proszę też jak najszybciej przesłać te dokumenty Grangerowi.

Zgarnął pamiętnik i ruszył do drzwi. Przeczyta w samolocie.

105

PAMIĘTNIK

Siedem minut po trzeciej w nocy.

Leżę bezsennie.

Dziewczyna dwa pokoje dalej znowu płacze, ryczy jak opętana.

Gapię się w sufit.

Mój nóż zapewne leży znów w szufladzie biurka doktora Oglesby'ego.

Razem ze zdjęciem?

Tego nie byłem pewny. Domyślałem się, że Oglesby trzyma zdjęcie przy sobie. Chciałem je zobaczyć. Kiedy zamykałem oczy, widziałem fotografię w najdrobniejszych szczegółach. Bez problemu potrafiłem przywołać obraz ciała pani Carter w skotłowanej pościeli z moją matką. Pamiętałem to tak wyraźnie jak dzień, w którym zobaczyłem ją nad jeziorem, a potem rozmowę u niej w kuchni...

„Trzęsa się.

– Chyba chciałam, żebyś mnie zobaczył. Widziałam, jak chodziłeś tam z wędką. Wiedziałam, że tam będziesz.

– Dlaczego...

– Czasami kobieta chce, żeby ktoś jej pragnął. To wszystko. – Pociągnęła kolejny łyk. – Myślisz, że jestem ładna?”

Tak, uważałem ją za ładną.

Chciałem odzyskać to zdjęcie. Na myśl, że doktor Oglesby trzyma moje zdjęcie w ręku, przygląda mu się, chłonie ten obraz, robiło mi się niedobrze. Ta fotografia nie była przeznaczona dla jego oczu. Pod żadnym pozorem.

Głośny szloch. Stłumiony krzyk.

Buty siostry Gilman stukające na kafelkach podłogi.

Będzie pocieszała dziewczynę. To się zaczynało powtarzać. Długie płkanie, odgłos kroków siostry Gilman, otwarcie drzwi do pokoju dziewczyny, potem coraz bardziej stłumione szlochy i w końcu cisza.

Obracałem w dłoniach spinacz do papieru, pod kołdrą, z uwagi na kamerę, która z pewnością obserwowała mnie z szybu wentylacyjnego.

Podniosłem spinacz z podłogi, kiedy schyliłem się, żeby poprawić kapeć. Nie wiem, kto go zgubił, i nic mnie to nie obchodziło – liczyło się tylko to, że teraz to ja go miałem. Wiedziałem, że będę mógł go użyć jako wytrychu do zamka w moim pokoju, i zamierzałem to zrobić, kiedy nadejdzie czas. Jeszcze nie nadszedł.

Znowu stłumiony szloch z niedalekiego pokoju, a potem cisza.

Jak ona wygląda?

Ile ma lat?

Co jej się stało?

Prawie widziałem ją w wyobraźni. Siostra Gilman obejmująca tę kruchą istotkę w skotłowanej pościeli, dwie kobiety...

Nie mogłem stąd odejść bez tego zdjęcia. Nie mogłem odejść bez mojego noża.

Będę musiał to zrobić nocą.

Nocą było najmniej personelu.

Nocą nigdy nie słyszałem na korytarzu więcej niż dwóch pielęgniarek, czasem tylko jedną, no ale oczywiście trzeba było jeszcze wziąć pod uwagę strażnika na końcu korytarza. Musiałbym wydostać się z pokoju, przejść korytarzem obok dyżurki pielęgniarek do gabinetu doktora, otworzyć zamek (Kwikset, znacznie łatwiejszy do rozpracowania niż ten w moich drzwiach). Po wejściu do środka mógłbym odzyskać nóż.

Potrzebowałem noża.

Bez noża będę miał problem ze strażnikiem i pielęgniarkami.

Jednocześnie nie mogłem dostać się do noża, nie przechodząc obok strażnika i pielęgniarek, a to też był problem. I to niewątpliwie poważny problem.

Do tego jeszcze kamery.

Ojciec wiedziałby, co zrobić. Ojciec zawsze wiedział, co robić.

Deszcz nie ustawał, bębnił miarowo o szybę.

Światła przygasały lekko i znów się rozjaśniały.

Czy mieli agregat na wypadek awarii prądu?

Pewnie mieli.

A może nie.

A może tak.

Siostra Gilman miała sympatyczny uśmiech.

Zastanawiałem się, czy tamta dziewczyna dwa pokoje dalej kiedykolwiek się uśmiechała. Jaki miała uśmiech?

Znowu zamknąłem oczy i zacząłem rozmyślać nad korytarzem.
Ojciec znalazłby rozwiązanie.
Znajdę rozwiązanie.

106

CLAIR

Dzień czwarty, 10.12

Clair i Kłoz stali nad telefonem ustawionym na tryb głośnomówiący w malutkim gabinecie, który Kłozowski zaanektował zaraz po przybyciu do szpitala imienia Johna H. Strogera Jr. Właściwie był to po prostu nieużywany pokój zabiegowy, zastawiony od podłogi po sufit pudłami i przestarzałym sprzętem. Znajdował się jednak dość daleko od stołówki, szczęśliwie poza zasięgiem wzroku spędzonych tam ludzi.

Rozmawiali z Nashem. Clair przekazała mu, a przy okazji Kłozowi, czego dowiedziała się od Poole'a.

Nash chyba zasłonił mikrofon. Krzyknął coś, czego nie dosłyszeli, stłumione słowa, a potem wrócił do rozmowy z kolegami.

– Zdajecie sobie sprawę, że to ściema, prawda?

Kłozowski był blady jak ściana, jego twarz zdawała się niemal przezroczysta w świetle padającym z dużego ekranu laptopa.

– To musi być jakiś numer Bishopa – powiedział. – Namieszał coś w kartotekach hrabstwa.

Clair bardzo chciała w to wierzyć.

– W elektronicznych może by mógł. Ale w papierowych? Poole mówił, że musieli się z szeryfką przekopać przez paręnaście kartonów i starych szaf na akta w piwnicy ratusza, żeby to znaleźć. Nawet gdyby Bishop zdołał się tam jakoś

dostać, a w to akurat nie wątpię, to odniosłam wrażenie, że panuje tam straszny chaos, więc niby jak miałyby znaleźć oryginał i podmienić na fałszywkę?

Mózg Kloza pracował na najwyższych obrotach. Widziała to w jego oczach.

– Myślę, że to byłoby jeszcze trudniejsze. Zastanów się chwilę: papierowe akta. Musiałyby się włamać dwa razy. Najpierw żeby ukraść pierwotny dokument, a potem żeby go zastąpić podrobionym. Potrzebowałyby czasu, żeby wszystko dokładnie skopiować: czcionkę, format, rodzaj papieru... Elektroniczne bazy danych to łatwizna: włamujesz się, parę kliknięć i po robocie. Papier to wyższa szkoła jazdy.

– Ale nie niemożliwe – stwierdził Nash.

– Dobra, skupmy się – powiedziała Clair. – Nie możemy się rozpraszać. Jakież wieści z poszukiwań?

– Odhaczyliśmy już cztery kwartały domów. Razem z federalnymi mamy tam sporo ludzi, ale przy tej pogodzie strasznie wolno to idzie – odparł Nash. Clair zwróciła się do Kloza:

– Znalazłeś jeszcze kogoś w nekrologach?

Kloz westchnął, wziął do ręki długopis, zaczął go turlać między palcami i przeniósł wzrok na ekran komputera.

– Potrzebuję więcej danych.

– Załatwiłam ci dane. Szpital dał ci dostęp do całej bazy pracowników

– Owszem, dużo mi to dało – przytaknął Kloz. – Znalazłem osiem potencjalnych ofiar na podstawie danych z nekrologów, które podesłały nam z kolei wszystkie lokalne gazety. Wszyscy są teraz w obozie koczowniczym, który urządziłaś w stołówce. Tyle że problem polega na czymś innym. Spośród trzech dorosłych ofiar, czyli Reynoldsa, Daviesa i Biel, tylko Davies był faktycznie zatrudniony w szpitalu. Reynolds był agentem ubezpieczeniowym UniMed America Healthcare, a Darlene Biel przedstawicielką handlową firmy farmaceutycznej. Szpital nie dysponuje nazwiskami pracowników wszystkich podmiotów współpracujących.

– No to je zdobądźmy – powiedziała Clair.

Kloz pstryknął palcami.

– Tak po prostu? Wiesz, z iloma podmiotami współpracuje szpital takiej wielkości?

– Nie mamy czasu na zabawę w zgaduj-zgadulę, Kloz.

– Ta liczba to dwieście trzydzieści trzy – oznajmił. – Zdobyłem listę jakieś dwadzieścia minut temu i moi ludzie na komendzie próbują się z wszystkimi skontaktować, ale trochę to potrwa.

– Czyli znalazłeś osiem potencjalnych ofiar zatrudnionych w szpitalu, ale skoro dwie z trzech dotychczasowych ofiar pracowały poza tym budynkiem, to może oznaczać, że zbiór jest znacznie większy?

Kloz powoli pokiwał głową.

– To właśnie mam na myśli. Ochroniamy osiem rodzin, ale to nie powstrzyma ani Bishopa, ani tego drugiego, ani ich obu. Machną ręką i wezmą się za następną osobę z listy.

Clair patrzyła na monitor laptopa.

– To wszyscy?

– Wszyscy, których znaleźliśmy do tej pory, zgadza się.

Przestudiowała listę.

– Myślę... Myślę, że powinniśmy się skupić na mniejszym wycinku, przyjrzeć się temu, co mamy, a nie temu, czego brakuje. Bishop wybrał tych ludzi nieprzypadkowo. Coś musi ich łączyć.

– Przecież tak właśnie tu trafiliśmy – przypomniał jej Kloz. – Wszyscy pracują w służbie zdrowia.

– No tak, ale czym dokładnie się zajmują? Co ich łączy? Jest jakiś wspólny element, po prostu go nie zauważamy.

Kloz zaczął długopisem wyliczać na palcach profesje dotychczasowych i potencjalnych ofiar.

– Agent ubezpieczeniowy, onkolog, przedstawicielka handlowa, technik od rentgena, technik od rezonansu, dwie pielęgniarki, chirurg, pielęgniarka

chirurgiczna, sekretarka i recepcjonistka z izby przyjęć na parterze. Widzisz jakiś wzór? Bo ja jestem w tym niezły, a widzę tylko chaos.

Clair wyjęła Klozowi długopis z ręki i położyła go na prowizorycznym biurku.

– Nadal nie rozumiem, co ci ludzie mogą mieć wspólnego z tym, co zrobił ich dzieciom, czemu je tak topił. Jest tu jeszcze jakiś drugi wątek.

– To musi być zemsta za coś, co zrobili ci rodzice, coś, czego nie widzimy – powiedział Nash z głośnika. – Karać dzieci za błędy rodziców to stara zasada Bishopa.

Zadzwoiła komórka. Clair wyszarpnęła telefon z kieszeni.

– Sophie Rodriguez. – Nacisnęła „odbierz”. – Sophie? Jesteś na głośniku. Jestem tu z Klozem, na drugiej linii mamy Nasha.

Kobieta dyszała, z trudem łapała powietrze.

– Gdzie jesteście? Musimy porozmawiać. Chodzi o Gabrielle Deegan.

107

POOLE

Dzień czwarty, 12.58

Lot z Greenville do Nowego Orleanu trwał nieco ponad trzy godziny. Nad Alabamą Gulfstream IV wpadł w turbulencje, można było odnieść wrażenie, że spadnie na ziemię jak kamień. Mały odrzutowiec wydawał odgłosy, jakich nikt nie chciałby usłyszeć w samolocie: skrzypiał, jęczał i rzeził. Chociaż Poole często latał, nawet on straciłby zimną krew, gdyby tylko zauważył, że coś się dzieje. Ale nie zwrócił uwagi. Przez cały lot był całkowicie zaabsorbowany lekturą pamiętnika Bishopa.

Poole pożarł treść notatnika, każdą kolejną stronę przewracał jeszcze szybciej niż poprzednią, a kiedy dotarł do końca, zaczął wracać do stron, którym pozaginał rogi, tych zawierających szczegóły dotyczące nieruchomości w Karolinie Południowej, działki, jeziora oraz konstrukcji domu i przyczepy. Pozaznaczał również fragmenty dotyczące rodziców Bishopa.

Prawie wszystkie strony miał teraz pozaznaczane.

Co on miał o tym wszystkim myśleć, do jasnej cholery?

Dlaczego Porter zatrzymał sobie pamiętnik?

Dlaczego tak naprawdę go zatrzymał?

„Nie można bawić się w Boga, nie zadając się przy tym z szatanem”.

Sentencja wdarła się do umysłu Poole’a z szybkością i impetem pociągu towarowego.

Jak głęboko Porter był gotów zabrnąć?

Większość pamiętnika brzmiała wiarygodnie, ale coś było nie tak. Nie chodziło tylko o nieistotne szczegóły, jak korodujący na podjeździe volkswagen zamiast opisanego tu porsche czy przyczepa na tyłach zamiast domu, który według Bishopa należał do sąsiadów, Carterów. Coś jeszcze nie grało, na głębszym poziomie. Cały ten tekst czytało się trochę jak baśń, napisany był w stylu staroświeckich opowiastek o rozrabiakach, który zacierał granicę między faktami a misternie skonstruowaną fikcją. Gdzieś w tym rozmytym obszarze tkwiła jednak prawda, był tego pewny. To były słowa chłopca, wspomnienia dziecka, które mieszkało w tamtej okolicy, które tam żyło, na pewno częściowo o to chodziło. Świat widziany oczami dziecka znacznie się różnił od tego postrzeganego przez dorosłych i tak też został opisany. Gdyby autorem pamiętnika było dziecko, to miałoby sens. Poole jednak widział już wcześniej pismo Bishopa. Uważnie je przestudiował. Charakter pisma zmienia się z czasem, ewoluuje wraz z wiekiem danej osoby. Jego korzenie sięgają oczywiście dzieciństwa, ale w miarę jak dorastamy, jedne elementy się wyostrajają, inne zaś mięknią. Pismo dziecka zawsze ma w sobie jakąś delikatność, niepewność, mózg musi sobie przypomnieć, jak powinna wyglądać dana litera czy słowo, zanim przelejemy je na papier. Z wiekiem to zjawisko zanika i czerpiemy raczej z podświadomości. Pismo dziecka, choć może się wydawać niechlujne, jest zwykle dokładnie przemyślane, uważne, nieśpieszne, natomiast jako dorośli pędzimy przez kolejne słowa, idziemy na skróty. W akademii FBI w Quantico Poole odbył całą serię kursów grafologicznych i przekonał się, że najbardziej widoczną różnicą była zawsze ta między pismem dziecka a pismem dorosłego.

Język pamiętnika, dobór słów, sposób opowiadania historii – to niewątpliwie było dzieło dziecka, a jednocześnie charakter pisma wyraźnie należał do dorosłego. Poole mógłby dać głowę, że gdyby zestawiał pamiętnik ze świeżymi próbkami pisma Bishopa, uzyskałby ostateczne potwierdzenie. Bishop napisał to

niedawno. Całość, nie tylko pierwszą stronę, na której drażnił się z policją, a mimo to próbował nadać swoim wspomnieniom typowo dziecięce brzmienie.

Ta myśl, ta jedna myśl, kazała mu wątpić we wszystko, co czytał.

Poole nie miał najmniejszej wątpliwości, że w znacznej części treść była prawdziwa.

Uważał też jednak, że niektóre fragmenty na pewno prawdą nie były.

Bishop nie napisał tego tylko po to, żeby opowiedzieć historię. Napisał ten pamiętnik, żeby kontrolować narrację, zasiał ziarno w umysłach czytelników, igrać z tymi, którzy próbowali go wytropić. Ze wszystkiego, co przeczytał, tylko jedno wiedział na pewno – rozczłonkowane zwłoki wyłowione z jeziora należały najprawdopodobniej do Simona Cartera. Ale skąd jego ciało się tam wzięło i kto tak naprawdę go zabił? W tych kwestiach nie można było polegać na pamiętniku, a wyłącznie na dowodach, które z czasem zostaną odkryte.

Tekst nie wyjaśniał, skąd w jeziorze wzięło się jeszcze pięć innych ciał, nie zawierał wiarygodnego wytłumaczenia, jeśli chodzi o zwłoki znalezione w domu, nie mówił też nic o pożarze. Bishop zawarł w pamiętniku jedynie te wyjaśnienia, w które mieli uwierzyć – niebezpiecznie byłoby dać mu się prowadzić za rękę. Poole nie zamierzał dać się nabrać.

Uważał, że do pamiętnika powinno się podejść z zupełnie innej strony. Powinno się go potraktować jako listę rzeczy, w które Bishop chciał, żeby uwierzyli, niezależnie od ich związku z rzeczywistością. Do prawdy doprowadzi ich nie sam pamiętnik, a zrozumienie, dlaczego Bishop chciał zakomunikować im akurat te fakty.

Poole przetarł oczy i wyjrzał przez okienko samolotu. Przed jego oczami chmury ustąpiły miejsca zieleni, drogi i budynki nabrały kształtu, w polu widzenia pojawiło się lotnisko, a zaraz potem pas do lądowania. Koła podwozia dotknęły asfaltu z leciutkim drganiem, ledwie wyczuwalnym, niedającym się porównać z gwałtownymi wstrząsami sprzed zaledwie kilku godzin.

Kiedy kołowali w stronę hangaru FBI na północnym krańcu lotniska, z małego parkingu przy budynku wyjechał biały SUV – jego transport do

więzienia.

Poole zabrał pamiętnik i otworzył drzwiczki Gulfstreama, nawet nie czekając, aż samolot się zatrzyma.

108

PAMIĘTNIK

– Odbyłem dziś rano dość interesującą rozmowę z policją. Zadzwonili do mnie. Chciałbyś się dowiedzieć, o co mnie zapytali?

Czerwone romby.

Sweter na dziś.

Doktorek jadł na śniadanie naleśniki albo gofry. Pod kołnierzykiem miał plamkę syropu. Czułem zapach cukru. Zrobiłem się głodny. Ja dostałem dziś cheeriosy z mlekiem, moje ulubione płatki, owszem, ale zdecydowanie nie tak dobre jak naleśniki czy gofry.

Tęskniłem za naleśnikami matki. Robiła przepyszne naleśniki.

– Ansonie, znowu błędzisz gdzieś myślami. Kiedy ktoś z tobą rozmawia, musisz próbować się skupić na głosie tej osoby. Patrz rozmówcy w oczy, to pomaga, postaraj się zignorować głosy w głowie.

Patrzyłem doktorowi w oczy, chociaż wcale go nie widziałem.

Mógłbym przejrzeć go na wylot, gdybym chciał, równie łatwo mógłbym zajrzeć mu do głowy i...

– Ansonie.

Czułem w powietrzu zapach syropu.

Spojrzałem mu w oczy.

Uśmiechnąłem się.

– Tak, panie doktorze?

– Chciałbyś się dowiedzieć, o co pytała mnie policja?

– Tak, panie doktorze. Bardzo bym chciał.

Zerknął do notatek.

– Dzwonił niejaki detektyw Welderman z komendy w Greenville. Powiedział, że już kilka razy jeździli porozmawiać z waszymi sąsiadami, państwem... – pogrzebał w notatkach – Carterami, Simonem i Lisą. Najwyraźniej nie wracają do domu. Policja postanowiła więc skontaktować się z pracodawcą pana Cartera i okazało się, że od

jakiegoś czasu nie pojawił się w pracy. Jego żona nie pracowała, ale wszystko wskazuje na to, że również zaginęła.

Doktor przez chwilę studiował swoje zapiski, a potem podniósł wzrok znad notatnika i spojrzał na mnie z powagą.

– Czyli mamy czworo dorosłych, w tym twoich rodziców, i wszyscy albo zaginęli, albo nie żyją. Mamy ciała trzech osób w twoim domu, spalone w okropnym pożarze, który, jak już oficjalnie ustalono, był skutkiem podpalenia. I mamy jednego chłopca, chłopca, który zdaje się nigdy nie płakać, który został sam i teraz siedzi naprzeciwko mnie w moim gabinecie. – Okulary znowu zostały zdjęte, ale tym razem bez popisówki. Po prostu zsunął je z nosa i pozwolił im opaść na klatkę piersiową. – Muszę ci powiedzieć, Ansonie, że to nie wygląda dobrze. Wygląda to bardzo źle. Policja jest bardzo zaaferowana. Chcą z tobą porozmawiać. Niezwykle im na tym zależy. Oczywiście powiedziałem im, że nie mogą. Jesteś małoletnim pod moją pieczę, a ja nie mógłbym narazić cię na coś takiego. – Nachylił się bliżej i ściszył głos. – Nie minęła nawet godzina od mojej rozmowy z detektywem Weldermanem, a tu dzwoni do mnie znowu ten prokurator, o którym ci już kiedyś wspominałem. Pamiętasz? Ten, który chciał rozmawiać z twoją matką. Powiedział, że we własnym interesie powinienem pozwolić policji z tobą porozmawiać, oczywiście w mojej obecności. Nalegał dość mocno. Chciał też uzyskać wgląd w moje notatki. Powiedziałem mu, że nasze rozmowy podlegają tajemnicy lekarskiej, że wszystko, co mi tutaj mówisz, jest prywatne, i nie ma mowy, żebym pokazał mu jakiegokolwiek notatki. Sprzeciwiłem się, Ansonie, sprzeciwiłem się w twoim imieniu. Ale ci ludzie, policja, prokuratura... zdają się sądzić, że jesteś w to wszystko jakoś zamieszany, a szczerze mówiąc, nie powiedziałeś mi niczego, co pozwoliłoby mi mieć inny pogląd na tę sprawę. Nie mogę ich powstrzymywać w nieskończoność, Ansonie. Musisz mi opowiedzieć, co się wydarzyło.

Mój nóż znowu leżał na jego biurku. Raczej nie trzymał go na wierzchu przez cały ten czas, bo dziś leżał w rogu najbliższym mnie, a nie tam, gdzie położył go wczoraj. Gdybym chciał, mógłbym bez problemu go dosięgnąć. Mógłbym wyrwać nóż z plastikowej torebki i wbić go doktorkowi w szyję, zanim zdążyłby zapisać „potencjalnie niebezpieczny” w swoim notatniczku, a na pewno zanim zdołałby to podkreślić.

„Potencjalnie niebezpieczny”

Znowu mnie obserwował, pozwalał, by chwile ciszy odkładały się jedna na drugiej jak klocki tworzące wieżę w Jenga. Wiedziałem, że przez następną godzinę będzie

siedział bez słowa i czekał, aż zacznę mówić. Wielokrotnie stosował tę taktykę, jego zamiary były absolutnie jasne.

– Ojciec podłożył ogień i uciekł z matką.

Okulary znów powędrowały na nos.

– Hm, to bardzo ciekawe, ale w takim razie dlaczego zostawił samochód? Dlaczego zostawił też jej samochód? Dokąd uciekli i dlaczego bez ciebie?

– Nie wiem, dokąd uciekli ani dlaczego mnie zostawili.

– Kim są ci martwi mężczyźni w twoim domu?

– Nie wiem.

– Gdzie są twoi sąsiedzi?

– Nie wiem.

– Kto podłożył ogień?

– Ojciec.

Chciał mnie zapytać o zdjęcie. Wiedziałem, że je ma, pewnie przy sobie, pewnie w kieszeni tych beżowych spodni albo schowane gdzieś między kartkami notatnika.

– Dlaczego twój ojciec miałby podpalić dom?

– Nie wiem.

– Kim byli ci inni mężczyźni, których znaleziono w twoim domu, czy oni chcieli zrobić mu jakąś krzywdę? Czy próbowali coś zrobić twojej matce?

Nie podobało mi się to.

Ani trochę mi się to nie podobało.

Seria pytań jak z karabinu. Odpowiadałem za szybko.

Udziałałem odpowiedzi bez wcześniejszego dogłębnego namysłu. To on kontrolował rozmowę. Ojcu by się to nie spodobało. To ja powinienem kontrolować rozmowę. Nie mogę dać się przyprzeć do muru. A on mnie...

– Ansonie, słyszałeś kiedyś termin „kinezyka”?

Pokręciłem głową.

– Kinezyka to nauka zajmująca się interpretacją mowy ciała. Bada mimikę twarzy, gestykulację, komunikację niewerbalną wyrażaną wszystkimi częściami ciała. Odbyłem wiele szkoleń z kinezyki, nauczono mnie odczytywać język ciała i dzięki temu potrafię określić, kiedy ktoś nie jest ze mną szczery. Rozmawialiśmy już o tym, że nie lubię, kiedy ktoś kłamie albo nie mówi mi wszystkiego. Kiedy ktoś oszukuje mnie werbalnie, reszta ciała podrzuca mi wskazówki, które pozwalają mi przejrzeć kłamstwa. Im dłużej z kimś rozmawiam, tym łatwiej mi to przychodzi. Z czasem rozmówca nie ma już możliwości mnie oszukać. Ty i ja zbliżamy się powoli do tego momentu, Ansonie. Co to właściwie oznacza? Otóż oznacza to, że możesz dalej

kłamać, a ja będę wiedział, że kłamiesz, albo możesz powiedzieć prawdę, a ja będę wiedział, że powiedziałaś prawdę. Oznacza to, że stoisz teraz na rozdrożu i musisz podjąć decyzję. Możesz zacząć odpowiadać na moje pytania zgodnie z prawdą, pamiętając, że chroni cię tajemnica lekarska i nie można wykorzystać twoich słów przeciwko tobie. Albo możesz próbować dalej mnie oszukiwać. Jeśli zdecydujesz się na to drugie, nie będę mógł nic dla ciebie zrobić. – Oglesby oparł się na krześle. – Jako twój lekarz mogę pozwolić detektywom cię przesłuchać i wszcząć wszelkie działania, jakie uznają za słuszne. Mogę pomóc prokuratorowi w jego śledztwie. Zostaniesz przeniesiony z naszej placówki do znacznie mniej przyjemnego miejsca, takiego, gdzie młody, ładny chłopiec taki jak ty jest traktowany jak towar, jak rzecz, którą można posiąść i wyrzucić po użyciu. Zostaniesz złamany, każdego dnia umrze mała część ciebie i nie da się już tego odwrócić. Kiedy chłopiec trafi do takiego miejsca, nie ma już drogi powrotu, może tylko pograżać się głębiej w otchłani. Będziesz żył z łopata w dłoni, całymi dniami kopiąc głębszy dół, w którym mógłbyś się schować, i ciągle od nowa będziesz się przekonywał, że potwory lubią mrok i chętnie podążają za tobą. – Zdjął okulary. – Chcę ci pomóc, Ansonie. Mam nadzieję, że w końcu to do ciebie dotrze, ale muszę ci uświadomić, że czas dobiega końca.

Na tym zakończył naszą sesję, prawie dziesięć minut później niż zwykle, i odprowadził mnie korytarzem, obok dyżurki pielęgniarek, do mojego pokoju.

Mijaliśmy drzwi do pokoju tamtej dziewczyny. Były otwarte, siostra Gilman podawała jej obiad. Dziewczyna siedziała na łóżku i mocno przyciskała kolana do klatki piersiowej.

Patrzyła na mnie, kiedy przechodziłem obok, a ja patrzyłem na nią.

Nie mógłbym oderwać od niej wzroku, choćbym nawet chciał.

109

CLAIR

Dzień czwarty, 13.12

– Mówiłam już, że nie organizujemy żadnych konkursów. Nie mam pojęcia, o co chodzi.

Clair patrzyła z niedowierzaniem na kobietę za ladą szkoły jazdy Designated Driver. Czuła, że krew napływa jej do twarzy. Kobieta patrzyła na nią arogancko. Clair miała ochotę sięgnąć przez kontuar i nią potrząsnąć. Kloz powiększył fotografię Lili Davies z iPadem, wyczyścił i wyostrzył tak, żeby było wyraźnie widać każdy szczegół. W efekcie zdjęcie, które Clair miała na telefonie, nie pozostawiało żadnych wątpliwości: to ten budynek i niektóre z samochodów stojących na zewnątrz.

– Proszę jeszcze raz popatrzeć na zdjęcia – powiedziała Clair, podsuwając kobiecie fotografie zamordowanych i zaginionych nastolatków.

Tamta zerknęła w dół, po czym znów spojrzała na Clair.

– Mówiłam już, że nigdy ich nie widziałam. Żadnego z tych dzieciaków nigdy tu nie było. Pamiętałabym. Każdy mógł zrobić zdjęcie naszej szkoły i dowolnie je przerobić. To nie jest nasz numer telefonu, to fałszywka.

Pod numerem telefonu widocznym na zdjęciu, tym, pod który Gabby Deegan zadzwoniła rano, obecnie włączała się poczta głosowa, a raczej komunikat o braku skonfigurowanej poczty głosowej. Kloz próbował namierzyć numer, ale okazało się, że to niezarejestrowany telefon, który został już wyłączony z sieci.

Clair i Nash skontaktowali się z operatorem i teraz wspólnie próbowali namierzyć połączenie Gabby, żeby ustalić lokalizację rozmówcy.

Gabby siedziała w fotelu w kącie niewielkiego biura, Sophie trzymała ją za rękę.

– Powtórz mi to wszystko jeszcze raz od początku, kochanie – poprosiła Sophie.

Gabby otarła mokre oczy.

– Nie powinnam była puszczać jej tam samej. To moja wina. Gdybym z nią poszła, nadal by żyła.

– Opowiedz nam o porannej rozmowie telefonicznej, o tym mężczyźnie, który odebrał. Co powiedział? Słyszałaś jakieś dziwne odgłosy? Cokolwiek, co mogłoby nam podpowiedzieć, gdzie go szukać?

Gabby pokręciła głową.

– Rozłączyłam się zaraz po tym, jak odebrał. Brzmiał jakoś dziwnie. Stałam na zewnątrz i widziałam, co się dzieje w budynku, widziałam kobietę za ladą. To nie ona odebrała. Telefon chyba w ogóle nie dzwonił.

– Od rana nikt nie dzwonił. Żadnych klientów – potwierdziła kobieta.

– W jakim sensie brzmiał dziwnie? – zapytała Clair, podchodząc do dziewczyny.

– Jakby dopiero co się obudził, chyba był zaspany. Nie potrafił dobrze wymówić słowa „służyć”.

– Jąkał się?

Gabby zmarszczyła czoło.

– Nie, nie jąkał. Nie pamiętam, jak to się nazywa. Nie wymawiał „s”, to znaczy wymawiał, ale niedokładnie. Mówił „fłużyć”.

– Seplenił? – zapytała kobieta zza kontuaru. – To masz na myśli?

Gabby energicznie pokiwała głową.

– Tak, zgadza się. Seplenił.

Clair wróciła do lady.

– Coś to pani mówi?

Kobieta podniosła słuchawkę i zaczęła wybierać numer.

– Muszę zadzwonić do właściciela.

Clair wyjęła jej słuchawkę z dłoni i odłożyła.

– Musi mi pani powiedzieć, co pani wie.

Przeniosła wzrok z Clair na Gabby, potem na Sophie, aż w końcu wróciła do Clair. Wzięła głęboki oddech.

– Jeden z naszych instruktorów bardzo sepleni. Zaczęło mu się to niedawno. Zdaje się, że to skutek uboczny.

– Skutek uboczny czego?

Wyszła zza lady i podeszła do ściany po lewej, na której wisiały rzędem fotografie pracowników szkoły. Sięgnęła w górę i zdjęła jedną z nich.

– Paul Upchurch. Pracuje u nas od prawie dziesięciu lat. Jakies pół roku temu zaczął czuć zapachy, których wcale nie było. Ciągłe mi powtarzał, że pachnę migdałami i wanilią. Myślałam, że próbuje mi prawić komplementy. Był zawsze bardzo sympatyczny. Naprawdę miły facet. A do tego dowcipny. Ale potem zaczęły go męczyć drgawki. Dopadały go zniecka i równie nagle ustępowały. Właściciel wycofał go z grafiku i kazał iść do lekarza. Nie możemy ryzykować, że instruktorowi coś się zacznie dziać, kiedy jedzie samochodem z uczniem. Poszedł do szpitala, zrobili mu mnóstwo różnych badań, trwało to z tydzień. Lekarze stwierdzili guza mózgu. Nie pamiętam dokładnie. Tłumaczył nam to, ale wszystkie te techniczne szczegóły wleciały mi jednym uchem i wyleciały drugim.

Rak, pomyślała Clair.

Ubezpieczenie.

Onkolog.

Farmaceuci.

Rentgen.

Rezonans.

Chirurg.

Szpital.

– Gdzie jest ten Paul Upchurch?

– Podejrzewam, że w domu. Miał przynajmniej trzy operacje, może więcej. Od ponad tygodnia nie dawał znaku życia. Nawet myślałam, żeby podjechać i sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku, gdyby nie odezwał się w ciągu paru dni.

– Potrzebuję jego adresu.

– Dobrze, oczywiście. – Kobieta nie odrywała wzroku od fotografii w ręku. Uśmiechał się z niej mężczyzna tuż po trzydziestce. – Paul nie skrzywdziłby nawet muchy, to naprawdę dusza człowiek. Okropne, przez co teraz przechodzi. Jest taki młody, bardzo uduchowiony, ma dobre serce.

Clair już wybierała numer Nasha.

110

POOLE

Dzień czwarty, 15.47

Poole słyszał, jak naczelnik wchodzi z powrotem do gabinetu i zamyka za sobą drzwi.

– Psiakrew, mamy problem – usłyszał. – Jest gorzej, niż myśleliśmy.

Naczelnik kogoś przyprowadził.

Poole wstał z rozklekotanego krzesła przed biurkiem naczelnika i rozprostował nogi, wciąż jeszcze sztywne po podróży samolotem.

Naczelnik Vina wskazał mężczyznę stojącego obok.

– To kapitan Fred Direnzo. Szef ochrony w naszym zakładzie. Kapitanie, to Frank Poole z FBI. Proszę mu powtórzyć to, co mi pan powiedział.

Poole uścisnął mu dłoń, zimną i wilgotną. Mężczyzna się denerwował.

Nie podobał mu się rozwój sytuacji. Ani trochę mu się nie podobał.

Direnzo odchrząknął.

– Po telefonie agenta Hurlessa zacisnęliśmy pętlę wokół Weidnera. Nie chcieliśmy go spłoszyć, więc plan był taki, żeby nie przeszkadzać mu w jego sprawach, ale mieć go na oku za pośrednictwem monitoringu aż do pana przyjazdu. Dzięki temu nie miałyby okazji wymyślić jakiejś historii na swoje usprawiedliwienie przed rozmową z panem. W takich sytuacjach zawsze dobrze wykorzystać element zaskoczenia, prawda?

Poole pokiwał głową.

Kapitan Dorenzo zerknął na naczelnika, potem znów zwrócił się do Poole'a.

– Wymknął się. Nie mam pojęcia jak, ale jakimś cudem udało mu się zwać.

– Kiedy?

Naczelnik uniósł ręce w obronnym geście.

– Niech się pan nie denerwuje, złapaliśmy go. Zadzwoiłem na komendę i policja dorwała go w jego mieszkaniu, niedaleko stąd. Przyłapali go na pakowaniu walizek. Już go wiozą z powrotem, będą tu za jakieś dwadzieścia, trzydzieści minut. Proszę mówić dalej, kapitanie.

Dorenzo skinął głową.

– Kamery mają z założenia monitorować osadzonych, niekoniecznie strażników, więc jest parę ślepych punktów w miejscach dostępnych tylko dla personelu. Przebrał się w szatni w cywilne ubrania i wyszedł z resztą kończących zmianę o piętnastej, ale, jak już mówił pan naczelnik, mamy go. Nigdzie nie ucieknie, mogę to panu obiecać. Zaczęliśmy sprawdzać, co Weidner dzisiaj robił, próbowaliśmy ustalić, co kombinuje. Wygląda na to, że na podstawie sfałszowanego nakazu sądowego zwolnił jedną z osadzonych, o ósmej rano.

– Kogo?

Naczelnik podał Poole'owi akta.

– Nie mamy danych. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów, a w systemie jej nie ma. Pani NN jak każda inna, zgarnęliśmy ją za kradzież. Ale uwaga, robi się ciekawie. Detektyw od was, Sam Porter, był u niej wczoraj na widzeniu, przez trzy i pół godziny siedział z nią i jej adwokatką w sali przesłuchań. Powiedział mi, że babka ma jakiś związek z Zabójcą Czwartej Małpy z Chicago.

– Macie nagranie?

– Wyłączamy kamery na czas konsultacji więźnia z prawnikiem.

– Kim jest jej adwokatka?

– Miejskowa prawniczka, Sarah Werner – odparł naczelnik. – Śledzimy lokalizację więźniarki na podstawie danych z bransoletki na kostce. Przebywa

w kancelarii tej Werner. Dane są przekazywane na żywo. Nie ruszy się nigdzie bez naszej wiedzy.

- Mogę zobaczyć jej celę?
- Już ją przetrzepaliśmy. Nic tam nie ma.
- Chciałbym sam się przekonać.

Celę rzeczywiście przetrzepano.

Poole wszedł do małego pomieszczenia i poczuł, jakby wszystkie ściany się do niego zbliżały.

Materac stał na boku oparty o ścianę, metalowa prycza była odsłonięta. Na podłodze walały się ubrania: koszulka i dwie pary spodni dresowych. Butelka szamponu i tubka pasty do zębów zostały opróżnione do zlewu.

– Więźniowe czasem ukrywają w kosmetykach drobne przedmioty. Zwykle ostrza.

- Znaleźliście coś?
- Nie.

Poole podszedł do materaca i zaczął przesuwac palcami wzdłuż krawędzi, po szwach.

– Tu też sprawdzaliśmy – powiedział kapitan Dierenzo. – Nic.

Poole mimo wszystko dokładnie obejrzał materiał, ale nie znalazł żadnych dziur ani szczelin.

– Mówiłem, nic tu nie ma.

Poole westchnął z rozczarowaniem i opuścił materac na pryczę. Metalowe nogi zazgrzytały. On jednak nie zwrócił na to uwagi, nie mógł bowiem oderwać wzroku od ściany, od słów wydrapanych w farbie. Nie były to jedyne słowa w tej celi. Całe ściany były pokryte napisami, więźniowie przez lata wyrażali swoje myśli i zostawiali je dla kolejnych rezydentów. Jednak te akurat słowa Poole dobrze znał. Rzuciły mu się w oczy:

Wróćmy do Domu, wróćmy już,

*na nic to ciągnęła pogoń i poszukiwanie,
Dziś wszystko przepęlnia błogość.
Z błękitnego oceanu śmierci
Życie wypływa niczym nektar.
W życiu jest śmierć; w śmierci jest życie.
Gdzież więc jest strach, gdzie jest strach?
Ptaki na niebie śpiewają: „Śmierci nie ma!”.
Dniem i nocą przyplw Nieśmiertelności
Zstępuje tu na ziemię.*

„Dom”, „strach”, „śmierć” podkreślono, tak jak w tamtym domu w Chicago.
Po wierszu następowało jeszcze jedno zdanie:

„Grzech pierworodny sprowadzi na ciebie śmierć”.

– Co to niby ma znaczyć, do jasnej cholery?

Kapitan Dorenzo stał za nim i czytał mu przez ramię. Poole nawet nie zauważył, kiedy wszedł do celi.

Poole przesunął palcem po napisie, płatki farby kruszyły się pod jego dotykiem. Musiał zostać niedawno dodany do ściany słów, nowe graffiti na wielu warstwach historii.

– To nawiązanie do Biblii, grzech pierworodny. Według Szekspira oznacza on, że „grzechy ojców mają być karane na dzieciach”⁷. W skrócie: odpowiadamy za grzechy naszych przodków, a oni odpowiadają za nasze.

– Według Szekspira? Nasza mała złodziejka nie wyglądała mi na wielbicielkę Szekspira.

Zaćwierkała krótkofalówka na ramieniu kapitana Dizenzy, wcisnął guzik. Głos naczelnika zatrzeszczał w głośniku.

– Kapitanie, mamy Weidnera. Proszę odprowadzić naszego gościa do sali przesłuchań numer trzy.

– Tak jest.

111

PAMIĘTNIK

Znowu noc.

Nie pada deszcz.

Kiedy siostra Gilman przyniosła mi kolację, zapytałem o tamtą dziewczynę, ale nie chciała mi o niej nic powiedzieć, nawet jak się nazywa. Miałem nadzieję poznać jej imię. Ale pielęgniarka tylko postawiła tacę na łóżku i z uśmiechem powiedziała:

– Powinieneś coś zjeść.

Nie chciałem jeść. Chciałem się dowiedzieć, jak się nazywa tamta dziewczyna. Chciałem z nią porozmawiać. Chciałem podejść do niej tak blisko, żeby poczuć ciepło jej skóry, jej oddech.

Słyszałem, jak płacze. Chciałem się przekonać, czy potrafi się też śmiać.

Nie zjadłem kolacji.

Nie zauważyłem, kiedy siostra Gilman wyszła z pokoju.

Jedzenie wystygło na tacy w kącie łóżka.

Nie chciałem rozmawiać z policją.

Nie chciałem spotykać się z prokuratorem, o którym wspominał doktor.

Zdecydowanie nie chciałem trafić do miejsca, którym mnie straszyl.

Pora się zbierać.

Ojciec chciałby, żebym obmyślił sposób. Miałem plan.

W nocy był tylko jeden strażnik i dwie pielęgniarki. Lekarzy nie było, a cała reszta siedziała zamknięta w swoich pokojach.

Ucieknę w nocy.

Zaczekam, aż dziewczyna zacznie płakać.

Nie chciałem, żeby płakała.

Nie chciałem, żeby już kiedykolwiek musiała płakać, ale wiedziałem, że znowu zacznie, a kiedy zacznie, to przynajmniej jedna z pielęgniarek pójdzie do jej pokoju, żeby ją pocieszyć i uspokoić. Kiedy będę pewny, że jest u niej jedna z pielęgniarek,

otworzę wytrychem swoje drzwi, przejdę korytarzem do jej pokoju i wślizgnę się do środka.

A potem sprowokuję pielęgniarkę do krzyku.

Miałem nadzieję, że w pokoju dziewczyny nie zastanę siostry Gilman, tylko jakąś inną pielęgniarkę. Lubilem siostrę Gilman. Ale nawet jeśli to będzie siostra Gilman, zmuszę ją do krzyku. Tak jak nauczył mnie ojciec. Sprawię, że będzie krzyczała tak głośno, żeby ściągnąć drugą pielęgniarkę i strażnika do pokoju dziewczyny. Zbiorę ich wszystkich w tym pokoju, dwa pokoje ode mnie, i...

Muszę się tu na chwilę zatrzymać.

Chcę wyrazić się jasno.

Nie chcę nikogo skrzywdzić.

Nikomu nie musi stać się krzywda.

Ostatnie, co chciałbym zrobić, to kogoś skrzywdzić.

Ale skrzywdzę.

Oni muszą zostać w tamtym pokoju, a ja muszę wyjść.

To jedyny słuszny rezultat.

Mam nadzieję, że nie będę musiał nikogo skrzywdzić.

Nie chcę, żeby tamta dziewczyna widziała, jak robię komuś krzywdę.

Zamknę ich wszystkich w tamtym pokoju, potem pójdę do gabinetu i odzyskam swój nóż. Wiem, to ryzykowne, ale uważam, że na takie ryzyko mogę sobie pozwolić.

A potem ucieknę.

Zabiorę ze sobą nagrania z monitoringu. Znajdę je pewnie na stanowisku ochrony.

Jeśli będę musiał skrzywdzić kogoś w tamtym pokoju, w pokoju tej dziewczyny, jeśli będę musiał zrobić komuś krzywdę, zanim uda mi się wydostać na zewnątrz i zamknąć ich w środku, to może potem będę musiał wrócić już z nożem i skrzywdzić ich do końca. Ojciec chciałby, żebym to zrobił. Matka powiedziałaby, że dziewczynie też muszę zrobić krzywdę. Musiałem skrzywdzić ich wszystkich do końca, a potem zabrać nagrania z kamer i uciec. Co do tego matka i ojciec byliby zgodni.

Nie chciałem robić krzywdy tej dziewczynie, ale zrobiłbym to.

Z nocną ucieczką wiązał się jednak pewien problem, poważny problem. Nie byłem pewny, czy sobie z nim poradzę. Z całych sił pragnąłem pożegnać się z doktorem Oglesbym.

112

NASH

Dzień czwarty, 16.06

– Nash, słyszysz mnie? – głos Espinosy zatrzeszczał w małej słuchawce w uchu Nasha, ukrytej pod grubym kapturem kurtki.

Nash z trudem powstrzymał się przed postukaniem w słuchawkę.

– Tak jest, wszystko słyszę.

– Gotowi za trzy. – Tym razem odezwał się Brogan, zdyszany, nieco stłumionym głosem. Zaparkowali z oddziałem przecznicę dalej i przedzierali się teraz przez śnieg, starając się niepostrzeżenie podejść na tyły domu.

Clair uzyskała adres Paula Upchurcha od pracowniczki Designated Driver, a Klozowski sprawdził w bazach wydziału komunikacyjnego i nieruchomości – rzeczywiście to nazwisko widniało na akcie hipotecznym. Mężczyzna mieszkał tu od prawie dziesięciu lat.

Nash siedział w Connie, dwie przecznice od domu Upchurcha. Kłęb dymu jakby utkwił jej w gardle, układ wydechowy zacharczał i wykrztusił tuman spalin. Na siedzeniu pasażera leżało duże pudło z Amazona, w środku znajdował się karabin szturmowy i dwa płaskie pięciokilowe obciążniki. Pod zimową kurtką Nash miał kamizelkę kuloodporną.

– Widzę tył budynku – powiedział Brogan. – Mamy trzy okna na piętrze, jedno małe na strychu i dwa na parterze. Szlag...

– Co się stało? – spytał Espinosa.

– Ogrodzenie na tyłach, metalowa siatka, metr dwadzieścia wysokości. Śniegu jest na ponad pół metra, niektóre zasy sięgają prawie górnej krawędzi siatki. Będziemy musieli przejść górą. Trzymam ludzi za sąsiednim domem. Jak tylko się stąd ruszymy, będziemy na widoku. Szacuję trzydzieści sekund na dojście do ogrodzenia, dziesięć na przejście i dwadzieścia na dotarcie do tylnych drzwi i próbę wyważenia. Przez cały ten czas nie mamy się gdzie schować. Tu jest jak na patelni.

– Przyjąłem – powiedział Espinosa. – Nash, ruszysz na mój znak. Nawet jeśli zobaczysz dzwonek, nie naciskaj. Zapukaj. W tych starych domach dzwonki często nie działają, a z zewnątrz nie dosłyszysz. Nie ma sensu dzwonić i czekać, szkoda czasu. Zapukaj głośno. W tej chwili zacznę odliczać do pięciu. Damy Upchurchowi czas na dojście do drzwi. Na „pięć” nasze wozy wjadą z obu stron ulicy. Brogan i jego ludzie wejdą od tyłu. – Urwał na chwilę. – Będziesz na małym ganku. Prowadzi do niego dziewięć schodków z jednym załomem i balustradą. Będzie ciasno, mało miejsca na manewry. Jeśli Upchurch otworzy drzwi, rzuć się na niego, powal na ziemię ciężarem pudła, wykorzystaj je jako taran. Moi ludzie wejdą zaraz za tobą. Obezwładnią go. Spróbuj go tylko zaskoczyć i usunąć z drogi.

– A jak nie otworzy?

– Jak nie otworzy, to będziesz musiał usunąć nam się z drogi. Moi ludzie wejdą za tobą i wyważą drzwi, zaczną przeszukiwać dom, a jednocześnie ekipa Brogana zabezpieczy tyły. Brogan?

– Tak?

– Oba oddziały niech sprawdzą parter. Potem idź na dół, zobaczcie piwnicę i ewentualne niższe poziomy. Ja pójdę na górę, sprawdzimy piętro i strych.

– Przyjąłem.

– Nash. Staraj się nie wchodzić nam w drogę. Nie masz hełmu. Nie chcę, żeby trafiła cię jakaś zabłąkana kula.

– Też bym wolał, żeby mnie nic nie trafiło – odparł Nash.

– Czekaj... – powiedział Espinosa. – Są karetki. Obie wjadą za wozami SWAT z dwóch stron ulicy, potem radiowozy zablokują wjazd do tego kwartału, na wypadek gdyby facet wydostał się z domu. Wszystkie oddziały na miejscach?

– Tyły na miejscu – powiedział Brogan.

– Wschód, potwierdzam.

– Zachód, potwierdzam.

– Patrole sześć, jeden cztery cztery, trzy osiem i dwanaście osiemnaście, wszyscy na miejscu.

Cisza.

– Nash? – znowu Brogan.

Nash wziął głęboki oddech.

– Gotów, potwierdzam.

– Dobra, podjedź pod dom, jak będziesz gotowy. Numer osiem trzy, po prawej. Niebieski dach z białymi wykończeniami. My będziemy za tobą.

– Przyjąłem.

Nash znów zrobił głęboki wdech ustami, przytrzymał powietrze, po czym powoli wypuścił przez nos.

Ni cholery się nie uspokoił.

Ręce mu się trzęsły. Serce waliło jak młotem. Chociaż przez lata wziął udział w setkach nalotów, to uczucie zawsze mu towarzyszyło. Porter powiedział mu kiedyś, że jeśli któregoś dnia go opuści, jeśli kiedyś zachowa całkowity spokój podczas takiej akcji, wyłączy czujność, to właśnie tego dnia dostanie kulkę.

– No dobra, jedziemy z tym koksem – powiedział.

Dźwignia zmiany biegów w Connie zawsze zacinała się na trybie postoju. Spróbował siłą i przerzucił na tryb jazdy. Staruszka zaczęła toczyć się do przodu.

– Powoli, Nash, uważaj na lód. Rano odśnieżyli, ale już nasypało od nowa – powiedział Espinosa. – Jeszcze sześć domów, po prawej. Zobaczysz, jak wjedziesz na górkę.

Opony z trudem łapały przyczepność. Podczas jazdy po lodzie i śniegu trzeba było wyczuć idealną prędkość. Zbyt wolno albo zbyt szybko – i samochód

zaczynał się ślizgać, tańczyć na jezdni. Connie chciała jechać szybciej, ale ją powstrzymywał. Najpierw zobaczył spadzisty niebieski dach z białymi wykończeniami, potem zauważył tabliczkę z numerem przy drzwiach frontowych. Na ulicy stało kilka samochodów całkowicie zasypanych śniegiem, uniemożliwiającym określenie koloru, marki czy modelu. Miejsce przed samym domem było jednak wolne i na tyle długie, że nie musiał parkować równolegle. Nash zatrzymał samochód przy krawężniku i wrzucił z powrotem tryb postoju.

Espinosa znowu zatrzeszczał w słuchawce.

– Nash u celu, wszystkie oddziały czekać na mój sygnał.

Nash zastanawiał się, czy nie zostawić włączonego silnika. Dostawca by wyłączył? Nigdy nie zwracał na to uwagi. Ale przy takiej temperaturze miałoby to sens. Wyskoczyć i wrócić, wyskoczyć i wrócić, nie ma sensu wyłączać.

„Upchurch może uciec twoim samochodem”.

Szczerze wątpił, że Upchurchowi uda się w ogóle dobiec do ulicy, ale ta myśl wystarczyła, żeby przekonać go do zgaszenia silnika i schowania kluczyków do kieszeni. Connie jeszcze raz parsknęła silnikiem, zorientowała się, że jest wyłączona, stęknęła i ucichła.

Nash wziął pudło z Amazona, otworzył drzwi i wyszedł prosto w zamieć. Śnieg znowu zaczął dawać się we znaki, sypał płatami grubymi na parę centymetrów. Wiedział, że pogorszy mu to widoczność. Czując smaganie wiatru na gołych policzkach, obszedł samochód i ruszył w kierunku, jak się domyślał, chodnika ukrytego pod białą pierzyną.

– Mamy jakiś ruch – powiedział mu Espinosa w ucho. – Zasłona w oknie po lewej na piętrze.

Nash nie zauważył.

Był już przy schodach.

Wspinał się ostrożnie, jedną ręką trzymając pudło, drugą chwytając metalową poręcz.

Kiedy dotarł na ganek u szczytu schodów, zauważył dzwonek i już, już wyciągał rękę w jego stronę, ale przypomniał sobie instrukcje Espinosy sprzed

zaledwie kilku minut.

„Skup się, debilu. Myśl”.

Chciał się obejrzeć. Chciał zlustrować ulicę w obie strony, żeby się upewnić, że wszyscy są na swoich miejscach, ale tego nie zrobił. Zamiast tego zapukał do drzwi – trzy ciężkie uderzenia, aż zabołały go kłykcie.

Kątem oka uchwycił ruch wozów SWAT, oddziału antyterrorystów, nadjeżdżających szybko z obu końców ulicy. Zatrzymały się z lekkim poślizgiem na środku drogi, tylne drzwi już były otwarte, wysypywali się z nich funkcjonariusze w czarnych strojach szturmowych.

W uchu słyszał, jak Espinosa wykrzykuje rozkazy.

– Dawać, dawać, dawać!

Nikt nie otwierał drzwi.

Nash zajrzał do środka przez wąskie okienko przy drzwiach – nikogo. Kiedy za plecami usłyszał chrzęst śniegu pod ciężkimi buciorami na schodach, odskoczył w lewo, z dala od drzwi. Thomas albo Tibideaux, nie rozpoznawał ich w tych mundurach, natarł na stare drewniane drzwi ciężkim, czarnym, metalowym taranem – wystarczyły dwa uderzenia i zamki ustąpiły, drzwi wpadły z impetem do środka, a sznur mężczyzn w czarnych mundurach przebiegł obok niego do wewnątrz.

Głośny huk z tyłu budynku, aż zatrzęsyły się szyby. Granat hukowy.

Brogan:

– Jesteśmy! Mam ciało na stole kuchennym! Dziewczyna! Poza tym w kuchni pusto!

– W salonie pusto!

– Schody do piwnicy, idziemy na dół!

– Tu Espinosa, na piętrze. Łazienka pusta. Pierwsza sypialnia pusta. Druga sypialnia...

Urwał. Nash wcisnął słuchawkę głębiej do ucha.

– Stać! Nie ruszać się! Nie...

Nash wyrwał karabin z pudła i wpadł do środka. Schody prowadzące na piętro znajdowały się na tyłach salonu. Popędził w górę, przeskakując po dwa stopnie. Na szczycie stał Espinosa i trzymał na muszce kogoś albo coś w drugiej sypialni. Za nim stał inny członek oddziału, celując z broni w podłogę.

Espinosa wszedł do pokoju.

Nash znowu usłyszał w słuchawce głos Brogana, teraz już nie krzyczał.

– Ja pierdolę, co to, kurwa, jest... Chryste... Mamy tu następne ciało, też dziewczynę. Poza tym w piwnicy pusto.

113

POOLE

Dzień czwarty, 16.06

Weidner siedział za metalowym stołem przymocowanym do podłogi na takimże krześle. Wzrok miał rozbiegany, palce niespokojne, kręcił nimi i bębnił, jedną rękę trzymał na stole, drugą na kolanach.

Poole obserwował go przez lustro weneckie.

– Powiedział coś, kiedy go zgarnęli?

Naczelnik Vina pokręcił głową.

– Nie próbował się stawiać, poddał się dobrowolnie. Miał spakowaną torbę, dwa tysiące z hakiem w gotówce i bilet na autobus do Chicago. Dziesięć minut później i może udałoby mu się zwiać.

– Mogę z nim porozmawiać?

Naczelnik wzruszył ramionami.

– Ze mną rozmawiać nie chce. Próbowałem. Proszę bardzo, niech się pan nie krępuje.

Kapitan Dorenzo stał po jego lewej stronie. Poole czuł, że mężczyzna aż się gotuje.

– Jak z nim skończę, będzie pan mógł się za niego wziąć – powiedział.

Dorenzo fuknął, ale nic nie powiedział.

Poole otworzył metalowe drzwi oddzielające oba pomieszczenia i przeszedł do sali przesłuchań, zamykając drzwi za sobą.

Weidner podniósł głowę, ale zaraz znowu spuścił wzrok na swoją dłoń na blacie.

Poole zajął miejsce po drugiej stronie stołu.

– Cześć, Vincent. Agent specjalny Frank Poole z FBI. Słyszałem, że miałeś bardzo interesujący poranek. Może na początek powiesz mi, kim jest dla ciebie Libby McInley?

Weidner przestał bębnić palcami.

– Prawniczka. Sarah Werner. W tej chwili.

– Oczywiście możemy pójść tą drogą. Ale domyślam się, że po tylu latach pracy znasz ten system na tyle dobrze, że wiesz, jak to się prawdopodobnie dla ciebie skończy – powiedział Poole. – Jeśli mi nie pomożesz, jeśli będziesz się zasłaniał adwokatem, nie będę mógł ci pomóc. A to oznacza, że wytaczamy najcięższe działa: pomocnictwo, współudział, organizacja ucieczki z więzienia, próba ucieczki przed organami ścigania... Grozi ci długi wyrok. Ale jeśli odpowiesz na parę pytań i mi pomożesz, to ja pomogę tobie. – Poole nachylił się do niego przez stół. – Chcę postawić sprawę jasno, Vincent. Nie po ciebie tu przyjechałem. Ty jesteś dla mnie wyłącznie środkiem do celu, niczym więcej. Nie mam powodu cię cisnąć. Ale za ścianą już na ciebie czekają naczelnik i kapitan, a oni nie są do ciebie zbyt pozytywnie nastawieni. Jeśli cię tu zostawię, to ukarzą cię dla przykładu. Wykorzystają sytuację, żeby dać innym nauczkę. Jeśli mi pomożesz, zabiorę cię do Chicago i unikniesz nieprzyjemności. Zresztą i tak się tam wybierałeś, zgadza się? Daj sobie spokój z autobusem. Na lotnisku czeka na nas odrzutowiec.

Weidner też się do niego nachylił.

– Prawniczka. Sarah Werner. Już.

– Powiedz mi coś o Ansonie Bishopie. Dlaczego mu pomagasz?

Weidner nie odpowiedział.

– Kim jest ta kobieta, której pomogłeś uciec? To matka Bishopa?

Cisza.

Poole miał spędzić następne dwie godziny z Weidnerem w tym pokoju.

114

NASH

Dzień czwarty, 16.07

Nash podszedł do otwartych drzwi.

Espinosa stał w małym pokoju, trzymając na celowniku mężczyznę siedzącego za biurkiem pod oknem, tym samym oknem, w którym zauważyli wcześniej ruch.

Mężczyzna widział, że się zbliżają.

Nie próbował uciekać.

Siedział plecami do nich ze spuszczoną głową, wbijał wzrok w biurko. Obie dłonie opierał płasko na blacie.

– Nie mam żadnej broni.

Wtedy Espinosa się na niego rzucił. Wyszarpnął grubą plastikową opaskę zaciskową z za paska, złapał mężczyznę za lewą rękę i wykręcił do tyłu, potem to samo zrobił z prawą i skrępował je razem za oparciem krzesła. Drugi funkcjonariusz SWAT, Tibideaux, nie spuszczał mężczyzny z muszki, wciąż celował mu w głowę z karabinu.

Nash nie mógł oderwać oczu od dużej rany po cięciu chirurgicznym, która zaczynała się nad lewym uchem mężczyzny i biegła w górę, gdzie niknęła pod czarną wełnianą czapkę. Skóra czaszki była zaczerwieniona i podrażniona, pokryta warstewką zakrzepłej krwi. Podszedł bliżej, potykając się o stertę ubrań, tak że prawie się przewrócił, i ściągnął mu czapkę z głowy.

Mężczyzna był prawie zupełnie łyсы, głowa wyglądała na ogoloną kilka dni wcześniej, włosy odrastały w rzadkich nieregularnych kępkach.

– To przez chemię. Przepraszam, muszę wyglądać okropnie. Przykro mi.

Seplenił, głoski „sz” sprawiały mu trudność.

– Paul Upchurch? – powiedział Espinosa, podnosząc mężczyznę z krzesła. – Ma pan prawo zachować milczenie...

Nash nie słuchał Espinosy, dobrze znana formułka była dla niego jak biały szum. Zaczął się rozglądać po sypialni.

Pokój małej dziewczynki. Wesoły i różowy. Małe łóżko z narzutą z Hello Kitty zavalone pluszowymi zabawkami. Ściany obwieszane rysunkami. Niektóre wyglądały na namalowane przez dziecko, inne wyraźnie wyszły spod ręki utalentowanego dorosłego, idealnie naszkicowane i pokolorowane.

W kącie pokoju stał manekin wielkości dziecka, figura małej dziewczynki. Miał na sobie dziewczęce ubranka. Czerwony sweter, niebieskie szorty. Kiedy Espinosa odciągnął Paula Upchurcha od biurka, Nash zauważył rysunki, wcześniej zasłonięte przez dłonie mężczyzny, rysunki przedstawiające dziewczynkę w takich samych ubraniach jak manekin. Najwyraźniej próbował je pokolorować, ale wyszły mu tylko niechlujne bohomazy. Na blacie walały się kolorowe flamastry bez zakrętek.

– Proszę, nie róbcie jej krzywdy – powiedział mężczyzna, kiedy Espinosa i Tibideaux wyprowadzali go z pokoju obok manekina. Nie odrywał przekrwionych oczu od rysunków.

– Detektyw Nash? – odezwał się Brogan w słuchawce.

– Tak?

– Potrzebujemy pana w kuchni.

– Już idę.

Kiedy Nash dotarł do podnóża schodów, kątem oka uchwycił Upchurcha, jeszcze w korytarzu na piętrze, otoczonego przez antyterrorystów i zmierzającego powoli ku stopniom prowadzącym na parter. Nash słyszał jego szloch wyłapywany przez mikrofony policjantów, ale nie wzruszało go to.

Przeszedł przez niewielki, skąpo umeblowany salon.

W kuchni dwóch mężczyzn stało po obu stronach stołu.

Na stole leżało ciało młodej dziewczyny ubranej w taki sam czerwony sweter i niebieskie szorty jak na manekinie i rysunkach na piętrze. Ręce miała skrzyżowane na piersi, wnętrza dłoni skierowane ku górze. Spoczywało w nich białe pudełeczko mocno obwiązane czarnym sznurkiem.

– Żyje, ale jest nieprzytomna – powiedział Brogan, ostrożnie obmacując jej głowę. – Mam tu zaschniętą krew, ale nie widzę rany. – Zwrócił się z powrotem do Nasha. – W piwnicy mamy drugą dziewczynę. Też nieprzytomna, brak widocznych ran.

Nash wpatrywał się w białe pudełeczko w jej dłoniach.

– Może są czymś odurzone?

– Może.

W tej chwili do domu wpadli sanitariusze i otoczyli dziewczynę. Kobieta i dwóch mężczyzn. Już po kilku sekundach rękaw ciśnieniomierza zaciskał się na jej ramieniu. Jeden z mężczyzn podniósł jej powiekę i kieszonkową latarką badał reakcję źrenic, sanitariuszka zaś złapała ją za nadgarstek.

– Tętno sześćdziesiąt trzy.

– Ciśnienie sto dwa na siedemdziesiąt.

Palpacyjnie zbadali jej tułów, głowę i kończyny.

– Żadnych oznak urazu fizycznego. Myślę, że to nie jest jej krew. Myślę, że to stamtąd... – Gestem podbródka wskazała kałużę na podłodze, rozchlapaną i zakrzepłą na linoleum.

Nash nie zauważył jej wcześniej.

Przywieźli nosze na kółkach i ustawili je obok stołu.

– Chwilę. – Nash wyjął z kieszeni lateksowe rękawiczki i ostrożnie wyjął białe pudełko z jej rąk.

Sanitariusze przenieśli dziewczynę na nosze i zaczęli ją przypinać.

Nash położył pudełeczko na stole i pociągnął za koniec czarnego sznurka. Ten rozwiązał się i opadł.

Nash nie zauważył, że zapadła absolutna cisza, nie zdawał też sobie sprawy, że wszyscy zamarli bez ruchu, z sanitariuszami włącznie. Podniósł malutką pokrywkę i odłożył ją na bok.

Bez wątpienia to jedno z pudełek Bishopa.

W środku, na miękkiej wyściółce z waty, leżał srebrny klucz z niebieską plastikową nakładką i literami J.H.S.H. wyrytymi w metalu. Nash wyjął go i położył obok pudełka. W środku nie było już poza tym niczego.

– To chyba kluczyk do szafki w szpitalu – powiedziała sanitariuszka. Zwróciła się do kolegi, który ciągle trzymał rękaw do mierzenia ciśnienia. – Rick? Co o tym sądzisz? Ze Strogera, co nie? J.H.S.H.?

Skinął głową i odwrócił się do Brogana.

– Mówiliście, że jest jeszcze jedna dziewczyna?

– W piwnicy. W takim samym stanie. Wydaje mi się, że odurzona. Rany cięte wokół ust, ale wyglądają na powierzchowne.

Sanitariusz wskazał na nogę dziewczyny na noszach.

– Ma ślad po igle na udzie. Wyraźnie świeże ukłucie. Na podstawie wstępnych badań strzelałbym, że to propofol albo jakiś inny środek uspokajający. Jest w stanie stabilnym, co wskazuje raczej na zastosowanie farmaceutyków, profesjonalnych, nie domowej roboty. Gdyby straciła przytomność na skutek urazu, miałyby nieregularne tętno. – Odwrócił się do pozostałych. – Kat, ty i Diaz weźcie ją do karetki i jedźcie do Strogera. Powiedzcie Mike’owi, żeby zszedł do mnie do piwnicy z drugimi noszami. Zabierzemy tamtą dziewczynę i pojedziemy za wami. Po drodze pobierzcie krew i od razu zamówcie przez telefon pełną toksykologię.

Skinęła głową i złapała jeden koniec noszy, kolega wziął drugi i razem wywieźli nieprzytomną dziewczynę z niedużej kuchni.

Nash ruszył za trzecim sanitariuszem, który zszedł po schodach na tyłach kuchni, zanurzając się w ciemną otchłań. Brogan podążył za nimi.

115

PAMIĘTNIK

Przez następne trzy dni myślałem o kinezyce.

Myślałem o ojcu.

Myślałem o matce.

Myślałem o tym, co doktor powiedział mi o policji i o tym złym miejscu, do którego miałem według niego trafić.

Słuchałem płaczu dziewczyny. W środku najciemniejszej nocy słuchałem jej płaczu.

Zamknąłem się w sobie, wytłumiłem wszystko inne.

Jej szloch był dla mnie ciepły, był jak jej dotyk, jej palce, które sięgały do mnie, pokonując dystans między naszymi pokojami, jakby dzieliły je zaledwie centymetry. Wyobrażałem ją sobie, jak leży w swoim łóżku i słyszy kołatanie mojego serca, i chce go nasłuchiwać, bo tylko to przynosi jej ukojenie od straszliwych myśli, które spowodowały ten płacz.

Domyślałem się, że codziennie po mnie przychodzili i prowadzili do doktora, ale nic z tego nie pamiętam. Świat poza moją głową pogrążył się w ciemności, stał się czarną, odległą pustką. Tak jak nauczył mnie ojciec, stłumiłem czas, pławiłem się w nim, zagubiłem się w falach.

116

NASH

Dzień czwarty, 17.23

Po spędzeniu ponad godziny w domu Upchurcha zaczynał się czuć klaustrofobicznie. Zadzwoił do Clair do szpitala.

– Clair, to nie wygląda dobrze, bardzo brzydka sprawa. Bishop i ten facet... – Przycisnął sobie telefon do ucha i powoli przemierzył piwnicę, znów pokonując drogę między prowizoryczną klatką a dużą zamrażarką przerobioną na zbiornik z wodą pod schodami, a potem wrócił, uważnie stawiając stopy na specjalnych płytkach ułożonych na podłodze w celu uniknięcia zniszczenia śladów na miejscu zbrodni. Stał w klatce. Technicy kryminalistyczni przeczesywali każdą powierzchnię centymetr po centymetrze. W tej chwili jeden z nich ostrożnie pobierał próbkę krwawych wymiocin z kąta na drugim końcu pomieszczenia.

Clair odpowiedziała zdyszana, chyba rozmawiała w biegu.

– Zidentyfikowaliśmy dziewczynę, którą znaleźliście na parterze, to Kati Quigley, ta od Świadców Jehowy, która zaginęła wczoraj po południu razem z chłopakiem, którego znaleźliśmy w pikapie, Wesleyem Hartzlerem. Jest w stanie stabilnym, leży na intensywnej terapii, nadal nie odzyskała przytomności. Toksykologia wykazała obecność propofolu we krwi. Lekarze czekają, aż to odeśpi. Jak tylko się obudzi, porozmawiam z nią. Ma na ciele

liczne ślady poparzeń elektrycznych. Wyglądają na powierzchowne, nie wywołały trwałych uszkodzeń.

Nash spojrział na akumulatory samochodowe ułożone w szereg obok zbiornika z wodą. Mówił już o nich Clair wcześniej. Wolał o tym nie myśleć.

– A co z Larissą Biel?

Clair powiedziała coś do kogoś niedaleko niej, po czym wróciła do rozmowy.

– Jest w stanie krytycznym. Też odurzona, ale w jej przypadku to błogosławieństwo. Jakies pół godziny temu trafiła na blok operacyjny. – Clair zniżyła głos. – Kazali jej połknąć szkło. Ma rany w jamie ustnej, w gardle, w żołądku. Jest cała pocięta od środka. Nawet sobie nie wyobrażam, jak to musiało ją boleć.

Nash zamknął oczy.

– O co tu chodzi, Clair? To znacznie poważniejsza sprawa niż nawet najgorsze dotychczasowe wyczyny Bishopa. Jaki on ma związek z Upchurchem?

– Próbowałam się dodzwonić do Poole’a, ale włącza się poczta. Od kiedy się dowiedzieliśmy, jak facet się nazywa, Kloz próbuje znaleźć jakieś powiązanie, ale na razie nic z tego. Zgodnie z profilem psychologicznym Bishop powinien działać w pojedynkę. To wszystko nie ma sensu. Wydaje nam się, że przerobili zamrażarkę na coś w rodzaju zbiornika do deprywacji sensorycznej.

– Do czego?

– Deprywacji sensorycznej. To było popularne w latach pięćdziesiątych. Słoną wodę podgrzewa się do temperatury trzydziestu czterech i pół stopnia, czyli dokładnie do temperatury ludzkiej skóry. Kiedy znajdujesz się wewnątrz, odcinasz się od wszystkich zmysłów: nie widzisz ani nie słyszysz nic z zewnątrz. Woda jest w temperaturze skóry, więc czujesz, jakbyś się unosił w pustce. Ma to podobno działanie odprężające, coś z filozofii zen.

Nash przeniósł wzrok na zardzewiałe metalowe kable rozruchowe obok zamrażalnika.

– To tutaj wygląda na przeciwieństwo odprężającego.

Telefon Clair wydał krótki dźwięk.

– Poczekaj chwilę. Mam kogoś na drugiej linii.

Nash patrzył, jak jeden z techników bierze zieloną narzutę z kąta klatki, składa ją ostrożnie i chowa do dużej torby na dowody.

Nie mógł tam już dłużej wytrzymać.

Wspiął się po schodach z powrotem do kuchni i zaczął powoli obchodzić dom, czekając, aż Clair skończy drugą rozmowę. Kiedy w końcu usłyszał w telefonie jej głos, stał na piętrze, przed wejściem do pokoju z manekinem i rysunkami.

– Nash?

– No, jestem.

– Dzwonili z radiowozu, który miał zawieźć Upchurca na komendę. Zemdłał im. Przywiozą go tutaj.

– Zemdłał?

– Mówią, że zaczął wrzeszczeć, próbował się dotknąć w głowę, ale nie mógł, bo ma ręce skute za plecami. Walnął głową w drzwi. Jakoś sobie musiał poradzić. Mówią, że chyba miał jakiś atak czy coś takiego.

– A to nie jest jakiś numer? Próba ucieczki?

– Nie wygląda na to, ale tak czy inaczej, nie będziemy ryzykować. Zabroniłam im otwierać tylne drzwi, dopóki nie przyjadą na miejsce. Właśnie dotarł radiowóz z tym kluczem od ciebie. Idę po niego, sprawdzę, czy uda mi się go dopasować do którejś szafki. Poproszę patrolowych z tego wozu, żeby zostali i pomogli pilnować Upchurca. Nigdzie się stąd nie ruszy.

– Okej, to daj znać, jak się czegoś dowiesz. Ja tu zostanę, dopóki kryminaliści nie skończą.

Wszedł do małej sypialni. Niektóre rysunki były zapakowane w torebki, inne leżały na łóżku, fotografowane przez techników.

117

CLAIR

Dzień czwarty, 18.07

Clair wyszła za salową z windy na korytarz na trzecim piętrze, kierowały się do wschodniego skrzydła budynku.

– To już ostatnia szatnia w szpitalu. Jeśli klucz nie pasował do żadnej z szafek na dole, to musi być gdzieś tutaj.

Clair obleciała cały szpital, zatrzymała się tylko na chwilę u Kati Quigley (nadal nieprzytomnej) i przypilnowała wypakowania Paula Upchurcha z radiowozu. Gdy tylko dotarł pod wejście na oddział ratunkowy, został przykuty kajdankami do wózka, a potem pojechał prosto do jednoosobowej sali, pod którą ustawiono dwóch policjantów.

Nigdzie nie ucieknie.

Powiedziano jej, że jest przytomny, ale fizycznie niezdolny mówić w następstwie ataku, którego dostał po drodze. Poprosiła lekarza, żeby poinformował ją natychmiast, kiedy pacjent odezwie się w miarę zrozumiale.

Salowa zatrzymała się pod drzwiami na końcu korytarza i otworzyła jednym z pęku kluczy. Światła zapaliły się automatycznie. Przytrzymała drzwi otwarte, żeby Clair mogła wejść.

– Dziękuję, Sue.

– Szkoda, że nie ma pani dwóch, szybciej by nam poszło – powiedziała Sue. – Po lewej damska, po prawej męska.

Szafki pokrywały wszystkie ściany dookoła, dodatkowo na środku ustawiono jeszcze dwa rzędy, a między nimi ławki. Dwie części pomieszczenia były oddzielone ścianą.

Clair wyjęła telefon, żeby znów spróbować się skontaktować z Poole'em.

– Tutaj nic z tego – powiedziała Sue. – Na całym piętrze nie ma zasięgu z powodu sprzętu radiologicznego. Będzie pani musiała iść albo na górę, albo na parter, mają tam wzmacniacze sygnału.

Rozczarowana Clair wrzuciła telefon z powrotem do kieszeni.

Zaczęła od pierwszego rzędu po prawej – wsunęła klucz do zamka szafki w górnym rogu, spróbowała przekręcić, wyciągnęła i przeszła do następnej. Jedna odhaczona, zostały jeszcze ze trzy miliony.

118

PAMIĘTNIK

Doktor się na mnie gapił.

Znów w jego gabinecie.

Mój nóż w rogu jego biurka.

Ciężka dłoń na moim ramieniu należąca do kogoś, kogo nie widziałem.

Doktor nachylił się bliżej.

Z ust śmierdziało mu cebulą.

– Anson?

Powinienem wziąć nóż.

Powinienem zapomnieć o planie, wziąć swój nóż i...

Zacząłem krzyczeć.

Krzyczałem tak głośno, że dźwięk ten palił mnie w gardle, tysiąc żyłek podchodzących w górę i wydostających się na zewnątrz.

Stłumiłem czas.

Z powrotem w moim pokoju.

W moim łóżku.

Gapienie się w sufit.

Chciałem uciec, ale dziewczyna już nie płakała.

Plan nie zadziała, jeśli nie będzie płakać.

Jeszcze więcej takich dni.

Jeszcze więcej takich nocy.

Dlaczego nie wziąłem tego noża?

119

POOLE

Dzień czwarty, 18.38

Frank Poole po raz enty wyszedł z sali przesłuchań i oparł się o ścianę w korytarzu. Gdyby nie obawiał się, że połamie sobie rękę, pewnie walnąłby pięścią w betonowe pustaki.

– Ten facet nie zacznie gadać – powiedział Direnzo. – Zaproponowałbym, że sam spróbuję, gdybym sądził, że to coś da, ale naoglądałem się już takich gości. A w tym przypadku jest jeszcze gorzej, bo jako strażnik facet dobrze zna procedury i nie pęknie tak łatwo. Wie, że wolno nam naciskać tylko do pewnego momentu.

– Znaleźli coś u niego w mieszkaniu?

Kapitan pokręcił głową.

– Facet mieszka w dziupli, zresztą „mieszka” to dużo powiedziane. Żadnych obrazków ani zdjęć na ścianach, żadnego telewizora, żadnych mebli oprócz składanego stolika z krzesłem w kuchni i materaca na podłodze sypialni. Moi chłopcy powiedzieli, że przyłapali go na pakowaniu, ale ja mam wrażenie, że był już spakowany. Myślę, że w ogóle się nie rozpakował. Był w Nowym Orleanie tylko przejazdem. Wypuścił rano tamtą babkę, zadanie wykonane. Mógł jechać dalej.

– A Stateville?

– Vina przez całe popołudnie próbował złapać tamtejszego naczelnika. Na razie bez powodzenia. Facet albo jest bardzo zajęty, albo unika jego telefonów. – Dorenzo cmoknął z dezaprobatą. – Pracuję w tym fachu już od prawie dwudziestu pięciu lat. Podejrzewam absolutnie wszystkich, więc może pan mnie zignorować, ale instynkt mi mówi, że skoro do tego Stateville wydzwania pana szef, mój szef i nie wiadomo kto jeszcze, to naczelnikowi pali się grunt pod dupą i próbuje jak najszybciej zrobić porządki. O ile nikt nie złoży mu niezapowiedzianej wizyty, to wątpię, żeby się do kogokolwiek odezwał, dopóki nie pozbiera się do kupy i nie przygotuje wiarygodnej historyjki na wytłumaczenie numerów Weidnera.

„Libby McInley”.

Direnzo podszedł do lustra weneckiego. Przez ostatnie kilka godzin Weidner nie tylko nie zmiękł, ale sprawiał wręcz wrażenie bardziej zawziętego.

– Problem numer dwa: zażądał prawnika ponad dwie godziny temu. Nawet jak na nowoorleańskie standardy trochę przeciąga pan strunę. Teoretycznie żaden z nas nie powinien w ogóle już z nim rozmawiać.

– Wspominał pan, że dzwonił do niej, prawda?

– Tak, ale nikt się nie zgłasza. Od razu włącza się poczta głosowa, i na komórce, i pod numerem kancelarii.

– A co z NN?

– Nic z nią nie robimy, tak jak pan prosił. Przebywa ciągle w najbliższym otoczeniu kancelarii Werner. Dane z nadajnika w bransoletce elektronicznej wskazują, że kręci się po drugiej stronie ulicy, w jakiejś alejce. Są tam tylko opuszczone budynki, nic ciekawego. Ewidentnie na kogoś albo na coś czeka. Policja podstawiała nieoznakowane samochody na wszystkich drogach dojazdowych. Trzymają się na dystans, obserwują ruch. Podejrzewamy, że kiedy pojawi się ten ktoś, na kogo czeka, wyłączy opaskę. Daleko nie zajędzie.

– Żadnych śladów Portera?

– Na razie nie. Wygląda na to, że ją tam zostawił. Pewnie pojechał gdzieś z Werner i jeszcze nie wrócili. Albo Werner jest w środku, ale za przykładem

naczelnika ze Stateville postanowiła ignorować telefony. Nie mamy jak tego sprawdzić. Mieszka w lokalu nad kancelarią. Może tam tkwić całymi dniami, nie ma powodu nigdzie się ruszać.

Kiedy Poole poinformował agenta dowodzącego Hurlessa o rozwoju sytuacji, przełożony stwierdził, że Porter wyciągnął kobietę z więzienia, a Bishop miał się z nią spotkać. Najprawdopodobniej umówili się w tamtej alejce. Prawniczka nie zaryzykowałaby spotkania w kancelarii. Gdyby doszło do niego na neutralnym terenie, mogłaby się prawie wszystkiego wyprzeć. Poole nie rozumiał, dlaczego ona w ogóle dała się w to wciągnąć. Po co ryzykować prawo wykonywania zawodu? Karierę? Może nawet wolność?

Oczywiście podejrzenia Hurlessa opierały się na teorii, że Sam Porter współpracuje z Bishopem, ale Poole'owi nadal jakoś to nie pasowało. Próbował w to uwierzyć, próbował dopasować wydarzenia do tej teorii, ale coś mu nie grało.

Hurless zostawił jasne polecenia – wypatrywać Portera, wykorzystać matkę Bishopa jako przynętę. Obserwować okolicę, ruszyć, kiedy pojawi się Bishop. Do tego czasu czekać spokojnie.

Poole zaczynał chodzić po ścianach. Miał dość bezczynności.

– Może mnie pan tam podwieźć?

120

CLAIR

Dzień czwarty, 19.13

Clair wsunęła srebrny klucz z wyrytymi literami J.H.S.H. do zamka szafki numer 1812 i przekręciła bez większej nadziei na sukces. Spodziewała się, że klucz utknie nieruchomo, jak we wszystkich pozostałych szafkach, które próbowała otworzyć przez ostatnie kilka godzin. Nie spodziewała się, że klucz się przekręci, a już na pewno nie tego, że otworzy szafkę.

– Sue?

Salowa i tymczasowa przewodniczka po szpitalnych szatniach podniosła wzrok znad najnowszej powieści Nory Roberts i wyciągnęła słuchawki z uszu.

– Tak?

– Kto ma szafkę numer tysiąc osiemset dwanaście?

Sue odgarnęła kosmyk blond włosów z oczu i zaczęła przeglądać teczkę z papierami. Zatrzymała się na trzeciej czy czwartej stronie i przesunęła palcem w dół listy.

– To... cholera.

– Kto?

– Doktor Randal Davies z onkologii. On... umarł, przedwczoraj. Cały szpital o tym mówi. Rozległy udar, a był zdrowy jak ryba. Jego córka...

Clair już nie słuchała.

Pociągnęła drzwiczki i otworzyła je powoli.

W środku zobaczyła opasłą teczkę, grubą na jakieś pięć centymetrów. Na teczce leżało jaskrawoczerwone jabłko, z którego sterczała igła do zastrzyków.

Clair włożyła lateksowe rękawiczki, które miała w kieszeni.

– Sue, możesz mi przynieść moją torbę? Zostawiłam ją chyba w sekretariacie.
– Przydadzą się torebki na dowody.

Dwoma palcami delikatnie wyjęła jabłko z szafki i obróciła je w dłoni. Skórka wokół igły była lekko odbarwiona, ale poza tym jabłko nie wykazywało żadnych oznak zepsucia. Odłożyła je ostrożnie na ławkę z tyłu i sięgnęła do środka po teczkę, tym razem obiema rękami. Wyciągnęła ją z szafki i położyła na ławce obok jabłka.

Na okładce widniał napis: „PAUL EDWARD UPCHURCH”.

W środku znalazła co najmniej dwieście kartek, niektóre przymocowane do grzbietu, inne luzem. Karty choroby, notatki, wyniki badań, zdjęcia z prześwietleń – wszystkie sprzed niemal roku. Na samym wierzchu leżał liścik napisany znajomymi kanciastymi literami.

Dzień dobry, Pani Norton albo Panie Nash. Domyślam się, że to któreś z was. Mam nadzieję, że macie się dobrze. Lepiej niż niektórzy.

B.

121

PAMIĘTNIK

Przez ostatnie dni nie pisałem.

Straciłem poczucie czasu.

Ojciec by się wściekł.

Ojciec zdecydowanie by się wściekł.

Była 15.24, tyle wiedziałem dzięki wewnętrznemu zegarowi, ale nie miałem pojęcia, jaki jest dzień ani jak długo tu byłem. Ciągle to samo, jedna monotonia zlewająca się z kolejną.

Kiedy usłyszałem dźwięk przekręcania klucza w zamku w drzwiach do mojego pokoju, podniosłem głowę i zobaczyłem w progu doktora Oglesby'ego.

– Jak się dziś czujesz, Ansonie?

– Dobrze.

Słowo zabrzmiało cicho i chyba go zaskoczyło, bo odezwałem się pierwszy raz od wielu dni.

Usiadłem na łóżku, a potem wstałem i rozprostowałem nogi.

Doktor zwykle się uśmiechał, kiedy przychodził zabrać mnie na sesję. Dzisiaj się nie uśmiechał. Omiótł wzrokiem cały pokój – pusta taca po obiedzie na komodzie, wczorajsze ubrania ciśnięte na krzesło w zmiętą kupkę – spinacz biurowy leżał ukryty pod materacem i przez chwilę zdawało mi się, że wzrok doktora zatrzymał się tam na dłużej, chociaż pamiętałem o zachowaniu ostrożności, kiedy go chowałem, starając się unikać kamery.

– Chodźmy, Ansonie.

Otworzył drzwi szerzej i gestem przepuścił mnie przodem.

Siostra Gilman nie uśmiechnęła się, kiedy mijaliśmy dyżurkę pielęgniarek. Stała ze spuszczoną głową i przekładała jakieś papiery na biurku.

Drzwi do pokoju dziewczyny były otwarte.

Zajrzałem do środka, miałem nadzieję, że zobaczę ją siedzącą na łóżku. Nie było jej tam. Na łóżku nie było pościeli, pokój był zupełnie pusty – co więcej, pozbawiony

duszy.

– Gdzie ona jest?

Doktor położył rękę na moim ramieniu i popchnął mnie do przodu.

– Chodź już, Ansonie.

Pod gabinetem lekarskim siedziało dwóch mężczyzn w wymiętych garniturach.

Kiedy podeszliśmy bliżej, podnieśli wzrok.

Jeden z mężczyzn wstał.

– To on?

Doktor na chwilę mocniej ścisnął mnie za ramię, a potem puścił.

– Detektywie, to jest Anson Bishop. Ansonie, to właśnie detektyw, o którym ci mówiłem, pan Welderman, i jego partner, pan... Przepraszam, zapomniałem nazwiska.

Drugi mężczyzna też wstał i wygładził spodnie.

– Stocks, Ezra Stocks.

– Odwróć się, Ansonie. Ręce za plecy – powiedział detektyw Welderman.

Posłusznie wykonałem polecenie.

Zimna stal otoczyła moje nadgarstki i zacisnęła się z kliknięciem.

Kajdanki.

Detektyw kliknął obiema metalowymi bransoletkami jeszcze raz, aż wpiły mi się w przeguby.

– Ciasno.

– Tak.

Pomyślałem o spinaczu pod materacem. Mógłbym nim otworzyć kajdanki.

– Chodźmy – powiedział Welderman i popchnął mnie w plecy.

Detektyw Stocks poprowadził nas obok stanowiska strażnika, przez metalowe drzwi, które otworzyły się z elektronicznym brzękiem, potem długim ciągiem korytarzy do windy, a w końcu do drzwi wyjściowych. Za plecami słyszałem, jak doktor Oglesby przyciszonym tonem rozmawia z detektywem Weldermanem, ale nie rozróżniałem poszczególnych słów.

Przy krawężniku czekał chevrolet malibu, biały niegdyś lakier pokrywała warstwa tłustego brudu. Stocks otworzył tylne drzwi.

Zatrzymałem się i zapałem mocno stopami. Welderman pociągnął za kajdanki, boleśnie wykręcając mi ręce w stawach.

– Ruszaj się, młody.

Popchnął mnie w stronę samochodu.

– Czy mogę zamienić z chłopakiem dwa słowa? Na osobności? – zapytał doktor Oglesby.

– Streszczajcie się. – Poczulem rozluźnienie chwytu na kajdankach, detektywi obeszlili samochód i stanęli przed nim. Stocks wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Welderman uniósł dłoń, jakby go powstrzymywał.

– Nie ma czasu – usłyszałem.

Doktor obrócił mnie w swoją stronę i przyklęknął na chodniku.

– Dałem ci tyle szans, żebyś ze mną porozmawiał, Ansonie, tyle szans. Nic więcej nie mogę już dla ciebie zrobić.

– Gdzie jest ta dziewczyna? – zapytałem. – Co się z nią stało?

– Musisz współpracować z tymi panami. Jesteś młody, jakoś to przetrwasz.

– Chcę dostać z powrotem mój nóż.

Doktor nachylił się bliżej. Myślałem, że chce mnie przytulić. Ale nie, usłyszałem w uchu szept:

– Jaki nóż? – Potem wstał i cofnął się o krok. – Powodzenia, Ansonie. Życzę ci wszystkiego najlepszego.

Pomachał do detektywów, żeby do nas wrócili.

Stocks wepchnął mnie na tylne siedzenie i zatrzasnął drzwi z głośnym hukiem.

122

PORTER

Dzień czwarty, 20.01

Udało im się pokonać trasę wyjątkowo szybko.

Porter raz na jakiś czas zerkał na deskę rozdzielczą i widział wskazówkę prędkościomierza wychyloną niebezpiecznie w prawo, ale Sarah upierała się, że jej bmw jest odporne na patrole drogówki.

Kiedy na horyzoncie pokazały się światła Chicago, Sarah wreszcie zwolniła, ale nie ze strachu, a dlatego że ruch znacznie zgęstniał.

– Zjazd 26A – powiedziała NN. Wcześniej przez całą podróż nie odezwała się ani słowem.

Porter próbował ją wcześniej skłonić do mówienia, prowokować podchwytliwymi pytaniami opartymi na zawartości pamiętnika Bishopa – pytaniami o Carterów, o Franklina Kirby’ego i Briggsa, o jej męża, nawet o Bishopa – ale w odpowiedzi tylko obrzucała go zimnym, twardym spojrzeniem albo gapiała się przez okno na mijany krajobraz.

– Oho, panna niemowa wreszcie raczyła się odezwać – stwierdziła Sarah, zjeżdżając na prawo. – Dokąd właściwie jedziemy?

– Zjazd 26A – powtórzyła.

– No dobra, 26A. A potem?

Brak odpowiedzi. Sarah przewróciła oczami.

– Niech ci będzie, tylko daj mi znać wcześniej, kiedy mam zmienić pas, żebyśmy nie utknęli w korku.

Miasto zbliżało się coraz bardziej i wkrótce ich otoczyło, strzeliste budynki piętrzyły się groźnie nad ich głowami.

Powietrze wręcz wyglądało na zimne.

Niedawno spadł śnieg, wszystkie powierzchnie pokrywała warstewka czystej bieli. Porter wiedział, że jutro rano śnieg wzdłuż autostrady zrobi się szary, miejscami nawet czarny, ale na razie był świeży i bielutki. Kurtkę miał w bagażniku – w Nowym Orleanie nawet nie musiał jej wyjmować. Sarah była w samej bluzce.

Bmw zwolniło i Sarah skręciła w zjazd, który zatoczył łuk i zaprowadził ich pod autostradę. Pługi odśnieżyły drogę, ale Porter na wszelki wypadek i tak radził jej jechać ostrożnie, bo nie wiedział, czy miała doświadczenie w jeździe w takich warunkach.

– Na dole skręć w Independence i jedź na północ do Hamlin.

Porter znał te okolice. Kierowali się w stronę West Garfield i K-town.

– To nie jest dobra dzielnica.

– Nie przyjechaliśmy zwiedzać. Poza tym jesteśmy spóźnieni.

– Są dwie minuty po ósmej – powiedział Porter.

– Anson wyraził się bardzo precyzyjnie.

– Nie podoba mi się to – powiedziała Sarah, bacznie obserwując grupki mężczyzn, którzy stali na ulicy i przyglądali się im.

South Independence Boulevard odbił nieco w prawo i przeszedł w North Hamlin Avenue.

– Skręć w lewo w Washington.

Sarah wykonała polecenie.

– Tutaj. Zjedź tutaj. Podjedź od tyłu.

Porter przycisnął twarz do szyby i spojrzał w górę.

– To Hotel Guyon, prawda? Myślałem, że zburzyli go już lata temu.

NN wyglądała przez okno z miną osoby, która zobaczyła przyjaciela z dawnych lat.

– Wielu próbowało, ale to kapryśna suka. Odgania deweloperów jak komary. W osiemdziesiątym piątym władze federalne oficjalnie wpisały ją do rejestru zabytków. Nigdzie się nie wybiera.

Sarah wjechała na parking na tyłach budynku i zgasiła silnik.

– Co teraz?

– Teraz wchodzimy do środka.

– Niby jak? Wejścia są zabite deskami.

Porter przyjrzał się uważnie. Sarah miała rację. Płyty pilśniowe zakrywały wszystkie otwory okienne i drzwiowe od parteru do czwartego piętra. Wyżej nie było jak się dostać, schody ewakuacyjne już dawno zdemontowano. Budowlę otaczało ogrodzenie z metalowej siatki. Prawdziwy raj dla gangsterów i bezdomnych.

– Jak już mówiłam, jesteśmy spóźnieni. Wypuście mnie z tego auta.

123

POOLE

Dzień czwarty, 20.07

– Jesteś pewny, że ona tam jest? – Poole miał na koncie sporo zasadzek, pewnie nawet więcej, niż byłby w stanie zliczyć, ale nawet jego cierpliwość się już wyczerpała. Zaczął mimowolnie bębnić palcami w drzwi po stronie pasażera, Direnzo tymczasem kartkował jakieś czytadło.

– Mogę znowu zadzwonić – powiedział Direnzo. – Ale piętnaście minut temu była w tej uliczce. Nie ma z niej innego wyjścia. Mamy zarejestrowany ruch i oznaki życia. Jest tam.

Poole dzwonił do agenta Hurlessa już dwa razy, odkąd tu przyjechali, ale zwierzchnik nalegał, żeby ograniczyli się do obserwacji i czekali na Bishopa. Porter nie wyciągnąłby jej z więzienia tylko po to, żeby zostawić ją w zaułku. Musieli wrócić.

Poole nie tylko uważał, że Hurless się myli, ale zaczynał też podejrzewać, że Bishop jest zupełnie gdzie indziej. Cała ta sytuacja wzbudziła w nim złe przeczucia.

- Co trzeba zrobić, żeby zdjąć taką opaskę monitorującą?
- Rozmawialiśmy już o tym w więzieniu, nie da się tego zrobić.
- Wszystko da się zrobić. Wytłumacz mi jeszcze raz.
- Do każdej bransoletki jest przyporządkowany unikalny klucz, którego nie da się dorobić. Gdyby ktoś przeciął opaskę, zobaczylibyśmy nagły zanik funkcji

życiowych. Włączyłby się alarm. Klucz do bransoletki NN numer dwa jeden trzy osiem jest na swoim miejscu. Sprawdziłmy.

– A Weidner ma dostęp do kluczy?

– My mamy jej klucz – powiedział Dorenzo. – Jest tylko jeden.

Poole przeklął się w myślach, że wcześniej na to nie wpadł.

– Weidner wiedział, że sprawdzicie klucze, więc pewnie je zamienił. Podrzucił na jego miejsce jakiś inny, żeby wszystko wyglądało tak jak powinno. Przynajmniej ja bym tak zrobił na jego miejscu.

– Jak tam pójdziesz, to będziemy spaleni. Nie da się tego cofnąć.

Poole już wysiadał z samochodu.

124

CLAIR

Dzień czwarty, 20.08

Clair odłożyła telefon po rozmowie z Nashem.

Ciągle był w domu Upchurcha.

Ona zaś ślęczała z Klozem nad dokumentacją medyczną rozłożoną na stole, uważnie studiując tekst. Znaleźli wzmianki o wszystkich pracownikach zgromadzonych w stołówce, ale na tym nie koniec. W różnych miejscach pojawiało się jeszcze kilkanaście innych nazwisk. Radiowozy jeździły po całym mieście, zgarniały każdego, o kim choćby wspomniano w aktach Upchurcha, i przywoziły do szpitala.

– Następna – powiedział Kloz. – Angelique Waltimayer. Pielęgniarka na oddziale ratunkowym. Upchurch zgłosił się jakiś miesiąc temu i zostawili go na noc.

Clair skinęła głową do Sue. Zwerbowali salową do pomocy w łapance. Kobieta nie potrzebowała instrukcji, już trzymała w ręku telefon i wybierała numer oddziału.

– Nie obchodzi mnie, czy właśnie zatyka komuś ranę postrzałową własnym palcem, ma dołączyć do reszty – powiedziała Clair i wróciła do dokumentów.

– Facet miał jak do tej pory trzy operacje, wszystkie w tym szpitalu – powiedział Kloz. – Wygodniej by było wszyć mu w głowę zamek błyskawiczny.

Wyskrobują guza, a on zaraz potem wraca. Pierwszy był wielkości piłki golfowej... Słuchaj, urósł do takich rozmiarów w parę tygodni.

– Właśnie go przygotowują do następnej operacji – mruknęła Clair. – Mam nadzieję, że skurwiel wykituje na stole.

– Nie rozumiem, jakim cudem on w ogóle jeszcze żyje. Wycięli mu taki kawał mózgu, że mógłby zostać politykiem.

– Pani detektyw?

Clair podniosła głowę. W progu otwartych drzwi stał doktor Hirsch. Łysiejący mężczyzna koło pięćdziesiątki, w małych okrągłych okularach i z jaskrawofioletowym krawatem pod szyją.

– Tak?

– Kati Quigley właśnie się wybudziła. Są u niej rodzice.

Clair zerknęła na Klozowskiego.

– Idź, poradzę sobie – powiedział.

Clair wypadła na korytarz, doktor podążył za nią.

– Jakież wieści o Larissie Biel? – zapytała już w windzie.

Doktor Hirsch podrapał się po brodzie.

– Ciągłe ją operują. Myślę, że przeżyje, ale naprawa uszkodzeń po tego typu urazie może zająć dużo czasu. Trafiała do doktora Crandala. To fenomenalny chirurg. Słyszałem, że wezwał specjalistę, żeby zbadał stan jej gardła, zwłaszcza strun głosowych. Jeśli dziewczynie grożą jakieś trwałe konsekwencje urazu, to prawdopodobnie związane z mową. Na razie za wcześnie, żeby coś stwierdzić, ale niedługo powinniśmy wiedzieć. Myślę, że zajmie to jeszcze co najmniej godzinę.

Drzwi windy się otworzyły. Wyszli na korytarz i skręcili w lewo.

Kati Quigley leżała w jednoosobowej sali na pierwszym piętrze, na posterunku pod drzwiami tkwił umundurowany policjant. Clair widziała ją przez wąską szybę w drzwiach. Dziewczyna siedziała w łóżku i gestykulowała z ożywieniem. Po lewej stali jej rodzice. Lekarz otworzył drzwi i wpuścił Clair do środka. Wszyscy Quigleyowie spojrzeli na nią jak na komendę.

Ojciec Kati stanął między Clair a łóżkiem.

– O nie, Kati musi teraz odpoczywać. Może złożyć zeznania, kiedy już odzyska siły. – Zjawił się w szpitalu w garniturze, ale teraz marynarka i krawat wisiały na oparciu jednego z krzeseł w kącie. Kloz mówił, że facet jest prawnikiem.

– To nie problem, tato. Nic mi nie jest. Chcę pomóc.

Matka Kati złapała ją za rękę i mocno ścisnęła.

– Oczywiście, córeczko, ale tata ma rację.

Clair czuła, że ci ludzie próbują jej zablokować drogę, miała ochotę ich staranować i dopiąć swego, ale zamiast tego policzyła w myślach do pięciu, zrobiła wdech i zmusiła się do uśmiechu.

– Rozumiem państwa obawy, naprawdę. Obiecuję, że to nie zajmie dużo czasu. Lepiej jednak zrobić to teraz, póki wydarzenia są jeszcze świeże w pamięci. Doktor Hirsch będzie obserwował pacjentkę. Jeśli stwierdzi, że za bardzo się męczy, natychmiast przerwiemy rozmowę.

– Kurna, tato, to ważne!

– Kati! – Matka zgromiła ją wzrokiem.

– Przepraszam, mamó – powiedziała Kati. – Proszę, pozwólcie mi z nią porozmawiać.

Ojciec nie ruszył się z miejsca.

– Złapaliście tego potwora, który to zrobił, prawda?

– Sądzymy, że było ich dwóch.

– Tato, proszę.

Zamknął oczy i pokręcił głową.

– Niech będzie, ale macie parę minut.

– Dziękuję. – Clair minęła mężczyznę i przysiadła po prawej stronie łóżka, naprzeciwko matki Kati. Wyjęła komórkę i położyła ją na kołdrze. Wyciągnęła dłoń i złapała Kati za wolną rękę, tę z kroplówką.

– Bardzo się cieszę, że jesteś cała i zdrowa. Będę nagrywała naszą rozmowę, masz coś przeciwko?

– Nie, w porządku.

– Opowiedz mi, proszę, wszystko, co pamiętasz. Zaczynij od początku i się nie śpiesz. Czasem nawet najdrobniejsze szczegóły mogą okazać się najważniejsze.

Kati kiwnęła głową. Skrzywiła się i kichnęła głośno.

– Na zdrowie – powiedziała pani Quigley.

Clair podała Kati chusteczkę z szafki nocnej.

Dziewczyna otarła załzawione oczy.

125

POOLE

Dzień czwarty, 20.08

Poole skręcił w ślepy zaułek, gdzie powitało go kilkanaście wrogich, nieruchomych spojrzeń. Kobieta koło pięćdziesiątki z kolorowymi koralikami w skołtunionych siwych włosach odsunęła się na bok i przycisnęła plecy do ściany budynku. Stopą przyciągnęła bliżej tekturowe pudło.

Poole podniósł odznakę. Kobieta odwróciła się i kiwnęła głową w głąb uliczki.

Zaułek miał jakieś dwa i pół metra szerokości i dziesięć długości, po obu stronach leżały duże kartony i prowizoryczne namioty sklecone ze wszystkiego, od prześcieradeł po plastikowe reklamówki posklejane taśmą. W powietrzu unosił się odór moczu i zepsutego jedzenia.

Znowu skinęła głową.

Poole podążył za jej spojrzeniem.

Pudło po lodówce pod ścianą po lewej, jakieś sześć metrów dalej.

Ludzie z zaułka zaczęli odsuwać się od pudła, rozpierzchli się na wszystkie strony. Troje przebiegło obok niego i wypadło z zaułka. Poole usłyszał, jak policjanci wyłapują ich na chodniku.

Podszedł do kartonu po lodówce, trzymając dłoń na kolbie pistoletu. Kiedy zbliżył się na odległość kilku kroków, kopnął w bok pudła.

– Agent specjalny Frank Poole z FBI. Proszę wyjść.

Z otworu na drugim końcu wynurzyła się ręka, potem druga.

Poole nie spuszczał wzroku z mężczyzny w uświnionej niebieskiej koszulce i dżinsach, który wyczołgiwał się na zewnątrz.

– Nie strzelać.

Direnzo pojawił się za Poole'em z bronią w ręku.

– Szlag.

Bezdomny miał na kostce opaskę monitorującą.

Poole obrócił się na pięcie i przebiegł obok Direnza.

– Kancelaria Werner! Ale już!

126

PORTER

Dzień czwarty, 20.09

– Otwórz bagażnik – powiedział Porter.

Samochód stał tuż pod ogrodzeniem na tyłach hotelu.

Porter pierwszy wyskoczył z samochodu. Poszedł na tył i wyjął swoją kurtkę oraz kurtkę Sarah. Po temperaturach panujących w Nowym Orleanie teraz czuł się tak, jakby wszedł do gigantycznego kubła z lodem. Kiedy Sarah wysiadła, podał jej okrycie, a potem otworzył tylne drzwi i pomógł pasażerce wysiąść. Zarzucił jej swoją kurtkę na ramiona.

– Ale z ciebie dżentelmen – powiedziała.

Portera nie obchodziło, czy zmarznie. Zależało mu tylko na tym, żeby dodatkowo ograniczyć jej ruchy. Co prawda miała kajdanki na rękach, ale nie ufał jej za grosz.

– Jak mamy tam wejść?

– Oj, przecież chyba wiesz. – Prześlizgnęła się przez dziurę w metalowej siatce i ruszyła przez parking ku dawnemu hotelowi. Sarah popędziła za nią.

Porter zrozumiał. Wrócił biegiem do przednich drzwi po stronie pasażera i otworzył schowek. Szarpnięciem otworzył plastikową torebkę z łańcuszkiem, na którym wisiał medalion i klucz.

Jego wzrok padł na drugą torebkę, tę z nożem.

Ją również otworzył, wrzucił oba przedmioty do kieszeni, zatrzasnął drzwi i ruszył w ślad za swoimi towarzyszami.

Pługi śnieżne nie miały jak się dostać na ogrodzony teren, więc wokół hotelu wznosiły się niebotycznie wysokie zaspasy. Wiatr zawiewał śnieg pod budynek i nawarstwiał niemal do wysokości pierwszego piętra pod tylną elewacją i po bokach. Luźny puch wzbijał się nad powierzchnię, tworząc delikatną mgiełkę nad morzem bieli.

Porter szybko się zorientował, że w śniegu widać odciski stóp trzech różnych osób. Sarah, matki Bishopa i kogoś jeszcze. Bishop już tu był, najprawdopodobniej sam. Jego odciski zaczynały się już powoli wypełniać świeżym śniegiem. Za kilka godzin nie będzie już po nich śladu.

Dogonił kobiety pod ciężkimi metalowymi drzwiami w małej ceglanej wnęce przy rampie dostawczej.

Sarah stała nieco z boku i wbijała wzrok w towarzyszkę.

Matka Bishopa nuciała *Baby, It's Cold Outside* i uśmiechała się przebiegle niczym kot z Cheshire. Na widok Portera wskazała brodą zamek w drzwiach.

– No już, raz-dwa, detektywie.

Porter spojrział na nią spode łba, wsunął rękę do kieszeni i wyjął łańcuch z medalionem Libby oraz kluczem.

Trzęsącymi się rękami próbował otworzyć zamek. Chciałby móc powiedzieć, że to tylko i wyłącznie wina mrozu.

Klucz przekreślił się gładko. Ktoś musiał niedawno naoliwić zamek. Zasuwa odsunęła się z brzękiem. Porter pociągnął drzwi i gestem nakazał kobietom wejść do środka, po czym zatrzasnął je za sobą, walcząc z zawodzącym mroźnym wiatrem.

Sarah wyjęła telefon i włączyła wbudowaną latarkę.

Stali w kuchni. A raczej w pomieszczeniu, które niegdyś było kuchnią.

Niemal wszystkie sprzęty już dawno wywieziono, podobnie jak większość ogromnych stołów ze stali nierdzewnej. Zostały tylko niechciane graty. Sufit

w wielu miejscach dosłownie się posypał, więc dodatkowo wszędzie walały się płyty tynku i kawałki przegniłych desek.

– Co za dziura – stwierdziła Sarah, wodząc światłem z komórki po całym pomieszczeniu.

Porter zapuścił się głębiej, starając się omijać pobożowisko na podłodze.

– Gdzie Bishop?

– Tędy. – NN ruszyła przed siebie, szurając nogami zakutymi w kajdany.

Porter i Sarah poszli za nią. Po lewej minęli rząd przerdzewiających kuchenek i stos drewnianych skrzynek ułożonych jedna na drugiej od podłogi do sufitu.

Kuchnię od holu oddzielały kiedyś podwójne drzwi wahadłowe z okrągłymi szybkami na wysokości oczu, ale teraz jedno skrzydło leżało płasko na podłodze, a drugie sterczało ze ściany pod dziwnym kątem, zwisając z jedyne pozostałego zawiasu. Z pomieszczenia za drzwiami dobiegało migotanie świateł.

Przedarli się do holu, wyszli prosto na ladę recepcji, zza której musiał roztaczać się niegdyś wspaniały widok. W najdalszym kącie stała maszyna do popcornu, teraz stara i pełna pajęczyn.

– Średnia porcja popcornu maślanego zawiera więcej tłuszczu niż jajka na bekonie, Big Mac z frytkami oraz stek z dodatkami, czyli śniadanie, obiad i kolacja w jednym – odezwał się Bishop gdzieś w holu. – Pewnie dlatego u Bishopów nigdy nie jadło się popcornu, prawda, matko?

Porter wbijał wzrok w półmrok, w cienie tańczące na ścianach do jakiejś niesłyszalnej muzyki.

– Tutaj, Sam. Musisz chwilę poczekać, żeby oczy się przyzwyczyły.

Brzęknął dzwonek i Porter obrócił się gwałtownie w stronę drzwi frontowych, całkowicie zabitych deskami. Bishop stał tuż obok nich, przy stanowisku boyów. W rękę trzymał rewolwer, ale lufa była skierowana ku podłodze. Wyglądało to na kaliber .38. Włosy miał dłuższe, niż kiedy Porter widział go ostatnio, twarz pokrywał mu krótki zarost. Porter spodziewał się jakiegoś przebrania, może zmiany koloru włosów, ale nie – to był Bishop, jakiego znał, człowiek, który prześladował go w koszmarach i na jawie.

Porter zrobił kilka kroków do przodu, ustawiając się między Bishopem a Sarah.

– Jakoś mi do ciebie nie pasuje broń palna.

– Mówisz o tym? – Bishop podniósł rewolwer i pomachał nim z uśmiechem.

– Sytuacja mnie do tego zmusiła. – Spojrzał ponad ramieniem Portera. – Dzień dobry, matko. Jak się miewasz?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Porter zrobił kolejny krok do przodu.

– Gdzie jest bomba, Bishop? Powiedziałeś, że jeśli ją tu przywiozę, jeśli ci ją przyprowadzę, to powiesz mi, gdzie ją podłożyłeś. Powiedziałeś też, że wypuścisz dziewczynki.

– Rzeczywiście tak powiedziałem, co? – Podrapał się po głowie krótką, pękatą lufą trzydziestki ósemki. – Zdaje się, że wyznaczyłem ci też termin, prawda? Spóźniłeś się, Sam, skandalicznie się spóźniłeś. To zawsze bardzo nieuprzejmie kazać na siebie czekać, ale w tych okolicznościach spóźnienie może przynieść tragiczne wręcz skutki. Zawsze miałem cię za wzór punktualności.

Porter czuł na nodze ciężar noża w kieszeni.

– Przyjechaliśmy najszybciej, jak się dało – powiedziała Sarah za jego plecami.

Bishop z powrotem opuścił broń i zaczął krążyć wokół stanowiska boyów.

– Rzeczywiście. To naprawdę kawał drogi, co? Trochę arogancko się zachowałem, stawiając przed tobą tak trudne zadanie, a właściwie przed wami wszystkimi. – Oparł się o ladę, stara drewniana konstrukcja zajęczała pod jego ciężarem. – Możecie się odprężyć, nikt nie umarł, przynajmniej na razie. Na to zawsze jest czas. Niestety przez wasze spóźnienie musimy spędzić razem mniej czasu, niż zaplanowałem. Miałem nadzieję, że będziemy mieli okazję porozmawiać, omówić wszystko, co widzieliście przez ostatnie kilka dni, ale w tej sytuacji obawiam się, że po prostu nie możemy sobie na to pozwolić. A przynajmniej nie w stopniu, na jaki zasługuje taka rozmowa. Bomba ciągle

tyk, tyk, tyka. Nasz harcerzyk chciałby ją rozbroić. Myślę zresztą, że wszyscy mamy naglące sprawy do załatwienia.

Bishop zrobił kilka kroków do przodu, wciąż trzymając rewolwer w opuszczonej ręce.

– Mogłeś jej zdjąć te kajdany, Sam. To trochę barbarzyńskie, nie uważasz?

Matka podeszła bliżej do niego, szurając spętanymi nogami.

– Dobrze cię widzieć, Ansonie. Wspaniale.

– Pamiętasz to miejsce, prawda? – spytał Bishop z uśmiechem. – Na pewno masz stąd mnóstwo miłych wspomnień. – Zadarł głowę i spojrzął na bogato zdobiony sufit, omiatając wzrokiem sypiącą się stolarkę i misterne dekoracje. – W tych murach tkwią duchy, Sam. Słyszysz, jak krzyczą? Ja słyszę, jakby to było wczoraj, a Libby krzyczy najgłośniejszym z nich wszystkich.

Porter wyciągnął rękę i złapał stojącą obok kobietę za włosy. Przyciągnął ją blisko, łańcuchy zabręczały pod jego kurtką. Wolną ręką wyszarpnął z kieszeni nóż, wysunął ostrze i przycisnął stalowe ostrze do nagiej, bladej szyi.

– Pytam ostatni raz, ty chory pojebie. Gdzie jest bomba? Gdzie są dziewczynki?

Bishop uśmiechnął się i uniósł rewolwer.

– Dzięki, że przyniosłeś mój nóż, Sam. Może po wszystkim będziesz chciał się wymienić na spluwę? Bardzo lubię ten nóż.

Ruszył w jego stronę przez hol, lufa zdawała się rosnać z każdym jego krokiem.

Kobieta próbowała się wyrwać Samowi.

– Jesteśmy kwita, Ansonie. Nie mogę już uciec. Zrobiłam wszystko, czego ode mnie zażądałeś. Wszystko.

– Czyżby? Prawie – powiedział Bishop.

Rewolwer wypalił z hukiem tak głośnym, że aż zatrzęsło resztkami szyb w oknach.

Sarah wrzasnęła.

Głowa NN szarpnęła się i opadła na pierś Sama.

– Teraz może faktycznie – powiedział Bishop. – Tak, teraz chyba jesteśmy kwita.

127

POOLE

Dzień czwarty, 20.09

– To ten! – wrzasnął Dierenzo. – Ten wąski dom z zielono-białymi wykończeniami!

Poole wypadł z zaułka i rzucił się biegiem na drugą stronę ulicy. Z piskiem opon zahamowała taksówka, zatańczyła na jezdni. Kierowca zaczął coś krzyczeć, ale Poole nie dosłyszał treści jego protestów, zresztą chyba nie chciał słyszeć.

W kancelarii Werner było ciemno.

Przez okno dojrzał niewyraźny zarys opuszczonego biurka, kilku krzeseł i foteli na tyłach pomieszczenia.

Żadnego ruchu.

Podszedł do drzwi i załomotał mocno.

– Sarah Werner? Agent specjalny Frank Poole z FBI. Proszę natychmiast otworzyć drzwi!

Brak odpowiedzi.

Cofnął się na nieduży ganek i próbował zajrzeć przez któreś z okien na piętrze. Za ciemno.

Poole wrócił do drzwi i przekręcił gałkę.

Zamknięte na klucz.

– Sarah Werner!

Znów załomotał.

Nic.

Poole wyjął z kabury glocka i kolbą wybił jedną z szybek w drzwiach. Sięgnął do środka, uważając na ostre odłamki szkła, i przekręcił zamek.

Otworzył drzwi i wszedł do budynku, wolną ręką macając ścianę w poszukiwaniu kontaktu, aż w końcu udało mu się zapalić światło.

– Sarah? Sam? Wchodzę! Jeśli tu jesteście, zejście na dół z rękami uniesionymi nad głowę!

Na piętrze zatrzeszczała podłoga. Poole odruchowo wycelował lufę pistoletu w stronę źródła dźwięku. Nie miał pewności, czy ktoś przemieszcza się na górze, czy to tylko odgłos typowy dla starych budynków, które osiadają i powoli zapadają się w sobie.

Przemierzył główne pomieszczenie, uważnie omiatając wzrokiem każdy kąt, każdą zacienioną wnękę. Kancelaria nie miała do zaoferowania wielu kryjówek, nawet mimo licznych gratów i ozdóbek. Z tyłu domu znajdowało się wejście do korytarza wiodącego w ciemność, światło z kancelarii nie przebijało się przez wąski otwór drzwiowy. Poole wziął głęboki oddech i ruszył w tamtą stronę. Jako pierwszy za róg wyjrzał pistolet, Poole podążył za nim, gotów w każdej chwili strzelić do tego, co czaiło się w ciemności. Zobaczył jednak tylko schody prowadzące na pierwsze piętro. Zastanawiał się przez chwilę, czy i tam nie zapalić światła, ale zmienił zdanie. Jeśli ktoś rzeczywiście był na górze, to lepiej, żeby nie wiedzieli, że już do nich idzie. Niech myślą, że został na parterze.

Niepewnie postawił stopę na pierwszym schodku, potem przeniósł na nią ciężar całego ciała, ryzykując, że zdradzi go jakiś dźwięk. Panowała jednak absolutna cisza.

Poole wspiął się po schodach, jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności, coraz wyraźniej widział jakiś otwór, wnękę, a za nią zamknięte drzwi.

Ujął w dłoń zimną metalową gałkę. Przekręcił ją powoli, starając się nie hałasować. Zamek nie był zamknięty. Z cichym pyknięciem zapadka wyskoczyła z okucia w futrynie.

Drzwi otworzyły się do wewnątrz.

W jednej chwili uderzyła go fala smrodu.

Rozkład, gnicie.

Światła były pogaszone, w pokoju panowała przytłaczająca ciemność.

Poole przekroczył próg i zapalił światło. Od razu tego pożałował.

Z kanapy gapiała się na niego kobieta, wbijała w niego pusty wzrok zamglonych oczu. Póležała bezwładnie, pochylona nienaturalnie na bok. Twarz miała kredowobiałą, krew już jakiś czas temu odpłynęła do niższych partii ciała. Z bladością tym mocniej kontrastowała czarna dziura w czole, rana postrzałowa o wybrzuszonych, pomarszczonych krawędziach. Kobieta coś jadła, kiedy to się stało, na kolanach miała talerz, a jakaś niemożliwa do zidentyfikowania potrawa rozlała się na poduszki kanapy.

Zabójca prawdopodobnie stał dokładnie tam, gdzie teraz stał Poole, zaskoczył ją i strzelił z drzwi.

Podszedł do ciała, uklęknął obok na podłodze.

To nie była kobieta z więzienia, nie mogła nią być. Zwłoki leżały tu od kilku dni, może nawet od tygodnia, proces rozkładu łąpczywie pożerał żywe niegdyś tkanki. Na prawej dłoni denatka miała srebrny pierścionek, palec spuchł do rozmiarów serdelka.

– Szlag – powiedział kapitan Dierenzo za plecami Poole'a. – To Sarah Werner.

Poole nawet nie usłyszał, kiedy tamten wszedł do domu.

128

PORTER

Dzień czwarty, 20.14

– Matko, daj Samowi swój telefon, proszę – powiedział Bishop. Dym z lufy pistoletu częściowo przesłonił mu twarz.

Sarah wyciągnęła rękę, podsuwając mu telefon.

– Anson, synku, dlaczego naopowiadałeś temu miłemu panu, że twój ojciec nie żyje? Nie tak cię wychowaliśmy. Cała ta twoja książeczka jest pełna kłamstw.

Ciało wysunęło się Porterowi z rąk i opadło na podłogę.

Wypuścił z ręki nóż.

Serce waliło mu jak młotem.

Bishop uklęknął, podniósł nóż i położył rewolwer na ladzie obok maszyny do popcornu.

– Wcale nie cała, matko. Tylko fragmenty. Białe kłamstewka tu i ówdzie. To zawsze była twoja specjalność.

Porter wodził wzrokiem od wyciągniętej ręki Sarah przez telefon w jej dłoni po ciało leżące na ziemi.

– Niewyraźnie wyglądasz, Sam. Powinieneś sobie usiąść. Martwię się o ciebie. – Bishop sięgnął w bok, wziął stare drewniane krzesło ze sterty zdezelowanych mebli i otrzepał je z kurzu. Tapicerka w kwiaty na wyściełanym oparciu i siedzisku była cała podziurawiona, przezarta na wylot. Coś obgryzło

jedną z nóg. Bishop podsunął mu krzesło za plecy i Porter opadł na nie, jakby nogi zmieniły mu się w galarete.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – wydyszał. – Nie...

– Wyrażaj się, Sam.

Sarah przewróciła oczami.

– Chryste, Anson. Jesteś taki sam jak ojciec.

Porter spojrzał na ciało leżące u jego stóp. Kula zostawiła małą okrągłą dziurkę w czole, bardzo mało krwi. Nie było rany wylotowej, pewnie pocisk grzybkujący, który utkwiał w środku. Nieruchome oczy patrzyły przed siebie, ostatnie słowa zastygły na zawsze na ustach. „Jesteśmy kwita, Ansonie. Nie mogę już uciec. Zrobiłam wszystko, czego ode mnie zażądałeś.

Wszystko”.

– Kto...? – wybełkotał z trudem.

Bishop uklęknął przy ciele na podłodze, spojrzał w puste oczy.

– Nazywała się Rose Finicky i zasługiwała na śmierć, zasługiwała na to, żeby umrzeć sto razy, wcale nie była czysta.

– Finicky?

– Tak.

– Kim... To ona zabiła Libby? To dlatego...?

– Chętnie omówiłbym to wszystko ze szczegółami, ale jak już mówiłem, spóźniłeś się, więc czas nas goni. Świat nie czeka na nikogo, a my mamy dzisiaj masę rzeczy do załatwienia.

Porter czuł na sobie wzrok Sarah. Matki Bishopa. On jednak nie mógł na nią patrzeć. Nie mógł spojrzeć jej w twarz. Ani teraz, ani może nawet nigdy. Jakimś sposobem wiedział, że kobieta się uśmiecha, co jeszcze pogarszało sytuację.

– Ją też zabijesz?

Sarah przestąpiła z nogi na nogę.

– Nie robi mi krzywdy. Prawda, Ansonie?

– Nie? Zobaczymy. Jeszcze zobaczymy.

– Przywiozłam ci tutaj Finicky, tak jak prosiłeś – wypaliła Sarah.

Bishop przechylił głowę z uśmiechem.

– A ona przywiozła ciebie... Tak jak prosiłem. Zabawne, jak to się w życiu plecie. – Bishop wytarł ostrze noża o nogawkę spodni, złożył go i wrzucił do kieszeni. – Finicky zrobiła wiele okropnych rzeczy. Sporo z nich właśnie tutaj, w tym budynku – ciągnął. – Szukałem jej od bardzo dawna, prawie tak długo, jak szukałem matki. Oczywiście obie miały swoje powody, żeby się ukrywać, ale nikt nie może się chować wiecznie.

Oczy Portera powędrowały do rewolweru leżącego na ladzie. Dzielił go od niego niewiele ponad metr. Mógł go dosięgnąć.

– Skoro twój ojciec żyje, to gdzie jest? Po co wymyślać jakąś historyjkę o jego śmierci?

Bishop zachichotał pod nosem.

– On ciągle jeszcze na to nie wpadł, matko.

– Jeszcze nie, ale w końcu wpadnie. Wierzę w niego – powiedziała Sarah. Podeszła bliżej, stanęła tuż za plecami Portera i przeczesała mu włosy dłonią.

Porter rzucił się do rewolweru.

Zanim zdążyła zareagować, już zerwał się z krzesła i odepchnął jej rękę. Dosięgnął broni, porwał ją z lady, odskoczył w bok i wycelował w nich oboje.

– Nie ruszać się.

Bishop się uśmiechnął.

– Sam, to nic nie...

Sam wycelował tuż obok głowy Bishopa i strzelił. Huk odbił się echem w pomieszczeniu, kula utkwiała w przeciwległej ścianie.

Matka Bishopa zachłysnęła się powietrzem.

– Mówiłam ci, że strzeli, Ansonie.

– Nie strzelił do mnie, matko.

– Daj mi swój telefon.

– Matko, daj telefon detektywowi Porterowi.

– Chciałam mu go już wcześniej dać, to zaczął odstawiać sceny. – Zrobiła krok do przodu i podała mu telefon.

Porter wyrwał jej go z ręki i przesunął palcem po ekranie.

– Stań z powrotem obok niego.

„Brak zasięgu”.

– Będziesz musiał iść na górę, żeby zadzwonić. Te stare budynki w ogóle nie chcą współpracować z telefonami komórkowymi. Zostawiłem ci coś w pokoju czterysta pięć. Tam telefon będzie dobrze działał, więc możesz przy okazji zadzwonić.

Porter rozejrzał się dookoła i znalazł wzrokiem kręte schody biegnące w górę w dalekim kącie.

– Wszyscy pójdziemy. Powiesz mi, gdzie jest bomba, gdzie są te dziewczynki, a potem oboje traficie do więzienia. Jeśli mi nie powiesz, to znowu strzelę, tym razem może do niej. I może tym razem nie będę się starał spudłować.

Bishop wetknął rękę do kieszeni.

– Chciałbym ci podziękować za to, że przywiozłeś do mnie matkę, Sam. Finicky też. Dwie pieczenie. Miałem ostatnio nieco... ograniczone możliwości przemieszczania się. Bardzo mi pomogłeś. Te ostatnie miesiące były trudne, ale wreszcie wszystko się układa. Patrę w przyszłość z optymizmem, naprawdę.

– Na schody, już.

Bishop znów się uśmiechnął.

– Puścisz nas wolno, Sam. A potem pójdziesz na górę do pokoju czterysta pięć i wykonasz telefon. Nie ten, który chodzi ci teraz po głowie, ale zupełnie inny.

– Ostatnie ostrzeżenie. Na schody.

Bishop wyciągnął dłoń, złapał matkę za rękę i wciąż z uśmiechem na twarzy powiedział:

– Zrobisz dokładnie to, co mówię, Sam. Zaraz się dowiesz dlaczego.

129

KLOZ

Dzień czwarty, 21.11

Klozowski wrócił do swojego tymczasowego gabinetu w szpitalu imienia Johna H. Strogera Jr. i ostrożnie podszedł do komputera z dwoma kubkami kawy w rękach. Dokumenty z teczki Paula Upchurcha zajmowały wszystkie płaskie powierzchnie.

Przez ostatnie dwie godziny przejrzał każdą stronę akt, wyłuskał z nich wszystkie nazwiska, a potem przekazał informacje zespołowi oddelegowanemu do namierzenia wszystkich i ściągnięcia ich do szpitala. W sumie doszły trzydzieści dwie osoby, nie licząc dzieci i małżonków. Sprowadzili tyle osób, że stołówka przestała wystarczać i Clair musiała zająć jeszcze dwa sąsiednie pomieszczenia socjalne. Była tam teraz, starała się uspokoić liczną grupę, zorganizować pracę mundurowych i wszystkich przesłuchać.

Większość tych osób nie miała pojęcia, dlaczego policja ich tu ściągnęła. Z ich relacji wynikało, że zaledwie garstka kojarzyła Upchurcha z nazwiska. Przypadłość, na którą cierpiał, była okropna, owszem, ale nie taka rzadka. Każdy, kto codziennie miał w pracy do czynienia ze śmiercią, z czasem uczył się od tego odcinać, nabierał dystansu.

Kati Quigley się obudziła i gadała jak najęta. Clair opowiedziała mu, przez co dziewczyna przeszła, przez co obie dziewczyny przeszły. Kloz wyrzucił to z głowy. Był mistrzem nabierania dystansu.

Dwadzieścia minut temu skończyła się operacja Larissy Biel. Na razie dziewczyna leżała w sali pooperacyjnej, siedział z nią ojciec. Po wybudzeniu z narkozy miała zostać przeniesiona do dwuosobowego pokoju razem z matką, która również odzyskała przytomność – obie powinny wkrótce odzyskać pełnię sił.

Kloz odstawił oba kubki z kawą, splótł palce dłoni i wygiął mocno, aż chrupnęło.

Teraz jeszcze tylko przeszuka nekrologi i będzie mógł zawiązać projekt na zgrabną kokardkę.

Wzywało go łóżko, już niedługo będzie się mógł otulić cudowną kołdrą.

W rogu ekranu laptopa pojawił się czerwony kwadracik.

Kloz kliknięciem otworzył wiadomość.

– Szlag.

Zaczął grzebać w papierach wokół komputera, prawie przewrócił jeden z kubków, w końcu znalazł telefon i wybrał numer Clair. Zgłosiła się poczta.

– Szlag. Szlag. Szlag.

Zadzwoił do Nasha.

Jeden sygnał.

Drugi sygnał.

Trzeci...

– Tak?

– Hej, gdzie jesteś?

– Ciągłe u Upchurcha. Zejdzie mi tu pewnie jeszcze z godzinę. A co?

– Pamiętasz, że ustawiłem śledzenie komputera Bishopa?

– No tak.

– Właśnie się pojawił, i to całkiem blisko.

– Wyślij mi adres. Espinosie też, jego ekipa dopiero co stąd wyszła.

130

CLAIR

Dzień czwarty, 21.15

Clair czuła, że lada chwila zacznie krzyczeć.

Męczył ją piekielny ból głowy, na który nie pomogły nawet trzy tabletki ibuprofenu.

Stała na środku stołówki w tłumie co najmniej czterdziestu, pięćdziesięciu osób – dzieci, dorosłych, personelu medycznego – zidentyfikowanych przez Kloza na podstawie otrzymanej dokumentacji, wszystkich, którzy mogli mieć jakiś związek z dziesiątkami nekrologów opublikowanych przez Bishopa, a wszyscy ci ludzie wrzeszczeli albo na nią, albo na siebie nawzajem.

Nikt nie chciał tu być.

Im szybciej uda jej się ich wszystkich stąd pozbyć, tym lepiej.

Spędziła godzinę na rozmowie z Kati Quigley i nie mogła się otrząsnąć z obrazów, które podsuwała jej wyobraźnia na podstawie relacji dziewczyny. Właśnie jej powiedzieli, że Larissa Biel też się wybudziła. Ojciec Larissy ją namierzył, podobno przetrząsnął cały szpital, żeby ją znaleźć. Larissa nie mogła nic mówić. Lekarze kazali jej oszczędzać gardło, ale mogła pisać. Zaczęła pisać od chwili, kiedy narkoza przestała działać, a sądząc po histerii ojca, jej opowieść mogła być jeszcze gorsza niż w przypadku Kati.

– Niech wszyscy się zamkną!

Kilka głów obróciło się w jej stronę. Hałas na chwilę przycichł, a potem znów wybuchnął z całą mocą.

Clair weszła na krzesło, a stamtąd wdrapała się na jeden ze stołów.

– Im wcześniej zaczniecie mnie słuchać, tym szybciej będę mogła was stąd wypuścić! – Pomachała nad głową plikiem kwestionariuszy. – Jeśli jeszcze nie oddaliście formularzy, które rozdawałam wcześniej, proszę, żebyście je wypełnili i przekazali któremuś z funkcjonariuszy!

Jakieś półtora metra od niej zaczęła się drzeć mała dziewczynka, drzeć się bez żadnego wyraźnego powodu, chyba tylko po to, żeby powiększyć panujący chaos. Matka wzięła ją na ręce i zaczęła kołysać, ale niewiele to pomogło.

Kątem oka Clair dostrzegła doktora Mortona, który wracał właśnie chyłkiem do stołówki. On też ją zauważył i szybko się odwrócił.

Wydała jasne polecenie, żeby nikt nie opuszczał pomieszczenia, ale pracownicy służby zdrowia, których zebrali w tym zaimprovizowanym areszcie ochronnym, traktowali jej rozkazy raczej jak sugestie. Prawie każdy przynajmniej raz wyszedł i wrócił. Większość wymykała się wielokrotnie, za każdym razem gdy telefon albo pager wzywał ich do innej części szpitala. Niewiele mogła na to poradzić. W wielu przypadkach chodziło o ratowanie życia, a nikogo nie mogła tak naprawdę zmusić do zostania w stołówce. Dałaby głowę, że kilka osób ulotniło się na dobre.

Telefon Clair zawibrował.

Wyłowiła go z kieszeni.

„Sarah Werner”.

Nie znała żadnej Sarah Werner. Będzie musiała poczekać.

Clair wcisnęła „odrzuć”. Zauważyła, że ma też dwa nieodebrane połączenia od Kloza.

Zaraz do niego pójdzie.

Siedział nad aktami Upchurcha, więc może coś znalazł. Poza tym w laboratorium kryminalistycznym sprawdzali substancję znalezioną w igle

wbitej w jabłko. Gdyby nie mogli się do niej dodzwonić, przekazaliby wyniki jemu.

Telefon znowu zadzwonił.

„Sarah Werner”.

Tym razem wybrała „odbierz” i przycisnęła telefon do ucha, jednocześnie zatykając drugie ucho.

– Detektyw Norton, słucham! – W słuchawce odezwał się męski głos, ale nie mogła dosłyszeć, co mówi. Było tam za głośno. – Moment, proszę dać mi chwilę!

Zeszła ze stołu, przepchnęła się przez tłum i dotarła na korytarz. Pod windami spróbowała znowu.

– Przepraszam, detektyw Norton przy telefonie. O co chodzi?

– Macie Paula Upchurcha?

– Kto mówi?

– To ja, Clair.

– Sam?

– Tak.

Rozejrzała się dookoła. Obserwował ją jeden z policjantów pilnujących wejścia do stołówki. Zrobiła jeszcze kilka kroków w głąb korytarza i odwróciła się do niego plecami.

– Gdzie jesteś?

– My... myślałem, że on ma bombę. Dał mi do zrozumienia, że ma bombę, ale to nie jest bomba. To wcale nie bomba...

– Sam, gadasz bez sensu. O kim ty mówisz? O Upchurchu? Złapaliśmy go. Nie miał żadnej bomby.

– A macie... macie dziewczynki? Tamte dwie dziewczynki? Larissę Biel i tę drugą?

– Tak, Sam. Obie są bezpieczne. Nic im nie będzie.

Zaraz. Coś tu jest nie tak.

Coś nie gra.

– Sam, skąd wiesz o Larissie Biel? Zniknęła już po twoim wyjeździe. Nikomu nie mówiliśmy o Quigley. Rozmawiałeś z Nashem? Albo z tym agentem, Frankiem Poole'em?

– Ech, Clair. Zjebałem sprawę. Zjebałem na całej linii.

– Co się dzieje, Sam? Mów jak człowiek.

Porter zrobił głęboki wdech.

– Czy Paul Upchurch żyje?

– Tak. Ludzie Espinosy aresztowali go bez większych problemów. Nash powiedział, że to wyglądało tak, jakby na nich czekał. Nie stawiał oporu. W drodze na komendę dostał jakiegoś ataku i zemdlął. Przywieźli go tutaj, do Strogera, właśnie jest na bloku operacyjnym. Ostatnie stadium raka mózgu. Nie rokuje zbyt dobrze.

– Głejak. Ma głejaka – powiedział Sam cicho.

– Skąd wiesz? Skąd w ogóle znasz jego nazwisko? Z kim rozmawiałeś?

Cisza.

– Sam?

– Gdzie są dziewczynki?

– Też są tutaj.

– Chryste.

– Sam? O co chodzi?

Porter znów nabrał powietrza.

– Musicie je odizolować. Natychmiast zamknijcie w izolatce obie dziewczyny i wszystkich, którzy mieli z nimi kontakt. Nie pozwól nikomu opuścić szpitala.

– Dlaczego?

Znowu cisza.

– Sam, boję się.

– Bishop twierdzi, że wszczepił obu dziewczynkom stężony roztwór wirusa SARS. Powiedział mi, skąd wziął wirusa, wierzę mu. Powiedział też, że zostawił wam próbkę w szpitalu na dowód. Kazał ci przekazać: „Śnieżka też dała się złapać”. Coś ci to mówi?

– Znaleźliśmy jabłko z wbitą igłą – odparła Clair z trudem, słowa więzły jej w gardle. – Leżało na dokumentacji medycznej Paula Upchurcha.

– Clair, słuchaj mnie uważnie. Zraz podam ci pewne nazwisko. Jesteś gotowa?

„Nie”.

– Mów.

– Doktor Ryan Beyer. To neurochirurg w Johnsie Hopkinsie, specjalista od czegoś, co się nazywa „skoncentrowana terapia ultradźwiękowa”. To podobno jakaś kuracja, która może pomóc Upchurchowi, ale jego ubezpieczenie jej nie obejmuje. Jest bardzo skuteczna, ale na razie uważana za eksperymentalną. Bishop twierdzi, że całe dotychczasowe leczenie było stratą czasu. Uważa, że Upchurcha zawiedli wszyscy ludzie, którzy mieli związek z jego kuracją: lekarze, pielęgniarki, ubezpieczyciele, farmaceuci. Wziął na cel wszystkich zainteresowanych, bo uznał, że to cały system morduje Upchurcha. Jest zdania, że ubezpieczyciel próbuje się wykpić tanim kosztem, a wszyscy inni przeszli nad sprawą do porządku dziennego, tymczasem on nie zamierza pozwolić temu facetowi umrzeć.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Jak tylko się rozłączymy, musisz namierzyć tego doktora Beyera i go tam ściągnąć. Bishop mówi... – urwał, ale po chwili wrócił – Bishop mówi, że ma więcej tego wirusa, a jeśli Upchurch umrze, on zacznie go wstrzykiwać przypadkowym mieszkańcom Chicago. Znajdźcie tego faceta. Odizolujcie wszystkich, którzy mieli styczność z dziewczynami. Musicie to opanować.

– Jesteś teraz z Bishopem?

– Muszę kończyć, Clair. Bardzo mi przykro. Przepraszam za wszystko.

Porter się rozłączył, w słuchawce zapadła głucha cisza.

Znów dopadł ją hałas ze stołówki, narastający zgiełk wściekłych głosów sączył się na korytarz przez zamknięte drzwi pilnowane przez dwóch policjantów.

Clair spuściła wzrok na kwestionariusze, które trzymała w ręku. Rozdała wszystkim po egzemplarzu tuż po tym, jak spędziła ponad godzinę z Kati Quigley.

Formularze wyslizgnęły się jej z dłoni i spadły na podłogę.

Przeszedł ją dreszcz, poczuła ból gdzieś głęboko w kościach.

Clair kichnęła.

131

NASH

Dzień czwarty, 21.43

Espinosa bez słowa odliczył na palcach: podniósł pięć...

Cztery.

Trzy.

Dwa.

Jeden.

Brogan staranował drzwi i wpadł do środka, solidne drewno poszło w drzazgi wzdłuż pęknięcia na środku.

– Jazda!

– Jazda!

Nash patrzył, jak antyterrorysty jeden po drugim znikają w pokoju 405 Hotelu Guyon, aż w końcu został sam na zrujnowanym korytarzu. W holu na dole znaleźli ciało – zakutą w kajdanki kobietę w kombinezonie więziennym z raną postrzałową w głowie, jak po egzekucji.

Klozowski tutaj właśnie zlokalizował sygnał z komputera Bishopa. Miało to jakiś związek z triangulacją nadajników wi-fi w okolicy. Potem Espinosa za pomocą jakiegoś małego gadżetu dokładniej wykrył źródło sygnału, gdzieś za drzwiami pokoju numer 405.

– Ręce do góry!

– Nie ruszać się!

– Ma spluwę!

Nash nie był pewny, czyj głos należy do kogo, krzyki w słuchawce nakładały się na te dobiegające zza otwartych drzwi.

Znowu huk. „Drugie drzwi?”

– Nash! Chodź tutaj. Ale już!

Nash przeszedł przez korytarz do drzwi, kamizelka kuloodporna wrzynała mu się w pas, utrudniając oddychanie.

Przekroczył próg pokoju 405 i znalazł się w pomieszczeniu oświetlonym kilkunastoma świecami oraz snopami jasnego światła z latarek zamontowanych na sześciu karabinach szturmowych wycelowanych w jeden punkt.

W jakiegoś mężczyznę.

Siedział plecami do drzwi. Ręce trzymał nad głową. Przed nim na zabytkowym biurku stał otwarty laptop. Obok komputera leżała sterta parunastu czarno-białych zeszytów szkolnych, a nieco dalej rewolwer, kaliber .38.

– Sam?

Porter zaczął obracać się na krześle.

– Nie... – zaczął Tibideaux.

– Opuścić broń! – wrzasnął Nash. – Sam? Co ty tu robisz?

Porter spojrział na krawędź blatu biurka i zamknął oczy.

Espinosa i Thomas trzymali karabiny wycelowane w ściany, promienie latarek przesuwwały się po wyblakłej tapecie w kwiaty obwieszanej dziesiątkami zdjęć oprawionych w ramki.

Nash podążył za światłem, podszedł bliżej, przyjrzał się jednej z fotografii.

Przedstawiała Sama, znacznie młodszego, najwyżej koło czterdziestki. Uśmiechał się do aparatu. U jego boku stał również uśmiechnięty chłopiec. Czternasto-, może piętnastolatek.

Espinosa zmarszczył brwi.

– Czy to...?

– Myślę, że to Anson Bishop – odparł cicho Nash. Rzucił okiem na dwie inne fotografie. – Na wszystkich zdjęciach.

Przemierzył pokój i podszedł do Portera.

– Sam? Co tu się dzieje?

Porter otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Na ekranie laptopa, którego jasny blask oświetlał twarz Portera, widniały słowa:

Cześć, Sam,

domyślam się, że nie wiesz, o co chodzi.

Domyślam się, że dręczą Cię pytania.

PAMIĘTNIK

Nie wiedziałem, gdzie znajduje się komisariat.

Swoją drogą nie byłem też pewny, gdzie był ten cały ośrodek terapeutyczny Camden. Nie miałem zielonego pojęcia, gdzie spędziłem ostatnie tygodnie.

Długo jechaliśmy samochodem.

Patrzyłem, jak Charleston przelatuje za oknem. Budynki były raczej niewysokie. Ojciec wyjaśnił mi kiedyś, że rozporządzenia władz miasta zabraniały budowniczym sięgać zbyt blisko nieba.

Chciałem skrzywdzić doktora.

Wzbierający we mnie gniew był potężniejszy od wszystkich uczuć, jakich kiedykolwiek doświadczyłem, ale robiłem, co w mojej mocy, żeby go okiełznać. Podobnie jak czas, również i gniew można stłumić, wtłoczyć do butelki i zostawić na przechowanie, a potem otworzyć, kiedy będzie naprawdę potrzebny.

Otworzę tę butelkę, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, strzelę korkiem z szyjki.

Żaden z detektywów nie odezwał się ani słowem.

Spodziewałem się gradu pytań, ale żadne nie padło. Nie odzywali się ani do mnie, ani do siebie nawzajem.

Ja również milczałem, pozwoliłem ciszy mówić za siebie.

Teraz już nie rozpoznawałem widoku za oknem, miasto zostało za nami.

Detektyw Welderman raz po raz zerkał na mnie w lusterku wstecznym. Podchwytywałem jego spojrzenie.

Zjechaliśmy z jednopasmówki, która zaprowadziła nas jakieś pół godziny drogi od miasta. Z asfaltu skręciliśmy na zwirowaną alejkę, po obu stronach której rosły wysokie chwasty.

Nie zajechaliśmy pod komisariat, co powinno mnie zaniepokoić, ale nie pozwoliłem sobie na lęk.

Zajechaliśmy pod duży wiejski dom na końcu zwirowanej drogi. Jakaś kobieta, mniej więcej w wieku matki, zobaczyła nas, pomachała i podeszła do samochodu.

Miała krótkie brązowe włosy, ubrana była w żółtą sukienkę w białe groszki.

Detektyw Welderman posłał mi ostatnie spojrzenie w lusterku, po czym obaj mężczyźni wysiedli z samochodu.

Tylne drzwiczki nie miały klamek od środka. Nawet gdybym nie był skuty, nie dałbym rady sam się wydostać.

Detektywi podeszli do kobiety i cała trójka zaczęła prowadzić ożywioną rozmowę. Nie słyszałem, co mówili, ale co jakiś czas rzucali okiem na samochód, na mnie.

Welderman został z kobietą, a detektyw Stocks w końcu otworzył drzwi i pomógł mi wysiąść.

Kobieta wydała cichy okrzyk zdziwienia.

– Ojej, a te to po co?

Detektyw Stock poczerwieniał jak burak.

– Odwróć się, młody.

Zdjął mi kajdanki.

Potarłem zeszywniałe nadgarstki.

Welderman otworzył bagażnik i wyjął zieloną torbę. Podał ją kobiecie.

– W szpitalu uzbierali trochę ubrań. Niewiele, nie mieli dużo w jego rozmiarze. Stracił wszystko w pożarze domu.

Kobieta podeszła do mnie i uśmiechnęła się.

– Dzień dobry, Ansonie, ja jestem pani Finicky. Zostaniesz u mnie przez jakiś czas.
– Potem obejrzała się przez ramię i zawołała: – Paul! Chodź tutaj, poznasz swojego nowego współlokatora.

Nie zauważyłem wcześniej tego wysokiego, patykowatego chłopaka stojącego na werandzie. Wynurzył się ze skrawka cienia, jedyne miejsce, w którym dało się ukryć przed palącym słońcem. Podeszedł do nas żwirowaną ścieżką, wziął od kobiety torbę, a wolną rękę wyciągnął do mnie w powitalnym geście.

– Cześć, Anson, nazywam się Paul Upchurch. Spodoba ci się tutaj.

Detektyw Stocks parsknął śmiechem.

Kobieta na chwilę zmrużyła oczy, ale zaraz znów przywołała uśmiech na twarz.

– Zabierz go na górę, Paul. Pokaż mu jego nowy pokój.

– Dobrze, proszę pani.

– Anson? – powiedział detektyw Welderman.

Podniosłem głowę i spojrzałem na grymas gniewu na jego twarzy.

– Wiemy, co zrobiłeś. Wszyscy dobrze wiemy. Wkrótce to udowodnimy, nie potrzebujemy dużo czasu, musimy tylko dopasować kilka elementów układanki.

Możesz się oczywiście rozpakować. Te ubrania są tylko pożyczone. Niedługo dostaniesz nowe ubrania, a nawet nowy pokój i nowego współlokatora.

Uśmiechnąłem się do niego i do detektywa Stocksa.

– Dziękuję za podwiezienie, panowie. Bardzo miło było panów poznać.

Poszedłem za Paulem Upchurchem.

Podążyłem za Paulem prosto w ciemną gardziel tamtego domu.

Dom był znacznie większy, niż wydawało się z zewnątrz. Może z powodu wielu ścianek dzielących przestrzeń na liczne pokoje, może dlatego, że budynek był wąski, ale głęboki, może to połączenie obu tych czynników, ale czułem się zagubiony od chwili, w której przekroczyłem próg.

Zatrzymałem się na chwilę w małym salonie, tuż za holem, i obejrzałem się przez drzwi wejściowe. Paul kazał mi je zostawić otwarte.

Detektywi nadal tam byli, pogrążeni w rozmowie z panią Finicky. Świat zdawał się jaśniejszy na zewnątrz, tuż za progiem. Powietrze w tym domu było jakby nieruchome, nawet nie stęchłe czy zastałe, po prostu nieruchome. Przywodziło mi na myśl powietrze uwięzione w trumnie niedługo po szczelnym zamknięciu wieka.

– Jak ma na imię pani Finicky? – zapytałem.

Paul zatrzymał się u podnóża schodów i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– A kogo to obchodzi?

– Mnie obchodzi.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Po prostu pani Finicky, od zawsze. Finicky, Finicky, Finicky. Nie Fin, nie pani Finickowa, zawsze per pani, nigdy per ty. Podejrzewam, że inne dzieciaki wymyśliły jej przez te wszystkie lata parę niezłych przydomków, ale założę się, że nikt nie użyłby żadnego z nich w rozmowie z nią.

– Inne dzieciaki?

Znowu się zatrzymał, pięć stopni od parteru, dwa przed półpięciem.

– Wiesz przecież, gdzie jesteś, prawda? Powiedzieli ci? Czasem mówią, czasem nie. Każdy z nas dociera do tych drzwi swoją własną ścieżką. Zdarzają się i starzy wyjadacze, i nowicjusze. Ty nie wyglądasz jak przerażona sarenka, którą zaraz rozjedzie samochód, więc założyłem, że już jesteś obcykany w te klocki. – Wrócił w dół po schodach, uściśnął mi dłoń i zaczął energicznie potrząsać. – Drogi kolego, właśnie zostałeś wciągnięty do tak zwanego systemu. Gratulacje! Obawiam się, że nie będzie tortu ani pakietu powitalnego, tylko moja skromna osoba, ale można trafić gorzej, kiedy wejdzie się do obcego domu. Można by oczekiwać jakiegoś filmu

z wprowadzeniem, ulotki informacyjnej czy czegoś w tym rodzaju, ale budżet jest napięty. Gdyby mieli nakręcić taki film, to chciałbym, żeby Rod Serling ze *Strefy mroku* był narratorem. Facet jest super. Trochę retro, ale super.

Paul popędził z powrotem w górę, przeskakując stopnie i lądując na podeście, gdzie zakręcił się w kółko z wysoko uniesionymi rękami, obniżając za to głos o oktawę.

– Istnieje piąty wymiar poza tymi, które zna ludzkość. To wymiar potężny jak kosmos i beczasowy jak nieskończoność. To obszar między światłem a cieniem, między nauką a zabobonem, między otchłanią lęków człowieka a szczytem jego wiedzy. To wymiar, w którym rządzi wyobraźnia. To miejsce, które nazywamy... – przestał się kręcić i przytrzymał balustrady – Domem Pani Finicky dla Krnąbrnych Dzieci.

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby z jednych ust padło tak dużo słów w tak krótkim czasie.

Gestem głowy wskazał szczyt wysokich schodów.

– Naprzód.

Ściany były tak gęsto obwieszane zdjęciami dzieci, że ledwo dało się dojrzeć kwiecistą tapetę pod spodem. Przynajmniej setka, może więcej. Chłopcy i dziewczęta w każdym wieku, jedni uśmiechnięci, inni ponurzy, wszyscy sfotografowani na podjeździe, na tle groźnie wyglądającego domostwa.

Paul pokazał palcem brązową ramkę gdzieś w górze.

– Tutaj jestem. Nie martw się, ciebie też niedługo czeka sesja zdjęciowa, jak każdego z nas.

Było coś nieuchwytnego w sposobie, w jaki to powiedział, coś w tonie głosu, w tym, jak mówił coraz ciszej, a w końcu urwał, jakby jego myśli utrzymywały się chwilę dłużej niż słowa.

– Ile jest tu dzieciaków?

Dotarł do szczytu schodów i odwrócił się do mnie.

– Ty jesteś ósmy, kolego. Trzy dziewczyny i pięciu chłopaków, w wieku od siedmiu do szesnastu lat. Ja mam piętnaście. Jeszcze trzy lata i będą zmuszeni wypuścić mnie na łono biednego, niczego niepodważającego społeczeństwa. Niech Bóg ma ich w opiece.

Dołączyłem do niego na ostatnim stopniu, za którym rozciągał się długi, wąski korytarz – jeszcze więcej fotografii, pokrywały niemal każdy skrawek ścian, kolejne zamknięte drzwi zdawały się powciskane między zdjęcia.

Paul wskazał na drzwi po lewej.

– Tutaj mamy Vincenta Weidnera. Z Vincentem Weidnerem nie rozmawiamy. Omijaj Vincenta Weidnera, a on będzie omijał ciebie. Tak jest najlepiej dla wszystkich. – Przeszedł na drugą stronę korytarza i otworzył drzwi po prawej. – A tu mieszkamy my, w tym przybytku jest tylko parę jedynek. Większość mieszka parami. To i tak lepiej, niż bywa w innych miejscach. Raz mieszkałem z sześcioma osobami w pokoju mniejszym od tego. Nie dało się spać, bo zawsze miało się czyjaś girę pod nosem. – Zajrzał na chwilę do środka, ale zaraz cofnął głowę. – Łazienka jest za tymi drzwiami na końcu korytarza. Po prawej chłopaki, po lewej dziewczyny. Zostawiaj otwarte drzwi, jak wychodzisz, żeby wszyscy wiedzieli, że jest wolne. W szafce nad lustrem trzymamy zapalniczki, zabijają piękną woń nawet najobfitszego wypróżnienia, a najnowszego świerszczyka znajdziesz w plastikowej torebce w spluczce, tylko pamiętaj, żeby szczelnie ją potem zamknąć. Nikt nie lubi zawilgłych pornosów. Przed wyjściem wszystko ma wrócić na swoje miejsce, bo inaczej zostaną wyciągnięte konsekwencje. Sprzątamy na zmianę. Grafik wisi na lodówce w kuchni na parterze. – Paul wszedł do pokoju. – Włazisz?

Zostałem jeszcze na chwilę przed drzwiami pokoju, rozejrzałem się w obie strony po korytarzu, popatrzyłem na wszystkie te zdjęcia na ścianach. Pani Finicky nie była stara. Ciekawe, od jak dawna się tym zajmowała, ile dzieci przewinęło się przez ten dom.

Przekroczyłem próg.

Łóżko piętrowe.

Zawsze chciałem mieć łóżko piętrowe.

Torba z moimi pożyczonymi ciuchami leżała na środku dolnego łóżka.

– Mam tu dłuższy staż, więc oficjalnie należy mi się góra – oznajmił Paul. – Jeśli zostaniesz tu dłużej ode mnie, może któregoś dnia się jej dochrapiasz. Nie bój się marzyć, kolego. Nie bój się marzyć.

Podobnie jak na korytarzach, w pokoju ściany też były obwieszane ramkami. W odróżnieniu jednak od korytarza tutaj wisały nie zdjęcia, ale rysunki, akwarelki i szkice.

– To twoje?

Paul z dumą pokiwał głową.

– Każdy jeden to oryginalne dzieło Paula Upchurcha. – Podeszedł do niewielkiego biurka, wziął do ręki blok rysunkowy i wrócił do mnie. – Od jakiegoś czasu pracuję nad komiksem. Opowiada o dziewczynce, która ciągle pakuje się w różne kłopoty. Ale nie myśl sobie, że skoro to o dziewczynie, to jestem jakąś ciotką czy coś. Ona jest raczej chłopczycą, a do tego trochę seksowna, łapiesz? Przeprowadziłem porządne badania

ryku i doszedłem do wniosku, że jeśli główną bohaterką komiksu będzie dziewczyna, to wszystkie dzieciaki będą chciały go czytać. – Postukał się w skroń. – O wszystkim trzeba pomyśleć... Muszę brać takie rzeczy pod uwagę, bo wydawcy też na pewno biorą.

Przyjrzałem się narysowanej dziewczynie. Była niebrzydka. Mniej więcej w naszym wieku, z szelmowskim uśmiechem w kącikach ust i ognikiem w oku. Dopracowana w najmniejszych szczegółach, robiła wrażenie. Naczytałem się sporo komiksów, więc mogłem się uważać za konesera. Rysunki Paula były równie dobre, a może nawet lepsze od większości tych, które do tamtej pory widziałem.

– Ten twój komiks ma jakiś tytuł?

Paulowi aż zaświeciły się oczy.

– Czy ma jakiś tytuł... No pewnie, że ma tytuł. Nazwałem go „Dziwne przypadki Maybelle Markel”.

– Niezły jesteś.

Paul uniósł szkicownik do ust i pocałował rysunek.

– Jest jak moja wymarzona córka. Któregoś dnia dzięki córeczce tatuś będzie bardzo bogaty.

I wtedy usłyszałem szloch, cichy, stłumiony płacz zza zamkniętych drzwi naprzeciwko.

Znałem ten dźwięk, ten płacz.

Paul odłożył blok z powrotem na biurko i tak jak ja spojrzał w stronę korytarza.

– Przywieźli ją wczoraj, prawie nie wychodzi z pokoju. Większość z nas całą noc nie mogła usnąć przez to jej beczenie, ale zwykle na początku staramy się odpuszczać nowym. Pozostałe dziewczyny siedzą z nią na zmianę, żeby nie była sama. – Urwał, jakby myślami przeniósł się gdzie indziej. – W niektórych ośrodkach jest ciężko. Tutaj powinno jej się spodobać. Tobie też. Zdaje się, że ma na imię Libby, pani Finicky coś wspominała.

Zrobiłem krok w kierunku drzwi.

Poczułem na ramieniu dłoń Paula. Zacisnął palce.

Ściszył głos do szeptu niewiele głośniejszego od westchnienia.

– Sądzę, że nas podsłuchują. Uważaj, co mówisz.

Ciąg dalszy nastąpi...

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję szczególnie mojej agentce Kristin Nelson, która znalazła dom dla Sama Portera i jego historii. Timowi Mudiemu, który dzięki czujnemu oku świetnie zredagował tę książkę. No i pierwszym czytelniczkom – Summer Schrader, Jenny Milchman, Erin Kwiatkowski, Darlene Begovich i Jennifer Henkes – które pomogły mi nadać odpowiednią formę temu, co znalazłem na stronach pamiętnika Bishopa i w zakamarkach jego umysłu.

Dziękuję mojej wspaniałej żonie Daynie za wiarę... za to, że jesteś sobą.

Wreszcie Ansonowi Bishopowi – czy jesteś gotów skończyć ten nasz mały taniec?

JD

Przypisy końcowe

1. *Grandma I'd like to fuck* (ang.) – babcia, którą chciałoby się przelecieć (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)
2. Ten i pozostałe cytaty z *Czwartej małpy* w przekładzie Agnieszki Patrycji Wyszogrodzkiej-Gaik. [\[wróć\]](#)
3. .Mt 10,28. Wszystkie cytaty z Biblii za *Biblią Tysiąclecia*. [\[wróć\]](#)
4. .Hbr 9,27. [\[wróć\]](#)
5. .Emily Dickinson *Iż ja nie mogłam się zatrzymać* [w:] *Przecucie. Ostatnie przekłady Ludmiły Marjańskiej*, tłum. Ludmiła Marjańska, Wydawnictwo Poznańskie 2005. [\[wróć\]](#)
6. .Rdz 3,19. [\[wróć\]](#)
7. .William Szekspir, *Kupiec wenecki*, akt trzeci, scena piąta. Tłum. Józef Paszkowski. [\[wróć\]](#)